

SZYMON JĘDRUSIAK



ZAWISZA CZARNY



DROGA DO KRÓLA

BUKOWY LAS

Usiedliśmy przy stole. Komtur z jednej strony, my z drugiej. Obrzucił nas twarzym spojrzeniem. Milczał. Czuł się panem sytuacji. Niczego się nie domyślał.

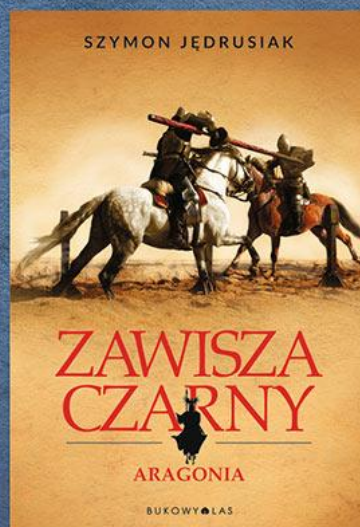
– W liście stoi, rycerzu, żeś zaufany starosty i mam z tobą rozmawiać, jakbym z nim samym rozmawiał – odezwał się w końcu, rozkładając pismo od Tęczyńskiego. Jeszcze raz przebiegł po nim wzrokiem. – Nie ma tu twego imienia. Kim jesteś?

– Zwą mnie Zawisza. Zawisza Czarny herbu Sulima.

Komtur zachował spokój. Ale twarz mu stężała. Tego nie umiał opanować, tych ledwie dostrzegalnych drgań mięśni, które zmieniają wyraz oblicza z obojętnego na nienawistny.

– Chcesz stąd wyjść żywy?

Zawisza nie odpowiedział. Nie dziwiłem się, bo pytanie było pozbawione sensu.



Przeczytaj
o wcześniejszych
losach
Zawiszy
Czarnego

<https://www.facebook.com/zawiszaczarny.eu>

SZYMON JĘDRUSIAK

ZAWISZA CZARNY

A black silhouette of a knight on horseback, positioned centrally between the two lines of the title 'ZAWISZA CZARNY'. The knight is facing right, with a sword raised in his right hand. The silhouette is solid black and has a slightly irregular, hand-drawn appearance.

DROGA DO KRÓLA

BUKOWY LAS

Część I

Zamek krzyżacki, Brodnica, jesień roku Pańskiego 1391

Komtur brodnicki Karol von Lichtenstein wyprowadził swego gościa na dziedziniec. Unikał odbywania ważnych rozmów w zamkowych komnatach. Sam nakazał przed laty urządzić każde pomieszczenie tak, by niewidoczny dla rozmówców skryba mógł sporządzać notatki ze spotkań. Szło na to dużo papieru, ale warto być zapobiegliwym. Teraz obróciło się to przeciwko niemu. Podejrzewał, że jego ludzie podsłuchują nawet wtedy, gdy sobie tego nie życzy. Po co mieliby to robić? Żeby go szantażować, gdy nadejdą ciężkie czasy. Albo dlatego, że zostali przekupieni przez Polaków. Albo dlatego, że takie polecenie przyszło z Malborka. Tego ostatniego obawiał się najbardziej.

Zygfyrd von Dohn stawiał się na wezwanie komtura najszybciej, jak tylko mógł. Prawie nie spał w drodze, dwa razy zmieniał konie. Ale nie odczuwał zmęczenia. Był młody, silny, dobrze znosił wielodniowe podróże w siodle.

– Byłem w Malborku. Na zaproszenie wielkiego mistrza – odezwał się komtur, gdy znaleźli się w miejscu, gdzie mogli swobodnie rozmawiać.

Zygfyrd na wzmiankę o stolicy krzyżackiego państwa z szacunkiem schylił głowę.

– Przysłali kilku knechtów. Mieli ze sobą powrozy, na wypadek gdybym się opierał.

Zygfyrd milczał.

– W zasadzie żegnałem się już z tym światem – dodał Lichtenstein. – Po drodze układałem w głowie tysiące argumentów na swoją obronę.

Młody rycerz nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Pochlebiało mu, że komtur dopuszcza go do swych tajemnic. Karol von Lichtenstein od lat prowadził rozległe interesy w całym chrześcijańskim świecie. Robił to bez wiedzy swoich przełożonych, ale za to często korzystając z pieniędzy zakonu. Nie zawsze zwracał je na czas.

– Bardzo dobrych argumentów. Prawie sam siebie przekonałem, że jestem uczciwym człowiekiem. – Komtur zatarł dłonie.

Uśmiechnęli się do siebie. Oba rody łączyły wielowiekowe więzi, wspólnie odbyte wojenne kampanie, interesy i przyjaźnie. Zygfryd von Dohn parał się werbunkiem najemników. W ostatnich latach niemal całkowicie poświęcił się pracy dla Karola von Lichtensteina, który pełnił w zakonie bardzo ważną funkcję: jako komtur przygranicznej Brodnicy nadzorował wszystkich szpiegów i agentów krzyżackich działających na ziemiach Królestwa Polskiego.

Zakonny dostojnik odwdzięczał się Zygfydowi całkowitym zaufaniem.

– Byłem przekonany – mówił dalej spokojnym głosem – że to te włoskie kanalie doniosły na mnie do Malborka.

Młodzieniec szedł pół kroku za komturem. Tak jak on założył ręce za plecy. Po co go wezwano? Wszystko musiało się dobrze skończyć, skoro zakonnik przechadza się tu cały i zdrowy w nie najgorszym nastroju.

– Myślisz, że wszystko dobrze się skończyło, tak? – spytał Lichtenstein. – Bo nie rzucili mnie szczurom?

– Panie... – Zygfyd rozłożył ręce. – Czytasz w moich myślach. Rad jestem, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

– Gdy po kilku dniach dowiedziałem się wreszcie, po co mnie ściągnięto do Malborka, w pierwszej chwili poczułem, jakbym wypłynął z głębin na powierzchnię. Ulga jednak szybko minęła. Żyję, oddycham, Zygfydzie, to prawda, ale jestem na środku morza. Nie wiem, czy dopłynę do brzegu.

– W czym rzecz, panie?

– Wielki mistrz uzyskał informację, że Polakom udało się zawiązać w Prusach szpiegowską siatkę. Tworzy ją podobno siedmiu pruskich kupców, z tych najważniejszych, z tych, którzy zaopatrują nasze zamki, w tym sam Malbork.

– Siedmiu? – spytał Zygfyd.

– Siedmiu, siedemnastu czy stu, co za różnica! – odparł komtur poirytowanym tonem. – Wstyd mnie dławi, że nic o tej siatce nie wiedziałem! Przez ostatnie lata brałem z kasy zakonu tysiące grzywien na szpiegów. Chępiłem się przed wielkim mistrzem, że wiem o Polakach wszystko. Wiem, który i kiedy lezie do kloaki, poczynając od byle rajcy, a kończąc na królu. Tymczasem to oni przez lata mieli nas jak na tacy.

Komtur rozejrzał się wokół. Chyba zdał sobie sprawę, że za bardzo podniósł głos.

– Moi wrogowie w Malborku już zacierają ręce.

– Znamy nazwiska tych kupców?

– Tylko pierwsze. Za każde następne Malbork będzie musiał zapłacić.

– Zapłacić? Komu? – spytał najemnik.

– Dobre pytanie!

– Jak zatem brzmi to pierwsze nazwisko?

– Krzysztof Lobeschitz.

Zygfyd potrząsnął głową.

– To niemożliwe!

– Malbork posłał za nim wywiadowców. Sprawdzali wszystko kilka miesięcy. Śledzili go. Nie ma najmniejszych wątpliwości: Krzysztof Lobeschitz jest polskim szpiegiem.

– Co się z nim teraz stanie?

– To będzie moje zadanie. A raczej twoje zadanie.

– To znaczy?

– Udasz się do Gdańska i uprowadzisz go.

Młodzieniec rzucił komturowi szybkie spojrzenie.

– To, że nie mam pieniędzy, nie znaczy, że nie jestem bogaty. Hojnie cię wynagrodzę... – uspokajał Lichtenstein.

Zygryd wykonał gest, który oznaczał, że będzie wyrozumiały w kwestii terminu zapłaty. Wiedział, że prędzej czy później dostanie pieniądze. Komturowi sprzyjało szczęście i był bezwzględny. To w handlu najważniejsze.

– Przywieziesz go tutaj – zarządził Lichtenstein. – Trzeba go przesłuchać.

Znów uśmiechnęli się do siebie. Zygfryd pierwszy odwrócił głowę. Nie chciał być w skórze tego kupca.

– Musisz działać dyskretnie. Weźmiesz najlepszych ludzi, którym ufasz bez reszty.

– A brałem kiedyś innych?

Komtur nie odpowiedział.

– I jeszcze jedno: akcja w Niepołomicach musi poczekać.

– Odwołać wszystko?

– Tak. I pozacierać ślady. Malbork wycofał zgodę. Chcą najpierw zakończyć sprawę kupców.

– To zrozumiałe.

– To zrozumiałe – zgodził się komtur. – Wrócimy do tego, gdy tylko zedrzymy skórę z tych siedmiu lisów.

Zygryd skinął głową. Żał było wycofać ludzi z niepołomickich lasów. Komtur von Lichtenstein rękami jego najemników zamierzał odwrócić bieg historii. To miało się stać tej jesieni. Tak niewiele brakowało.

Zatoka Bourgneuf, jesień roku Pańskiego 1391

Zatoka Bourgneuf na południe od ujścia Loary to miejsce, gdzie handlowano właściwie tylko jednym towarem – solą. Gruboziarnistą, gorszą od lüneburskiej, ale dzięki temu tańszą i łatwiejszą do sprzedaży. Dziesiątki statków rocznie odpływało stąd do Gdańska. To główny kierunek dostaw.

Zachodnia Francja poza oliwą, figami, rodzynkami i orzechami miała niewiele do zaoferowania Gdańskowi. W ogóle stara Europa znacznie więcej towarów wywoziła z tego północnego portu, niż tam wysyłała. Oczywiście objętościowo. Gdańsk, należący do krzyżackich Prus, handlował, ale większość towarów pochodziła z ziem leżących dalej na południe i na wschód. Bez dębów, buków i sosen z Polski stanęłyby stocznie w Anglii i Niderlandach, bez polskich cisów spławianych do Gdańska Anglicy nie wyprodukowaliby dość łuków i kusz, by prowadzić wojnę z Francją. Smołę, dziegieć i pak słano do Brugii i portów angielskich, popiół drzewny do Flandrii. Wosk i futra można było sprzedać na Zachód w każdej ilości. A jeszcze szybkimi krokami nadchodziła era zboża: Europa podnosiła się z kolan i chciała zaspokoić głód, ale nie nadążała z odtwarzaniem upraw zbóż. Już wkrótce polska pszenica będzie musiała wyżywić pół świata.

Statki wywożące towary z Gdańska należało w drodze powrotnej czymś wypełnić, żeby miały odpowiedni balast i zarabiały w obie strony. Najlepiej nadawała się do tego właśnie sól.

Przebieg szlaku wyglądał następująco: statki z Gdańska płynęły do portów flandryjskich i angielskich, tam zostawiały większą część ładunku i zimowały. Były to duże konwoje – w miastach Hanzy nazywano je *Baienschiffe* – liczące po piętnaście i więcej jednostek. Na wiosnę, łącząc się z innymi statkami hanzeatyckimi, żeglowały do zatoki Bourgneuf, by w tamtejszych salinach zaopatrzyć się w bretońską sól.

Kupcy musieli się bardzo starać, by na tę sól był w Gdańsku zawsze zbyt. Jak dotąd gdańszczanie zaopatrywali w nią całe Prusy i część ziem związanych z Polską. Duży rynek. Ale z południa napierała sól kamienna z okolic Krakowa. Gdyby wyparła tę zachodniofrancuską, mocno uderzyłoby to w zyskowność północnego handlu. Nie można było do tego dopuścić. Sól francuska była *raison d'être* ważnego szlaku morskiego przez cieśninę Sund, szlaku, który zapewniał olbrzymie

dochody najpotężniejszym spółkom kupieckim Europy. Dopóki kontrolę nad polskim handlem sprawowały krzyżackie Prusy, dopóty można było spać spokojnie.

Informacji tych udzielił mi Leon Yosef de Carcasona, lekarz z Perpignan, który przywrócił mnie do życia po tragicznych wydarzeniach sprzed paru miesięcy, a potem przez cały czas mojej przymusowej rekonwalescencji był mi towarzyszem, nauczycielem i opiekunem.

To właśnie w Perpignan otrzymałem listowną wiadomość, że Ayhe, kobieta, którą kochałem ponad wszystko inne na ziemi, żyje. Że wiele miesięcy temu udało się jej zbiec z niewoli, że znajduje się w rękach Tidemana Stickera, niemieckiego handlarza niewolników, i że ten wie o niej ze sobą jak brankę. Podobno razem uciekli na północ Hiszpanii, by stamtąd udać się do Gdańska, miasta na krańcach ziemi, z którego pochodził niemiecki handlarz.

Leon Yosef de Carcasona, choć medyk, jak każdy dobry Żyd wiedział dużo o handlu i drogach. Poprosiłem go o radę, jak najszybciej i najbezpieczniej dotrzeć z Perpignan do tego odległego portu. Zatraskany o stan mojego zdrowia odradzał podróż lądową, zwłaszcza przez terytoria niemieckie. Niemcy, przestrzegali, pograżyły się w chaosie, przemieniły w kraj rozbójników. Droga morską jest bezpieczniejsza. Sugerował, bym udał się na północ Francji. Nawet jeszcze teraz, mówił, późną jesienią, przy nabrzeżu w Collet można znaleźć jakiś gdański statek udający się do macierzystego portu.

Miałem wyruszyć w tę podróż w towarzystwie polskiego rycerza, Zawiszy, zwanego w Aragonii Il Nero albo dla wygody – Sulimą. Los związał nas ze sobą na aragońskiej ziemi i nie zamierzał na razie tych więzów rozsypywać.



Trzy tygodnie później opuszczaliśmy zatokę Bourgneuf na dużym trójmasztowncu, bardziej wydłużonym niż znane mi dotychczas kogi o charakterystycznych zaokrąglonych kształtach. Nasz statek, nazywany holkiem, miał ponad trzydzieści metrów długości i, jak zapewniał kapitan, ponad pięćset łasztów wyporności.

Kapitan, tęgi, niski Francuz o zaciętej i surowej twarzy, okazał się rozmownym człowiekiem. Nie wiedział, że jestem Żydem, zresztą nie wiem, czyby mu to przeszkadzało. Ponieważ Zawisza, którego ubiór i zachowanie świadczyły o szlacheckim pochodzeniu, nie traktował mnie jak sługę czy giermka, Francuz uznał zapewne, że dorównuję mojemu towarzyszowi statusem.

Kapitan od wielu lat pływał po północnych morzach i dużo wiedział o handlu. Był gadułą, a ja przez całą podróż umiejętnie grałem rolę nierozgarniętego szlachetki, lądowego szczura pograżonego w podziwieniu dla jego wiedzy. Zdecydowanie wolałem nudne wywody w kapitańskiej kajucie niż przebywanie w dusznych i cuchnących pomieszczeniach pod pokładem.

Tam tłoczyli się żołnierze z francuskiej eskorty zakontraktowanej przez kupców do obrony przed plagą piractwa, jaka trapiła w tym czasie wszystkie morza północne, oraz różnej maści pasażerowie, głównie Niemcy: pielgrzymi, robotnicy pracujący w kopalniach w Hiszpanii i północnej Francji, a także kilku drobnych kupców z żonami.

Kapitan godzinami wymieniał towary, ceny, porty, gdzie dostarczał ładunki i skąd je zabierał. Zwróciła moją uwagę pewna myśl, której nie spodziewałem się usłyszeć od tego prostego człowieka. Stwierdził pewnego dnia, że gdyby miał pieniądze, zainwestowałby wszystko w duże statki, takie jak ten, na którym pływa. Bo zawsze będzie co wozić między Wschodem a Zachodem. Stara Europa miała bogate miasta, rozwinięty handel i manufaktury. Wschód Europy – ludny, ale zacofany – to wspaniała rynek zbytu, do tego dysponujący nieograniczonymi rezerwami budulca i żywności. Ten strumień tanich surowców musiał płynąć, by młyńskie koła starej Europy mogły mleć. Wymiana była więc naturalna i konieczna. Świat się podzielił. Kapitan twierdził, że na zawsze.

Zapewne z uwagi na porę roku pogoda nam nie sprzyjała. Nastaly wietrzne dni. Ze wszystkich stron wypiętrzały się góry wody, mniej lub bardziej strome; statek albo wspinał się nagle na któryś ze szczytów, by za chwilę opaść w morską dolinę, albo rytmicznie kołysał się na boki.

Po kilku dniach smród, jaki wypełnił kajuty, stał się nie do zniesienia. Kto tylko miał dość odwagi i jako tako znosił chłód jesiennego morza, spędzał całe dnie na pokładzie.

Wszechobecny pod pokładem fetor brał się stąd, że każdy podróżny trzymał obok swojej koi urynał, wysokie i dość niestabilne gliniane naczynie, do którego oddaje się mocz i wymiotuje. Większość naszych towarzyszy źle znosiła morskie kołysanie, więc naczynia szybko się wypełniały, a potem wywracały, potrącane przez przepychających się pod pokładem podróżnych.

Prawdziwe szaleństwo rozpoczynało się z nastaniem świtu, gdy kiszki zaczynały pękać w szwach i wszyscy, jeden po drugim, wybiegali na pokład i ruszali w stronę dziobu, gdzie ustawione były wygodki. Już po chwili tworzyły się przed nimi długie kolejki ludzi poskręcanych w dziwnych pozach.

Sprawa opróżniania kiszek stała się dramatyczna podczas sztormu, jaki złapał nas tuż przed wpłynięciem do cieśniny Sund. Potężne fale poczęły wdzierać się na pokład i zalewać wygodki. Każdy, kto w nich przebywał, narażał się na całkowite przemoczenie. Dla tych, którzy nie zaopatrzyli się w ubrania na zmianę, oznaczało to spędzenie reszty podróży w mokrej odzieży, co w połączeniu z zimnym wiatrem groziło ciężką chorobą. Podróżni rozbierali się więc do naga, pędzili na pokład i kucali w strugach deszczu, gdzie popadnie, w nadziei, że fale i tak zmyją nieczystości. Wywoływało to salwy śmiechu współpasażerów, zwłaszcza gdy nago paradowała nadobna otyła matrona, i wściekłość ze strony marynarzy, których

czekało w porcie szorowanie pokładu.

Wszystkie te żalosne obrazki i zapachy można było jakoś wypchnąć z pamięci zaraz po zejściu na ląd. Opanowało nas jednak coś, czego nie dało się tak łatwo pozbyć. To były wszy. Tysiące żyjątek, które nasi towarzysze podróży hodowali we włosach i brodach, szybko znalazło sobie drogę także do naszych brudnych, przepoconych ciał.

Z rozbawieniem przyglądaliśmy się, jak podróżni, korzystając z chwil bezdeszczowej pogody, rozsiadali się na pokładzie, by w gronie najbliższych oddawać się wzajemnemu iskaniu. Po kilku dniach Zawisza i ja robiliśmy to samo. Bardzo nas to do siebie zbliżyło. Intymność tego rodzaju ma swoje dobre strony. Między panną i młodzieńcem prowadzi niechybnie do wybuchu uczucia. Pomiędzy mężczyznami jest jak braterstwo broni – skłania do szczerych rozmów i zwierzeń. I tak oto dowiedziałem się, że Zawisza z równie wielką niecierpliwością jak ja oczekiwał wyjazdu z Perpignan. Z trudem znosił tygodnie bezczynności w oczekiwaniu na rozwiązanie sądowych problemów, które ciążyły na nim w związku z wypadkami w Brugii.

Dwie sprawy wymagały pilnego powrotu Zawiszy do Polski i spędzały mu sen z powiek. Pierwsza to zły stan zdrowia jego najstarszego brata. Oddział, którym dowodził – tyle Zawisza wyczytał z listów – został napadnięty podczas patrolowania szlaku handlowego do Prus. Kruczek, bo tak nazywano jego brata, stracił wszystkich ludzi, a sam ciężko raniony wiele miesięcy walczył o życie. Z ostatnich nowin, jakie dotarły do Zawiszy przed opuszczeniem Perpignan, wynikało, że Kruczek będzie żył, ale rokowania co do jego pełnego powrotu do zdrowia nie były dobre.

Druga sprawa była natury politycznej. Niepokojące wieści dochodziły z Prus. Zakon krzyżacki od lat szykował się do wojny z Polską, a teraz odniósł nad nią potężne zwycięstwo w cichej wojnie, jaką prowadziły wywiady obu krajów. Sulima otrzymał rozkazy pilnego spotkania się w tej sprawie z pewnym gdańskim kupcem, ale nie zdradził więcej szczegółów. Była to dla mnie o tyle pomyślna okoliczność, że mój towarzysz łatwo dał się namówić na podróż do ojczyzny drogą morską, przez Gdańsk.

Zawisza zawarł pewne znajomości wśród załogi: siadywał na pogawędki z dwoma Polakami z Osieku, ubogiej rybackiej dzielnicy Gdańska. Ojcem i synem. Byli flisakami i rybakami. Zaciągali się jako marynarze na statki, gdy zyski z połowów i przewozu towarów okazywały się zbyt małe, by z zarobionych pieniędzy przeżyć zimę. Wyróżniali się spośród załogi. Brodaci, bo hańbą na morzu okrywa się ten, kto nie ma brody, ale czyści i schludni, jeżeli można tak było powiedzieć o marynarzach, i na ogół trzeźwi. Nie wiem, czy była to kwestia pochodzenia, czy łączącego ich pokrewieństwa. Ojciec na ogół trzyma fason przy synu, a syn nie ma uciechy w pijaństwie, jeśli czuje na sobie wzrok ojca.

W końcu pokonaliśmy cieśninę Sund i ostatniego dnia września roku Pańskiego 1391 znaleźliśmy się u celu podróży.

3

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1391

Opuściliśmy statek jeszcze na redzie. Zawisza zapłacił Polakom, by wzięli nas na łódź, która po nich przy płynęła. Kończyli służbę, mieli teraz tydzień na odpoczynek albo pracę wokół domu.

Dopłynęliśmy do przystani portowej w Osieku. Była to niewielka osada rybacka w kształcie czworoboku, otoczona wąskim rowem. Przecinały ją dwie główne arterie, wzdłuż których osadzono łącznie pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt drewnianych chałup. Pożegnaliśmy rybaków przy jednej z nich.

Główna ulica na osi wschód–zachód prowadziła do krzyżackiego zamku, wielkiego i ponurego niczym twierdza Anakitów.

Osiek wedle słów Zawiszy był dawnym rybackim podgrodzem polskiego niegdyś Gdańska, a obecnie stanowił jedyną gdańską dzielnicę z przewagą ludności polskiej. Ci prości i biedni ludzie, *dy Polene us deme hachilwerke*, jak tu o nich mówiono, zachowali wprawdzie swe dawne prawa do zbierania bursztynu i połowu ryb, ale przez zamknięcie Osieku od północy przez Stare Miasto i od południa przez Główne Miasto Krzyżacy odebrali ich osadzie szansę na rozwój. Zakon wyznaczył Polakom rolę dostawców świeżych ryb i zbieraczy bursztynu, którym i tak handlować mogli tylko kupcy krzyżaccy. Nędza chat i ich otoczenia silnie kontrastowała z potęgą wznoszących się nieopodal murów zamku.

Zamek ten wybudowano kilkadziesiąt lat wcześniej jako znak umocnienia się władzy Krzyżaków po sukcesach w wojnie z Polską. Stał u brzegu Motławy, która uchodziła nieopodal do koryta Wisły. Wzniesienie tak potężnej twierdzy było pokazem siły i władzy Krzyżaków, ale także symbolem ich nieufności wobec gdańszczan: bracia zakonni nieustannie obserwowali swych poddanych z wysokich wież, gotowi uderzyć i stłumić każdy przejaw buntu.

Zaczęło padać. Sądząc po roślinności, rozmokłej ziemi i licznych kałużach, deszcz często bywał tu w gościnie. Minęliśmy kilka ubogich chat i stanęliśmy u jednej z bocznych bram Głównego Miasta.

Zawisza uprzedzał mnie, bym tu, w Gdańsku, nie przyznawał się, że jestem Żydem. Żydów nie tolerowano i nie pozwalano im na osiedlanie się ani w Gdańsku, ani w innych hanzeatyckich miastach Prus Krzyżackich: Toruniu czy Elblągu. Tak

zadecydowały krzyżackie władze pospołu z miejscowym kupiectwem, które w ten sposób dbało o własne interesy i zabezpieczało się przed groźną konkurencją.

Ceglany mur otaczający miasto okazał się zadziwiająco niski, nie przekraczał pięciu łokci, ale za to gruby był co najmniej na trzy.

Wziąłem głęboki wdech. Serce waliło mi jak oszalałe. Gdzieś tam, za bramą, może być Ayhe. Będę się rozglądał, rozpytywał. Jeśli tylko tu dotarła, odnajdę ją. Ale wtedy... co? Porwanie? Zawisza zapowiadał jeszcze w Perpignan, że ma wobec mnie jakieś plany, chce mnie wziąć ze sobą do Polski. Bez Ayhe nigdzie się z Gdańska nie ruszę! Będę tu siedział tak długo, jak będzie trzeba, choćby całą zimę, aż zeżre mnie to robactwo, które noszę na głowie. Mam pieniądze. Jeśli się ma pełną sakiewkę, w każdym mieście świata można się zaszyć na długo. Nie wyglądałem na Żyda, nikt mnie stąd nie ruszy.

Było oczywiste, że jeśli Stickerowi udało się uciec z Hiszpanii, to przybył razem z Ayhe do Gdańska. Bo gdzieżby indziej? To jego rodzinne strony. Tu go nie będą ścigać. Na pewno. Żaden aragoński sędzia nie wyprawi się tak daleko, by egzekwować wyrok. Aragońscy sędziowie to złośliwe i przekupne trutnie, ale nie idioci. Nie będą się tu pchać.

Uniosłem głowę, by przyjrzeć się herbowi umieszczonemu nad bramą: w tarczy na czerwonym tle jaśniały dwa białe krzyże. Żadna wróżba.

W obszar zabudowań wkroczyliśmy przez nikogo niezaczepiani ani niesprawdzani. Deszcz się wzmaczał, towarzyszył mu silny północny wiatr. Mieliśmy na sobie spodnie i pikowane kaftany przywdziane jeszcze w Perpignan. Deszcz wbijał się w materiał, wypychając gromadzony tygodniami smród.

Tuż za bramą podbiegło do nas kilku chłopców. Zawisza wręczył jednemu z nich drobną monetę i nasze podróżne worki. Potem nachylił się nad nim i tłumaczył przez chwilę, dokąd ma zanieść dobytek.

Aby chronić się przed tnącym z ukosa deszczem, ruszyliśmy wąską ścieżką biegnącą przy murze. Obwarowania ciągnęły się wzdłuż północnej, zachodniej i południowej granicy miasta. Od strony wschodniej tylko częściowo odgradzały one miasto od rzeki Motławy. Przynajmniej tyle dostrzegłem u wylotów poprzecznych uliczek, które mijaliśmy. Doliczyłem się szesnastu baszt różnej grubości i wysokości.

Szedłem posłusznie za Zawiszą, kuląc się z zimna. By iść jak najbliżej muru, niemal szorowałem prawym ramieniem o cegły. Wsadziłem dłonie głęboko w kieszenie kaftana. Przyglądałem się miastu oraz ludziom.

Wrażenie robiły różnorodność i gęstość zabudowań. Mijane dzielnice wydawały się całkowicie wypełnione. Wszystkie domy, które widziałem do tej pory, były drewniane; wiele z nich miało pomalowane fasady. Podczas słonecznej pogody (latem są tu chyba takie dni, przynajmniej kilka) musiały wyglądać wesoło. Mijaliśmy liczne stragany. Mimo iż wiatr zacinał deszczem prosto w twarz

kupców, handel kwitł w najlepsze.

Na wysokości trzeciej bramy w zachodniej linii murów skręciliśmy w lewo, w ulicę, którą, jak się później dowiedziałem, nazywano Długą. Była to najbardziej reprezentacyjna ulica miasta, zwłaszcza w swojej wschodniej, wybrukowanej części, tam gdzie stopniowo rozszerzała się, tworząc prostokątny plac o wyraźnie handlowym przeznaczeniu. Na jej północno-wschodnim krańcu stał okazały dwukondygnacyjny ceglany budynek z niewysoką wieżą, zapewne ratusz.

Domyślałem się, że zmierzamy do domu owego człowieka, o którym wspomniał na statku Zawisza, bo gdzież mógłby mieszkać bogaty gdański kupiec, jeśli nie tu, w centrum miasta, przy głównym placu targowym i budynku ratusza. Ale nie zapytałem. Maszerowałem posłusznie w nogę za Zawiszą, uważając jedynie, by nie poślizgnąć się na błotnistej drodze. Od początku naszej znajomości zadawałem mu niewiele pytań. Zdążyłem się przyzwyczać do jego mrukowego charakteru. Tych kilka dni zwierzeń na pokładzie statku nie zapowiadało przełomu.

Południową pierzeję handlowej części ulicy Długiej stanowił ciąg niemal identycznych murowanych posesji, oddzielonych od siebie na długość kroku. To chyba pierwsze murowane domy, jakie tu zobaczyłem. Fasady, licowane czerwoną surową cegłą, były ozdobione jedynie płytkami wnękami o ostrych łukach. Tylko jeden z frontów pomalowany był białą farbą wapienną, spod której wyzierała faktura cegły i fug. I przed tym domem się zatrzymaliśmy. Wyglądał okazale. Miałem nadzieję ogrzać się w jego wnętrzu. Podróżnych zazwyczaj częstuje się ciepłą strawą.

Zawisza wszedł po stopniach przedproża i zakolatał do drzwi. Rozwarły się po dłuższej chwili. Stał w nich rosły młodzieniec. Nie wyglądał na kupca ani nikogo z kupieckiej rodziny, ani nawet służącego. Nie poznałem jeszcze tutejszych zwyczajów dotyczących ubioru, ale wystarczyło się rozejrzeć, by stwierdzić, że biedota odziewała się równie nędznie jak w Saragossie czy Perpignan. A skoro kmioty noszą się tak samo, to i zamożni kupcy muszą przypominać tych z mojego świata. Człowiek u szczytu schodów swą postawą przywodził na myśl kogoś w rodzaju miejskiego strażnika. To źle. Strażników nie po to się stawia, by udzielali gościny.

Objąłem się ponownie ramionami i pochyliłem głowę, by jak najdłużej zatrzymać resztki ciepła wysysane przez mokrą odzież. Najchętniej zwinąłbym się w kłębek jak jeź.

Dobiegły mnie odgłosy rozmowy. Niemiłe dźwięki obcego mi języka przypominały terkot pokutnej kołatki. Przedproże było zadaszzone. Przynajmniej na Zawiszę nie lało. Ja stałem w deszczu. Na szczęście nie trwało to długo. Zawisza zszedł powoli po stopniach przedproża.

– Kupiec nie żyje. Wczoraj wyłowili go w porcie... – oznajmił.

Mój Boże, pomyślałem, co za kraj. Zrobiło mi się jeszcze zimniej.

- Co się tak trzęsiesz? – zapytał Zawisza, jakby wciąż jeszcze był w Perpignan i nie widział, co się dzieje wokół.
 - Z żalu... W taką pogodę wpaść do morza... – wystukałem zębami.
 - Trupa wyłowili z rzeki. Z Motławy.
 - Aha.
 - Zwłoki są w kaplicy, już był kondukt pogrzebowy. – Zawisza był wyraźnie poruszony. Spojrzał przez ramię na zamknięte drzwi. – Ciało już tu nie ma – powtórzył i dodał, jakby się chciał usprawiedliwić: – Dlatego nie złożymy kondolencji rodzinie. Jutro pogrzeb.
 - To był... ktoś bliski? Rodzina?
- Zawisza skrzywił się i pokręcił głową. Potem też objął się ramionami.
- Zimno. Chodźmy się ogrzać – zaproponował.

Danzing czy Gdańsk, jak nazywali go Polacy, nie był dużym miastem, przynajmniej ta część opasana murami. Dość szybko zorientowałem się w jego układzie. Znajdowaliśmy się w bogatej dzielnicy, ale sądząc po tym, co widziałem podczas drogi przy murze, nie była ona zbyt rozległa. Ulica, którą do niej weszliśmy – ta szeroka, w połowie pokryta brukową kostką – stanowiła zapewne oś wschód–zachód miasta, prostopadłą do rzeki. Teraz cofając się nieco, skręciliśmy w prawo, w ulicę Lektykarską wyznaczającą oś północ–południe.

Deszcz gwałtownie przybrał na sile, chłostał po twarzy, wbijał się w pikowany kaftan, czyniąc go coraz cięższym. Podmuchy wiatru śmiało penetrowały przemoczoną materię. Po bokach ulicy, szerokiej na jakieś dwadzieścia łokci, ułożono drewniane chodniki, tak wąskie, że co chwila musieliśmy przystawać, by przepuścić kogoś spieszącego z przeciwnej strony. Musiało tu padać od wielu dni, bo środek ulicy zalegała cuchnąca maź, mieszanina rzadkiego błota, wyrzucanych z okien odpadków i zwierzęcych odchodów.

Widać świnie należały tu do ulubionych zwierząt domowych, bo było ich więcej niż ludzi; co rusz wypadały z przecnic, przepychały się między przechodniami, kwikiem torując sobie drogę. Skręciliśmy w końcu w jedną z takich wąskich, pozbawionych chodników przecnic i zapadliśmy się po kostki w błocie.

Nieraz w życiu lało mi na głowę, ale nigdy nie zostałem złapany w taką pułapkę: deszcz padał z góry, z przodu i z tyłu, z lewa i z prawa, a gdy już spadł na ziemię, to zamiast wsiąknąć w nią i odejść w niebyt, czyhał przyczajony, zimny i łapał za nogi błotnistym uściskiem.

Po kilku krokach Zawisza zatrzymał się przed domem z fasadą wzniesioną z drewnianego szkieletu wypełnionego cegłą. Na parterze od frontu znajdowało się główne wejście, do którego prowadziły trzy drewniane stopnie.

Zawisza tym razem nie kołatał, ale oparł się o ciężkie drzwi i pchnął je ramieniem. Otworzyły się, stawiając nieznaczny opór. Wkroczyliśmy do wysokiej ceglanej sieni z wyraźnymi malowanymi na biało, wypukłymi spoinami. Pod ścianami stały jedne na drugich skrzynie i beczki. W głębi dostrzegłem okno wychodzące na podwórze oraz wąskie i strome schody prowadzące do izb mieszkalnych na piętrze. Zawisza wykrzyknął coś, chyba na powitanie, potem jeszcze raz. Chwilę czekaliśmy w ciszy i bez ruchu.

Schodami zeszła jakaś kobieta, przez moment się nam przyglądała, a potem jej oblicze rozjaśnił uśmiech. To pierwsza uśmiechnięta twarz, jaką tu zobaczyłem. Wszyscy przechodnie mieli ponure miny, nawet pijacy sprawiali wrażenie przygnębionych. To chyba przez pogodę.

Kobieta przywitała się z Zawiszą, potem spojrzała na mnie. Zapytała o coś mojego towarzysza, a gdy otrzymała odpowiedź, roześmiała się głośno, po czym ruszyła z powrotem w stronę schodów, a my za nią.

Piętro domu stanowiła jedna duża izba mieszkalna, rozświetlona z dwóch stron szklanymi oknami i służąca – jak wskazywały proste sprzęty: dwa szerokie łóżka, masywny stół nakryty kremowym obrusem, skrzynie z ciemnego drewna zdobione roślinnym ornamentem – za sypialnię i pokój gościnny. Ściany zostały pomalowane na biało, bez jakichkolwiek dekoracji. Surowa podłoga z desek była czysta, widać, że często szorowana. W całym domu dało się odczuć dbałość o porządek. Mimo że wnętrze było skromne, gospodyni musiała być z siebie zadowolona. Rozmawiając z Zawiszą, co jakiś czas zerknęła w moją stronę i za każdym razem malowało się na jej twarzy zaskoczenie, jakbym pojawiał się i zniknął albo dokonywał jakiejś innej magicznej sztuczki.

Po drobiazgach dopełniających wystroju wnętrza, zwierciadełkach, kolorowych poduszkach, niepraktycznych naczyniach z ozdobnego szła, ustawionych w szafkowych wnękach, domyśliłem się, że mieszkało tu więcej kobiet, zapewne córek gospodyni. No i co najmniej jeden mężczyzna, pan domu. Z pewnością potężnej postury, sądząc po rozmiarach wygodnego siedziska stojącego pod oknem.

W domu panował chłód, czułem go, mimo iż weszliśmy z zimnej ulicy. W rogu stał piec z ozdobnych kafli, na wysokich nóżkach. Oparłem się o niego dyskretnie, ale był zimny, podobnie jak poręcz, oparcie siedziska i wszystkie sprzęty, których dotknąłem. Wyglądało na to, że nie palono tu od zeszłej zimy. Odsunąłem się od pieca z wyrazem rozczarowania na twarzy. Kobieta to zauważyła i skinęła głową, a potem znów się do mnie uśmiechnęła, nie spuszczając ze mnie wzroku. Poczulem się skrępowany, odpowiedziałem uprzejmym uśmiechem. Miałem nadzieję, że się dogadaliśmy i piec będzie grzał.

Kobieta tłumaczyła coś przez chwilę Zawiszy, a potem zeszła do sieni.

– Umyjemy się na podwórzu – oznajmił Sulima. – Podobno śmierdzimy jak stare capy. – Położył obie dłonie na głowie i zaczął się drapać. – Z tym też coś trzeba będzie zrobić.

Z ulgą zrzuciliśmy przemoczone kaftany i w samych koszulach wyszliśmy na podwórze. Była to długa, wąska parcela. Najbliżej domu stał budynek kuchenny. Właśnie wychodziły z niego, ponaglone przez panią domu, dwie młode służące z wiadrami gorącej wody, która chlupała i wylewała się, znacząc pomost parującymi plamami. Wiadra stanęły na pomoście przed budynkiem. Obok nich

dziewki postawiły jakąś miednicę, dwa kawałki mydła, a na rozwartych skrzydłach okiennic powiesiły ręczniki.

Ruszyliśmy w stronę budynku. Szeroką deskę pokrywała cienka warstwa błota naniesionego przez deszcz. Bose stopy rozjeżdżały się nam jak na lodzie. Chudzi, brudni, co chwila przystawaliśmy i unosiliśmy ramiona, kołysząc nimi dla zachowania równowagi. Dziewczęta minęły nas ze spuszczonej oczami i zaciśniętymi ustami, hamując śmiech.

Kilka kroków za kuchnią była studnia, a na samym końcu parceli stał wąski drewniany budynek, który musiał być kloaką. Kloaki na całym świecie wyglądają tak samo. Do przejścia było jakieś dwadzieścia kroków przez błotniste podwórze, niestety, nie prowadził tam żaden pomost. Postanowiłem ulżyć sobie przed kąpielą. Machnąłem ręką w kierunku wychodka, dając Zawiszy znać, dokąd się wybieram. Idąc, usłyszałem za sobą mlaskające kroki, ale nie dałem się wyprzedzić.

– Odwracaj się tyłem do okien domu – poleciał Zawisza, gdy staliśmy już nadzy na wąskim pomoście przed kuchnią. – Nikt tu nie wie, że jesteś Żydem. Przedstawiłem cię jako szlachcica z Aragonii.

– Myślisz, że ta stara nas widzi?

– Nie taka stara, Aaronie! Gdyby to usłyszała!...

Zawisza wylał na mnie pół wiadra ciepłej wody, a potem ja na niego. Mydliliśmy się przez chwilę.

– Zostaniemy tu przez kilka dni.

– Tak krótko? – spytałem, szcękając zębami.

– Nawet jeśli trafimy na jakiś ślad, nawet jeśli tę twoją Ayhe tu znajdziemy... – Zawisza wylał sobie na głowę resztę wody i dokończył myśl: – Musimy to starannie przygotować. Przecież tak od razu jej nie uprowadzimy...

– Pytałeś gospodynię? Może coś wie?

– Jeszcze nie.

– Kim są ci ludzie? To Polacy? Niemcy? Prusacy?

– Panem domu i tych trzech kobiet jest Mikołaj von Ruden. Niemiec, najlepszy gdański browarnik, a to tutaj wiele znaczy. To nie Aragonia.

Zawisza wylał na mnie jeszcze jeden kubeł ciepłej wody, dokładnie spłukując mydliny. A potem sięgnął po miednicę wypełnioną rzadką mazią.

– To na nasze zwierzęta – wyjaśnił, po czym nabrał pełne dłonie specyfiku i zaczął wcierać we włosy. – Za kilka pacierzy będzie po wszystkim.

Zrobiłem tak samo. Maść cuchnęła, ale łatwo się rozprowadzała.

– Brat gospodarza, Hermann von Ruden, wywołał jakiś czas temu rewoltę przeciwko radzie miasta – powiedział Zawisza. Z przymrużonymi oczami starannie masował głowę. – Piwowarzy to tutaj najbardziej wpływowi rzemieślnicy. A rada miasta to krzyżackie popychadła. Robią, co zakonnicy im każą. Gdy Krzyżacy zaczęli handlować piwem, wielki mistrz wydał zezwolenie na handel w Gdańsku

piwem z Wismaru. To był cios dla tutejszych piwowarów. Wyszli na ulicę. Porozbijali beczki z wismarskim piwem. Krzyżacy aresztowali większość przywódców i powiesili. Kilku zbiegło z miasta, w tym Hermann. Przebrany za pielgrzyma chciał uciekać w twoje strony, aż do Composteli, do świętego Jakuba. Ale krzyżaccy agenci dopadli go już w Niemczech...

– Dlaczego Mikołaj tu został?

– Nie brał udziału w buncie – odparł Zawisza. – Twierdzi, że był za młody na takie rzeczy, ale myślę, że po prostu dobrze mu się wiodło. Miał tu dom, młodą żonę, otworzył karczmę, wstąpił do cechu... Nie jest łatwo wszystko zostawić.

– Ale Krzyżacy zabili mu brata...

– Tak. Twierdzi, że tej krzywdy nigdy nie zapomni.

Osuszyliśmy ciała ręcznikami, a potem opasaliśmy się nimi jak spódnicami.

– Takich historii w całych Prusach jest wiele. Krzyżacy mają ciężką rękę, trzymają miasto na powrozie. Kupcy, rycerze, rzemieślnicy, wielu ludzi skrywa bunt pod koszulą. Jedyna nadzieja dla ludzi tutaj to nowe rządy. Krzyżacy boją się tych nastrojów jak diabeł święconej wody.

– Nowe rządy? Czyje? Polskiego króla?

Zawisza nie odpowiedział.

– Browarnik jest waszym szpiegiem? – zapytałem.

– Jest nam życzliwy – odparł Zawisza po dłuższej chwili. – Opowiada, co słychać w mieście. Gości u siebie, nie trzeba się tłuc po karczmach.

– Płacicie mu?

Zrozumiałem, że moje pytanie było nie na miejscu.

– Dużo macie takich... sprzymierzeńców? – Zadałem kolejne, równie głupie. Znów zacząłem drzeć z zimna.

Sulima zamiast odpowiedzieć, pokazał mi, jak zawinąć mniejszy ręcznik w kształt turbanu na wysmarowanej maścią głowie.

– Chyba dość się baby napatrzyły – oznajmił. – Wracajmy do domu.

Nad izbą mieszkalną znajdowało się jeszcze jedno piętro przeznaczone na spichlerz. Podobno tak było we wszystkich gdańskich domach. Ale od czasu, gdy na prawym brzegu Motławy, na Wyspie Spichrzów, rozbudowano magazyny, mieszkańcy woleli pozbyć się ziarna ze strychów, a zwolnione pomieszczenie przerobić na sypialnię albo – jak w przypadku Mikołaja von Rudena – na pokój gościnny.

Wchodziło się do niego po drabinie. Pokój został skromnie urządzony: poza niewielką skrzynią oraz dwoma siennikami nie było w nim nic więcej. Na siennikach leżały grube worki do spania i poduszki. Mimo południowej pory panował tam półmrok. Małe okno wypełniono jakąś zwierzęcą błoną.

Przebrani w suche rzeczy – częściowo wydobyte z podróżnych worów rzetelnie dostarczonych przez chłopca, częściowo użyte nam przez panią von Ruden – wyciągnęliśmy się na siennikach.

– Odnajdziemy twoją Arabkę. – Usłyszałem głos Zawiszy. – Dałem słowo. Ale uprzedzałem, że mam wobec ciebie plany.

Nic nie odpowiedziałem.

– Będziemy potrzebowali twojej pomocy.

– My?

– My – potwierdził Zawisza. – Nie tylko w sprawie Żydów.

– Domyślałem się...

– Nie sądzę – westchnął. – Ale posłuchaj, żebyś rozumiał.

Przekręciłem się na bok, w jego stronę. Leżał na wznak, z rękami pod głową.

– Zbliża się wojna z zakonem – podjął. – Nikt nie ma co do tego wątpliwości. Zresztą, jedna i druga strona jej pragnie. Poleje się krew. Za kilka, może kilkanaście lat.

– Polska jest chyba większa...

– Tak, ale dobrze wiesz, że wojny wygrywa bogatszy. A państwo krzyżackie to potęga. Ma pełny skarbiec złota, ściąga z podatków więcej, niż wydaje. Wiesz, jakie mają roczne dochody?

Nie miałem pojęcia.

– Czterdzieści tysięcy!

– Czego?

- Grzywien. A wiesz, ile wydają?
- Skąd mam to wiedzieć? Nie jestem Krzyżakiem.
- Jakieś trzydzieści tysięcy. Co roku zostaje im w kufrach dziesięć tysięcy grzywien.

Podobało mi się to państwo, ale nie powiedziałem tego głośno.

- Wiesz, jaki jest dochód Polski?
- Dwadzieścia tysięcy...
- Pięćdziesiąt! Ale wydaje siedemdziesiąt tysięcy, a może więcej. Polscy królowie zawsze tonęli w długach. Muszą ciągle żebrać o pieniądze u szlachty i u mieszczan, w zamian za przywileje.
- Wszędzie tak jest.
- Tak jak w Polsce? Nigdzie! – Zawisza uniósł się na posłaniu i odwrócił w moją stronę. – Mówią, że to źle, że to zguba. Ale ci powiem, że w Polsce każdy szlachciura gardła za króla nadstawi, bo wie, o co się bije. O swoje przywileje! Bo wie, że obca ręka mu takich nie da.

Dalszy wywód Zawiszy zmierzał do tego, iż z tej pozornej wyższości pruskiej gospodarki bierze się jej największa słabość: przy takich rezerwach pieniądza Krzyżacy nie muszą zabiegać o finansową pomoc ludności, a skoro nie potrzebują łaski poddanych, to ich tłamszą, robią z nimi, co im się podoba. A to z kolei rodzi niezadowolenie, które prędzej czy później, jak rak toczący ciało, musi doprowadzić do rozkładu.

Krzyżacy rozwijali handel kosztem mieszczan. Wykorzystywali przy tym przywileje zakonnych urzędników. Uchylali się od płacenia podatków, łamali zakaz wywozu zboża. Dopuszczali się zwykłych rozbojów w majestacie prawa. Zdarzało się na przykład, że zakonni szafarze pożyczali pieniądze gdańskim mieszczanom pod zastaw parceli z domami tylko po to, by pod byle pretekstem ogłosić niewypłacalność dłużnika i przejąć majątek.

Podobnie rzecz miała się z pruskimi rycerzami. Zakonnicy patrzyli na nich z góry, a jednocześnie z wielkim szacunkiem odnosili się do rycerstwa zachodniego, tłumnie odwiedzającego zakonne państwo, by uczestniczyć w litewskich rejzach. Miejscowa szlachta była wykluczana z udziału w rządach, które w całości spoczęły w rękach przybyłych z Niemiec braci zakonnych.

– Niezadowolenie poddanych – mówił Zawisza z emocją w głosie – to największa słabość Krzyżaków i nasza szansa. Wielki niedźwiedź z pazurami jak sztylety, tylko że w jelitach wyhodował sobie robaki grube na palec. Musimy to wykorzystać. Ale najpierw trzeba przełamać ich największą siłę. Wiesz, co nią jest?

- Armia?
- W polu im nie ustępujemy! Ludności mamy cztery razy tyle.
- No więc?

– Wywiadowcy, Aaronie! Szpiedzy! Są wszędzie: w karczmach, w miastach, na zamkach i w najbliższym otoczeniu króla. Rozplenili się jak szczury. Jeśli ich nie wytępiimy, to nie będzie miało znaczenia, jak wielką armię zbierzemy. I tak przegramy.

Wieczorem, gdy za oknami zrobiło się już szaro, gospodyni zawołała nas na kolację. Zapalono w piecach i po raz pierwszy od wielu dni było mi ciepło. Czułem się czysty, miałem na sobie suche, nowe ubranie. Podróżne łachy zostały uprane przez służące i suszyły się teraz nad piecem.

Zmęczone, wygłodzone ciało wołało o gorącą strawę. Najpierw jednak podano dzbany z piwem jęczmiennym warzonym przez Mikołaja von Rudena. Było słodkie, gęste i znacznie bardziej chmielowe niż to, które zapamiętałem z San Esteban. Nie smakowało mi, ale cmokanie i zachwyty Zawiszy pozwalały sądzić, że napitek jest pierwszego gatunku. Już po drugiej szklanicy byłem gotów przyznać mu rację. Piwo dawało miłe poczucie lekkości i wzmagало apetyt. Wyczuwałem w nim miód i suszone owoce.

Towarzyszące nam przy stole dwie młode niewiasty, które przedstawiono nam jako córki państwa Rudenów, nie wzięły nic ze szlachetnej urody pani domu. Były do siebie podobne: obie równie brzydkie, o szerokich rumianych twarzach, okrągłych noskach, małych ustach, drobnych ząbkach i spiczastych podbródkach.

Widać służące nie nocowały w domu swoich państwa i skończyły na dziś posługiwanie, bo obowiązek donoszenia półmisków z odległej kuchni spoczął na córkach. Na stole znalazło się parujące mięsiwo w zawieszonym sosie (po zapachu poznałem, że to wołowina), a także różne odmiany pieczywa, jakieś jarzyny i miska wypełniona owocami: cytrusami, daktylami, figami i rodzynkami. Dziewczętom pomagał kilkunastoletni wyrostek, którego wcześniej nie widziałem. Bez cienia wątpliwości syn pani gospodyni; był – co za pokretny los – skórą zdjętą z matki.

Jedna z dziewcząt nałożyła mi chochlą na talerz porcję mięsa. Reszta biesiadników obsługiwała się sama. Z trudem odczekałem, aż wszyscy napełnili swoje talerze. Powolnym ruchem ująłem drewnianą łyżkę. Mięso było soczyste i miękkie, a sos smaczny.

Gospodyni czuła się swobodnie i nie dbała przesadnie o oprawę posiłku. Zawisza musiał często bywać w tym domu. Prowadzili przyjacielską pogawędkę. Pani von Ruden co jakiś czas zerkała w moją stronę.

Rozmowa toczyła się po niemiecku. Tylko tyle umiałem rozróżnić: język niemiecki brzmiał twardo, jak odgłos pustej beczki toczonej po brukowej kostce. Polski,

pełen postękiwań i szumów, był łagodniejszy dla ucha. Przerażeniem napawała mnie myśl, że przynajmniej jednego z nich będę się musiał nauczyć. Tak w jednym, jak i w drugim języku poza niektórymi imionami nie rozpoznawałem żadnego słowa.

Zawisza zdawał się tym nie przejmować. W Aragonii nigdy do takiej sytuacji nie dopuszczałem, zawsze starałem się przynajmniej w paru zdaniach streścić mu, o czym rozmawiano. To sprawa kultury, dobrych obyczajów.

Aby nie dać po sobie znać, że to przedłużające się wyobcowanie mnie peszy, co chwila nalewałem sobie piwa z dzbana. Trzeba przyznać, że sama ceremonia serwowania tego napitku była bardzo zajmująca: lejąc z różnej wysokości, można było uzyskiwać różną gęstość i wysokość słupa piany, a także prędkość jego przyrastania. *Usus magister est optimus*. Ale podczas jednej z prób źle oceniłem odległość między dzbanem a szklanicą i piana ruszyła w górę zbyt gwałtownie. Rzuciłem się na stół, by ocalić odświętny obrus przed zmoczeniem. Głośne siorbanie, nie mówiąc już o wtargnięciu niemal całym tułowiem między talerze, było bez wątpienia dużym nietaktem, oznaką złego wychowania. Ale tu nagrodzono mnie brawami. Poczulem się lepiej. Zawsze to jakaś forma komunikacji.

– Uczę się w szkole łaciny... – Usłyszałem niespodziewanie z ust chłopca. Widocznie moje zachowanie sprzed chwili go ośmieliło. – Mam na imię Kurt.

Zawisza odwrócił się na te słowa i z pełnymi ustami wskazał go łyżką, jakby mówiąc: „No, to masz z kim pogadać”.

Kurt... Uśmiechał się do mnie drobny chłopiec o płowej czuprynie i bladym licu. Jeszcze dziecko. Było coś niepokojącego w tych niemieckich imionach, słowach. Ta wszechobecność „r”, w otoczeniu suchych głosek. Jak mówił nam *magid*, nauczyciel z Saragossy, jedynym słowem po germańskich najeźdźcach, które przejęły ludy Hiszpanii, było *guerra*, wojna. Podobno po germańsku brzmiało to jeszcze straszniej – *werra*. Boże, co za słowo! Obnażone kły, zjeżona sierść i szczekanie: *Werr!... Werr!... Werr-Werr!* To straszne mieć za sąsiadów lud, który rusza na wojnę z *Werr* na ustach.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć chłopcu, poczułem w nozdrzach nagłe uderzenie powietrza uwolnionego w żołądku z wypitej piany. Zakłuło mnie w nosie, a do oczu napłynęły łzy.

– Bardzo się cieszę – powiedziałem po łacinie, przecierając wierzchem dłoni załzawione powieki. – Ile masz lat?

– Piętnaście – odparł z dumą.

Nie wyglądasz, chciałem powiedzieć, ale się powstrzymałem.

– Mama pozwala ci pić piwo?

Chłopak zmarszczył czoło, nie spodziewał się takiego pytania. Nie po to zagajał rozmowę.

– W gospodach wolno pić od czternastu, a ja mam piętnaście – powtórzył. Jak na bladego wyrostka z deszczowego miasta mówił po łacinie całkiem składnie. I chętnie.

Kurt chodził do szkoły parafialnej przy kościele Najświętszej Maryi Panny. Na razie uczył się sztuki redagowania listów i aktów urzędowych, co zamierzał wykorzystać w karierze kupieckiej i browarniczej. Potem miał przyjść czas na arytmetykę. Cała edukacja trwała osiem lat. Tylko bogatych było na nią stać, co Kurt z dumą podkreślił. Także łacinę zgłębiali jedynie wybrańcy; dzieci z mniej zamożnych mieszczańskich rodzin uczyły się znacznie krócej i tylko po niemiecku. Zachęcony rozmownością i bystrością chłopca poprosiłem go, by zapytał matkę i siostry o Tidemana Stickera. Kurt chętnie spełnił prośbę. Kobiety uniosły brwi ze zdziwienia, a potem patrzyły jedna na drugą i coś do siebie mówiły. Z grymasów twarzy zrozumiałem, że o nikim takim nie słyszały. Taką też odpowiedź przekazał mi chłopiec.

To źle. To mogło oznaczać, że Ayhe nie dotarła do Gdańska. Gdyby tu była, te gęsi musiałyby coś o niej słyszeć.

Potem, jak domyśliłem się na podstawie imion i nazw aragońskich miejscowości, Zawisza opowiedział historię mojego romansu z Ayhe. Nie wiem, na ile była szczegółowa i prawdziwa. Musiała jednak wyrzucić duże wrażenie na niewiastach, bo gdy umilkł, obie siostry długo nie domykały zasluchanych ust, a pani von Ruden posłała mi roziskrzone spojrzenie.

Kolacja dobiegała już końca, gdy na schodach rozległ się odgłos ciężkich męskich kroków. Do izby wkroczył pan domu, Mikołaj von Ruden we własnej osobie. Wysoki, tęgą brodacz o dłoniach czerwonych jak cegły i ruchliwych, wesołych oczach. Uniósł ręce w powitalnym geście skierowanym do wszystkich, a potem objął Zawiszę, który utonął w ramionach olbrzyma jak mały chłopiec.

Mikołaj von Ruden opadł na siedzisko, szczelnie je wypełniając. Poczulem satysfakcję, że trafnie typowałem przeznaczenie mebla. Pan domu westchnieniem ulgi dał wszystkim do zrozumienia, że jest zmęczony pracowitym dniem. Machnął ręką nad głową w przywołującym geście, na co jedna z córek nałożyła na talerz porcję mięsiwa z jarzynami i podała ojcu.

Izba wypełniła się niemieckim szwargotem, smrodem mokrych skórzanych butów i przepoconego kaftana, którego, chyba ze względu na nas, pan Ruden nie zdjął do kolacji.

Coraz leniwiej toczącą się rozmowę przerwało bicie dzwonów z wieży pobliskiego kościoła. Zawisza wymienił spojrzenie z Mikołajem von Rudenem, a potem odwrócił się w moją stronę i zapytał:

– Jak się czujesz?

Z jednej strony czulem się syty, zmęczony i senny, choć podekscytowany obecnością urodziwej pani von Ruden (odkąd pojawił się jej mąż, nie zerkała już

w moją stronę), z drugiej jednak mocno zaniepokoiła mnie reakcja kobiet na pytanie o Ayhe. Ani śladu, nic. To był zły znak, choć jeszcze niczego nie przesądzał.

– Wybiła dziesiąta. Zamknęli ostatnią gospodę. Za chwilę ulice opustoszeją... – To powiedziawszy, Zawisza wstał, stanął za moim krzesłem. – Pójdiesz z nami.

– Na Boga! Dokąd? Jest noc. I na pewno pada.

Zawisza pociągnął za oparcie, odchylił krzesło i powiedział cicho tuż nad moją głową:

– Idziemy odwiedzić naszego topielca.

Kurt przyglądał się nam ciekawie. Szczeniak nadstawił uszu, pewnie sprawdzał swoją znajomość łaciny.

– Nie... Nie... Idź sam! – Chciałem, aby moje słowa zabrzmiały jak najbardziej stanowczo. – Znacie się, ucieszy się na twój widok.

– Jesteś pijany – syknął Zawisza, puszczając krzesło, które z hukiem wróciło do pionu.

Wzruszyłem ramionami. Może tak, może nie. Tego wieczoru wypłem tyle piwa, że starczyłoby na kąpiel. Ale to tylko piwo.

– Weź pana Rudena – szepnąłem.

– Biorę. I dlatego nie zostaniesz tu sam z tą lwicą.

Chwilę później wychodziłem z bramy ciepłego domu odziany w wełniany płaszcz użyczony mi wspaniałomyślnie przez syna gospodarza. Miałem przed sobą szerokie plecy Mikołaja von Rudena i szczupłą sylwetkę Zawiszy. Lało. Uniosłem głowę, zmrużyłem oczy przed deszczem. Wypuściłem powietrze, a kłęby pary poszybowały w górę.

Miasto wydawało się wymarłe. Rytmiczne mlaski towarzyszyły naszym krokom aż do szerokiej przecznicy, którą skręciliśmy w prawo. Obcasy zadudniły po deskach pomostu. Potem skręciliśmy w kolejną przecznicę, tym razem w lewo, by po kilkunastu krokach stanąć przed olbrzymią budowlą z wysoką na jakieś pięćdziesiąt metrów wieżą. Wokół rozciągał się niewielki cmentarz otoczony niskim murkiem.

– Kościół Najświętszej Maryi Panny – szepnął mi do ucha Zawisza. Potem pokazał na cmentarz i oznajmił: – Tu jutro pochowają topielca.

Podeszliśmy jeszcze kilka kroków. Rozpadało się na dobre.

– Jak mu się zachce, będzie mógł straszyć żonę. Ma blisko. – Wskazał ręką wąską uliczkę: – To Beutlergasse. Poznajesz? Dojdzie stąd do swojego domu na Długiej...

– Dojdzie? – zapytałem szeptem.

– A co robi duch?

– Pływa. Nawet w Aragonii duchy płyną w powietrzu, a co dopiero tutaj...

Zwalista postać karczmarza gdzieś zniknęła. Po chwili wrócił z chłopakiem w wieku Kurta, tyle że bardziej postawnym. Młodzieniec zdjął czapkę i energicznie skinął głową w naszą stronę. Po krótkiej wymianie zdań Mikołaj von Ruden dał chłopcu kilka monet. Ruszyliśmy wzdłuż cmentarnego muru. Na tyłach kościoła stała duża drewniana szopa z jednospadowym dachem krytym słomą. Dwa małe kwadratowe okna jaśniały w ciemności żółtym blaskiem.

Młodzieniec, nim pchnął drzwi i zaprosił nas gestem do środka, rzucił szybkie spojrzenie w lewo, potem w prawo. Mikołaj von Ruden przytrzymał drzwi, ale nie wszedł za nami.

Izba podzielona była na dwie części: w pierwszej, gdzie przystanęliśmy, znajdował się tylko olbrzymi stół o szerokości trzech łokci i długości odpowiadającej wzrostowi przeciętnego człowieka. Druga izba, za przepierzeniem z wąskich

jasnych desek, pełniła funkcję magazynu, na co wskazywały wystające fragmenty desek i wąskich skrzyń, zapewne trumien.

Chłopak pociągnął nosem, wziął do ręki łożówkę, zapalił knot od tej, która już płonęła, i zniknął za ścianką. Najpierw doszły nas stękania, a potem głos młodzieńca wzywający pomocy. Zawisza, nakazawszy mi gestem, bym się nie ruszał, zniknął w ślad za grabarzem.

Po chwili ciszy nastąpiła krótka wymiana słów, posypały się przekleństwa i głośne postękiwania. Zza przepierzenia wyłoniły się zgarbione plecy Zawiszy. Ciężko kroczył tyłem, wlokąc za ręce zwłoki. W odstępnie sześciu stóp, i w tym samym rytmie ciężkich kroków, posuwał się grabarz. Trzymał nieboszczyka za nogi na wysokości kostek. Trup musiał być bardzo ciężki, szorował plecami po podłodze. Zawisza i grabarz przy akompaniamencie tłumionych stęków jakoś dotaszczyli ciało w pobliże stołu. Obaj głęboko oddychali.

Zawisza skinął na mnie głową. Kucnąłem, wsunąłem dłonie pod plecy nieboszczyka, Zawisza chwycił go pod ramiona, grabarz pod uda i wspólnym wysiłkiem wydzwignęliśmy zwłoki na blat.

Kupiec miał na sobie jedynie sięgającą kolan bawełnianą koszulę, która ciasno opinała rozдутy brzuch.

– Krzyżacy zabronili go rozdziewać – odezwał się grabarz zduszonym głosem.

Zawisza nawet na niego nie spojrział. Zajął miejsce u stóp topielca, a mnie kazał stanąć po przeciwnej stronie stołu. Aby można było zdjąć z trupa odzienie, musiałem unieść mu głowę. Oblepiały ją tłuste, mokre włosy. Nic dziwnego... Jak miały mu tu wyschnąć? Ciężar wyślizgiwał mi się z dłoni kilka razy, ale jakoś sobie radziłem. Zdejmowanie ciasnej koszuli szło Zawiszy i młodemu grabarzowi opornie. W końcu zmęczone dłonie mnie zawiodły. Głowa wysunęła mi się z rąk i uderzyła głucho w blat stołu. Z półotwartych martwych ust wydobyło się jakby westchnienie. Krzyknąłem i odskoczyłem ze strachu.

Kiedy wreszcie udało się ściągnąć koszulę, naszym oczom ukazało się pokaleczone ciało, w wielu miejscach pozbawione skóry. Tam, gdzie się ostała, była pomarszczona jak dłonie praczki. Zachwiałem się na nogach. Zawisza nie zwracał na mnie uwagi. Starannie oglądał podeszwy i palce stóp denata, a także jego dłonie i pachwiny. Kazał grabarzowi rozewrzeć usta topielca i wyciągnąć język. Dotykał palcami goleni. Potem wspólnym wysiłkiem odwróciliśmy sine ciało na bok i Zawisza przez chwilę przyglądał się plecom. Podniósł prawe ramię nieboszczyka, potem pociągnął je do siebie, jakby chciał wyrwać. Następnie obszedł stół i uniósł lewe. Na lewym boku, pomiędzy biodrem a pachą, znajdowała się plama szerniałej skóry rozmiarów dłoni.

Trup cuchnął i pomimo dwóch małych okien łączących to pomieszczenie ze światem żywych powietrze szybko stało się lepkie od słodkawo-zgniętego smrodu.

Zawisza wyjął sztylet zza pasa i kilka razy wbił go w pierś nieboszczyka.

Z otworów wypłynęła przezroczysta spieniona ciecz.

– Po co? On nie żyje – jęknąłem.

W końcu Zawisza i grabarz z wielkim trudem przywdziali z powrotem koszulę na martwe ciało, zaparli się o ścianę i wyprostowawszy ramiona, zepchnęli zwłoki ze stołu. Potem zawlekli je do drugiej izby.

W drodze powrotnej chwyciły mnie torsje. Może bym je w sobie zdusił, ale przez nieuwagę potarłem dłonią policzek i dotknąłem ust. Smak zjełczanego tłuszczu w połączeniu z trupim smrodem wywołał gwałtowne skurcze żołądka. Zawisza i karczmarz zatrzymali się parę kroków dalej. Czekali, aż skończę.

– Znowu! Straszny z tobą kłopot. Już lepiej płacz... – odezwał się Zawisza. – Kobiety, jak je spotka coś przykrego, wylewają łzy... To robi dużo lepsze wrażenie. – I obaj zanieśli się głośnym śmiechem.

Targały mną dreszcze. Paliło mnie w przełyku. Kucnąłem przy kałuży i zamoczyłem ręce. Od nagłego ruchu zakręciło mi się w głowie.

Na drugi dzień rano udaliśmy się do portu. Zawisza chciał dokładnie obejrzeć miejsce, gdzie dostrzeżono i wydobyto z wody ciało kupca.

Wedle wersji głoszonej przez gildię kupiecką, do której należał zmarły, oraz przez sędziego wyznaczonego do zbadania sprawy, kupiec niepokoił się o jeden ze swoich statków. Opóźnienie sięgało już tygodnia. W dniu, w którym kupiec zniknął, widziano go w porcie, jak zasięgał języka u duńskich marynarzy przybyłych właśnie z Kłajpedy, czyli miejsca ostatniego załadunku opóźnionego statku. Marynarzy już przesłuchano. Zeznali, że zamienili z kupcem tylko kilka słów, późnym popołudniem. Wizyty w porcie właścicieli oczekujących na statek lub doglądających wyładunku nie były niczym niezwykłym, nawet w porze wieczornej. Mężczyzna sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego i przybitego. Zalatywało od niego winem. Czy był pijany, nie umieli powiedzieć. Raczej nie. Ta opinia nie miała jednak większego znaczenia. Dla marynarzy trzeźwy jest każdy, kto potrafi unieść choćby jedną powiekę. Wedle ich oceny ten człowiek nie wpadł do rzeki z pomostu. Słyszeliby jakiś krzyk, plusk, cokolwiek. To musiało się stać w innym miejscu.

Kilka dni po zaginięciu kupca alarm podniósł mistrz palowy – urzędnik administracji portowej kontrolujący stan wód Motławy u wylotu z portu. Jego podstawowym zadaniem było zapobieganie nielegalnemu pozbywaniu się przez statki balastu i spływaniu portu. Ale przy okazji obserwował lustro wody gotowy zaalarmować odpowiednie służby odpowiedzialne za oczyszczanie rzeki. To on dostrzegł ciało w wodzie.

Do przystani wiodła Brama Kogi, jedna z czterech bram wodnych. Przy braku zagrożenia dla miasta murów od strony Motławy nie chroniono strażą, ale wrota na noc zamykano. Jeśli kupiec udał się do portu raz jeszcze, już po rozmowie z marynarzami, musiał to zrobić przed zamknięciem bram.

Przeszliśmy ulicą Długą, minęliśmy mury i znaleźliśmy się na drodze prowadzącej do portu. Ulica Długa, przy której mieszkał kupiec, jako jedna z dwóch ulic w mieście dochodziła do samej przystani. Pozostałe urywały się znacznie wcześniej z uwagi na bagnisty teren w pobliżu rzeki.

Wschodnią stronę miasta zabezpieczała Motława, pod południową częścią obwarowań wykopano fosę zalaną wodą z rzeki. Za fosą rozciągał się bagnisty

teren, a wybrzeże rzeki, nieoczyszczane w tamtym rejonie, zarosło sitowiem. Naprzeciwno, za przystanią na brzegu Motławy od strony miasta, piętrzyły się magazyny zbożowe. Pośród ukończonych budynków sterczały szkielety dopiero powstających. To była Wyspa Spichrzów.

Przystań portowa Głównego Miasta ciągnęła się wzdłuż brzegu Motławy od Bramy Kogi aż do krzyżackiego zamku. Ze względu na grząski grunt przeładunek towarów odbywał się na drewnianych pomostach zbudowanych przy bramach. U wylotu ulicy Szerokiej, mniej więcej w połowie przystani, osadzono na kamiennym fundamencie ogromny drewniany żuraw, który niczym kolos rodyjski dominował w portowej panoramie. Patrzyłem zafascynowany, z jaką łatwością przenosił wielkie beczki ze statków na nabrzeże.

– Co o tym sądzisz? – spytał nieoczekiwanie Zawisza.

Wzruszyłem ramionami. Niewiele mogłem powiedzieć. Spędziliśmy nad rzeką całe przedpołudnie. Znów zbierały się ciężkie chmury, za chwilę do uciążliwego zimnego wiatru dołączy deszcz. Dopóki nic nie wiedziałem o kupcu, dopóty trudno mi było roztrząsać okoliczności jego śmierci. Zawisza jakby czytał w moich myślach.

– Nazywał się Krzysztof Lobeschitz – podjął. – Był drugim w kolejności największym gdańskim kupcem.

– Pierwszy żyje czy też się utopił?

– Tym pierwszym jest Jan Tiergat. Żyje – odparł Zawisza. – Kilka lat temu został wielkim szafarzem malborskim i przeniósł się do stolicy. Po roku uczynił naszego Krzysztofa, wcześniej największego konkurenta i wroga w interesach, swoim pomocnikiem. Tyle że Krzysztof nie musiał przenosić się do Malborka. Dzięki poparciu zakonu otrzymał wysoką funkcję we władzach Gdańska. W zamian za to miał być uszami i ustami Krzyżaków w radzie miasta.

– Piękna kariera...

– Zakon bardzo szybko doprowadził Krzysztofa Lobeschitza do ruiny. To ich stara metoda. Kupiec musiał wziąć duże pożyczki pod zastaw. Zastawił wszystkie swoje nieruchomości w Gdańsku. Widziałeś jego dom...

– Tylko fasadę... – doprecyzowałem.

– Byłem kilka razy w środku – powiedział Zawisza. – Posesja przy Długim Targu w południowej pierzei to skarb. Nasłonecznienie, największe parcele w mieście, miejsce na magazyny, bliskość ratusza. Kiedyś dom należał do niego, teraz jako zastaw za długi przeszedł na własność zakonu.

– To dlatego rzucił się do rzeki?

Zawisza milczał dłuższą chwilę.

– Nie... To dlatego udało się nam... zwerbować Krzysztofa Lobeschitza – powiedział w końcu. – Kilka lat temu.

– Krzyżacy go zdemaskowali? – W przypiływie emocji zrobiło mi się niemal

gorąco.

– Na to wygląda. Miałem nadzieję, że się utopił, że pijany spadł z pomostu. Ale nie. Został zamordowany. Skatowany, a potem wrzucony do rzeki.

– Dziwny sposób pozbywania się szpiegów.

– Przeciwnie, bardzo zwyczajny. To jak pieczęć krzyżackiego kontrwywiadu. – Zawisza mówił spokojnym, rzeczowym tonem. – Sygnał dla nas: wytropiliśmy go i zwracamy wam, oczyszczonego z win, ponownie ochrzczonego... Pamiętaj, że to zakonnicy, ludzie głębokiej wiary.

– Skąd wiadomo, że tak było teraz?

Od dziecka nawiedzały mnie senne koszmary, w których ktoś wpycha mnie do wody. Każda śmierć wydawała mi się lepsza. Nie umiałem pływać, nienawidziłem wody.

– Ciało jest okaleczone – wyjaśnił Zawisza. – Kupiec miał miażdżone golenie, śrubowane kciuki, przypiekano go żywym ogniem, kaleczono stopy, rozciągano, zdzierano z niego skórę... Przecież widziałeś! Nie chcę wyobrażać sobie mąk, jakie przechodził.

Wróciło wspomnienie wczorajszej nocy spędzonej w kostnicy. Znow poczułem mdłości.

– Trup w wodzie najpierw opada na dno – ciągnął rycerz. – Nurt wlecze go po korzeniach, kamieniach i co tam jeszcze leży. Ale to nie spowodowałoby takich obrażeń. Pamiętaj, że pierwszy zobaczył go ten portowy gamoń. Najpierw myślał, że to kłoda. Ciało musiało się więc unosić na powierzchni. A trup wypływa dopiero po dwóch, trzech dniach.

Zawisza chwycił mnie za ramię i pociągnął na skraj pomostu.

– Tam go utopili. – Wskazał na zarośla za południową linią fosy. – Stamtąd nurt nie mógł go porwać. Za gęste sitowie. Dopiero gdy ciało wypłynęło na powierzchnię, powoli zaczęło dryfować w stronę portu.

– Trup zawsze wypływa?

– Latem tak. Po dwóch dniach. Zimą czasami nie wypłynie... Ale woda musi być naprawdę lodowata. – Zawisza chuchnął w dłonie. – Na ogół wypływa. Prędzej czy później.

Chwilę staliśmy w milczeniu. Wiatr ucichł. Dobiegał nas gwar portowej krzątaczki, nawoływania tragarzy i marynarzy w różnych językach.

– Tak to zaplanowano – stwierdził. – Dlatego utopiono go tam, w zaroślach, żeby trup miał czas wypłynąć i by w porcie ktoś go zauważył. Ktoś z przystani albo ten człowiek na końcu portu.

Zawisza spojrzał na mnie. Czekał, aż zgodzę się z jego teorią albo zaproponuję własną. Ale ja nie miałem żadnej. Zarośla, rzeka, temperatura wody, nic mi to nie mówiło. Nie chciałem o tym myśleć.

– Znam się na topielcach – ciągnął. – My też tak spławiamy szpiegów. Wiesz, jak

to jest. Jak już się złapie któregoś... Żal się nie pochwalić.

– Jasne...

Chciałem już wracać. Zaczęło padać. Ogarnął mnie przejmujący chłód.

– Chodźmy stąd. Wszystko już wiemy – zaproponowałem, wykonując ruch w kierunku bramy.

– Gdybym zjawił się tu tydzień wcześniej...

– Rozumiem. Chodźmy!

– Rzadko się udaje umieścić szpiega tak wysoko w hierarchii zakonu – mruknął Zawisza. – Jego śmierć to znak, że szykuje się coś naprawdę złego.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, zapytałem ostrożnie:

– Coś nam grozi?

– Nam? Tobie i mnie?

Skinąłem energicznie głową, patrząc mu w oczy.

– Nie wiem. Jutro o tym pomyślimy. Dziś popytamy o Ayhe.

Zostaliśmy zaproszeni do Dworu Artusa na uroczystą biesiadę organizowaną przez Mikołaja von Rudena i jego kompanów z cechu. Dwór Artusa, drugi obok ratusza świecki obiekt położony przy Długim Targu, służył za miejsce spotkań towarzyskich patrycjatu oraz mieszczan zrzeszonych w lokalnych cechach. W tę niedzielę wypadło na piwowarów. Oczekiwałem, że podczas biesiady przyjdzie czas na zajęcie się moją sprawą.

Zawisza z rodziną Rudenów udał się na mszę do kościoła Świętego Jana, położonego tuż obok domu naszych gospodarzy. Oznajmił towarzystwu, że podczas spaceru gdzieś mnie zgubił, ale nie ma powodu do niepokoju, bo na pewno znajdę sobie inny kościół i sam trafię do Dworu Artusa. Zawisza wczoraj przy kolacji opowiadał o mnie niestworzone rzeczy, przedstawiając mnie przy tym jako aragońskiego szlachcica, chrześcijanina. Tej wersji się trzymaliśmy.

Spacerując samotnie ulicami Gdańska, wróciłem pamięcią do wczorajszej kolacji, do tego, jak pani Ruden i jej córki zareagowały na pytanie o Stickera. Nie słyszały ani o nim, ani o Ayhe, to nie ulegało wątpliwości. Przecież nie udawałyby. To niedorzeczne. Ale czy z tego faktu coś wynikało? Gdańsk to nie Barcelona. Wszyscy się tu na pewno dobrze znają, przynajmniej w swoich kręgach. Sticker miał dużo pieniędzy, nie zadowoliliby się jakąś norą na przedmieściach. Musiał wynająć dom w dobrej dzielnicy. Tacy przybysze – bogaty kupiec z egzotyczną pięknnością u boku – z pewnością wzbudziłby zaciekawienie. Lokalne kumochy zaraz wzięłyby ich na języki. Przez te kilka miesięcy coś by paniom Ruden wpadło w uszy.

W Perpignan wiele o tym rozmyślałem. W chwilach szczerości przyznawałem sam przed sobą, że ucieczka Stickera i Ayhe z Aragonii na północ, do Baskonii, do któregośkolwiek z portów, który mógłby przynieść im ocalenie, miała nikłe szanse powodzenia. Baronowa Violante de Urrea zrobiła z pewnością wszystko, by ich zatrzymać. Zatrzymać i... zakopać pod ziemią. Ayhe na wolności to dla niej zbyt duże zagrożenie. Dysponując politycznymi wpływami w całej Hiszpanii, baronowa mogła z łatwością obsadzić swoimi siepaczami wszystkie szlaki wiodące na północ; mogła ich wysłać także do portów.

Ale... Ale! Poczulem, jak zalewa mnie fala gorąca.

Po pierwsze, tu plotki rozchodzą się na pewno wolniej niż gdzie indziej. Przez

pogodę. Tu baby nie przesiadują tyle czasu przed domami jak w Saragossie, by pleść trzy po trzy, bo ciągle leje.

Po drugie, Sticker to bardzo sprytny łajdak... Miał wprawę w unikaniu pościgów. Poza tym mógł w Gdańsku, przynajmniej na początku, przybrać fałszywe nazwisko, podszyć się pod kogoś. Dla takiego łachudry to przecież łatwizna. Długo go tu nie było. Zmienił się przez ten czas nie do poznania. A w jaki sposób ukrył Ayhe? Pewnie coś wymyślił, nie wiem, może przykleił jej wąsy albo brodę. Żydówki tak robią, gdy udają się w daleką podróż, żeby nie kusić losu. W końcu Ayhe była przez jakiś czas Żydówką... Z tymi wąsami to oczywiście nonsens, ale... Ale!

Pokrzepiony tymi myślami stanąłem na skrzyżowaniu dwóch szerokich traktów. W jednym z nich rozpoznałem ulicę Lektykarską. Wciągnąłem głęboko do płuc wilgotne, zimne powietrze i ruszyłem w stronę Długiego Targu.

Biesiada rozpoczęła się wraz z wybiciem na miejskim zegarze godziny czwartej. Do dużych stołów, w które wyposażona była izba, zasiadło kilkadziesiąt osób. Bogate kupiectwo i patrycjat. Po prawej stronie miałem Zawiszę, po lewej Kurta. Naprzeciwko usiedli Mikołaj von Ruden i jego żona Helena. Pomny słów Zawiszy, starałem się nie zerkać na żonę piwowara, choć parę razy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Pani von Ruden wyglądała dziś nadzwyczaj ponętnie: obcisła błękitna suknia z długimi rękawami i odważnie wykrojonym dekoltem podkreślała jej figurę, zwłaszcza obfity i wciąż, ponad wszelką wątpliwość, jędrny biust, a ściągnięty pod szyję czepiec z półkolistej chusty obszytej przy brzegach falbankami eksponował piękne, regularne rysy twarzy.

Miejsca przy stole nie były dziełem przypadku. Tuż przed wejściem do sali Zawisza uprzedził mnie, że von Ruden chce wykorzystać przyjęcie w Dworze Artusa, żeby omówić pewną sprawę. Jutro skoro świt opuszcza Gdańsk, a wieczorem nie będzie już okazji do rozmowy.

Kurt miał pełnić funkcję tłumacza i komentatora wydarzeń.

Na stół wjechały na olbrzymich półmiskach pieczone bażanty, kuropatwy, sarnina oraz ryby: karpie, łososie, szczupaki, do tego dzbany miejscowego piwa oraz reńskiego i węgierskiego wina. Obfitość jadła nie pozostawiała wątpliwości, kto zasiada dziś do stołów. Jak twierdził Kurt, aby zostać dopuszczonym do grona gości, należało się wykazać dochodem rocznym przekraczającym dwadzieścia grzywien. Każdy zamożny członek kompanii mógł przyprowadzić gości, oczywiście o odpowiednim statusie. Służba nie miała tu wstępu, więc przy stołach biesiadnicy usługiwali sobie nawzajem, prześcigając się w uprzejmościach.

Główną atrakcją spotkań w Dworze Artusa nie było wcale jedzenie, bo uczta trwała zaledwie godzinę, od czwartej do piątej, ale raczenie się przy akompaniamencie muzyki najrozmaitszymi trunkami: mocnymi odmianami gdańskiego piwa, miodami, nalewkami i węgierskim winem. Z tego też powodu obowiązywał zakaz

wnoszenia broni oraz wszelkich zasłon na twarz. I naczelną zasadą: Zachowuj się przyzwoicie, zwłaszcza wobec dam. Za przyprowadzenie prostytutek groziło nawet więzienie.

– Kiedy towarzystwo będzie już najedzone i podpite – mówił Kurt – zaczną się tańce.

I rzeczywiście, nie minęła godzina, gdy zaczęto zbierać talerze i misy z resztkami jedzenia. Biesiadnicy po kolei wysuwali się z ław. Pan von Ruden skinął na Kurta, a ten pociągnął mnie kilka razy za rękaw jak mały chłopiec starszego brata.

– Mój ojciec chciałby z panem porozmawiać – oznajmił.

W tym samym momencie zespół muzyków przygrywających do posiłku zmienił ton, głośność i tempo utworów. Mężczyźni zaczęli szurać ławami i stołami, by zrobić miejsce do tańców. Dla tych, którzy nie lubili płasów, rozstawiono w jednym z rogów kwadratowe stoliki do gry w warcaby i kości. Udaliśmy się w tamtą stronę. Pan von Ruden założył lewą rękę za plecy, w prawej trzymał szklanicę z piwem. Uśmiechnął się i zaczął mówić po niemiecku, patrząc na zmianę to na mnie, to na syna.

– Ojciec ma do pana prośbę – zaczął Kurt. – Chodzi o poradę.

– Słucham – odparłem i pochyliłem uprzejmie głowę w półukłonie.

Ponieważ obaj mieli piwo w rękę, nie odstawiłem swojego.

– Tracę wzrok... – Chłopiec spojrzał na mnie poważnie. – Z miesiąca na miesiąc jest coraz gorzej. W Gdańsku nie ma medyka, który umiałby mi pomóc.

Zastygłem ze szklanicą w pół drogi do ust. Rozmyślałem podczas posiłku, jaki może być temat zapowiedzianej rozmowy, ale to wyznanie odebrało mi mowę.

– Współczuję, Kurt – odparłem po długiej chwili. – Nie wiedziałem...

Powinienem być taktowny, ale jak dobrać właściwe słowa?

– Trudno to poznać – powiedziałem w końcu. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Może pan. – Kurt się uśmiechnął. – O tym chciał porozmawiać mój ojciec.

Jak wynikało ze słów von Rudena, odwiedził już wszystkich medyków w Prusach. Znalazł nawet takiego, który specjalizował się w leczeniu oczu, ale w przypadku Kurta nie umiał nic poradzić. To nie była zwykła katarakta. Kupiec nie umiał powtórzyć nazwy schorzenia. Poradzono mu Kolonię, ale tamtejszy żydowski okulista odesłał go dalej, aż do Arles. Piwowar nie zdecydował się wówczas na dalszą podróż. To szmat drogi. W Gdańsku czekały na niego obowiązki. Teraz jednak był gotów na wszystko, by ratować zdrowie syna. Chcieli wyruszyć na wiosnę albo wczesnym latem.

– Jak mogę pomóc? – powtórzyłem. – Nie jestem medykiem. Nie byłem nigdy w Arles.

– Ojciec twierdzi, że w Hiszpanii żyje wielu arabskich i żydowskich medyków. Zawisza mówił, że pochodzi pan z zamożnej kupieckiej rodziny. Jak nasza – dodał z dumą w głosie. – Pańscy krewni z pewnością znają tamtejszych lekarzy. Zamożni

ludzie chodzą do dobrych lekarzy. Jeśli byłby pan łaskaw... napisać w tej sprawie. Szukamy porady. Właściwego adresu. Mamy bardzo dobrą kupiecką pocztę. Listy szybko dotrą do Hiszpanii i z powrotem. Ojciec gotów jest pokryć koszty leczenia u najdroższego medyka.

Oczywiście, mogłem napisać... Ale do kogo? Do Joshui? Do Carcasony? Obiecałem uczynić, co w mojej mocy. Zobowiązałem się przygotować list w najbliższych dniach. Było mi żal chłopca. I ojca. Od lat szykował syna na swego następcę, a los chciał teraz zniweczyć ten trud.

Podszedł do nas Zawisza. Objął mnie ramieniem, twarz miał niewzruszoną, ale w oczach pobłyskiwało już zuchwalstwo. Jeszcze parę kubków wina i posypią się z nich iskry. Powiedział coś po niemiecku do von Rudena i obaj się roześmiali. Potem ojciec i syn odeszli parę kroków, by przywitać się z nowo przybyłymi kupcami.

– O co mu chodziło? – spytał Zawisza, gdy zostaliśmy sami.

W kilku słowach streściłem rozmowę sprzed chwili.

– A, tak, słyszałem. Pomóż chłopcu! Pan Ruden jest przerażony. Kurt miał przejąć rodzinny interes. Ma talent, jest bystry, nie jak te jego głąbowate siostrzyczki. Pozbawiony wzroku stanie się dla rodziny tylko ciężarem.

– Obiecałem, że napiszę listy. Ktoś z saragoskiej gminy mi pomoże. Mossé Astruch... on zna wszystkich Żydów we Francji.

– Zrób tak. – Zawisza upił duży łyk piwa i otarł usta rękawem. – A listy wyślesz z Krakowa. My też mamy sprawną pocztę.

Nie zamierzałem tak szybko wyjeżdżać z Gdańska, ale nie pora teraz o tym wspominać.

– Dlaczego? – zapytałem tylko.

– Później ci wyjaśnię. Jak ci się tu podoba?

– Te tańce? – Wzruszyłem ramionami. – Okropne! Ale ogólnie wesoło... Wszyscy tu tego popijają.

– Od tego jest niedziela! – zawołał Zawisza. – Jutro cały Gdańsk zaczyna pracę dopiero w południe. Rano nikt by tu gwoźdźka prosto nie wbił. Dlatego najlepiej rozrabiać w niedzielę wieczorem... W poniedziałki strażnicy, sędziowie, rajcy – wszyscy chodzą nieprzytomni do południa. To się nazywa po-nie-dział-ko-wa-nie. Ale takie prawdziwe zobaczysz w Krakowie!

Zamek krzyżacki w Gdańsku, jesień roku Pańskiego 1391

Karol von Lichtenstein często odwiedzał Gdańsk. Tutejszy komtur, Jan von Rumpenheim, stał wyżej w zakonnej hierarchii i miał w Malborku wielu przyjaciół gotowych do wyciągnięcia pomocnej dłoni w trudnych chwilach. Taki wspólnik to skarb. Dlatego Lichtenstein chętnie dzielił się z nim zyskami z operacji handlowych, które prowadził bez wiedzy Malborka.

Tym razem Lichtenstein przybył do Gdańska w złym nastroju. Czuł się zmęczony. Przez ostatnie trzy dni i trzy noce osobiście przesłuchiwał kupca Krzysztofa Lobeschitza; zamienił jego ciało w miazgę od kolan po szyję. Zadawanie bólu sprawiało mu przyjemność, do tego nienawidził pruskich kupców, z których większość cuchnęła zdradą – nie powinien więc uważać tych trzech dni za stracone. A jednak... Zły nastrój brał się nie tylko ze zmęczenia.

Te niezliczone godziny przesłuchań nie dały odpowiedzi na żadne z dręczących go pytań. Także na to najważniejsze: kto po polskiej stronie zdradza Malborkowi nazwiska kupców? Torturowany więzień nie naprowadził go na żaden trop. Wielki mistrz powiadomił Lichtensteina ponad rok temu, że Malborkowi, a ściślej: wielkiemu mistrzowi i skupionym wokół niego wywiadowcom, udało się umieścić szpiega w gronie najbliższych doradców Jagiełły. Ale komturowi Brodnicy, odpowiedzialnemu z urzędu za krzyżacki wywiad w Polsce, nigdy nie zdradzono jego imienia.

To na pewno ten człowiek wydał siatkę kupców. To on wstrząsnął Malborkiem i pogrzał wielkie plany brodnickiego komtura. Lichtensteinowi marzyła się sława i awanse, które niechybnie czekały na tego, kto odważyłby się (i potrafił!) porwać Jagiełłę, odsuwając tym samym śmiertelne zagrożenie od Prus. Polski król w krzyżackich kajdanach! To oznaczałoby wyniszczającą walkę o władzę w Polsce i na Litwie, albo nawet wojnę między tymi krajami. Historia mogłaby pójść różnymi drogami, ale wszystkie niosłyby zgubę Polsce i chwałę zakonowi. Wszystko było przygotowane. Niepołomickie lasy roiły się od ludzi Lichtensteina. I przez tę szpiegowską aferę wszystko trzeba było odwołać. Brakowało tak niewiele!

Komtur uważał, że należało pozbyć się Jagiełły, zanim osiadł w Krakowie. Można to było zrobić jeszcze na Litwie, na tysiąc sposobów. Gdyby Lichtenstein miał wówczas taką władzę, jaką ma teraz, nigdy by do koronacji Jagiełły nie doszło.

Rozmyślania komtura przerwało pojawienie się Zygryda von Dohna. On również ściągnął do Gdańska, gdyż lada dzień miało zostać ujawnione nazwisko kolejnego kupca. Znów czekała go misja i sowity zarobek.

Ale najpierw należało omówić inną sprawę.

– Zawisza jest w Gdańsku – oznajmił Lichtenstein, gdy Zygryd trwał jeszcze w powitalnym ukłonie.

Twarz młodego rycerza przybrała wyraz zaskoczenia, niechęci, ale także niepokoju, którego nie umiał ukryć.

– To pewna wiadomość?

– Kręcił się przy zwłokach – odparł komtur.

– Jak to możliwe?

– Przekupił grabarza.

– Skąd wiedział?

Komtur rozłożył ręce.

– Mam się nim zająć? – spytał Zygryd.

Zakonnik wyduł wargi. Zastanawiał się. Trzeba postępować rozważnie.

– W Krakowie sprawi nam kłopoty – dodał najemnik w tonie perswazji.

– Tobie! – zawołał komtur. – Jak ci idzie z tą mieszczką? Jakież postępy? – W jego oczach błysnęła lubieżna ciekawość. – Będzie poruszenie, gdy Zawisza pojawi się w Krakowie, co? Może się o nią upomni?

– Z dziewczką sobie poradzę – odparł sucho Zygryd.

Lichtenstein się roześmiał. Naprawdę lubił tego rycerza. Hardy, waleczny młodzian. I na swój bezczelny sposób uczciwy, no, może uczciwy to za duże słowo, powiedzmy... przewidywalny. Prawdziwy wódz najemników. Taki pruski Pierre du Guesclin.

– Przywiodłem ze sobą dwóch ludzi – nalegał Zygryd. – Nie ma lepszych do takiej roboty.

Komtur się zamyślił. O Zawiszy wiedział w zasadzie niewiele poza tym, że to jeden z ulubionych rycerzy Jana z Tęczyna, polskiego możnowładcy, najbardziej błyskotliwego, a przez to najgroźniejszego polityka z otoczenia Jagiełły.

Karol von Lichtenstein miał z Zawiszą do czynienia tylko raz. Perfekcyjnie zaplanowana akcja w Brugii zamiast skompromitować Polaków i wtrącić Zawiszę do brugijskich lochów na lata, zakończyła się porażką komtura. Można sobie wmawiać, że to niewiele znaczyło, Brugia to przecież ledwie epizod. W tym, co się wydarzyło, nie było winy komtura, ale... Lichtenstein czuł instynktownie, że ten młodzieniec ściągnie na niego kłopoty. Choćby teraz. Zawisza ledwie pojawił się w Gdańsku, a od razu zrobił coś, czego komtur sobie nie życzył. Najpewniej odkrył już, że kupca przed śmiercią poddano torturom. Lichtenstein otrzymał polecenie z Malborka, by zachować to w tajemnicy. I wydawało mu się, że zadbał o wszystko. Skąd mógł przewidzieć...

Komtur spojrział na Zygryda, a potem poważnie kiwnął głową.

– Niech tak się stanie. Pozbądź się go. Jak najszybciej. Poślij ludzi jeszcze dzisiaj. Niech się rozejrzą, sprawdzą, gdzie mieszka. I zrobią to jutro za murami. Dyskretnie.

– Dlaczego jutro?

– Jutro wyjeżdżają.

– Wyjeżdżają? Ktoś z nim jest?

Komtur lekceważąco machnął ręką.

– Jakiś Żyd.

Dwór Artusa w Gdańsku, jesień roku Pańskiego 1391

Taneczna zabawa dopiero nabierała rumieńców. Część mieszczan wyszła zaraz po posiłku. Teraz zaczęli przychodzić nowi – o szczebel albo dwa niżej w cechowej hierarchii; widać to było po ubiorze i zachowaniu. Obserwowałem ich uważnie. Może to któryś z nich ma dla mnie wieści o Ayhe? Rozglądali się po sali, najwyraźniej nieczęsto tu gościli. Ale musieli legitymować się dochodami powyżej dwudziestu grzywien, skoro ich wpuszczono. A może browarnicy mieli w Gdańsku specjalne przywileje? Mogło tak być, bo z rzemiosł tylko browarstwo naprawdę się tu liczyło.

Dowiedziałem się od Kurta, że na spotkania taneczne zawsze przychodziło dużo kobiet i dzieci. W przeciwieństwie do uroczystości weselnych, gdzie rada miasta określała przepisami liczbę gości, tutaj żadnych ograniczeń nie stawiano, poza jednym – można było wypić nie więcej niż cztery beczki piwa. Ale beczki ustawione pod ścianą były ogromnych rozmiarów. Piwa nie powinno dziś zabraknąć.

Nie miałem ochoty na tańce. Rozglądałem się raczej za jakimś miejscem, gdzie mógłbym raczyć się piwem albo winem. Wokół jednego ze stolików do gry w kości tłoczyła się niewielka grupka mężczyzn z kuflami w rękach. Tam muzyka nie powinna być już tak głośna. Muzykanci – flecista, dwóch skrzypków, trębacz i bębniarz – zdawali się gonić jeden drugiego, nie dbając zbytnio o melodię. Wziąłem największy z kuflów stojących na ławie pod ścianą i podstawiłem pod kurek. Z wielkiej beczki chlusnął z sykiem ciemny spieniony płyn.

Przy trzecim albo czwartym kuflu poczułem, że ktoś łapie mnie od tyłu za rękę i odciąga od beczek. To pani von Ruden! Rozgrzana, z rumieńcami i potarganą fryzurą wyglądała, jakby ją ktoś spoliczkował. Zbliżyła twarz do mojej, by powiedzieć mi coś na ucho. Poczułem zapach potu, wina i perfum. A potem pociągnęła mnie za sobą.

Wszyscy – kobiety, mężczyźni i starsze dzieci – stali w kole. Zaczynał się taniec, który tu nazywano *zaunerem*. Kapela czekała chyba tylko na nas, bo gdy wśród wesółych okrzyków ustawiliśmy się w grupie, huknęła muzyka. Ludzie podali sobie ręce na krzyż i poczęli krążyć tanecznym krokiem to w jedną, to w drugą stronę. Nie było w tym ani ładu, ani składu. A może był? Nieważne. Poddałem się ruchom bioder pani von Ruden. Po kilku nawrotach zakręciło mi się w głowie.

Wypiłem za dużo piwa. Gubiłem rytm. Zamiast się harmonijnie kołysać, trykaliśmy się biodrami jak barany i co chwila rwaliśmy krąg ku ogólnej uciezce.

Wreszcie taniec dobiegł końca. Ucichła muzyka. Zacząłem wykrzykiwać po łacinie w stronę muzykantów, by zagrali raz jeszcze, ale mnie zignorowano. Pani von Ruden gdzieś zniknęła. Ludzie się rozeszli, połączyli w mniejsze lub większe grupy i sala ponownie wypełniła się głośnym gwarem.

– Wszyscy o ciebie rozpytuja. – Usłyszałem za plecami znajomy głos. – Takiego płasacza cech piwowarów jeszcze nie widział! – Zawisza był w doskonałym nastroju. – Piękna pani von Ruden będzie cała w sińcach! – Rozpiął mi kubrak i szarpnięciem ściągnął go aż do pasa. – Odetchnij!

Nakazał mi nie ruszać się z miejsca, a sam zanurzył się w tłum. Wrócił po chwili z dwiema jasnowłosymi, apetycznie wyglądającymi mieszczankami. Przedstawił mi je: nazywały się Helga i Marta.

Kobiety rozgrzane tańcem i napitkami, jak wszyscy tutaj, śmiały się głośno i krzyczały coś po niemiecku jedna przez drugą. Helga, wyższa i ładniejsza, wyciągnęła ramiona w moją stronę, jakby chciała mi je zarzucić na szyję.

– Już im wszystko o tobie opowiedziałem – przekrzykiwał je Zawisza. – I one teraz chcą... – Skrzywił się i zacisnął powieki, bo druga z kobiet zapiszczała mu prosto do ucha. – ...One teraz chcą, żebyś zamieszkał z nimi w Gdańsku. Chcą zostać twoimi żonami. Obie!

– Zgoda!

– Ale musisz zapomnieć o tej Arabce.

– Nie zapomnę!

– No właśnie, więc słuchaj. Powiedziałem im, że jak tylko dojdą je jakieś wieści o Ayhe albo o Stickerze, mają posłać gońca. Wiedzą, gdzie mnie szukać.

– Zapytaj...

– Pytałem! – Wpadł mi w słowo. – Na pewno nikt taki teraz w Gdańsku nie mieszka, bo coś by słyszały. Ale od dziś będą czujne.

– Powiedz im – naciskałem – że Sticker ma tu kontakty, handlował wcześniej z Krzyżakami. Mógł się tu zaszyć pod innym nazwiskiem.

Zawisza zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeśli Sticker się pojawi, to będzie się kręcił wśród kupców, może bogatszych rzemieślników. Taka para jak Ayhe i Sticker nie ujdzie uwadze tych kobiet. Nie bój się. Nieważne, jakie nazwiska przybiorą. Wierz mi, te dwie damy to najlepsze oczy i uszy w Gdańsku.

– *Danke!* – Skinąłem głową w ich stronę. Tyle już umiałem po niemiecku.

Nie wiedzieć czemu, znów wybuchnęły śmiechem. Helga chwyciła mnie za poły kubraka i zaczęła coś mówić. Sądząc po rytmicznych szarpnięciach, była to jakaś ważna deklaracja.

Nie poznałem jednak jej treści, bo niespodziewanie z tłumy wyłonił się von Ruden.

Wielki jak góra. Pochylił się do Zawiszy i z ponurym wyrazem twarzy powiedział mu coś na ucho. Ten spoważniał i zawiesił na mnie wzrok.

– Bardzo jesteś pijany? – rzucił w moją stronę po aragońsku.

– Jak widać.

– Szukają nas jacyś ludzie... – zniżył głos.

– Nas?

– Mnie.

– Zrobiłeś coś złego?

– Nie. Jeszcze nie. Myślę, że komuś nie spodobało się, że byliśmy w kostnicy. Ten zgnilek grabarz musiał wygadać...

– Co to za ludzie?

– Niemcy. Najemnicy na służbie tutejszego komtura.

– Czego chcą?

– Połamać mi kości. Tak myślę.

– Współczuję.

– Nie jest tak źle... Podobno jest ich tylko dwóch. Szykują się na jutro.

Spojrzałem na Helgę i Martę. Obie uśmiechnięte przysłuchiwały się naszej rozmowie, nic nie rozumiejąc. Mikołaj von Ruden ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w Zawiszę.

– Ukryjmy się u tych piwowarek – zaproponowałem już całkiem trzeźwy. – Rano wyjedziemy z miasta.

– Tak zrobimy.

Poczułem ulgę.

– Ale chcę ich uprzedzić. Jeszcze dziś się z nimi rozmówię. Pójdiesz ze mną. Będzie dwóch na dwóch.

– Daleko? – spytałem, jakby to miało jakieś znaczenie. Jakbym był wytrawnym rzemiechem od rozbijania głów, którego męczy chodzenie.

– Parę kroków. W karczmie Mikołaja.

A potem dodał, chyba na zachętę:

– Karczma nazywa się „Pod Maczugą”. Mówią, że jest najlepsza w Gdańsku.

Wyszliśmy z Dworu Artusa, który wydał mi się teraz najbardziej przytulnym i bezpiecznym miejscem na ziemi. Kurt wybiegł za nami, chyba przysłany przez ojca, bo Zawisza zatrzymał się i chwilę z nim rozmawiał. Coś uzgadniali. Mały kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i zniknął w mroku.

Dzwony nie wybiły jeszcze dziesiątej, ale ponieważ zbliżała się pora zamykania gospód, na ulicach panował wzmożony ruch. Kurt twierdził, że w całym Gdańsku, licząc Stare, Nowe i Głównie Miasto, jest ponad sto karczem. Sporo jak na jeden port.

Większość napotkanych mężczyzn się zataczała. Kilku było tak pijanych, że nie byli w stanie iść. Stali oparci plecami o fasady domów z bezradnie spuszczoneymi głowami.

Na jednej z uliczek, tuż przed nami, gwałtownie rozwarły się drzwi gospody. Wszedł z niej wysoki mieszczanin, zapewne patrycjusz, sądząc po kroju płaszcza. Zatrzymał się na krawędzi chodnika. Chwilę stał, jakby zamyślił się nad czymś głęboko, a potem runął w błoto. Upadł na twarz jak posąg. Widziałem w życiu wielu pijaków, ale wszyscy wyciągali ramiona przed siebie, gdy upadali. To odruch. Trudno go powstrzymać. A ten nie wyjął nawet rąk z kieszeni. Zalegające na ulicach błoto miało jednak swoje dobre strony. Chodnik rozpięty był dobry łokieć nad poziomem ulicy. Gdyby to był bruk, na przykład sucha ulica Saragossy, pijak nie przeżyłby. A tak tylko chwilę poleżał nieruchomo, po czym uniósł się na łokciach, otarł błoto z twarzy i na czworakach dopełznął do podestu. Rozległy się pijackie wrzaski jego kompanów. Ujęli go pod ramiona, nieco unieśli i zawlekli po chodniku z powrotem do karczmy. Drzwi się za nimi zamknęły i ulicę znów ogarnął mrok.

Siąpił zimny, drobny deszcz. Z głowy wyparowała mi ostatnia kropla wypitego piwa. Szybki krok Zawiszy i nienaturalnie głośnie walenie skórzanymi buciorami o deski nie wróżyły niczego dobrego.

W końcu po morderczo szybkim marszu dotarliśmy do dwupiętrowego murowanego budynku. Nad wejściem wisiało godło gospody: niezdarnie narysowana maczuga nabijana gwoździami. Byliśmy na miejscu. Ze środka dochodziły głośnie rozmowy, przerywane gromkim śmiechem. Z małego okienka tuż obok wejścia sączyło się żółte światło. Zawisza pchnął drzwi.

Karczma miała jedną obszerną izbę z ławami pod ścianą, dwoma dużymi stołami oraz kilkoma mniejszymi. Pomieszczenie oświetlały liczne kandelabry. W rogach stały beczki po piwie pomalowane na czerwono. Chyba jako ozdoby. Jeśli ta karczma uchodziła za najlepszą w Gdańsku, to na pewno nie z powodu bogatego wystroju.

Ciężkie drewniane ławy przy dużym stole zajęte były przez grupę mężczyzn. Kilku z nich trzymało na kolanach kobiety. Rzut oka wystarczył, bo ocenić, że to prostytutki.

W głębi sali, w rogu, przy jednym z mniejszych stołów siedziało dwóch żołnierzy. Mieli na sobie identyczne kaftany z bydlęcej skóry, dobrze układającej się na ciele, szyte grubym lnianym sznurkiem, rozcięte po bokach, z wytłoczonym na piersiach i plecach czarnym wzorem w kształcie skrzyżowanych poroży jelenia. Spod krótkich rękawów sięgających do łokci wyłaniały się ciężkie ramiona odziane w gęsto pikowaną przeszywanicę. Mężczyźni byli rośli, nosili krótko przystryżone włosy i sprawiali wrażenie takich, którzy mimo potężnej budowy potrafią poruszać się szybko i zwinnie. Jednym słowem – wyglądali groźnie. Jeśli to ci dwaj szukali mojego towarzysza, rozsądnie byłoby wyjść stąd jak najszybciej.

Za szynkwasem, na lewo od wejścia, stał karczmarz. Z rękami splecionymi na piersi obserwował gości. Wyglądało na to, że chce się ich pozbyć, ale nie ma dość odwagi, by coś powiedzieć. Dostrzegłem wyraźne podobieństwo do Mikołaja von Rudena. Bogaty patrycjusz daje pracę krewnym. Godne pochwały.

Żaden z gości nie zauważył naszego przyjścia. Wszyscy byli zajęci rozmową i piciem. Za to karczmarz aż podskoczył na nasz widok. Wyszedł szybko zza lady. Zawisza zamienił z nim parę słów.

– Zaraz będzie tu medyk... – oznajmił rycerz ściszonego głosem.

– Ktoś jest ranny? – spytałem z nadzieją.

– Za chwilę będzie.

Karczmarz wskazał brodą tę dwójkę w rogu przy mniejszym stole. Siedzieli bokiem do nas, zajęci rozmową. Przed sobą mieli dzban z piwem i dwa kufle.

– Niemieckie psy – syknął Zawisza. – Albo będziemy ich walić po łbach, albo świnię u nich pasać. Jedno albo drugie.

Zdjął wełniany płaszcz, rzucił go na ławę przy drzwiach i od razu ruszył w kierunku żołnierzy.

Hałas czyniony przez grupę przy dużym stole sprawił, że jeden z najemników, ten bliżej nas, odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy Zawiszę dzieliło od niego zaledwie kilka kroków. Oczy miał zamglone od wypitego piwa. Błysk zrozumienia pojawił się za późno.

Na trzeźwo i bez zaskoczenia musiał być groźnym przeciwnikiem. Ale nie teraz. Zawisza uniósł prawą nogę, jakby wstępował na wysoki stopień, potem, prostując ją w kolanie, wyrzucił do przodu. Miał buty do konnej jazdy: z wysoką cholewą, na

podwójnej podeszwie ze specjalnie utwardzanej skóry, z której wyrabia się rycerskie napierśniki nieustępujące tym ze stali. Obcas ciężki jak z żelaza trafił Niemca prosto w usta. Ten nawet nie jęknął. Rozległ się mokry chrzęst łamanych zębów, nosa i kości twarzy. Jakby ktoś rozdeptał ślimaka. Krew trysnęła z rozerwanych warg. Żołnierz uderzył plecami o ścianę z grubych bali, osunął się na podłogę, zwiesił głowę i znieruchomiał.

Drugi z mężczyzn, wyższy, młodszy, zerwał się na nogi i sięgnął do pasa. Nie zdążył dobyć sztyletu. Zawisza wziął zamach lewą nogą i uderzył żołnierza tuż poniżej kolana. Zatrzeszczała pęknięta kość. Niemiec runął na bok jak po uderzeniu masywną kosą. Huknął głową w deski podłogi. Zaczął się podnosić, ale kopniak w twarz przewrócił go na plecy. Krew z rozbitego nosa zalała mu usta. Oparł się na łokciach i prychał jak pływak. Przetoczył się na bok, by wypluć krew i zaczerpnąć powietrza. Wtedy Zawisza stanął nad nim, uniósł łokcie do wysokości ramion dla zachowania równowagi i uderzał z góry obcasem tak długo, aż tamten przestał się ruszać.

Odwrociłem się w stronę dużego stołu. Wszyscy mężczyźni byli na nogach i patrzyli w ciszy na pobojuwisko. Dziewki w identyczny sposób zasłaniały sobie usta. Zawisza szybkim krokiem przemierzył izbę, chwycił płaszcz, złapał mnie za ramię i pchnął w kierunku wyjścia.

Miał zachlapane buty i spodnie mokre aż do kolan, jakby wskoczył w kałużę.

– Nic im nie będzie – oznajmił, ciężko dysząc, gdy już byliśmy na zewnątrz. – Wylizają się. A ty dzielnie się spisałeś... Nie rzygałeś...

– Nie będą nas gonić?

– Kto? Ci dwaj!?

– Myślałem o tych przy dużym stole...

– To marynarze, Anglicy. Nie poznałeś po tych czerwonych gębach? Oni się nigdy nie wtrącają.

Ruszyliśmy szybkim krokiem. Zawisza pierwszy, ja za nim.

– Jutro zaczną nas szukać strażnicy – rzucił przez ramię. – Karczmarz będzie musiał to zgłosić do ratusza. Krzyżacy zaraz się dowiedzą.

– Gdzie przenocujemy?

– Tak jak chciałeś, u Helgi i Marty. Nie możemy iść do domu Mikołaja. Wyjedziemy, zanim miasto wytrzeźwieje.

– One wiedzą, że jestem Żydem?

– Nie! I... nie mogą się dowiedzieć! Zrozumiałeś?

Tak, zrozumiałem. Zrozumiałem też, że plan pozostania w Gdańsku na dłużej właśnie wziął w łeb.

Pośpiech, w jakim opuszczaliśmy Gdańsk, sprawił, że zamiast wierzchowców kupiliśmy dwa niskie, masywne konie pociągowe, nazywane tu *Sweiken*. Dwie piwowarki, u których spędziliśmy ostatnią noc, wykorzystały okazję do zarobku i przy zapewnieniach, że szkapy są nauczone chodzić pod siodłem, sprzedały nam je po dwie grzywny za sztukę. Nie trzeba było znawcy, by uznać tę cenę za zbójcejką. Zawisza upierał się jednak, że kobiety odstąpiły nam swoje jedyne konie za kwotę, którą będą musiały wydać, by sprawić sobie nowe. Zauważyłem jeszcze w Aragonii, że mojego kompana cechowała nadzwyczajna niedbałość w sprawach finansowych. Targowanie się uważał za haniebną procedurę. Zwłaszcza w transakcjach z kobietami. W ogóle uważał, że wszystkie niewiasty są mu przychylnie. Bardzo wierzył w swój *charme*.

Poruszaliśmy się mniej uczęszczanymi drogami, od wsi do wsi. Odziani w podniszczone nogawice i kaftany, na nędznych szwejkach, nie wzbudzaliśmy zainteresowania. W jednej z wiosek zapłaciliśmy gospodarzowi za skromny posiłek i nocleg w stodole. Zawisza kupił na drogę chleb, kawałek sera i spory bukłak wina.

O świcie sami wyprowadziliśmy konie i opuściliśmy zabudowania, nie napotkawszy ani jednego człowieka. Wypiłem kilka łyków wina. Było podłe, ale i tak lepsze to niż piwo, którym byłem przesiąknięty po czubek głowy. Piwo jest nieznośnie kłopotliwe w spożyciu, nie skłania do zwierzeń, spienione w żołądku wychodzi złym gazem, szczypie w nos. Żeby się upić na wieczór, trzeba zaczynać już przy śniadaniu. Dłuży się to niemiłosiernie i człowiek zaczyna w końcu ziewać. Kolejne kufle nie przynoszą ukojenia, przytępiają tylko umysł.

– Za dwa lata będę miał dwadzieścia jeden lat, tyle co ty teraz... – powiedziałem, gdy wino zmieszało się z krwią i ożywiło mnie niczym gorąca kąpiel.

Zawisza odwrócił powoli głowę. Niechętnie. Wyglądał na wybudzonego z drzemki.

– Chcesz mi zaimponować matematyką?

– Za dwa lata czy za dwadzieścia... – mówiłem dalej niezrażony – nigdy tego nie zrobię. Nie odważę się. Nigdy nikogo tak nie pobiję.

– Masz o to żal do siebie?

– Nie.

– Do mnie?

– Nie. Podziwiam cię.

Zawisza nie odpowiedział. Podałem mu wino. Upił spory łyk. Skrzywił się, jakby to był ocet, a potem jeszcze raz przystawił bukłak do ust. Tym razem na dłużej.

– Dlaczego to zrobiłeś? Ludzie tak nie robią.

Otarł usta wierzchem dłoni.

– A co robią? – Rzucił mi bukłak.

– Uciekają przed takimi osiłkami. Nie narażają się bez powodu.

– Ja swoje miałem.

– Panie, bądź łaskaw...

– To długa opowieść.

Uniosłem się w siodle. Spojrzałem w lewo, potem w prawo, a na końcu za siebie. Równina. Nic. Nie widać ani początku drogi, ani końca.

– Nic ciekawszego tu nie mamy...

Zawisza wyprostował plecy. Pokręcił szyją, przecesał palcami włosy. Starał się jakoś rozbudzić.

– Pamiętasz, co mówiłem o blokadzie szlaków handlowych do Prus?

A jakże, pamiętałem bardzo dobrze. To przecież, w jakimś sensie, z tej przyczyny znalazłem się na tym zimnym pustkowiu.

– Ponad rok temu polski król sprawił, że kupcy nie mogli wędrować do Prus – zaczął Zawisza. – Straż na traktach miała rozkaz zatrzymywać tych, którzy łamali zakaz, i konfiskować towary.

– To była sprawa polityczna – podsunąłem skwapliwie.

– Oczywiście! Kto o zamknięciu dróg wiedział wcześniej, mógł zbić fortunę. Król zgodził się, aby wywiad wykorzystał to do przekupienia kilku zagranicznych dworzan.

– Don Francisco de Aranda sporo zarobił na tej wiedzy...

– I nie tylko on – przytaknął Zawisza. – Zyskaliśmy oddanych sojuszników jeszcze na innych dworach. Szkopuł w tym, że ludzie z otoczenia Jagiełły też chcieli coś tu dla siebie upolować. Król był nieprzejednany, ale kilku możnych uznało, że są ponad prawem. Jednym z nich był Piotr Kmita, ówczesny kasztelan lubelski.

Zawisza spojrzał na mnie badawczo, jakby sprawdzał, czy nie posunął się za daleko.

– Dopuszczam cię do głębokich sekretów...

Uniosłem ramiona na znak niewinności: przecież już udowodniłem, że nie jestem z tych, co chlapią ozorem bez potrzeby.

– To zamknięcie dróg wyrządziło zakonnikom wielkie straty. Krzyżakom bardzo zależało na złamaniu zakazu. Gotowi byli dużo zapłacić.

– Przekupili tego...

– Kmitę? – odpowiedział Zawisza. – Nigdy się do tego nie przyznał.

– Dlaczego nie wystąpił o koncesję? W Aragonii król często zakazywał importu bydła tylko po to, żeby sprzedać szybko kilka zezwoleń i podsypać złota do szkatuły. Wasz tak nie robi?

Zawisza pokręcił głową.

– Nie, nie w tej wojnie. Wszyscy wiedzieli, że Piotr Kmita handluje z Prusami. Mówił o tym otwarcie, głośno. Tyle że to niecała prawda. Jego głównym odbiorcą był od lat Karol von Lichtenstein, komtur Brodnicy. Robili interesy przez podstawionych *liegerów*. Sprawa wyszła na jaw, gdy za Kmitą zaczęli chodzić nasi wywiadowcy. Poznasz zakonnika, który wykrył te konszachty z Lichtensteinem.

– To ktoś ważny? Ten Lichtenstein?

– Wszyscy Krzyżacy to psy. Ale ten ma najdłuższy ogon – mruknął Zawisza, mocno ściągając wodze. – Lichtenstein, komtur Brodnicy, kieruje krzyżackim wywiadem.

– Co kupował od Kmity?

– Głównie zboże. To ulubiony towar Krzyżaków.

– I co dalej?

– Kmita to jucha. Niezdarny urzędnik i wielki wojownik. Ludzie mają go za patriotę, bo wystawia liczne chorągwie, gdy król jest w potrzebie. Przez to jest groźny, bo ma za sobą króla i całe rycerstwo. Czuje się bezkarny. Mimo zamknięcia dróg transportu do Brodnicy wciąż szły.

– I to zabolalo kogoś z otoczenia króla, tak? Kogoś, kto nie zarabiał?

Zawisza zganił mnie wzrokiem.

– Zabolalo. Ale nie dlatego, że nie zarabiał. Niektórym panom politycznym leży na sercu dobro ojczyzny. Słyszałeś o takich?

– Tak! Są jak jednorożce, podobno istnieją, ale jeszcze nikt takiego na oczy nie widział.

Mój towarzysz skrzywił się z niesmakiem.

– Tu jest inaczej! Jan z Tęczyna, pan, któremu służę, głośno się temu sprzeciwiał. W końcu dowiedział się, kiedy i którym traktem pójdzie jedna z dostaw. Posłał sześciu ludzi, żeby zajęli wozy. Miał prawo jako starosta. Oddziałem dowodził mój brat, Piotr. Wspomniałem ci już o nim. Nazywamy go Kruczkiem.

Zawisza zamilkł, bo wyrósł przed nami oddział uzbrojonych knechtów. Minęli nas, obrzuciwszy jedynie pogardliwymi spojrzeniami.

– Za eskortę wozów odpowiadał Karol von Lichtenstein – ciągnął Zawisza. – Komtur brał na służbę śląskich najemników, Niemców. Nie wiem, ilu ich wtedy tam było. Wieźli zboże do jego zamku, do Brodnicy. Kruczek doszedł ich tuż przed granicą. Najemnicy, wcześniej ostrzeżeni, urządzili pułapkę i pozarynali wszystkich naszych. Mojego brata, okrutnie poranionego, znaleźli chłopci.

– Mówiłeś, że przeżył...

Zawisza skinął głową.

– Wyliział się z ran, ale ponoć rozum mu uszedł z krwią – rzekł ponuro. Po chwili dodał: – Jeszcze na początku coś pamiętał. Opisał dokładnie najemników. Doniesiono mi z Krakowa, że Kmita i Lichtenstein wciąż mają ich na służbie.

– Ci dwaj w Gdańsku...

– Tak, to byli najemnicy komtura Karola von Lichtensteina. On często bywa w Gdańsku. Łatwiej go tam zastać niż w Brodnicy. Otacza się najemnikami, bo dużo podróżuje i boi się o siebie, a załogę w Brodnicy ma niewielką. Poza tym najemnicy są dyskretni, a komtur ma dużo do ukrycia.

– To byli ci sami ludzie?

– Wątpię. Nie... Na pewno nie. Ale to nie ma znaczenia. To sucze syny z tego samego miotu, rozumiesz?

Z pól podniósł się wiatr i przeszył mnie zębem do kości. Pociągnąłem kolejny łyk wina. Nie rozgrzewało. Przydałaby się mocna nalewka.

– Lichtenstein upodobał sobie najemników ze Śląska, których dostarcza niejaki Zygryd von Dohn – ciągnął Zawisza. – Noszą na kaftanach jego herb: skrzyżowane poroża jelenia. Po tym można ich łatwo rozpoznać.

– Zygryd? Imię jak z kuźni... To Niemiec?

– Jego ród wywodzi się z Niemiec, z okolic Miśni. Jakieś sto lat temu przywędrowali na Śląsk. Zygryd von Dohn żyje z werbowania najemników. Przyjmuje na swój dwór drobne szlachciury albo chłopów ze Śląska. Samych Niemców, barczystych, z twardymi łbami. Szkoli ich, uczy posłuszeństwa, potem wkłada na grzbiety jednakowe skórzane kaftany, wypala herb. I handluje nimi jak byłem. Ślubowałem, że jak zobaczę któregoś, to stanę mu na drodze.

– No i spełniło się...

– W Gdańsku to oni mnie szukali. Lichtenstein, gdy mu doniesiono, że kręcę się wokół topielca, nasłał tych osiłków.

– On cię zna? Wiedział, że to ty?

– Tak myślę.

– To dlaczego posłał tylko dwóch ludzi?

Zawisza się roześmiał.

– Nadworny pochlebca? Mam ci rzucić monetę?

Zaraz potem spoważniał.

– To najemnicy Zygryda von Dohna ranili Kruczka i zabili jego ludzi. Ta niemiecka gnida podobno często bywa w Krakowie i chętnie staje w szranki. Przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie poślę go tam, skąd wylazł.

– Do piekła... – podpowiedziałem usłudźnie.

– Do piekła!

W drodze do Krakowa, jesień roku Pańskiego 1391

Na wysokości Grudziądz przeprawiliśmy się przez Wisłę. Wkroczyliśmy na ziemię chełmińską. To wedle słów Zawiszy najważniejsze terytorium państwa krzyżackiego. Na niewielkim obszarze, o granicach wyznaczonych przez rzeki Drwęca, Mała Osa, Osa oraz Wisła, było aż gęsto od zamków, folwarków, wsi, rycerskich dóbr. Co rusz pojawiały się młyny, cegielnie, tartaki.

Poruszaliśmy się wzdłuż Wisły. Sieć krzyżackich zamków nad tą potężną rzeką była imponująca. Wzniesiono je z uwagi na bliskość Królestwa Polskiego, konieczność ochrony militarnej ziem granicznych, ale także potrzeby gospodarcze i handlowe: zamki pełniły funkcję przejściowych magazynów dla towarów spławianych Wisłą z Polski do bałtyckich portów.

Krzyżacy dysponowali potężną flotą, mieli silną pozycję w Hanzie, świetnie zorganizowane państwo. Właśnie oglądałem je z siodła. Byli jak Samson. Jak pokonać kraj, który zbiera z podatków więcej, niż wydaje? Nie przypuszczałem, że takie w ogóle istnieją. Przecież takiemu państwu wszyscy chcą pożyczyc. A za pieniądze można uzbroić każdą armię, zbudować zamki i mury, których nie zburzą nawet trąby jerychońskie. Ma rację Zawisza, ludny kraj to mało.

Wino spełniło swoje zadanie. Rozwiązało nam języki: ja śmieiej pytałem, a mój towarzysz chętniej odpowiadał.

Zawisza pragnął rozwinąć skrzydła przy Janie z Tęczyna. Przy możnowładcy, przed którym otwierała się szeroka droga do awansów. Mówiło się, że ma zostać krakowskim kasztelanem, a nawet, za kilka lat, królewskim namiestnikiem, drugą osobą po królu w Polsce.

Sulima nie chciał zdradzić, dlaczego sprawa utopionego pruskiego kupca była ważna i groźna dla Jana z Tęczyna. Przyznał jedynie, że taka była. Mogła zrujnować możnowładczą karierę, a tym samym pogrzebać nadzieje Zawiszy na zdobycie rycerskiej sławy u boku wielkiego pana. I na pomnożenie majątku. A ten, przynajmniej na razie, wyglądał skromnie.

Do dziedzicznych majątków Sulimy należały tylko działki w trzech wsiach: w Garbowie i Szymunowicach w powiecie sandomierskim oraz w Siedlcu pod Tarnowem. Zawisza wywodził się z niezamożnej szlachty.

Znacznie lepiej prezentowały się jego koligacje rodzinne. Dziadem Zawiszy był rycerz Stefan z Garbowa, a ojcem – Mikołaj z Garbowa herbu Sulima. Miał dwóch

braci: starszego Piotra, zwanego Kruczkiem, i młodszego o parę lat Jana, zwanego Farurejem. Ich ciotką, siostrą ojca, była Elżbieta, która została żoną wojewody czerskiego Andrzeja Ciołka. Wszyscy trzej synowie Elżbiety i Andrzeja zajęli się rycerskim rzemiosłem. Ale najbardziej Zawisza szczylił się bratem Andrzeja – Stanisławem Ciołkiem, o którym opowiadał niestworzone historie jako o największym siłaczu na świecie. Zaklinał się przy tym, że wszystkie są prawdziwe. Podobno zginał w palcach wielkie noże, a ze świeżo ściętych gałęzi drzew wyciskał dłonią sok. Pewnego razu sam przeniósł przez cały Kraków dzwon kościelny, któremu nie dawały rady trzy tuziny mężów.

Ojciec Zawiszy, Mikołaj, zginął na wyprawie wojennej prowadzonej przez Jana z Tęczyna. Okrył się bohaterską sławą i tuż przed śmiercią zyskał obietnicę od swego pana, już wówczas starosty sieradzkiego, że ten weźmie na służbę i wychowanie rycerskie jego synów – Zawiszę i Piotra.

– Dobrze, że służysz takiemu panu – powiedziałem, gdy nastąpiła dłuższa cisza. I nie mogłem się powstrzymać, by nie dodać: – W ogóle to dobrze, że są tam jacyś bogatsi od ciebie.

Następnego dnia znów musieliśmy się przeprawić przez Wisłę. Miasto rysujące się w oddali nosiło nazwę Toruń.

– Za rzeką jest już nasza ziemia. Mazowsze. Za siedem, osiem dni będziemy w Krakowie.

– Co ze mną będzie?

– Zamieszkaż u Jordana. Syna Lewka.

– Kto zasz?

– Lewko to królewski bankier, najbogatszy polski Żyd. A z Jordana jest hulaka i nicpoń. Talentów ma więcej niż ojciec, ale woli karczmy. Urodziwa przy nim żona, dwoje dzieciaków.

Wstrzymałem konia. Teraz pora na mnie. Nabrałem głęboko powietrza w płuca.

– Ayhe nie ma w Gdańsku i nigdy tam nie dotarła! Mam czarne myśli. Wielu ludzi w Aragonii pragnęło jej śmierci. Muszę coś zrobić. Nie mogę siedzieć beczynnienie w Krakowie...

– Mogli zatrzymać się gdziekolwiek po drodze. – Zawisza przerwał mi spokojnym głosem.

– Obiecywałeś pomoc!

– Żydzi w Krakowie mają kontakty, pomogą ci.

– Powinienem...

– Zimę spędzisz w Krakowie – znów mi przerwał. – Ja będę czekał wieści od Rudena albo od tych dwóch czarownic. Sticker w końcu dotrze do Gdańska. Jestem pewien. To przechera kuty na cztery nogi. Żadna baronowa nie stanie mu na drodze. Czekaż wiosny. A na ten czas dostaniesz zadanie do wykonania.

Nic na to nie powiedziałem. Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu.

- Król musi wycisnąć z Żydów więcej podatków – odezwał się w końcu Zawisza. – Ale żeby to osiągnąć, trzeba ich dokarmić. Jego Żydzi muszą się bogacić.
- Co ja mogę zrobić?
- Wasze gminy w Aragonii i Kastylii to sam gruz i długi. Widziałem to na własne oczy. Nie macie pieniędzy, ale macie kontakty, przetarte szlaki. U nas Żydzi trzymają monety w ziemi za domami, w garnkach. Muszą je tylko wykopać. – Zerknął na mnie przez ramię. – Zwiążesz te dwa sznurki, a oni już sami będą je przeciągać.
- Ktoś mi w tym pomoże?
- Na Boga, Aaronie! Dasz sobie radę sam. Widziałem, co potrafisz.
- Nie ja, mój wuj – zastrzegłem się.
- Ta sama krew. Jesteś z rodu Abnarrabích. Jesteś najbogatszym Żydem w Saragossie!
- Najbardziej zadłużonym...
- Co za różnica! Pieniądz to pieniądz. Obojętne, z której strony na niego patrzysz. Rynek Lewantu znasz, krakowski rynek poznasz. Lewko i Jordan pomogą ci na początku. Wezmą cię do swojej ławki w synagodze, czy jak to się tam u was do towarzystwa wprowadza. Oni będą wiedzieć. Sami zainwestują pierwsze pieniądze, jeśli ich przekonasz.
- I to wszystko?
- To twoje pierwsze zadanie.
- Pierwsze? – jęknąłem. – Jest jeszcze jakieś drugie?
- Poznasz je na wiosnę. Musisz tylko przetrwać zimę.

Kraków, jesień roku Pańskiego 1391

Od Torunia podróżowaliśmy szerokim uczęszczanym traktem handlowym biegnącym niekończącymi się równinami przez Brześć Kujawski, Łęczycę, Piotrków, Przedbórz, Kurzelów i Miechów.

Pewnego wczesnego październikowego popołudnia roku Pańskiego 1391 naszym oczom ukazało się rozległe i urodziwe miasto, ze zwartą bogatą zabudową, otoczone wysokim murem, spoza którego strzelały w niebo wieże kościołów, wieża ratusza, wysokie kamienice. Za miastem wznosiło się łagodne wzgórze z osadzoną nań potężną twierdzą.

Oto miałem przed oczami Kraków.

Z lewej strony, jak szczenię u boku wilczycy, leżało drugie, mniejsze miasto, Kazimierz, odgrodzone od Krakowa korytem Wisły, ale połączone z nim kilkoma drewnianymi mostami, opasane równie potężnym warownym murem wyposażonym w baszty i obronne wieże.

Zbliżaliśmy się od strony północnego nieobwarowanego przedmieścia, zwanego od kościoła Świętego Floriana Florencją albo z niemiecka Kleparzem. Mury obronne robiły wrażenie – wysokie na dwadzieścia łokci, zwieńczone blankami. Brama Floriańska, przez którą przejeżdżaliśmy, znajdowała się w potężnej wieży, również oblankowanej. Od strony miasta zamykały ją, otwarte teraz, dwuskrzydłowe dębowe wrota, a od zewnątrz – potężna krata wzmocniona żelaznymi okuciami.

Ulica prowadząca w głąb miasta była brukowana na całej szerokości, zabudowana szeregowo po obu stronach murowanymi kamienicami. Domy wąskie, dwupiętrowe, z trójkątnymi lub zębatymi szczytami. Uderzały regularność zabudowy i staranny wygląd fasad. U wylotu traktu znajdował się duży kościół z przylegającą doń chyba najwyższą wieżą w mieście; gdy tam dotarliśmy, moim oczom ukazał się plac targowy niebywałych rozmiarów z poprzecznie ustawionymi kramami; wzdłuż jego północnej, a potem zachodniej pierzei dojechaliśmy do wylotu ulicy, przy której Zawisza dał znak, by się zatrzymać.

– To platea Iudaeorum, ulica Żydowska. Tu spędzisz zimę. Rynek sobie jeszcze obejrzysz, będziesz miał dużo czasu. Widziałeś kiedyś piękniejszy gród?

Przez układ ulic dzielący przestrzeń na równe bloki miasto sprawiało wrażenie uporządkowanego. Wydawało się też czystsze niż Gdańsk, może dlatego, że świeciło ostre jesienne słońce, i zamożniejsze; dominowała zabudowa murowana,

przynajmniej przy ulicy, którą przyjechaliśmy, i w obrębie Rynku.

Zsiedliśmy z koni. Zagłębiliśmy się w dzielnicę żydowską. Serce zabiło mi mocniej. Już mija ponad miesiąc, odkąd udaję chrześcijanina, i muszę przyznać, że ta szata gładko na mnie leży. Czekala mnie zima wśród krakowskich Żydów. Jacy byli? Żydzi francuscy nie różnili się niczym od aragońskich, nie mówiąc o kastylijskich czy portugalskich. Wszyscy tak samo strzygli brody. Tych ze wschodniej Europy znałem tylko z opowieści *magida*.

Ulica Żydowska biegła od Rynku do murów obronnych, gdzie zamykała ją Portula Iudaeorum, Brama Żydowska. Dzielnica żydowska leżała w jej części położonej bliżej murów, po lewej stronie, idąc od Rynku.

– Mówiłeś, że ten... Kmita, Piotr Kmita, jest sławny wśród rycerstwa...

Zawisza zmrużył oczy. Długo wracał myślami do tamtej rozmowy.

– Bo tak jest – powiedział w końcu.

– A wśród mieszczan?

– A kogo to obchodzi?

– Podobno ten Kmita dużo handluje, a pieniądź jest w miastach. Handel jeździ na kredycie, jak ty na koniu. Ktoś go musi kredytować. Żydzi?

– Nie wiem. Kmita pilnuje swoich sekretów.

– Chcesz, żebym się czegoś tu dowiedział?

– Żydzi w Krakowie to zamknięte plemię.

– Może dla mnie nie będą...

– Ci z ulicy nie. – Zawisza wskazał brodą jakiegoś przechodnia w jarmułce i nędznym płaszczu z szarej wełny. – Z nimi pogadasz. Zdradzą ci, ile mają kóz. Ale do tajemnic bankierów nie przepłyniesz, za głęboka fosa.

Zatrzymaliśmy się przy najbardziej okazałej kamienicy, górującej nad innymi domami.

– Ale spróbuj... Tylko uważaj, bo to niebezpieczne.

Dom zajmował narożną parcelę. Dłuższym bokiem zwrócony był w stronę ulicy Żydowskiej i tu, sądząc po zdobnej kamiennej bramie, znajdowało się główne wejście do budynku. Krótszą szczytową ścianą przylegał do wąskiej przecznicy.

Wyszedł z niej drobny człowieczek o wyglądzie przypominającym tatarskich niewolników, jakich można było spotkać na ulicach Saragossy i Barcelony. Zawisza przywitał się z nim wesoło i wręczył mu wodze.

– To najpiękniejszy dom getta. – Zadarł głowę do góry, jakby go widział po raz pierwszy. – Jak widzisz, dbam o ciebie. Tu zamieszkasz.

Domyślałem się, że zabudowania gospodarcze znajdowały się na tyłach parceli ciągnącej się wzdłuż przecznicy, i to z tamtej uliczki prowadził wjazd na dziedziniec domu. Niewolnik odprowadził konie, my zostaliśmy przed główną bramą.

– Tu się rozstaniemy.

Liczyłem na to, że Zawisza zostanie ze mną kilka dni, że z jego pomocą wyprostuję wszystkie legendy, które stworzył na mój temat. Przyznał po drodze, iż napisał do Jordana, a ten powiadomił rabina, że gminę odwiedzi biegły finansista z bogatej i wpływowej sefardyjskiej rodziny.

Zawisza uściskał się serdecznie z młodym postawnym Żydem, który powiadomiony przez niewolnika wyszedł przed dom, by nas powitać. To był Jordan. Zawisza przedstawił nas sobie, a potem zwrócił się do mnie po aragońsku:

– Będę się dowiadywał od pewnej osoby, czy... jesteś im tu olbrzymem czy karłem. – Roześmiał się. – Za jakiś czas przyślę też kogoś, kto wprowadzi cię w pewne sprawy. Inne. Trochę ważniejsze niż układanie monet w stosiki...

Powiedział coś do Jordana, a ten, patrząc na mnie, skinął głową.

– Wróć niebawem. – Zawisza położył mi dłonie na ramionach. – Wykorzystaj ten czas. Wszyscy tu już wiedzą, kim jesteś i komu służysz. – Lekko mną potrząsnął. – I pamiętaj, że dałem ci słowo. Odnajdziemy tę twoją Arabkę.

Potem uściskaliśmy się na pożegnanie jak bracia.

Przekroczyłem kamienną bramę i znalazłem się w obszernej ciemnej sieni.

– Szalom! – powiedziałem jeszcze raz do Jordana.

– Szalom – odparł gospodarz z uśmiechem, jeżeli w półmroku dobrze odczytałem ten grymas. Ale cóż innego mogło to być? A potem dodał coś niezrozumiałego w jidysz.

Weszliśmy na piętro. Tam, już w pełnym świetle wpadającym przez uchylone okiennice, przywitałem się ukłonem z panią domu, skłoniłem się też dwójce dzieci, które z ciekawością wyglądały z sąsiedniej izby.

Jordan wskazał mi drzwi do małego jasnego pokoju. Domyśliłem się, że to będzie moja sypialnia. Wszedłem do izby i położyłem worek pod ścianą. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Jordan z tym samym uprzejmym uśmiechem na ustach cicho zamyka za mną drzwi.

Pokój był skromnie urządzone: ściany pobielone wapnem, drewniana podłoga z szerokich desek i belkowy strop; przy ścianie na prawo od wejścia stało wąskie łóżko z grubym siennikiem, a na nim leżało kilka skór.

Na lewo od drzwi, w wąskiej wnęce stał taboret z dużą miedzianą miską, nad nią wisiał pasujący do wgłębienia, robiony na miarę, blaszany zbiornik, z którego wystawał mały kurek. Gdy go odkręciłem, poląła się woda. Zdjąłem ubranie i obmyłem się od pasa w górę. Na pręcie wpuszczonym w ścianę wisiał przygotowany bawełniany ręcznik. Skrupulatna gospodyni zadbała o wszystko. Poczulem chłód. Szybko wciągnąłem na grzbiet starą koszulę i kubrak. Cuchnąłem, ale nie miałem ubrania na zmianę. Jeśli dobrze liczyłem, był czwartek. Jutro piątek, dzień kąpieli, miałem nadzieję, że jest tu żydowska łaźnia. Musi być.

Usiadłem na łóżku. Zatrzymałem wzrok na niewielkim piecu obłożonym zdobnymi żółtymi, zielonymi i fioletowymi kaflami. Wszystkie miały ten sam, na wskroś

chrześcijański wzór: klęczącą postać, wyglądającą na pielgrzyma, odzianą w obszerny płaszcz i szeroki kapelusz.

Jordan i jego żona Miriam sprawiali wrażenie szczęśliwego małżeństwa. Kamienica, w której zamieszkałem, od pierwszego dnia jawiła mi się jako ideał żydowskiego domu, oaza spokoju, gdzie można schronić głowę przed zgiełkiem, gdzie wszystko sprowadzało się do uporządkowanych relacji, wzajemnego szacunku i miłości.

Z czasem zdałem sobie sprawę, że ten dom mógłby taki być, gdyby nie Jordan. Jakżeby inaczej! Rzadko się zdarza, o ile w ogóle, aby dziury w ścianie domu wybijała kobieta.

Jordan przypominał mi mojego wuja Salomona: wiodło mu się w interesach, cieszył się szacunkiem społeczności i był w konflikcie z miejscowym rabinem, co wyznał mi już pierwszego dnia naszej znajomości. I upijał się jak mój wuj – codziennie. Był jednak młodszy i umiał to ukryć przed obcymi. Gdyby nie doświadczenie wyniesione z Saragossy, nie zauważyłbym, że pije ponad to, co nakazują zdrowy rozsądek i obyczaj.

Oprócz tego, a może właśnie z tego powodu, Jordan był zbyt surowy dla swoich dzieci: pięcioletniego Józefa i siedmioletniej Zoe. Kilka razy byłem świadkiem, jak je bił, za mocno, albo gonił po pokoju z grubym rzemieniem w ręku, a one z piskiem uciekały naokoło stołu, jakby to była zabawa, choć wcale nie była; wywracały krzesła z wysokimi oparciami, które wystarczyło lekko przechylić, by straciły równowagę. Hałas robił się straszny. Miriam zatykała wtedy uszy i z płaczem uciekała do kuchni. Moja obecność hamowała Jordana, więc drzwi do pokoju często zostawiałem otwarte. Jordan jako dobry Żyd, z natury gościnny, myśląc, że uciekam od samotności, tych drzwi nie zamykał. Gdy wiedział, że mam na widoku jadalnię, nie urządzał pościgu za dziećmi. Choć jestem pewien, że wcześniej czy później i tak je gdzieś dopadał i dostawały za swoje.

Ale muszę przyznać, że poza tymi epizodami rodzina czas posiłków spędzała w zgodzie. Dzieci okazywały ojcu szacunek, zawsze wstawały, gdy zasiadał przy stole. Posiłki odbywały się o tej samej porze, mogłem dołączyć do nich, jeśli chciałem, ale nie czekano na mnie jak na specjalnego gościa.

Ulubioną zabawą wszystkich przy stole były zagadki. Jordan wymyślał je na poczekaniu i miał do tego wielki talent. Rzucił nagle: dwóch braci, jeden jest moim stryjem, a drugi nie, kim jest ten drugi? Albo: ojca mego syn, a nie mój brat, kto to

taki? Albo: jaką potrawę gotuje się bez soli, bo nie można jej posolić żadną solą świata? Najczęściej odgadywała Zoe. Czasami udawało się Miriam, czasami Józefowi. Ja zwykle mamrotałem pod nosem jakieś próby odpowiedzi, ale nigdy z sensem. Tłumaczyła mnie słaba znajomość języka, ale i tak było mi wstyd. Raz, gdy gospodarz zaskoczył nas pytaniem, co to takiego: dopóki się nie napije, dopóty nie może mówić, chciałem powiedzieć „Jordan”, ale żal mi się zrobiło rodziny. Zoe wykrzyknęła, że to gęsie pióro.

Trzeba też oddać Jordanowi, że nie podnosił ręki na żonę. Nie podnosił nawet głosu. Miriam nie była chyba z nim szczęśliwa, nie okazywała mu czułości, ale nigdy nie widziałem, by wykonał w jej kierunku jakikolwiek agresywny gest.

Miriam czułości i pieszczot nie szczędziła za to dzieciom. Nieraz słyszałem, jak śpiewała Józefowi kołysankę, a Zoe opowiadała długie historie, pewnie bajki o złych czarownicach.

Dzieci miały swoje pokoje. Małe, ale bardzo wygodne, zamykane na drzwi z klamką i zasuwką, wyposażone we wszystkie niezbędne sprzęty: małe łóżka z kompletem pościeli, stoliki z oliwnymi lampami, krzeselka i zamykane na prawdziwe zamki skrzynie na skarby. Nie wiedziałem, że dzieci mogą żyć w takim luksusie. No ale w końcu trafiłem do jednej z najbogatszych żydowskich rodzin Krakowa. Taki komfort uczył dzieci samodzielności i wyrabiał potrzebę niezależności.

Jeśli coś odróżniało jeden pokój od drugiego, to chyba tylko walające się po podłodze zabawki. Na przykład Józef miał ogromnego konia na biegunach, z którego był bardzo dumny. By go dosiąść, potrzebował pomocy rodziców albo mojej.

Od pierwszego dnia Zoe i ja przypadliśmy sobie do gustu. Cierpiała, że nie rozumiem, co do mnie mówi, bo nieustannie była czegoś ciekawa. Z czasem, gdy poznałem już jidysz, musiałem odpowiadać na setki pytań dziennie.

Zoe nie miała konia na biegunach ani hałaśliwych bębenków, miała za to kilkanaście drewnianych kolorowych ptaszków z drucianymi nóżkami, które codziennie zmieniały swoje miejsce wedle bardzo przemyślanego planu. Cała skrzynia Zoe wypełniona była zabawkami: prezentami od gości przychodzących do jej ojca i rywalizujących o względy rodziny bogatego bankiera. Wśród takich prezentów-skarbów znajdowała się najpiękniejsza rzecz, jaką Zoe kiedykolwiek dostała: turkusowa tunika z wielkimi srebrnymi guzikami. Była podbijana futrem i odkąd dziewczynka ją przymierzyła, nie mogła doczekać się zimy.

W skrzyni znajdował się też kościany grzebień. On również służył do zabawy. Polegała ona na tym, że siadałem na krześle, przechylałem głowę do tyłu, a Zoe rozczesywała mi włosy, od czubka głowy po końce. To tyle, żadnych innych reguł. Nudne, ale Zoe mogła się w to bawić godzinami. Włosy miałem gęste, długie, już prawie do pasa, koloru ciemnej pszenicy. Nikt takich w Krakowie nie miał.

Cierpliwie poddawałem się tym zabiegom, bo w zamian Zoe uczyła mnie jidysz. Była bystrą dziewczynką, dobrą nauczycielką, a ja szybko robiłem postępy.

Zagadnąłem gospodarzy o możliwość prowadzenia korespondencji. Jordan obiecał mi pomoc i zorganizować wysyłkę przez kupców. Napisałem do Abrahama Abencanyasa długi list, pytając w nim o sprawy w Saragossie i opisując pokrótce swoje losy od dnia opuszczenia Perpignan.

Dużo miejsca poświęciłem sprawie choroby oczu Kurta. Poprosiłem Abencanyasa, by przepytał kogo trzeba i doradził coś jak najszybciej. Nie musiałem dodawać, że to ważne i pilne. Abencanyas zrozumie, że to długa podróż, że Mikołaj von Ruden będzie musiał porzucić swój browar i wszelkie sprawy na wiele długich miesięcy, by ratować oczy syna. Taki przejaw miłości ojca do dziecka każdego zmobilizuje do pomocy.



Jordan i Miriam czytali po hebrajsku, tak jak zapisane są zwoje w synagodze, ale w mowie potocznej używali jidysz – języka, którego prawie nie rozumiałem. Mieszał w sobie hebrajski, niemiecki i polski. To tak jakby, tłumaczył mi Jordan, z hebrajskiego sukna wykroić polską szatę i przyszyć niemieckie guziki. Nikt nie rozpoznawał w tej zbitce swojego języka, ale każdy ją trochę rozumiał. Ja nie znałem ani polskiego, ani niemieckiego, więc gdy Żydzi rozmawiali między sobą, byłem jak głuchy.

Z Jordanem jakoś się dogadywałem. Znał łacinę, biegle w niej czytał, słabiej mówił. Przydawała mu się czasami do redagowania pism, choć i tak w Krakowie większość spraw w sądach i miejskich księgach zapisywano po niemiecku.

Hebrajski pełnił wśród Żydów funkcję podobną do tej, jaką wśród chrześcijan miała łacina. Nikt w Krakowie nie używał go na co dzień. Był językiem religii, nauki i pisma, narzędziem, za pomocą którego porozumiewały się żydowskie elity rozsiane po całym świecie. Uczyli się go tylko wybrańcy, tacy jak Józef, syn Jordana. Kraków w odróżnieniu od Saragossy nie miał żydowskiej szkoły utrzymywanej przez gminę, gdzie mogłyby się uczyć dzieci z ubogich rodzin. Nauka była droga i dostępna dla nielicznych.

Z rodziną Jordana i innymi Żydami jakoś się dogadywałem, ale męczyły mnie trudności ze zrozumieniem ludzi na ulicy. Nauka języka stała się pilną potrzebą. Którego? Polskiego czy niemieckiego?

Rychło okazało się, że zdecydował o tym już wcześniej Zawisza, który wynajął i opłacił dla mnie nauczyciela. Człowiek ów pojawił się w naszym domu po kilku tygodniach od mojego przybycia. Nazywał się Adam Rojek, był Polakiem, krakowskim mieszczaninem. Chyba nie należał, a przynajmniej nic mi o tym nie wspominał, do grupy, którą Zawisza nazywał wywiadem, a czasami kontrwywiadem (zależnie od tego, po której stronie granicy działała). Przyznał się

jedynie, że uczył łaciny niektórych z ludzi Jana z Tęczyna, elitę przeznaczoną do tajnych misji kurierskich.

Rojek już pierwszego dnia naszej znajomości kazał sobie opisać ze szczegółami każdą z turniejowych walk, które Zawisza stoczył w Aragonii. I w ogóle wszystko, co tam widziałem i o nim słyszałem. W Krakowie snuto różne opowieści, mówił bakałarz, ale kto by się wyznał, ile w nich było prawdy.

Przywołałem więc w pamięci, a potem opisywałem słowami, najdokładniej jak umiałem, turnieje z Calatayud, Saragossy, a potem ten z Daroki, gdzie koń Zawiszy kopytami rozerwał na pół Jacques'a de Villaines'a. No i oczywiście niezwykle pojedynki w Perpignan, z którego pamiętałem każdy najdrobniejszy szczegół. To tam, na dziedzińcu pałacu królów Majorki, na oczach dwóch monarchów, Zawisza upokorzył aragońskiego barona Juana de Urríesa. Wspomniałem też o potyczkach z niewiernymi. Rojek aż wstał z emocji, gdy opowiadałem, jak Zawisza rozplątał nożem dowódcę saraceńskiej bandy.

Bakałarz nie mógł wyjść z zachwytu. Oczyma wyobraźni widziałem go, jak zasiada z kompanami w karczmie i relacjonuje to, co ode mnie usłyszał. Trochę sławy spłynie pewno i na mnie. Byłem przecież naocznym świadkiem wydarzeń, które tu, w Krakowie, obrosły już legendą.



Adam Rojek jako jeden z nielicznych krakowskich bakałarzy nie był duchownym. W Krakowie istniało kilka szkół parafialnych. Mieszczanom tylko w jednym przypadku – szkoły Maryi Panny – udało się uwolnić od biskupiej zależności i zyskać prawo mianowania swojego rektora. Ten zaś zatrudnił kilku świeckich nauczycieli, w tym Rojka, który uczył stylistyki i kaligrafii. Dostawał marne uposażenie – czternaście groszy rocznie – i musiał je pobierać bezpośrednio od uczniów, co było kłopotliwe, zwłaszcza że część z nich uiszczała opłaty w naturze. Ale za to rada miasta zwalniała go z wszelkich podatków, zapewniała darmowe mieszkanie i opał, który zimą był bardzo kosztowny.

Z dominacją łaciny Rojek był pogodzony. To język nauki, kancelarii świeckiej i duchownej, kościelnej liturgii i kultury. Ułatwiał międzynarodowe kontakty. Dzięki łacinie mogliśmy swobodnie rozmawiać. Bakałarz zżymał się natomiast na wszechobecność niemczyzny. Niemiecka ludność napływowa opanowała nie tylko Kraków, ale wszystkie małopolskie i śląskie miasta. Silniejsi ekonomicznie Niemcy wprowadzili swój język do miejskich urzędów i cechów. Budziło to niechęć Polaków, protesty, rodziło napięcia. I miało tylko tę jedną dobrą stronę, że w patriotycznym odruchu Polacy zwracali się ku polszczyźnie.

W kościele Maryi Panny, gdzie uczył Rojek, już od ponad stu lat homilie głosiło się po polsku. Tak postanowił tutejszy biskup, niejaki Iwo Odrowąż. A inny krakowski biskup, Nanker, zarządził, że nie ma prawa zostać nauczycielem ktoś,

kto nie włada biegle polszczyzną.

– Ale wiesz, co było najważniejsze dla naszego języka? – To jedno z setki pytań, które Rojek zadał mi tamtego dnia, i na które od razu sam odpowiedział. – Wprowadzenie obowiązku corocznej spowiedzi! Stało się to na soborze, bardzo dawno temu. Święty sakrament, spowiedź przed Stwórcą. Trzeba się było postarać, porządkować mowę. Bóg słuchał!

W końcu zaczęliśmy naukę. Najpierw wymowa. Na pierwszej lekcji powtarzałem w kółko cztery słowa: „soczewica, koło, miele, młyn; soczewica, koło, miele, młyn; soczewica, koło, miele, młyn”. Aż do odrętwienia języka. Najgorzej mi szło z „soczewicą”. Gdy to w końcu jakoś wyświszczałem, Rojek opowiedział mi pewną historię.

Otóż w 1312 roku wybuchło w Krakowie powstanie wszczęte przez wójta Alberta, Niemca, i niemiecki patrycjat przeciwko polskiemu księciu Władysławowi Łokietkowi. Po stłumieniu buntu straż książęca wyłapywała mieszczan na ulicach i każdy, kto nie był Polakiem, dawał gardła na miejscu.

– A wiesz, jak to sprawdzano? – Pytanie i odpowiedź: – Strażnik dociskał takiego mąciwodę do ziemi i kazał powtarzać...

– Nie... – jęknąłem.

– Czemu? Dobrze ci poszło. Prawie, prawie... No więc, gdy schwytyany delikwent nie umiał ładnie powiedzieć „soczewica, koło, miele, młyn”, to już nie wstawał. Takie to kiedyś były porządki!

Rojek przyznał, że czasami, jak mu Niemcy zależą za skórę, wraca myślami do tamtych czasów.

– Żydom – mówił – to dałbym spokój. Bo ci, co tu są, po polsku mówią jak Polacy, a jak który przyjedzie, to pierwsze, co robi, to się polskiego uczy. Tak jak ty. – Wyciągnął rękę, jakby mnie pokazywał komuś trzeciemu. – Proszę! Nie to co Niemcy.

Po stłumieniu buntu wprowadzono zakaz używania niemczyzny w krakowskich księgach. Zaczęto je redagować po łacinie. Dlaczego do urzędów nie wprowadzono polszczyzny? Dlaczego powrócono do łaciny? Bo nikt nie wiedział, jak po polsku pisać!

– Do dziś Polacy nie wiedzą – narzekał Rojek. – Hańba! Czesi mają swój język na równi z łaciną. Po niemiecku książki spisywane są od stu lat! A polskiego do kancelarii się nie dało wprowadzić, bo każdy inaczej zapisuje, co usłyszy. Jak tu księgi miejskie albo sądowe prowadzić?

Poznałem te problemy na własnej skórze, gdy przyszło do nauki pisania. Bardzo szybko przyswajałem sobie gramatykę i słownictwo. Nawet wymowa przestała sprawiać mi kłopot. Najgorzej szło z pisaniem.

Zbiór przejętych z łaciny liter okazał się za mały. Brakowało mi liter dla wszystkich świszczących dźwięków, jak *ś*, *ź*, *ć*; albo szumiących, jak *sz*, *ż*, *cz*, lub

nosowych, jak *ą*, *ę*. A z drugiej strony kilka łacińskich liter nie miało zastosowania, np. „*q*”, „*x*”, podobnie z dwuliterówkami „*oe*”, „*ae*”.

Wszystkie skomplikowane polskie dźwięki musiałem oddawać za pomocą znaków alfabetu łacińskiego. Tak na przykład literą „*d*” zapisywałem dźwięki *d*, *dz*, *dź*, literą „*c*” – *k*, *c*, *cz*, literą „*z*” – *z*, *ź*, *ż*. No ale skąd wiadomo potem, jak to odczytać, jeśli się nie pamiętało?

Rojek doradzał mi dwuznaki lub nawet trójznaki, na przykład *sz* zapisywałem jako „*sch*”, a *ś* jako „*ssy*”. On tak robił. Tyle że każdy w Krakowie miał swoją metodę. Nikt tego chaosu nie ogarniał. Jak tu zaprowadzić porządek?

Tyniec, jesień roku Pańskiego 1391

- I słowo ciałem się stało! – wykrzyknął brat Mikołaj i porwał Zawiszę w ramiona.
- Prawie dwa lata! Do nikogo tylu listów nie posłałem...
- Same w nich smutne wiadomości, bracie Mikołaju.
- Takie czasy!

– Mówcie szybko, co z Tęczyńskim. Dziwne wieści mnie doszły. W majątku go nie zastałem. Powiedzieli mi, że nagle z wojskiem ruszył. Nawet listów nie zostawił, choć wiedział, że przyjadę.

– Bo on teraz w gorączce. Ludzie króla mu życie zatruwają... Że wywiadowcy zawiedli.

Zawisza założył ręce na piersi i spojrzał uważnie na zakonnika, który wzburzony mówił dalej:

– Byłem u niego kilka tygodni temu. Tuż po mnie zajechał do Tęczyna Jakub Koniecpol. Rozmawiał z Tęczyńskim o tych nieszczęsnych Bobrownikach. Koniecpol uprzejmie nam doniósł – w głosie zakonnika pobrzmiwała irytacja – że otoczenie króla winą za klęskę ostatecznie obarczyło wywiad... Czyli osobiście Tęczyńskiego! Bo nie uprzedził naszych wojsk, że z pogranicznego zamku wyszła krzyżacka odsiecz.

– Wiem! Pisali mi o tym. Krzyżacy posłali ledwie stu konnych! – zachnął się Zawisza. – Krystyn powinien im dać pola i nie zwijać oblężenia.

– Ale na Wawelu teraz uważają, że Krystyn błędu nie popełnił, bo nie miał rozkazów potykać się z Teutonami. A nie miał rozkazów, bo nikt krzyżackiej odsieczy nie przewidział.

– Stara sprawa. Po co do tego wracać?

– Po co? Żeby krwi Tęczyńskiemu napsuć! – zawołał w uniesieniu brat Mikołaj. – Ale po prawdzie... trochę w tym racji jest. Po to są wywiadowcy, żeby o takich interwencjach uprzedzać. Ale, jak widać, już wtedy siatka szwankowała...

O wojnie z Opolczykiem rozprawiano w całym kraju. Ludzi z otoczenia króla bardzo poruszyła zdrada księcia opolskiego. W maju 1391 roku Władysław, książę opolski, zastawił Krzyżakom zamek w Złotorzy, jedną z ważniejszych warowni na pograniczu polsko-krzyżackim, za sumę sześciu tysięcy florenów. Król Polski i jego doradcy uznali to za felonię i wypowiedzieli wojnę. Król niewielkimi siłami łatwo zajął ziemię dobrzyńską, lenno Opolczyka. Bronił się jedynie zamek

w Bobrownikach. Niespodziewanie obleżonym przyszli z pomocą Krzyżacy. Krystyn z Ostrowa, nowo mianowany starosta dobrzyński, odstąpił od obleżenia i oddał całą ziemię dobrzyńską bez walki.

– To nie wszystko – ciągnął brat Mikołaj. – Koniecpol doniósł nam zaraz potem, że Opolczyk złożył Krzyżakom w Malborku pewną propozycję. – Zawiesił głos. – Planował rozbiór Polski: Węgrzy mieli uderzyć od południa, Krzyżacy od północy. Koniecpol dowiedział się o tym od swych przyjaciół na węgierskim dworze. Tam wywiad czuwa. U nas też wywiad działa znakomicie. Tyle że krzyżacki!

– Co na to wielki mistrz? – spytał Zawisza.

– Na co? Na rozbiór Polski? A jak myślisz? – Zakonnik machnął lekceważąco ręką.

– Oczywiście odprawił Opolczyka z niczym. Ale dla nas to kolejne upokorzenie. O wszystkim dowiadujemy się od Koniecpola. A on od Węgrów. Jak mogliśmy przeoczyć coś takiego?

Zawisza pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A sprawa siatki kupców? Co mówią ludzie na dworze? – spytał.

– Nie wiem, co tam im w głowach siedzi. Ci, co o siatce wiedzieli, drą szaty, żądają działania. Że trzeba to zatrzymać, zdrajcę dopaść...

– Ale to wciąż tylko jeden kupiec! – wpadł mu w słowo Zawisza.

– Kupiec jeden, ale straciliśmy już dwóch ludzi z siatki! Wiesz, jakie ona ma znaczenie dla króla!

– Coś o zdrajcy? Jakies podejrzania?

– Tyle, co pisałem. – Zakonnik rozłożył ramiona. – Najbliżej mi do Piotra Kmity. Od dawna trzyma z Lichtensteinem. Handlują, jest wymiana pieniędzy. Kmita gości pruskich kupców, nawet tych najemników, co idą z ochroną. Mnie się to wszystko składa. Pracujemy nad tym.

– Nie mogło być gorzej... – mruknął Zawisza. – Kmita ma twardą skorupę.

– Każdą się da rozbić!

Zza okna dochodził gwar z przyklasztornego zamkowego dziedzińca; nad harmider czyniony przez żołnierzy i kupieckie wozy wybijało się co jakiś czas żalosne skrzypienie żelaznej bramy oddzielającej świat interesów od świata modlitwy.

– Przywiozłem tego Żydka – powiedział Zawisza po chwili milczenia. – Tak jak było ustalone. Jest już u Jordana. Może się przy okazji czegoś o pożyczkach Kmity dowie. Tęczyński nie pozwoli ruszyć Kmity bez dowodów twardych jak stal.

– Żydek niech uważa.

– Będzie uważał! – Zawisza odwrócił twarz w kierunku zakonnika, a jego oczy ożywiła nagle niespokojna ciekawość. Zapytał: – Sprawa z Hanną wygląda tak źle, jak pisaliście? Zakochana w tym Zygfrydzie?

– Tego nie wiem, ale ludzie gadają, że szykuje się wesele.

– Że też na niego musiało trafić! – Zawisza zaczął krążyć po skryptorium. Jego ciężkie kroki wprawiły w drżenie delikatne pulpity. – Mało to miała rycerzy, a on

dziewek? Na moje utrapienie się musieli szczepić. Każdego innego bym zdzierzył, ale na tego psa jej nie pozwolę!

– Długo się zbierałeś. – Zakonnik wytarł nos w wielką chustę wydobytą spod szkaplerza, nie spuszczać wzroku z młodzieńca. – Nie wiem, czy ktoś cię o zdanie zapyta.

Zawisza ruszył ręką, jakby chciał go uciszyć, ale powściągnął gest. Przyprószone siwizną skronie zakonnika wymagały szacunku.

– Rankiem ruszam do Garbowa – oznajmił. – Kruczka chcę zobaczyć, wrócę za kilka niedziel. Nie mogę myśli pozbierać, bo mi w głowie brat siedzi.

– Każę ci komnatę w zamkowym skrzydle na noc przyszykować.

– Bóg wam zapłać, bracie Mikołaju. – Zawisza nisko skłonił głowę w podzięcie. Po chwili dodał: – Mam jeszcze jedną prośbę: musicie mi widzenie z Konstancją umożliwić.

– Nie za dużo tych dziewczek bierzesz sobie na głowę? Ją też chcesz odbijać?

– Z nią chcę o polityce...

– Nie mogą was razem zobaczyć!

– Dlatego was proszę... Spodziewam się, że ona dalej na służbie u Jagiełły?

– Tylko tobie takie rzeczy wyznawała... – odparł z uśmiechem zakonnik.

– Załatwcie tak, żebym się mógł z nią zobaczyć. I to prędko! Kiedy z Garbowa wrócę.

– Rzykujesz...

– Co? Że mi oczy wydrapie? To ona mnie odprawiła!

– Sam mówiłeś, że miała powody!

Zawisza cmoknął zniecierpliwiony.

– Postarajcie się, bracie Mikołaju. Macie trzy niedziele, żeby coś wymyślić.

– Niech ci będzie, rycerzu. A teraz siadaj i opowiadaj o Aragonii. – Zakonnik zatarł dłonie. – Prawie dwa lata cię nie było... Zgaduję, że nie wszystko w listach zapisałeś.

Kraków, jesień roku Pańskiego 1391

Któregoś dnia poprosiłem bakałarza, by posłużył mi za przewodnika po mieście i okolicy.

Kraków dzięki częstym kontaktom z obcymi dworami, licznej obecności cudzoziemców i zamożności mieszkańców nosił się dostatnio. Rojek uważał, że ludzie się tu stroją, bo dochodzą do sporych majątków i sami nie wiedzą, na co pieniądze wydawać. Zamożni mieszczanie nie żalowali grosza na kosztowne materie: wełnę, jedwab, atłasy, a nawet ciężki złotogłów. Dominowały żywe barwy: szkarłat, zieleń, błękit. Oczywiście wśród zamożniejszych mieszczan. Plebs, jak wszędzie, ograniczał się do naturalnego koloru wełny i płótna. W żółtym paradowały prostytutki. Na czarno ubierali się duchowni i naukowe elity.

Uwagę zwracała różnorodność obuwia. Teraz zrozumiałem, że *cracowes* – ciżmy z długimi noskami, które tak ochoczo nosiła saragosa arystokracja i różnego sortu strojnisie, włączając w to mojego brata Dolza – swą nazwę wzięły stąd, z Krakowa. Najważniejszą częścią miasta był Rynek, największy plac targowy, jaki w życiu widziałem. Jego centralne miejsce zajmowała kamienna hala sukiennic o długości ponad dwustu łokci. Stanowiły ją dwa równoległe rzędy kamer sukiennych przedzielone w połowie wewnętrzną uliczką. Budynek przywodził na myśl bazylikę: długa niezasklepiona hala z dwoma rzędami kramów po bokach. I tłumy jak na niedzielnej sumie. Hala zatłoczona kupcami, handlarzami i przechodniami obojga płci. Gwar, krzyki przekupniów, emocje, ciekawość i pieniądze, handel żywy, radosny.

Poczułem, że tu bije serce miasta. Sukno! Jeśli mam przekonać krakowskich Żydów do zainwestowania w Hiszpanii, to musi to być coś związanego z wełną i produkcją sukna! To oczywiste.

Wzdłuż wschodniej ściany sukiennic ciągnęła się dwunawowa hala mieszcząca kilkadziesiąt kramów. Były tam jatki rzeźnicze, kramy żelazne, piernikarskie, krupnicze, mydlarskie, sadelnicze, powroźnicze i wiele innych. Po tej samej stronie Rynku znajdowały się jeszcze mała i duża waga oraz dom kuśnierski.

Po drugiej stronie, przy zachodniej ścianie sukiennic, usytuowano tak zwane ławy chlebowe, mieszczące cztery równoległe rzędy sklepów. Tu wznosił się również budynek ratusza, siedziba władz miejskich, i połączony z nim budynek sądu.

Na Rynku stały także dwa kościoły: Świętego Wojciecha, niewielki, położony

u wylotu ulicy Grodzkiej, oraz kościół Maryi Panny, najważniejsza świątynia krakowskich mieszczan – ceglana, halowa, trójnawowa z dwoma wieżami, okolona niskim murkiem, w którego obrębie mieścił się cmentarz.

Na koniec spaceru Rojek stanął plecami do kościoła Mariackiego. Trochę się chwialiśmy na nogach po wizytach w kilku karczmach.

– I to wszystko nazywa się Rynek. – Zatoczył krąg ramieniem.

– Wiem, już mi mówiłeś.

– A wiesz, dlaczego Rynek?

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem.

To coś nowego. Nie wiedział! Zazwyczaj się do tego nie przyznawał.

– Jak już mieli jakoś nazywać taki wielki plac w mieście – mówił Rojek uniesiony szczerym gniewem – to powinni go nazwać targiem. Czyż nie? Po polsku. Nasze słowo „targ” znaczy tyle co *forum*, *Markt*, *mercato*. Powinno być targ! – powtórzył głośno. – A nie rynek... Wiesz, z jakiego to języka?

Domyśliłem się.

– Niemieckiego! – Przybrałem niechętny ton, chciałem nawet splunąć na bruk, żeby się przypochlebić bakałarzowi, ale nie zebrałem dość śliny. Miałem zdrętwiałe usta. Z zimna albo od mocnych nalewek, których wypiliśmy za dużo.

– Zgadza się. To od słowa *Ring*. Tyle że *Ring* znaczy koło... Co za pomysł, żeby kwadratowy plac nazywać kołem! No ale Niemcy go wytyczali, to się zemścili. Może kiedyś zmienimy nazwę. Ale Rynek to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Musisz przyznać!

Tamtego późnego popołudnia, podtrzymywany w pionie przez mojego nauczyciela-przyjaciela, byłem przekonany, że tak jest. Przytaknąłem więc szczerze, nieco zbyt gwałtownym skinieniem głowy.



Rojek okazał się też dobrze poinformowany w sprawach urzędowych i finansowych miasta. Zapytałem go pewnego razu o mojego gospodarza, Jordana, i jego ojca Lewka. Z początku opowiadał niechętnie, potem, wypiwszy kilka kubków wina, szerzej otworzył usta.

Lewko także mieszkał przy ulicy Żydowskiej, nieco bliżej murów miejskich niż ja. Miał czterech synów: Jordana, Abrahama, Kanaana i Izraela oraz córkę Gołdę. Najbystrzejszy, ale też sprawiający najwięcej problemów był Jordan. Cały Kraków pamiętał sprawę sprzed lat, kiedy to młody Jordan, pijany, wdał się w bójkę z pewnym mieszczaninem i dostał mocno w skórę. Wściekły Lewko kazał swoim pomocnikom złapać tego mieszczanina. Ci, nadgorliwi, napadli jakiegoś Bogu ducha winnego przechodnia, pierwszego, który im się nawinał, i mocno go poturbowali. Lewko doprowadził nawet do uwięzienia nieszczęśnika na zamku. Na

to w mieście podniósł się wielki bunt. Oskarżono Jordana. Apelowano nawet do papieża, a ten wystąpił przeciwko staremu Żydowi. Sam papież! Powrzało, powrzało, sprawa rozeszła się po kościołach, a interesy Lewka rozkwitały bez przeszkód.

Lewko był tak bogaty i miał takiego nosa do interesów, że wszyscy uważali, iż posiada jakiś czarodziejski pierścień, który chroni go przed złymi inwestycjami. Pachniało to trochę diabelską siarką. Był właścicielem wielu domów i placów, nie tylko w dzielnicy żydowskiej. Miał też swój browar. I ogromne wpływy w radzie miejskiej i na królewskim dworze.

Lewko był bankierem czterech monarchów. Nie zasiadł jeszcze na polskim tronie król, który by zbierał do skarbcza więcej, niż wydawał. Tak umieli tylko Krzyżacy. Kazimierz prowadził kosztowne wojny na Rusi przeciwko Litwie, wznosił zamki, kościoły, murował miasta, opasywał je murami, przebudował zamek na Wawelu. Wydatki, wydatki, wydatki. Następny był Ludwik Węgierski, a teraz Jadwiga i Jagiełło. Każdy kolejny monarcha dziedziczył majątności wraz z długami. Mówiono, że Jagiełło ma już dług wysokości trzydziestu trzech tysięcy florenów! Za takie pieniądze zastawia się całe księstwa. Taki kredyt to już bardziej problem tego, który dał, niż tego, który wziął. Ale stary Żyd, szpakami karmiony, do każdej pożyczki dla króla żądał listy *fideisussores*, gwarantów. Tu jest klucz do jego władzy i potęgi. Żydowi niezręcznie byłoby i niepolitycznie dochodzić swoich wierzytelności u króla. Monarcha też wolał unikać takiej bezpośredniej konfrontacji, bo przecież nie zamierzał przestawać pożyczać. Każda lista gwarantów ciągnęła się na ogół na kilka łokci i obejmowała dworzan i możliwych jedzących z pańskiego stołu. W ten sposób cały dwór wsiadał na ten sam wóz, a lejce trzymał Lewko.



Ponieważ był wtorek, w Krakowie dzień targowy, Rojek całe godziny spędzał wśród kramów. W tym dniu odbywały się również wolne targi, *fora libera*, zwane tu wolnicami albo sochaczkami. Na ulice wylegała wówczas biedota, bo to jedyny dzień, kiedy można się było zaopatrzyć w podstawowe artykuły po cenach niższych niż cechowe. Na wolnice ciągnęli chłopci z okolicznych wsi, aby sprzedać swoje wyroby i kupić narzędzia, czy co tam wytwarzali lokalni rzemieślnicy. Jedynie po mięso szło się przez mosty do Kazimierza, bo wolny targ na mięso był wyłącznym przywilejem tego miasta. Żona Rojka, kobieta zapobiegliwa, skrupulatnie licząca każdy grosz, sporządziła dla męża na ten dzień listę zakupów. Popędziliśmy więc do Kazimierza w poszukiwaniu kijaków, jak pogardliwie cechowi rzeźnicy krakowscy nazywali wieśniaków, którzy na kijach zawieszali oferowany towar.

Po południu zmęczeni przeciskaniem się przez tłum i daleką wycieczką udaliśmy

się do karczmy mieszczącej się w podziemiach ratusza, nazywanej „Piwnicą Świdnicką”, gdyż najsłynniejszym napojem tu serwowanym było piwo ze Świdnicy. Rojek nie mógł się go nachwalić.

Po kilkunastu wysokich kamiennych stopniach schodziło się do obszernej dwunawowej sali przykrytej masywnymi sklepieniami. Rojek twierdził, że jak trafi się tu w mniej popularnej porze, to można usłyszeć przenikające przez ścianę jęki i krzyki z sąsiadującej z piwnicą izby tortur.

Teraz w karczmie panował tłok. Wszystkie ławy były zajęte. Rojek wyjaśnił, że to z powodu atrakcji, jaka za chwilę miała się tu rozegrać. Zawsze we wtorki, dni targowe, zjeżdżały się do Krakowa drobne złodziejaski, tak zwani obrzynacze trzosów. Czasami jakiegoś złapano i jeśli łotrzykowi nie udało się przekupić strażników albo zbiec w tłum, publicznie go wieszano. Dziś właśnie tak się miało stać. Zbijano już miejską szubienicę i ludzie, żeby jakoś umilić sobie czas oczekiwania, zachodzili do najbliższej karczmy, czyli właśnie tu. Udało nam się dopchać do stojącej w rogu pustej beczki, na której mogliśmy postawić szklanice z piwem.

Chwilę później weszło kilku żołnierzy. Nie byli już młodzianami. Brzydocy, ale jakoś inaczej niż tutejsi chłopci. Głębsze bruzdy, twarze bardziej pociągłe. Wysocy, mocno zbudowani, odziani w skórzane kaftany do bioder. Przypominali tych drażliwych z Gdańska. Gdy mnie mijali, dostrzegłem wypalone w skórze poroża jelenia.

Ludzie spoglądali na nich niechętnym wzrokiem. Żołnierze podeszli do jednego ze stołów, przy którym grupa mieszczan jadła z jednej miski, zapijając piwem. Niedługo potem dobiegły nas podniesione głosy i trzask naczyńia rozbijanego o podłogę. Tłum przesłonił rozgrywającą się tam scenę. Dopiero po chwili cizba się rozstąpiła. Zobaczyliśmy, jak jeden z mieszczan podnosi się z ziemi. Reszta była już na nogach. Żołnierze popychali ich na zmianę, a ci nie stawiali oporu. Nikt nie stanął w ich obronie, ludzie raczej odwracali głowy z ulgą, że to nie ich stolik wybrali sobie wojacy. Karczmarz zza lady przyglądał się zajściu, pocierał nerwowo brodę, ale również nie ruszał się z miejsca.

– Co to za jedni? – zapytałem.

– To najemnicy, co jakiś czas się tu pojawiają, tyle że dawniej był z nimi spokój. A od kilku miesięcy szukają zaczepki. Tydzień temu poturbowali karczmarza. Wszyscy się ich boją. Ktoś powinien zrobić z nimi porządek.

– Czemu nie miejscy strażnicy?

– Bo wiedzą, że to ochrona kupców od Kmity. Nie chcą się narażać.

– Długo tu już są?

– Jedni odjeżdżają, inni przyjeżdżają. Śpią albo w domu Piotra Kmity, albo w Kazimierzu, w jednej z kamienic należących do Genuńczyków, ale burdy tu przychodzą wszczynać.

Rojek pochylił się nad stołem w moją stronę i niespodziewanie oznajmił:

– Wszyscy wyglądają powrotu Zawiszy... Przydałby się teraz... Jeszcze zanim wyjechał w twoje kraje, ludzie mówili, że tak jak Lewko z tym swoim pierścieniem bogactwa wiecznie szuka pieniądza, tak Zawiszę ciągnie do bitki i chronią go jakieś moce.

Byłem tak zaskoczony, że dłuższą chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Może Anioł Stróż? – mruknąłem w końcu. – W Perpignan, jak się bił z tym Aragończykiem, tak sobie właśnie pomyślałem... Że to musi być jakiś anioł.

– Może być Anioł Stróż. – Rojek poważnie skinął głową. – Wszyscy się spodziewali, że skoro Zawisza już wrócił do Polski, to zostanie w Krakowie. Zwłaszcza że mu tu dziewczkę podebrali...

– Dziewkę? – Zainteresowałem się. – I dopiero teraz mi to mówisz?

– Co ja baba jestem, żeby ci paplać o wszystkim?

– Ja ci historii nie skąpiłem!

Bakałarz wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

– Niejaki Zygfryd von Dohn stara się o rękę pewnej mieszczki... Ach, tam pewnej! To najpiękniejsze dziewczę, jakie na oczy widziałem.

– Co ma do tego Zawisza? – spytałem, nie przyznając się, że o Zygfrydzie słyszałem właśnie od niego.

– Mówiłem ci już, że ludzie tu strasznie na Niemców cięci, i on taki sam. Nie zgodzi się, żeby taki motyl do Niemca odleciał. Jakby mógł, to żadnej by nie pozwolił...

– Trudno mu będzie wszystkie dziewczki w ojczyźnie na sznurkach trzymać.

– Tyle że akurat do tej to sam się zalecał. A Hanna, bo tak jej na imię, nawet była za nim. Zresztą... – Machnął ręką. – ...tu każda jest za nim, jeszcze się przekonasz. No, ale nie było im pisane... Jej ojcem jest Tomasz z Węgleszyna... To wielki mąż, ma poważanie w całym kraju i u króla. Na Zawiszę wilkiem patrzył, bo za chuda szlachta. Nie chciał córki dać.

– To Sulima nie próbował dogadać się jakoś?

Rojek potrząsnął głową.

– Młodziak dumny, to trzasnął drzwiami i tyle go widzieli. Ani on pierwszy, ani ostatni intruz, którego ojciec kijem przegania.

– Tyle że Hanna mu sprzyjała, mówiłeś.

– A teraz sprzyja innemu! Jak to dziewczka.

– No ale Zawisza sławniejszy! – zawołałem. – Saraceńskich głów naścinał, a to przecież się tu liczy! Sam widziałem, wiecie przecież, mogę świadczyć, choćby u jej stóp...

– Gadasz jak trubadur – rzekł zniecierpliwiony bakałarz. – Mówię ci, że Tomasz jest blisko króla, ma plany, robi karierę. Wkrótce starostą inowrocławskim go mianują. To dopiero będzie wielka figura! Co z tego, że Zawisza sławny, jak

w oczach Tomasza chudopacholek, młodziak, który tyle ma grosza, co mu wisi przy pasie. To, że gładki, nie znaczy, że może dziewczki bałamucić. Na ojca to nie działa.

– Temu Niemcowi sprzyja?

– A i owszem. Dziwi to wszystkich, bo sam na Niemców zawsze pomstował. Ale Zygryd von Dohn z majątnej rodziny i pod znacznym herbem chodzi, no to jak ma nie sprzyjać?

W tym momencie ktoś wsadził głowę do drzwi i wrzasnął:

– Wieszają! Wieceeszaaaają!

Ludzie ruszyli ku wyjściu. Szybko dopiliśmy resztki piwa, by razem z innymi pchać się ku drzwiom. Żołnierze zostali. Karczmarz też, żeby im usługiwać.

Wokół szubienicy zbił się już tłum.

Całą konstrukcję stanowiła poprzeczna belka podparta z dwóch stron świeżo ściętymi pniakami. Nawet ich nie okorowali. Wpuszczone w dziury w ziemi stanowiły solidną podpore.

Złodziej miał na sobie czystą jasną koszulę. Ręce związane z tyłu. Nie zasłonięto mu twarzy. Chłopiec, dziecko jeszcze. W wieku Kurta albo młodszy. Miał przestraszone oczy, ale wyglądał na pogodzonego z wyrokiem. Widać życie dało mu w kość, bo nie rozpaczał, żegnając się z nim.

Odwróciłem wzrok. Złodziej czy nie – śmierć dziecka jest straszna. Tyle pokoleń za nim i przed nim. I wszystko przepada w jednej chwili.

Młodziutki jest, pomyślałem, to pewno jego matka i ojciec żyją. I nie mają pojęcia, co się dzieje. Matce za chwilę coś wypadnie z rąk. Kobiety czują takie rzeczy na odległość.

Nastała cisza, kat spuścił zapadnię. Tłum wydał jęk, który zagłuszył pęknięcie kręgów. Jednego złodzieja mniej.

Tyniec, jesień roku Pańskiego 1391

- Wołałbym, żeby Kruczka wtedy usiekli. Trzy tygodnie w Garbowie spędziłem i za każdym razem, jak na niego spojrzałem... serce ścisnęło. Chłop jak dąb, a jakbyś z dzieckiem gadał – rzekł Zawisza, przybywszy do Tyńca.
 - Będzie, co Bóg da. Może wróci jeszcze do sprawności – odparł brat Mikołaj.
 - W Stwórcy nadzieja – westchnął Zawisza. – Mówcie, jak z Konstancją wam poszło.
 - Jest cały czas przy dworze. Wszyscy ją szanują jako córkę Piotra Szafranca i dwórkę królowej. Tylko od ciebie słyszę, że ona w tajnej służbie Jagiełły.
 - W amorach mi wyznała...
 - A! – Zakonnik uniósł ramiona. – Jak w amorach, to musi być prawda. Która by cię tam oszukała.
 - Jak się z nią spotkam?
 - Pójdiesz do kościoła Świętej Trójcy. W ten piątek. Na pierwszą poranną mszę. Konstancja co piątek się tam spowiada.
 - W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – przeżegnał się rycerz.
 - Dostaniesz szaty. Brat dominikanin jest uprzedzony. Konfesjonał w bocznej nawie, po prawej. Tylko kaptur nałóż! Ona do spowiedzi przychodzi zawsze w towarzystwie dwórek. Strasznie się boi, że czegoś się domyślą. Musisz uważać.
 - Bóg wam zapłaci, bracie Mikołaju – rzekł Zawisza. – A jak mi kto inny przy kratce klęknie?
 - Będę tam czuwał – uspokoił zakonnik. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... Ja nie pytam, wiedzieć nie chcę, jakie masz plany. Ale jesteś gorączka i się o ciebie boję. To jakaś misterna gra, a nie wiem, czy potrafisz...
 - Bądźcie spokojni. – Zawisza wstał i zaczął zapinać kubrak. – Pora na mnie. A jak tam nasz Aaron?
 - Grzeczny. Mam relację, co tydzień, grzeczny... Panny go tam wszystkie lubią. Żeby czegoś nie narobił!
- Zawisza wzruszył ramionami. Potem jednak nakazał poważnym tonem:
- Pilnujcie go... Jakby miał co nabroić, to go trzeba wyciągnąć.
 - Żydówka mi donosi na bieżąco. Jak trzeba będzie, to go odwiedzę.
- Kościół Świętej Trójcy, jesień roku Pańskiego 1391*

- Dziwne miejsce wybrałeś na schadzkę.
- To nie ja, to zakonnik.
- Ktoś jeszcze wie, że tu jesteś?
- Nie! Tylko brat Mikołaj.
- Ryzykuję głowę, żeby się z tobą spotkać. Już raz ją dla ciebie straciłam, nie zamierzam po raz drugi...
- Potrzebuję pomocy. Chodzi o sprawę kupców. Coś wiesz? I skróćmy słowo wstępne, mamy tylko pacierz.
- Nawet mniej. Skromne niewiasty się tak długo nie spowiadają.
- Jesteś dalej na służbie króla?
- Jak zamierzasz mnie przekonać, żebym znów ci się oddała?
- Wiesz, że ojczyźnie służę. Tak jak ty.
- Tęczyńskiemu...
- Ojczyźnie! Tęczyński to patriota.
- Czego chcesz?
- Już mówiłem. Chodzi o tych pruskich kupców.
- Słyszałam o tym... Wielkie poruszenie na dworze. Król jest szczególnie zaniepokojony. Są dwa trupy, tak?
- Tak, jeden to głowa siatki. Wyglądało na zwykłą śmierć, ale jestem pewien, że to była egzekucja. Potem pierwszy kupiec. Tego widziałem na własne oczy. Był torturowany.
- Wiesz więc ode mnie. Jak ci mam pomóc?
- Kogoś podejrzewacie?
- Wywiad opiera się na Tęczyńskim. Na was. Król nie ma tak licznych służb. Przecież wiesz. Nas jest kilkoro. To za duża dla nas sprawa. Chętnie bym ci pomogła, ale...
- Chcę wiedzieć, co się mówi na dworze...
- Gdyby król się dowiedział, że rozmawiamy... Za dużo wymagasz. Powinniśmy już kończyć. Zerkają na mnie... Nie mogę się za długo spowiadać, bo pomyślą, że grzeszę na boku...
- A nie grzeszysz?
- Już nie. Wychodzę za męża.
- Za kogo?
- Za Jakuba Koniecpola.
- Z rozkazu króla? Nie wdychaj! To spowiednicy wdychają. No więc?
- Ciekawski jesteś.
- Zawsze byłem. Z rozkazu króla?
- Tak. Król chce przed Jakubem wysokie urzędy otworzyć, a martwią go bliskie związki Koniecpolów z węgierskim dworem. Dlatego chce mieć przy nim kogoś

zaufanego.

– Cierpisz?

– Bywało gorzej! To sławny i postawny mąż. Mieliśmy o ratowaniu ojczyzny rozmawiać... Kogo podejrzewacie?

– Piotra Kmitę. Czemu kręcisz głową?

– Skąd wiesz, że kręcę głową?

– Słyszę szelest...

– Kmita ma mocną pozycję na dworze. Gdyby go Tęczyński oskarżył, król wzięłby to za wojnę o władzę. Nie trzeba być królewskim agentem, żeby wiedzieć takie rzeczy. Muszę kończyć! Zgrzeszyliśmy tą schadzka bardziej niż poprzednimi...

– Bóg przebaczy. Chcę się z tobą spotykać. Dla dobra króla. Tęczyński i jego ludzie nigdy się o tobie nie dowiedzą. Na honor przysięgam.

– Nie podoba mi się, że ten mnich wie.

– Ktoś musi nas umawiać! Ja do ciebie podejść nie mogę.

– Zastanowię się.

Kraków, jesień–zima roku Pańskiego 1391–1392

Co tydzień na kolacji szabatowej zbierali się w domu Jordana krakowscy Żydzi. Przychodziło kilka, a czasami nawet kilkanaście osób. Za każdym razem pojawiał się ktoś nowy, a ktoś inny nie przychodził. Tym sposobem poznałem prawie wszystkie najważniejsze postaci tutejszej gminy. Nie była zbyt liczna, myślę, że nie przekraczała trzystu, może czterystu głów.

Nadstawiałem ucha, gdy mowa była o zagranicznych kontaktach tych ludzi – rodzinie, interesach, podróżach religijnych. Żydzi to plotkarski naród, pojawienie się gdziekolwiek takiej pary jak Sticker i Ayhe powinno wywołać komentarze. Do tego Sticker był kupcem, a sieć handlowa przypomina pajęczą – nawet jeśli trąci się ją gdzieś daleko, drgania prędkiej czy później docierają do wszystkich.

Wielkim rozczarowaniem była nieobecność Żydów w Prusach. Ale tu mogłem liczyć na Zawiszę i jego kontakty.

Przed każdą wieczerzą Miriam zarzucała na stół purpurowy obrus, bogato haftowany w złote ryby i ptaki, ustawiała na nim drewniane talerze o złotych brzegach, kilka malowanych półmisek na potrawy, a na środku ozdobny siedmioramienny świecznik. Jordan wystawiał srebrne i złote puchary, misy i inne naczynia, ale tylko dla ozdoby, nie korzystano z nich podczas posiłku. Myślałem z początku, że gospodarze oszczędzają je na większe święta; później dowiedziałem się, że są to przedmioty zastawione przez chrześcijan za pożyczki, a tutejsze zwyczajowe prawo zakazywało ich używania.

Zasiadano tu do trzech szabatowych posiłków: ten najważniejszy spożywano w piątkowy wieczór, drugi w sobotę w południe, a trzeci, najskromniejszy – w sobotę wieczorem. W piątki podawano albo pieczony drób, albo rybę mocno przyprawioną pieprzem i czosnkiem.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy podczas szabatowych kolacji, to brak wyróżniających się ubrań i w ogóle jakichkolwiek oznak żydowskiego pochodzenia. Nikt nie przyszywał sobie żółtych kółek, nie nosił szpiczastych czerwonych kapeluszy. Żydzi ubierali się tak jak chrześcijanie, wśród których żyli, kobiety na krakowską modłę trefiły włosy, a mężczyźni strzygli brody.

Jak już wspomniałem, w trakcie tych spotkań przewinęli się przez dom Jordana chyba wszyscy najważniejsi członkowie tutejszej gminy. Nie chodziło jednak o zwykłą sąsiedzką przyjaźń. Każdy liczący się krakowski Żyd pragnął

utrzymywać z Lewkiem kontakty oparte na relacjach jak najbardziej osobistych. Dom jego ukochanego syna, Jordana, nadawał się do tego wyśmienicie. Wiadomo było, że rekomendacja starego bankiera pozwalała uzyskać urzędy, wkraść się w łaski ludzi z otoczenia króla, otwierała drzwi do najróżniejszych karier. Awans społeczny w krakowskiej gminie nie był możliwy bez prywatnego wsparcia kogoś z żydowskich bogaczy. A za najzamożniejszego i najbardziej wpływowego uchodził właśnie Lewko. Nieustannie nęcano go prośbami i odwdzięczano się darami. Ponieważ Lewko sam prezentów nie przyjmował, obdarowywano nimi jego najbliższych. Dlatego Zoe i mały Józef uwielbiali gości. Lewko to prawdziwy *pater familias*. Siwe włosy i brodę nosił starannie przystrzyżone, chodził sprężystym krokiem, głos miał donośny. Byłem pod wrażeniem jego osobowości, inteligencji, rozmachu w prowadzeniu interesów. Przedstawił mi kiedyś swoich dawnych wspólników ze spółki zarządzającej dzierżawą kopalń soli w Wieliczce i Bochni. To była sprawa tak ważna dla kraju, że licytację dzierżawy osobiście przeprowadził król. Ustalono ją na osiemnaście tysięcy grzywien rocznie. Lewko i jego wspólnicy byli przez kilka lat odpowiedzialni za czwartą część przychodów polskiego królestwa!

Bankier zmagał się z obcym kapitałem, głównie włoskim, który zalewał Polskę i przejmował dzierżawę wielu regaliów. Żupy w myśl królewskiej ordynacji nie mogły zostać sprzedane nikomu, tym bardziej Włochom, ale wokół króla kręciło się wielu takich, co to za kilka srebrników gotowi byli oddać kopalnie w obce ręce. Lewko słuchał z uwagą, gdy opowiadałem o podobnej sytuacji w Aragonii. Dobrze znał kompanię Datiniego. Była obecna w Polsce, miała nawet swoją faktorię w Kazimierzu. To groźni rywale. Ich kapitał był jak zaraza. Jakbym słyszał mojego wuja! Swoimi poglądami na temat Włochów zjednałem sobie sympatię krakowskiego bankiera.

Wśród gości najczęściej przewijały się dwie osoby: Żyd z Pragi, Lipman Jom-Tow, oraz młoda kobieta o imieniu Fatima. Mówiono, że jest *aguną*, czyli kobietą porzuconą przez męża. Na szabatowe wieczery była zapraszana ze względu na swą majątność. Lubiłem, kiedy przychodziła. Przyglądałem się jej dłoniom: smukłe, o barwie miodu, pozwalały domyślać się, jak piękne ciało Fatima skrywa pod szatami. Miriam, żona Jordana, uważała ją za piękność.

Początkowo chciałem rozwiać legendę, jaka mnie tu otaczała, ale szybko tego zaniechałem. Dzięki szatom wielkiego finansisty, w które ubrał mnie Zawisza, czułem się swobodnie pośród goszczących u Jordana żydowskich fortunatów.

Wieści o hiszpańskich pogromach z ubiegłego lata powoli docierały do świadomości Żydów z tej części Europy, dotarły także do Krakowa. Zwłaszcza relacje ze spalenia dzielnicy w Barcelonie i mordów, których dokonano tam na Żydach. Poznałem te straszne wydarzenia dość dobrze z opowieści naocznych świadków i starałem się przekazać słowami ich dramaturgię.



A potem przyszła zima. Podobno takich mrozów nie widziano tu od dawna. Chłód, który wlaził mi pod skórę zawsze i wszędzie, nawet w łóżku pod puchową kołdrą, był tym trudniejszy do zniesienia, że towarzyszył mu brak jakichkolwiek informacji o Ayhe. Nie przychodziły listy z niemieckich miast, nie pisano do mnie z Saragossy. Nie było wieści z Gdańska.

Wychodziłem tylko do pobliskiej synagogi. Dostałem od Jordana ciepłe buty z grubej skóry, ale na twardej i gładkiej jak metalowe lustro podeszwie. Nie umiałem przejść kilku kroków, by się nie wywrócić. Na szczęście zawsze miałem na sobie grubą czapę i dwa futra, jedno nałożone na drugie, co łagodziło upadki na lód.

Musiałem też chodzić do łaźni. Potem Miriam i jej córeczka Zoe pomagały mi szybko osuszyć włosy. Chciałem je skrócić na zimę, ale matka z córką zaprotestowały; gęste, jasne, choć i tak już pociemniałe z braku słońca, długie do pasa u obu budziły zazdrość.

Do miasta udawałem się jedynie po to, by porozmawiać z Rojkiem i zasięgnąć nowin. I tak dowiedziałem się któregoś razu, że na turnieju zorganizowanym przez królową na Wawelu pojawił się Zygfryd von Dohn. Wielu mieszczan wyrażało rozczarowanie, że Zawisza nie przybył, by stanąć z nim w szranki. Rojek zachodził w głowę, co takiego się wydarzyło, że sławny rycerz zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.



Często odwiedzałem krakowskie sukiennice i za każdym razem utwierdzałem się w przekonaniu, że aby pociągnąć za sobą tych ludzi, muszę im zaproponować takie przedsięwzięcie, które wiązałyby się z produkcją lub handlem sukniem. W zaciszu swojego pokoju w kamienicy Maius odtwarzałem w pamięci wiele interesów prowadzonych przez znanych mi aragońskich Żydów. Ostatecznie wybór padł na pewien plan opracowany przez wuja Salomona. Plan nie wszedł w życie z powodu jego śmierci i dramatycznych zdarzeń, które potem nastąpiły. Liczyłem na to, że zyska on aprobatę Lewka i pozostałych bankierów. Na razie zamierzałem przedstawić go w ogólnym zarysie. Potem przyjdzie czas na szczegóły.

Podczas jednej z zimowych kolacji szabatowych, gdy przy stole zasiadło wyjątkowo liczne grono bankierów i zamożnych kupców, uznałem, że nadszedł właściwy moment. Poprosiłem gospodarza, a także samego Lewka, o zgodę na przedstawienie zgromadzonemu inwestycyjnego projektu, nad którym pracowałem przez ostatnie tygodnie. Lewko skinął głową, a Jordan poprosił jedynie, bym chwilę zaczekał, bo nie zjawili się jeszcze wszyscy zaproszeni goście.

Korzystając z okazji, zagadnąłem bankiera o Piotra Kmitę. Pamiętałem o obietnicy złożonej Zawiszy. Liczyłem na to, że w tak szerokim gronie znajdzie się ktoś, kto uchyli rąbka tajemnicy skrywającej tego wpływowego możnowładcę. Ale się przeliczyłem. Lewko oznajmił jedynie oschłym tonem, że jeśli interesuje mnie Piotr Kmita, to powinienem wpierw zająć się jego kancelistą, Peterem Holtem. Ale – tu wykrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu – odradza mi grzebanie w kloacznym dole. Jestem w Krakowie gościem, po co leźć między szczury. Źle mi wśród ludzi? Nikt z obecnych nie zareagował ani na moje słowa, ani na ripostę Lewka. Wyczułem napięcie w ich twarzach. Szybko zmieniono temat.

Gdy dotarli ostatni goście, Lewko rozparł się wygodnie w fotelu, a Jordan skinął głową w moją stronę. Wzięłem głęboki wdech i zacząłem mówić.

Plan w dużym skrócie przedstawiał się następująco.

Wełna to największe bogactwo Aragonii. Liczba owiec sięgała miliona. Nie o ilość tu jednak szło, bo Kastylijczycy mieli trzy razy liczniejsze pogłowie, lecz o jakość wełny. Rodzaj pastwisk i wyjątkowość rasy owiec sprawiły, że w okolicach Teruelu, na południu Aragonii, uzyskiwało się najlepszą wełnę w Europie.

Była ona przy tym tańsza od kastylijskiej. Za *arrobę* trzeba było rok temu zapłacić od trzydziestu do trzydziestu pięciu soldów jakeańskich, a za kastylijską, gorszej jakości – trzydzieści siedem soldów.

Tymczasem od kilku lat na flandryjskim rynku panował kryzys. Anglicy drastycznie ograniczyli podaż, mówiło się, że jeszcze kilka lat temu eksportowali trzydzieści pięć tysięcy worków rocznie. Dwa lata temu było tego zaledwie czternaście tysięcy. A ceny wzrosły o czterdzieści pięć procent. Panikę dodatkowo podsycaly doniesienia z wyspy: tamtejsze manufaktury wytwarzały coraz więcej sukna i istniała realna groźba, że za kilka lat staną się śmiertelną konkurencją dla warsztatów flandryjskich. Flandryjscy tkacze byli zaś głodni wełny jak wilki po ostrej zimie. Pożrą wszystko, co się im wrzuci do pyska.

Z braku angielskiej wełny cierpiały dwa ośrodki: wspomniana już Flandria oraz północna Italia, głównie Florencja. Oba te ośrodki szukały dostawców i znajdowały ich w Hiszpanii. Flandria kupowała trochę wełny szkockiej i irlandzkiej, ale był to towar podłej jakości.

Uprzedziłem słuchaczy, że to przedsięwzięcie dla cierpliwych: od momentu pozyskania wełny do chwili otrzymania za nią zapłaty w Brugii mógł upłynąć nawet rok! Ten interes wymagał inwestycji, wcześniejszych nakładów i precyzyjnie opracowanego szlaku transportu – najpierw lądowego, potem morskiego.

– O sprawy transportu nie trzeba się martwić – podniosłem głos, bo dostrzegłem, że dwóch bankierów zaczęło ze sobą rozmawiać. – Jedyne, czego brakuje w Aragonii, by uruchomić przedsięwzięcie, to pieniądze.

Wszyscy się roześmiali. Ja też się uśmiechnąłem.

– Zanim żydowskie gminy w Hiszpanii wstaną z kolan – ciągnąłem – miną długie lata. Nie ma tam teraz ani jednego florena do zainwestowania. To wielka szansa dla tych, którzy mają dostęp do kredytów. Dla was.

– Drogi Aaronie – odezwał się Lewko – czy o regionie z najlepszą wełną w Europie wiesz tylko ty?

Kilku Żydów znów się uśmiechnęło.

– Nie – odparłem. – Włosi wprowadzają tam w ruch swoje interesy już od wielu lat.

– Włosi... uciążliwy konkurent! – rzucił jeden z bankierów.

– Do pokonania są trzy przeszkody – mówiłem, patrząc teraz na niego. – Włoscy kupcy, przekonanie lokalnej społeczności, by powierzyła swój los w ręce Żydów, i trudność ostatnia: lokalna władza, która jest nam, Żydom, przeciwna i sprzyja Włochom.

Znów zaczęli zadawać mi pytania. W ich głosie brzmiała nuta rezygnacji, zawodu. A ja odpowiadałem spokojnie, najbardziej rzeczowym tonem, na jaki umiałem się zdobyć. W końcu powiedziałem:

– Teraz sytuacja wygląda tak, że osiemdziesiąt pięć procent wełny z Teruelu kupują spółki włoskie, a piętnaście procent kupcy z Walencji. Ani jedni, ani drudzy nie mają interesu w rozwoju lokalnego przemysłu. Kupują tanio dobrą wełnę, zostawiając miejscowym tyle, żeby mieli co zjeść, aby móc dalej hodować i strzyc owce. To wielka niesprawiedliwość, że ten region jest pogrążony w nędzy. Włosi i Walencjanie stosują system zaliczkowania. Płacą około sześćdziesięciu procent ceny. W ten sposób gwarantują sobie odpowiednią ilość wełny za niską kwotę. Wpłacając nędzną zaliczkę, uzależniają od siebie hodowców i mogą uzyskiwać lepsze ceny.

Jordan obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem:

– Gdzie tu interes? Mamy zastany układ, jak widać dobrze działający.

– Pomysł polega na tym, aby w rejonie Teruelu z jednej strony stworzyć centrum produkcji, a z drugiej odebrać Florentczykom monopol na handel wełną. Przejść go i skierować na północ, do Baskonii, a stamtąd do Flandrii. To trudna operacja, ale duże pieniądze wymagają dużego wysiłku.

– Tyle to wiemy... – mruknął Lewko. – Jak chcesz przekonać ludzi, żeby zrezygnowali z małych, ale pewnych pieniędzy od Włochów?

Zawahałem się tylko na moment. Odpowiedziałem z pasją:

– Włosi doprowadzili do nędzy cały region. Kupują na miejscu surowiec za bezcen i sami zarabiają w swoich tkalniach. Aragończycy to wiedzą. Region cierpi biedę. Dzieci wysyłane są do pracy do Walencji, do Saragossy, rozpadają się rodziny. Kupcom nie zależy na rozwoju tamtejszych manufaktur. Kupili sobie lokalne władze i tak trwają. Niby przywożą pieniądze, ale ludzie je przejadają, bo nic nie produkują i całkowicie uzależniają się od małego, ale łatwego grosza. Mamy możliwości, aby otworzyć dla nich rynki zbytu. W całej Hiszpanii jest zbyt na

sukno gorszej jakości. Tkanin najwyższej jakości nie wyprodukujemy, bo do nich są potrzebne bardzo drogie krosna i armia wyszkolonych tkaczy. Ale na gorsze sukno będzie zbyt. A to już będzie wielki skok dla tej społeczności. Wciągniemy w produkcję wszystkich. Kto tylko ma dach nad głową, będzie mógł dla nas produkować. Wstawimy im maszyny do domów. Jak się dorobią, wykupią je i staną się rzemieślnikami.

– To prawdziwa obietnica?

– Nie dla wszystkich. Ale części się uda. Obiecać musimy wszystkim...

– Na ile szacujesz te inwestycje? – spytał Lewko.

– Osiem, dziesięć tysięcy grzywien.

– Czyli szesnaście, dwadzieścia tysięcy... – Bankier oparł łokcie na kolanach, przymykając oczy. Po chwili podniósł głowę. – To zbyt ostrożne szacunki, chłopcze. Zastanowimy się nad twoją propozycją. To ogromne przedsięwzięcie, nie spodziewałem się... Zadamy ci jeszcze wiele pytań.

Tyniec, zima roku Pańskiego 1392

Zawisza wszedł do skryptorium przyprowadzony przez jednego z wartowników. Zakonnik podniósł głowę znad pulpitu. Uśmiechnął się na widok gościa. Wskazał mu ławę przy ścianie.

– Muszę nogi rozprostować. Od dwóch niedziel w siodle je wyginam. – Zawisza wyrzucił ręce nad głowę i przeciągnął się. – Niech będzie pochwalony!

– Niech będzie pochwalony – odpowiedział brat Mikołaj.

– No to mówcie, coście ustalili! Jakież nowiny?

Zakonnik, wciąż stojąc przy pulpicie, podjął:

– Na razie są trzy trupy, wszyscy utopieni, wszyscy okaleczeni na torturach. Po tym, co widziałeś w Gdańsku, kazałem sprawdzać. Mamy do czynienia ze zdrajcą, teraz nikt nie ma wątpliwości!

Zawisza założył ręce za plecy, pochylił głowę i słuchał w skupieniu.

– Zabójstw dokonywano zawsze w dużych odstępach czasu – ciągnął zakonnik. – Zakładam, że zdrajca podawał nazwisko, otrzymywał zapłatę, wtedy Krzyżacy brali się do sprawdzania kupca, a potem się go pozbywali. W ten sposób byli utrzymywani w niepewności, ale jednocześnie musieli zaufać zdrajcy. W końcu brali za gardła swoich wiernych od lat dostawców. W miarę upływu czasu zaufanie do zdrajcy wzrastało, każdy kupiec bowiem, zanim zadano mu śmierć, był dokładnie przesłuchiwany. Nie mogli inaczej. Musieli najpierw zebrać dowody. A te najwyraźniej za każdym razem potwierdzały trafność wskazania. Wyobrażam sobie to poruszenie, niedowierzanie, gdy okazywało się, że oto kolejny lojalny pruski kupiec szpiegował dla nas.

– Sprawdzali za każdym razem?

– Tak, choć może mniej wnikliwie niż na początku. Między drugą a trzecią egzekucją była krótsza przerwa niż między pierwszą a drugą.

– Ustaliliście, kto znał pełną listę kupców? – spytał Zawisza.

– Król – odparł zakonnik. – Ma dostęp, ale nie wiem, czy zna wszystkie nazwiska. Wątpię, by się tym interesował tak szczegółowo. Następnie jego sekretarz Mikołaj Kurowski, potem... Jan z Tęczyna, Jakub Koniecpol i ja. Do tego dochodzi wielu takich, którzy znali tylko jednego szpiega...

– Co to za ludzie?

– Zaufani agenci handlowi, którzy organizowali dostawy. – Brat Mikołaj

wykrzywił twarz grymasem mówiącym, że to nic istotnego. – Znali tylko jednego kupca, tylko tego, którego prowadzili. Tak samo kurierzy z listami i pieniędzmi, księgowi przygotowujący płatność... I to chyba wszyscy.

Zakonnik podrapał się po czole.

– Aby dopaść zdrajcę, musimy wytypować tych, którzy mogli mieć dostęp do listy kupców oraz mieli jakiś powód do zdrady. – Podkasał rękawy, żeby swobodnie operować dłonią. – Najpierw dostęp. Król... – mówiąc, pokazywał na palcach – ...starosta Tęczyński, Jakub Koniecpol. Ci nie mają listy na piśmie. Znają ją, ale nie można im jej wykraść, musielibyśmy sami zdradzić, co wykluczam. Takie były zasady. Nazwisko zapisywano tylko w miejscu, gdzie odbywały się analiza i rozliczenia. Czyli w Tyńcu, u mnie, i w królewskiej kancelarii, czyli u Mikołaja Kurowskiego – wyprostował dwa kolejne palce – zaufanego królewskiego notariusza oddelegowanego osobiście przez króla do rozliczania wypłat dla kupców. Kurowskiego i siebie samego również wykluczam jako zdrajców.

Zawisza uniósł obie ręce na znak, że w pełni się z tym zgadza.

– Ale tylko wy macie dokumenty, do których teoretycznie można się dostać. Które można wykraść, przeczytać, skopiować *et cetera*.

– Tyle że nie ma możliwości – zapewnił brat Mikołaj – aby ktoś dostał się do Tyńca!

– I ja tak uważam. Pozostaje kancelaria królewska. Tam jest dziura, przez którą włazi szczur – skwitował Zawisza. – To musi być ktoś ze ścisłego otoczenia króla, kto ma dostęp do tajnej części kancelarii na równi z królem.

– Tak właśnie! A teraz drugie sito, czyli motyw – powiedział zakonnik. – Myślę, że zamiarem zdrajcy nie była natychmiastowa likwidacja siatki. On nie pragnął efektu wywiadowczego, czysto wojskowego, praktycznego. Chodziło raczej o rozciągnięcie wszystkiego w czasie: sprawdźcie go, utopcie, a dostaniecie następnego. Wygląda to tak, jakby komuś zależało na jak największym zamieszaniu wokół tej sprawy. W taki sposób osiąga się cele polityczne. Kto jest najbardziej poszkodowany? Starosta sieradzki Jan z Tęczyna! Gdyby zdrajca chciał zaszkodzić polskiemu królowi, inaczej by rzecz przeprowadził. Zgadzasz się ze mną?

– Tak – potwierdził Zawisza. – Mówcie dalej!

– Król lubuje się w szpiegowskich działaniach, jak każdy Litwin. Wywiad to jego oczko w głowie. Interesował się tą siatką. Doceniał korzyści, jakie z niej płynęły. Zwłaszcza w uprzedzaniu Litwinów przed rejzami. Spadło na Tęczyńskiego wiele zaszczytów... Ale teraz klęska, jaka dotknęła nasz wywiad, jest przede wszystkim jego klęską jako starosty sieradzkiego. Nikogo innego. Takie jest powszechne uważanie. Do tego doszła porażka w wojnie z Opolczykiem. Najlepszy dowód na słabość polskich wywiadowców. Na dworze krąży pogłoska, że Jagiełło przemyślał powierzenie Tęczyńskiemu funkcji wicekróla! To daleka droga, ale

zapowiedź awansu na drugą po królu personę w państwie musiała niepokoić jego rywali. Długotrwałe osłabienie Jana z Tęczyna jest im bardzo na rękę i przychodzi w samą porę! I prawie dopięli swego, bo starosta złożył zapewnienie, że odejdzie z urzędów, jeśli nie wykryje zdrajcy...

Zakonnik lekko się uśmiechnął.

– A ten na pewno brał od Krzyżaków pieniądze. Zapewne żądał dużo, chociażby po to, by się uwiarygodnić. Tania informacja nie ma żadnej wartości. Zdemaskowanie takiej siatki... jest dla Malborka warte fortunę.

– No i...? – spytał Zawisza.

– Zbadałem majątki wszystkich ziaren, które przeszły przez oba sita.

– Zbadaliście? Jak? Chodziliście po kancelariach, rozpytywaliście na dworze?

– Miałem wiele miesięcy. Wiesz, ilu ludzi mi donosi...

– Dobrze, nieważne. – Machnął ręką Zawisza. – I wyszło wam, że to Piotr Kmita?

– Tak, pasuje jako jedyny. Pisałem ci już o tym w listach. Nic się nie zmieniło.

Zapadło milczenie. Zawisza założył ręce za plecy i zrobił parę kroków. Minął zakonnika, potem zawrócił. Ale nic nie powiedział.

– Piotr Kmita – ciągnął zakonnik – ślepo wierzy w swój obóz. Walczy z Tęczyńskim i darzy go... niechęcią. Rywalizuje z nim o wpływy przy królu. Ma dobre stosunki z Krzyżakami... z Karolem von Lichtensteinem...

Zawisza podniósł rękę na znak, że to wszystko już wie.

– Co z jego majątkiem? – spytał.

– Pracowałem nad tym pół roku...

– Pytam, co wykryliście!

– W ostatnim roku: zakup kilku wsi, rozbudowa zamku w Wiśniczu, kupno drugiego domu w Krakowie. Tysiące grzywien, na które nie ma żadnego pokrycia we wpływach. Mam podać szczegóły?

– Nie, nie, zostawcie. – Zawisza machnął niedbale ręką.

– Dochody z ziemi, czynszów i handlu nie pokrywają trzeciej części wydatków – kontynuował zakonnik.

– Może nie poznaliście wszystkich? Mam na myśli dochody. Krzyżacy nie są tacy hojni w płaceniu wywiadowcom...

– Na ich miejscu za nazwiska kupców zapłaciłbym każdą cenę.

Zawisza przysiadł z ciężkim westchnieniem na krańcu ławy. W końcu powiedział:

– Zgoda. To Kmita. Ale Tęczyński w to nie uwierzy... Będzie nalegał, żeby zaniechał śledztwa, bo to do niczego nie prowadzi, wywoła tylko polityczną burzę, której teraz nie potrzebujemy, że to zaufany najjaśniejszego pana i podważając jego wiarygodność, podważamy autorytet samego króla. I tak dalej. Znam go...

– Myślę, że dowody kryje zamek Kmity w Wiśniczu – orzekł zakonnik podniesionym głosem. – Ty musisz wpłynąć na Tęczyńskiego, żeby zgodził się na przeszkanie...

Zawisza skinął głową, ale nic nie powiedział. Oparł się plecami o ścianę. Potarł oczy: były zmęczone i nabiegłe krwią.

– Dostałeś list? W sprawie Konstancji? – spytał zakonnik.

– Tak to napisaliście, bracie Mikołaju, że długo się nie mogłem połączyć.

– Postarałem się... Może być w tym samym kościele?

– Skoro tak ustaliliście...

– Ty ją widzisz zza tych krat?

– Nie!

– Żałuj! Nawet przez kozuszek przebija jędrna pierś...

– Widywałem ją już bez kozucha – przerwał mu Zawisza. – Mówiłem wam, że teraz to tylko polityka.

– Jak jej powiedziałem, że znów chcesz się z nią zobaczyć, to oczy... – Zakonnik wyciągnął przed siebie obie dłonie z kciukami i palcami wskazującymi zetkniętymi tak, że tworzyły dwa koła. – ...takie wielkie się jej zrobiły z ochoty.

Kraków, zima roku Pańskiego 1392

Po kolacji czekałem, aż ostatni goście opuszczą salon, i udałem się do swojego pokoju. Czułem zmęczenie przemową oraz emocjami. Najwyraźniej wyszedłem z wprawy. Nagle usłyszałem za sobą szybkie kroki. Ktoś chwycił mnie za rękę. To był Jordan.

– To prawda, że jesteś najbogatszym Żydem w Saragossie? – zapytał, odciągając mnie od drzwi.

– Nie wiem – odparłem dopiero po chwili, zaskoczony pytaniem. Jordan się roześmiał.

– Tak, bogactwo to zawila materia... Nigdy nie wiadomo.

Opadł na sofę, rozparł się wygodnie i wskazał mi ręką krzesło naprzeciwko.

– A że przyjechałeś tu za tą Arabką? To prawda? Czy też nie wiesz?

– Tak, to prawda...

– Zawisza mówił, że ściągnął cię tu, by powierzyć ci jakieś zadanie... To tylko ta inwestycja w wełnę? Twój plan jest ładny, ale nie wierzę w niego. Nie tylko ja. Chyba to zauważyłeś?

Niewolnik Pilos kończył sprzątanie, krążył między salonem i kuchnią. Przesuwał krzesła, składał naczynia jedno w drugie. Przysłuchiwałem się tej krzątaninie. Liczyłem na to, że jeszcze wróci Miriam. Nie miałem ochoty ciągnąć tej rozmowy.

– Siadaj. – Jordan jeszcze raz wskazał mi krzesło. – Albo nie! Masz rację, przejdźmy się. Pokażę ci kirkut. Nocą jest wspaniały. Wyjdziemy za bramy.

– Chyba są już zamknięte...

– Ja jestem Jordan, syn Lewka! – Uderzył się w pierś jak wojownik. – Mnie wszystko wolno!

Ubrawszy się ciepło, wyszliśmy z domu i ulicą Żydowską doszliśmy do murów miejskich. Strażnicy przy bramie stali nieruchomo w blasku nikłego ogniska, które rozświetlało ich sylwetki ledwie do pasa i musiało dawać marne ciepło. Przyjęli drobną monetę. Olbrzymi klucz zazgrzytał w zamku. Wyszliśmy za miasto.

Jesienią przechadzałem się tędy. Tuż za murami znajdowały się liczne sadzawki, a dalej, aż do cmentarza żydowskiego, rozciągały się ogrody.

Mróz w ostatnich dniach ustąpił i teraz wszędzie zalegał mokry śnieg. Księżyc jasno świecił. Wyrastające z ziemi macewy majaczyły na horyzoncie już z daleka. Wyglądały jak fasady domów antycznego miasta pogrążonego w wiekuistej ciszy.

Były macewy o prostokątnym kształcie, ale też takie, których górna część kończyła się półkoliście lub trójkątnie. Większość wykonano z kamienia, granitu lub piaskowca, ale wiele było drewnianych.

Ciszę przerwał głos Jordana:

– Na kolacji pytałeś o Kmitę... Nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać... Nie rób tego, bo sprowadzisz nam kłopot na głowę.

– Pytałem o wiele rzeczy!

– Pytałeś o Kmitę, Aaronie. Gdybyś przegadał z tymi Żydami całą noc i wypytywał o tysiąc spraw, a na koniec zapytał o Kmitę, to wiesz, co by powiedzieli? Że całą noc wypytywałeś o Kmitę. Wszyscy słyszeli, jak rozmawiałeś z moim ojcem. Po co? Nie masz do czynienia z głupcami. Ostrzegam cię, żebyś tego więcej nie robił.

– Dlaczego?

– Bo nie. – Jordan machnął niecierpliwie ręką. – Już ci mówiłem: nie chcę kłopotów. Twoich! – dodał po chwili. – Dość już mam swoich.

Zatrzymaliśmy się przed jedną z półkolistych macew. W jasnym świetle księżyca dostrzegłem wyrytą w kamieniu koronę trzymaną przez dwa gryfy. Hebrajska inskrypcja głosiła: „Są trzy korony: korona Tory, korona kapłańska i korona królewska, ale Korona Dobrego Imienia przewyższa je wszystkie”.

– Tu spoczywa teść Fatimy. Zmarł niedawno. – Jordan powolnym ruchem zgarnął czapę śniegu z górnej krawędzi kamienia.

– Piękna macewa... – Domyślałem się, dlaczego tu przystanęliśmy.

– Fatima to bardzo bogata kobieta – powiedział Jordan, spuszczać oczy. – Nie minął miesiąc, odkąd przyszedł respons, a już toczą się walki między kandydatami do jej ręki.

– O jakim responsie mówisz?

– Rodzina jej męża, Mojżesza Kuthera, została wygnana z Kolonii i wyemigrowała do Polski. Niemcy oskarżali Żydów o sprowadzenie zarazy i tak ich gnębili, że życie tam stało się nieznośne. Gdy jednak Kolonia zaprosiła Żydów do ponownego zamieszkania w mieście, pozwoliła im odbudować synagogi, mieć własne sądy i zajmować się kredytami, Mojżesz Kuther postanowił tam wrócić. Zobaczyć na miejscu, jak wyglądają te obietnice, i potem ściągnąć młodą żonę, Fatimę. Ale nigdy na miejsce nie dotarł. Żydowska gmina, jaka się tam odbudowała, była mała, liczyła może trzydzieści, czterdzieści rodzin, więc wieść o zaginięciu Mojżesza szybko dotarła do Krakowa. Mógł zachorować i umrzeć po drodze, mógł też zostać zabity. Ale na pewno nie zostawiłby żony, bo takiej żony nikt przy zdrowych zmysłach by nie porzucił. Piękna i bogata.

– I co dalej?

– *Aguna*, czyli kobieta, której mąż jest nieobecny przez długi czas – ciągnął Jordan wpatrzony w macewę – może uzyskać rozwód tylko wtedy, gdy udowodni, że jej mąż nie żyje. Tyle chyba wiesz? Trudna sprawa, ale gminie zależało na majątku

Fatimy, wiele rodzin chętnie wydałoby za nią swych synów. Postarano się więc o zeznanie pewnego kupca, Żyda z Poznania. Ten potwierdził, że widział po drodze trupa kogoś podobnego, zabitego przez zbójów. Opisał go jednak nie dość dokładnie. I nasz rabin zaprotestował. To za mało, mówił, wskazać, że ten zabity miał czerwoną twarz, czarne oczy, czarne włosy, a nos guzełkowaty i spłaszczony jak motyka. Wszyscy tak wyglądamy, mówił. – Jordan roześmiał się, ale nie było w tym ani krzty wesołości. – I nie zgodził się na rozwód. Fatima pogodziła się z wyrokiem, ale na krótko. Walczyła z rabinem, aż ten po dwóch latach zgodził się posłać zapytanie do rabina Ratyzbony z prośbą o wskazówkę.

– I co rabin na to?

– Wracajmy już. – Jordan rozejrzał się wokół, jakby upewniając się, że jesteśmy sami. A potem mówił dalej: – Rabin Ratyzbony odpowiedział, że relacja jednego świadka nie pozwala osądzić, czy zmarły był tym zmarłym, o którego toczy się sprawa. Ale nie należy też być zbyt surowym dla młodej kobiety, bo do końca życia zostanie *aguną*.

Szliśmy wolnym krokiem, zapadając się po kolana w mokrym śniegu.

– Respons przyszedł kilka tygodni temu. Tuż przed twoim przyjazdem. Część ludzi nie chce widzieć w tym zwykłego przypadku.

Przystanąłem zdziwiony. Jordan się uśmiechnął.

– Słyszałem już plotki, że to gra kogoś z możnych albo nawet króla, który ma jakieś interesy w twoim kraju i obiecał ci Fatimę. – Zamilkł na chwilę. – Gmina nie przeżyłaby takiej straty.

– To absurd!

– O, nie aż taki, jak się wydaje.

– Przecież nikt w to nie uwierzy. Ty wierzysz?

– Nic nie wiesz o tutejszych stosunkach – odparł Jordan. – Tu Żydzi czują się bezpieczni, to prawda, ale są własnością króla, który kocha nas i szanuje jak swoje myśliwskie psy.

– Dlaczego miałbym się starać...

– Fatima spytała mnie wczoraj – wpadł mi w słowo – czy może cię odwiedzać...

– Może chce się dowiedzieć czegoś o...

– O aragońskich owcach? Co Hasday Crescas napisał nowego o Arystotelesie? – Znów mi przerwał. – Nie udawaj głupca! Zawisza mnie ostrzegał...

– Ostrzegał przed czym?

– Przed tobą! Dobrze, że powiedziałaś o tej Arabce, to może ludzi uspokoi.

– Jestem tu, żeby ją odszukać! – powiedziałem zdecydowanie za głośno jak na miejsce i porę. Jakoś się opanowałem. – Już mówiłem. Nic innego mnie nie obchodzi. Możesz być spokojny o Fatimę.

– To dobrze. Wierzę w twój rozsądek. I uważaj: ona chce stąd uciec. Jest gotowa na wszystko. Wykorzysta cię, jeśli jej pozwolisz.

Przyspieszyliśmy kroku, bo wydawało się, że podniesione głosy spóźnionych mieszczan dobijających się do sąsiedniej bramy zaczęły się do nas zbliżać. Jordan zastukał w bramę. Ta się otwierała. Znow wrocław strażnikom monetę. Za nami zaskrzypiały żeliwne zawiasy.

– Na razie gmina patrzy na ciebie życzliwie, bo masz poparcie moje i mojego ojca, a to dużo znaczy. I przybyłeś tu w interesach, prawda? – Posłał mi szybkie spojrzenie. – Jesteś tu, żeby pomóc naszym Żydom pomnażać ich majątki. Im dłużej będą w to wierzyć, tym lepiej.

– Ty nie wierzysz?

– Nie. Nie wiem, po co cię tu Zawisza ściągnął. I jak słyszę, ty sam jeszcze nie wiesz. Myślę, że prawdziwe intencje szybko ci wyjawia – powiedziawszy to, zniknął w bramie domu.

Ja miałem ochotę jeszcze pospacerować. Księżyc świecił ostrym światłem. Dzielnica żydowska tworzyła niewielki kwartał położony pomiędzy ulicą Żydowską, murami obronnymi, ulicą Garncarską i bezimienną przecznicą równoległą do murów. Stały tu synagoga, szpital, szkoła i łaźnia.

Na końcu platea Iudaeorum, przy murze, wznosił się po prawej stronie drewniany kościół Świętej Anny, stąd ulicę naszą nazywano też platea Sanctae Annae.

Mieszkając tu przez długie miesiące, zdałem sobie sprawę, jak uboga jest to gmina. Poza pierzeją ulicy Żydowskiej, okazałą, częściowo murowaną, zabudowa mieszkalna i gospodarcza była w większości bardzo skromna, drewniana.

Tęczyn, wczesna wiosna roku Pańskiego 1392

– Nareszcie! – zawołał Jan z Tęczyna, gdy Zawisza zjawił się w jego komnacie. Wyprawa wojenna sprawiła, że wcześniej wymieniali się tylko listami. To było ich pierwsze spotkanie od powrotu Zawiszy do kraju.

– Panie... – Zawisza pochylił głowę w ukłonie.

Starosta podszedł do młodzieńca i położył mu dłonie na ramionach. Chwilę mu się przyglądał.

– Zmężniałeś!

Jego oblicze zdradzało wielką radość i dumę z dokonań młodzieńca. Ale to ożywienie szybko zgasło. Starosta usiadł z powrotem za biurkiem i gestem zachęcił Zawiszę do zajęcia miejsca naprzeciwko.

Sam nalał wina z dzbana stojącego na stole i podał kielich Zawiszy.

– Za twój powrót!

A potem zwrócił się do rycerza poważnym tonem:

– Krzyżacy poskarżyli się na ciebie przed biskupem krakowskim. Ktoś doniósł komturowi, że zbeczczyłeś zwłoki kupca... Krzyżacy przysłali listy: do króla, do biskupa Krakowa, nie wiemy do kogo jeszcze. Spodziewaj się kłopotów.

– Musiał grabarz wygadać.

– Trzeba mu było lepiej zapłacić!

– Mikołaj dał mu trzy szelągi. Tyle dostaje taki padalec jak on za wykopanie grobu. Nie mógł dostać więcej, byłoby to podejrzane.

– To nie koniec. Podobno pobiłeś...

– Tak, najemników Lichtensteina! – Zawisza przerwał staroście uniesionym głosem. – Szukali mnie. Tylko ich uprzedziłem. Bronilem się.

– Gdański komtur twierdzi w liście, że ci dwaj pobici to byli jego goście, zakonnicy z Cluny. Jeden z nich już nigdy nie będzie mówił, drugi ma połamane ręce i nogi, jakby lawina po nim zeszła...

Zawisza się roześmiał.

– Skoro zakonnicy, to ich Bóg ponaprawia.

– To nie było śmieszne!

– Nie miało być.

– Nie tak powinniśmy z nimi wojować.

– Lepiej tak niż wcale!

– Zmęźniałeś, ale i zhardziałeś. Dawno się nie widzieliśmy... – Starosta przyglądał się Zawiszy surowo, ale i z zaciekawieniem. – Podobno kłułeś tego trupa nożem. Tak zeznał grabarz. Wcześniej rozbieraliście zwłoki.

Zawisza milczał.

– Po coś go nożem dźgał? Byłeś pijany?

– Chciałem sprawdzić, czy miał wodę w piersi...

– Po co?

– Gdyby miał, oznaczałoby to, że żył, gdy go wrzucali do rzeki.

– No i?

– Miał!

– No i co z tego?

– Nie wrzucili do wody zwłok. Kupiec jeszcze żył. Utopili go. To znaczy, że kupiec nie umarł podczas przesłuchania. A to oznacza dwie rzeczy: *primo* – uznali, że powiedział im wszystko, co wiedział, i *secundo* – utopili go jak szpiega, a więc wiedzieli, że pracuje dla nas.

Zawisza przerwał. Czekał, aż starosta coś powie, ale ten milczał.

– Wiecie, panie, że Krzysztof Lobeschitz nie był bohaterem. Skoro więc wyciągnęli od niego wszystko, co wiedział, znaczy, że kupiec zgodnie z założeniem nie znał pozostałych ludzi z siatki, bo gdyby znał, to wygadałby ich nazwiska. Wtedy Krzyżacy nie czekali by tyle tygodni, żeby wyeliminować następnego. A tyle czekali. Dlaczego?

W oczach Tęczyńskiego pojawiła się ciekawość.

– Bo ten, kto przekazuje im nazwiska kupców, zwlekał tak długo. Dlaczego? – zapytał ponownie Zawisza i znów sam odpowiedział: – Tego nie wiemy, ale wiemy, że Krzyżacy są bez niego ślepi i głusi. Po to kłułem pierś trupowi. Żeby to potwierdzić. – Zawisza zamilkł. Potem dodał: – Kupiec, którego zwłoki oglądałem, był torturowany.

– Wiem... – odparł starosta. – Ci następni także... A ten, jak bardzo?

– Nigdy nie widziałem tak okaleczonego ciała.

Twarz starosty była nieporuszona, ale zacisnął mocno dłoń na kielichu.

– Muszę odpocząć. Pół roku w polu spędziłem, nie mogę dojsć do siebie – powiedział po chwili. Ciężko oddychał, był wyraźnie wstrząśnięty. – Każę ci tu przynieść coś do jedzenia.

Ruszył w kierunku wyjścia. Zatrzymał się przed progiem i odwrócił.

– Gdy dołączy do nas brat Mikołaj... chcę, żebyście zdali sprawę ze śledztwa.

– Wiemy, kto wydaje Krzyżakom kupców – oznajmił Zawisza.

Tęczyński uniósł pytająco brwi.

– To Piotr Kmita – rzucił Zawisza.

– Masz całkowitą pewność?

– Tak.

– Szukaj dalej – polecił starosta. – Wszyscy mamy tę jedną sprawę w głowie. Ja też mam swoje podejrzenia.

Zawisza podszedł kilka kroków. Śmiało spojrzał Tęczyńskiemu w oczy.

– Królowa organizuje turniej... Panie, pozwól mi...

Starosta energicznie potrząsnął głową.

– Nie!

– Zygfyrd stara się o rękę Hanny! – Zawisza nie ustępował. – Jak można było do tego dopuścić? Nie zdzierzę dłużej!

– Występki Zygfyryda to prowokacja! Nie widzisz tego? Nie bądź głupcem!

– W Krakowie już mnie mają za głupca. I za tchórza...

– Już powiedziałem nie! – uciał starosta. – Najpierw twój Aragończyk musi nam podać Karola von Lichtensteina na tacy. Potem dam ci wolną rękę.

Kraków, dzielnica żydowska, wiosna roku Pańskiego 1392

Kolacje szabatowe nie były już spożywane w tak licznym gronie. A ja utraciłem status lokalnej atrakcji. Ponieważ swaci nie dostali ode mnie zlecenia, a Fatima zdawała się przychylnie spoglądać na kilka propozycji, nieufność wobec moich intencji została tymczasowo zawieszona.

Z upływem kolejnych tygodni i miesięcy, ogarniało mnie poczucie beznadziei. Codziennie zadawałem sobie pytanie o sens mojego tkwienia w tym mieście. Irytował mnie brak wieści od Zawiszy. Czyżby zapowiedzi rozprawienia się z Zygfydem miały się okazać czczymi przechwałkami? Rojek nie umiał tego wyjaśnić. Za mojego pobytu w Krakowie na Wawelu odbył się już drugi turniej. I po raz drugi ku uciechu niemieckiego mieszczaństwa tryumfował Zygfyd von Dohn.

Coraz częściej w odwiedziny do domu Jordanów, poza porą szabatowych kolacji, przychodziła Fatima. Gdy zostawaliśmy sami, skarżyła się na swatów. Nie dawali jej spokoju. Wyznała, że tylko udaje zainteresowanie ich ofertami.

Widywałem młodą *agunę* dwa razy w tygodniu. Opowiadałem o Crescasie, bo – wbrew przewidywaniom Jordana – o niego pytała. Przytaczałem z pamięci fragmenty jego pism i anegdoty, jakie krążyły na jego temat. Opowiedziałem też, jak kiedyś pijany spadłem z bramy podczas zamieszek antyżydowskich w Saragossie i jak Crescas wspaniałomyślnie wybaczył mi potem moje kłamstwa.

Fatima stwierdziła, że po polsku mówię już lepiej od niej, więc zaczęła mnie uczyć jidysz. Bawiło mnie jej zaangażowanie. Śmiała się i klaskała w dłonie z podziwu, że tak łatwo wszystko zapamiętuję. Spisywała listy trudnych wyrazów w jidysz, a potem je czytała i kazała powtarzać. Czasami, żeby sprawić jej przyjemność, myliłem kolejność słów.

Po jednej z takich lekcji oznajmiła tonem, który nie zdradzał ani radości, ani z troskania, że zdecydowała się przyjąć jednego ze swatów. To już całkowicie uspokoiło gminę. Odbywały się teraz negocjacje w sprawie posagu. Jej się nie spieszyło, twierdziła, ale kandydat proponowany przez swata był miłym i bardzo zamożnym Żydem. To syn Osmana, Szmul, mieszkał obok. Pomiędzy naszymi kamienicami.

– Osman będzie teraz jeszcze bardziej pilnował, czy mnie nie nachodzisz. Ja ciebie mogę, bo zawsze jest żona Jordana i dzieci. Ale ja mieszkam sama, nie mam nawet

służby.

Podczas naszych spotkań drzwi, dla przyzwoitości, zawsze pozostawały otwarte. Często towarzyszyła nam Zoe, która lubiła Fatimę. Udawała, że uczy się razem ze mną i boi się Fatimy nauczycielki. Gdy Zoe wychodziła, szybko omawialiśmy jakieś plotki z miasta.

Któregoś dnia młoda wdowa opowiedziała mi swoją historię. Nie przyznałem się, że już ją znam. A potem niespodziewanie zaczęła mówić, jak wspaniałym człowiekiem był jej mąż, jak bardzo go kochała. Chodził na targ przed szabatem i jak nikt znał się na rybach, owocach i warzywach, umiał się targować, nie dawał się oszukiwać. Najbardziej lubił spędzać czas w domu, z nią, Fatimą, pomagał w kuchni, szorował przypalone patelnie. Pragnął dzieci, chciał mieć ich dużo, jak najwięcej. Nigdy nie podnosił na nią ręki, a nawet jeśli odpychał ją w kłótni lewą ręką, to zaraz przyciągał ją na powrót prawą. Nie był przesądny, ale ona była. Uważała, że wszystko zło spadło na nich przez to, że wzięli ślub między Pesach a Świętem Tygodni. Nie powinni byli brać wtedy ślubu, tradycja to tradycja. Wszystko przez tę nieszczęśliwą porę.

Nigdy potem już do tego nie wracaliśmy.

Fatima chętnie kreśliła portrety tutejszych ludzi, nie tylko Żydów. Była bystra i obracała się w barwnych kręgach krakowskich *litterati*, czyli ludzi wykształconych, posiadających umiejętność czytania i pisania. Żydów, chrześcijan, wszelkiej maści cudzoziemców. Znała ich wszystkich, bo handlowała tym, czego potrzebowali.

O swoich interesach też chętnie opowiadała. Sprowadzała z całej Europy pergamin, i to zarówno południowy, zapisywany tylko z jednej gładzonej i kredowanej strony, jak i północny, dwustronny; papier, znacznie tańszy i prostszy w produkcji niż pergamin; pióra ptasie, najczęściej używane narzędzie do pisania, ale miała też pióra z trzciny. Takie pióra musiały być odpowiednio przycięte, aby litery uzyskiwały właściwe kształty; każdy, kto zakupił większą partię piór, otrzymywał od Fatimy nożyk do ich nacinania.

Zbyt dużo wiedziałem o interesach, by dać wiarę temu, że jej bogactwo opierało się jedynie na handlu przyborami do pisania.



Gdy podczas któregoś ze spotkań zostaliśmy z Fatimą sami, chyba nawet w całym domu, bo Miriam wyszła gdzieś z dziećmi, odważyłem się zapytać:

- Dlaczego nikt tu nie chce rozmawiać o Kmicie?
- Och, to proste. Ci biedniejsi się go boją, żalują, że z nim robią interesy, bo pałką wymusza, co chce. Bogaci też żalują, bo Kmita wciąga ich w brudne transakcje.
- To znaczy?
- Kmita pożycza pieniądze od Żydów. Duże sumy. Gnębi tych, którzy mu

odmawiają. A ci bogatsi i bardziej wpływowi siedzą cicho, bo na tym zarabiają.

– A ten jego kancelista... Peter Holt? – spytałem.

– Stary Peter Holt ma wielkie ambicje. Dobrał sobie wśród Żydów kilku kapusiów. Wszedł w komitewę z Osmanem i dostaje procent od każdej pożyczki. Chce sobie podporządkować całą gminę. Oczywiście na polecenie Kmity. – Westchnęła, rozkładając ręce. – Przynajmniej tak ludzie mówią.

Nic na to nie powiedziałem.

– Chcesz, żebym się czegoś więcej dowiedziała?

– A możesz? To niebezpieczne.

– Niebezpieczeństwo! – Zaśmiała się. – Nareszcie coś się będzie działo!

Zaraz spoważniała.

– Nie. – Uniosła wypielęgnowaną dłoń w geście, który oznaczał: bez obaw, jestem bezpieczna. – Nie ma żadnego ryzyka. Znam dwóch kancelistów Osmana, dostarczam im papier. Mam wstęp do jego kancelarii. – Pochyliła się, naśladując konfidencyjny ton. – Tej i innych, jakbyś potrzebował.

Nie wiem, ile było w tym żartu, a ile prawdy.

– No to co chcesz jeszcze wiedzieć? – spytała.

– Dlaczego Jordan patrzy na mnie krzywym okiem?

– Martwi cię to?

– Tak. Źle mi z tym. Czuję, że nadużywam jego gościny. Ale nie mam się gdzie podziać. Boję się wychodzić na ulicę. Mam śliskie buty.

Roześmiała się.

– Naprawdę. – Teraz ja uniosłem rękę jak do przysięgi. – To mnie paraliżuje...

– Przenieś się do mnie! Byłoby cudownie zobaczyć miny moich swatów.

Przerwała, bo dobiegły nas z dołu odgłosy otwieranych drzwi, a zaraz potem wrzaski i płacz Józia. Miriam coś mówiła do niego podniesionym głosem.

– Jordan to najporządniejszy z Lewków – oznajmiła Fatima przyciszonym głosem.

– Niech cię nie zwiedzie wygląd starego. To zbój w skórze siwego baranka. A Jordan to przyjazny ludziom pijak, ma dystans do świata, bo wie, że prawdziwy raj jest blisko, za kilkoma szklanicami. Ci, którzy tego nie wiedzą, walczą między sobą na trzeźwo i robią krzywdę jeden drugiemu. Akurat na ciebie Jordan łypie, bo się boi.

– Czego, na Boga?

Rozległo się zafrasowane westchnienie i Fatima przysunęła się do mnie jeszcze bliżej:

– Dwóch rzeczy. Że ucieknę z tobą i gmina jego obarczy winą.

Czułem, że krew wybija mi na twarz.

– Kochają cię – bąknąłem.

– Nie wiesz jak, Aaronie. Nie wiesz, jak bardzo się tu kocha bogate wdowy.

– W Saragossie też się kocha bogate wdowy. To musi chyba być dla kobiety

najpiękniejszy stan...

Rzuciłem jej szybkie spojrzenie, ale Fatima nie wyglądała na urażoną.

– Jest jeszcze sprawa kamienicy, w której mieszkacie – powiedziała. – Wspominał ci o tym?

Pokręciłem głową. Fatima zamilkła, bo do pokoju wpadła Zoe. Rzuciła mi się na szyję.

– Uczycie się? – zapytała, przenosząc kilka razy wzrok ze mnie na Fatimę i z powrotem.

– Nie, już skończyliśmy – odpowiedziała Fatima i szybkim ruchem uszczypała małą w łydkę. – Goła noga małej dziewczynki! Przyszła już wiosna?

– Byłam z mamą u krawca – zapisała Zoe. – Nie chciało mi się przebierać. I mam długi płaszczyk. Szkoda, że się nie uczycie! – zawołała i pobiegła do kuchni.

Fatima opowiedziała mi wtedy historię kamienicy Maius, gdzie gościłem od tyłu miesiący.

Dom, w którym mieszkała rodzina Jordana, należał do chrześcijanki, niejakiej Małgorzaty, wdowy po Szczepanie Pęcherzu z Rzeszotar. Majętność składała się z dwóch budynków: tylnego i frontowego. Frontowy był okazalszy, dlatego nazywano go Maius, czyli większy. Żydzi od lat starali się go przejąć. Stał na rogu ulic Żydowskiej i przecznicy do niej, a nabycie go domknęłoby żydowski kwartał. Małgorzata się wahała. Dużo było plotek. Jedna z nich głosiła, że niejaki Piotr Gerhardsdorf, mieszczanin krakowski, krążył wokół Małgorzaty z propozycją kupna. Podejrzewano, że mieszczanin ów był podstawionym agentem, który chciał tanio nabyć kamienicę Maius, by potem sprzedać ją królowi. Po co? Bo król chce przeznaczyć ją na siedzibę uniwersyteckiego kolegium! I nie byłoby to wcale takie niezwykle. Pierwsze kolegium Uniwersytetu Praskiego powstało w domu przejętym od Żyda; podobnie stało się w Heidelbergu, Tybindze i Wiedniu. Po prostu grunty w żydowskich dzielnicach są tańsze. Słaba, w większości drewniana oraz nieregularna zabudowa w żydowskiej dzielnicy pozwalała na łatwą i niezbędną przebudowę, a ta z czasem okazuje się niezbędna dla rozwijającego się uniwersytetu.

Nie trzeba mówić, co oznaczałoby dla żydowskiej gminy powstanie uniwersytetu w kamienicy Maius. Siedziba uczelni z czasem zostanie powiększona kosztem sąsiednich domów. To nieuniknione. Władze miasta będą chciały pozbyć się Żydów z tej ulicy.

Większość Żydów nie brała tych plotek na poważnie. W ogóle powątpiewano w odnowienie uczelni. Król Jagiełło wprawdzie wysłał w tej sprawie pisma do Rzymu, ale odpowiedź nie napływała. Ponadto pokładano nadzieję w dominikanach, którzy mieli wpływy na dworze i ostro sprzeciwiali się powstaniu uniwersytetu. Dominikanie uważali swój zakon za najbardziej oświecony i z tej

przyczyny predestynowany do nauczania. Konkurencja uniwersytetu mogłaby ograniczyć ich wpływy i obnażyć płytkość wiedzy w wielu dziedzinach.

– Kmita od lat zabiega, żeby sobie podporządkować również Lewka – mówiła Fatima. – Lewko jest za potężny, żeby go wystraszyć, Kmita ma więc sprawą kamienicy jego syna, Jordana. Że niby ułatwi mu jej kupno. Dla Jordana, żydowskiego patrioty, ta kamienica to sprawa życia i śmierci. Lewko musi zdecydować, po której stronie się opowiedzieć.

Fatima zamilkła. Opuściła powieki, niemal zamykając oczy. I dodała:

– Wtedy nagle zjawiasz się ty ze swoimi projektami. Nie dziw się, że budzisz... zaniepokojenie.

Kościół Świętej Trójcy, wiosna roku Pańskiego 1392

- Długo kazałeś na siebie czekać...
- Tęczyński mnie na Litwę wysłał.
- Pomogę ci.
- Chwała Panu!
- Ale to musi zostać między nami...
- Zostanie! Przysięgam raz jeszcze.
- Król wszystko wie o kupcach. Dowiedziałam się, że Tęczyński bywa u niego częściej. Zamykają się razem na długie godziny.
- Co wie Jagiełło?
- Że nie żyje już trzech kupców. Siatka jest rozbita, choć ci, co zostali, o tym nie wiedzą. Zostało... czterech z siedmiu.
- Tęczyński mówi królowi prawdę!
- Część dostojników żąda głowy twojego starosty. Jeśli zdrajcy nie uda się szybko wykryć, to król ulegnie.
- Podobno sam Tęczyński zapowiedział dymisję... Słyszałaś o tym?
- Tak!
- Ciszej! Czyli sytuacja Tęczyńskiego jest poważna?
- Bardziej niż myślisz... I przy okazji twoja. Zrobiłeś się sławny przez tę Aragonię. Musisz uważać. Mówiłeś, że szukacie czegoś na Piotra Kmitę... Tracisz czas, a wilk grasuje gdzie indziej. Król ma bardzo poważne plany wobec Kmity. I ufa mu bezgranicznie. Tylko sobie wrogów na kark ściągniesz.
- Ktoś wie, że za nim chodzę?
- Ja wiem, bo mi powiedziałaś.
- Król wie?
- Oszalałeś! Życie mi miłe!
- Ciszej, na Boga! Rozmawiasz z królem?
- W każdą niedzielę, jeśli tylko zjedzie na Wawel.
- Jak z nim gadasz?
- Przez Zbramira. Zawsze jest przy królu i tłumaczy.
- Ten Litwin? Przecież to łowczy!
- Łowczy? Może łowczy. To najbardziej zaufany człowiek Jagiełły. On ma wywiadowców pod sobą.

- Ciebie też?
- Ugryzę przez kratę! Wiesz, że potrafię!
- Wiem, że Kmita jest zdrajcą... Miałaś nie wzdychać w konfesjonale!
- Aleś uparty!
- Poszukaj mi czegoś na Kmitę.
- Jak chcesz. Rób, co możesz, żeby zdrajcę znaleźć, bo źle to wygląda. Coś jeszcze? Musimy kończyć.
- Bóg mi cię zesłał, Konstancjo.
- Słyszałam, że... do Hanny chcesz wrócić, a tam zajęte...
- Mieliśmy kończyć... Nie pisałem, a ona uznała, że ją rzuciłem. Szukała pretekstu i tyle.
- Masz mały rozum, rycerzu.

Kraków, wiosna roku Pańskiego 1392

W końcu pokazały się pierwsze oznaki wiosny. A wraz z nimi nadeszły wieści z Aragonii. Nareszcie! Przywiózł je jeden z krakowskich kupców i przekazał Pilosowi. Trudno opisać szczęście, jakie na mnie spłynęło, gdy niewolnik wręczył mi list. Od Joshui!

Byłem wtedy w swoim pokoju, z Zoe. Wymyślaliśmy w jidysz zagadki, które spisywałem na papierze podarowanym mi przez Fatimę. Ostatnio znów urosłem w oczach dziewczynki. Litery na papier nanosiłem szybko i foremnie, a to dla Zoe wiele znaczyło, poza tym dużo sprawniej radziłem sobie z wymyślaniem niż rozwiązywaniem zagadek.

List, złożony w kwadrat, zabezpieczony był woskową pieczęcią. Przełamałem ją, rozłożyłem na stole papierową kartkę i zacząłem czytać półgłosem, po aragońsku.

Aaronie, mój najdroższy przyjacielu!

Otrzymałem Twój list. Nie mogę uwierzyć, że odważyłeś się na taką podróż. Jest napisane: „Miłość przekreśla wszelkie reguły”. I święta to prawda. Bardzo chciałbym napisać coś na pocieszenie, ale nie mogę Ci, Aaronie, przyjacielu, zaświadczać wbrew prawdzie. A prawda jest taka, że po Stickerze i Ayhe wszelki ślad zaginął pod Pampeluną. Zmierzali na północ i nagle jakby się zapadli pod ziemię. Nikt też nie widział ich w żadnym z północnych portów. W Ayerbe powiedzieli mi, że mogli udać się do południowej Francji, gdzie Sticker zgromadził podobno jakiś majątek. Nie wiem nic więcej, choć wiele tygodni, przysięgam, ciągałem ludzi za rękawy, żeby się czegoś dowiedzieć. Piszę Ci o tej Francji, bo może masz tam kogoś, kogo się można dopytać. Ja tu też w próbach nie ustaję.

W Loarre wielkie zmiany. Kapitan de Lucio trafił do więzienia, grozi mu kat. Baronowa rozkwita w ramionach Juana de Urríesa, stając się coraz piękniejsza. W Loarre dobrze Cię wspominają. Nowy kapitan prosił, by Ci przekazać, że izbę dla Ciebie zawsze tam znajdzie, bylebyś Loarre na dłużej nawiedził.

Twój Joshua

Kto mógł zostać kapitanem w Loarre? Czy to ma jakieś znaczenie?

Kilka razy przeczytałem fragment: „A prawda jest taka, że po Stickerze i Ayhe wszelki ślad zaginął pod Pampeluną. Zmierzali na północ i nagle jakby się zapadli pod ziemię. Nikt też nie widział ich w żadnym z północnych portów”.

Wreszcie dotarło do mnie, że to koniec.

Zbladłem. Na pewno Zoe musiała to zauważyć.

– Kto to napisał?

Milczałem, a ona nie ponawiała pytania.

– Mój przyjaciel – odpowiedziałem w końcu nieswoim głosem. – Z Aragonii. Tam, gdzie mieszkałem.

Długa cisza. Zoe widziała, że coś jest nie tak.

– Wrócisz tam?

– Tak. Chyba tak. Pozbieram dla ciebie wszystkie zagadki i wyślę w liście.

– Strasznie jesteś poważny.

– Tak jest, kiedy się dowiadujesz o czymś smutnym...

Milczała, ale tylko chwilę. Przysunęła się bliżej. Często obejmowała małego Józka, kiedy rozpaczał, ale ja nie byłem jej bratem. Nie wypadało.

– Co się stało? Ktoś umarł?

– Chyba tak. Nie, nie chyba, na pewno umarł. Teraz już na pewno. Raz tak było, że myślałem, że ten ktoś umarł, ale ocalał. Na chwilę ocalał. Teraz to już koniec.

– Czy to ta Ayhe?

– Boże, Zoe, skąd o niej wiesz?

– Wszystkie mamy sobie opowiadają, co zrobiłeś, żeby ją odnaleźć. Podoba im się, że tak szukasz tej Ayhe wszędzie. Będą smutne, jak się dowiedzą.

– Kto ci to powiedział?

– Moja mama, trochę. I inne mamy. Niektóre nawet mnie o ciebie pytały, co robisz, jak się zachowujesz...

Jeszcze przed chwilą spłonąłbym ze wstydu. Teraz czułem zupełną obojętność.

– Nic im nie mówię... – dodała cicho.

– Ale dobrze się zachowuję?

– Bardzo dobrze...

Zatopiła we mnie najbardziej skupione spojrzenie na świecie. Tylko małe dziewczynki tak potrafią. Chłonęła mnie oczami, które zaczęły połyskiwać.

– Aaronie, jaki ty jesteś smutny... – I rozplakała się za mnie.



List od Joshui ostatecznie przesądził o tym, że pewnej nocy, kilka tygodni później, uległem pokusie, którą odpędzałem i zwalczałem od jakiegoś czasu.

Po lewej stronie ulicy Żydowskiej, patrząc od Rynku w stronę murów, stały przylegające do siebie dwukondygnacyjne domy: kamienica Maius, w której mieszkałem, następnie dom Osmana i kamienica finansisty Smerla. Smerl oprócz tej nieruchomości miał jeszcze browar i dwa domy po przeciwnej stronie żydowskiego kwartału. I tam zamieszkał. Córka i syn mieszkali jeszcze z rodzicami, więc dom przy platea Iudaeorum stał pusty. Wynajęła go Fatima. Mieszkała tam najpierw z mężem, a po jego zaginięciu – sama. Na dole urządziła

magazyn, na pierwszym piętrze izby mieszkalne; górne piętro stało puste.

Na tyłach działek ciągnących się poprzecznie do ulicy Żydowskiej stały mniejsze od głównych budynków jednopiętrowe oficyny. Parcele obramowane były murem wysokim na cztery, może pięć łokci.

Ponieważ kamienica Maius jako jedyna przy ulicy Żydowskiej stała w układzie kalenicowym, moja izba, szeroka na siedem kroków, miała aż trzy okna. To skrajne z prawej, patrząc od wewnątrz, wychodziło na podwórze tuż nad dwuspadowym daszkiem ganku, a dokładniej – jego lewym skrzydłem. To ważne, bo prawe skrzydło, jako że ganek był wspólny dla dwóch domów (przez środek ganku biegł mur rozdzielający osobne wejścia), opadało już na parceli Osmanów.

Otwarłem okiennice, uderzyło mnie chłodne nocne powietrze. Wysunąłem się tyłem, szorując brzuchem po parapecie, chwilę szukałem stopą krawędzi daszku. Znalazłszy oparcie, odepchnąłem się od parapetu, przeniósłem ciężar ciała na lewą nogę i przykucnąłem. Poszło łatwo i cicho.

Dwuspadowy daszek pokrywały solidne szerokie dachówki, pewno resztki z tego, co ułożono na dachu.

Ostrożnie zszedłem z ganku, wsuwając stopy w boczną ażurową ściankę. Znalazłem się na parceli Osmana. Zgięty w pół przeszedłem pod widocznymi w świetle księżyca oknami parteru. Teraz miałem przed sobą mur dzielący mnie od domu Fatimy. Przycupnąłem i przez chwilę jak kot wpatrywałem się w szczyt, obliczając siłę potrzebną do jego sforsowania. Mocno wybiłem się z nóg, uchwyciłem górną krawędź murka, a stopami poszukałem oparcia na krawędziach wystających kamieni. Po chwili byłem już pod drugiej stronie.

Dom Smerła był znacznie węższy. Na piętrze zajmowanym przez Fatimę znajdowało się tylko jedno okno. Ażurowe ścianki i tym razem ułatwiły mi wspinaczkę. Gdy wyprostowałem się na dachu kryjącym ganek, dolną krawędź zamkniętej okiennicy miałem na wysokości ramion.

Zapukałem cicho. Po chwili trochę głośniejszy. Wydało mi się, że słyszę jakiś szmer. Jakby ktoś odsunął niewielki mebel, stolik albo krzesło, by podejść do okna. Okiennica jednak ani drgnęła. Zastukałem teraz szybko dwa razy, przerwa i dwa razy. Nie umawialiśmy się na żaden sygnał, ale tak to miało zabrzmieć – jak umówione hasło.

Usłyszałem szcęk odsuwanej zasuwy. Okiennica lekko drgnęła. Poczulem na twarzy ciepło i zapach wnętrza sypialni. Zbliżyłem usta do szpary i szepnąłem najciszej, jak umiałem:

– To ja, Aaron!

Okiennica otwarła się na oścież. Przeczółgałem się przez parapet. Fatima zamknęła za mną okiennicę i zasuwę. Przesunęła dłonią po mojej twarzy. Sprawdzała, czy to naprawdę ja. O nic nie pytając, zgodziła się, bym ją wziął w ramiona.

Powrót tą samą drogą poszedł mi równie sprawnie.

Odtąd każdą noc spędzałem w sypialni Fatimy. Jak kot przemykałem się po dachach ganków, skakałem i wspinałem się po murze. By nie wzbudzać podejrzeń, Fatima nadal przychodziła kilka razy w tygodniu na lekcje jidysz. Staraliśmy się też podczas szabatowych kolacji nie wymieniać spojrzeń.

Upajałem się tymi schadzkami. Drogę znałem na pamięć każdym mięśniem. Każdy ruch, każdy skok mogłem wykonać z zawiązanymi oczami. Miałem zmysły wyostrzone jak ryś. Nocny myśliwy.

Spędzałem z Fatimą coraz więcej czasu. Opowiadała o swoim dzieciństwie, o rodzicach. Znosiła mi plotki o krakowskich Żydach, o Jordanie, Lewku i Miriam. Twierdziła, że przekonałem kilku ważnych Żydów do swojego pomysłu z wełną. Ja opowiadałem o upadku mojego wuja, długach i kłopotach, jakie na mnie czekają po powrocie do Saragossy.

Fatima przygotowywała zawsze jakiś posiłek na wspólne długie noce. Pewnego razu, tuż przed świtem, gdy sięgnąłem po pierwszy ze stosu słodkich placków, które uwielbiałem, Fatima oznajmiła:

– Mam wiadomości o Kmicie.

Zastygłem w bezruchu. Sprawa Kmita zupełnie wyleciała mi z głowy. Ale Fatimie najwyraźniej nie.

– Teraz? – zapytałem z pełnymi ustami.

– A kiedy? Jeszcze prawie godzina do świtu. Zadałem sobie dużo trudu, żeby się czegoś dowiedzieć. Zrobiłam to dla ciebie, a teraz chcę się pochwalić.

Leżała naga na brzuchu z dłońmi splecionymi pod policzkiem. Wpatrywałem się w jej kusząco piękne ciało od stóp po włosy rozsypane na plecach. Nie spodziewałem się, że jest taka słowna i obowiązkowa!

– Co? – spytała. – Nic nie mówisz.

– Podziwiam... Byłabyś doskonałą współpracowniczką.

– A, to miło.

Wstała z łóżka, upięła włosy i włożyła koszulę sięgającą kostek na znak, że przystępujemy nieodwołalnie do części administracyjno-politycznej.

– Już ci mówiłam, że Kmita trzyma tu Żydów na krótkiej smyczy. Tylko Lewko się nie ugiął...

– Czym się różni od innych? Poza bogactwem?

– No właśnie tym: bogactwem. Jest za bogaty, za dumny i za dobrze ustosunkowany. Kmita jakoś się z tym pogodził. Trwało to do momentu, gdy wprowadziłeś się pod dach Jordana i zacząłeś gadać o tych inwestycjach. To im się bardzo nie podoba.

– Im?

– Kmicie i temu kanceliście, Peterowi. Każda taka inwestycja oznacza wypływ kapitału...

- Jego pomnożenie!
- Najpierw odpływ.
- Niech będzie. Mów dalej.
- Już ci mówiłam, że Kmita ma długi u wielu bankierów. Ale najwięcej pożyczają od Osmana. To są wielkie sumy. – Wręczyła mi kartkę papieru zapisaną czarnym drobnym pismem z jednej strony. – Masz, tu jest lista tych kredytów. Kapitał Osmana to wielki tłusty wół, który orze tylko pole Kmity. Kmita ma dochody, zgoda, ale też olbrzymie długi, a wydatki jeszcze większe. Spłaca Osmanowi odsetki, kiedy chce, i sam ustala, ile odda. Spóźnia się często, ale w końcu płaci! Skąd ma pieniądze? Handel mu idzie słabo. Wiem, co sprzedaje oficjalnie, bo płaci podatki. Wiem też, ile towaru schodzi poza rejestrami. I mówię ci, że to nie jest nawet jedna trzecia jego wydatków!
- I Żydzi się go boją?
- Wszyscy się go boją. Ale niektórzy Żydzi do niego ciągną, bo od lat chroni paserów przed chrześcijańskimi sądami. Żydowski paserzy to w Krakowie plaga. Mieszczanie są wściekli, że nic się z tym nie robi.
- Przypomniałem sobie Aragonię i żydowskiego bankiera Bienvenista. Jego spółka pożyczkowa przez chciwość straciła poczucie rzeczywistości i doszło do tragedii.
- Nawet Lewko z nim nie zadziera.
- Mówiłaś...
- Mówiłam – wpadła mi w słowo – że mu się nie poddaje. A to co innego. Mówiłam też, że Jordan zaczął naciskać na ojca, żeby z Kmitą się poukładać, bo boi się o tę kamienicę. A wiadomo, że Kmita ma takie wpływy w radzie miasta, że może się o tę sprawę odpowiednio zatroszczyć.
- Znów ta kamienica!
- Aaronie, musisz zrozumieć, że ta kamienica to symbol! Jordan chce jej nie dla siebie, ale dla całej wspólnoty. To myślenie wojenne: on chce zamknąć pierścień dzielnicy, żeby nie uchodził z niej duch. Dlatego pragnie, żeby włączyła się cała wspólnota. Jest teraz dobry, spokojny czas. Ale on długo nie potrwa. Żydzi też to czują i lepiej sprawę załagodzić szybko. Jeśli przegramy wojnę o tę kamienicę, to prędzej czy później będą się musieli wynieść z Krakowa. Polacy wyprą stąd Żydów, wykupią kamień po kamieniu. A ty wprowadzasz zamieszanie.
- To bzdura! W jaki sposób?
- Pierwszy lęk Jordana już się ziścił...
- Nie ziścił się, pomyślałem, przecież cię stąd nie wykradnę.
- A w ogóle to skąd ty wiesz te wszystkie rzeczy? – spytałem.
- Mam dużo czasu, jestem bystra, mam dostęp do wszystkich krakowskich kancelarii. Sprzedaję papier nawet na zamek... Jestem bogatą wdową... Kochają mnie tu, już o tym rozmawialiśmy.
- Nagle spoważniała.

– Ludzie o tobie plotkują – powiedziała – że jesteś człowiekiem Jana z Tęczyna. Że masz za zadanie odciągnąć Żydów od Kmity. Przynajmniej tych z pieniędzmi.

– To źle?

– Dla ciebie źle, bo to się na pewno Kmicie nie podoba.

– Nie boję się.

– Och, wiem! Twoje nazwisko robi tu wrażenie.

– To kwestia czasu.

Usiadła na łóżku i szybko wsunęła się pod kołdrę. Miała zimne stopy.

– Ja dodatkowo komplikuję to wszystko. – Położyła mi głowę na piersi. – Osman chce, żebym wyszła za jego syna, chce mnie dopisać do swego inwentarza. Kolejna dojna krowa. Ale ja nie chcę, bo go nie kocham i nigdy nie pokocham. Jest mi wstrętny. Nie powinieneś się ze mną spotykać, bo jakby się wydało... Cały twój plan runie, rozumiesz? – Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. – Ludzie odwrócą się od ciebie.

– Już mówiłem, że się nie boję – odpowiedziałem tak, jak powinienem odpowiedzieć.

– Mam nadzieję, że jestem dla ciebie ważniejsza niż jakaś andaluzyjska wełna...

Aragońska, poprawiłem ją w myśli, to jest aragońska wełna i można na niej zarobić fortunę, a ta bardzo by mi się przydała. Biorąc ją w ramiona na pożegnanie, pomyślałem, że powinienem jednak uważać. Dbałem o dyskrecję, ale powinienem bardziej.

Brodnica, wiosna roku Pańskiego 1392

– Kurier z Malborka przywiózł listy – powiedział komtur Karol von Lichtenstein. – Kolejny kupiec.

– To już czwarty. Kto tym razem? – spytał Zygfryd von Dohn.

– Markward Wildenberg...

Młody rycerz długo wypuszczał powietrze.

– Malbork musi być wstrząśnięty – rzekł ponuro. – Jeśli tacy kupcy są gotowi do zdrady, to co z resztą?

– Wina jest dowiedziona ponad wszelką wątpliwość. Możesz posyłać ludzi. Przywieźcie mi go do Brodnicy jak najszybciej.

Zygfryd się wzdygnął. W trakcie poprzednich przesłuchań ledwie sam nie skonał. Smród palonej skóry przyprawiał go o mdłości, a od rozpaczliwych krzyków pękały uszy. Asystował przy torturach na życzenie komtura. Liczyli na to, że kupcy zdradzą jednak nazwiska pozostałych i będzie można posyłać ludzi w kilka miejsc naraz. Ale nic z tego.

Zygfryd obiecał sobie w duchu, że tym razem jakoś wymówi się od udziału w tych piwnicznych kaźniach.

– I jeszcze coś – powiedział komtur. – W tej samej torbie był list od Petera Holta. To sekretarz Kmity. Stara gnida, ale wierny sługa.

Zygfryd utkwiał w nim pytający wzrok.

– Kilku bankierów, którzy pracują dla Kmity, skarży się, że Lewko namawia Żydów do zainwestowania w jakieś tkackie przedsiębiorstwo na końcu świata. Wiesz, kto to wymyślił?

Komtur poczekał chwilę, aż Zygfryd coś powie, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Ten Żydek z Aragonii, którego przywłókł Zawisza. Plan jest podobno zaskakująco dobry. Nie wiem, nie znam szczegółów, nieważne.

– Co nas to obchodzi?

– Jeśli Lewko naprawdę poprze ten plan, pójdą za nim inni. Odciągną pieniądze z gminy. To robota Tęczyńskiego.

– No to starego Żyda trzeba złamać – podsunął Zygfryd.

Komtur machnął niecierpliwie ręką, ale Zygfryd się tym nie przejął.

– Każdy ma jakąś słabą stronę...

– Nie przestraszysz go. Za stary.

- Lewko ma rodzinę.
Komtur się skrzywił.
- Co masz na myśli?
- Dzieci. To zawsze działa.
- Ma czterech synów...
- Dorosłych – przerwał mu Zygryd. – To na nic. Mnie chodzi o małe dzieci, myślę o wnukach. Dzieciach Jordana.
- Wiem. Ale... nie, nie teraz. Jeszcze nie.
- Ale ja tylko dałbym mu do myślenia. Można by któreś wywieźć z Krakowa na parę tygodni. Może tę małą? Potem oddać. Nie zrobię jej krzywdy.
- Rozprawmy się najpierw z tym Aragończykiem – uciął komtur.
- To znaczy?
- Trzeba go ukatrupić. Zarznąć jak wieprza. Tam, gdzie mieszka: w domu Jordana, w tej zafajdanej kamienicy, którą tak bardzo chcą wykupić. Niech się Żydki przestraszą. Tak damy do myślenia staremu przykowi bardziej, niż porywając jego wnuki. Tak! Tak zrobimy. – Komtur wieszował sobie w duchu dobrego rozwiązania. – Porozmawiaj najpierw z Osmanem. Niech wskaże twoim ludziom dokładnie, gdzie mieszka nasz przybłęda. Piętro, izbę i tak dalej.
- Zygryd usłużnie skinął głową.
- Peter Holt twierdzi – ciągnął Lichtenstein – że Osmanowi żółć do gardła podchodzi na myśl o tym Aragończyku. Podobno młody Żydek parzy się co noc z jakąś miejscową wdówką, o którą bije się cała gmina. A Osman upatrzył ją sobie wcześniej dla swojego syna. Wyobrażasz sobie?
- Zygryd uśmiechnął się zdawkowo.
- Co? Nie jesteś przekonany? – zapytał komtur.
- Jestem od wykonywania rozkazów, panie.
- Mów, co myślisz.
- Ryzykować akcję w Krakowie dla jakiegoś Żyda? Rozsierzimy ludzi Tęczyńskiego. Myślą, że są w Krakowie bezpieczni. Niech tak zostanie. Zostawmy akcję na kogoś naprawdę znaczącego...
- Radzisz porwać wnuczkę Lewka, a tu się boisz? – Komtur podniósł głos, a potem lekko uderzył dłonią w stół. – On jest znaczący! Zawisza wprowadził go do gminy. Po co mamy zajmować się każdym Żydem, który uwierzy w jego słowa? Lepiej uciąć głowę, która gada.
- Mam mu kazać uciąć łeb? – spytał Zygryd, dając do zrozumienia, że już zapomniał o swoich obiekcjach. Rozkaz to rozkaz.
- A jak się zabija Żydów?
- Najemnik się roześmiał, wziął to pytanie za żart.
- Tak samo jak wszystkich innych.
- No to zabij go tak jak wszystkich innych. Tylko teraz poślij naprawdę

sprawdzonych ludzi.

Zygryd wziął głęboki wdech, jakby mu nagle zabrakło tchu.

– Tamto... z Gdańska... już się nie powtórzy – wydusił.

– Karczmarz zeznał, że twoi ludzie dali się pobić jak dzieci. – Dobry humor Lichtensteina gdzieś się ulotnił. – Żydek stał na czatach, a Zawisza ich kopał. Podobno nie wyciągnął nawet rąk z kieszeni. Co się z tobą dzieje? Kogo tam posłałeś?

Zygryd sapał ze zmieszania.

– Zaskoczył ich, byli pijani...

– Ośmieszyleś nas!

Zygryd milczał. Znów ze wstydu zapiekła go twarz.

– Tym Żydkiem sam się zajmę – mruknął.

Miesiąc po miesiącu, dzień po dniu coraz lepiej poznawałem tutejszą gminę. Nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że ci wszyscy bankierzy, kupcy, rzemieślnicy tak łatwo dali sobie przykrócić cugli. Jednemu człowiekowi! Piotr Kmita intrygował mnie coraz bardziej. No i ten jego kancelista Peter Holt.

Coraz częściej zadawałem sobie też pytanie, dlaczego Zawisza umieścił mnie w domu Jordana, skoro mnie tu wyraźnie nie chcą.

A ponieważ nadeszła wiosna, a wraz z nią powróciły spacerunki po karczmach z Adamem Rojkiem, postanowiłem zagadnąć o to mojego niezastąpionego nauczyciela.

– To dość poplątana historia. – Rojek westchnął. – Dużo opowiadania. Trzeba by zacząć od Jagiełły...

– Choćby od Noego! – Zamówiłem u karczmarza dwie szklanice najdroższego świdnickiego piwa i opłaciłem donoszenie następnych.

I Rojek rzeczywiście sięgnął daleko.

Wraz z objęciem tronu przez Jadwigę zapanowało przekonanie, że należy ją jak najkorzystniej wydać za męża. Było dwóch kandydatów: piastowski Ziemowit i Jagiełło – Litwin, poganin. Jak twierdził Rojek, wszyscy tu chcieli Piasta, Polaka. Z Litwy zawsze szła do Polski pożoga, grabieże. Kozie syny, mówił, tylko grabić potrafią. I tu nagle król?

Wielkopolska chciała, by Ziemowit, Piast, odrodził narodową monarchię. Ale Małopolskanie, wielkie pany, woleli cudzoziemca. Bo Litwin, uważali, będzie niepewny swego, będzie uległy, przywilejami będzie musiał sobie szlachtę kupować. Z Piastem nie poszłoby tak gładko. Siła polityczna była w Małopolanach wielka i stało się, jak chcieli.

Kiedy Jagiełło obejmował tron, wszystkie urzędy były obsadzone, elita ukształtowana, z własnym programem i wizją państwa. Litwin jeszcze przed koronacją posłusznie potwierdził wszystkie przywileje szlacheckie. A po koronacji jakoś się musiał z możnymi ułożyć.

– Słuchaj, kto tu rządzi, bo ci się to przyda. – Rojek uniósł zaciśniętą prawą dłoń i odginał palce jeden po drugim: – Spytek z Melsztyna, wojewoda krakowski, Jan z Tarnowa, wojewoda sandomierski, Sędziwój z Szubina, wojewoda kaliski, Dobiesław z Kurozwęk, kasztelan krakowski, Tomasz z Węgleszyna, podczaszy

krakowski, ojciec Hanny. – Teraz druga dłoń. – I ci dwaj, którzy cię tak interesują: Piotra Kmita, kasztelan lubelski, i Jan z Tęczyna, starosta sieradzki. Sami Małopolanie. Same pasibrzuchy. To oni wybrali króla. A najbardziej przysłużył się Jan z Tęczyna.

Sięgnął po drugą szklanicę, umoczył usta i mówił dalej:

– Król musiał znaleźć dla tych wpływowych ludzi przeciwwagę. Wśród mieszczan nie szukał, bo patrycjat w największych miastach był głównie niemiecki... Szukał w Wielkopolsce, szukał porozumienia z Pomorzem Zachodnim, zbudował szlak handlowy z Pomorzem idący przez Wielkopolskę. Ale szybko zrozumiał, że to za mało, żeby uniezależnić się od Małopolan. Postawił więc na rozbitcie ich obozu. Jagiełło widział, że Małopolanie go wprawdzie wybrali, ale stali przy królowej, chcieli, by Litwin był ich narzędziem, a nie odwrotnie. Jagiełło rozpoczął więc budowę własnego stronnictwa. Pozyskał Jakuba Koniecpola, który miał być jego zaufanym w kontaktach z Wielkopolską, i mówi się, że obiecał wielkie nadania na wschodzie najpotężniejszemu z Małopolan – Spytkowi z Melsztyna. I przeciągnął nadaniami na ziemi sanockiej Piotra Kmitę.

– Piotra Kmitę? – Chciałem się upewnić.

– Piotra Kmitę! – przytaknął Rojek. – Rozumiesz, o co toczy się bój?

Rozłożyłem ręce w geście, który oznaczał: rozumiem, ale na wszelki wypadek...

– O wpływy u boku króla i królowej! Wszyscy mają świadomość, że rodzi się dynastia. Kto usadowi się blisko tronu, zajmie miejsce na pokolenia! Za najważniejszego przy królowej uważa się teraz Jana z Tęczyna. A przy królu stanął mocno Piotr Kmita.

Kręciło mi się w głowie. Z trudem dopiłem drugą szklanicę piwa. Nigdy się do tego napoju nie przekonam.

– Co z Jordanem i Zawiszą...? – spytałem.

– No właśnie do tego zmierzam. Już toczy się wojna. Na razie po cichu, w izbach i kancelariach, ale te nadania rychło pojawią się na papierze. Ta wojna ma wiele frontów. Jednym z nich jest próba przeciągnięcia na swoją stronę Żydów. Nie krawców i cyrulików, ale bankierów. Chodzi o pieniądze. Kredyty. Jan z Tęczyna trzyma z Lewkiem i jego synem Jordanem. Zawisza to człowiek Jana z Tęczyna.

Wytarł nos wielką chustą, przepłukał gardło piwem.

– Rozumiesz?

Odchyliłem się na krześle z niepewną miną.

– Słuchaj – podjął na nowo. – Lewko to jedyny przyczółek Tęczyńskiego w żydowskiej gminie. Stary bankier nie zgodził się wziąć cię pod swój dach, ale wskazał Jordana. Tak myślę. Podobno wywodzisz się ze sławnej rodziny. Zawisza wymyślił, że twoje kontakty pomogą Tęczyńskiemu w odzyskaniu wpływów w krakowskiej gminie.

Mówiąc, nie spuszczał ze mnie wzroku. Przerwał na chwilę, dając mi czas na

uporządkowanie myśli.

– Jordan walczy o kamienicę Maius – ciągnął – a obie strony mu ją obiecują. Lewko unika interesów z Kmitą, bo ma go za zbója. Woli już Tęczyńskiego. Ale Lewko to Żyd kuty na cztery nogi, zależy mu przede wszystkim na interesach z królem. Ostatecznie poprze tego, kto zajmie miejsce u boku Jagiełły. A to na razie nie jest przesądzone.

Siedziałem nieruchomo z podbródkiem opartym na dłoni. Wpatrywałem się w bakalarza bez przekonania, że wszystko rozumiem.

– A ten Kmita? – spytałem. – Powiedz mi jeszcze parę słów o nim.

– Nikt nie ma do niego dostępu. Ma swojego sługusa w mieście. To Peter Holt. Niemiec, spolszczony Niemiec, który je z miski Kmity, więc jest mu wierny jak pies. I bardzo bogaty, bo robi tam gdzieś na boku swoje interesy. Taki łachudra od czarnej roboty. Kundel, który kąsa mocniej niż jego pan. Ale jest bardzo usłużny. To on stoi za kontaktami Kmity z kupcami krzyżackimi.

– Gdzie mieszkają?

– Kmita na zamku w Krakowie i w Wiśniczu. Kupił dom w Krakowie, na Grodzkiej, i osadził w nim Petera. Niemiec prowadzi mu tam kancelarię.

Rojek przerwał i zaczął się rozglądać za karczmarzem. Ten szybko pojawił się z dwoma kufłami. Zamachałem rękoma przed twarzą na znak, że ja ani łyka więcej, mimo to Rojek kazał zostawić oba kufle.

– Podobno ty i Zawisza pobiliście kilku najemników w Gdańsku. Ktoś to niedawno opowiadał. Nie mogłem uwierzyć. To prawda?

Roześmiałem się.

– Ja i Zawisza! Przyjacielu! Byś ich widział...



W którąś z następnych nocy spędzonych u Fatimy sen skleił mi oczy mocniej niż zwykle. Przebudziłem się, gdy na zewnątrz już szarzało. Zerwałem się na nogi, wciągnąłem tunikę na gołe ciało, włożyłem sandały i wypracowanym ruchem szybko przeszedłem przez okno, a potem ze złodziejską zręcznością, bez ani jednego zbędnego ruchu, dotarłem pod swoje okiennice. Przekląłem w duchu, widząc, że zostawiłem je otwarte. Już raz tak zrobiłem i pokój wyziębził się jak dno studni. Mimo przedwiośnia noce wciąż były chłodne. Zamknąłem za sobą oba skrzydła, pogrążając izbę w całkowitej ciemności.

I wtedy oprócz chłodu poczułem zapach, smród. Smród potu, żołnierskich butów, przepoconych kaftanów.

Błysk zrozumienia, ani chwili wahania, od razu decyzja: rzucić się do drzwi. Obudzić Jordana, Miriam, dzieci, narobić hałasu.

Wszystkie mięśnie napięły się, by posłusznie wykonać zadanie.

I w tej samej chwili potężny cios w skroń powalił mnie na ziemię.

Nie straciłem przytomności. Szybko wstać, nie dać się kopać na podłodze, bo mi połamię wszystkie kości i umrę, przemknęło mi przez głowę.

Pozwolono mi się podnieść. Drugi cios trafił mnie w usta. Znow upadłem na plecy. Takie mocne uderzenia nie bolą na początku, dopiero później. Teraz poczułem tylko smak krwi.

Było ciemno, nic nie widziałem, ale ci ludzie musieli tu być długo, może całą noc. Przyzwyczajali oczy do ciemności. I mieli teraz nade mną przewagę. Czyjeś ręce ujęły mnie pod ramiona, podniosły i przytrzymały mocno od tyłu. Pozostali napastnicy, było ich co najmniej dwóch, na zmianę walili we mnie pięściami. Po głowie, po brzuchu, po ramionach.

Osunąłbym się na kolana, gdyby nie ten z tyłu. Ktoś zdarł ze mnie tunikę. Twarz miałem opuchniętą, ale mogłem jeszcze unieść powieki. Dostrzegłem zarys jakiejś masywnej postaci, stojącej przede mną: unosiła ramię, brała potężny zamach. Nie miałem sił, by się wyrywać. Zamknąłem tylko oczy.

Część II

Kraków, wiosna roku Pańskiego 1392

Otworzyłem oczy. Przez uchylone okiennice wpadało szare światło. Nade mną wisały grube bele stropu, przylegały ciasno, bez luk, idealnie równo.

Powoli wracała pamięć. Coś strasznego wydarzyło się przed chwilą. Przed chwilą? Wstrząsało mną zimno, bolesne, grobowe.

Coś czułem, więc żyłem. Poruszyłem nogami. Chyba były całe.

Ciszę przerwał dźwięk pobudki z mariackiej wieży, potem wszyscy hejnałści, jeden po drugim, grali sygnał do otwarcia bram miasta. Z trudem uniosłem głowę. Ból przeszył mi kark. Podparłem się najpierw na łokciach, potem na rękach.

Utrzymywanie głowy w pionie wydało mi się zadaniem ponad siły. Ale widziałem, słyszałem i mogłem się ruszać. To dużo. Więcej, niż można było oczekiwać. Wstrząsnął mną dreszcz. Lewa dłoń poślizgnęła się na czymś mokrym. Opadłem na plecy, uderzyłem tyłem głowy w podłogę. Z bólu zrobiło mi się niedobrze.

Przysunąłem dłoń do twarzy. Poczulem zapach krwi. Cały lewy bok kleił się do desek. Kiedy jest zimno, krew szybko gęstnieje i staje się lepka.

Wybrzmiewała już ostania hejnałowa odpowiedź, gdy w sąsiedniej izbie usłyszałem ostrożnie stawiane kroki. Odwróciłem głowę. Ktoś zatrzymał się pod drzwiami. Długo nic się nie działo. W końcu klamka drgnęła.

Weszła Miriam.

– Lepiej idź... – Wydobył się ze mnie chrapliwy głos, z trudem ruszałem obolałą szczęką.

– Jordan wyjechał. Wróci jutro. – Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Stała nade mną. Krępowiała mnie nagość, ale nic nie mogłem zrobić.

– Wiedziałam, że to się tak skończy.

Stała nade mną długą chwilę, jakby oceniała ogrom zniszczeń. Przyniosła ciepłą wodę, kilka ręczników i pomogła mi się umyć.

Podparty na jej ramieniu dowlokłem się do łóżka.

– Dzieciom powiem, że jesteś chory – oznajmiła, nakrywając mnie kocami. – Rano zaprowadzę je do dziadków. Nie wychodź z pokoju.

Dostałem do wypicia ciepłego wina. Z trudem przytknąłem kubek do opuchniętych warg. Trunek był okropny w smaku, ale trochę mnie rozgrzał.

– Jutro wyjedziesz. Nikt nie może zobaczyć, jak wyglądasz. Przed wyjściem zakryj twarz.

– Dokąd mam wyjechać?

– Dowiesz się.

W jej oczach malowało się przerażenie. Coraz większe. Chyba dopiero teraz dotarło do niej, co się wydarzyło. Poznałem ją dobrze przez te kilka miesięcy. Była posłuszną żydowską żoną. Tłamszona przez Jordana od dnia ślubu, po raz pierwszy robiła coś samodzielnie. Coś tak ważnego!

– Jeśli to się wyda... Nie wiem, co z tobą, ale ją zabijają.

– Wiesz... kto się tu włamał? – Z trudem przepchnąłem słowa przez obolałą szczękę.

– Nie.

Ból długo nie pozwolił mi zasnąć.

Następnego dnia na rozgrzany, roztopiony kilkudniowym słońcem Kraków spadł mróz. Jak prawdziwa fala: spiętrzył się przed miastem, zawisł nad nim, zamrażając powietrze, a potem runął na ziemię. Mieszanina topniejącego śniegu, nagromadzonych przez całą zimę zwierzęcych odchodów, błota, pomyj, resztek pożywienia i co tam jeszcze wyrzucano na ulicę, cała ta breja, w której po kolana brodzili mieszkańcy królewskiego miasta, scaliła się w kamień, tworząc fantazyjne kształty. Ludzie ślizgali się i przewracali, wpadali do rowów, dziur, łamali ręce i nogi, kaleczyli ciało o ostre krawędzie lodowych pułapek.

Tego samego dnia Jordan wrócił do domu tak pijany, że potknął się o nierówność w podłodze; upadając, oparł się ramieniem o stół, na którym stał słów z żywą rybą na piątkową kolację. Cenne szklane naczynie zsunęło się z przekrzywionego blatu i roztrzaskało o podłogę. Woda pomknęła po podłodze we wszystkie strony. Tylko tam, gdzie leżał Jordan, było sucho, jakby woda chciała oszczędzić swojego wyzwoliciela.

Miriam opadła na kolana przy mężu, płakała, okładała go pięściami i krzyczała, żeby już jej nie dręczył. Jordan najpierw próbował ją odpędzać niezdarnymi, powolnymi machnięciami ręką, ale potem przekreślił się na bok i zasnął.

Zwlokłem się z łóżka i klęcząc przy Miriam, pomagałem jej zbierać okruchy szkła z mokrego dywanu, gdy dobiegło nas z dołu powitalne błogosławieństwo dla domu. Głos brzmiał nieznajomo. Miriam pokręciła głową i błagalnym spojrzeniem poprosiła mnie, bym zajął się niespodziewanym gościem.

Przestąpiłem Jordana i powoli, pokonując ból w kościach, zszedłem po schodach.

– Pokój temu domowi! – Usłyszałem głos czarnej postaci ledwie widocznej w półmroku sieni.

– I tobie – wychrypiałem z trudem.

– Zwiąż mnie Mikołaj Konopka. A przysyła mnie Zawisza.

Bóg łaskaw, pomyślałem. Miriam musiała wiedzieć, kto zacz, dlatego mnie do niego wysłała.

– Ty, mam nadzieję, jesteś Aaron, Żyd z Saragossy – rzekł przybysz.

Wzrok powoli przyzwyczajał się do mrocznego pomieszczenia. Stał przede mną zakonnik, poznałem to po rąbku habitu wystającego spod obszernego kożucha. Gość podszedł parę kroków i przyglądał mi się uważnie.

– Widzę, że się spóźniłem – skonstatował bez emocji. – Potrzebujesz medyka?

– Nie.

– Coś się tam stało? – Ruchem głowy wskazał schody prowadzące na piętro.

– Dlaczego?

– Jak nie możesz powiedzieć prawdy, to kłam, a nie pytaj „dlaczego” – powiedział tym samym spokojnym głosem. – Woda się leje po schodach. Macie tu potop. Bawicie się w Noego?

Milczałem. Nie miałem ochoty odpowiadać. Ledwie poruszałem bolącą szczęką.

– Widzę, żeś gawędziarz...

– Słój... się rozbił... – wystękałem.

– A! Stawiam złote floreny przeciw tym grudkom zamrożonego gówna, że pan domu dołożył pani domu. Tak było? A ta wpadła na stół i wywalila ten cholerny słój z rybami? Zgadłem?

Pokręciłem głową.

Wodził wzrokiem po mojej twarzy i wykrzywił usta, jakby to jego bolało.

– Wszystko jedno. Tłuką się czy nie. Tu wszyscy Żydzi i tak mają płaskie nosy. Twój jest na razie opuchnięty, ale zdaje się, że do nich dołączysz.

Milczałem, bo co mogłem powiedzieć?

– No, tośmy sobie pogadali. Teraz jak już się lepiej znamy, możemy ruszać w drogę.

A potem jeszcze raz się przedstawił, już jako zakonnik, benedyktyn. To on był owym posłańcem zapowiedzianym jeszcze jesienią przez Zawiszę. Długo zwlekał, i zwlekałby jeszcze, gdyby nie wiadomość o nocnym zajściu. Brat Mikołaj oznajmił, że zabiera mnie do Tyńca, kilka mil od Krakowa. Tam dadzą mi maści, zioła i wszystko, co trzeba, żebym wydobrzeł. Skoro chodzę i mówię, to nie jest źle.

– Posłano po was? – spytałem.

Zawisza uprzedzał, że ktoś go będzie informował o tym, jak sobie radzę. Przez całą

jesień i zimę żyłem w przekonaniu, że to był Jordan. Ale on nic nie wiedział o pobiciu. Kto zawiadomił zakonnika? Czyżby Miriam?

Przybysz nie odpowiedział. Kazał mi ciepło się ubrać.

Wzulem wysokie skórzane buty od Jordana, włożyłem barani kozuch i wielką jak dzwon czapę z lisów. Zgodnie z przykazaniem Miriam zasłoniłem twarz chustą.

Lód nie puszczał, do tego wzmógł się wiatr. Wyszliśmy na ulicę. Zakonnik odchylił chustę i jeszcze raz mi się przyjrzał.

– Chryste... źle to wygląda. Co na to Jordan?

– Nic nie wie.

– Przecież już wrócił. Nie widział cię?

– Nie... Śpi.

– Biedna Miriam...

A więc zakonnik ją znał, i to dobrze!

– Jak to się stało?

Opowiedziałem powoli wszystko, co pamiętałem. Mimo obolałej szczęki nie pominąłem żadnych szczegółów. Nawet tego, że napastnicy długo na mnie czekali, o czym świadczył fetor, jaki poczułem po powrocie. Po powrocie skąd? Tego mu już nie powiedziałem.

Byłem zaskoczony, gdy zapytał bezceremonialnie:

– Jordan ci nie mówił, kim jest Fatima?

– Coś tam mówił. I co z tego?

– Widać cię nie ostrzegł, jak trzeba. To nasza wina. Zawisza się tego obawiał, ale uznałem, że skoro oparła się tyłu swatom, to i tobie da radę.

– Nie rozumiem...

– Gmina nie wypuści Fatimy.

– To już wiem.

– Tak? I co zrobiłeś z tą wiedzą?

Nie odpowiedziałem.

– Ktoś cię zobaczył, jak do niej łazisz, i obił ci głowę...

– To nie byli Żydzi.

– Mówisz o tych, co bili, czy o tych, co kazali bić?

– O tych z pięściami...

– Tak czy owak, musisz na jakiś czas zniknąć. Pojedziesz ze mną. Od razu, teraz.

– Wszystko mnie boli. Nie dam rady w siodle. Za zimno!

– Posłuchaj mnie, złotowłoso. – Zakonnik przystanął. Ja krok dalej. – Mam ciekawsze zajęcia niż wożenie się po mrozie z żydowskim Adonisem. Ale takie dostałem polecenie. Mam cię wywieźć z miasta jak najszybciej. Więc nie stękać.

Biła od niego taka stanowczość, że chyba nie miało sensu się opierać.

– Kiedy zobaczę Zawiszę?

– Za jakieś dwie niedziele.

- Może wy mi powiecie, bracie Mikołaju, czy jakieś czorty go pod ziemię wciągnęły? Ludzie plotkują...
- Zakonnik udał, że nie usłyszał pytania.
- Tyniec to klasztor. Dla zaprzańców jest nocleg w warowni. Będziesz bezpieczny. Damy ci tam jakieś ubranie.
- Długo tam zostanę?
- Do odwołania. Jak tylko przyjdą wieści, że możesz wracać, nie będziemy cię zatrzymywać.
- Powinienem powiadomić Miriam...
- Nie musisz.
- Co tam będę robił?
- Rozmawiał ze mną.
- O czym?
- Jak chronić króla i jak szykować się do wojny.
- Będę miał dużo do powiedzenia. – Zamiast się roześmiać, tylko jęknąłem z bólu.
- Wszyscy na to liczą...
- Jestem tak ważną osobą?
- Zgadza się.
- Bardzo mnie zaciekawiliście, bracie Mikołaju... Coś mi powiecie?
- Powiem tyle, ile mi kazali. Ani mniej, ani więcej.

Tyniec, wiosna roku Pańskiego 1392

Dopiero w siodle poczułem, jak dokładnie mnie poobijano. Bolał mnie każdy skrawek ciała. Opuchnięta, ściągnięta mrozem twarz ciążyła mi jak maska. Pęknięta skóra na boku, obolała głowa, potłuczone kości – na szczęście to wszystko było niegroźne. Nie miałem, Bóg łaskaw, żadnego złamania.

Błota i śniegi zamarzyły na kamień, więc jechaliśmy żwawo jak dobrym rzymskim traktem. Nie wziąłem rękawic; dłonie mi poczerwieniały i bolały od zimna. Trzymałem wodze jedną ręką, drugą chowałem w długim rękawie kozucha. Jakoś ratowałem je przed odmrożeniem. Gorzej było z nogami. Nie spodziewałem się tak długiej drogi, miałem na sobie zwykłe wełniane nogawice, w których chodziłem po domu. Buty sięgały ledwie ponad łydki, kozuch zasłaniał uda do połowy, ale to, co pozostawało odkryte, zamarzało. Bałem się, że jak przyjdzie mi zejść z konia, to nogi mi odpadną, po prostu się odłamią. Widziałem kiedyś, jak Miriam wystawiła na noc za okno płaty świeżej ryby, a na drugi dzień, by podzielić je na mniejsze porcje, nie cięła ich nożem, ale po prostu łamała na pół, jak uschłe gałązki. Ani chybi tak stanie się z moimi kolanami.

Brat Mikołaj skulił się w swoim kozuchu, głęboko na uszy naciągnął czapę z jakiegoś kosmatego zwierza. Klapy kozucha spiął wysoko, pozostawiając sobie jedynie szparę na oczy. Łypał nimi co jakiś czas. Kilka razy coś powiedział, ale nie zrozumiałem ani słowa. Nie umiałem czytać z kłębow pary.

Po godzinie jazdy zakonnik wstrzymał konia. Wiatr przegnał rozproszone chmury i słońce rozświetliło rozległą przestrzeń o niezwykłym uroku. Horyzont zamykało pasmo niskich gór. Przed nami wśród białych pól sunęła szeroka rzeka, błękitna jak niebo. Na lewo od drogi wznosiło się skaliste wzgórze opasane zębatym murem i schodzące stromym urwiskiem wprost do wody. Tam, na oblodzonym teraz wzgórzu, za murem, piętrzyły się klasztorne budynki. Za tym wzniesieniem rzeka wykręcała się jeszcze leniwie kilka razy i podążała dalej prosto w stronę Krakowa. Miejsce wydawało się idealne, by osiąść i w spokoju uprawiać ziemię, zapewne żyzną, dobrze nawodnioną. Choć domów tu było znacznie mniej niż na terenach wokół Krakowa i trzymały się bliżej wzniesień.

Nurt Wisły rozdwajał się u stóp klasztornego wzgórza i opływał podłużną wysepkę, czyniąc miejsce dogodnym do przeprawy. Dziwne, że tak strategiczny teren, blisko stolicy, oddano mnichom. Silna musiała być w tych stronach wiara

w modlitwę.

Brat Mikołaj jakby czytał w moich myślach. Wskazał na szczyt wzniesienia.

– Wzgórze od północy jest chronione przez *castrum*. To, co widać, to jego mniejsze skrzydło.

Wstępowaliśmy nań powoli, ostrożnie prowadząc konie po oblodzonej drodze zwieńczonej kamienną budowlą, będącą wedle słów mnicha skrzydłem zamku. Weszliśmy w przesklepioną bramę; dwóch wartowników stało przy żelaznym piecyku i rozmawiało. Ten, który stał do nas przodem, klasnął mocno w dłonie i krzyknął coś na powitanie, drugi nawet się nie odwrócił. Znaleźliśmy się na niewielkim dziedzińcu zamkniętym murem, za którym skała opadała stromo do rzeki, oraz dwoma zamkowymi skrzydłami. Te schodziły się w taki sposób, że dziedziniec miał kształt trójkąta. Droga wiodąca do klasztoru skręcała ostro w lewo i przechodziła jeszcze jedną bramą wybitą w przyziemiu drugiego skrzydła, dłuższego i miałem wrażenie, że wyższego. Mnich wskazał na to właśnie dłuższe skrzydło.

– Tu zamieszkasz, będziesz bezpieczny. Strażnicy wyglądają na wałkoni, ale zaręczam ci, że nimi nie są.



Posiłek zjedliśmy w towarzystwie kilku żołnierzy, w tym dowódcy straży zamkowej. Zyskałem ich sympatię opowieściami z dalekich stron i biegłością w polskiej mowie. Udawałem francuskiego dostawcę sukna, który przyjechał do opata w interesach. Nic tu do Żydów nie mają, chodzi o dyskrecję, tłumaczył zakonnik. Swój wygląd wyjaśniłem napaścią lokalnych rzezimieszków.

Potem poszliśmy obejrzeć opactwo. Brat Mikołaj wykorzystał spacer, by wprowadzić mnie w sprawy, którymi się zajmował on, a po części także Zawisza; odsłonić przede mną tyle, ile mu kazano. Ani mniej, ani więcej. On mówił, ja od czasu do czasu zadawałem pytania.

Ośrodkiem krzyżackiego wywiadu działającego na terytorium Polski była Brodnica. To najważniejszy z krzyżackich zamków wzdłuż Drwęcy. Miał bronić przedpola państwa zakonnego i nie dopuścić do wkroczenia polskiej armii w głąb Prus. Funkcję komtura objął tam w roku 1387 Karol von Lichtenstein, który pochodził ze znanej frankońskiej rodziny, ale obrócił się w młodości w pospolitego zbója, jak większość niemieckich szlachciców. Nagrzeczył tak bardzo, że musiał wstąpić do zakonu, by uniknąć stryczka. Wyróżniały go cechy, które Malbork szybko docenił: nadzwyczajny spryt, wyrobiony latami na łupieżczych podchodach, bezwzględność Lucyfera i organizacyjny talent. Do Brodnicy popłynęła rzeka pieniędzy na działalność wywiadowczą. Czas był gorący. Jagiełło obejmował tron, w kraju panował typowy dla tak głębokich przemian chaos. Zagony szpiegów ruszyły w Polskę, a ta była nieprzygotowana na zmasowany atak

i w krótkim czasie stała się dla Krzyżaków otwartą księgą.

Po polskiej stronie nie złożono jednak broni. Rok wcześniej, w 1386, starostwo ziemi sieradzkiej otrzymał kasztelan wojnicki Jan z Tęczyna. W ten sposób władzę w strategicznie położonej ziemi łączącej Małopolskę z Wielkopolską i Mazowszem objął człowiek, który uratował koronę dla Jagiełły i był głównym filarem obozu panów polskich odpowiedzialnych za unię z Litwą. Z racji objęcia tak ważnej funkcji spoczął na nim obowiązek kształtowania polityki polskiej wobec państwa zakonnego – tej oficjalnej i tej niejawniej, wywiadowczej. Jan z Tęczyna, zwany przez ludzi u niego służących Toporem ze względu na rodowy herb – biały topór w czerwonym polu – oraz przymioty charakteru, przewyższał komtura Lichtensteina pod każdym względem, moralnym czy wojskowym, ale nie miał ani takich funduszy, ani takich struktur na pruskiej ziemi. Siatka polskich wywiadowców dopiero powstawała. Tego nie da się zbudować w kilka lat.

Jednym z najbardziej zaufanych ludzi Jana z Tęczyna stał się Zawisza z Garbowa herbu Sulima. Trafił na tęczyński dwór dzięki swemu ojcu, Mikołajowi, jako młody chłopak. Bardzo szybko, wskutek protekcji Tęczyńskiego, został pasowany na rycerza, i to przez samego króla, co zdarzało się wyjątkowo rzadko. Topór dostrzegł w Zawiszy rozliczne talenty: łatwość w zjednywaniu sobie ludzi, inteligencję, wyjątkową sprawność w walce, a przede wszystkim wielkie umiłowanie ojczyzny. Mało było mężów w królestwie, którzy łączyli te wszystkie przymioty pod jedną skórą.

Przystanęliśmy na trójkątnym dziedzińcu.

– To jest... klasztor czy zamek? – spytałem, wskazując olbrzymi kamienny gmach.

– Wyższe skrzydło to zamek, należy tymczasowo do króla, załoga jest monarsza.

A za tą drugą bramą – mówiąc to, zakonnik wskazał na przejście w wyższym skrzydle – jest już opactwo. Wejdiesz tam na chwilę, pewno jesteś ciekaw, ale wiedz, że na ogół tacy jak ty nie mają tam wstępu. Bracia potrzebują spokoju. Będziemy się spotykać w zamku. Tam mamy skryptorium. Dokładnie nad izbą, w której dostaniesz pryczę.

– Myślałem, że zakonnicy pracują w klasztorze...

– To jest nasze miejsce spotkań. Nie ma dyskretniejszego i bezpieczniejszego gniazda w tym kraju.

– Spotkań z kim?

– Nie możesz wiedzieć o wszystkim. Teraz w wywiadzie pracuje wielu ludzi. Wszystkich zna tylko Jan z Tęczyna. Ja rozmawiam ledwie z kilkoma. Zasada jest prosta: każdy zna tylko swój najbliższy kontakt i uprawia tylko to pole, które mu oddano w dzierżawę.

Ogromnym sukcesem Tęczyńskiego było zbudowanie na terenie Prus bardzo skutecznej siatki szpiegowskiej. Jej członkowie nie znali się między sobą; zdemaskowanie jednego nie zakłócało zatem działalności i nie było zagrożeniem

dla pozostałych. Te same zasady obowiązywały po polskiej stronie: ludzie zaangażowani w opracowywanie dostarczanych informacji oraz w obsługę poszczególnych szpiegów nie zdawali sobie sprawy, że pracują z siecią. Wszystkie raporty trafiały do rąk jednego człowieka – starosty Jana z Tęczyna. To on przekazywał informacje do analizy. Czasami dawał je swoim ludziom w Tęczynie albo małej grupie wywiadowców podległych bezpośrednio królowi. Ale najczęściej zdobywane informacje trafiały tu, do Tyńca.

– Kto tworzy tę siatkę?

– Siedmiu zaufanych dostawców do krzyżackich zamków.

– Kupcy? Ich donosy są aż tak cenne?

– Wartość tej siatki opiera się na tym, że znając skalę zamówień oraz terminy dostaw, można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć wojenne zamiary Krzyżaków.

Przeszliśmy przez drugą bramę, która wychodziła na rozległy dziedziniec otoczony blankowanym murem. Poczujęm się tu jak w twierdzy. Na wschodniej ścianie wznosiła się fasada kościoła, do której dochodziło nieco cofnięte skrzydło zabudowań klasztornych. Od zachodu i południa ciągnął się wysoki na jakieś trzy łokcie mur obronny.

– Gdy zamkniemy to wejście... – Mówiąc to, mnich z trudem poruszył żelaznym skrzydłem bramy – ...odgradzamy się od świata. Żeby tu wejść, nie mówię zbrojnie, bo to niemożliwe w naszych czasach, ale podstępem, trzeba oszukać strażników na obu bramach.

Wydało mi się niesprawiedliwe, że załoga zamku licząca dwudziestu żołnierzy musiała zadowolić się tak niewielkim dziedzińcem, podczas gdy niewiele liczniejsza wspólnota mnichów, było ich nieco ponad dwudziestu, miała do dyspozycji zabudowania klasztorne, krużganki z placykiem i jeszcze ten dziedziniec. Od skarpy oddzielał go mur, który miał chyba raczej chronić mnichów przed runięciem w dół, niż bronić, bo od tej strony wdrzeć się na wzgórze nie było sposobu. Mur sięgał do ramion, a szerokie przerwy między blankami otwierały widok na toczącą się u dołu Wisłę.

Chwilę przyglądaliśmy się spokojnemu nurtowi rzeki.

– W lipcu zeszłego roku dotarł pierwszy sygnał, że dzieje się coś niedobrego. Zginął człowiek, który nadzorował całą siatkę.

– Zamordowany? – spytałem na tyle rzeczowym tonem, na ile mogłem się zdobyć.

– Nie chcieliśmy wzbudzać paniki – odparł zakonnik. – Zawisza miał dyskretnie wypytać gdańskiego kupca, Krzysztofa Lobeschitza, o to zdarzenie. Ale dwa dni przed waszym przybyciem do Gdańska wyłowiono z Motławy jego zwłoki.

– Byłem nad rzeką! Widziałem to miejsce!

– Mógł to być znak od Krzyżaków – ciągnął brat Mikołaj. – Ale mogło to być też zwykłe utonięcie, wypadek. Dlatego musieliście obejrzeć zwłoki. Okazało się, że

był torturowany. Ale istniał jeszcze cień szansy, że Krzyżacy trafili na jego ślad przypadkowo. Kupcy nie znali się między sobą, więc nawet na torturach nie mogli wydać pozostałych. Mijały tygodnie. Poczęła się tlić nadzieja, że na tym koniec. Ale na początku roku utopił się następny kupiec, a potem wyłowiono z Wisły, w Toruniu, ciało trzeciego. Już nie ma miejsca na wątpliwości: ktoś zdradza nazwiska, a Krzyżacy mu ufają i mordują wskazywanych szpiegów. Dochodzą do nas wieści, że Malbork rzucił do tej sprawy wszystkie swoje psy. Nie ma teraz dla nich nic ważniejszego. To, co wyglądało na sukces polskiego wywiadu, okazało się wielkim zwycięstwem Lichtensteina. Jesteśmy już pewni, że komturowi udało się zwerbować kogoś z najbliższego otoczenia Jagiełły.

– To zagraża królowi?

– Może będą chcieli go porwać? To nie jest wykluczone, już były próby. Może skompromitować? Tego nie wiemy, ale niebezpieczeństwo jest ogromne.

– Dlaczego zdracą musi być ktoś z otoczenia króla?

– Dostęp do nazwisk kupców ma tylko kilka osób w kraju.

– Kto?

– Jeszcze za wcześnie, żeby ci je zdradzać. Te osoby, o których wiemy, są poza podejrzeniem, tyle mogę powiedzieć.

– No ale... co ja mam z tym wspólnego?

– Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest komtur Lichtenstein. Tu będziesz miał rolę do odegrania. Już od dawna Tęczyński chciał mu się dobrać do skóry. To wyjątkowo skuteczny łajdak. Musimy go złamać.

– Nie znam komtura Brodnicy, nie znam nikogo z rodu Lichtensteinów. – Bezradnie rozłożyłem ręce. – Wątpię, abym mógł pomóc.

– Możesz pomóc, właśnie, że możesz... – Spojrzał na mnie i prawie się uśmiechnął. – Oto całe twoje nieszczęście...

Odwróciliśmy się od rzeki. Przyglądałem się spacerującym niespiesznie postaciom w habitach.

– Poczuleś na własnej skórze, jak sprawny jest komtur. – Przerwał ciszę głos zakonnika. – Lichtenstein szybko dowiedział się, że ktoś był w kostnicy, że węszył w porcie i dowiadywał się o topielca, że okaleczył dwóch jego ludzi. Pobicie tych najemników w Gdańsku było jak plunięcie w twarz. Musiał na to odpowiedzieć. Dowiedział się o was wszystkiego, co mu było potrzebne, by się do was dobrać.

– To jego ludzie na mnie napadli?

– Nie wiem, ale dowiemy się. Twoi pobratymcy od początku mieli cię na oku. Od początku budziłeś ciekawość. To mi wygląda na sprawkę Żydów, chłopcze. Ale to Lichtenstein kazał im sprawdzić, coś za jeden. Wtedy zaczęli staranniej się tobie przyglądać. I się wydało. Może to nawet słudzy Osmana cię pobili? On ponoć zabiega o rękę Fatimy dla syna.

– Mówiłem już, że to nie byli Żydzi...

- Mogli kogoś najać.
 - Dlaczego mnie nie zabili?
 - Może chcieli tylko cię wstrętem nakarmić... do Fatimy, do Krakowa. Jesteś związany ze starostą Tęczyńskim. Gdyby cię zabili, podniósłby się straszny kurz.
 - Dużo wiesz, jak na zakonnika z odludzia na szklanej górze.
 - Jestem oblatem. Wszystko, co miałem, przekazałem zakonowi. Jestem mu posłuszny, mam prawo nosić habit, ale nie składałem święceń.
- Słońce skryło się za chmurami. Powiew ostrego chłodu od rzeki przeniknął przez kożuch. Przysiedliśmy na krawędzi nisko wybitej przerwy w murze. Nie miałem już sił na dalszy spacer. Zmęczenie nocnymi przeżyciami i drogą wróciło ze zdwojoną mocą.
- Mówi się, że Tyniec, choć Wawel blisko, nie chce polityki... – powiedział zakonnik. – Taka opinia tylko sprzyja naszej sprawie. Bo to nieprawda. Nasz opat jest wielkim patriotą. Kiedy Tęczyński zwrócił się do niego z prośbą o pomoc, opat natychmiast się zgodził.
 - To znaczy? Jaką pomoc?
- Brat Mikołaj wstał.
- Przejdźmy do skryptorium.

Wróciliśmy do zamku i weszliśmy schodami na pierwszy poziom mieszkalny. Brat Mikołaj zatrzymał się przy ostatnich drzwiach wąskiego korytarza. Lekko je pchnął i gestem zaprosił mnie, bym wszedł.

– Podobno zeszlście ze statku ze zwierzątkami w kudłach... – Zakonnik po raz pierwszy się roześmiał. – No więc my tu jak ta czuła matka nad głową dziecka: iskamy te niemieckie wszy z polskiej głowy z pasją i wiarą, że to dla zdrowia ojczyzny.

Izba nie była obszerna, ale przytulna. Na ścianach wisały mapy: wielkie płótna z wyrysowanymi konturami krain, z zaznaczonymi rzekami i jakimiś znakami. Stało tu kilka szerokich regałów zavalonych księgami, zwojami pergaminu i stosami papieru. I trzy pulpity: duże, wygodne, z szafkami i półeczkami, na których leżały skrawki papieru, przybory do pisania, małe kaganki, deski z resztkami jedzenia. Wprawdzie pulpity te były przystosowane do pracy na stojąco, ale obok każdego z nich stała niewielka wyściełana miękkim sukrem ławeczka.

– Tu zajmujemy się łamaniem szyfrów, pisaniem listów, fałszowaniem dokumentów. Wszystkim po trosze.

Zakonnik podszedł do jednego z regałów. Wziął ze szkatułki kilka skrawków papieru.

– Oto ostatnie zaszyfrowane listy, jakie udało się nam przechwycić. To oczywiście kopie. Popatrz.

Podsunał mi pierwszą kartkę.

– Ten szyfrant wprowadza w pewnych miejscach tekstu jedną z trzech liter: „s”, „k” lub „l”. To pierwsze litery niemieckich słów *schweigen*, milczeć, *karen*, obracać, *lesen*, czytać. Znasz niemiecki?

– Nie...

– Musisz się nauczyć, jeśli chcesz dla nas pracować...

Nic nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co znaczy „dla nas” ani „pracować”. Tępić niemieckie wszy? Nie miałem takich planów.

– Umieszczenie jednej z tych liter na początku wersu podpowiada, jak należy go odczytywać. Pomiąć go, czytać wspan czy normalnie. Prymitywny szyfr, ale muszę przyznać, że trochę czasu mi zajęło, zanim na to wpadłem.

Teraz wyjął złożony we czworo większy kawałek papieru.

– Podobny system. Tu szyfr polega na zapisie wyrazów w całości bądź przestawionymi sylabami. Gdy na początku i na końcu wyrazu pojawiała się spółgłoska „l”, wtedy należało czytać wyraz normalnie. Na przykład *lfünfl* muszę odczytać *fünf*, czyli „pięć”. Gdy jednak wyraz zaczynał się i kończył na literę „k”, muszę go czytać od końca sylabami wstecz. Na przykład *ktervak*, przeczytam jako... – zawiesił głos.

– *Vater* – powiedziałem po chwili.

– Dobrze! *Vater*, czyli „ojciec” – pochwalił zakonnik. – To trudniejszy system. Ci, co pisują do siebie, zmieniają regularnie te litery-wskaźniki. Do tego mają pulę wyrazów, które nic nie znaczą, a wprowadzone do tekstu strasznie komplikują lekturę. Często i te puste wyrazy ujmują w litery-wskaźniki. I tak dalej, i tak dalej. Dopiero wczoraj udało mi się złamać ten szyfr.

Był wyraźnie podekscytowany.

– U Tęczyńskiego leży kilka skrzyń tak zapisanych listów, których do tej pory nie odczytaliśmy. Wkrótce się do niego wybieram. Będzie zajęcie na długie tygodnie.

Rozejrzałem się po komnacie.

– To idealne miejsce, by pracować w skupieniu – rzekł brat Mikołaj. – Skryptorium przenieśliśmy tu, do zamku, bo częste wchodzenie świeckich w obręb klasztoru wydałoby się w końcu podejrzanym. A tak, nikt się niczego nie domyśla.

– Jak przechwytywanie takie listy?

– Wyłapywaniem krzyżackich kurierów i szpiegów zajmują się łowcy. Zawisza ci o nich nie wspominał?

– Nie.

– Nie? – zdziwił się brat Mikołaj. – Zawsze ma u boku kilku z nich. Są pod jego rozkazami.

Po czym ciągnął z powagą w głosie:

– Król, miłośnik łowów, zawsze polował w otoczeniu litewsko-ruskich myśliwych. Na Litwie nazywają ich osocznikami. Jagiełło przywiózł ich tu kilka setek. Potem rekrutował też Polaków, głównie chłopów, ale trafiali się i drobni rycerze, włodykowie, trochę drobnej szlachty. W Polsce król założył kilka osad łowieckich: w Jedlni, Niepołomicach; ich mieszkańcy dostali ziemię, ale w zamian mają obowiązek uczestniczyć w polowaniach. Powstała grupa zawodowych łowców królewskich. Armia ponad tysiąca ludzi zręcznych jak diabli, przyuczonych do każdej broni, świetnych jeźdźców. Starosta Tęczyński wymyślił, żeby z nich wybrać najlepszych i przenieść do służby wywiadowczej. Król się zgodził. I wybrali dwa tuziny. Takich, co w nocy galopem potrafią przez las przejechać. Mają węch i słuch wilków, naprawdę. Widzą w ciemnościach jak sowy. Straszni ludzie. Teraz polują na krzyżackich szpiegów. Nie mogą narzekać, gruba zwierzyna.

– Zawisza się nimi zajmuje?

– Zajmuje? Nie wiem, co to znaczy – odparł niecierpliwie zakonnik. – Jest ich dowódcą. Kilku z nich, drobnych szlachciców, Polaków, przysłali mi na naukę. Zdolne bestie. Zrobiliśmy z nich kurierów. Piszą i czytają lepiej ode mnie. Tu masz dowód na łaskawość Stwórcy i jego sprawiedliwe patrzenie na ludzki rodzaj. Człowiek dzieli, Pan Bóg zaciera różnice. Jeden z nich, Sambor, nawet czyta książki.

Podeszliśmy do kolejnego pulpitu. Brat Mikołaj sięgnął po duży trójramienny świecznik, wyjął jedną ze świec i odpalił od ogarka, który płonął przy wejściu. Ktoś, wychodząc tuż przed nami, najwidoczniej zapomniał go zgasić. Przy wsadzaniu świecy kilka kropel rozgrzanego wosku pobrudziło habit.

– A oto i moje królestwo. – Postawił świecznik na swoim pulpicie. – Tu ślęcę nad tym, co przysyłają nam kupcy.

Obok na ścianie wisiała wielka wyprawiona bydlęca skóra z narysowaną mapą i kilkunastoma zaznaczonymi punktami.

– To ziemia chełmińska – wyjaśnił brat Mikołaj. – To mój obszar łowów.

Zakonnik podszedł do mapy i wskazał palcem kilka punktów.

– Każdy zamek ma swojego szafarza. Szafarz dokonuje transakcji najczęściej przez handlowych agentów, *liegerów*. Ci zawierają w imieniu komturów umowy na kupno i sprzedaż określonych towarów. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

– Nas interesuje kupno. Dzięki siatce kupców mieliśmy przez ostatnie lata dokładne informacje o zakupach dokonywanych przez zamki na ziemi chełmińskiej i wschodzie Prus.

– Siedmiu kupców wystarczy?

– To jedni z największych. Poza tym agenci, mając konkretne zlecenie, kontaktują się zawsze z kilkoma kupcami i wybierają najlepszą ofertę. Nasi nie musieli wcale uczestniczyć w transakcji. Wystarczy, że wiedzieli o zamówieniu – wyjaśnił zakonnik. A potem dorzucił chełpliwie: – To wszystko jest doskonale zorganizowane!

Podczas gdy ja podziwiałem drobiazgowość mapy, brat Mikołaj wyrzucał z siebie kolejne szczegóły. Polaków interesowały dwie kategorie produktów: broń i żywność. Jeśli na zamku mieszka trzydziestu knechtów i nagle zamówienie opiewa na sto kusz, jest to znak, że do zamku dołączy wkrótce siedemdziesięciu żołnierzy. Po co? Szykuje się zbrojna wyprawa. To oczywiste. Ale przyglądanie się zamówieniom na broń bywa zwodnicze. Często oddziały najemników są kontraktowane z własnym uzbrojeniem. Szykując się na rejzę, zachodnie rycerstwo zjeżdża z własnym rynsztunkiem. Podobnie postępują bracia zakonni.

Kluczem jest więc żywność.

Zakonnik wytypował kilka głównych produktów gromadzonych w zamkowych

spizarniach dla wyżywienia załogi i czeladzi: sery, tłuszcze zwierzęce, masło, groch, mięso wołowe i wieprzowe, dziczyznę, kiełbasę, mięso wędzone i ryby. Wykluczył zboże, bo to jest uprawiane w przyzaskowych folwarkach i jego zakupy, rzadkie, nie oddają realnego zapotrzebowania. Każdy zamek ma określoną liczebność załogi. Brat Mikołaj opracował dokładne przeliczniki. Wiedział na przykład, ile każdy zamek zużywa grochu. Jeśli zamówi go nagle trzy razy więcej niż zwykle, jest to równie niepokojący znak, jakby zamówił kusze albo miecze. Jeszcze jedna zaleta zbierania informacji o zakupach żywności: te kontrakty zawierane są przez *liegerów* z dużym wyprzedzeniem. Dzięki temu polski wywiad wiedział na kilka miesięcy naprzód, gdzie szykowana jest koncentracja wojska i w jakiej skali. Był czas, żeby ostrzec Litwinów: kiedy, z jakiego zamku i w jakiej sile wojska pójdzie rejza. A jeśli zapasy serów robił zamek w Brodnicy albo Golubiu, było wiadomo, że szykowany jest wypad na Mazowsze.

– Takiego wywiadu nie miał żaden kraj. – Zakonnik rozłożył ręce w geście rezygnacji. – I wszystko runęło. Rozumiesz? Jestem tym osobiście dotknięty, bo poświęciłem ojczyźnie wiele lat życia.

Patrzył na mnie życzliwiej, bo widział, że chłonałem każde jego słowo.

– Król wiedział oczywiście o siatce i bardzo ją cenił. Rozsierdził się na wieść, że może ją stracić. Tęczyński miał podobno przysiąc na święty krzyż, że jeśli przegra wyścig ze zdrajcą i utraci wszystkich kupców, zrzeknie się wszelkich godności. Mówią, że nie miał innego wyjścia. – Wziął głęboki wdech, a potem długo wypuszczał powietrze. – Odejście Tęczyńskiego oznacza koniec kariery Zawiszy i w ogóle wielkie kłopoty dla Polski.

– Kłopoty dla Polski? Dlaczego? – spytałem.

– Wielu mężów wokół króla, a Kmita pierwszy, prze do wojny z zakonem. Dla sławy, majątków, przywilejów. Zgoda! Wojna musi być, ale za wcześnie na nią. Teraz ją przegramy. Musimy się lepiej przygotować. Tak uważa Tęczyński, tak uważa Zawisza i tak uważam ja.

Zaległa cisza mącona jedynie pokrzykiwaniami żołnierzy na dziedzińcu. Zakonnik wyprostował się.

– Och, kończmy już, jestem zmęczony, a czeka mnie wiele nieprzespanych nocy...

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? Mnie, Żydowi z krańca świata?

– Zawisza mi kazał – odparł sucho. – Sam się dziwię. Może właśnie dlatego, że jesteś z krańca świata. Pasujesz idealnie do roli, jaką ci wyznaczono.

Podszedł do okna. Stał teraz do mnie tyłem, ale głos dobrze odbijał się od szklanych tafli. Usiadłem na ławeczce przy pulpicie. Ja także czułem zmęczenie.

– Będę z tobą szczery. Nie ufam Żydom. Nie mam nic do was, ale wam nie ufam. Zawsze ponad rozsądek stawiacie te swoje przykazania, codzienne dyrdymały, zachowujecie się jak obłąkani, to jecie, tego nie. Kłamiecie, oszukujecie... Wszyscy to robią, ale u was to jest jakieś... uświęcone. Uważałem, że Zawisza robi

błąd, wciągając cię tak głęboko w całą sprawę. Ale zmieniłem zdanie. Dobrze ci z oczu patrzy. Ufam, że Zawisza wie, co robi.

Podszedł, pochylił się, by poklepać mnie po ramieniu. Stał tak nade mną jak nauczyciel nad nowym uczniem w grupie.

– Będę cię miał na oku – oznajmił. – Doceń, że jestem wobec ciebie uczciwy. No więc, chcesz coś jeszcze wiedzieć? Obaj potrzebujemy odpoczynku.

– Jak zwerbowano tych kupców? – Nie mogłem się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. – Widziałem dom tego kupca z Gdańska. Był bogatym człowiekiem. Po co ryzykował?

– Nie wiem, sam się nad tym zastanawiałem... Nie ma na świecie bogatego, który nie chciałby być jeszcze bogatszy. Ta współpraca była dla nich bardzo opłacalna. Byli hojnie wynagradzani, dostawali niskie ceny na polskie towary, koncesje. Poza tym wielu pruskich kupców nienawidzi Krzyżaków. To jakaś forma walki.

– Dlaczego przywieźliście mnie tutaj? Coś mi jeszcze grozi?

– Nie sądzę, nie teraz. Ci, co mieli coś do ciebie, to już... się jasno wyrazili.

– A jeśli nas śledzili? Wiedzą, że tu jestem?

Zakonnik się roześmiał.

– Do Tyńca przyjeżdżają dziennie setki ludzi, ale nikt nieproszony do komnat się nie dostanie. Poza tym jechał za nami jeden z łowców, towarzyszył nam podczas całej drogi. Gdyby ktoś nas śledził... to wierz mi, zdaje relację Lucyferowi w piekle, czy gdzie tam trafił.

W drodze do Krakowa, wiosna roku Pańskiego 1392

Nie wracaliśmy już później do spraw wywiadu. Mnich uznał, że wypełnił swoje zadanie. Nie zaprosił mnie już więcej do skryptorium, a gdy sam do niego przychodził, nie zaglądał do mojej celi. Odwiedzał mnie za to dwa razy dziennie tyniecki medyk. Miałem tylko sińce i płytkie rany, które szybko się goiły. Za kilka dni, powiedział, będę mógł pokazać się ludziom. Jedynie kolory na twarzy zostaną na dłużej.

W drogę powrotną do Krakowa wyruszyłem w towarzystwie brata Mikołaja po pięciu dniach pobytu w Tyńcu.

Mrozy puściły i drogi przemieniły się w błotniste grzęzawiska. Miałem wrażenie, że idziemy po mulistym dnie jeziora, z którego dopiero co spuszczone wodę.

– Zawisza już ci coś poopowiadał o swojej ukochanej? – zagaił mnich.

– Nie...

– Tak myślałem, to urodzony gawędziarz... Podobniście do siebie. No więc to piękna, gibka, wesoła sztuka. Szyta dla niego na miarę. Mieszczka. Wołają na nią Hanna. Na pewno ją wkrótce poznasz.

Zakonnik okazał się dziwnie skory do rozmowy o dziewczynie.

– Zawisza rok koło niej chodził, a ona się już dawno do czepeca paliła, bo lata swoje ma i krew w niej buzuje. – Odwrócił się do mnie i dostrzegłem wesoły błysk w jego oczach. – Ale jej ojciec, Tomasz z Węgleszyna, nie chciał Zawiszy. W końcu trzasnął go w pysk. A on zamiast dziewczkę porwać, sam zniknął na dwa lata. Jak kamień w wodę.

– Nic mi nie mówił... – Właściwie to była prawda. Słyszałem o tym od Rojka. Postanowiłem się jednak do tego nie przyznawać.

– Mam nadzieję, że nasz rycerz oprzytomnieje – mówił dalej zakonnik, kołysząc się w siodle. – Krewka dziewczka. I złote serce, to widać po oczach.

– A jak to wygląda z Tyńca? Może się udać? Zawisza jest bardziej dumny czy bardziej zakochany?

– Ja mu tam do serca na zaglądam. Tyś go ponoć iskał na statku, to go zapytaj.

– A ten jej ojciec, Tomasz... Co o nim myślicie?

Zakonnik jakby na to czekał. Przeklinając co rusz na błoto, chętnie podjął opowieść. Tomasz z Węgleszyna jako młody chłopak znalazł się na dworze stryjecznego dziadka, biskupa Floriana, a stamtąd trafił na Wawel, na dwór

namiestniczki Elżbiety Łokietkówny. Prawdziwą karierę zaczął robić już jako rycerz u boku Jagiełły. Dzięki zdecydowanemu poparciu, którego udzielił Litwinowi w walce o polski tron, trafił do grona jego najbardziej zaufanych współpracowników. Znalazł się w poczcie władcy podczas objazdu po Polsce po koronacji, objął funkcję podczaszego krakowskiego, a zimą 1386 roku udał się z parą królewską na Litwę i uczestniczył w dziele chrystianizacji. Wielka i szybka kariera.

Co ciekawe, mówił zakonnik, nie takie były plany jego rodziny. Ta wytyczyła młodemu Tomaszowi ścieżkę kariery kościelnej. Nic z tego. Tomasz poślubił bogatą mieszczańkę. Szybko urodziła się im córka – Hanna właśnie. Matka ledwie wyszła z życiem z położu i nie mogła mieć już więcej dzieci.

Małżeństwo to było dla Tomasza bardzo korzystne. Wcześniej niezbyt zamożny, dzięki posagowi żony, spadkom i łaskom królewskim stał się jednym z najbogatszych rycerzy w królewskim otoczeniu. W Polsce, a w Aragonii nie było inaczej, małżeństwa szlachciców z bogatymi mieszczańkami były częste i powszechnie popierane, gdyż zapewniały korzyści obu stronom. Dla kobiety związek taki stawał się środkiem do wkroczenia w szeregi szlachty, z kolei rycerzowi majątek żony umożliwiał finansowanie dalszej kariery.

Matka Hanny zmarła kilka lat temu. Miano za złe Tomaszowi, że tak szybko znalazł pocieszenie w ramionach nowej żony. Była nią córka rycerza z ziemi dobrzyńskiej – Anna z Sadłowa, która wniosła w posagu połowę zamku w Sadłowie oraz przynależne doń wsie. Wielki to był majątek, nie mniej niż czterysta kop groszy praskich, co dawało pięćset grzywien polskich. Zakonnik twierdził, że to wystawny tryb życia, a przez to nieustanne potrzeby finansowe skłoniły Tomasza do ponownego ożenku, choć mówiło się też, że małżeństwo sprokurował sam król Jagiełło, który w ten sposób zdobywał wpływy pośród zamożnej warstwy dobrzyńskiego rycerstwa.

Tomasz nie sprzyjał kandydaturze Zawiszy. Sam trawiony ambicjami wymarzył sobie dla córki znacznie lepszą partię niż ubogi rycerz z Małopolski. Co z tego, że wszyscy wróżyli Zawiszy wielką karierę. Tomasz ponoć w te wróżby nie wierzył.

Hanna dużo czasu spędzała z ojcem w Sadłowie, gdzie często zajeżdżali rycerze z Prus i Niemiec. Na jednym z turniejów wystąpił niejaki Zygfryd, rycerz ze znamienitego niemieckiego rodu von Dohnów. Warto wiedzieć, że Dohnowie związani byli wielopokoleniową przyjaźnią z rodem Lichtensteinów, z którego wywodził się komtur Brodnicy, Karol von Lichtenstein.

Hanna wpadła w oko Zygfrydowi i zaczęły się umizgi. Młody rycerz prędko ją zagadywał ojca. Skutecznie chyba, bo Hanna odwiedziła majątek von Dohna w Prusach. Mówi się, że sam król błogosławiłby ten związek. Zresztą Tomasz, jako starosta inowrocławski, taką rolę dostał – mosty kłaść do Prusów.

– Na krzywdzie córki? – oburzyłem się.

– Nie przesadzajmy z tą krzywdą! Poza tym ożenek to zawsze polityczna sprawa. Ojciec bardzo na nią naciska w sprawie tego Niemca.

– A ona?

– Hanna nie powiedziała jeszcze tak, ale jest blisko.

– Jak blisko?

– Tak blisko. – Zakonnik uniósł dłoń, zbliżając kciuk i palec wskazujący. – Chce, ale jeszcze się z tym nie ogłosiła.

Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu. Nagle zakonnik roześmiał się do własnych myśli.

– Zygfyrd przecudnej urody – oznajmił. – A Zawisza zachorzał z wściekłości. Tym bardziej że Niemiec zaczął się na Wawelu pokazywać.

– Dlaczego królowa zaprasza Zygfyda na turnieje? – Ze zdziwieniem stwierdziłem, że z mojego głosu przebija coraz większe oburzenie.

– To Kmita wprowadził go na krakowskie komnaty. Poza tym obóz królowej prowadzi przyjazną politykę wobec zakonu. Komtur brodnicki jest oficjalnie przyjacielem Jadwigi. Tęczyński nie o wszystkim mówi królowej.

– A Hanna nie wie, że Zygfyrd jest związany z komturem? – dopytywałem. – Że jego ludzie napadli Kruczka?

– To są tajemnice wywiadu.

Brat Mikołaj zamilkł. Jego wzrok pobiegł ku rysującym się na horyzoncie murom obronnym Krakowa.

– Pamiętasz ten szyfr z przestawionymi sylabami? – zapytał nagle.

– Ten z *Vater*?

– Właśnie! Ponad rok temu łowcy przechwycili krzyżackiego kuriera. Tuż przed granicą z Prusami. Miał przy sobie listy do Malborka. Nic z nich nie wynikało. Treść nie trzymała się kupy. Wziął te listy Tęczyński, ale też rozłożył ręce. Myślę, że je teraz odczyta. Wiozę mu klucz do szyfru.

Brat Mikołaj zatrzymał konia. Zeskoczył w błoto, odszedł parę kroków, a ja odwróciłem głowę. Po chwili wrócił z wyrazem ulgi na twarzy.

– Zanim łowcy zaszyli tego kuriera w worek i spuścili do rzeki, wydusili z niego, skąd wiozł listy. – Wsunął nogę w strzemię i zręcznie wskoczył na siodło. – Wiesz skąd?

– Powinienem się domyślić?

– Powinieneś, jeśliś taki bystry, jak mówi Zawisza.

Kraków, wiosna roku Pańskiego 1392

– Umycie podłogi z krwi nic nie zmienia, Aaronie – oznajmił Jordan.

To było nasze pierwsze wspólne wyjście do łaźni po moim powrocie z Tyńca.

– Ktoś dowiedział się o twoich nocnych odwiedzinach u Fatimy.

Nic nie odpowiedziałem, bo co miałem powiedzieć? Że mi przykro? W głębi serca liczyłem na to, że Miriam dochowa tajemnicy. Powinienem był ją o to poprosić.

– Nie wiem, kto w gminie mógł posunąć się do czegoś takiego – zastanawiał się na głos Jordan. – To byli na pewno wynajęci ludzie, starzy wyjadacze, nie ma śladu włamania, przystawiania drabiny, sprawdziłem. Nikt nic nie widział, nie słyszał.

Przynajmniej tyle! Żadna plotka na mój temat jeszcze nie trafiła do żydowskich uszu. Zatrzymaliśmy się przed wejściem do łaźni. Była to zwykła łaźnia publiczna, niewielki okrągły budynek z cegły. We wnętrzu wokół muru szły wąskie schodki z poręczą. Basen, głęboki na kilka łokci, wypełniała woda idąca gdzieś spod ziemi. Z oszczędności kilka kaganków płonęło tu zawsze niskim płomieniem, więc pomieszczenie tonęło w półmroku, a czarna toń nie zachęcała do kąpieli. Korzystałem z tej łaźni, jak wszyscy Żydzi w Krakowie, z obowiązku. Ale teraz postanowiłem, że obmyję się w rzece. W Krakowie Żydom tego nie zabraniano. Choćbym miał to przypłacić zdrowiem.

Jordan skinął głową, gdy mu o tym powiedziałem.

– Musisz się wynieść z naszego domu – powiedział sucho, stojąc już na stopniach wiodących w czarną czeluść. – Jak najszybciej. Gdy tylko wróci Zawisza.

W ciągu następnych kilku dni nastąpiła pełnia wiosny, a ja wciąż żyłem w napięciu. Prawie nie wychodziłem z domu. W nocy wsłuchiwałem się w najmniejszy szmer za oknem; w dzień na każdy odgłos kroków w sieni domu Maius cierpły mi ze strachu dłonie i stopy.

Na pierwszą kolację piątkową po moim powrocie Fatima nie przyszła. Wymówiła się chorobą, gdy Miriam posłała do niej Zoe z zaproszeniem. Nie przychodziła też na lekcje jidysz. Wyobrażałem sobie, przez co przechodzi.

Żydzi albo wciąż o niczym nie wiedzieli, albo zapanowała wśród nich zmowa milczenia. Musiałem raz na jakiś czas wyjść na ulicę. Wychwytywałem wtedy ukradkowe spojrzenia. Początkowo uważałem, że to jednak ma związek z Fatimą. Ale mijały kolejne dni i nie posypały się na mnie kamienie. Może to moja posiniaczona twarz przyciągała spojrzenia? A może tak po prostu jest, że ludzie się

sobie przyglądają i tylko ci żyjący w trwodze widzą wszędzie złe zamiary?
Z wielką radością przyjąłem wiadomość, że Zawisza zapowiedział Jordanowi swój rychły przyjazd do Krakowa.



Zawisza pojawił się w progu domu Jordana nazajutrz. Słońce wisiało już wysoko na czystym niebie – było południe. Usłyszałem niewolnika, który wołał na przemian mnie i Miriam. Na schody pierwsza wypadła Zoe. Dostała od Zawiszy jakiś drobiazg. Miriam chciała ją złapać, ale dziewczynka wyrwała się jej ze śmiechem.

– Nie wolno jej nic brać od obcych – powiedziała ze zmarszczonym czołem. – Nie jesteście z rodziny, panie rycerzu. Nie jesteście nawet Żydem!

– To tylko kawałek cukru. Koszerny. Kupiony od Żyda.

– Kłamiecie!

Zawisza nisko się jej skłonił.

– Jak się sprawował mój przyjaciel?

– Ach, wybornie... – Miriam już się uśmiechała. – Żadnych problemów.

– Miriam, niebiosa cię wynagrodzą. A wcześniej król. Za twoje serce i pomoc. Bóg ci zapłaci.

Potem weszliśmy na górę do mojego pokoju. Zawisza kazał mi się spakować.

– Już tu nie wrócisz – zapowiedział. Ton brzmiał trochę zbyt rzeczowo, jak na pierwsze słowa po długiej rozłące. Nie dostrzegłem za to w jego oczach nagany ani złości, co pokrzepiło mnie na duchu.

Spytałem go o zdrowie Kruczka, ale on gestem dał znać, że nie zamierza teraz się nad tym rozwodzić.

– Dzisiaj będziesz spał u mnie. Jutro ruszamy do Tęczyna.

Przyjąłem to z ulgą. Nie wiedziałem, co znaczy „u mnie”. Nie pytałem. Chciałem jak najszybciej wynieść się z tego domu.

– Pobili mnie – powiedziałem, gdy skończyłem pakowanie. Zaciągnąłem worek i oparłem go o ścianę.

Zawisza się roześmiał.

– *In facies neglecta veritas...* Nawet wiem za co.

Rozejrzałem się po izbie. Żeby zapamiętać. Lubię wracać wspomnieniami do różnych miejsc. Taka namiastka podróży. Gdy będę już w Saragossie, z pewnością nieraz przywołam w pamięci ten dom.

– Wiesz już, ile kóz mają tu Żydzi? – Padło nieoczekiwane pytanie.

– Żadnej.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

– Czegoś poza tym się dowiedziałeś?

– Wielu rzeczy.

- Świetnie. Chodźmy. Poznasz Hannę. Pewno ci już o niej opowiadali?
- A i owszem. Ludzie tu tym żyją...

Karczma, do której się udaliśmy, była surowa jak wszystkie w Krakowie: stoły, ławy, wołowe pęcherze w oknach, ogromny kominek i szynkwas. I dobre sytne piwo lane do glinianych dzbanów tak wielkich, że można w nich zanurzyć głowę. Na końcu prostokątnej izby szły do góry ukosem wąskie schody dla podróżnych, którzy tu nocowali.

W karczmie mimo wczesnej pory panował gwar. Goście siedzieli, niektórzy stali, ale wszyscy o czymś rozprawiali. Zauważyłem już podczas spacerów z Rojkiem, że karczma w Krakowie to uświęcone miejsce, gdzie ludzie różnej kondycji bratają się bez zahamowań. Szlachta gadała z chłopami, biedota z bogato odzianymi mieszczanami, miejscowi z przyjezdnymi. Można tu było także spotkać kobiety, wcale nie prostytutki. Przychodziły w męskim lub damskim towarzystwie, a nawet samotnie. Karczmarz był z urzędu odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo.

Opowiedziałem Zawiszy o piątkowych kolacjach, o spotkaniach, o tym, kogo poznałem i czego się dowiedziałem. A także o planach związanych z inwestycją w wytwarzanie sukna w Teruelu i eksport wełny. Wyraził uznanie, choć jak przyznał, nie dotarły do niego jeszcze żadne opinie od Żydów. Dopiero dziś po południu miał spotkać się z Lewkiem i Jordanem.

Gdy opróżniliśmy do połowy wielkie dzbany, opowiedziałem mu ze szczegółami o pobiciu i o podejrzeniach, jakie powziął brat Mikołaj.

– Jak cię tam w Tyńcu traktowali?

– Zakonnicy przywrócili mnie do zdrowia. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy.

– Ciekawych... – Zawisza chwilę przyglądał się mojej posiniaczonej twarzy. – Może i było tak, jak twierdzi brat Mikołaj, że to Żydzi za tym stali. Trudno dać wiarę.

Zrelacjonowałem mu wszystko, czego o wzajemnych interesach Kmity i bankiera Osmana dowiedziałem się od Fatimy. Zawisza słuchał w napięciu. Mówiłem o rzeczach, o których nie miał pojęcia, a które bardzo go zainteresowały.

– Wiedzieliśmy, że Osman bywa często u Kmity, że coś knują od lat, ale nie znaleźliśmy szczegółów. Dobrze się spisałeś. – Pokiwał z uznaniem głową. – Jeśli Kmity pożyczają od Osmana tak duże kwoty, to te pieniądze muszą iść gdzieś dalej. Gdzie? Do Prus? Żydom nie wolno pożyczać dużych sum za granicę bez zgody

króla. A już na pewno nie do Prus. Kmita nie obraca tysiącami grzywien. Musisz dowiedzieć się więcej. Niech Fatima postara się zdobyć informacje, co dalej dzieje się z tymi pieniędzmi.

– Jak mam jej to powiedzieć?

– Po polsku. Zrobiłeś niezwykle postępy. Jestem pod wrażeniem!

– Pytałem, czy mam do niej iść?

– A dlaczego nie? Tylko nie leż po dachu jak łasica, ale jak człowiek, drzwiami.

– Wyda się...

– Co się miało wydać, już się wydało. Ludzie się odwiedzają, nie ma w tym nic zdrożnego. Musisz się przestawić na codzienne miłości...

Zawisza przerwał i utkwiał wzrok w drzwiach karczmy.

– O! Jest – szepnął na widok smukłej dziewczyny, która weszła do karczmy z jakimś młodzieńcem, zapewne służącym, sądząc po wyglądzie i zachowaniu. Stała za progiem i chwilę rozglądała się bezradnie.

Ubrana była w wytworny szkarłatny płaszcz, półkolisty, długi i pofałdowany. Zsunęła z głowy kaptur. Włosy miała zaplecione w dwa warkocze zwinięte i upięte z tyłu głowy. Uśmiechnęła się na widok Zawiszy. Ten ruszył w jej stronę, a ona odprawiła służącego. Razem podeszli do stołu.

– Aaron! O nazwisku, którego nie umiem powtórzyć – zwróciła się do mnie zaskakująco niskim, ciepłym głosem. – Bardzo się cieszę, że pana wreszcie poznałam! Tyle o panu słyszałam.

Skłoniłem się głęboko.

– Pani...

– Wiem! Pan o mnie nic nie wie. Proszę się nie przejmować. Zabroniłam mu o mnie rozpowiadać. – Wskazała na Zawiszę i dodała: – Nie ma o czym.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czy na taką szczerość zasłużyłem sobie przyjaźnią z Zawiszą, czy też okazywała ją każdemu rozmówcy?

Jeśli Hanna była w czymś podobna do Jamili, przyjaciółki Zawiszy z Aragonii, to jedynie w tej bezpośredniości. Hanna zachwycała smukłą budową, łagodną linią ramion, długą szyją. Oczy miała tak jasne, błękitne, jakby była aniołem i skradła pod powieki kawałek nieba. Uśmiech nie schodził jej z twarzy; wydawał się tak naturalny, że gdy dziewczyna oblekała się na moment w powagę, rzekłbyś, że to z przymuszenia, okupione wysiłkiem. Na pewno uśmiechała się przez sen. Szczęśliwy, kto przekona się o tym na własne oczy.

Ogarnął mnie lęk, że Zawisza da sobie wykraść taki skarb.

– Aaronie, Zawisza pytał, czy może pan zamieszkać w naszym domu – powiedziała Hanna i natychmiast odpowiedziała: – Oczywiście! Z wielką przyjemnością udzielię panu gościny. Rozmawiałam już z ciotką Barbarą. Zamieszkała ze mną po śmierci mojej matki.

– Jak ci się udało zbałamucić ciotunię? – zapytał Zawisza.

– Opowiedziałam jej, jakie niezwykle przygody przeżył pan Aaron i jakim jest ciekawym człowiekiem.

– Ciotka ma wielki uraz do Żydów – wyjaśnił Zawisza.

– Ależ... żaden uraz – starała się łagodzić Hanna.

– Nienawidzi ich! Sama mówiłaś, że strasznie zależli jej za skórę. Aaron powinien wiedzieć... – brnął Zawisza.

– Nie teraz o tym! – ucięła Hanna. – Ważne, że się zgodziła.

Szkoda, że Zawisza mnie nie uprzedził, czułem się skonfundowany, że tyle osób zamartwia się z mojej przyczyny.

– Dom stoi przy Rynku. Zawisza panu pokaże. Mieszkam w nim z ciotką – powtórzyła. – Nie mogłam mieszkać sama, a ciotka została bez dachu nad głową, odkąd ją Żydzi domu pozbawili.

– No właśnie – mruknął Zawisza.

– To chrześcijanka. – Hanna nie spuszczała ze mnie wzroku, choć odpowiadała Zawiszy. – Potrafi wybaczać, poza tym, co pan Aaron zawinił? Taką mu rodzice wiarę uszyli, to ją nosi. A! – Teraz już zwróciła się do mnie: – Ciotka będzie się starała namówić pana, panie Aaronie, do przyjęcia chrztu. Od pierwszego dnia!

– A ciotka jest waleczna... Strzegła Hanny przede mną jak cerber – powiedział Zawisza.

– Może przed Tatarami! – prychnęła. – Na jedno wychodzi. Zagrożenie dawno minęło.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja poczułem radość, jakby mnie obsypano klejnotami.

– Aaronie... Mój dom jest pana domem!

Usiadła obok Zawiszy. Karczmarz zaraz się zjawił z glinianą stągiewką o połowę mniejszą od naszych i nalał gęstego piwa po brzegi.

– Zresztą ja i tak tu rzadko bywam. Nie chcę być mieszczką! – oznajmiła Hanna. – Mam dość wdychania smrodów, przeciskania się w tłumie, chodzenia spać, bo dzwonią dzwony, i wstawania, bo dzwonią dzwony. I ten... handel wszędzie. Ciotka jest dumna, że mieszka w domu przy Rynku, ale ja nie znoszę tego harmidru. Chcę mieszkać w zamku!

Hanna przechyliła stągiewkę, wypła piwo do dna, po czym wstała i oświadczyła:

– Przeniosę się tam z moim mężem!

Naprawdę uznam Zawiszę za człeka pozbawionego rozumu, jeśli pozwoli sobie sprzątnąć sprzed nosa taką dziewczkę.

Zawisza również wstał od stołu.

– Spotkamy się pod sukiennicami – rzucił do mnie. – Przy wschodnim wejściu. Jak będą bić piątą. Teraz idę z Hanną do sądów.

Wychodząc, przywołał jeszcze chłopaka z karczmy i kazał zanieść mój worek do gospody, w której mieliśmy nocować.

Tego dnia zaginęła Zoe. Powiedział mi o tym niewolnik Pilos, którego spotkałem przypadkiem koło jatek przy Małym Rynku, gdzie spacerowałem, zabijając czas pozostały do spotkania z Zawiszą. Niepokój dręczył Miriam od rana i narastał z każdą kolejną godziną wybijaną na miejskim zegarze. Zoe wyszła z domu wczesnym rankiem, miała kupić kilka drobiazgów na Rynku i zaraz wracać. Ale czas mijał, a ona się nie pokazała.

To prawda, że Zoe często tak zapominała się w zabawie, że potrafiła przez cały dzień nie dawać znaku życia. Ale tym razem to nie mógł być powód. Zoe miała przynieść matce potrzebne rzeczy. Była bardzo obowiązkowa i nie błędziła po mieście z innymi dziećmi, jeśli miała do wypełnienia jakieś zadanie.

Pilos spędził na Rynku kilka godzin, chodząc od kramu do kramu i przepytując sprzedawców, ale nikt tam Zoe nie widział. Potem Miriam wysłała go na Mały Rynek, aby i tam popytał. Właśnie wracał do domu z niczym, gdy go spotkałem.

Zoe zazwyczaj punktualnie pojawiała się na popołudniowy posiłek. Umówiłem się z niewolnikiem, że jeśli Zoe się nie odnajdzie, on przyjdzie o czwartej pod sukiennicę. Pokochałem tę dziewczynkę i nie dopuszczałem myśli, że coś złego mogło się jej przydarzyć.

Stanałem pod jednym z bocznych ostrołukowych wejść do sukiennic dokładnie w chwili, gdy zegar na wieży ratuszowej wybił czwartą. Miałem jeszcze godzinę do spotkania z Zawiszą. Czekałem kwadrans, wypatrując z bijącym sercem niewolnika. Nie pojawił się. Niepokój, który jak zimny wąż pełzał mi po plecach, ustąpił. Pokrzepiony nadzieją, że Zoe się odnalazła, wszedłem między kramy, by po raz nie wiem który przyjrzeć się wystawianym towarom.

Dziś był wtorek, dzień targowy. Mimo późnej pory handel trwał w najlepsze. Dominowało sukno flandryjskie i angielskie. Interesowało mnie głównie to pierwsze. Znałem Brugię i panujące tam stosunki, umiałem wprowadzić towar bez cła, wiedziałem, jak zmniejszyć do minimum opłaty portowe. Jeszcze w Perpignan wypytywałem o handel z Polską. Powiedziano mi, że do Flandrii przywozi się głównie zboże, no i to, co daje las: drewno, popiół, smołę. Nieprawda! Głównym produktem, jaki szedł z Krakowa, była miedź. To handel *transito*, z Węgier. Wielkie ilości. Potem ołów, już z Polski, z Olkusza. Drewno było ważne, ale dostarczało go głównie Mazowsze, bliższe Prusom. Z południa napływało

w dużych ilościach tylko drewno cisowe, spławiane Dunajcem i Wisłą. A za to wszystko płacono przede wszystkim sukniem!

W pierwszych skrajnych kramach wystawiano te najlepsze, najdroższe tkaniny: brukselskie, tyńskie, yperskie, mechelskie, lowańskie, edyńskie, a na końcu cienki harras. Na kolejnych stołach sukno angielskie: bewerleckie, londyńskie, grubsze sukno z Kentu. Dominowały sukna kolorowe, wykwińnięjsze. Jedyne gorsze tkaniny, angielskie, sprzedawano tu szare i białe.

To zadziwiające, jak wiele się nauczyłem w warsztacie tkackim u Abencanyasa. Przeklinałem kiedyś każdy spędzony w nim dzień, a teraz nabyta tam wiedza okazała się skarbem; dzięki niej czułem, że mógłbym pokierować inwestycją w Teruelu. Bardzo chciałem, żeby do niej doszło – mógłbym żyć jakiś czas okrakiem: jedną nogą tu, w Krakowie, mieście, które polubiłem, a drugą w Saragossie.

Sulima pojawił się równo z wybiciem godziny piątej.

– Niezwykle miejsce – powiedziałem na powitanie. – Nawet w Saragossie nie widziałem takiej różnorodności sukna.

Zawisza mruknął coś przytakująco, a potem podjął:

– Rozmawiałem z Jordanem...

– Spodobał im się plan? – Starłem się zadać to pytanie jak najłżejszym tonem.

– Jordan jest na ciebie wściekły... Gdyby to od niego zależało, wyjechałbyś z niczym. Nie dziwię mu się. Podobno obiecałeś mu kilka dni wcześniej...

– Tygodni!

– Na rany Chrystusa, Aaronie, choćby i miesiący! Gdzieś ty miał głowę?

– Miłość przekreśla wszelkie reguły – powtórzyłem za Joshua, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Idź do diabła! – prychnął Zawisza, odpychając młodzieńca, który zajęty rozmową z jakąś damą wszedł nam pod nogi.

– Poza tym Jordan nie ma w tej sprawie nic do gadania – zaperzyłem się.

– Tu zgoda! – Zawisza energicznie kiwnął głową. – Decyzję podejmuje Lewko. Jeśli przekonasz Lewka, reszta ludzi pójdzie za nim. Czy wiesz, że on nic nie słyszał o tej nocnej awanturze? Ani on, ani żaden z bankierów. To niezwykle, bo oni na ogół wiedzą o rzeczach, zanim jeszcze te się zadzieją. A tu nic.

– Kto zatem wie?

Zawisza nie odpowiedział, bo weszliśmy w grupę kupców, którzy zwinąwszy już swoje kramy, stali w kręgu i kłócili się o coś zawzięcie.

– Tylko Jordan i stary Osman – odpowiedział w końcu. – Nie wiem, czy jego synowie także. No i Miriam...

– Gdy dowiedziałem się, że to ona... Byłem zaskoczony.

– Mam nadzieję! Szpieg jak cios: sygnalizowany jest nic niewart. – Zawisza przystanął. Byliśmy pod kościołem Maryi Panny. – To się na tym nie skończy...

Chyba wiesz?

Miałem już dość połajanek.

– Powinieneś powojować o tę dziewczkę – zwróciłem się do Zawiszy, żeby zmienić temat. – To skarb! Wiesz, że znam się na złocie.

– A ty co, swat? Nie znasz jej.

– Takiej drugiej jak twoja Hanna nie widziałem w Krakowie.

– Ani ona moja, ani niczyja.

– Coście w sądzie załatwiali? Skoro Hanna o pomoc cię prosi, to może nie wszystko stracone?

Z tego, co odpowiedział mi na to Zawisza, wynikało, że po zmarłej matce Hanna odziedziczyła duży majątek, przede wszystkim kamienicę w Krakowie, położoną przy Rynku, drugą od wylotu ulicy Floriańskiej; i o ten dom właśnie rozpętała się sądowa batalia. Stanęli w szranki Tomasz z Węgleszyna oraz rodzina Hanny ze strony matki – jej wujowie, występujący w imieniu dziewczyny. Tomasz z Węgleszyna szybko znalazł sobie nową żonę, a prawo w Polsce stanowiło, że córka dziedziczy połowę majątku ojca, jeśli ten ożeni się powtórnie. Tomaszowi bardzo to było nie w smak, bo musiał w sądzie, jak na spowiedzi, wyjawić swój majątek, a tego nikt nie lubi. Niby zeznania są tajne, ale wiadomo, jak to bywa w sądach.

No i wujowie dziewczyny żądali, aby w podziale ojcowizny nie brać pod uwagę domu w Krakowie, który był własnością zmarłej żony, i traktować go jako macierzyzną, która i tak należała się dziewczynie.

Hanna w tę sądową szarpaninę nie chciała się włączać; za wszelką cenę pragnęła pozostawać z ojcem w jak najlepszych stosunkach. Dążyła do ugody. Nie zależało jej na podziale ojcowskiego majątku. Chciała zatrzymać dom, bo każda szanująca się szlachecka rodzina dzierżyła jakąś posiadłość w królewskim mieście, ale najbardziej marzyła o zamieszkaniu w majątku ojca (a w zasadzie majątku macochy) w Sadłowie.

Hanna zamierzała zwołać radę rodzinną i uzgodnić kompromis. W sądzie nie spodziewała się problemów, sędziowie z ochotą przystają na kompromisowe rozwiązania, bo to oszczędza im pracy i kosztów. Zawisza udał się z nią, by rycerskim pasem wymóc właściwe traktowanie sprawy. Opuścić nie zamierzali jednak wujowie Hanny. Wynajęli jurystów, którzy śledzili teraz majątek Tomasza, każdą wydaną przez niego grzywnę, żeby nic nie skryło się przed podziałem.

– O Tomaszu tak właśnie mówią – powiedział na koniec Zawisza z niechęcią w głosie. – Że tonął w długach, ale zawsze miał do żeniacek szczęście, bo i pierwszy ślub, i drugi na nogi go postawiły.

Karczma, w której zatrzymał się Zawisza, mieściła się w jednej z kamienic przy ulicy Rzeźniczej, wychodzącej na plac jatki, zwany też Małym Rynkiem. Właścicielem kamienicy był Kaspar Krugil, najpierw ławnik, a od tego roku krakowski rajca. Nad karczmą urządził kilka pokoi gościnnych.

Karczmarz był dobrym znajomym Rojka, może nawet powinowatym. Nauczyciel tłumaczył mi te zawłośc podczas któregoś z wieczorów spędzonych tu przy winie. Kaspar Krugil dzierżawił także oprócz karczmy dwa z trzech największych krakowskich domów publicznych. I twierdził, że prowadzenie karczmy to znacznie łatwiejszy, pewniejszy i lepszy zarobek. Karczma służyła również za zwykły kram, gdzie można było kupić najróżniejsze towary. Tylko stąd wyciągał dwadzieścia grzywien dochodu.

– To dużo? – zdziwił się Zawisza.

Zasiedliśmy właśnie do jedyne go wolnego stołu w gospodzie.

– Dla ciebie nie, dla mnie dużo – odparłem. – Można tu za to kupić osiem koni albo dwadzieścia cztery krowy, albo osiemdziesiąt wieprzy, albo sto osiemdziesiąt owiec.

Zawisza wydał pogardliwie wargi i nic nie odpowiedział. Zaczął rozglądać się za gospodarzem, by coś zamówić.

Nagle drzwi gwałtownie się rozwarły i do wnętrza wszedł jakiś mężczyzna. Wysoki, barczysty. Dostrzegł Zawiszę i od razu ruszył do naszego stolika. Krok miał sprężysty, żołnierski, ale ubrany był po mieszczańsku: w obcisłe spodnie z nogawicami w zielone i czerwone pasy oraz krótki kaftan z rękawami zaokrąglonymi ku górze. Uściskali się serdecznie. Zawisza nas przedstawił. Oto stał przede mną Sambor, jeden z owych słynnych łowców, o których wspominał zakonnik. Przybysz patrzył na mnie przez chwilę jak na jakąś osobliwość, o której wiele słyszał, a teraz mógł na własne oczy zobaczyć. Miał pogodne, miłe dla oka oblicze, a lat niewiele więcej niż Zawisza.

– Panie kapitanie – zwrócił się do rycerza – wszyscy na pana czekali!

– Bo?

– Najemnicy Zygryda von Dohna są w Krakowie! Od paru tygodni dają się ludziom we znaki. Złość jest na nich w mieście. Wczoraj jakąś dziewczkę chcieli przymusić. Pobili kilku mieszczan.

- Zadaliście im jakichś wstrętów?
 - Nie. Ale są pod obserwacją, wedle rozkazów.
 - To będzie musiało poczekać. Jutro do Tęczyna jedziemy.
 - Panie kapitanie, nalegamy...
 - Na co, do pioruna?
 - Można by teraz... Są w „Świdnickiej”... Sprawiedliwość wymaga.
- Tylko nie to! – pomyślałem. Do naszego stołu podszedł właściciel karczmy. Może obietnica ciepłej strawy zatrzyma Zawiszę? Ale ten odprawił gospodarza ruchem ręki, nawet na niego nie patrząc. Przepadło.
- A wy co? Sędziowie?
 - I kaci, panie kapitanie!
- Zawisza wyciągnął palec w kierunku Sambora.
- Tęczyński mi głowę zetnie... Musiałbym mieć świadków, że oni zaczęli.
 - Świadkowie już gotowi.
- Samborowi oczy się świeciły.
- Ktoś jeszcze jest z naszych? – spytał Zawisza.
 - W Krakowie teraz jeszcze trzech.
 - Aż tylu? Nie mają nic do roboty?
 - Po tym, co się stało, brat Mikołaj wezwał Jarocho, żeby tego Żydka chronić. – Wskazał mnie ruchem głowy. – Reszta robi to, co zawsze, ma oko na najemników.
- Zawisza rozparł się wygodnie na ławie.
- Wiecie o tym coś więcej? Kto mu dał w skórę? – Położył mi dłoń na ramieniu.
 - To byli ludzie Zygryda – odparł młodzieniec.
 - Jesteś pewny?
 - Zbadaliśmy ślady wokół domu. Musieli mieć rozkazy, żeby poprzetrzącać mu kości, nic więcej. Ale kto wie, co będzie dalej. Dlatego Jarocho ma na niego baczenie.
 - Coraz śmielej sobie poczynają. Trzeba coś z tym zrobić.
 - No właśnie, ja o tym już od pacierza.
- Zaproponowałem, że w takim razie zostanę w karczmie i popilnuję dobytku, tu będę bezpieczny, ale Zawisza był nieugięty.
- Pójdiesz z nami! – oznajmił stanowczo. – Może to któryś z nich cię pobił. Zemścisz się. Nie będziesz tchórzem!
- Zawisza miał od rana twarz ściągniętą zmęczeniem, teraz doszła do tego okrutna zawziętość.
- Tęczyński twierdzi – zaczął Zawisza – że Lichtenstein szuka okazji, żeby mnie do czegoś głupiego popchnąć. – Odwrócił się do Sambora i oznajmił: – No to mu się dziś poszczęści.
- Młodzieniec wesoło skinął głową.
- Rozkaz to rozkaz!

- Ilu ich jest? – spytał Zawisza.
- W sumie siedmiu, panie kapitanie. Ale dwóch zostaje zawsze w domu u Kmity. Na straży. Pięciu łązi i rozbija się po karczmach.
- Idź tam i rozeznaj sprawę. Za chwilę do ciebie dołączymy. Niech Jaroch z tą dwójką obstawia Rynek, żeby...
- Już obstawiony! Straż w ratuszu uprzedzona... Mają długo gacie wciągać i nie spieszyć się z interwencją.
- I po medyka...
- Już posłałem!
- Dobrze. Idź!

Weszliśmy na górę. Moje rzeczy leżały już w pokoju. Stały tu tylko dwie prycze z siennikiem. Żadnej pościeli, żadnych koców, stołu, krzeseł. Nic. Tylko jeden taboret, a na nim miednica z wodą. Zawisza rozebrał się do pasa, ochlapał, potem trzymał długo twarz w wodzie. Wytarł się jakąś szmatą wydobytą z podróżnego wora. Ciężko usiadł na łóżku.

- Jestem zmęczony.
- Zostańmy tu. Wypocznij... Nie wiedziałem, że jesteś kapitanem.
- Kapitanem drużyny. Tak mnie nazwali. To łowcy. Mówił ci zakonnik?
- Wspomniał.
- Tylko Sambor, ten, co tu był, ma szlacheckie pochodzenie. Łykowa to szlachta, ale lepsza niż chłopstwo. Z ciężkich opresji mnie kiedyś wyciągał. Jest mi jak brat. Z tym kapitanem to tak przy ludziach tylko.

Wciągnął na siebie koszulę, wepchnął ją do spodni. Włożył obcisły skórzany kubrak.

- Reszta bije czołem, bo chłopci. Ale rozumem i sprawnością wszystkich szlachciców w tym kraju przewyższają. Podczas tej potyczki na drodze... wszyscy, którzy zginęli, to byli łowcy. Dowodził nimi Kruczek. Oni się miłują jak bracia i mszczą za siebie jak bracia. Dlatego nie miałem serca mu odmówić, choć Bóg mi świadkiem, legnąłbym wreszcie. Zapowiedziałem kiedyś, że jak chcą bijatyki w Krakowie, to ja muszę być, bo ja siebie i ich w razie czego z opresji wyciągnę. Rycerz pasowany jestem i miejskie sądy mi niestraszne.

Wzuł te same wysokie ciężkie buty co w Gdańsku. Gdy zrobił kilka kroków w stronę okna, twarde podeszwy głucho zadudniły o deski.

- I widzisz! To jednak ludzie komtura cię potarmosili – rzekł, zamykając okiennice na skobel. – Tak to musiało wyglądać. Lichtenstein chciał cię mieć na oku, coś za jeden. Wiedział tylko, żeś Żyd i ze mną w drodze byłeś. Kazał Osmanowi cię przypilnować. Osman, jak zobaczył, że po dachach łązisz i mu wdówkę bałamucisz, to opłacił najemników, żeby ci to z głowy wybili.
- Mogło tak być – przyznałem.

Zawisza podszedł do mnie na dwa kroki. Dłońmi zaczesał czarne włosy do tyłu

i związał je rzemieniem.

– Żle z Kruczkim. Ukrywamy to przed ludźmi, ale taka jest prawda. Jest z nim brat zakonny, co roli go uczy. Może tyle z niego będzie, że na ziemi zostanie i będzie gospodarzył.

I w pierwszym dziś przyływie ożywienia szturchnął mnie pięścią w ramię.

– Gotowy?

Zeszliśmy do karczemnej piwnicy. Wnętrze jak zwykle tętniło życiem, choć takiego tłumu jeszcze tu nie widziałem. Panował zaduch. Izba rozjaśniona ciepłym światłem z kilkudziesięciu oliwnych lamp pełna była zamożnych mieszczan i kobiet. Większość kobiet miała obcisłe suknie, na szyjach i dekoltach ozdobne, kosztowne łańcuchy. Uśmiechnięte, usminkowane twarze, w ufryzowanych, pokreconych włosach fruwały wstążki. Chyba przed chwilą tańczono. Przy ścianie naprzeciwko szynkwasu stało kilku muzykantów. Zabawa dopiero się rozkręcała.

Zawisza odszukał wzrokiem Sambora. Idąc do stolika łowcy, rzuciłem okiem na salę. Od pięciu żołdaków, którzy wyraźnie odcinali się ubiorem od reszty, dzieliła nas liczna grupa mieszczan i kobiet, siedząca przy długim stole.

– Poznajesz herb na kaftanach?

Skinąłem głową. Wypalone w skórze splecione poroża jelenia. Najemnicy siedzieli swobodnie przy stole, rozbawieni, czerwoni na twarzach, jakby też uczestniczyli przed chwilą w tańcach.

Podeszła dziewczyna posługująca w karczmie i bez słowa postawiła przed nami trzy stągiewki piwa.

– Wróc zaraz – rzucił do niej Zawisza.

Na dźwięk głosu Sulimy drgnęła i spojrzała na niego zaskoczona. Widać teraz dopiero go rozpoznała, bo wcześniejszą kamienną powagę zastąpił szeroki uśmiech. Jej śnieżnobiała płócienna koszula śmiało rozchyłała się na piersiach, gęsto marszczona czerwona spódnica sięgała połowy łydek. Gdy odchodziła, nie mogłem się powstrzymać, by nie odwrócić głowy i nie powieść wzrokiem za czerwoną plamą znikającą w tłumie.

– Z którym kupcem przyjechali? – spytał Sambora Zawisza.

– Z Konradem Lankauem, handluje solą. To *lieger* gdańskiego komtura. – Sambor w mieszczańskim stroju wyglądał równie niegroźnie jak większość dzisiejszych gości. Jedynie te szerokie ramiona... – Kmita teraz koło Wieliczki się kręci i zaczął z Krzyżakami o soli gadać.

Zawisza mruknął coś na znak, że przyjął do wiadomości. Upił duży łyk piwa. Poszedłem w jego ślady. Piwo jak piwo, ale moi towarzysze się zachwycili.

– Świdnickie, najlepsze piwo w Krakowie – oznajmił Zawisza, po czym obaj unieśli stągiewki do ust i wychylili do połowy.

– Wiecie co, Samborze, ten Żydek zabronił mi Hanne oddawać...

– Panie kapitanie, jak zakaz to zakaz. Trzeba Żydka słuchać!

Sambor jeszcze raz podniósł naczynie z piwem.

– Za naszego kapitana i jego szczęście! – zawołał. – Musicie się, panie kapitanie, bardziej postarać. Śpiew podszkolić, gry na instrumencie jakimś się poduczyć. Dowcip w rozmowach trochę wyostrzyć. Jakiś podarek z podróży przywieźć. Tyle czasu was, panie, nie było, z Saracenami się biliście, a żeście żadnego zdobycznego klejnotu pannie Hannie nie przywieźli.

Dobiegł nas gwałtowny śmiech. Głośny i szczekliwy. Sambor wyciągnął szyję i spojrzał w kierunku najemników.

– Obowiązkiem rycerza jest być zakochanym, panie kapitanie – ciągnął. – I dawać cenne upominki.

Zwrócił się do mnie:

– Pan kapitan dostał kirys z czarnej stali w podarku od Hanny. Żeby cały do niej wrócił. Boże miłosierny, taka panna i tak zakochana! Mówią, że branie kosztownych podarków od dam ujmy nie przynosi, ale pod warunkiem że to prawdziwie ukochana, no i zamożniejsza...

– Dość, bo cię do lasu odeślę.

– Mówię, bo się znam. A ty, panie...

– Mogliście, panie kapitanie – wpadłem mu w słowo – przynajmniej te uszy dziewczce podarować. Prawdziwe, saraceńskie...

– Jakie uszy? – zainteresował się Sambor.

– Pan kapitan – podjąłem ochoczo – szepił się na noże z takim jednym Saracenenem. A w Aragonii jest zwyczaj, że jak się jakiegoś ważniejszego niewiernego odeśle do Allaha, to się trupowi uszy obcina. Można sprzedać albo jako trofeum zachować...

– O! Panie kapitanie! Panienska na pewno by się ucieszyła. Życie dworskie ją pociąga, ale w wojnie też się kocha, więc jakbyś jej takie saraceńskie ucho podarował, mogłaby jak broszkę przy sukni nosić.

Służąca znów podeszła do naszego stołu. Uśmiechnęła się do Zawiszy.

– Dawno cię nie było, bohaterze.

– Rumiana dziś jesteś.

– Od gorąca. Słyszałam, żeś na końcu świata, u Saracenów bywał.

– Głównie niewiernym naścinałem. – Zawisza się roześmiał.

– No, oczywiście, bohaterze.

– Ci często przychodzą? – spytał rycerz, wskazując brodą w kierunku najemników.

– Często.

– Podrywają cię?

– Wszyscy mnie podrywają, tylko ty coś przestałeś...

Wczepili się w siebie spojrzzeniami; ja odwróciłem głowę, a Sambor zaczął szarpać kubrak, by go nieco poluzować.

– Poradz... Jak im krwi popsuć? – spytał w końcu Zawisza.

– Zamówcie baraninę. Są głodni, już długo czekają. Miałam im właśnie nieść do stołu, ale mogę wam. Jak mnie zaczepią, to powiem, żeście polscy szlachcice i kazaliście pierwszej sobie podawać.

Sambor i Zawisza równocześnie skinęli głowami.

– Niech będzie. Zjemy baraninę – powiedział Zawisza. – Każ chłopakowi zaryglować drzwi, niech nikt przez pacierz nie wchodzi ani nie wychodzi. I idź zobacz, czy jest już medyk.

– Nie chcę iść, chcę popatrzeć... – zaprotestowała cicho.

– Idź, nie zaczniemy tak szybko.

Dziewka dygnęła i zniknęła w tłumie.

Chwilę później wyszła z kuchni z wielką michą parującego mięsiwa, w które powtykano drewniane łyżki. Drzwi jakby umyślnie rozwarła z łoskotem, a potem szła tak, by jej Niemcy nie mogli przeoczyć. Zawołali coś wesoło w jej stronę i wszyscy jak na komendę wyprostowali się na krzesłach.

Tymczasem służąca minęła żołnierzy i podeszła do nas, po czym postawiła misę z mięsiwem na środku stołu. Jej obfite piersi falowały pod koszulą z emocji.

Upowiedziałem Zawiszę, że nie będę jadł tu baraniny. Przywykłem już do koszernej kuchni Miriam. Ten zaś z miejsca wypalił do dziewczki:

– Ten niewierny Żyd z Aragonii mówi, że nie będzie jadł twojej baraniny. Powiedz mu, że koszerna.

– Ależ panie! – Dziewka wbiła we mnie wzrok i skrzyżowała dłonie na dekolcie. – Najbardziej koszerne baran! Wszystko tu koszerne.

Poprawiłem się na krześle, poczułem się skrępowany, nie chciałem urządzić przedstawienia. Dziewka myślała, że nie mówię po polsku, bo szepnęła do Zawiszy:

– Jezu, ale ładny ten Żydek. Czemu te nasze krakowskie takie paskudy?

A potem, kłując się palcem w obfitą pierś, powiedziała, szeroko otwierając usta:

– Ja też jestem koszerna!

Po czym cicho do Zawiszy, gdy nachyliła się nad stołem, by zebrać puste szklance:

– Przyjdiesz dziś do mnie?

– Nie!

– Żałuj!

– Idź sprawdź, czy jest medyk!

– Idę.

Zaczelismy jeść. Chwilę później dwa stoły dalej rozległo się szuranie. Było gwałtowne i na tyle głośne, że przebiło się przez gwar panujący w karczmie. Siedziałem obok Zawiszy, tak jak i on plecami do tej części izby, gdzie biesiadowali najemnicy.

– No, nareszcie – powiedział Sambor, który zajął miejsce naprzeciwko nas i miał wszystko na widoku. – Jeden tu idzie.

Najemnik podszedł i usiadł przesadnie ciężko na ławie koło Sambora. Miał na oku swoich kompanów, a oni jego. Uśmiechnął się do nich głupkowato. Był to potężnie zbudowany blondyn, sprawiał wrażenie wyższego od Sambora.

Przez nieznośnie długą chwilę nic się nie działo. Po prostu jakiś ciura o rozmiarach wołu zwałił nam się do kompanii, a my udawaliśmy, że wszystko jest w porządku.

W końcu żołnierz sięgnął przez stół, wziął moją łyżkę i patrząc mi wyzywająco w oczy, zanurzył ją w misce. Nabrał kilka kawałków mięsa, zębami jak łopaty nadgryzł ostrożnie, sprawdzając, czy nie za gorące. Potem podmuchał, wydymając przesadnie policzki, i ostrożnie wsunął łyżkę do ust. Mlasnął kilka razy. Wrzasnął coś do kompanów, przekrzykując tłum, a oni odpowiedzieli śmiechem. Potem znów wsadził łyżkę do miski. Tym razem zawiesił wzrok na Zawiszy. Nabrał pełną łyżkę i już nie próbował, tylko od razu dmuchał.

Odwróciłem się za siebie. Żołnierze, dwa stoły dalej, z czerwonymi gębami rozciągniętymi w uśmiechach, gapili się w naszą stronę. Przekrzywiali głowy i wyginali się, gdy na linii wzroku wyrastała głowa któregoś z mieszczan. Jeden z kompanów, z czarnymi jak Saracen włosami, odchylił się najpierw mocno na stołku, a potem wstał, by lepiej widzieć.

Sambor wziął swoją łyżkę, zanurzył głęboko, do samego dna miski, zaczerpnął szczerze gęstego, gorącego sosu, a potem odczekawszy, aż Niemiec ku uciesze towarzyszy znów rozdziawi gębę po kolejną porcję, gwałtownym ruchem wepchnął mu do ust parującą łyżkę.

Najemnik zacharczał dziko, szarpnął głową do tyłu, uderzył na oślep lewą ręką, prawą złapał za gardło; zerwał się na nogi, a potem pochylił, rżąc i plując gorącym sosem. Sambor przeskoczył stół, znalazł się w dwóch szybkich krokach naprzeciwko zgiętego wpół żołnierza i jeszcze w pędzie uderzył go kolaniem w skroń. Ktoś z tłumu jęknął. Jeśli w głowie najemnika paliło się jakieś światło, to właśnie zgasło. Potężne cielsko zwałiło się na podłogę bezwładnie jak wór piasku.

Salę miałem za plecami, ale wyobrażałem sobie, jak wszyscy goście w osłupieniu przyglądają się zajściu. Byłem sparaliżowany strachem. Postanowiłem robić to co Zawisza. Zostanie, żeby się bić, to i ja zostanę, wstanie, żeby uciekać, ucieknę za nim.

– Siadaj po drugiej stronie i mów, co się dzieje – rzucił do mnie Sulima.

Błyskawicznie przeniosłem się na ławę; widziałem teraz całą salę. Rzeczywiście wszystkie głowy odwrócone były w naszą stronę. Grajkowie trzymali w rękach instrumenty. Czekali na rozwój wypadków.

Do Sambora podbiegł ten najemnik, który już wcześniej wstał, by przyglądać się pajacowaniu swego kompana. Ze względu na jego długie czarne włosy nazwałem go w myślach Saracenenem.

Nie dorównywał wzrostem Samborowi, ale był masywniejszy, wyglądał posepniej, groźniej. Skórzane spodnie, wysokie buty, luźna koszula, wysłużony skórzany kaftan. Sambor w zielono-czerwonych opiętych spodniach przypominał wyrosniętego żaka. Wciąż zachowywał pogodny wyraz twarzy. Pomyślałem, że Niemiec nawet cieszy się z postury Sambora. Powalenie jakiejś mizeroty nie przyniosłoby mu chwały.

Może walka miałaby inny przebieg, gdyby Saracen był ostrożniejszy, gdyby docenił, z kim ma do czynienia, zważył choćby na to, jak skończył przed chwilą jego towarzysza. No i gdyby nie był lekko otumaniony piwem. Lekko, ale z kimś o szybkich pięściach to mogło mieć decydujące znaczenie. I miało.

Tłumaczył mi to Rodrigo, aragoński żołnierz, jeden z niewielu przyjaciół, jakich zostawiłem w Hiszpanii. Sztuka wyprowadzenia dobrego ciosu polega bowiem na skumulowaniu w pięści całego ciężaru ciała – od palca u nogi aż po czubek głowy – i szybkości. Same mięśnie i twarda pięść nic nie poradzą, jeśli brakuje szybkości. Rodrigo był wielki, ciężki, ale przede wszystkim szybki. Dlatego prawie wszystkie bójki rozstrzygał pierwszym ciosem.

Sambor ułożył ciało podobnie. Poznałem ten ruch nóg, nachylenie tułowia. A potem krótki, szybki jak atak węża wyrzut pięści i ciała do przodu. Wszystko w mgnienia oka.

Cios trafił Niemca pod oko, obok nosa. Nawet nie podniósł rąk. Nie widziałem, czy zdążył zmrużyć oczy. Coś sucho trzasnęło. Saracen runął do tyłu, jakby ktoś trzymał go na niewidzialnej linii i gwałtownie szarpnął.

Gwar ucichł zupełnie, teraz już wszyscy, nawet karczmarz, patrzyli w naszą stronę, całkowicie pochłonięci widowiskiem. Najbardziej niezdarny rzezimieszek obłowiłby się w tej chwili po uszy. Zawisza siedział spokojnie na taborecie i przyglądał się bójce.

Pozostali trzej Niemcy poderwali się od stołu. Dwaj, rozpychając mieszczan, którzy stali im na przeszkodzie, ruszyli szybkim krokiem w naszą stronę. Trzeci, by skrócić sobie drogę, wskoczył na stół oddzielający go od pleców Zawiszy. Rozległy się oburzone krzyki mężczyzn przy stole i pisk kobiet. Na podłogę spadło kilka strąconych butami talerzy.

Ostrzegłem Zawiszę ruchem głowy, ale było to zbyteczne, nawet na mnie nie patrzył. Dźwięki dochodzące zza pleców były jednoznaczne. Zawisza odczekał nieskończenie długą chwilę, potem błyskawicznie poderwał się na nogi, ujął

taboret w obie ręce, zatoczył nim łuk i gdy Niemiec zeskakiwał na podłogę za jego plecami, trafił go kantem siedziska w czoło, zrywając płat skóry razem z brwią. Taboret roztrzaskał się na kawałki. Niemiec runął na bok pod ścianę, krew trysnęła mu z czoła jak z pękniętego dzbana.

Miałem spocone dłonie i obręcz zaciśniętą wokół żołądka. Gdybym wstał, niechybnie bym się przewrócił. Ludzie poodsuwali się pod ściany. Środek izby opustoszał nagle, jakby szykowano się do tańców.

Siły się wyrównały, było teraz dwóch na dwóch. Trzech najemników leżało bez ruchu, siebie nie liczyłem.

Dwaj Niemcy, którzy przedzierali się przez salę, dopadli naszego stołu. Jeden z nich uniósł ramiona, gotując się do walki na pięści. Był skupiony i już nie lekceważył przeciwnika. Zawisza odrzucił połamany taboret i zrobił kilka szybkich kroków w jego kierunku. Niemiec skręcił tułów do zadania ciosu. W tej samej chwili głowa Zawiszy zatoczyła szybki łuk i czołem twardym jak kamień wbiła się w twarz najemnika.

Zostało dwóch na jednego. Myślałem, że Polacy okażą mu łaskę. Ale nie. To też lekcja ze szkoły Rodriga: nawet jak walczysz ze słabszym od siebie, bij tak długo, aż przeciwnik przestanie się ruszać. Nigdy nie wiadomo, co ma w rękawie i czym możesz dostać w plecy. W bitwie zabić, w bójce obić do nieprzytomności. Tę lekcję przerabiają chyba wszyscy żołdacy na świecie.

Zawisza zaszedł ostatniego żołnierza od tyłu, chwycił za ramiona i zakleszczył je tak, że najemnik, wrywając się, odsłonił pierś i brzuch. Sambor trzymał już w rękach odłamaną nogę taboretu. Przyskoczył, wziął szeroki zamach, jakby ścinał drzewo, i uderzył pod żebra. Koniec.

Ile to trwało? Minutę? Chyba mniej. Wciąż panowała cisza. Pobici nie wydawali z siebie nawet jęków. Leżeli nieruchomo jak trupy.

Z kuchni wybiegła dziewczka z miednicą i szmatami. Któryś z gapiów zaczął się przeciskać przez tłum. To musiał być medyk.

Sambor oparł dłonie na kolanach i pochylony ciężko dyszał. Podniósł głowę. Potoczył wzrokiem po izbie.

– Oni zaczęli! – wykrzyknął.

– Tak! Tak było! – odezwało się szybko kilka głosów z różnych stron. Większość im przytaknęła, kiwając głowami.

Wszystko zaplanowane, przygotowane i wykonane, jak trzeba.

Widowisko skończone. Ludzie wracali powoli do przerwanych rozmów. Emocje opadały. Teraz pewno głowy wszystkich zaprzętała myśl, co dalej: będzie zabawa czy przyjdzie straż i trzeba będzie iść do domu.

Medyk kucnął po kolei przy leżących najemnikach. Zawisza podszedł do niego.

– Jak tam? Dychają?

Medyk podniósł się ciężko z kolan.

– Okrutnie pobici! Może się wyliza, ale sińce to zejda dopiero ich wnukom...

Sambor poszedł w swoją stronę, my wróciliśmy do karczmy na Małym Rynku. Zawisza zamówił piwo. Było późno, gospodarz już nie lał trunku na miejscu, więc wzięliśmy oba dzbany do pokoju. Po drodze poszliśmy do kloaki, szerokiej, wygodnej, przynajmniej na trzy osoby. Dzbany postawiliśmy na daszku. Na zapleczu karczmy panował zupełny mrok, księżyc prawie nie przebijał się przez chmury. Sylwetka Zawiszy odcinała się w ciemności szarymi konturami. Widziałem, że chwiał się lekko ze zmęczenia. Ja też.

– Źle, że cię wmieszałem w tę sprawę w Gdańsku – powiedział, chcąc chyba nawiązać do słów sprzed bójki. – Powinienem być przewidzieć. Lichtenstein to wyjątkowo groźna kanalia. Teraz interesuje się też tobą. Musimy się go pozbyć, zanim struje nam życie do cna.

Machnąłem ręką. Teraz o to nie dbałem.

– Ale jak to się zaczęło? – spytałem. – Z tą siatką? Pytam z ciekawości, ale jeśli to tajemnica...

– Tajemnica... Aaronie, znasz ich już tyle, że jedna mniej, jedna więcej, co za różnica? Zdradzisz nas, to i tak dasz gardła...

Jeszcze wczoraj uznałbym to za żart.

Po dotarciu do pokoju Sulima usiadł ciężko na łóżku.

– Mam dość!

Wyciągnął się na pryczy. Ale emocje po bójce wciąż rozpychały mu głowę, bo przewracał się z boku na bok. Ja też nie mogłem zasnąć. Mościł się jeszcze chwilę, w końcu usiadł i zagał:

– Chcesz zatem wiedzieć, jak to się zaczęło?

– Jeśli łaska...

Wszystko zaczęło się od młodej Żydówki z Pragi, Racheli Fiszel. Ambitnej, przedsiębiorczej, urodziwej. W pogromach praskich straciła całą rodzinę. Zwrócono jej majątek i z nim udała się do Krakowa. Przyjechała tu razem z rabbinem Lipmanem. Z Pragi uciekli wtedy wszyscy Żydzi.

Duży majątek pozwolił jej rozwinąć interesy w Krakowie, ale w tutejszej gminie za Żydami z Pragi nie przepadano. Robiono Racheli trudności na każdym kroku. Żydzi się przed nią zamknęli. Stary Lipman podkulił ogon i jakoś go zaakceptowali, ale Rachela była harda.

W końcu, z zemsty, przechrzcila się i przeniosła do państwa zakonnego. Miała wtedy dwadzieścia osiem lat. Tam poznała zamożnego Niemca, kupca Wolfganga Schenkendorfa.

Rachela Fiszel rozpoczęła przed obliczem sędziego żydowskiego walkę o przejęcie całości swego majątku. Zgodnie z prawem przechrzta przekazywał majątek żydowskiej gminie. Rachela udawadniała przed sądem, że była przez krakowskich Żydów prześladowana. Chciała wywieźć swój majątek w całości. Nie zamierzała zostawić gminie ani grosza.

Kraków z otwartymi ramionami witał konwertytów i pomagał im często w sprawach majątkowych, bo ci stawali się nowymi podatnikami miasta, ale gdy rajcy dowiedzieli się, że Rachela przeniosłaby majątek do Prus, ogarnęło ich oburzenie i nie udzielili jej żadnej pomocy.

Wolfgang Schenkendorf był zamożnym niemieckim kupcem, przedstawicielem wielkiego szafarza malborskiego w Brugii. Mimo tak wysokiej pozycji w państwie zakonnym nienawidził Krzyżaków. Ci w nieodległej przeszłości pozbawili szlachectwa jego ojca, a on sam musiał się dorabiać wszystkiego od zera. W Prusach rycerstwo traktowane było zawodowo, a nie stanowo, to znaczy przynależność do rycerskiego stanu była warunkowana posiadaniem odpowiedniego majątku, który umożliwiał odbywanie konnej służby wojskowej. Tylko majątek się liczył. W przypadku zubożenia rycerza, gdy nie mógł on ponosić kosztów konnej służby, był degradowany do poziomu chłopca. Na nic zdawało się pochodzenie.

Wolfgang Schenkendorf pożył pieniądze i niczego więcej. Nienawidził Krzyżaków, ale także Żydów i Polaków. Rachelę gardził jako przechrztą, co nie przeszkadzało mu w przejęciu majątku młodej żony. Poza tym miał również nadzieję na odzyskanie tego, co zostało w Krakowie.

Zanim do tego doszło, Wolfgang poniósł dotkliwe straty w interesach. By stanąć z powrotem na nogi, użył, bez pozwolenia, pełnomocnictwa wielkiego szafarza do zakupu jakichś towarów na sumę czterech tysięcy grzywien, ale i tu noga mu się powinęła. Wtedy zniknął, by zyskać czas na zdobycie pieniędzy i zwrócenie długu. Przeciągało się to jednak i w końcu kredytodawcy podali go do sądu. Jakoś by się może z tego wykaraskał, gdyby nie przyjazd do Brugii niewiedzącego o niczym wielkiego szafarza, który ku swemu zaskoczeniu został na wniosek dłużników aresztowany! Rozpętała się dyplomatyczna burza.

Zrozpaczony Wolfgang poprosił Rachelę o pomoc, by załatwiła szybką pożyczkę w Polsce pod zastaw kilku nieruchomości, jakie posiadał w Malborku.

Rachela trafiła ostatecznie z tą prośbą do Jana z Tęczyna, a ten natychmiast wyczuł okazję. Pieniądze wnet się znalazły (tak oto polski król stał się, pośrednio, właścicielem kilku budynków w Malborku), a Tęczyński za pośrednictwem Racheli zażądał od Wolfganga współpracy w ramach wdzięczności za udzielony

kredyt.

Wolfgang zwrócił długi, a potem przy pomocy polskiego wywiadu stworzył niezwykłą, ale dość prawdopodobną i przekonującą historię o porwaniu, którego padł ofiarą gdzieś na niemieckiej ziemi i które spowodowało wszystkie jego finansowe kłopoty. Zakon mu uwierzył i przywrócił do służby.

Nastąpił nieoczekiwany zwrot w procesie o majątek Racheli. Sprawa zakończyła się dla niej pomyślnie: odzyskała swoją fortunę w całości. Od tamtego dnia Rachela z wielkim zaangażowaniem współpracowała z polskim wywiadem. Wreszcie znalazła ludzi, którzy mogli otoczyć ją opieką, pomóc. Tęczyński przekupił ją jej własnymi pieniędzmi!

Wolfgang Schenkendorf dostał polecenie zorganizowania grupy szpiegów. Jeszcze tego samego roku wraz z zaprzyjaźnionym kupcem Krzysztofem Lobeschitzem, pierwszym ogniwem siatki, zaczęli donosić Polakom. A Rachela odwiedzała Polskę pod pretekstem wizyt w sądzie, co nie budziło niczyich podejrzeń. Przywoziła pierwsze raporty, odbierała instrukcje.

Wolfgang zwerbował jeszcze kilku kupców. Łącznie było ich siedmiu. Zgodnie z zaleceniami Tęczyńskiego nie znali się między sobą. Raz w miesiącu dostarczali raporty, w zamian otrzymywali wynagrodzenie w pieniądzu lub w postaci handlowych przywilejów.

Wolfgang Schenkendorf, podobnie jak pozostali kupcy z siatki, sam nigdy Polski nie odwiedzał, jeździła tylko Rachela, jego żona. To zapewniało im bezpieczeństwo i stawiało poza podejrzeniami. Wkrótce okazało się, że powstała najlepsza siatka wywiadowcza, jaką Polska miała kiedykolwiek.

Przy okazji informacje dostarczane przez kupców otworzyły Polakom oczy na oszustwa, których dopuszczali się niektórzy komturzy: okradali zakon, handlowali na własną rękę, dorabiali się prywatnych fortun poza wiedzą i księgami rachunkowymi wielkiego szafarza. Przodował w tym procederze Karol von Lichtenstein.

– Gdzie jest teraz ten Wolfgang? – spytałem, gdy Zawisza zakończył opowieść. – Jak rozumiem, on jako jedyny znał wszystkich szpiegów. Gdyby Krzyżacy go dopadli, mieliby całą siatkę... A może tak właśnie było? Może to jego złapali i nie ma żadnego zdrajcy?

– Wolfgang umarł kilka miesięcy przed nadejściem burzy – odparł Zawisza. – Wydaje się, że... to nie był wypadek. Został zamordowany.

– Tak mówił brat Mikołaj. Zamordowany przez kogo? Krzyżacki wywiad?

– Wszystko na to wskazuje... Ale nie mamy pewności. Wiemy natomiast, że nie zdradził Krzyżakom ani jednego nazwiska.

– Skąd to przekonanie?

– Po prostu wiemy.

– A ta Rachela? Może to ona?

– To też wykluczone. Po śmierci Wolfganga objęliśmy ją ochroną. Mimo pory – był środek nocy – postanowiłem udać się do Fatimy. Najwyższy czas, by sobie wszystko wyjaśnić. Czułem się bezpieczny, Żydzi już dawno spali, a ja miałem anioła stróża, i to na koszt króla! Dopiero idąc przez ciemne, uśpione miasto, przypomniałem sobie o Zoe. Skoro niewolnik nie pojawił się pod sukiennicami, była nadzieja, że z Bożą pomocą dziewczynka już się odnalazła. Powinienem był wcześniej posłać kogoś do Pilosa, żeby się upewnić. Miałbym spokojniejszą noc. Teraz już na to za późno.

Tęczyn, wiosna roku Pańskiego 1392

Andrzej z Tęczyna herbu Topór, wojewoda krakowski, przywódca stronnictwa andegaweńskiego, w chwili śmierci w 1368 roku miał dwóch pełnoletnich synów: Nawoja i Jana.

Za sprawą pierwszego rodzina Tęczyńskich okryła się hańbą i na wiele lat zniknęła z elity władzy, za sprawą drugiego wróciła na szczyt.

Hańba związana była z polską interwencją zbrojną w Mołdawii. Po śmierci wojewody mołdawskiego Stefana w walce o władzę zwyciężył jego młodszy syn Piotr, a starszy Stefan uciekł do Polski. Złożywszy obietnicę hołdu, uzyskał od polskiego króla Kazimierza pomoc wojskową w postaci dwunastu chorągwi rycerstwa małopolskiego i ruskiego. W wyniku zdrady Mołdawian polskie wojsko wpadło w zasadzkę w leśnych wąwozach południowego Pokucia. Rycerze zginęli pod walącymi się drzewami lub zostali wzięci do niewoli. Nawój z Tęczyna wydostał się ze śmiertelnej pułapki i porzuciwszy chorągiew ze znakiem Topora, uciekł z pola bitwy. Powróciwszy do domu, nie umiał znieść atmosfery potępienia i udał się do Rzymu. Po powrocie do Polski został dziekanem krakowskim.

Klęska na Pokuciu zamknęła Nawojowi drogę do kariery świeckiej, a pozostałych członków rodu naraziła na utratę prestiżu.

Do wielkiej polityki obaj bracia wrócili jakieś dwadzieścia lat temu: Nawój został kanonikiem krakowskim, a Jan kasztelanem wojnickim. Dowodem na odradzenie się ambicji Tęczyńskich był udział rodu Toporów w odwetowej wyprawie na Bełz. Pod ich znakiem stanęło wówczas siedem chorągwi.

Po śmierci Ludwika Węgierskiego rozpoczęła się w Polsce polityczna rozgrywka, której stawką był nie tylko wybór króla, ale również nowej dynastii. Zwycięski obóz mógł zagościć w elicie władzy na wiele pokoleń.

Walka o władzę toczyła się pomiędzy stronnikami Zygmunta Luksemburskiego, Wilhelma Habsburga i piastowskiego kandydata do tronu – Siemowita. Jednocześnie Małopolanie prowadzili tajne rozmowy z Litwinem Jagiełłą. Dzięki zręcznej grze – Spytka z Melsztyna, Jana z Tarnowa, Dobiesława z Kurozwek i przede wszystkim Jana z Tęczyna – Małopolanie zdołali przejść pomyślnie wszystkie cztery etapy walki o władzę: obalenie sukcesji Zygmunta Luksemburskiego i zerwanie unii personalnej z Węgrami, zablokowanie kandydatury Siemowita, wybór Jadwigi na króla Polski oraz unieważnienie jej

zaręczyn z Wilhelmem Habsburgiem, i wreszcie wybór Jagiełły na królewskiego małżonka Jadwigi, co doprowadziło w konsekwencji do unii z Litwą.

Tylko dzięki przytomności umysłu Jana z Tęczyna nie doszło wcześniej, na zjeździe w Sieradzu w 1383 roku, do obwołania Siemowita królem przez aklamację. Jan zdołał w ostatniej chwili odwrócić nastrój tłumu, ratując koronę dla Jadwigi i tym samym dla Jagiełły.

Nastał czas wielkich wpływów panów krakowskich, Małopolan, którzy wynieśli Litwina na tron. Sprzyjała temu słaba pozycja Jagiełły: nie został koronowany jako dziedziczny król, ale jako małżonek Jadwigi – królowej. Twórcy unii i ich krewniacy otrzymywali najważniejsze urzędy w państwie.

Już w 1386 roku Jan z Tęczyna został starostą strategicznie położonej ziemi sieradzkiej, łączącej Małopolskę z Wielkopolską i Mazowszem. Z racji pełnienia tej funkcji spadła na Jana z Tęczyna odpowiedzialność za kształtowanie polityki Polski wobec zakonu krzyżackiego. W tym również odpowiedzialność za prowadzenie działań wywiadowczych.

Na przywódcę Małopolan wyrósł Jan z Tęczyna dzięki bliskim związkom ze słynną w całej Europie królową Jadwigą. Tak jak biskup Piotr Wysz był jej powiernikiem duchowym, tak Jan z Tęczyna odgrywał rolę przewodnika w świecie polityki. Potwierdzeniem tych szczególnych związków z królową był kryzys dworski sprzed paru lat.

Doszło do niego wskutek intryg Gniewosza z Dalewic herbu Strzegomia, związanego z księciem Władysławem Opolczykiem i Habsburgami. Zasugerował on, że Jadwiga spotykała się wielokrotnie z Wilhelmem Habsburgiem, a podczas pobytu Wilhelma w Krakowie ich małżeństwo zostało dopełnione. Było to zgodne z rozpowszechnianą w Europie przez Krzyżaków i Habsburgów pogłoską o bigamii i cudzołóstwie Jadwigi.

Gniewosz został pozwany przez Jana z Tęczyna, działającego w imieniu królowej, która złożyła przysięgę na swą niewinność. Na skutek pozwu Gniewosz został skazany na odszczerkanie oszczerstw. Musiał wejść pod ławę w sądzie i tam niczym pies, ku satysfakcji królowej i Jana z Tęczyna, odwołać wszystko, co rozgłaszał. Gdyby tego nie uczynił, musiałby stanąć do pojedynków z dwunastoma rycerzami polskimi broniącymi czci królowej.

Wraz z rosnącą pozycją Jana Tęczyńskiego pogłębiał się rozdźwięk pomiędzy królem a królową i postępował rozpad zwycięskiego obozu Małopolan.

Królowa Jadwiga, a z nią przywódcy Małopolan dążyli do dosłownego wykonania postanowień unii w Krewie, czyli włączenia Litwy do Polski. Nie chcieli też szybkiej wojny z Krzyżakami, na którą ich zdaniem Polska nie była jeszcze gotowa. Jagiełło z kolei starał się wykorzystać potencjał Polski w konflikcie Litwy z zakonem i utwierdzić dynastię jagiellońską na tronie w Krakowie.

Król rozpoczął tworzenie własnego stronnictwa. Chciał osłabić obóz Małopolan

i rozluźnić jego związki z królową Jadwigą. Pozyskał kilku ważnych Wielkopolan oraz samego Siemowita. Zręcznymi posunięciami politycznymi wspartymi hojnymi nadaniami starał się przeciągnąć na swoją stronę kilku znaczących Małopolan. Wymieniano w tym gronie Spytka z Melsztyna, Jana z Tarnowa i Piotra Kmitę.

Świadectwem politycznej siły Jana z Tęczyna była główna siedziba rodu – zamek Tęczyn koło Krakowa wraz z kompleksem dziesięciu wsi.

Został wzniesiony na szczycie góry, pośród rozlicznych pagórków i padołów usianych siołami. Składał się z zamku górnego i podzamcza otoczonego obwarowaniami z okrągłymi basztami. U stóp zamkowego wzniesienia przycupnęła niewielka osada służebna z kuźnią i karczmą.

Tam się zatrzymaliśmy, by zamówić po dzbanie grzanego wina. Podczas drogi z Krakowa przemarzliśmy na kość; od rana prószył śnieg; wiosna w tym kraju niewiele różniła się od zimy.

– Na zamku zostanie ci złożona pewna propozycja – oznajmił Zawisza.

– Mogę odmówić?

– Nie powinieneś.

– Bo?

– Dużo zyskasz, jeśli ją przyjmiesz.

– To jest to drugie zadanie?

– O właśnie! – Zawisza przełknął szybko wino i odstawił gliniany garniec. – Zadanie! Tak lepiej. Zostanie ci zlecone zadanie.

– To tylko różnica w doborze słów.

– Nie odmawiaj. Zrób to dla mnie.

Uniosłem brwi.

– Ręczyłem za ciebie. Ręczyłem, że podołasz zadaniu, bo stoi za tobą... – szukał słowa – *experientia*.

– Nie mogę obiecać.

– Zaufaj mi! Już mówiłem, że dużo zyskasz. Zostaniesz hojnie wynagrodzony.

– Jak?

– Dowiesz się wszystkiego dzisiaj. – Zawisza uniósł ramię i wskazał zamek. – Tam na górze.

Na zamkowe wzniesienie wspinaliśmy się pieszo. Karczmarz uprzedził, że dziś na zamku tłok i wszystkie konie zostają w stajniach w osadzie.

Wejście do zamku prowadziło od strony północnej przez wysuniętą przed wieżę bramę zabezpieczoną żelazną broną. Zawisza krzyknął coś do wartownika na powitanie i obaj się roześmiali. Weszliśmy na niewielki dziedziniec wypełniony tłumem żołnierzy.

Wzdłuż północnej i wschodniej części murów ciągnęły się dwupiętrowe zabudowania mieszkalne. Przystanęliśmy pośrodku dziedzińca przy studni okolonej wysoką na dwa łokcie cembrowiną. Za studnią wznosiła się potężna dwukondygnacyjna wieża.

Zawisza podniósł wzrok.

– Tęczyński przyjmuje cię niczym króla. Do wieży zaprasza tylko najważniejszych – wyjaśnił. – Moja kwatery jest tam. – Wskazał ciąg murowanych budynków przylegających do wschodniej części murów. – Ale dziś będę ci towarzyszył w wieży.

Studnia, widoczna ze wszystkich zamkowych budynków, musiała być takim miejscem, przy którym zatrzymanie się oznaczało: jestem, czekam, bo już po chwili podszedł do nas ubrany po wojskowemu młodzieniec o delikatnych, wręcz dziewczęcych rysach. Długie, jasne, niemal białe włosy opadały mu na ramiona.

Zawisza i młodzieniec padli sobie w objęcia na powitanie.

– Oto Jaroch, twój anioł stróż. – Zawisza przedstawił żołnierza.

Ten obdarzył mnie szybkim uśmiechem, a ja odpowiedziałem skinieniem głowy.

Nie wiedziałem, co się mówi aniołom stróżom na powitanie.

– Skąd takie mrowie ludzi? – spytał Sulima.

– Koniecpol niespodziewanie zajechał. Przywłókł chyba setkę zbrojnych. Rano ruszają na Wawel – odrzekł jasnowłosy.

– Topór jest?

– Jest. Oczekuje was. Wypytuje od rana. Wasza kwatery jest już gotowa – oznajmił Jaroch.

– Prowadź!

Weszliśmy za żołnierzem do wieży. Na dole mieściła się kuchnia. Schody wybite w grubym murze zawiodły nas na pierwszy poziom.

– Tu będzie nocował Koniecpol z dwoma rycerzami – rzucił Jaroch, prowadząc nas wyżej. – Część ludzi upchnęliśmy w kwaterach. Resztę po wsiach.

Nasza izba mieściła się na szczycie wieży.

– Tu macie poczekać. – Nasz przewodnik pchnął niewielkie drzwi, gestem zaprosił nas do środka, ale sam nie wszedł.

Izbę wieńczyło ciężkie sklepienie z dębowych płazów. Wnętrze było ciepłe i jasne. W oknach tkwiły grube i zadziwiająco przezroczyste szklane tafle. Komfort zapewniały sprzęty: szerokie łóżce z miękkim siennikiem, duży stół, wygodne, bogato zdobione krzesła.

– Jaroch – odezwał się Zawisza – to po matce Litwin, po ojcu Polak. Chłop z urodzenia, ale Tęczyński lekcje szachów u niego bierze.

– Na mocarza nie wygląda...

– Jaroch to najlepszy łowca, jakiego król miał przy sobie. – Zawisza rozsiadł się na jednym z ogromnych krzesel. Wyciągnął nogi i oparł je na stole. Założył ręce za głowę. – Mówią, że jak do lasu wejdzie, to wilki szczenięta mu oddają, żeby je tropienia uczył.

– Skoro mówią, to tak musi być!

– Nie kpij, bo sam widziałem, jak po lesie chodzi.

– Czym sobie zasłużyłem na taką opiekę?

– Słusznie pytasz. Zważ, że dostajesz najlepszą kwaterę na zamku. Specjalnie kazali w piecach dziś rano napalić.

– Martwię się tym...

Zawisza się roześmiał.

– I masz rację!

W rogu stał kominek sporych rozmiarów, z okapem w kształcie kaptura. Miał specjalną kutą w żelazie podstawkę, gdzie można było grzać stopy, obok umieszczono stojaki na pogrzebacze i uchwyty na łuczywa. Wszystko gotowe, ale kominek był czarny i zimny.

Na schodach rozległy się kroki. Zawisza zdjął nogi ze stołu. Rozwarły się drzwi. Stanął w nich młodzieńcy pachołek, pokłonił się Zawiszy, rozejrzał po izbie, jakby sprawdzał, czy bezpieczna, a potem, trzymając drzwi szeroko otwarte, złożył głęboki ukłon przed wysokim brodatym mężem, który wszedł do izby tuż za nim.

Mężczyzna ubrany był w dworską błękitną suknię, gładką u góry, suto fałdowaną u dołu, z fantazyjnymi, długimi do ziemi rękawami, z wysokim okrągłym kołnierzem. Spod bogatego chaperonu wylewały się gęste, sięgające ramion równo przystrzyżone ciemne włosy, nietknięte siwizną. Miał dojrzałą urodziwą twarz męża około czterdziestoletniego. Postawę władczą, spojrzenie mądre, pogodne, życzliwe. Może dlatego, że patrzył na Zawiszę, swego ulubionego rycerza, jak twierdził zakonnik.

Zawisza zerwał się gwałtownie z krzesła, stanął wyprostowany jak struna, a potem wysunął prawą nogę i zgiął się energicznie w głębokim pokłonie. Pacholek tymczasem podał mężowi jakieś zwoje papieru i wyszedł, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

– Bo się złamiesz – rozległ się donośny głos. – Nie zgrywaj przed gościem takiego pokornego sługi.

– Panie, rad jestem, że cię widzę w zdrowiu – powiedział Zawisza, który wyprostował się równie szybko, jak złożył.

– Przedstaw mi naszego gościa – rzekł starosta, odkładając papiery na stół.

– Panie, to Aaron Abnarrabí, siostrzeniec słynnego Salomona Abnarrabiego, największego bankiera Saragossy. To on był mi przewodnikiem i przyjacielem, gdy los rzucił mnie do Aragonii.

A potem zwrócił się do mnie:

– Oto Jan z Tęczyna herbu Topór, kasztelan wojnicki, starosta sieradzki.

– On już coś wie? – Mężczyzna wskazał w moim kierunku.

– O sprawie zboża nie! Zgodnie z rozkazami nic mu nie mówiłem. Zakonnik miał mu nasze sprawy przedstawić. Czyli tak ogólnie to ma wiedzę rozległą.

– Tak ogólnie?

– Tak ogólnie, panie. To mądry młodzieniec.

– Dziecko! – Gospodarz spoglądał na mnie nieufnie.

– Niewiele młodszy ode mnie.

– Ty też jesteś młokos. Ale Wiekuisty ci trochę wcześniej dolał rozumu.

– Jemu także.

Starosta patrzył na mnie z uniesionym podbródkiem. Milczenie trwało nieznośnie długo. W końcu rozległo się kołatanie do drzwi. A potem stanął w nich ten sam

pachołek. Tym razem towarzyszyło mu dwóch służących. Postawili na stole wielkie talerze przykryte cynowymi kloszami i dzbany z napitkiem. Cała trójka zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Starosta odwrócił się w moją stronę i zapytał:

– Co ci brat Mikołaj opowiadał o Lichtensteinie?

Zaskoczony pytaniem długo zbierałem myśli. Powiedziałem mu w końcu wszystko, czego dowiedziałem się w Tyńcu od zakonnika, a potem od Zawiszy.

Kiwnął głową z aprobatą.

– Widzisz, młodzieńcze, jak tu rozpełzło się to krzyżackie robactwo. Wygnieciemy je albo Polska szczeźnie.

Nie umknęło uwadze starosty, że kilka razy bezwiednie zerknąłem na przyniesione dania.

– Usiądźmy do stołu – zarządził.

Zachęteni gestem unieśliśmy pokrywy.

– Jedzcie. Kazałem tu przynieść strawę. Nie chcę, żeby ludzie Koniczyna widzieli tego Aragończyka. – Spojrzał na mnie. – Dostaniecie tu wszystko, czego potrzeba. Na dole jest łaźnia i kuchnia. Jeden z pacholków będzie pod drzwiami do waszej dyspozycji.

W czasie gdy się posilaliśmy, starosta Tęczyński mówił. Z każdym kęsem słuchałem go coraz uważniej i z coraz większym niepokojem.

Prusy to państwo wojenne, zaczął, wszystko tam podporządkowane było wojnie: skarbiec, administracja, dyplomacja, Kościół. W Prusach przebywało około tysiąca braci. To jednocześnie mnisi i wojownicy; drobni rycerze, pozbawieni prawa do dziedziczenia młodszy synowie. Z piętnem krzywdy. Żądni bogactwa i sławy. Bardzo niebezpieczni. Wielu wstąpiło do zakonu, żeby powetować sobie krzywdę, jakiej doznali w niemieckiej ojczyźnie. Ich główny cel to bogacenie się. Nie inaczej było w przypadku komtura Brodnicy Karola von Lichtensteina. Ponieważ jego komturstwo graniczy z Polską, uczyniono go odpowiedzialnym za działanie krzyżackiego wywiadu na polskiej ziemi.

Komturia Karola von Lichtensteina należała do najbogatszych. Braciszkom w murach brodnickiego zamku żyło się wygodnie i dostatnio. Zysk płynął ze sprzedaży zboża z własnych folwarków albo skupowanego od przygranicznych Polaków i sprzedawanego toruńskim kupcom. Ale o wiele bardziej intrygujące było drugie źródło dochodów naszego komtura: handel niewolnikami.

Towaru dostarczały liczne rejzy w głąb Litwy. Od Lichtensteina kupowali niewolników Tatarzy, którzy następnie pędzili ich na Krym i tam sprzedawali Genuńczykom. Ci zaś wieźli ich do Egiptu, Włoch i na Majorkę, skąd trafiali do Hiszpanii i innych europejskich krajów.

Duży popyt ze strony Saraju i Kaffy – włoskich kolonii na Krymie – zachęcał Tatarów do prowadzenia ciągłych wojen i brania ludzi w jasyr. Stepy

czarnomorskie i nadwołżańskie przesiąknęły krwią, krzywdą i cierpieniem, przemieniły się w ziemię koczowników. Anarchia zapanowała na olbrzymich przestrzeniach. Porywano całe rodziny, a potem je rozdzielano, bo Egipt chętniej kupował mężczyzn do pracy, chrześcijańskie kraje zaś wołały kobiety i dzieci.

Przypomniałem sobie Margaridę. W Aragonii niewolnice ze wschodu były bardzo pożądanym towarem, znacznie bardziej niż kobiety arabskie.

Gdy interes zaczął się rozwijać, Karol von Lichtenstein pozbył się tatarskich pośredników. Genueńczycy mieli w Prusach swoje faktorie, więc obie strony szybko doszły do porozumienia. Handel przynosił spore zyski, łapano i sprzedawano tysiące ludzi. Ale komtur miał nienasycony apetyt, szukał okazji do jeszcze większych zarobków. Wtedy jedna z włoskich kompanii zaproponowała, aby nie kończyć operacji sprzedażą niewolników na Majorce, ale pozyskany kapitał zainwestować w towar i sprzedawać go w hiszpańskim Lewancie. Handel na linii Majorka–Lewant nie znał ograniczeń. Każdy, kto miał wolny kapitał, mógł tam zarobić. Karol von Lichtenstein postawił na zboże. Za kapitał pozyskany ze sprzedaży niewolników kontraktował ziarno. Wszystko za pośrednictwem włoskiego agenta, który organizował też transport i zbył.

– Ale... dlaczego akurat zboże? – spytałem. Powoli zaczynałem się domyślać, do czego to zmierza.

– Lichtenstein nie chciał dać się Włochom wywieść w pole – odparł starosta – więc zainwestował w to, na czym się zna, czyli handel zbożem. Szukał kupców, którzy zajmowali się tym samym. I znalazł. Powierzył pieniądze jednemu z agentów kompanii Datinięgo, Piero Clericiemu, który specjalizował się w kupowaniu zboża na Majorce i w Maghrebie, a potem handlowaniu nim na całym wybrzeżu Hiszpanii.

Skończyliśmy jeść niemal jednocześnie. Zawisza przetarł jeszcze głęboki talerz chlebem, tak że nie pozostała na nim kropla sosu. Ja już dawno zaspokoilem głód. W miarę słuchania traciłem apetyt.

– Genueńczycy to cywilizowani kupcy – ciągnął Tęczyński. – Zawsze głodni kapitału. Pomnażają go, biorąc jedynie niewielki procent od zysków, reszta wraca do Krzyżaków. Głównym rozgrywającym po stronie krzyżackiej jest Karol von Lichtenstein. Pomaga mu gdański komtur, który siedzi wyżej w hierarchii zakonu i dba, żeby się sprawa nie wydała. Przede wszystkim blokuje wszelkie kontrole w Brodnicy i przenosiny Lichtensteina.

– Włosi to może cywilizowani kupcy, ale podłe kanalie – wtrącił Zawisza. – Podsypują złota Tatarom, przez co napędzają to bestialstwo na wschodzie.

– Obu komturów opanowała chciwość – ciągnął Tęczyński. – Rejzy nie odbywają się co roku, nie zawsze udaje się złowić niewolników. Interes ze zbożem był na tyle pewny, że Lichtenstein postanowił zainwestować tam duże sumy, nie oglądając się na to, czy ma akurat niewolników na zbyciu, czy nie. Sięgnął po

pieniądze z kasy komturstwa. Na razie udawało mu się je pomnażać. Ale nie ma żadnych oszczędności, tyle wiemy. Wszystko od razu inwestuje albo wydaje. Buduje kilka warowni. Skupuje dla siebie majątki w Niemczech i w Italii. Na każdym zainwestowanym dukacie zarabiał dwa. To go wciągnęło. Wiemy, że zaczął pożyczać duże sumy, zdaje się, że między innymi od naszego Osmana.

Przeraziło mnie to, co usłyszałem. Nie to, że porywano ludzi i wywożono na drugi koniec świata, to w końcu nic nowego. Pół Katalonii żyło z handlu niewolnikami. Przeraziło mnie to, co miało nieuchronnie nastąpić.

Zawisza nalał wina aż po brzegi. Było znakomite. Nie piłem tak dobrego wina, odkąd opuściliśmy Perpignan. Ale zamieniłbym je na koński mocz, byle nie siedzieć tu teraz przy tym stole.

– Od dawna szukamy sposobu, żeby jakoś dobrać się do skóry komturowi. – Tęczyński wstał i zaczął przemierzać komnatę wolnym krokiem. – Ale wlaź wysoko na drzewo, że nawet kamieniem nie dorzucisz. Jednak... kiedy Zawisza opisał mi w listach sprawę tych dostaw bydła do Walencji, poleciłem, by cię tu ściągnął. Dlaczego z takiej procy do niego nie wystrzelić? Chcę, żebyś nam pomógł. Masz doświadczenie, uczyłeś się od najlepszych. A do tego – zatrzymał się i rozłożył ręce – to przecież twoja ziemia!

Wychyliłem kielich do dna. Wino było mocne. Odbiło się od pięt i od razu poszło do głowy. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Miałem w głowie czarną pustkę.

– Wkrótce wyślemy cię do Aragonii... – dobiegł mnie głos starosty.

– Wyślemy? Co to oznacza? – spytałem po dłuższej chwili.

– Wyślemy, czyli opłacimy podróż, noclegi i wyżywienie...

– Na Boga! Panie! – Pod wpływem wina nie panowałem nad sobą. – Nie jestem durniem! Chodzi o to „my”, my, czyli kto? Chciałbym wiedzieć, w czyich jestem rękach!

Zawisza rzucił mi karcące spojrzenie, ale starosta się tylko uśmiechnął.

– To moja decyzja – odparł krótko. A potem dodał: – Musisz się dowiedzieć wszystkiego o tych transakcjach, a potem wsadzić komturowi kij w dupę, aż mu gębą wylezie. Aranda dostarczy ci wszystkiego, czego zażadasz, napelni ci kieszenie, doręczy pozwolenia, papiery, i co tam potrzebujesz, żeby swobodnie podróżować.

– Komtur Lichtenstein ma pewną słabość – odezwał się Zawisza. – Za nic ma zakon. Liczą się tylko pieniądze i kariera. Uczyni wszystko, by mu tego nie odebrano.

– Nie chcemy jego śmierci – zapewnił Tęczyński. – Moglibyśmy go otruć, i w końcu to zrobimy, jeśli wszystkie inne sposoby zawiodą. Ale to niewiele mi da. Chcę go wziąć na smycz, wtedy będę miał z niego korzyść.

– Chcecie, panie, zatrzymać jedną dostawę? To wystarczy? – spytałem.

– Oczywiście wartość kilku statków ze zbożem to nie aż taki majątek, żeby

zachwiać komturstwem – odparł Zawisza. – Ale straty się mnożą, Włosi wstrzymają wypłatę za poprzednią dostawę *et cetera*. Sam wiesz najlepiej, jak to działa. Musimy wywołać lawinę! Widziałem, jak niszczyliście Urriesów w Walencji. Chcemy, żeby to wyglądało tak samo.

Wpatrzyłem się w swoje dłonie, nic nie odpowiedziałem. Tęczyński usiadł, rozparł się wygodnie na krzesle. Najwyraźniej uznał sprawę za załatwioną.

– No, a teraz nasza kolej. – Odwrócił się do Zawiszy. – Co możemy zrobić dla tego młodego człowieka?

– Don Francisco de Aranda stara się ratować jego majątek – odparł Zawisza. – Myślę, że Aaron potrzebuje finansowego wsparcia, żeby mógł kiedyś wrócić do Saragossy i uporządkować swoje sprawy.

Byłem gotów się założyć, że uzgodnili to wcześniej.

– To dobrze. *Do ut des*, święta zasada. – Wskazał mnie ręką. – Odstąpimy mu połowę zysków z operacji. Bo jak rozumiem, zadba o zyski. Może mu spłynąć pod nogi fortuna, która ustawi go do końca życia.

Hojność starosty wręcz onieśmielała! Dostałem właśnie połowę z tego, co sam zarobię, ryzykując głowę. Ale nie powiedziałem tego na głos.

– Jest jeszcze coś... – dodał Zawisza.

– Taak?

– Trzeba odszukać pewnego człowieka. Nazywa się Tideman Sticker.

– Co to za jeden?

– Niemiecki handlarz, uciekł z Saragossy. Zmierzał do Gdańska, ale przepadł po drodze. Uprowadził kobietę, którą nasz przyjaciel chce odzyskać.

– Żydówkę?

– Arabkę...

– Już zapewne chrześcijankę – dodałem. Nie wspomniałem Zawiszy o liście od Joshui. Nie powiedziałem, że nie mam już złudzeń. Nie pora teraz.

Tęczyński się skrzywił.

– To chyba nie będzie trudne? – skierował pytanie do Zawiszy.

– Rozpytywaliśmy już w Gdańsku – odparł rycerz – i poprzez krakowskich Żydów w kilku niemieckich portach. Nie ma śladu. Trzeba by zaangażować więcej środków. Włączyć w poszukiwania wywiad.

– No to włączmy! – Starosta klasnął w dłonie. Wstał. – Za chwilę wieczera. Pora na mnie. Trzeba nakarmić Koniecpola i jego świtę.

Wieczera trwała do północy. Zgodnie z zaleceniem pozostałem w naszej komnacie. Zawisza wrócił, ciężko stąpając, a potem długo ściągał z siebie wierzchnie ubranie, jakby robił to po raz pierwszy. Świecę, którą zostawiłem zapaloną na jego powrót, zdmuchnął dopiero po kilku próbach.

Jak mi później opowiedział, zasiadł przy jednym stole z Jakubem Koniecpolem; całą noc przepijali do siebie, rozprawiając o wojennych przygodach. Zawisza wzbudził podziw słuchaczy opowieściami z Aragonii: o walkach z Saracenami, o turnieju w Daroce i pojedynku z Juanem de Aragonem w Perpignan.

Ja natomiast nie mogłem zasnąć podniecony i przerażony myślą o rychłej podróży do Aragonii. Leżąc w ogromnym łożu, na materacu z miękkiego jak włosy siana, ramię w ramię z chrapiącym Sulimą, rozmyślałem o absurdalności zadania, które mi wyznaczono. Zawisza twierdził, że to mogło się udać tylko komuś takiemu jak ja. Tylko... skąd w nim to przekonanie?

Obietnica ciepłego pomieszczenia w pełni się sprawdziła. Pierwszy raz, odkąd przybyłem w te zimne strony, wstałem rano z łóżka, mając ciepłe dłonie i stopy. Pobudkę urządził nam ten sam poznany wczoraj pacholek, oznajmiając, iż pan Jakub Koniecpol już wyjechał świtem, ale część wojska została i opuści Tęczyn w godzinach popołudniowych. Starosta prosi zatem o nieopuszczanie wieży. Spotkanie z panem Tęczyńskim odbędzie się za godzinę. Zaproponował nam kąpiel, by w tym czasie oporządzić i przewietrzyć izbę.

W przyziemiu wieży, naprzeciwko wejścia, znajdowała się kuchnia z otwartym ceglany paleniskiem na kamiennej posadzce. Pod ogromnym miedzianym okapem wisało na hakach kilka dużych kociołków. Jak wyjaśnił mi Zawisza, była to kuchnia mniejsza, przeznaczona dla starosty i jego gości. Duża kuchnia dla żołnierzy z załogi mieściła się w skrzydle mieszkalnym. Ale dziś w nocy i rano obie pracowały na wysokim płomieniu. Ciepło z okapu uchodziło pionem kominowym, który przecinał obie kondygnacje mieszkalne i je ogrzewał. To dzięki temu w naszej izbie panowało przyjemne ciepło.

Do kuchni przylegał niewielki budynek łaźni. Można było do niego przejść, nie wychodząc z wieży. Ściany izby kąpielowej wyłożono dębowymi balami. W jednym rogu urządzono palenisko, pełne dużych polnych kamieni. Zdjęliśmy ubrania i oddaliśmy łaźniemu pacholekowi. Ja na wszelki wypadek pozostałem

w bieliźnie. Drugi z łaźnieowników zaczął polewać kamienie wodą, uzyskując nagle tyle pary, że przestałem cokolwiek widzieć. Wyciągnąwszy ręce przed siebie, z trudem, po omacku, odszukałem ławę, na której usiadł wcześniej Zawisza. Para w końcu się przerzedziła, a my weszliśmy do dwóch małych drewnianych balii z ciepłą wodą.

Gdy wróciliśmy po kąpieli do naszej izby, czekał tam już na nas brat Mikołaj.

– Jak tam gościnność wielmożnego pana Tęczyńskiego? – zawołał na powitanie. – Mnie nigdy nie zaprosił na ucztę.

– Kucharze dobrze się sprawili. Wino tylko trochę za mocne – odparł Zawisza.

– A ty jak je oceniasz? – Zakonnik odwrócił twarz w moją stronę.

– Słodkie... Lepszego tu jeszcze nie piłem.

– Znawca! – pochwalił mnie. – To z Mołdawii, mój drogi. Piękna i rozległa jest nasza ojczyzna. Ale musimy bardziej o nią zadbać. Przede wszystkim odrobaczyć.

– Powiódł wzrokiem po ścianach, potem po suficie. – Co za komnata! Nie mówiłem, Aragończyku, że cię tu będą jak króla podejmować?

A potem zwrócił się do Zawiszy:

– Starosta prosi nas jeszcze na słowo. Chodźmy teraz.

Chwilę później Zawisza i brat Mikołaj zjawili się w komnacie starosty. Obaj trzymali w dłoniach jakieś dokumenty.

– Podobno macie mi coś do pokazania – powitał ich ostrym tonem Tęczyński.

Zawisza podał mu listę zobowiązań finansowych pomiędzy Piotrem Kmitą a Żydem Osmanem. Tęczyński przebiegł po niej wzrokiem.

– Skąd to masz? – Zwinął papier w rulon i cisnął w kąt.

– Te dowody przemawiają...

– Jakie dowody? – Starosta uderzył dłonią w stół. – To nie są żadne dowody!

Jego przystojna twarz powlekła się czerwienią; albo tak łatwo wpadał w gniew, albo dało o sobie znać zmęczenie. Chwilę później przybrał łagodny ton.

– Chciałbym, żebyście mi przynieśli głowę Kmity na tacy. Pragnę tego bardziej niż wy, choć widzę, że wam prędko do jego gardła. Ale muszę mieć żelazne dowody. A wy mi ich nie dacie, bo one nie istnieją! Kiedy to wreszcie do was dotrze?! Kmita ma gruby kark i na razie jego głowa mocno się na nim trzyma. To, że pożyczca pieniądze... Na Boga! Kto ich nie pożyczca?!

Zawisza otworzył usta, by coś powiedzieć, ale starosta powstrzymał go gestem.

– Kmita nie ma dostępu do nazwisk kupców. Nie ma dostępu do tajnych akt. Wiem to ponad wszelką wątpliwość.

Zawisza nie ustępował:

– Zgoda! Ale tylko on jada z jednej miski z Kurowskim! Są rodowcami!

– To, że są rodowcami... Na Boga! Młodzieńcze! – Tęczyński wznosił ramiona do góry, biorąc Stwórcę na świadka, że robi, co może, by zachować cierpliwość. – Kurowski jest poza podejrzeniem! Nikomu nie zdradziłby tajemnic państwa, a już na pewno nie Piotrowi Kmicie. Jest z nim w konflikcie, włóczę się po sądach od lat. Posłuchaj! – Westchnął. – Kurowski studiował na uniwersytecie praskim. Jeszcze przed wyjazdem na nauki zaskarbił sobie przyjaźń królowej Jadwigi. To za jej błogosławieństwem znalazł się w Pradze. Król bezgranicznie mu ufa. Ostatnio królowa zaszczyliła go przyjęciem zaproszenia na obiad w jego domu. A to bardzo dużo znaczy. Królowa zasięgała u mnie opinii, czy może przyjąć zaproszenie. Wyraziłem zgodę. Bo jestem pewien jego niewinności. Czy to ci wystarczy?

Zawisza milczał.

– Macie moją zgodę na dalsze śledztwo, ale pod warunkiem że zostawicie Kmitę

w spokoju.

– Wedle rozkazu, panie...

– Teraz wy mnie posłuchajcie! – Tęczyński przybrał władczy ton. Był czas na dyskusowanie. Przyszedł czas na rozkazy. – Dałem wam ludzi, dałem wam pełnomocnictwa i przeprowadziliście śledztwo, jak umieliście najlepiej. Jestem pod wrażeniem. Moi ludzie też nie marnowali czasu. Myślę, że wytypowaliśmy tych samych podejrzanych. Pomiñałeś tylko jedno nazwisko. – Teraz mówił tylko do Zawiszy, rzucając mu lodowate spojrzenie. – I to kogoś, kto ma dostęp do tajnej kancelarii. Mam nadzieję, że nie zrobiłeś tego celowo.

– Jakie nazwisko, panie?

– Tomasza z Węgleszyna. Jako podczaszy krakowski, a teraz starosta inowrocławski ma dostęp do najtajniejszych dokumentów. Powinieneś być o tym wiedzieć.

Zapadła cisza.

– Ojciec Hanny...? – Zawisza wbił wzrok w podłogę. Serce waliło mu jak młotem.

– Ilu Tomaszów z Węgleszyna kręci się wokół króla? Co pytasz jak baba? Odebrało ci rozum? – Głos starosty zagrzmiął w sali. – To on jest zdrajcą. Wiem to ponad wszelką wątpliwość. Potrzebuję dowodów, żeby go osądzić i powiesić. Ty mi ich dostarczysz!

Zawisza zbladł pod cieniem zarostu.

– Nie wiem... czy będę umiał – wydusił w końcu.

– Owszem, jak nikt inny.

– Tomasz musiałby być szaleńcem! – zawołał rycerz. – Tylko szaleniec zdradzałby nazwiska, wiedząc, że dostęp do nich ma zaledwie kilka osób!

– Każda zdrada jest szaleństwem. Dostyc już tego! Zmarnowaliśmy za duzo czasu. Krzyżacy celowo wciągali Kmitę w różne intrygi, żeby na niego ściągnąć naszą uwagę i pozwolić spokojnie działać Tomaszowi.

Tęczyński przesunął po stole jakieś papiery w stronę zakonnika, każąc mu je przeczytać. A sam mówił:

– Jak wam wiadomo, wujowie Hanny, córki Tomasza, wynajęli jurystów do zbadania jego majątku. To ma związek z podziałem dóbr po śmierci pierwszej żony. Wujowie podejrzewali, że ojciec ukrywa część majątku przed córką, żeby korzystniej wypaść przy podziale, znacie sprawę... Czysty przypadek, że się to zbiegło w czasie. – Uniósł dłonie na znak niewinności. – Nie planowaliśmy tego.

Zawisza siedział nieruchomo, wpatrywał się w starostę. Tęczyński ciągnął dalej:

– Majątek okazał się bardzo rozległy. Nie wdając się teraz w szczegóły, tu są... – Podniósł kilka kart papieru ze stołu i potrząsnął nimi nad głową. – Na większość wydatków z ostatnich lat nie ma pokrycia w dochodach. Oczywiście w tych dochodach, które znamy.

– Mogę zobaczyć? – poprosił zakonnik i sięgnął po kartki.

– O ile w przypadku Kmity – wzrok starosty zatrzymał się teraz na zakonniku – taką dziurę można wytłumaczyć sporym pieniądzem, którym obraca poprzez pożyczki, o tyle Tomasz nie ma takich źródeł. Wszystko wskazuje na to, że spadło mu z nieba kilka tysięcy grzywien.

– To trzeba zbadać – powiedział Zawisza. – Nie możemy opierać oskarżeń na zeznaniach jurystów, którym zależy na...

– Zeznania jurystów tylko potwierdziły to, co ustaliliśmy sami – zachnął się Tęczyński. – Słuchaj dalej! W jednym z zamków Opolczyka, zajętych podczas ostatniej wojny, znaleźliśmy skrzynie z różnymi tajnymi raportami od krzyżackich szpiegów. Nie widnieją na nich podpisy, co zrozumiałe, ani adresaci. Przypuszczam, że ktoś sporządzał sobie kopie. Oryginały poszły zapewne wcześniej do Brodnicy albo do Malborka. Dużo tam było śmiecia. Ale... Znaleźliśmy raporty z czterech tajnych spotkań rady królewskiej!

– Czego to dowodzi? – spytał Zawisza.

– Relacje nie są bardzo szczegółowe, ale prawdziwe. Musiały być przekazane przez uczestnika tych rozmów.

– To poważne oskarżenie... – rzekł rycerz.

– Bardzo! – zgodził się Tęczyński. – Śmiertelnie poważne. Tylko dwie osoby uczestniczyły we wszystkich czterech spotkaniach... – Zawiesił głos. – Jagiełło i Tomasz z Węgleszyna – dokończył.

Zawisza zbladł jeszcze bardziej. Wydawało się, że cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Wiem, co pomyślałeś. – Starosta wstał i położył dłoń na ramieniu Zawiszy, jakby chciał mu dodać otuchy przed zadaniem śmiertelnego ciosu. – Ktoś mógł zebrać te informacje zasłyszane na dworze już później... – Pochylił się nad nim. – Tak, to możliwe. Tak broni się każdy zdrajca. Może nawet powie, że zrobiono to celowo, podrobiono pisma, żeby go pogrążyć. Jego, patriotę! To też dość typowe łgarstwo. Tęczyński skinął ręką na brata Mikołaja, a ten przesunął po stole skrawek papieru, który wcześniej przeglądał.

– Przeczytałeś? – spytał go starosta.

Zakonnik potwierdził skinieniem głowy, jego wzrok zdradzał głębokie poruszenie.

– To od braci Litwinów. Przechwycili to gdzieś przy granicy. – Tęczyński mówił głośno, powoli cedząc słowa. – Złapali kuriera. Miał w sakwie kilka listów. Trwały wtedy przygotowania do wyprawy na Wilno. Wielki mistrz czekał na informację, jak zachowują się Polacy. Listy były bardzo interesujące. Ale jeden z nich całkowicie niezrozumiały. Dopiero kilka dni temu udało nam się go rozszyfrować dzięki kluczowi dostarczonemu nam przez brata Mikołaja.

Starosta zaczął czytać:

– *Ouch hat Hannus von Toppeln wille kurtzlich czu uwirn gnade czu komen und meynt euch tzubringen hern Thomken des howphtmans bryeffe...*

Przerwał. Wszyscy trzej znali niemiecki, mimo to Tęczyński tłumaczył:

– „Tomasz starosta wysłała w szczególnej tajemnicy wielkiemu mistrzowi” *et cetera, et cetera*. Mój przyjacielu! – Znów obrócił twarz w kierunku Zawiszy. – O kogo mogło tu chodzić? Iluż to mamy starostów o imieniu Tomasz, którzy mają do tego wiedzę o zamiarach polskich wojsk?

Zawisza nie odpowiedział.

– Ustawisz ludzi wokół Sadłowa. – Tęczyński uderzył dłonią w stół na znak, że to rozkaz, dość dyskusji i przekonywań. – Bo jeśli jest wymiana informacji, to stamtąd. Dowiemy się, kto tam przyjeżdża, kto odjeżdża, kto się tam zatrzymuje i na jak długo. Na przechwycenie listów przyjdzie czas. To musi być dobrze przygotowane i musimy uderzyć we właściwego kuriera, bo się spłoszą. Poślij tam najlepszych ludzi!

Zawisza niemal niezauważalnie skinął głową.

– I wprowadzimy do Sadłowa szpiega, do środka, do zamku. – Teraz Tęczyński znów skierował wzrok na brata Mikołaja. – Muzykanta! Nie powinno być z tym kłopotu. Jagiełło podróżuje zawsze z jakąś kapelą i teraz ta cała sfera pochlebców, wszyscy, którzy się wokół niego kręcą, też chcą mieć jakiegoś flecistę, trębacza czy śpiewaka. Nieważne.

– A jeśli Tomasz już ma jakiegoś grajka? – spytał brat Mikołaj.

– To będzie miał dwóch! – huknął na niego Tęczyński. – Poradzisz sobie.

I potem znów do Zawiszy:

– Coś taki ponury? Służysz ojczyźnie czy prywatę chcesz uprawiać?

– Panie...

– Żadnego błagania. Wykorzystasz Hannę. Wypytasz ją o wszystko. Podobno często bywa w Sadłowie.

– Chcesz, bym jej ojca na szubienicę zaprowadził...

– Nie ojca! Zdrajcę! Który za pieniądze gotów jest kraj zgubić.

– Uczynię wedle rozkazów.

Tęczyński skinął głową. Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Ruszył ku drzwiom.

Nim wyszedł, rzucił przez ramię:

– I łapy z dala od Kmity, bo wam je odrąbię.

Saragossa, lato 1392 – lato roku Pańskiego 1393

Kilka dni przed wyjazdem do Aragonii spadła na mnie straszna wiadomość. Do karczny, gdzie chwilowo mieszkałem, przyszedł Pilos. Zoe się nie odnalazła. Poszukiwania trwały. Chciałem pójść do domu Jordana, ale niewolnik mi odradził. Miriam nie chciała mnie widzieć. Ani Jordan. Nikt z Żydów nie twierdził, że miałem coś wspólnego z zaginięciem dziewczynki albo że stało się to z mojej winy. Ale mówiono, że sprowadziłem do kamienicy Maius złe duchy...

Myśl, że zaginięcie Zoe było w jakimś stopniu ze mną związane, nie dawała mi spokoju. Lecz daty wyjazdu przełożyć nie mogłem.

Jeszcze kilka razy spotykałem się z bratem Mikołajem i Zawiszą, by uzyskać jak najwięcej informacji na temat zbożowych kontraktów Karola von Lichtensteina.

Zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od krakowskiego kupca zaprzyjaźnionego z Zawiszą udałem się do Gdańska, gdzie wsiadłem na statek do Lubeki, miejsca przeładunku towarów dowożonych dużymi statkami na mniejsze kogi. Stamtąd budowanym właśnie kanałem Stecknitz, łączącym rzekę Trawnę z Łabą, udałem się do Hamburga. Towary nie były jeszcze tym kanałem spławiane, ale podróżni oraz drobni kupcy z mniejszymi ładunkami mogli już z niego korzystać za niewielką opłatą. Okazało się to doskonałym pomysłem, bo dzięki temu wodnemu szlakowi ominął mnie koszmar morskiej podróży przez cieśniny sundzkie, które tyle złych wspomnień i strachu napędziły mi jesienią zeszłego roku. Z Hamburga dopłynąłem do Brugii, a potem już na baskijskiej kodze załadowanej zbożem – do Bilbao. Po tygodniu uciążliwej podróży w grupie nawarskich kupców stanąłem u bram Saragossy.

Sprawy rodziny Abnarrabích w Saragossie wyglądały na tyle źle, że don Francisco de Aranda, uprzedzony o planowanym przedsięwzięciu i mojej wizycie w Aragonii, gdy tylko dowiedział się, że dotarłem do miasta, kazał mi się zaszyć w przybytku Juana Sáncheza, domu publicznym, jedynym miejscu w Saragossie, gdzie mogłem się czuć bezpiecznie. Gdyby dłużnicy dowiedzieli się, że przebywam w mieście, mogliby doprowadzić nawet do mojego aresztowania.

Tam, w *lupanar*, odwiedził mnie przywołany do Saragossy przez Arandę kuzyn mojego wuja – Mahabud Faquim z Majorki. Mahabud był kupcem nieudacznikiem, który spełnił swoje marzenia o bogactwie, dopiero gdy poświęcił się korsarstwu.

Kilka tygodni zajęło nam przygotowanie planu, który – sam nie mogłem w to

uwierzyć! – dawał nadzieję na pomyślne zakończenie.

W całej koronie Aragonii zmniejszył się znacznie obszar uprawy pszenicy. Zarówno wielcy latyfundiści, jak i zwykli chłopci dążyli do większych i szybszych zysków. Stawiano na winnice i szafran. Ziarna nikt już nie chciał siał.

Na skutek zbiegu niepomyślnych okoliczności na rynku zbóż wybuchła panika. Od kilku lat panowała susza, plony spadły o połowę, a do tego ciągle wojny i obowiązkowe skupy zboża dla armii podbijały ceny. W miastach zapanował strach, że nie uda się zapewnić odpowiedniego zaopatrzenia i dojdzie do rozruchów głodowych. Królestwo Walencji i Księstwo Katalonii musiały ratować się importem pszenicy z coraz droższych i odleglejszych rynków.

Kupcom i miastom zaczął doskwierać brak gotówki.

Genueńczycy sięgali po kontrahentów z najodleglejszych zakątków cywilizowanego świata, gotowych zasilić wysychające koryto życiodajną brzęczącą monetą. W takich okolicznościach doszło do nawiązania współpracy genueńskich kupców z komturem Brodnicy Karolem von Lichtensteinem. Krzyżak był przekonany, że każdy, kto wejdzie w tamtych czasach z gotówką na lewentyński rynek handlu zbożem, zejdzie zeń zwycięski. Bogaty.

O handlowych operacjach komtura nie wiedział Malbork. Zyski miały zasilać jego prywatne kufry. Nie trzeba dodawać, że było to pogwałcenie wszelkich zakonnych reguł.

Najpierw przedstawiłem Mahabudowi i Arandzie, który uczestniczył w początkowym etapie planowania akcji, co polski wywiad wiedział na temat handlowych operacji na Majorce.

Polacy, dzięki szpiegowi działającemu w genueńskiej kolonii na Krymie, zdobyli nawet kopię umowy. Nie była to pełna treść, raczej wyciąg z umowy, pomijający wiele istotnych faktów, jak choćby wartość czy rozmiar dostaw, ale i tak zawierał wiele cennych informacji.

Z dokumentu wynikało, że współnikiem Karola von Lichtensteina był Genueńczyk Piero Clerici. Clerici, jak można się było domyślać, utrzymywał kontakty z wieloma rezydentami największych organizacji kupieckich obecnych na terytorium hiszpańskiego Lewantu. Dzięki nim Genueńczyk docierał, za pomocą sakiewek, do serc rajców z poszczególnych miast, odpowiedzialnych za zamówienia publiczne, tak by byli mu przychylni.

W wypadku transakcji firmowanej przez komtura Lichtensteina wybór padł na Martina van der Beurse'a. Ten przedstawiciel Hanzy w Walencji znał bardzo dobrze Gdańsk i sam był w tym mieście znany, co dawało pewną gwarancję uczciwości. Jednocześnie był człowiekiem dyskretnym.

Martin van der Beurse nie miał wprawdzie szans na kontrakty na dostawy do Walencji, mimo że tam rezydował, ani do Barcelony. Tam łapówki rozdawały największe spółki handlowe, na czele z Datinim.

Ale kontrakt z Alicante był w jego zasięgu, a to Clericiemu w zupełności wystarczyło.

Martin van der Beurse figurował w umowie jako pośrednik. Do niego należało załatwienie wszystkich spraw na miejscu: przekupienie rajców, wynegocjowanie cen i warunków, określenie terminów dostaw oraz najważniejsza rola rezydenta – prowadzenie rozliczeń z radą miasta Alicante. Za te usługi Piero Clerici, w imieniu Lichtensteina, zobowiązał się wypłacić Martinowi dziesięć procent wartości kontraktu. To dużo, ale mieściły się w tej kwocie wszystkie koszty związane z realizacją umowy, w tym przekupienie rajców.

Piero Clerici z kolei odpowiadał za zakup zboża w Maghrebie, załadunek, transport i odprawę celną w Guardamarze oraz docelowy rozładunek w spichrzach zbożowych miasta Alicante. Wszystko to jednak w imieniu i na ryzyko zleceniodawcy, Karola von Lichtensteina. Piero Clerici miał otrzymać dwadzieścia procent, lecz nie wartości kontraktu, ale zysku, po odliczeniu swoich kosztów (statki, załoga, aprowizacja *et cetera*) oraz należności dla Martina van der Beurse'a.

Resztę zysku zgarniał komtur Brodnicy Karol von Lichtenstein. Najwięcej. Ale też jako jedyny ponosił ryzyko. Ryzyko. To była dla nas dobra i najważniejsza informacja płynąca z lektury dokumentów przekazanych mi przez brata Mikołaja.

Z tego, co można było jeszcze wyczytać z fragmentów umowy, Piero Clerici z oszczędności nie ubezpieczał swoich statków. Wielu drobnych kupców tak robiło. I trudno się dziwić. Mieli niskie marże, każdy zaoszczędzony grosz się liczył. Morze Śródziemne kupcy pokonywali na ogół w konwojach, przynajmniej w ostatnim czasie, kiedy korsarstwo przybrało rozmiary epidemii. A morscy grasanci nie rzucali się na grupy statków. Nie ryzykowali. Woleli samotne jednostki.

Zapłata za dostarczone zboże zabezpieczona była obligacjami miejskimi, nazywanymi tu *censales*, z dwuletnim terminem wykupu, oprocentowanymi nisko, zaledwie na siedem procent. Ale to też dużo pieniędzy, a obligacje miejskie to w tych trudnych czasach najbezpieczniejsza forma zapłaty z odroczonym terminem.

Początkowo zakładaliśmy, że miasto już wykupiło od komtura obligacje za ostatnią dostawę. Ale Aranda, korzystając ze swoich uprawnień królewskiego doradcy, a Alicante należało do jurysdykcji monarchy, uzyskał informację, że zapłata dotyczyła przedostatniej dostawy. Termin wykupu *censales* za tę ostatnią wypadł na koniec października przyszłego roku. Gdyby udało się, tak jak planowaliśmy, przechwycić przyszłoroczną jesienną dostawę, miasto z pewnością wstrzymałoby wypłatę poprzedniej należności. To oczywiste, na pewno tak postąpi, by zabezpieczyć sobie zagwarantowane umową roszczenia w przypadku niedotrzymania przez spółkę Clerici–Lichtenstein warunków umowy.

Kontrakty zbożowe nie były tak obwarowane karami jak w przypadku mięsa, ale i tak ich niedotrzymanie rujnowało dostawcę: nakładano bowiem karę w podwójnej wysokości wartości kontraktu. Miało to umożliwić rajcom awaryjny zakup zboża na rynku bez oglądania się na cenę. Takie obwarowania sprawiały, że miasto podpisywało umowy tylko z zaufanymi agentami. To znaczy powinno podpisywać, ale nie zawsze tak się działo.

Nurtowało mnie zapisane w kontrakcie pierwsze miejsce dostawy, w którym zboże przechodziło inspekcję celną – Guardamar.

Guardamar to niewielki port położony trzydzieści mil na południe od miejsca docelowego – Alicante. Właśnie to miejsce dostawy, ta okoliczność, że konieczne będzie przewiezienie zboża na statkach trzydzieści mil wzdłuż wybrzeża, sprawiało, że korsarska operacja środkami, jakie mogłem (mogliśmy, wspólnie z Arandą) zmobilizować, była w ogóle możliwa.

Atak na konwój na pełnym morzu nie wchodził w grę. To musiałaby być grupa korsarzy, najlepiej saraceńskich, ale z tymi nie ma mowy o układach.

Wprawdzie droga wzdłuż całego wybrzeża była gęsto patrolowana przez okręty królewskie lub opłacana przez lewantyńskie miasta, a uprowadzenie statku blisko wybrzeża jest bardzo trudne, ale... Ale!

Tym „ale” była niewielka wyspa Tabarca, leżąca kilka mil od brzegów. Od niepamiętnych czasów cieszyła się sławą wyspy przeklętej, wyspy złoczyńców, pełniła funkcję znakomitej bazy wypadowej dla wszelkiej maści korsarzy i piratów. Leżała dokładnie w połowie morskiego szlaku pomiędzy Guardamarem i Alicante. Teraz władze zaprowadziły tam porządek. Ponieważ jednak wyspa Tabarca otoczona jest archipelagiem mniejszych skalistych wysepek rozdzielanych skałami, zdradliwymi mieliznami, jest tam tyle zakamarków, że wciąż można ukryć statek na jakiś czas. Warunkiem jest dobre rozpoznanie niebezpieczeństw czyhających tam na statki. Mahabud świetnie znał tamtejsze wody. Mógł zaszyć się z łupem nawet na kilka lat!

Wciąż jednak pozostawało pytanie: skoro Guardamar leży zaledwie trzydzieści mil od Alicante, to dlaczego dostawa ma trafić najpierw tam?

Wyjaśnił mi to Aranda. Guardamar to niewielka miejscowość u spływu rzeki Segury, przez co stanowi doskonałą przystań przeładunkową dla zboża pochodzącego z interioru i rozwożonego statkami po hiszpańskim Lewancie od Orihueli aż po Barcelonę. Miała też w zamyśle króla stanowić element ochrony dla ważnych miast królewskich: Orihueli i Alicante. Aby spełnić obie funkcje, trzeba było na nowo zaludnić samą miejscowość, w ogóle cały region najboleśniej dotknięty wojną Dwóch Piotrów. Nikt jednak nie chciał przenosić się na dalekie pogranicze. Aby zachęcić do zasiedlania Guardamaru, król wydał specjalny dekret, na mocy którego każdego osadnika obejmowała całkowita amnestia. Ludzie najróżniejszego autoramentu zjechali do Guardamaru. Teraz trzeba było im

zapewnić utrzymanie. Król Jan postawił na rozwój portu i usług portowych. Statki, które zawijały do Guardamaru, miały preferencje celne w portach całego Lewantu. Były to pierwsze lata obowiązywania przywilejów. Część kupców korzystała z tej możliwości. To zapewne skłoniło Clericiego do zatrzymania się w Guardamarze. W porcie uzupełni wodę, żywność, przeprowadzi drobne remonty. Zamiast zrobić to w Alicante. Marynarze upiją się kilka razy w lokalnych karczmach. Miasteczko zarobi. Clerici zaoszczędzi na podatkach. Następnie zgłosi dostawę w Alicante jako transport z Guardamaru i znów trochę zaoszczędzi. Grosz do grosza.

Będziemy wiedzieli dokładnie, kiedy statek wyjdzie w morze. Bezbronny statek. Nikt nie wydaje pieniędzy na ochronę, jeśli ma do pokonania trzydzieści mil wzdłuż skrupulatnie patrolowanego wybrzeża. Miasta Lewantu, w tym Alicante, wydają spore pieniądze na morskie patrole. Piraci nie ryzykują.

Aranda bez kłopotów zdobędzie wszelkie dane potrzebne do ustalenia tras i czasu patroli. Mając te informacje, można będzie się postarać, aby statek Clericiego opuścił port w Guardamarze o odpowiedniej porze i znalazł się na wysokości wyspy Tabarca dokładnie wtedy, kiedy nastąpi tam przerwa między jednym patrolem a drugim. Na tak krótkich przybrzeżnych szlakach jest to możliwe. Guardamar zamieszkują różne męty. Łatwo dotrzemy do kogoś w porcie, kto zadba o właściwe pokierowanie ruchem statków.

Beurse dostanie sygnał, że jednostka nie dotarła do Alicante, po kilku tygodniach. Wtedy Mahabud będzie już z towarem na Sycylii. Tam sprzeda zboże i podzielimy się zyskiem.

Aranda wyreczył mnie w ponagleniu Mahabuda: należało zacząć pracę nad operacją w najbliższych tygodniach, żeby zdążyć przed przyszłą jesienią. Aranda oddał do dyspozycji Mahabuda jednego z zaufanych kurierów, drugiego miał mieć on, tak by komunikacja była jak najszybsza i pewna.

Mahabud zapewnił, że jeśli tylko będzie znał czas przepływu, to statek niechybnie wpadnie w jego ręce.

Opuszczałem Saragossę pełen nadziei, z przekonaniem, że wiatr znów wieje w moje żagle. Obiecałem sobie, że mimo sprzeciwu krakowskiej gminy poślubię Fatimę. I niech dobry Bóg decyduje, czy zamieszkamy w Aragonii, czy w Krakowie.

Część III

Kraków, lato roku Pańskiego 1393

Rozpoczął się wrzesień. Dzień był słoneczny i ciepły, jak w środku lata. Pierwsze kroki po przybyciu do Krakowa skierowałem do karczmy „Pod Orłem”. Wedle uzgodnień poczynionych jeszcze przed wyjazdem miałem się tam zatrzymać w pierwszych dniach po powrocie, by potem zamieszkać już na dłużej w domu Hanny.

Gospodarz podniósł rękę na powitanie. Odruchowy gest, którym witał każdego gościa, lecz w jego spojrzeniu dostrzegłem, że mnie poznał. To dobrze. Teraz da znać, komu trzeba. Zaprowadził mnie do jedynej wolnej izby. Nie żądał zapłaty z góry, to najlepszy dowód na to, że wiedział, kim jestem. Postanowiłem spokojnie poczekać na jakieś instrukcje od Zawiszy albo brata Mikołaja. Wiedziałem wprawdzie dokładnie, w którym domu mieszka Hanna z ciotką Barbarą, ale przecież nie mogłem tam pójść tak po prostu z ulicy.

Cieszyłem się na spotkanie z Fatimą. Stęskniłem się za nią. Nie była to ta głucha tęsknota, która zżerała mnie dawno temu. Wtedy, gdy Ayhe nie było przy mnie, nie mogłem jeść, spać, myśli ulatywały na wszystkie strony, a potem wracały z ponurymi wyobrażeniami, które rozsadzały mi głowę. Teraz było inaczej, spokojniej, po prostu cieszyłem się, że wezmę ją w ramiona. W Aragonii wiele razy wracałem wspomnieniami do nocy spędzonych z Fatimą i ani razu nie ogarnął mnie niepokój, że mogło przytrafić się jej coś złego.

Chwile radosnego oczekiwania zmała wiadomość, której się spodziewałem, choć miałem nadzieję, że minie kilka dni, nim na mnie spadnie. Przyniósł mi ją Pilos: Zoe się nie odnalazła.

Nazajutrz późnym popołudniem udałem się do Fatimy. Nie mogłem otrząsnąć się z przygnębienia po tym, co usłyszałem od niewolnika; przywitałem się z nią jak z daleką kuzynką, a nie kochanką. Zdawkowo opowiedziałem o pobycie w Saragossie. Nie mogłem ani słowem wspomnieć o prawdziwym celu podróży. Z mojej relacji wynikało więc, że blisko rok włóczyłem się bez celu po Saragossie w dzień, a nocie spędzałem w domu publicznym. Trudno się dziwić, że Fatima, rozczarowana i zła, odwzajemniła się równie bezbarwnym streszczeniem miesiący, jakie upłynęły podczas mojej nieobecności. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Poza jednym. Niestety. Poza zniknięciem i poszukiwaniem Zoe.

Pilos doniósł mi wcześniej, że nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Fatima

twierdziła jednak, że to nieprawda. Był świadek. Ktoś, kto widział dziewczynkę tuż przed zniknięciem. Podobno Zoe rozmawiała na rynku kleparskim z jakimś mężczyzną. Ów świadek rozpoznał w nim jednego z najemników kręcących się wokół Petera Holta. Fatima poszła z tym do rabin. Oczywiście jeden świadek to za mało, mimo to rabin zarządził śledztwo. Niczego jednak nie wykryto. Uznano, że ludzie Petera Holta nie mają z tym nic wspólnego.

– Możesz mi powiedzieć, jak to było? – poprosiłem.

Fatima kucnęła przy piecu, kilka razy dmuchnęła w ogień pod kwadratem grubej blachy. Dym wypełził po bokach i zniknął w okapie.

– Zrobię placki. Zjesz i będziesz musiał sobie pójść. – Uśmiechnęła się smutno.

– Nigdzie mi się nie spieszy...

– Zoe nie była zbyt lubiana wśród dzieci – zaczęła Fatima. – Nie wiem, czy o tym wiedziałeś.

– Nie.

– Uważały ją za przemądrzałą.

– Była... jest przemądrzała. Za to ją polubiłem.

– Ty tak, ale dzieci... Wiesz, jakie są dzieci.

– Nie wyglądało, żeby się tym zamartwiała – powiedziałem.

Fatima wzruszyła ramionami. Wlała ciasto na patelnię.

– Często z zabaw wracała sama.

– Przepytałeś dzieciaki?

– Tak, ale tego dnia nic nie widziały. Zoe nie bawiła się z nimi.

– Co mówią ludzie?

– Teraz? Już nic. Czasami sobie przypominą, jak spojrzą na Miriam.

– Przecież gmina pomagała.

– Na początku tak – westchnęła. – Zawsze tak jest, gdy ginie dziecko. Najwięksi wrogowie starają się pomóc. Wszyscy patrzą na swoje dzieci i ogarnia ich przerażenie, kiedy pomyślą, że to mogło spotkać ich. Więc włączają się w poszukiwania. Zrazu każdy miał nadzieję, że to nic takiego, że mała się znajdzie. Dzieci często się gubią. Potem przyszła długa noc. – Fatima otarła łzy wierzchem dłoni. – A na drugi dzień szukało jej już całe miasto. Lewko dużo zrobił. Zaangażował straż miejską.

– Żadnego śladu?

– Nic.

Fatima zdjęła z patelni pierwszy placek. Oderwała parujący kawałek, podmuchała, skosztowała. Chyba placek przeszedł próbę, bo wylała z miski kolejną porcję ciasta, nic nie dodając.

– Powiedziałaś wtedy rabinowi o tym świadku...

– Dlaczego nie od razu?

– Bardzo się opierał... nie chciał... zresztą wyparł się potem wszystkiego.

– Kto to był?

Fatima milczała.

– Na Boga! Powiedz, i tak się dowiem.

– To jeden z kancelistów Osmana.

– Coś was łączyło? – wypaliłem.

– Daj mi spokój!

– To jest odpowiedź?

– Tak, to jest odpowiedź.

– No to nie rozumiem.

– Nie szkodzi – odparła spokojnie.

Przyszło mi do głowy, że gdybym to usłyszał od Ayhe, dawno temu w Saragossie, zaschłoby mi natychmiast w gardle, w brzuchu obudziłby się wielki szczur i zaczął mnie pożerać od środka. Teraz pomyślałem, że te słowa można rozumieć na wiele sposobów. Tak było lepiej. Na pewno będę wiódł u boku Fatimy spokojniejszy żywot.

– Co dokładnie widział? – spytałem pojednawczym tonem.

– Zauważył, jak jeden z żołnierzy, który mieszkał u Petera, jakiś nowy, ale Szmul, tak ma na imię ten kancelista, go rozpoznał, przynajmniej tak mu się wydawało... Otóż ten żołnierz rozmawiał z Zoe. Szmul zwrócił na niego uwagę, bo tamten był ubrany jak mieszczanin. I to Szmula zdziwiło.

– I co potem?

– Na placu spłoszyły się konie. Stratowały kilka straganów, chyba nawet ktoś wtedy zginął. Zrobiło się straszne zamieszanie.

– I co?

– Nic. Gdy wszystko się uspokoiło, Szmul zajął się swoimi sprawami. Przypomniawszy sobie o tym dopiero wtedy, gdy cała gmina rozpoczęła poszukiwania. Po prostu przypadek, że kilka dni wcześniej ten nowy był z Peterem u Osmana. Ubrany po żołniersku. Nie rzucał się w oczy. Ale Szmul go zapamiętał, bo coś sobie niemiłego powiedzieli. Tamten był podobno skory do bitki. Tyle że Szmul przepytany później przez rabina zaczął kręcić, twierdził, że nie jest pewien, czy to był ten żołnierz, czy może tylko ktoś do niego podobny.

Fatima wzięła deskę ze stosem naleśników.

– Chodźmy do sypialni.

Sypialnię nazywała izba, gdzie spędzała cały dzień; były tu łóżko i miejsce do pracy, i stół, przy którym jadła. Fatima nie lubiła jadać w kuchni, gdzie po gotowaniu śmierdziało tłuszczem i dymem. Pierwszy raz oglądałem sypialnię w świetle dziennym. Nie wydawała się już tak przytulna.

– Rabin potraktował jego zeznania bardzo poważnie. Włączył się ktoś z rady miasta. Przepytali Petera i jego ludzi. Oczywiście nic nie wykryto. – Fatima przyniosła dzban i dwa szklane ozdobne kielichy – Chcesz wina?

Chciałem. Kawalek naleśnika stanął mi w gardle.

– Kilka dni później doszło do bójki w „Piwnicy Świdnickiej” – ciągnęła dalej. – Gdy chcieli przesłuchać tego żołnierza, nie dało się, bo nie mógł mówić. Długo do siebie dochodził... Zresztą jak się tak zastanowić... To nie miałyby sensu. Po co ludzie Petera mieliby porywać wnuczkę Lewka?

– To nie tylko wnuczka Lewka, ale również córka Jordana. Może Jordan miał wrogów? Dłużników?

– Wszyscy mieli nadzieję, że chodzi o pieniądze. Ale minęło tyle miesięcy i nic. Cisza. To nie mogło być porwanie. To by nie miało sensu – powtórzyła, kręcąc głową.

– A handlarze niewolnikami?

– Tu ich nie ma. Ktoś by zauważył obcych... Poza tym... akurat Zoe? Porywać z Rynku? Mają dość dzieci na wsiach, silnych, zdrowych, po co komu na handel taka chudzina...

– Jak to się skończyło?

– Gmina uznała, że przytrafił się jej jakiś wypadek. Może poszła nad rzekę albo wpadła do starej studni. Z jakiegoś powodu wyszła poza mury. Nikt już teraz nie wraca do sprawy.

– A jak to zniosła Miriam?

– A jak myślisz? Nie poznałbyś jej. Postarzała się o dwadzieścia lat. Nie idź do nich. Omijaj ich dom. Tam jest do ciebie dużo pretensji.

Kościół Świętej Trójcy w Krakowie, jesień roku Pańskiego 1393

- Spóźniłaś się!
- Co z tego... nic mi nie zrobisz...
- Mam prośbę...
- Zaczyna się od pocałunku!
- Przez kratę się nie przecisnę!
- Och! Taki mój los. Czemu masz zmieniony głos? Dziwisz się, że chcę pocałunków?
- Co tak wzdychasz? Czuję wino...
- Piłyśmy do śniadania. To prawda. Królowa dziś też się chwieje na nóżkach.
- Jak będziesz chichotać, wszystko popsujesz.
- Mów, czego chcesz. Już się robię poważna!
- Latem rusza rejza na Litwę.
- Wiem.
- Krzyżacy już spraszają gości. Jagiełło chce podobno po cichu wspomóc Litwinów. Także na pruskiej ziemi. Tym razem chce posyłać wojska nie tylko pod Wilno. Zamierza najechać pogranicze, żeby część wojsk krzyżackich zatrzymać albo zmusić do powrotu do Prus.
- Wiem.
- To prawda?
- Tak.
- Ja też mam iść na pogranicze. Ale chcę rozkazy złamać i pod Wilnem zapolować na Lichtensteina.
- A ta prośba?
- Muszę mieć wsparcie któregoś z pruskich rycerzy nam przychylnych. Z tych, co pójdą z Krzyżakami pod Wilno. Kogoś w krzyżackim obozie, żeby mi donosił, co się tam dzieje.
- Tęczyński ma takich wielu...
- Jego rozkazy chcę złamać, więc jak mam go o to prosić? Powiem mu, ale w ostatniej chwili, bo mnie gotowy całkiem od kampanii odsunąć...
- Obiecać ci nie mogę. Będę coś miała, to zostawię pod ławką kartkę papieru, pustą, złożoną na czworo. Trzecia ławka po lewej od wejścia, przy samym skraju. Brat Mikołaj wie, w którym miejscu, bo sam je wynalazł. Niech tam zawsze

w piątki zagłada. Teraz czeka tam na ciebie przesyłka...

– Przyniosłaś coś? Dla mnie?

– Leży pod ławką. Pakunek owinięty w skórę. Dokumenty.

– Co w nich jest?

– To, o co prosiłeś. Pisma obciążające Kmitę. I Kurowskiego.

– Skąd je masz?

– Muszę odpowiadać?

– Tak, muszę wiedzieć, czy mogę z tym iść do Tęczyńskiego...

– To oryginały. Wiarygodne. Dostałam od ojca.

– Bóg ci zapłać, Konstancjo. Co wiesz o Tomasz z Węgleszyna?

– Zmiana tematu?

– Tak.

– Tyle wiem, co wszyscy. Starosta inowrocławski, kręci się wokół dworu. Król robi mu nadzieję na wielką karierę. No i jest... ojcem twojej Hanny.

– Wpadły nam w ręce listy, które go obciążają...

– To w końcu kogo śledzicie?

– Topór upiera się, że zdrajcą jest Tomasz.

– Teraz mam na niego szukać dowodów winy?

– Wolałbym dowody niewinności.

– Ze względu na Hannę?

– Tak, ze względu na Hannę.

– Czas się skończył. Daj mi rozgrzeszenie, klecho. Machnij coś nad kratką.

Gospoda „Pod orłem”, jesień roku Pańskiego 1393

Karczmarz wysłał gońca do Zawiszy i ten, kilka dni później, załomotał do mojej izby w gospodzie „Pod Orłem”. Przywitał się jak zwykle mocnymi, ale chłodnymi uściskami i szybko przeszedł do pytań. Wielu ludzi w Krakowie wyczekiwało mojego powrotu i dobrych wieści.

Najpierw musiałem wyłożyć w najdrobniejszych detalach korsarskie przedsięwzięcie, które miało wpędzić komtura Lichtensteina w długi i w konsekwencji pchnąć go w objęcia polskiego wywiadu. Zawisza słuchał w skupieniu; na twarzy pojawił się wyraz najpierw ulgi, potem zadowolenia. Pierwsze wieści z przebiegu operacji dotrą do Tęczyna późną jesienią, ale sposób jej przygotowania dawał nadzieję na zwycięstwo. Oznajmiłem mu też, że Mahabud Faquim przystał na podział zysków ze sprzedaży zboża w proporcji sześćdziesiąt do czterdziestu. Rzecz jasna ta większa część przypadnie jemu. Wedle zapewnień Jana z Tęczyna połowę zysków polskiej strony miałem otrzymać ja na pokrycie starych długów. Jakiegoś wynagrodzenia spodziewał się także Aranda. Zabezpieczył wszystko od politycznej strony, służył pomocą w planowaniu, organizacji; zrobił to wszystko naprawdę dobrze.

Mahabud mógł otrzymać za kradzione zboże około tysiąca florenów. Nie miałem złudzeń. Korsarz zbyt łatwo ustąpił w negocjacjach, a Aranda w ogóle nie poruszył kwestii podziału pieniędzy między mną a nim. Najpewniej ci dwaj podzielą pieniądze między sobą, a ja nie zobaczę ani florena. Ale nie dbałem o to. Daj Boże, by akcja zakończyła się po naszej myśli.

Podczas pobytu, a w zasadzie ukrywania się w Saragossie skontaktowałem się za pośrednictwem posłańca z Abrahamem Abencanyasem. Mój dawny mistrz z ochotą przyjął zaproszenie do odwiedzenia słynnego saragoskiego *maison lupanarde*. Dowiedziałem się wówczas, jak źle stoją moje sprawy. Ale z tym i tak nie mogłem nic zrobić. Dużo ważniejsza jawiła mi się inwestycja w handel wełną. Abencanyas gotów był w każdej chwili zawiązać spółkę z krakowską gminą i wprawić w ruch przedsięwzięcie, które wciąż wyśmienicie rokowało.

Zawisza z kolei utrzymywał, że Lewko dostrzegł we mnie żar, wizję i siłę. Podobno mu zaimponowałem, zyskując tym samym najpotężniejszego sojusznika w gminie. Jeśli tylko polityka lub jakaś wojenna zawierucha nie staną na przeszkodzie, Lewko z łatwością przekona kilku bankierów do mojego

przedsięwzięcia.

Zawisza zatrzymał się w Krakowie zaledwie na jeden dzień, bo pilno mu było na Śląsk, gdzie miał się zająć werbunkiem najemników na wojenną wyprawę, której początek planowano na późną wiosnę przyszłego roku.

Przed odjazdem Zawisza udał się ze mną do kamienicy przy Rynku, którą samotnie, nie licząc służby, zamieszkiwała Barbara z Lipników, ciotka Hanny, i przedstawił mnie jako nowego lokatora.

Tyniec, jesień roku Pańskiego 1393

Zawisza wpadł do skryptorium jak huragan i obwieścił krótko:

– Mamy go!

– Mów! – rzucił brat Mikołaj do gościa.

Młody rycerz opadł ciężko na ławę. Wyjął z podróżnej torby rulon pergaminu i nie oderwawszy pleców od oparcia, wyciągnął ramię w kierunku zakonnika.

– Patrzcie, co dostałem od Konstancji.

Brat Mikołaj wyszedł zza pulpitu, wziął rulon i rozwinął. Tekst był napisany po łacinie. Oryginał. Przebiegł wzrokiem treść pergaminu.

– To transumpt dokumentu Bolesława Wstydlivego, księcia Krakowa, w którym ów książę zatwierdza niejakiemu Ocieślawowi z Wiśnicza immunitet sądowy i ekonomiczny w jego dobrach, w tym w Wiśniczu, i rozciąga go na wszystkie dobra nabyte w przyszłości. Transumpt dokonany przez Kazimierza Wielkiego – powiedział Zawisza. – Mam ten pergamin od paru dni i znam na pamięć.

– Co w tym niezwykłego? – spytał zakonnik, nie podnosząc wzroku znad dokumentu.

– Transumpt znalazł się w kancelarii Jagiełły – odparł Zawisza. – Jeśli król go potwierdzi, zatwierdzi prawo własności wszystkich dóbr Kmitów. Uważam, że weszli w posiadanie tego majątku, przynajmniej jego części, nielegalnie, ale – machnął ręką – dochodzenie tego teraz nie ma sensu. Co innego tu jest ważne. Jeśli Jagiełło to zatwierdzi, Piotr Kmita zyska pełny immunitet sądowy: żaden sędzia, starosta czy jego urzędnicy nie będą mogli sądzić Piotra Kmity ani jego rodziny. O to mu chodzi!

Zakonnik podniósł oczy znad tekstu, spojrzął na Zawiszę i pochylił głowę w geście podziwu.

– Jakie wrażenie? – spytał Zawisza. – Jesteście kancelistą.

Zakonnik starannie obejrzał dokument, przywieszenie pieczęci, pismo, rodzaj pergaminu.

– Wygląda na autentyk. Lista świadków na pierwszy rzut oka też bez zarzutu.

– To perfekcyjne fałszerstwo kancelaryjne. – Zawisza podniósł się z ławy i ostrożnie wyjął zakonnikowi pergamin z ręki. – Dokument podsunęty królowi do zatwierdzenia. Szalbierstwo jak się patrzy. Nie było żadnego dokumentu Bolesława Wstydlivego, nie transumował tego Kazimierz Wielki. To fałsz.

Od Zawiszy było zadowolenie.

– Konstancja wyniosła to dla mnie z królewskiej kancelarii. Wiecie, kto sporządził falsyfikat?

– Nie... – odparł zakonnik, wwiercając spojrzenie w młodego rycerza.

– Mikołaj Kurowski!

– Po co?

– Po co?! Szukaliśmy związku Kmita i Kurowskiego. Staroście nie wystarczało, że są rodowcami. Że to za mało. No to ma. Dowód na tacy.

Zawisza był podniecony, żywo gestykulował.

– Pamiętajcie, bracie Mikołaju, sami odkryliście, że Kmita sprzedał Kurowskiemu wieś Odrowąż za trzysta pięćdziesiąt grzywien, choć kilka lat temu dał za nią sześćset grzywien, bo tyle jest warta. Zachodziliśmy w głowę, co to za transakcja. Uważam, że w ten sposób zapłacił za ten falsyfikat.

Do skryptorium wszedł jakiś młodzian ze zwojem pergaminu pod pachą, kierując się w stronę swojego pulpitu. Ale brat Mikołaj syknął na niego, a potem nakazał gestem, by teraz nie przeszkadzał. Upomniany odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

– Sprawa jest poważna – ciągnął Zawisza przyciszonym głosem. – Za to grozi stryczek. I Kmita o tym wie. I Kurowski o tym wie. Ta wiedza ich spaja. A Kmita prowadzi poważne interesy z komturem Lichtensteinem, znacznie większe, niż nam się wydawało. Ci żołnierze zostają w Krakowie nie po to, by chronić kupców, ale żeby zabezpieczać wywóz pieniędzy, które Kmita pożycza komturowi. Zarabia na pośrednictwie. Uważam, że wydanie kupców, naszych szpiegów, to jedno z posunięć w ich grze. Kolejna transakcja.

Zawisza przerwał, czekając, aż brat Mikołaj coś powie. Ten jednak milczał zajęty rozlewaniem wina do kubków.

– *Iusticia est fundamentum regnorum* – zawołał i uniósł puchar. – Będzie wisiał.

– Tu masz odpowiedź – odpowiedział na toast Zawisza, podnosząc swoją szklanicę

– dlaczego Kmita posuwa się do takiego ryzyka, takiego fałszerstwa. Czego się boi? Wie, że mu się przyglądamy. Ale jeśli zdobędzie immunitet, nie oskarżymy go, nie będziemy mogli przeszukać Wiśnicza, ściągnąć na przesłuchanie jego kmieci, bo ich też obejmuje immunitet. Nie można na to pozwolić! Starosta musi nas poprzeć. Dobre wieści z Hiszpanii powinny nam pomóc.

– Są dobre? – spytał zakonnik.

– Gdy Aaron wyjeżdżał z Saragossy, wszystko było w jak najlepszym porządku.

Brat Mikołaj się rozpromienił.

– To cud! Od początku uważałem to za wariactwo.

Zawisza przeciągnął się i zrobił parę kroków po skryptorium.

– Teraz trzeba mi ruszać na Śląsk, najemników werbować – oznajmił po chwili. – Wy w tym czasie zastanówcie się, jak to wszystko przedstawić Tęczyńskiemu.

I kaźcie zrobić odpis dokumentu, trzeba go zwrócić Konstancji.

Dopili wino. Obaj wstali.

– Szykuje się wyprawa w litewskie puszcze. Wezmę Aarona ze sobą.

– Po co? – spytał brat Mikołaj.

– Lepiej, żeby nie zostawał w Krakowie sam. Tam go będę miał na oku. To potrwa kilka miesięcy. Pochodzi trochę po lesie...

– Spodoba mu się! – powiedział zakonnik i obaj wybuchnęli śmiechem.

Kraków, jesień – zima roku Pańskiego 1393–1394

Jesień i zimę przełomu lat 1393 i 1394 spędziłem w domu Hanny. Położony był w północnej pierzei Rynku. Kamienica, jak wszystkie sąsiednie, była trzykondygnacyjna, szerokością frontu obejmowała około dwudziestu łokci – sporo jak na szczytowy układ zabudowy. Widać tu dbałość władz Krakowa o zagęszczenie domostw w tej najbardziej reprezentacyjnej części miasta. Im gęstsza zabudowa, tym więcej mieszkańców, co ma zwykle pozytywny wpływ na finanse miasta i jego obronność. Wszędzie jednak na świecie odbijało się to na warunkach życia – mniej światła, przestrzeni, powietrza. W Krakowie, przynajmniej w domu Hanny, nie dało się tego odczuć. Główny budynek, ciągnący się w głąb jakieś czterdzieści łokci, wychodził na duże podwórze zakończone jednopiętrową oficyną, która kiedyś służyła za pomocniczy budynek gospodarczy, a teraz mieściła kuchnię i pomieszczenie dla dwóch dziewczek służebnych.

Przed kamienicami znajdowały się piwnice, które wystawały poza obręb fundamentów; właściciele budowali na nich przedproża. Musiały tu istnieć jakieś zalecenia władz miejskich, bo przedproża przylegały do siebie, tworząc rodzaj wysokiego na trzy łokcie chodnika, który oddzielał pomieszczenia od rynkowego zamieszania, błota, zwierząt, wody.

Przedproże domu Hanny osłaniał drewniany daszek, który chronił także wejście do kamienicy i stojący po lewej stronie olbrzymi fotel z wygodnym podnóżkiem, na którym przesiadywała ciotka Barbara. Z wysokości przedproża roztaczał się widok na sukiennice, cmentarz przed kościołem Mariackim, liczne kramy wschodniej części Rynku, kościół Świętego Wojciecha i wylot ulicy Grodzkiej. Jednym słowem – ciotka miała stąd widok na wszystko, co działo się w sercu miasta.

Fasadę domu zdobiły rzeźby rycerzy, kamienne obramienia okien, po trzy na każdej kondygnacji, oraz okazały portal. Nad nim zaś widniał herb, umieszczony tam chyba niedawno, bo lśnił żywymi barwami; ukazywał trzy skrzyżowane złote kopie o srebrnych grotach, a w klejnocie na hełmie półkozioł w srebrze z czarnymi rogami.

Do domu wchodziło się przez kamienną ostrołukową bramę wyposażoną w ciężkie, okute i uzbrojone w kilka żelaznych wrzeciędzy drzwi. W sąsiednich domach na parterze znajdowały się na ogół warsztaty, sklepy, magazyny; tu cały parter zajmowała szeroka sień zwężająca się na końcu, tak by pomieścić drewniane

schody.

Na piętrze urządzono dużą komnatę, z której wchodziło się do dwóch małych pokoi frontowych zajmowanych przez Hannę oraz do sypialni ciotki.

Ja otrzymałem do dyspozycji pokój na piętrze drugim. Układ był podobny. Przydzielony mi pokój wychodził na podwórze. Sypialnię musiała wcześniej zajmować jakaś niewiasta. Wąskie łoże, nie małżeńskie z pewnością, stało na podwyższeniu z dwoma schodkami, miało nad głową zadaszenie, a dookoła grube zasłony chroniące w zimne dni przed wiatrem. Pokrywała je kapa z atlasu, zarzucona kilkunastoma mniejszymi i większymi poduszkami obszytymi malowaną skórą. Z prawej strony łóżka tkwiło przytwierdzone do ściany olbrzymich rozmiarów zwierciadło z gładko polerowanej blachy.

W komnacie przechodniej królował duży stół pokryty sukienym obrusem, zastawiony sześcioma wyściełanymi krzesłami z wysokimi oparciami. Wzdłuż ścian stały ławy zarzucone skórami oraz mniejsze i większe skrzynie, z nóżkami i bez, malowane i rzeźbione. A także półki i szafki zawieszane na ścianach. Wszystkie puste.

Z obu poziomów biegły ganki przylegające do muru graniczącego z sąsiednią parcelą i łączące pokoje od północy z oficyną. W gankach znajdowały się ustępy. Co za wygoda!

Wysokie komnaty miały rzeźbione belkowe stropy, a także dwudzielne okna wypełnione dużymi tafłami szkła oprawionymi w ołów. Ściany w moim pokoju wyłożono od północy grubymi deskami i obłożono kobiercami. Podłogi zrobione były z układanych w szachownicę kolorowych flizów. W każdym pomieszczeniu stał kafłowy piec.

Do niektórych domów doprowadzono bieżącą wodę. Rodzina Hanny urządziła sobie na podwórzu przylegającą do sieni prywatną łaźnię. W sypialniach znajdowały się znane mi już z domu Jordana umywalki ze specjalnym zbiornikiem zawieszonym na ścianie i uzupełnianym codziennie przez służące.

W jednym z pokoi od południa, nieogrzewanych i przeznaczonych na letnią porę, odkryłem pulpit. Pod oknem stała ława z podnoszonym siedziskiem. Umieściłem tam swój pamiętnik i wszystkie przybory do pisania. Pokój stał się moją pracownią. Okna wychodziły na Rynek. Robiło się coraz cieplej, często je otwierałem. Polubiłem rynkowy gwar. Dodatkową zaletą było to, że słyszałem wszelkie oznaki upływającego czasu: trąbione hejnały, bicie kościelnych dzwonów, hałas czyniony przez cyrulików nawołujących do łaźni. Olbrzymia przestrzeń Rynku sprawiała, że nie dosięgałem wzrokiem wskazań zegara na wieży ratusza.

Hanna wyjechała, jeszcze przed moim przybyciem, do macochy w Sadłowie. Nadzieja na wspólne przebywanie pod jednym dachem, przynajmniej przez kilka dni, okazała się płonna. Musiałem się zadowolić towarzystwem leciwej ciotki Barbary. Dobrze jej z oczu patrzyło i była chyba poczciwą kobietą, ale krzywdy,

jakich doznała od tutejszych Żydów, kazały jej traktować mnie z chłodnym dystansem. Zostałem przez Zawiszę wprowadzony do domu i przedstawiony jako jego przyjaciel, zachowywała więc pozory, ale tylko tyle.

Ciotka zarządziła, aby posiłki podawano nam o różnych porach, co przyjąłem z ulgą. Lubilem jadać w samotności. Wymuszona rozmowa rujnuje przyjemność, a milczenie niechętnych sobie biesiadników zamienia jedzenie w truciznę. Pani gospodyni była, jak widać, tego samego zdania.

Posiłki przygotowywały służące. Wołano mnie dwa razy dziennie. Początkowo dziewczki przynosiły mi talerze na piętro, ale szybko przekonałem je, że wygodniej będzie, jeśli zjem w kuchni. Liczyłem też na to, że zaprzyjaźnię się z kuchennymi. Takie znajomości zawsze się przydają.

Wbrew zapowiedziom ciotka nie namawiała mnie do zmiany wiary. Przynajmniej nie werbalnie. W każdym pomieszczeniu na moim piętrze wisiał jednak duży drewniany krzyż.

Nie wchodziliśmy sobie w drogę. Większość czasu spędzałem w domu przy pulpicie. Znow chwyciłem za pióro. Wróciłem myślami do dnia, w którym zobaczyłem z pokładu statku gdański port, i zacząłem spisywać dzień po dniu to, co wydarzyło się potem. Z wielką przyjemnością zapełniałem kolejne strony wspomnieniami.

Ciotka nie wiodła bynajmniej samotniczego trybu życia. Od rana do wieczora przebywała w towarzystwie. Najpierw służących, którym chciała okazywać surowość, a w rzeczywistości traktowała jak córki: wszystko ją w nich złościło i wszystko im wybaczała. A potem spotykała się ze swoimi kumami, wdowami, by siadać na przedprożu lub w salonie, jeśli była brzydka pogoda, i wszystkich obgadywać.

W pierwszych dniach po powrocie z Aragonii z bijącym sercem wchodziłem w ulicę Żydowską. Przecież dom Fatimy dzieliła od Maius zaledwie jedna kamienica. Pomny tego, co powiedziała Fatima, pilnowałem, by nie natknąć się na Miriam ani na Jordana. Przez kilka tygodni mi się to udawało, aż któregoś dnia usłyszałem dziecięcy krzyk, jakiś malec zawołał: Aaron, Aaron!, i rzucił się przez ulicę w moją stronę. To był Józio. Wskoczył mi na ręce, objął ramionami i trzymał mocno. Nie miałem innego wyjścia, jak przejść przez ulicę i oddać chłopca Miriam. Wziąłem ją za ręce, miała ciepłe dłonie, mocno mnie uściśnęła. Nie wytrzymałem i polały mi się łzy. Miriam wylała już ich tyle, że tylko westchnęła. Pochyliła głowę, a ja ucałowałem ją w chustę. Rozstaliśmy się bez słowa.

Potem spotkałem ją jeszcze kilka razy. Wymienialiśmy zawsze powitania, ale nie przystawaliśmy, by porozmawiać. Wiedziałem, że nie pojawiły się żadne nowe wieści w sprawie Zoe.

Swaci od Osmana zaniechali nachodzenia Fatimy; wydaje się, że stary bankier znalazł dla syna inną narzeczoną, co mnie nie dziwiło. Ale i tak ukrywaliśmy naszą

zażyłość w obawie przed reakcją gminy.

Minęła kolejna zima w Krakowie.

Nie dostałem listów z Aragonii. Upływały tygodnie, miesiące, a żadna wieść ani dobra, ani zła nie nadchodziła. Gubiłem się w domysłach.

Wreszcie któregoś dnia, po wielu miesiącach od mojego powrotu z Aragonii, w domu ciotki zjawili się wyczekiwani goście: brat Mikołaj i Zawisza. Po obfitym posiłku zjedzonym w towarzystwie ciotki Barbary oznajmili, że zabierają mnie do Tęczyna, a stamtąd – prosto na Litwę.

Tęczyn, wiosna roku Pańskiego 1394

W drodze do Tęczyna, dzięki opowieściom brata Mikołaja, poznałem wreszcie w szczegółach historię człowieka, którego pojmanie, uwięzienie czy nawet stracenie dla dobra ojczyzny stało się obsesją Zawiszy.

Pierwszym przedstawicielem rodziny Kmitów, który wszedł do elity władzy, był Jan Kmita z Wiśnicza. Stało się to za sprawą Kazimierza Wielkiego. Król szukał szerokiego poparcia społecznego dla swoich reform i za namową doradców zwrócił uwagę na poważanego wśród Małopolan rycerza Jana Kmitę, oddając mu starostwo sieradzkie. Potem nadał mu jeszcze starostwo ruskie. Ale Kmita nie utrzymał go długo, bo następcą na tronie polskim, Ludwik Andegaweński, zmierzając do oderwania Rusi od Polski i przyłączenia jej do Węgier, namiestnikiem Rusi uczynił księcia opolskiego Władysława. Mimo to Jan Kmita podjął współpracę z nowym władcą i szybko awansował do grona najbardziej zaufanych dworu andegaweńskiego.

Przejawem tych bliskich relacji było mianowanie Kmity na urząd starosty krakowskiego. Karierę Jana Kmity przerwała jego śmierć w grudniu 1376 roku. Nastąpiła ona w wyniku zamieszek, do jakich doszło w Krakowie pomiędzy Węgrami ze służby Elżbiety Łokietkówny a polskim rycerzami i mieszczanami. Jan Kmita jako starosta podjął się uśmierzenia niegroźnych rozruchów, których początek dało zajęcie przez Węgrów wozu z sianem należącym do polskiego rycerza. Kmita ugodzony przypadkową strzałą zmarł. Towarzyszący mu polscy rycerze i mieszczanie dali upust niechęci do panoszących się w Krakowie obcokrajowców i dokonali rzezi Węgrów.

Śmierć Jana, wielkiego zwolennika Andegawenów, sprawiła, że rodzinie Kmitów groziło wyeliminowanie z elity władzy. Elżbieta Łokietkówna, aby załagodzić antywęgierskie nastroje i zaspokoić ambicję rodziny Kmitów, których wsparcia potrzebowała, powierzyła synowi zmarłego, Piotrowi Kmicie, starostwo łęczyckie. O ile Jan Kmita został zapamiętany jako *miles strennus et omni virtute repletus*, a więc rycerz dzielny i szlachetny, o tyle jego syn tych cech nie odziedziczył. Kluczem do jego kariery nie były osobiste zasługi ani atuty, ale nieszczęśliwa śmierć wiernego Andegawenom ojca.

Powierzenie Piotrowi Kmicie starostwa łęczyckiego, ważnego dla Polski z uwagi na położenie tej ziemi – swoistego pomostu między niespokojną Wielkopolską

a silną politycznie Małopolską – podsycało w nim polityczne ambicje, znacznie wykraczające poza jego możliwości.

Starostą okazał się nieudolnym. Był młody, niedoświadczony i pozbawiony politycznych talentów. Na to nałożyły się wyjazd Elżbiety Łokietkówny z kraju, nieobecność króla i złożenie władzy w ręce panów krakowskich; wśród nich Kmita nie miał już protektora, który zadbałby o jego karierę. To wszystko sprawiło, że został usunięty w polityczny cień. Jawna wyższość panów krakowskich, wśród których prym wiódł Jan z Tęczyna, pozostawiła w nim głęboki uraz na zawsze. Niechęć i upokorzenie przerodziły się we wrogość.

Ale umiał ją na tyle dobrze ukryć, że w okresie bezkrólewia, po krótkotrwałym wspieraniu Zygmunta Luksemburskiego, przystąpił do ugrupowania panów krakowskich, tych samych, którzy odsunęli go od wpływów. Kmita odgrywał w nim początkowo trzeciorzędą rolę, by po krótkim czasie awansować i objąć ważną funkcję kasztelana lubelskiego. Popierał mariaż Jadwigi z Jagiełłą, a co za tym idzie, unię polsko-litewską. Dlaczego? Projekt ten zakładał wspólnotę interesów Polski i Litwy na terenie Rusi i dążenie do przywrócenia tej ziemi Polsce. Piotr Kmita chciał powiększyć posiadany tam majątek. Jego kasztelania zyskała na znaczeniu – była to najbardziej na wschód wysunięta część Małopolski. Jagiełło musiał budować własne stronnictwo przez cierpliwe rozbijanie obozu Małopolan. Najlepiej służyło do tego rozdawanie awansów i nadania ziemi.

Piotr Kmita, dzierżący jedno z wyższych stanowisk w hierarchii urzędniczej, a zarazem przedstawiciel „młodego” możnowładztwa, zwrócił na siebie uwagę Jagiełły już w pierwszych latach jego rządów. Król, obdarzony wyjątkową intuicją polityczną, dostrzegł w nim potencjalnego sojusznika. Nadał mu spore obszary ziemi sanockiej. Kmita, chowający w sercu dawną urazę za upokorzenia doznane od Małopolan, ochoczo skierował się w stronę budowanego obozu królewskiego. Jako nowy sojusznik Jagiełły zapewne chętnie przyczyniłby się do osłabienia pozycji Jana z Tęczyna. Klęska siatki wywiadowczej znakomicie by się temu przysłużyła.

Tymczasem Krzyżacy szykowali wyprawę wojenną na Litwę, jedną z największych w dziejach. Polski król zdecydował, że Polacy udzielą Litwinom wsparcia. Pod Wilno miało pójść trochę polskiego wojska, by wspomagać obrońców, atakować z zasadzek krzyżackich rejdowników, uderzać na tabory i dostawy zaopatrzenia.

Kilka innych oddziałów otrzymało zadanie najechania najdalej na wschód wysuniętych krzyżackich komturii, aby zmusić Teutonów do zatrzymania na miejscu przynajmniej części wojska. Na dowódcę jednej z takich wypraw wyznaczono Zawiszę.

W Tęczynie spodziewano się około dwudziestu najemników, rycerzy śląskich, którzy bili się już wcześniej po polskiej stronie. Zawisza dokonał werbunku kilka miesięcy temu, teraz jako przyszły dowódca miał zawrzeć z nimi pisemną umowę potwierdzającą słowne ustalenia.

Sulima zapowiedział, że to ja będę odpowiedzialny za spisanie stosownego kontraktu, a potem wezmę udział w wyprawie na Wilno. Nie wiedziałem wówczas, co się za tym kryło.

Uspokoił mnie za to, zapewniając, że nie będę musiał spowiadać się przed Janem z Tęczyna ze sprawy statków. Skoro Zawisza to wymyślił, on musi przyjąć mężnie na pierś wszelkie ciosy. Pomyślałem sobie, że to iście rycerska postawa. Całkowity brak wieści z Aragonii skłaniał do snucia jak najczarniejszych przypuszczeń.

Zawiszy często powierzano nabór najemników. Mimo młodego wieku sprawdził się już jako dowódca, dobrze się bił, śmierci nie szukał, do tego był dla żołnierzy sprawiedliwy, uczciwie im płacił, więc chętnie pod nim służyli.

Spotkanie z rycerzami, przegląd ryszunku i podpisanie kontraktu miały się odbyć na zamku w Tęczynie; to podnosiło prestiż rozmów i dawało Zawiszy pole do ewentualnych negocjacji. Litewska misja była tajna i starosta zapowiedział, że nie będzie obecny przy rozmowach. Był odpowiedzialny nie tylko za wywiad, ale także, a właściwie przede wszystkim, za politykę prowadzoną między Polską a państwem zakonnym. Lepiej, aby tej rangi urzędnik państwowy nie uczestniczył w rozmowach z rycerzami, którzy mieli zostać wykorzystani przeciwko Krzyżakom. Dlatego właśnie sięgano w takich przypadkach po najemników: w razie niewoli można wszystkiemu zaprzeczyć i utrzymywać, że to nie Jagiełłowi

zbrojni.



Spotkanie z przywódcami najemników odbyło się w jednej z mniejszych sal reprezentacyjnych tęczyńskiego zamku. Po jednej stronie stołu zasiedli Zawisza i Sambor, a po drugiej trzech śląscy rycerze. Mnie wyznaczono miejsce u szczytu. Miałem przysłuchiwać się rozmowom, a po ich zakończeniu sporządzić krótką umowę. Jeden z Niemców, niegdyś ksiądz, znał łacinę na tyle, by móc zagwarantować najemnikom, że pismo zawiera dokładnie to, co ustalono. Jedyne cel i miejsce wyprawy zachowano w tajemnicy.

Oddział składał się z sześciu Polaków, ośmiu Niemców i siedmiu Czechów. Każdą z grup reprezentował przy stole jeden przedstawiciel.

Polaka i Niemca Zawisza znał już wcześniej. To dobrzy, karni najemnicy; przywieźli ze sobą zaufanych ludzi. Jedyne Czech zjawił się przy polskim stole werbunkowym po raz pierwszy.

Sulima kochał Czechów jak psy dziada. Czesi mieli w Europie opinią najlepszych najemników, przez co zawsze stawiali wysokie żądania. Zawisza miał inne zdanie na ich temat. Nikt nie dotrzymywał im pola w walce wręcz, na topory, noże czy miecze, to prawda, ale byli ociężali na umyśle i słabo walczyli konno. Z obcych wolał angażować Niemców, bo ci solidniej wykonywali pracę, za którą się im płaciło.

Czesi mieli jednakowoż tę przewagę nad innymi nacjami, że z racji częstej służby dysponowali każdym rodzajem broni i wojennego sprzętu. Tym razem to oni mieli zaopatrzyć oddział Zawiszy w specjalne wozy przydatne w lasach: wąskie, lekkie, proste do demontażu i powtórnego złożenia, a do tego wyposażone w ruchomy dyszel, który ułatwiał prowadzenie wozu na krętych, wąskich, leśnych ścieżynach. Polecono im dostarczyć sześć takich wozów, po dwa na każdy oddział.

Najemnicy wyglądali skromnie: w zwykłych kaftanach, wełnianych nogawicach i ciężkich buciorach niczym nie różnili się od zamkowej czeladzi. Aż trudno było uwierzyć, że to szlachta. Wszyscy ci ludzie zajmowali się służbą wojskową, ale jak trzeba było, szli w pole orać i siać razem z poddanymi chłopami. Mieszkali w zwykłych chatach i w ubiorze codziennym czy zwyczajach niewiele się od nich różnili. Może tyle, że jedli więcej mięsa, mieli drogiego konia i prawdziwą broń.

Młodszy synowie z niezamożnych szlacheckich rodzin mieli do wyboru tylko dwie kariery: kapłaństwo albo wojaczkę. Wielu zostawało najemnikami. Rycerskie rzemiosło pozwalało im trzymać głowy wyżej niż kupcy, bogaci chłopcy, a nawet duchowni.

Okazji do zarobku na Śląsku nie brakowało. Karawany kupieckie lub zamożniejsi kupcy podróżujący w tamte strony nie mogli się obyć bez zbrojnej ochrony. Plaga bandytyzmu przyszła na Śląsk z krain niemieckich. Cała Rzesza to jedna wielka

jaskinia zbójców, jedna łotrownia, powtarzał zakonnik. Książęta, grafowie, szlachta, kto tylko miał konia i jakąś broń, wyruszał na łup, plądrował, palił miasta, miasteczka i wsie.

Najemnicy, którzy przybyli do Tęczyna, przez cały rok osłaniali w podróżach kupców hanzeatyckich idących na Śląsk z Rzeszy albo służyli jako najemna straż w dużych miastach, głównie we Wrocławiu. Ale nie tylko, bo na czas jarmarków przenosili się do Budziszyna czy Brzegu, by pilnować porządku na gościńcach. Jednak gdy tylko nadarzyła się okazja, wszyscy bez wahania zaciągali się na wojenne wyprawy. Na wojnie oprócz żołdu można było liczyć na bogate łupy.

Zawisza nazywał ich wszystkich Ślązakami. I on, i oni, mówił, wszyscy opowiadali się za powrotem Śląska do polskiej Korony. Ziemia ta od zarania dziejów należała do polskich Piastów. Dopiero sto lat temu wskutek podłej zdrady książąt poddała się obcym władcom. Teraz miała ją w swych granicach Korona Czeska. Ale Polska jak matka – jest cierpliwa. Śląsk będzie polski.

Niemcy napływali na Śląsk jeszcze za panowania książąt piastowskich. Po przejściu krainy pod panowanie Korony Czeskiej proces nadal trwał, a nawet się nasilił. Niemcy przybywali z Górnych Łużyc, Miśni, Turyngii. Szli też osadnicy z południa, z Czech i Moraw. Rycerze przybywający na Śląsk to w większości ludzie ubodzy, o niskim statusie społecznym, szukający w nowej ojczyźnie poprawy losu.

Teraz, jak twierdził brat Mikołaj, polskich rycerzy na Śląsku była tylko jedna trzecia, połowa rycerstwa to Niemcy, a reszta – Czesi. Żyli ze sobą w zgodzie, razem chodzili do kościołów, upijali się w karczmach i byli grzebani w śląskiej ziemi z takim samym ceremoniałem.

Język także nie stanowił przeszkody. Większość polskich rycerzy uczyła się niemieckiego, a wielu przybyszów – polskiego, zwłaszcza że niejeden szukał okazji do wżenienia się w polskie rodziny, dążąc też w ten sposób do społecznego awansu.

Umowa obejmowała wszystkich dwudziestu jeden rycerzy. Zgodnie z warunkami kontraktu każdy z nich miał dostać cztery grzywny żołdu za miesiąc służby. Założono wstępnie czas ekspedycji na trzy miesiące, z możliwością przedłużenia o kolejne trzy. Wszystkich najemników wymieniono w kontrakcie z imienia. Pozostawało jedynie sporządzenie inwentarza sprzętu bojowego, obozowego oraz ustalenie rekompensat za wszelkie straty poniesione w trakcie wyprawy.

Wyszliśmy na zamkowy dziedziniec, gdzie czekali już pozostali żołdacy.

Polacy znali Zawiszę, witali się z nim wesołymi okrzykami i poklepywaniem po plecach. Niemcy uprzejmie schylali głowy przed dowódcą, bo dawno wyzbyli się dumy; gotowi byli służyć nawet polskiemu chłopu, jeśliby dobrze zapłacił. Jedynie przywódca Czechów, żyłasty, długonogi, wystający ponad wszystkich jak wystrugany z kija, rozglądał się zadziornie.

Najpierw kazano mi spisać wszystkie wierzchowce według klasy, rozmiaru i maści. Na życzenie Zawiszy zrezygnowano z podjezdaków i każdy najemnik stawiał się tylko z jednym koniem.

Następnie szły zbroje i hełmy, które spoczywały na wozach. A potem miecze, kopie, topory i kusze, w które zgodnie z zaleceniem Zawiszy każdy najemnik miał się wyposażyć. Trzech rycerzy, którzy siedzieli z nami wcześniej przy stole, przystąpiło w imieniu wszystkich do negocjowania kwot, jakie zostaną wypłacone w przypadku utraty lub zniszczenia każdej sztuki. Ostatecznie zgodzono się na następujące rekompensaty: za konia ustalono kwotę 4 grzywien (polecono mi zapisać, że większość przybyła na koniach „średnich”); za rząd koński łącznie 2 grzywny (sprawdzanie, czy był on wykonany z odpowiedniej skóry, zajęło nam najwięcej czasu; przeglądano kielzno, ogłowie i wodze, siodło, czaprak, podpiersie i podogonie); za miecze 24 grosze; za topory 12 groszy; za złamanie w walce kopii (drzewca) 12 groszy; za utratę kopii (razem z grotem; kopia była jednym z wymaganych elementów uzbrojenia; Zawisza zażądał krótszych kopii, nie dłuższych niż 4 łokcie) 15 groszy; za kuszę 3 grzywny (ustalono najpierw 2 grzywny, ale Czesi podnieśli protest, bo przywieźli ze sobą drogie kusze ze stalowymi łuczyskami); za hełm garnczkowy i szłom 1 grzywna; za przyłbicę 3 grzywny (tylko trzech Polaków miało przyłbice); kirysy 12 groszy; wszystkie pozostałe elementy zbroi, a więc kolczuga, napierśnik, szorca, osłony nóg, rękawice i naręczaki wyceniono łącznie na 12 grzywien; tarcze – 20 groszy.

Umowa zobowiązywała Zawiszę do wyrównania strat poniesionych w wyprawie dopiero po zakończeniu służby. W przypadku śmierci najemnika jego rodzinie, za pośrednictwem któregoś z towarzyszy, miała zostać wypłacona kwota dwudziestu grzywien; do tego wszelkie rekompensaty oraz żołd w pełnej wysokości, jakby rycerz służył do końca misji.

Ten ostatni punkt najemnicy zawsze negocjują najdłużej i najostrzej. I nie chodzi tu wcale o jakąś szczególną troskę o byt rodziny, ale o to, by dowódcy przez wzgląd na koszty szanowali ich życie.

Zawisza nie zgodził się na ujawnienie miejsca wykonywania służby, co najemnicy przyjęli ze zdziwieniem, ale nie protestowali. Jeden z nich, Polak, w imieniu całego oddziału złożył koślawy podpis pod dokumentem.

Wypłatę wszystkich poczynionych kontraktem zobowiązań poręczył podpisem Jan z Tęczyna. Ów osobny dokument wręczono jednemu z Polaków, do którego Zawisza miał pełne zaufanie, ten zaś złożył uroczystą przysięgę, że nie ujawni jego treści, chyba że polska strona nie dotrzyma warunków. Po wypłaceniu żołdu i innych powinności dokument miał zostać zniszczony.

Po kilku godzinach negocjacji wszyscy zasiedli wreszcie do jadła. Służący podali chleb, wędliny i sery.

Podczas przeglądu uzbrojenia najwięcej do powiedzenia miał dowódca Czechów.

Przybył najlepiej uzbrojony i jako jedyny przyprowadził dwa konie wbrew zaleceniowi Zawiszy, by brać jednego. Coś z tym trzeba będzie zrobić. Z tego, jak łytał na Zawiszę, wyglądało, że nie był zachwycony, iż odda się pod dowództwo takiego młokosa. Zawisza również bacznie mu się przyglądał. Znałem to spojrzenie.

W trakcie wieczerzy, gdy wszyscy mieli już mocno w czubach, Zawisza nagle zwrócił się do mnie po polsku, głośno, tak aby wszyscy słyszeli:

– Jako Aragończyk nie wiesz, że na Śląsku są tylko trzy honorowe sposoby wzbogacenia się: służba na dworze, dobry ożenek albo wojna. A Czesi – tu uderzył swoim pucharem w naczynie wysokiego Czecha tak mocno, że wino chlusnęło na stół – są za głupi na służbę na dworze, za szpetni na dobry ożenek, jedynie w machaniu toporem nie mają sobie równych, dlatego są tu z nami. Zdrowie naszych toporników!

Czech potoczył wściekłym wzrokiem po twarzach biesiadników, a potem wstał gwałtownie od stołu, jakby chciał ruszać do bójki. Był już jednak zbyt pijany, więc tylko zatoczył się do tyłu i runął na plecy. Niemcy, śmiejąc się i ciągnąc go za ramiona, usadzili towarzysza z powrotem na ławie. Siedzący obok kompani na zmianę napełniali jego czarę winem, aż ten oparł policzek na blacie stołu i zasnął ciężkim pijackim snem.

Rankiem następnego dnia Zawisza i brat Mikołaj zostali wezwani do starosty Jana z Tęczyna. Nie miał dla nich dobrych wieści.

Komtur brodnicki utrzymywał przewagę na wszystkich frontach. Wcale nie zależało mu na zwycięstwie Opolczyka. Chciał, by wojna trwała jak najdłużej, bo wyczerpywała obie strony. Wspierał Opolczyka tylko wtedy, gdy Polacy zyskiwali przewagę. Krzyżacy toczyli wojnę z Polską rękami Opolczyka i jeszcze świetnie na tym zarabiali. Karol von Lichtenstein tryumfował! Czuł się pewnie i coraz chętniej pokazywał zbójce oblicze. Szalał przy granicy, urządzał prowokacje, siał strach i chaos. Mówiło się, że przytroczył do siodła pęk sznurów, na których osobiście wieszał chłopów w napadanych wsiach. Działał niewątpliwie jako narzędzie krzyżackiej polityki, ale dużo w tym było osobistego okrucieństwa, zamiłowania do przelewu krwi, dużo nienawiści, która nie wiadomo gdzie miała tak obfite źródło.

Z siatki kupców zostało już tylko dwóch ludzi. Za ledwie krok dzielił polski wywiad od kompromitacji i całkowitej klęski.

Zawisza i brat Mikołaj zastanawiali się, czy Jan z Tęczyna spełni swoją zapowiedź i zrezygnuje z urzędów. Teraz potrzebował królewskiego zaufania i pełnej swobody w prowadzeniu wywiadowczej polityki, jak nigdy przedtem. Mówiło się, że otrzymał i jedno, i drugie.

Starosta, zobaczywszy w progu młodego rycerza wraz z bratem Mikołajem, polecił wszystkim służącym opuścić komnatę.

Po chłodnym powitaniu Zawisza został poproszony o szczegółową relację z wydarzeń w Aragonii.

O ile w pierwszych miesiącach po powrocie Aarona spodziewano się dobrych wieści z Lewantu, o tyle u schyłku zimy niecierpliwość związana z brakiem jakichkolwiek nowin z Hiszpanii przeszła w irytację, a nadzieja w rozczarowanie. Wiosną Jan z Tęczyna uznał, że operacja zakończyła się porażką. Posłano kilka listów do Arandy w tej sprawie. Ostatni w bardzo ostrym tonie.

Tęczyński słuchał blisko godzinę, prawie Zawiszy nie przerywając. Nie komentował opowieści i nie zadawał pytań. Uznał, że od samego początku korsarski plan skazany był na niepowodzenie. Nigdzie w cywilizowanym świecie piraci ani korsarze nie operują u wybrzeży, które na ogół są dobrze patrolowane.

A wyspa Tabarca leżała zbyt blisko brzegu. To może była piracka przystań, ale dawno temu. Teraz świat się zmienił, statki są szybsze, morza znacznie lepiej rozpoznane.

Starosta długo wpatrywał się w milczeniu w Zawiszę, po czym rzekł:

– Lepiej będzie, jeśli znikniesz na parę miesięcy z Polski i z oczu Kmity. On już wie... Kazałem ci już dawno zaprzestać węszenia. Palcem nie kiwnę, jeśli napytasz sobie kłopotów. A jesteś bardzo blisko.

Zawisza milczał.

– Masz coś do powiedzenia na ten temat?

– Tak, panie. Mamy nowe dowody przeciwko Kmicie.

Starosta cmoknął na znak zniecierpliwienia.

– To poważna sprawa – zaczął Zawisza. – Obciąża też Kurowskiego... – Obrócił głowę w stronę brata Mikołaja.

Zakonnik zwięźle i rzeczowo zrelacjonował sprawę fałszerstwa kancelaryjnego. Zamierzał pokazać staroście dokumenty, ale ten pokręcił głową na znak, że nie chce ich oglądać.

– Skąd pewność, że to fałszerstwo? – zapytał Tęczyński.

– Dokument został wystawiony szesnastego listopada tysiąc dwieście osiemdziesiątego szóstego roku – podjął skwapliwie zakonnik – a jak wiadomo, ksiązę Krakowa Bolesław Wstydlivy zmarł siedem lat wcześniej. Ponadto nie zgadza się tytułatura władcy. Do tego kilku świadków na dokumencie nie pełniło w tamtym czasie tych urzędów. Sprawdziłem – zapewnił.

Starosta ciężko westchnął.

– Jeśli to prawda, Kmita odpowie za to... I za inne grzechy, których ma za kołnierzem bez liku... Jak żebrak wszy! Ale nalegam, żeby go teraz poniechać.

– Pozostało dwóch kupców. Wciąż możemy ich ocalić... jeszcze możemy – upierał się Zawisza.

– Co proponujesz? Mam aresztować Kmitę? Najbliższego doradcę króla? Chcesz wojny domowej?

– Tak! – zawołał Zawisza. – Póki jeszcze można! Kmita przechodzi do obozu króla. Uderza w ciebie, panie, śmierć ostatniego kupca cię pograży! Krzyżacy mają szpiega w otoczeniu króla, a my nic nie zrobiliśmy. Wojna z Opolczykiem się przeciąga. Wygrywają Krzyżacy, choć nie wyszli w pole. Mają Dobrzyń i pograżyli nas w wydatkach. To Malbork decyduje o przebiegu tej wojny. To woda na młyn Kmity. Przejmie starostwo, jeśli ty złożysz urząd, panie, jak zapowiadałeś. Kmita stanie na czele polskiego wywiadu. Tak się może stać! Wówczas żadna jego podłość nie wyjdzie na światło dzienne, bo któż ją ujawni, jeśli on przejmie wszystko. Trzeba być...

– ...ślepy, żeby tego nie widzieć... – dokończył starosta. – Za wiele sobie pozwalasz!

- Panie... – Zawisza skłonił głowę. – Nie ja to powiedziałem.
- Dość! Zmagam się z Kmitą, ale oskarżenie o szpiegowanie na rzecz Krzyżaków... nawet za cenę awansu... Nie, to nie jest możliwe. – Dość! – powtórzył Tęczyński. – Zostaw w spokoju tego człowieka.
- Zawisza nabrał głęboko powietrza, a potem odrzekł:
- Panie, uczynię, jak każesz.
- Starosta kiwnął głową z zadowoleniem.
- Jak przebiega obserwacja Tomasza?
- Żaden nowy trop nie został odkryty. Ostatecznie umieszczono w jego otoczeniu nie muzykanta, ale rymownika. Nazywa się Słota. Przeclaw Słota.
- To ubogi szlachcic z biednej rodziny rycerskiej z Gosławic w ziemi łączyckiej – powiedział zakonnik. – Musiał opuścić rodzinne strony, bo go bieda przegnała. Szukał poprawy losu w służbie u jakiegoś możnowładcy. Wywiad wziął go na utrzymanie. Na razie, do czasu aż stanie na nogi. Posłaliśmy go do Sadłowa. Tomasz jest bardzo rozrzutnym panem, utrzymuje liczny dwór i taki trefniś mu się przyda. – Zakonnik uśmiechnął się, po czym dodał: – Cały czas coś skrobie na papierze. Pokazał mi śpiewnik, jaki sobie zrobił. Wycięte w serduszka i szyte kartki papieru, a na nich na każdej stronie pioseneczka o miłości.
- Chcę, żebyś posłał do Sadłowa dodatkowo kilku łowców. Potrzebni są najlepsi ludzie. Nie dostaję żadnych raportów.
- Bo tam nic się nie dzieje... – rzekł Zawisza. – Tomasz jako starosta inowrocławski przyprowadził królowi na wyprawę przeciwko Opolczykowi dwadzieścia kopii. Czy tak postępuje zdrajca?
- Dokładnie w ten sposób. – Tęczyński się uśmiechnął. – Dymitr z Goraja, trzy razy bogatszy, wystawił tylko dziewięć. Tak postępuje człowiek sprawiedliwy.



- Po wyjściu od Tęczyńskiego brat Mikołaj rzekł:
- Straszna mi się myśl w głowie łągnie... Że król chce się pozbyć Tęczyńskiego... Z Kmitą to uknuli, albo niech będzie, że z Tomaszem! Ale za którym byśmy zającem nie pognali, to na jedno wyjdzie... Bo to Jagiełło za sznurki pociąga... Czyż nie wymógł na staroście, że się z urzędu poda, jak padnie siatka?
- Podobno Tęczyński się honorem uniósł i sam... – mruknął Zawisza.
- Podobno! Podobno! Skąd wiesz, jak było! Mówią, że ziarno niezgody między Jagiełłą a Tęczyńskim już dawno posiane. Mówię ci, jest coś na rzeczy, sam wiesz, co gadają. Jagiełło sprytny Litwin, swoje ugra. Może to rękami Kmity robić. Albo powtarzam, Tomaszowymi. I to mi nawet bardziej pasuje... Tomasza robi starostą! Dlatego Tęczyński jak wół się upiera przy Tomaszu, może też coś czuje...
- Oszałeliście, bracie Mikołaju! Nie można was zrozumieć.
- Ty jesteś wierny rycerz, to się chwali. Ale mnie Bóg dał inną robotę. Inaczej na

świat patrzę. Dlaczego Tęczyński każe nam wszystkie siły skupić tam, gdzie nic nie ma? Dlaczego kupców nie pozwala ostrzec?

– Panie, pozwól mi pójść pod Wilno – prosił Zawisza, który wrócił do starosty zaraz po rozmowie z bratem Mikołajem.

– Nie mnie zmieniać rozkazy – odrzekł Jan z Tęczyna.

– A komu, jeśli nie tobie, panie! Skoro nie można komtura złamać długami, trzeba go porwać. Albo zabić. Nie możemy pozwolić mu dłużej działać. Tylko po to chcę się wyprawić na Litwę – mówił Zawisza podniesionym głosem. – Tam postaramy się dopaść Lichtensteina. Ma pod swoją chorągwią prowadzić jakichś rycerzy, gości z Zachodu, oraz kilku braci zakonnych i knechtów z Brodnicy.

Wedle informacji, jakie docierały na Wawel, krzyżacka ekspedycja na Wilno z pomocą rycerzy i łuczników angielskich oraz wielu znamienitych rycerzy z Francji była największą rejsą podjętą dotąd przez zakon.

– Król chce podpalić pogranicze – oznajmił Tęczyński stanowczym tonem. – Ma iść kilka oddziałów, ty poprowadzisz jeden z nich. Takie dostałem dla ciebie rozkazy.

– To na nic! Krzyżacy się nie cofną, a my tylko ludzi niewinnych natniemy i kilka stodół puścimy z ogniem. To robota dobra dla zbójów. Pozwól panie. – Nalegał Sulimczyk. – Pójdę za chorągwią Lichtensteina ze swoimi ludźmi i będę wyglądał okazji. Wierzę, że ją znajdę. Wolałbym go żywego, ale jak się nie da, to z jego głowy też się ucieszę. Sprowadziłem wyborynych najemników. Najlepszych!

– Najpierw wykonaj rozkazy!

– Jeśli nie ruszę od razu, to go nie dojdę.

– Jak chcesz go tam znaleźć?

– Dam sobie radę.

– Od kiedy to przygotowywałeś?

Żrenice Tęczyńskiego poczęły nerwowo błyskać.

– Pojmanie Karola von Lichtensteina na rejsie – nie ustępował Zawisza – to ostatnia szansa, żeby przerwać to szaleństwo, ocalić z siatki to, co zostało.

– Najemnicy na Litwę nie pójda. Podniosą bunt.

– W kontrakcie nie ma wzmianki o...

– Kontrakt! – wykrzyknął starosta. – Nie bądź głupcem! Co zrobisz sam przeciwko dwudziestu najemnikom? Jak ci ostrze do szyi przycisną?

– Dam sobie radę – powtórzył rycerz.

– Poblądzicie w puszczy. Nie wiesz, co to litewskie lasy. Byłeś na Litwie, ale nie dowodziłeś! Najemnicy też nieobyci. Zginiecie.

– Jarocho wezmę.

Zapadło milczenie. Pierwszy odezwał się Zawisza:

– Idzie też Zygryd...

Starosta nerwowo potrząsnął głową.

– Zygryd fechtunku uczył się od samego Liechtenauera. Nie jesteś gotów, by mu dać pola. Musisz się jeszcze dużo nauczyć. Wierz mi, bo swoje lata mam i niejednego rycerza chowałem. Zygryd i komtur Lichtenstein na turniej cię prowokują, żeby upokorzyć przed królową i całym dworem. Upokorzyć ciebie i mnie!

Zawisza opuścił powieki i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Daj mi, panie, na Litwie to sprawdzić...

Starosta nie odpowiedział. Wyszedł z komnaty, nie zamykając za sobą drzwi.

Litwa, lato roku Pańskiego 1394

Dla polskiego wywiadu nie było tajemnicą, że Krzyżacy dążyli do połączenia zakonnych Prus i Inflant, aby stworzyć wielkie mocarstwo nadbałtyckie, sięgające od Zatoki Fińskiej aż po Odrę. W tym celu musieli podbić Żmudź, rozdzielając oba terytoria, oraz wciągnąć w obszar swoich wpływów Litwę.

Krzyżacy traktowali chrzest Jagiełły i Litwy jako szkodliwy dla chrześcijaństwa przejaw obłudy. Z przerażeniem zrozumieli, że tracą wraz z nim rację dla swego istnienia, że usuwa się im grunt pod nogami.

Aby usprawiedliwić kolejne wojny, wydobyto z zakonnego archiwum darowizny Mendoga i przywileje cesarskie dowodzące rzekomo, iż Krzyżacy mają prawo walczyć z Litwą, nawet przyodzianą w chrześcijańskie szaty, bo otrzymali Żmudź w nadaniu od króla Mendoga i teraz zbrojnie domagają się zwrotu tego, co im się prawnie należy.

Taka propaganda miała znaczenie ze względu na stanowisko papieżstwa i pomoc udzielaną Krzyżakom przez chrześcijański Zachód w postaci pieniędzy i oddziałów zachodniego rycerstwa.

Rejzy jedna za drugą pustoszyły litewskie ziemie.

W lipcu 1393 roku w Malborku rażony nagłym atakiem gorączki zmarł wielki mistrz Konrad von Wallenrode, co jedynie na krótki czas zahamowało działania wojenne. Największe ich nasilenie nastąpiło zaraz potem. W połowie sierpnia 1393 roku wyruszyły wojska krzyżackie z gośćmi z Niemiec, których prowadził hrabia Wirtembergii Eberhard III Łagodny. Błogosławieni niesionymi chorągwiami świętego Jerzego i Najświętszej Maryi Panny Krzyżacy i ich goście pustoszyli żmudzkie ziemie ogniem i mieczem. Palono wsie, rabowano konie i bydło. Wzięto do niewoli pół tysiąca jeńców, a drugie tyle ludzi wyrżnięto.

Trzydziestego listopada 1393 roku na wielkiego mistrza wybrano Konrada von Jungingena i wojna nabrała jeszcze żywszego tempa. W styczniu i lutym 1394 roku wielki marszałek Werner von Tettingen na czele wojska z Prus Dolnych, wspomaganego rycerzami z Zachodu, najechał okolice Grodna, Nowogródka, Lidy i Merezca, paląc, mordując i uprowadzając wielu jeńców. Wiosną 1394 roku komtur bałgijski Konrad, hrabia von Kyburg, grabił ziemię drohicką. W tym samym czasie, prowadząc gościnne rycerstwo, na Litwę wyprawił się wójt sambijski Ulryk von Jungingen.

W lipcu 1394 roku wielki mistrz Konrad von Jungingen zarządził kolejną reję, największą w historii. Rejzownicy mieli za zadanie odbudować na dawnym miejscu zamek Ritterswerder i ruszyć stamtąd na Wilno.

Zawisza przedstawił nam swój plan. Wbrew pierwszym rozkazom zamierzał pójść pod Wilno, zając tam pozycję w ukryciu, w pobliżu dróg zaopatrzenia wojsk krzyżackich, i nękać ich oddziały przez zabijanie zakonnych pastuchów, atakowanie taborów idących z żywnością, bronią i paszą. Odcięcie Krzyżaków od zaopatrzenia miało przyspieszyć ich decyzję o odstąpieniu od oblężenia.

Gdyby doszło do walnej bitwy, nasz oddział – tak jak i inne grupki żołnierzy pod polskim dowództwem – miał wyjść z lasu i dołączyć jako jazda do wojsk litewskich, oddając się pod rozkazy Witolda. Dlatego najemnicy ciągnęli ze sobą pełne uzbrojenie i kopie do walki konno.

Zamiast więc ku północy wyruszyliśmy traktem wołyńskim na Lublin. Na jednym z postojów, kilka dni po wyruszeniu z Tęczyna, Zawisza kazał przyprowadzić do namiotu przywódcę polskiej grupy. Zawsze na nocleg rozbijaliśmy jeden duży namiot. Sypiali w nim Zawisza i obaj łowcy. Ja wolałem legowisko przy ognisku; noce były ciepłe, niebo gwiazdziste.

Zyndram, bo tak miał na imię ów szlachcic, pojawił się w namiocie chwilę później. Zawisza gestem zaprosił go, by usiadł na skórach. Sambor nalał mu piwa.

– Zbadałeś nastroje?

– Wedle rozkazów, panie. Powiedziałem ludziom, że wygląda na to, iż idziemy na Litwę, a jeśli tak, to będziemy Krzyżakom krwi puszczać, nie Litwinom.

– Skąd ta pewność?

Zyndram rozłożył ręce.

– Wszyscy cię znają, panie. Ja żem się od razu domyślił, dokąd idziemy. O rejzie też u nas głośno. Pora się zgadza. Pod Wilno ciągniemy, tak?

– Twój pójdą?

– Co by mieli nie iść. Moi pójdą, Niemcy też, bo żołądki godziwy.

– A ten Czech, Milan?

– Jasno nie mówił, ale coś od wczoraj ze swoimi gada zawzięcie.

– Dlaczego od wczoraj?

– Bo ze szlaku też odgadli, dokąd idziemy.

– Niechętny? – spytał Zawisza.

– Tak mi się zda... – odparł Zyndram.

– Sami go polecaliście, Zyndramie.

– Bo on i jego ludzie dobrze się biją toporami...

– Tylko czy te topory podniosą na Teutonów. O to mi chodziło. Zapewniałeś, że tak!

– Gdyby nie ten jeden...

Zawisza spojrzał na łowców.

– To ryzyko brać do puszczy wicherzycieli – orzekł Sambor. – Ale zwolnić ich ze służby też nie możemy. Nikt tu takich wozów nie ma. Bez nich ciężko las przejść.

– Nie możemy – potwierdził Zawisza. – Pójdą do Krzyżaków i za pieniądze wygadają. Poza tym dwudziestu ludzi to i tak mało. Nie pozbędę się teraz siedmiu. Ani wozów.

Odezwał się Zyndram:

– Ale mówię, że reszta słowem nie pisnęła. Ten jeden wicherzy.

– Wracaj do ludzi i czekaj na rozkazy.

Zyndram skłonił lekko głowę i wyszedł z namiotu. Zawisza odwrócił się do mnie.

– Ile płacimy za śmierć?

Zawahałem się z odpowiedzią.

– Mówże, bo zapytam o twoją!

– Dwadzieścia grzywien – odpowiedziałem.

Zawisza skierował wzrok na Sambora.

– Nie wypuścimy Czechów. Trzeba uciszyć tego Milana.

– Polacy zostaną przy nas – rozważał na głos Sambor. – Niemcy nie wiadomo, ale raczej też. Czesi, jak się zbuntują...

– Wybijemy ich? – mruknął Jaroch. – Będzie jatka, będą straty.

– Najemnicy na siebie nie uderzą – orzekł Zawisza. – Polacy i Niemcy staną po naszej stronie, ale nic nie zrobią. Wiedzą, że bijatyka w obozie to koniec wyprawy i brak zarobku. Małym oddziałem nikt w litewskie puszcze nie pójdzie.

– Przepląćmy Czecha – zaproponowałem. Od początku wyprawy traktowali mnie jak równego sobie. To mnie ośmieliło.

– Nie, bo inni się zwiedzą. Sam to rozpowie. – Zawisza wypuścił głośno powietrze.

– Powinienem był lepiej dobrać ludzi.

– Może Zyndram źle się wywiedział i Milan nie będzie wierzgał? – podsunąłem ostrożnie.

– Może – mruknął Zawisza. – To ostatnia okazja, żeby dopaść Lichtensteina. Nie możemy jej zmarnować z powodu jednego psa.

– Mam go pchnąć? – zapytał Jaroch.

– Nie! Będzie bunt.

– Czekamy do...

– Nie – przerwał mu Zawisza. – To trzeba załatwić teraz.

Sambor się skrzywił.

– Są daleko od domu...

– Ale blisko mają do Krzyżaków. To najemnicy. Jak nie będzie porządku, to nas wyrzną w nocy i przejdą do Niemców. – Zawisza wstał. – Pójdiesz do Zyndrama... – wskazał palcem na Sambora – ...i powiesz mu, żeby przygotował ludzi. Potem wezwiesz tu tego Niemca i Milana. Zyndram niech też przyjdzie. Na świadka.

Nie minęła minuta, jak wszyscy trzej wezwani zjawili się w namiocie.

– Zgodnie z przyrzeczeniem chciałem wyjawić wam cel wyprawy... – Zawisza mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Nie mogłem tego zrobić wcześniej, bo sam byłem zobowiązany do zachowania tajemnicy.

Założył ręce za plecy i wodził wzrokiem po twarzach najemników. A ci milczeli.

– Celem wyprawy jest Wilno – oświadczył Zawisza.

– Po czyjej stronie? – spytał Niemiec.

– Po właściwej – odparł Zawisza. – Naszym wrogiem jest zakon krzyżacki i jego goście. Usiądziemy w lesie na ich tyłach i będziemy ich szarpać. A jak Bóg pozwoli, to i może staniemy do bitwy.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Krzyżacy płacą sto marek od jeńca, byle był jakiś znaczący. Za gościa zapłacą i dziesięć razy tyle. – Zawisza zawiesił głos. W oczach najemników pojawiła się chciwość i zaciekawienie. – Będzie kilku sławnych panów burgundzkich: Phillipe de la Tremouille, Loys de Zoenghien, Hugues dit Chatbrulé oraz szambelan księcia Filipa Regnauda de Serqueux. Złapiecie którego, a będziecie tłusto jadać do końca życia.

– Godzi się walczyć u boku pogan? Przeciwno braciom zakonnym Najświętszej Maryi Panny? – Dobięł głos Czecha. – Goście z Europy szukają tu zbawienia, a wy, panie, zapowiadacie na nich łowy jak na zwierzynę.

– Litwini to chrześcijanie, tacy jak ty i ja. Bliżej im do Jezusa Chrystusa niż tym psom z krzyżem na piersiach...

– Błóżniesz, Polaku!

Czech rzucił Zawiszy harde spojrzenie. W ciasnym namiocie wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy.

– Buntujesz się przeciwko dowódcy. – Głos Zawiszy był spokojny, opanowany.

– Sumienia pieniędzmi nie kupisz. Nie podniosę ręki na braci zakonnych, żeby dla pogan była korzyść.

– To chrześcijanie...

– Poganie! – warknął Czech. – W Peruna wierzą, a nie w Jezusa.

– Królowi polskiemu służysz...

– Taki sam poganin jak reszta jego ludu. Woda chrzcielna spłynęła po nim jak po gęsi. Wnętrze ma pogańskie. Ty to wiesz i ja to wiem.

– Odważny jesteś. – Zawisza postąpił krok w stronę Milana i powiódł wzrokiem od jego butów po czubek głowy. – Buntem grozisz! I mojego króla oczerniasz.

W namiocie zapanowała cisza.

– Zapalać pochodnie i wołać wszystkich na plac! – zawołał do Sambora, nie spuszczając wzroku z Czecha. – Bić się będziemy.

Sambor wstał ze skór, ale zwlekał z opuszczeniem namiotu. Czech dostrzegł w tym ostatnią szansę.

- Przystaniemy za dodatkowe dwa grosze na każdy dzień na ziemi litewskiej.
- Ani pół grosza.
- Zerwiemy kontrakt!
- Grozisz przy świadkach – wycedził Zawisza. I wrzasnął na Sambora: – Miałeś ludzi wołać!

Żołnierze podnosili się ze skór rozłożonych przy ogniskach. Ci, którzy już spali, byli budzeni przez towarzyszy.

Sambor gromkim głosem wyjawiał wszystkim cel wyprawy. Perspektywa spędzenia kilku miesięcy w litewskich lasach nie była zachęcająca, ale chyba wszyscy się tego spodziewali. Radosnymi okrzykami przywitano informację, kto po stronie krzyżackiej udaje się na wyprawę. Licznie przybyli rycerze z Zachodu dawali nadzieję na obfite łupy.

A potem łowca oznajmił, że Czech Milan obraził polskiego króla, za co został wyzwany przez dowódcę na pojedynek, i że walka będzie na topory.

Mężczyźni rozstąpili się zaraz, tak by powstał okrągły plac odpowiedni rozmiarem do stoczenia pojedynku. Sambor ujął mnie wtedy za rękę i wprowadził z powrotem do namiotu.

- Zawisza każe ci tu poczekać.
- Dlaczego?
- Podobno jesteś wrażliwy – odpowiedział łowca z uśmiechem. – Głowa otwarta toporem paskudnie wygląda. Zawisza nie chce, żebyś... się rozkleił przed jego najemnikami.

Na zewnątrz najpierw zapanowała długa cisza, jakby się wszyscy spać pokładli, a potem zawiął wiatr i podniósł się gwar. Urywane głosy, dzikie chrapliwe wrzaski niosły się po obozie, coraz głośniejsze, a nad nie wznosił się ciężki dźwięk toporów bijących o tarcze, jeden po drugim, równo jak w kuźni.

Krótko to trwało, bo nagle, jakby padł rozkaz, najemnicy wydali zgodny jęk, trudno było rozpoznać, czy to był jęk zawodu, zdziwienia czy podziwu. Zapadła osobliwa cisza. Inna niż ta pierwsza. Rozległ się w niej straszny dźwięk, którego się nie zapomina, po którym ciarki idą po plecach najtwardszemu wojownikowi. Krótki zgrzyt metalu o kość, zgrzyt stalowego ostrza uwalnianego szarpnięciem z rozłupanej czaszki.



Chwilę później dwóch jeźdźców zajechało do obozu w eskorcie strażników rozstawionych przez Zawiszę wokół obozu. Jeden z przybyszów, o surowym obliczu, ubrany był w luźną kolczugę sięgającą bioder, na głowie zamiast hełmu miał skórzaną czapę; przypasany miecz luźno zwisał mu u boku. Drugi, drobniejszy, miał na głowie zarzucony kaptur, tak że nie widać było jego twarzy.

- Mówią, panie – odezwał się najemnik, który wiódł przybyłych – że do ciebie...

Że z samego Krakowa jadą.

Zawisza obrzucił ich spojrzeniem, a potem zarządził:

– Dawaj ich do namiotu. A mnie przynieście wody. Muszę się obmyć.

Do wnętrza wszedł tylko jeden, ten drobniejszy w kapturze. Drugi żołnierz zajął się końmi.

Po chwili z namiotu wychylił się Zawisza i polecił, by nikt nie wchodził bez wyraźnego przywołania. Rozkaz obowiązywał do świtu, a dotyczył w zasadzie tylko obu łowców, bo reszta i tak spała pod gołym niebem.

Od dziewczyny bił silny zapach mokrej skóry i końskiego potu.

– Trzy dni nie zsiadaliśmy z siodła, żeby cię dogonić – powiedziała cicho Konstancja.

– Myślałem, że o mnie zapomniałaś. Jesteś szalona! Jak mogłaś tu przyjeżdżać?! – Zawisza pochylił się nad wiadrem, by obmyć twarz i ramiona.

– Co miałam robić? Posłaniec nie zastał cię już w Tęczynie.

– To wielkie ryzyko! Ten człowiek, z którym przyjechałaś...

– On nic nie powie. Ryzyko... – Spojrzała Zawiszy w oczy. – Podoba mi się, że tak walczysz o ojczyznę.

Zawisza osuszył się kawałkiem płótna, który zaraz potem cisnął w kąt namiotu.

– Może byś coś powiedział miłego... Skoro tak się dla ciebie narażam?

– Wolę cię w namiocie niż w konfesjonale...

– O! – Roześmiała się cicho. – Dziękuję! Może być.

Zdjęła kaptur, pochyliła głowę, kilka razy mocno nią potrząsnęła, a potem odrzuciła do tyłu. Gęste, lśniące kruczo-czarne pukle opadły jej na ramiona.

– Dawno cię takiej nie widziałem...

– Posłuchaj! Dojdziecie do Ritterswerder. Wojska już tam pewno nie zastaniecie. Ale będzie na was czekał giermek jednego z rycerzy. Nie musisz znać jego imienia. Pójdziecie z nim aż pod Wilno. On tam wróci do swoich, ale będzie wam donosił o wszystkim, co się u nich w obozie dzieje.

– Jak go poznam?

– Sam was wypatrzy. Podasz mu hasło.

– Jakie?

Konstancja podeszła do rycerza, zarzuciła mu ramiona na szyję i powiedziała coś do ucha.

– U obozie króla panuje panika – szeptała potem, nie wypuszczając Zawiszy z objęć. – Wszyscy uważają, że polski wywiad jest znów ślepy i głuchy. Komtur Lichtenstein szaleje i prowokuje przy granicy. Musisz go dopaść!

Zawisza objął ją mocno w pasie i przycisnął do siebie.

– Zrób to, rycerzu! – dodała.

Po tygodniu marszu przez spokojne polskie ziemie wkroczyliśmy na terytorium Litwy; w połowie lipca stanęliśmy w Łucku wołyńskim, gdzie dołączyli do nas trzej litewscy jeźdźcy.

Sambor wyjaśnił mi, że to przewodnicy, opiekunowie. Należeli do specjalnej służby powołanej do pilnowania dróg. Poruszali się na małych, zwinnych koniach, wszyscy trzej nosili stożkowe hełmy i stalowe kolczugi. Poza mieczami mieli drewniane maczugi z głowicami nabitymi metalowymi ćwiekami. Do siodeł przytroczyli okrągłe drewniane tarcze okute żelazem.

Zawisza chwilę z nimi rozmawiał, a potem odesłał do nich Jarocho, który mówił po litewsku i służył za tłumacza.

– Nie wiadomo, czy to prostaczki, czy ichniejsza szlachta – prychnął Zawisza. – Tak im Krzyżacy wojsko przetrzebili, że Witold bojarem robi byle chłopca.

Przemierzając Litwę zadziwiająco dobrze utrzymanymi drogami, mostami, brodami, dotarliśmy do Grodna, a stamtąd, po jednodniowym odpoczynku, ruszyliśmy do Merecza.

Wielki obszar między Grodnem a Mereczem porastała zwarta puszcza. Ogromna, czarna, dzika. Mijaliśmy niezliczone jeziora, bagna i torfowiska. Mimo że nie padało, w powietrzu wisały krople wody. Było gorąco i parno. Dniem i nocą.

Puszcz i jezior litewskich nie sposób porównać do polskich. Szliśmy litewskim borem, który pokrywał kraj wielki jak wszystkie królestwa hiszpańskie wzięte razem. Po obu stronach wąskich ścieżyn wyrastał mur najrozmaitszych krzewów i drzew – zbitych, splątanych, broniących dostępu do leśnej krainy, gdzie ponoć roiło się od szkaradnych wiedźm i złośliwych nimf.

Jechałem strzemię w strzemię z Jarochem, który mi wiele o tym kraju opowiadał. Czuł się Polakiem po ojcu i Litwinem po matce; mówił, że dwa serca mu w piersi biją. Wywodził się z bogatej rodziny chłopskiej z osady przyległej do dworu królewskiego w Niepołomicach, ulubionego miejsca wypoczynku Jagiełły. Niezwykle talenty chłopca zwróciły uwagę słynnego łowczego królewskiego – Zbramira. Jaroch trafił do *canistes*, czyli psiarzy, najniższej kategorii służb łowieckich Jagiełły.

Sprawowanie pieczy nad królewską sforą, do której należały wszelkie możliwe rasy psów do polowań na grubą i drobną zwierzynę, wymagało sporej wiedzy

i bystrości umysłu. Przy tej ciężkiej pracy, w tułaczce z miejsca na miejsce według upodobania króla, trudno było rodzinę założyć, nie mówiąc o prowadzeniu gospodarstwa.

Nie wiadomo, dlaczego Jagiełło nie chciał na dłużej zatrzymać się na Wawelu, w stołecznym zamku. Nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca i nieustannie się przenoślił. To było uciążliwe dla wszystkich dworzan. W podróżach zawsze towarzyszyła mu sfera urzędników i sfera psów. Dbał o obie tak samo. Psiarze musieli czuwać, by zwierzęta były zdrowe i odpowiednio się prezentowały. Smarowali je więc łojem zmieszonym z siarką, regularnie wymieniali słomę, na której psy spały, karmili je omaszczonym owsem i odpadkami z królewskiego stołu. Król wymagał od psiarzy, by leczyli chore zwierzęta, a stare, niezdolne do polowań, otaczali opieką aż do śmierci.

Jaroch opowiadał mi właśnie o swym ulubionym psie Rufusie, półwilku o nogach długich jak u panny i wesołym pysku, gdy podjechał do nas Zawisza.

– Można ten kraj kochać – zawołał rycerz. – Tu jest jak w pierwszych dniach stworzenia. Ale ludzie niedolę cierpią. Każdy tu niewolnikiem. Dziecko niewolnikiem chłopca, chłop niewolnikiem pana, pan niewolnikiem wyższego bojara, bojar niewolnikiem księcia. Żona to jak niewolnica męża. Nie jest tak? Jaroch, w smak by ci był taki psi żywot?

Jaroch zapatrzył się przed siebie i milczał.

– Litwa musi się Polsce podporządkować, żeby tu ludzie podnieśli głowy. I nie mówię tego na boku. – Zawisza odwrócił się w siodle do mnie. – Przy nim mówię, bo go jak brata kocham. I on wie, że prawdę mówię. To Litwa ma krzyżacki miecz na gardle, nie Polska. Litwini to naród dziki i barbarzyński. Jeśli przetrwają, to tylko dzięki Polsce.

Las się nieco przeredził, posuwaliśmy się teraz skrajem rozległej polany. Uderzyło w nas zniecka suche i gorące powietrze.

– I Litwini powinni na kolanach dziękować matce Polsce, że litościwa – ciągnął Zawisza, mówiąc i do Jarocha, i do mnie. – Polska na wschód od Wisły ma ziemię tak urodzajną, że rodzić mogą kilka razy w roku, ale człowieka tam prawie nie uświadczysz, bo Litwini najeżdżali pogranicze i porywali ludzi, palili, grabili. Te pogańskie psy umiały tylko łupić i kasać, a potem chowały się po tych swoich mokradłach i lasach. Jeszcze nie tak dawno, bo piętnaście lat temu, Kiejstut doszedł aż do Tarnowa, wszystko paląc po drodze. Tylko dwa na nich sposoby były. Pierwszy, za którym wielu panów się opowiadało, to stanąć ramię w ramię z Krzyżakami i wytępić Litwinów. Z Jaćwingami się udało, to i Litwinów by się wybiło. Albo... się z nimi sprzymierzyć. Jeszcze pacholęciem byłem, jak głośno się o tym rozprawiało. I nie powiem ci, po której stronie moi ojcowie się opowiadali.

– Bo Polacy chcieliby Litwinów do roli zaprzęgać jak bydło – odezwał się wreszcie

Jaroch. – I swoich panów nam narzucić. Wielka z tego na Litwie niechęć do Polaków.

– A kto ma być panem? Litwin? Nad Polakami? – Zawisza szarpnął cugle i natarł końskim bokiem na Jarocha. – Wyjęliśmy Litwę spod krzyżackich kopyt. Krew za was przelewaliśmy, boście sami nie dawali rady. Jak chcecie się rządzić?

– Ja nie Litwin! – zawołał Jaroch.

– Przecież nie umiecie! – Zawisza, jakby tego nie słyszał, mówił podniesionym głosem. – Ktoś was, do kroćset, musi nauczyć kraj utrzymać. Wojna będzie z Krzyżakami, bo król jej chce, żeby wasze kudłate łby chronić. I co? Mamy za darmo krew przelewać? Będą polscy panowie wami rządzić, bo jacy inny? Bojarzy? A do diabła z nimi! Niemcy do cna zniemczyli szlachtę czeską, Polacy muszą to sami uczynić z litewską. I wreszcie nastanie spokój... Bojarzy już sami chętnie się polszczą, bo prawo na Litwie nieludzkie.

Jaroch wbił wzrok w łeb konia i zacisnął usta.

– Nawet tacy Rusini! – perorował dalej Zawisza. – A gdzie im tam do Polaków! Rusini was kulturą biją na głowę, a to silniejsze od oręża. Szybko pod but by was wzięli, gdyby nie Polska.

Jaroch nadal milczał.

– Cóżes ty w końcu, Polak czy Litwin? – huknął na niego Zawisza.

– Mówilem już, że nie Litwin.

– Pół na pół? – pytał ze śmiechem Zawisza.

– Pół na pół.

– To cię będę musiał na pół przerąbać, jak tego czeskiego pokrakę.

Zawisza odwrócił się do mnie.

– Pod Wilnem ich więcej zobaczysz – zapowiedział z wesołą miną. – Jaroch wziął po kądzieli pogańskie skłonności. W Peruna wierzy.

Zawisza zamachał na Sambora.

– Jak to było z tym Krzyżakiem? – zapytał, gdy łowca podjechał. – Opowiedz Aaronowi.

– Sam widziałem! – podjął ochoczo Sambor. – Jak byłem na Litwie pierwszy raz, cztery lata temu. Jaroch z kilkoma jeszcze Litwinami dopadli jakiegoś Krzyżaka. Utoczyli z niego krew, rozplatali, wyszarpali serce, wątrobę i kiszki. Potem posiekli na kawałki, rzucili na rozżarzone węgle i okurzali się swędem. Tak było! Śpiewali przy tym jakieś pogańskie pieśni. Jak wspomnę, to jeszcze teraz mnie dreszcze przechodzą!

– Tak czasami trzeba. – Jaroch wzruszył ramionami.

Pod Mereczem nasi przewodnicy zniknęli. W osadach wokół warowni z wielkim trudem uzupełniliśmy zapasy, bo ziemia jeszcze spływała tu krwią po krzyżackich najezdach sprzed paru miesięcy.

Dalsza droga na stare Kowno nie wymagała przewodnika, ciągnęła się wzdłuż

potężnej rzeki o nazwie Niemen. Do Kowna zdaniem Jarocha pozostało około pięćdziesięciu mil. Znacznie łatwiejsza droga, z biegiem rzeki, zajęła nam sześć dni.

Wreszcie dotarliśmy do celu. Na wielkiej rzece, rozlanej aż po horyzont niczym morze, czerniała duża wyspa. To gdzieś tu miał na nas czekać giermek jednego z pruskich rycerzy. Nie było tu ani jednego mostu, a jednak piętrzyły się na wyspie stosy świeżych drewnianych bali naszykowanych do odbudowy zamku. Zamek Ritterswerder był drewnianą budowlą obronną założoną przez Krzyżaków. *Ritterswerder* to po polsku „wyspa rycerzy”.

Po wybudowaniu, cztery lata temu, zamek został przekazany do zamieszkania Witoldowi, sprzymierzonemu w owym czasie z Teutonami. To tutaj dotarł młody biskup Henryk, najmłodszy syn księcia mazowieckiego Siemowita, wysłany przez Jagiełłę z misją przekonania Witolda do odstąpienia od Krzyżaków. Misja się powiodła. Witold za cenę objęcia ojcowizny porzucił sojusz z Krzyżakami i spalił warownię. Wybuchł przy okazji wielki skandal, bo młody biskup uległ na zamku urokowi siostry kniazia, Ryngałły, tak dalece, że poświęcił dla niej karierę duchowną i wziął z nią ślub. Rzecz była głośno dyskutowana w całej Polsce, zwłaszcza że Henryk skonał otruty kilka miesięcy temu. Ponoć stało się to za sprawą krewkiej i pięknej Ryngałły, która otruła męża, bo zmieniła plany albo uległa podszeptom krzyżackich agentów szukających zemsty na biskupie. Otruć kogoś przy stole to u Litwinów jak splunąć, twierdził Zawisza. Dlatego Jagiełło, który za młodu nieraz widział krewnych konających na obrusach, wina do ust nie weźmie i pije jedynie wodę, której smak łatwo zdradza truciznę.

Podeszliśmy bliżej brzegu. Na wyspie leżały stosy belek przygotowanych do odbudowy. Opustoszała okolica. Ani żywego ducha. Tylko trupy. Wszędzie trupy. Setki podgniłych i rozmoczonych u brzegu Niemna ciał. Musiała się tu rozegrać między Krzyżakami a wojskami Witolda potężna bitwa.

Blisko stąd do Kowna, które mogło być już w rękach Krzyżaków. Nie mając rozeznania w sytuacji, postanowiliśmy podwoić czujność.

Słońce paliło niemiłosiernie, roje much polatywały nad trupami. Nagle usłyszeliśmy wyraźny szelest liści i trzask łamanych gałęzi krzewów. Zastygliśmy w bezruchu.

Naprzeciw nam wybiegł z lasu jakiś człek, dobrze odziany, w tunice z herbem na piersi. Ręce trzymał uniesione ku górze i wołał coś w naszym kierunku po niemiecku, potem po polsku. Kilku najemników porwało kusze z wozów. Zawisza

gestem nakazał spokój. Odpowiedział na wezwania nieznajomego.

– Cztery dni i noce was już, panie, wyglądam. – Pachołek padł na kolana przed Zawiszą, a potem przysiadł na piętach. – Jużem zmysły zaczął tracić.

– Mów hasło!

Przybysz łypnął na Zawiszę.

– A wy?

– Jastrzębie gniazdo... – zaczął Zawisza.

– Zrzucone przez orły.

Zawisza skinął głową i odwrócił się do Sambora.

– To ten giermek. Dajcie mu wina i coś do jedzenia.

– Co się tu stało? – zwrócił się do pachołka, który z trudem podniósł się na nogi.

– Jeśliście na bitwę szli, to już po wszystkim. Witold się pospieszył.

Giermek trząsał się na ciele, oczami wywracał, nie mógł dojść do siebie.

– Do Pana Boga jęczałem, żebyście już nadeszli, panie, żebym nie musiał sam przez lasy iść i z diabłami się mocować! Wszędzie duchy tych porżniętych...

Ochłonął dopiero, gdy zaspokoił głód i wypił bukłak wina. Wtedy opowiedział wszystko dokładnie do chwili, gdy na rozkaz swego pana padł w wodę między trupy, udając zabitego, żeby tak doczekać naszego nadejścia.

Wielki mistrz wyruszył z Malborka, przez Brandenburg i Królewiec przybył ze swoimi dostojnikami do Labiawy. Dotarł tam również, wraz z gośćmi z Francji i Niemiec, wielki marszałek Werner von Tettingen. Z Labiawy ruszyli statkami przez Zalew Kuroński, Gilgę i dalej w górę Niemna, by w połowie sierpnia dotrzeć tu, do tej przeklętej wyspy, gdzie znajdował się kiedyś zamek Ritterswerder.

W czwartym dniu pobytu na wyspie Krzyżacy musieli stawić czoło wielkiej armii Witolda, która zamierzała przeszkodzić w odbudowie zamku. Witold ostrzelał działami namioty wielkiego mistrza Konrada von Jungingena, wielkiego marszałka Wenera von Tettingena i komtura bałgijskiego Konrada. Krzyżacy również użyli artylerii.

Trwały zażarte walki, szedł atak za atakiem i dopiero nadejście posiłków krzyżackich zmusiło Witoldowe wojska do odstąpienia. Wielki mistrz po naradzie ze swoimi dostojnikami postanowił zaprzestać odbudowy Ritterswerder. Odesłał cieśli do Ragnety. Po dziesięciu dniach pobytu na ostrowie reżownicy prowadzeni przez wielkiego mistrza ruszyli w stronę starego Kowna.

Z tego, co powiedział pachołek, wynikało, że pod starym Kownem żywność zabraną ze statków przeładowano na wozy. Każdy z uczestników wyprawy miał zaopatrzyć się w zapasy na pięć tygodni.

Nie zdecydowano się iść najkrótszą drogą na Wilno. Jeden z pojmanyh Litwinów wzięty na tortury zeznał, że Witold zastawił tam wiele zasadzek. Aby dotrzeć do litewskiej miejscowości Poporcie, wybrano więc drogę okrężną, której Krzyżacy nie znali, ale mieli w ten sposób nadzieję na ominięcie pułapek przyszykowanych

przez Witolda.

Z Kowna do Wilna tradycyjną drogą idzie się tydzień, choć to zaledwie czterdzieści mil. Drogą okrężną – jeden Pan Bóg wie.

Jaroch twierdził, że tysięczna prawie armia z jucznymi zwierzętami i wozami będzie szła znacznie dłużej. Był bardzo niespokojny. Liczne osady w tej części puszczy, przez którą pójda teraz Krzyżacy, znalazły się w niebezpieczeństwie. Nie ma kto ludzi bronić, ani nawet ich ostrzec. Jak zeznał giermek, na czele armii szła chorągiew brodnicka pod Karolem von Lichtensteinem, który miał na służbie oddział miejscowych, doświadczonych zwiadowców, zdrajców znających sekretne szlaki prowadzące do wykarczowanych w puszczy i zasiedlonych niewielkich enklaw. Komtur prowadził też ze sobą oddział rdzennych Prusów, których nazywano *latrunculi*, „łotry”, ale to zbyt łagodne określenie na te wściekłe psy, wężące za krwią. Towarzyszył mu też oddział knechtów, jego ludzi z Brodnicy, żądnych mordy zwyrodnialców, z którymi często zapuszczał się na łupieżcze wyprawy na pogranicze. Na milę cuchnęło od nich śmiercią.

Wedle słów giermka Lichtenstein miał iść przodem, przebijać drogę przez las, budować pomosty i kładki dla wozów, tam gdzie zajdzie taka potrzeba, i wyrzynać wszelkie napotkane żywe istoty. Jaroch bał się, że mając zwiadowców znających teren, będzie zbaczał ze szlaku i napadał na osady. Ludzie tam są bezbronni i nieświadomi. Nigdy Krzyżaków nie widzieli i wojny ich omijały. Armia Witolda czyhała w gotowości w lesie, tyle że pół setki mil dalej na południe, pozostawiając te ziemie zupełnie bez opieki.

Można było jedynie mieć nadzieję, że Lichtenstein, spiesząc pod Wilno, nie będzie mitrężył czasu.

Ruszyliśmy w głąb puszczy w ślad za krzyżacką armią. Poruszaliśmy się już wykarczowanym i przygotowanym traktem, powinniśmy więc szybko zbliżyć się do Teutonów. Może nawet uda się z zasadzki poszyć z kusz w tylną straż, nim armia dotrze do Wilna? Im więcej chaosu, niepokoju w szeregach rejsowników, tym lepiej.

Giermek dostał rozkazy od swego pana, by towarzyszyć nam w drodze, a gdy dojdziemy pod Wilno – dołączyć znów do obozu Krzyżaków. Ogłoszą go wtenczas cudownie ocalałym bohaterem.

– Znając miejsce waszego pobytu, będę wam donosił wieści. Takie mam rozkazy od mojego pana – oświadczył.

Byłem pełen podziwu, jak sprawnie armia Krzyżaków poruszała się po nieznanej sobie puszczy. Idąc za nimi, zastawaliśmy leśną gęstwinę szeroko przebitą toporami, szlaki wycięte przez zarośla i gąszcze, pobudowane na trzęsawiskach i błotach wygodne kładki, a na niezliczonych rzeczulkach – prowizoryczne mosty. Co jakiś czas Zawisza puszczał przodem kilku ludzi, by zwiedzieli się, jaki jeszcze dystans mamy do nadrobienia.

Nagle, trzeciego dnia, zdało nam się, że słyszymy w oddali odgłosy karczunku. Dziwne to były dźwięki, głuche, rzadkie i trwały kilka godzin, aż wiatr zmienił kierunek i zabrał je w inną stronę świata.

Następnego dnia wyszliśmy z lasu na rozległe wrzosowiska. Mrok wilgotnej puszczy zastąpił piekący popołudniowy skwar. Byliśmy wyczerpani. Gdyby padł rozkaz dalszego marszu, doszłoby do buntu. Zawisza miał tego świadomość. Nakazał rozłożenie obozu.

Jaroch sam zgłosił się, że zrobi zwiad, pójdzie jeszcze milę, sprawdzi, czy się nie ostali jacyś maruderzy, którzy mogliby ogniska zobaczyć i ściągnąć na nas wrogów. Długo kucał przy Zawiszy i o czymś rozprawiali. Potem wziął konia za uzdę i wrócił do lasu.

Ja rozkoszowałem się gorącem, czułem, jak cuchnące, nasiąknięte wilgocią ubranie schnie na ciepłym wietrze. Zawisza usiadł obok na trawie. Podparł się rękoma, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca.

– Jaroch coś czuje...

– Co?

– On jest jak... zwierzę, wilk. Naprawdę. Mówiłem ci. Zwierzęta czują więcej niż ludzie. On tak ma. Twierdzi, że słyszał wczoraj straszne rzeczy.

– Ten karczunek? – spytałem.

– Mówi, że tu już nie trzeba przerażać się przez puszcę... Poporcie blisko. Tu droga już lepsza.

Ponieważ w trakcie jazdy nie rozmawiano, co musiało męczyć giermka, urodzonego gadułę, wieczorami przy ognisku nadrabiał stracony dzień. Zaczął opowieściami o krzyżackich rejsach.

Bracia krzyżacy niechętni byli ponoć tym wyprawom. Krucjata to żadna – sami przyznawali – odkąd Litwa chrzest przyjęła. O łupy było coraz trudniej. Czasami zdobyli trochę koni, bydła, niewolników. Ale jakim kosztem! Na handlu dziesięciokrotnie bardziej się bogacili. Tylko Żmudź chcieli dostać. To wszystko. Nikt nie myślał o zajmowaniu Litwy. Po co? Skąd ludzi? Ten tysiączek braci ledwie Prusy w ryzach trzymał.

Te rejzy to teraz kuglarski teatrzyk dla zachodniego rycerstwa. Że niby modlitwy, trudów i kosztów nie szcędzą dla szerzenia chrześcijańskiej wiary, której bronią murem przed napastliwymi Litwinami i innymi poganami.

– Jakich jeszcze pogan tu widzą? – spytałem.

– Jeden z braci mi mówił, że daleko na wschodzie ziele dziura wielka w głąb ziemi, sięga piekła i przez nią wylazą coraz to nowe stwory. Między Bogiem a prawdą to nawet w to wierzę, bo raz, rok temu, zasadzkę w lesie nam Żmudzi przyszykowali. Takich kreatur jak te, co na nas z lasu wypadły, to żadna ludzka macica nie mogła zrodzić. To musiało gdzieś spod ziemi wyleźć.

Zyndram skrzywił się na te słowa.

– Ja z Litwinami wojowałem. Ludzie jak ludzie. To u Krzyżaków widziałem gęby, że tylko w złych snach takie.

Giermek wzruszył ramionami.

– No więc wmawiają tam na Zachodzie wszystkim, że krew przelewają dla chwały wiary jedynej, chrześcijańskiej, zewsząd otoczeni, nękani, mordowani. Wszystko po to, żeby ich tu ściągnąć i wydoić jak krowy.

– Słyszałem, że goście fortuny zostawiają – odezwał się jeden z Niemców.

– I to jakie! Mój pan, co żyje w Prusach, ale z polskiej matki i ojca zrodzony, boleje nad tym i przeklina Krzyżaków. I złość się burzy w całym miejscowym rycerstwie. Mojego pana jak niewolnika traktują, a przed gośćmi z Zachodu to kobierzec rozwijają do samego Paryża. Trudno się dziwić. Pamiętam, jak hrabia Northampton do Prus zjechał. Rok prawie u Krzyżaków siedział i chadzał na rejzy. Poczec z trzynastu rycerzy przywiódł, do tego osiemnastu giermków, trzech heroldów, dziesięciu inżynierów i kopaczy oraz pół setki żołnierzy. Zostawił w krzyżackich kufrach ponad dziesięć tysięcy marek pruskich. Jeden hrabia!

Powoli do ogniska dosiadało się coraz więcej najemników. Słuchali uważnie, bo

Krzyżacy też potrzebowali rąk do miecza. Kto wie, gdzie poniesie ich służba. Zakon uchodził za dobrego i hojnego płatnika.

– Dochodziło do tego – ciągnął giermek – że trzeba było jedną rejzę za drugą urządzić, tylu było chętnych. Jakiś margrabia zjechał z setką rycerzy i sam zażądał rejzy, bo był w potrzebie. Nagrzęszył u siebie okrutnie i śluby złożył pokutne, że się na niewiernych wyprawi przed Bożym Narodzeniem. Zapłacił beczkami złota. No to poszli na tygodniowy wypad, wystawili margrabiemu jakichś wcześniej pojmanych Litwinów, żeby sobie paru dorznął i w ten sposób zdążył na czas. Nawet nie wiem, czy na milę w Litwę wjechali.

Rozległ się szmer niedowierzania.

– Klnę się na pierwsze dni stworzenia! – zawołał giermek. – Te rejzy to wielki interes. A braciszkanie wyglądają tych dochodów jak pijak gorzałki. Dla rycerskiego młodzika z Zachodu, żeby z Saracena krwi utoczyć i zasłużyć na godne wyświęcenie na rycerza, czyli rycerski pas otrzymać, to teraz są tylko dwie sposobności: arabskie południe Hiszpanii, gdzieś ty, panie, jak słyszałem – tu zwrócił się do Zawiszy – niewiernym łby ścinał, albo Litwa, na której pogaństwo kwitnie, choć król ochrzczony. Kiedyś była Ziemia Święta, ale teraz zaniechana zupełnie. No więc tłumy szlachty wałą do Prus. Długi zaciągają, ubożsi majątki sprzedają. A u nas, w Prusach, nieraz i kilka miesięcy muszą czekać na jakąś wyprawę. Trzos za trzosem opróżniają na jedzenie, picie, noclegi. Zakon zgarnia pieniądze za to wszystko ku chwale Najświętszej Maryi Panny, swojej patronki. Tak sobie to ci brodaczki umyślili. Całą Europę omotali tym szaleństwem. Sprytni są, bo jak potem zdarzy im się wojna, to mają wielu możnych przyjaciół, którzy i złotem, i mieczem wspomogą.

Dziw mnie brał na to wszystko, więc zapytałem:

– To we Francji czy w Anglii nie wiedzą, że Litwa przyjęła chrzest? Że to teraz polska ziemia? Że to przeciw królowi polskiemu?

– To zakute łby – wtrącił się Zawisza. – Niewiele do nich dociera. A do tego Krzyżak sprawny w rozgłaszaniu, że Polacy są Niemcom gwałtownie wrocy, że przegnali Wilhelma Habsburga, że wynieśli na tron fałszywie ochrzczonego Jagiełłę, a królową zmusili do bigamii. I różne takie brednie.

– I u nas, na Śląsku, Litwinów też za pogan mają. I dziwią się Polakom... – odezwał się jeden z najemników.

– Ale to już chyba ostatnia taka rejza na Litwę – ocenił Zawisza. – Zygmunt Luksemburski rozgłasza wici na prawdziwą krucjatę, na Turka. Tam są prawdziwi Saraceni, a nie przebierańcy jak na Litwie, i wielkie łupy do zdobycia. Tam pociągnie rycerstwo z Francji, Anglii i Rzeszy. Idzie zaraza muzułmańska, a mówię wam, że w wielki wali bęben. Będzie się z kim bić do końca świata.

Rozmowa toczyła się coraz bardziej niemrawo, aż w końcu ucichła.

Wyszedł księżyc, ogromna srebrna tarcza zawisła tuż nad nami. Cień długi i ostry

szedł za każdym jak nocny duch. Nikt przez tę jaskrawość nie mógł zasnąć. Ognisko dogasło, mimo to panował gorąc. Zmęczenie ściągało powieki, ale dziwny lęk przeniknął do serc i strach było oczy zamknąć.

Jakiś zwierz się odezwał dalekim krzykiem. A potem wilki rozpoczęły swój jazgot. Najpierw dwa, trzy, blisko nas, aż chyba do setki doszedł ten chór piekielnych wyjców. Wreszcie chmury zakryły księżyc i nieprzenikniony, podziemny mrok ogarnął wszystko.

Jeden z Czechów podniósł się z ziemi i dorzucił kilka szczap do wygasłego ogniska. Snop iskier wystrzelił do góry, rozświetlając jego zwałistą postać. Dopiero teraz dostrzegłem, jak bardzo podobny był do Milana. A jak zechce teraz poszukać zemsty, że mu Zawisza zabił rodaka? A może brata?

– Gdzie Jarocho? – spytał.

– On z gadziną umie gadać, nic mu nie zrobią – odpowiedziałem cicho.

I wtedy się zjawił, wyrósł nagle, jak przywołany z zaświatów duch. Czech skulił się ze strachu i odruchowo sięgnął do pasa.

Jarocho stanął przy ogniu, wyglądał strasznie, jakby wrócił z piekieł. Twarz miał ściągniętą jakąś odrazą i przerażeniem. W samej koszuli, bo kubrak porzucił i owinał nim kopyta konia, przez co nikt go nie usłyszał. Ręce aż do łokci umazane krwią, twarz cała w czerwieni, cuchnął krwią, trupem, trzewiami.

– Na Chrystusa, dopadli cię? – Usłyszałem zduszony krzyk Zawiszy. – Co się stało?

– Nikogo żywego nie widziałem... – I wszedł do namiotu.

Zawisza poszukał wzrokiem Sambora.

– Zostaniemy z nim.

Łowca skinął głową.

– Krzyżackie ścierwa! Nie trzeba go było puszczać samego. Nie wiem, czy zmysłów nie postradał. – Spojrzał w kierunku namiotu. – Nie chcę tam jutro iść. Nie chcę tego oglądać.

– Pójdiesz. Wszyscy pójdziemy – zdecydował Zawisza.

Weszli do namiotu. Ja za nimi. Jarocho długo siedział bez słowa, twarz zatopił w dłoniach. Potem sięgnął po gorzałkę.

– Za tym wrzosowiskiem jest pas zarośli, na strzelenie z kuszy, i następna polana. To tam.

– Ruszymy, jak tylko się rozwidni – oznajmił Zawisza.

– Trzeba. Trzeba tam porządek zrobić. Sam nie dałem rady.

Przyszedł jeszcze Zyndram i nikt do świtu nie zmrużył oka.

Weszliśmy znów na udeptany tysiącami butów i kopyt trakt leśny. Po przejściu pół mili dostrześliśmy odchodzącą w lewo przecinkę; tu również szły ślady koni i ludzi, ale już nie tak liczne. Wąską ścieżyną przedzieraliśmy się przez gęste zarośla, aż oczom naszym ukazała się rozległa polana, z osadą na skraju i błękitnym morzem kwiatów lnu rozlanym wszędzie, jakby się tam jakieś niebiańskie naczynie roztlukło.

Panowała absolutna cisza. Poranny skwar jeszcze nie spłynął z nieba, nie rozbudził much. Nawet ptaki nie śpiewały. Coś musiało je przepłoszyć.

Jaroch opowiadał mi po drodze o zamięrowaniu Litwinów do kwiatów. Cztili kwiaty, latem, gdy kraj rozkwitał, zdobili nimi chaty i wszystko, co posiadali. Litwa była biedna, o przeżyciu decydowała często pieczona rzepa i inne rośliny z przydomowego ogródka. Stąd Litwini wpatrzeni byli w ziemię i cieszyli się na każdy przejaw życia, jaki z niej wykwitał.

Chaty nazywano tu numami. To tylko dach i cztery ściany bez okien, a w środku wszystko razem: mieszkalna izba, obora, stajnia, spichlerz. Dwanaście takich chat tu stało; udekorowanych od progu po dach kwiatami, całymi pękami kwiatów, jakby się spodziewali wizyty króla, a wstydząc się biedy, radosnym kwieciem chcieli się przypodobać gościom.

Przed chatami piętrzyły się na dwa łokcie wysokie i szerokie u podstawy kopce. Ci, co szli w pierwszym szeregu i mieli lepsze oczy, na ich widok wydali głuchy jęk.

– Jeszcze się wilki nie zwiedziały... aż dziw. To dobrze... – powiedział Jaroch.

Zbliżyliśmy się jeszcze na parę kroków. Nikt nic nie mówił, słyhać było tylko głośnie oddychanie. Ludziom brakowało tchu. Najemnicy niejedno widzieli i niejednego mordu dokonali, ale nawet oni mrużyli oczy z odrazy i niedowierzania.

Kopce okazały się stosami ludzkich kończyn. Nóg odrąbywanych powyżej kolan, ramion ciętych tuż przy tułowiu. Były dłonie większe i całkiem małe. Nogi wszystkie bose, stopy drobne, dziecięce i kobiece. Obok stały szerokie, niskie pniaki zatopione w kałużach zakrzepłej krwi.

Szliśmy dalej, każdy bał się zatrzymać, żeby nie postradać zmysłów.

Za pierwszą linią chat, na placu, leżały zwłoki: same korpusy bez rąk i nóg. Wszystkie nagie, i znów mniejsze i większe, ale ani jednego męża wśród nich.

Tylko kobiety i dzieci. Wszystkie miały porozpruwane brzuchy i wywleczone wnętrzności. Wszystkie co do jednego.

Zawisza, Sambor, Jaroch i ci, co szli za nami, utkwili wzrok w rozkwieconych chatach, żeby dać umysłom odpocząć.

– To knechci im brzuchy popruli – wycharczał Sambor ze ściśniętym gardłem. – Już to kiedyś widziałem. Szukali monet. Chłopi, jak obce wojsko wchodzi do wsi, to połykają monety, jeśli jakieś mają.

Na skraju chat była już mogiła, którą wczoraj wydrapał w ziemi Jaroch. W kilka godzin wykopaliśmy jeszcze dwie, większe. Zwłok nie dało się unieść, żołnierze musieli je wlec za włosy i tak wciągać do dołów.

Przy obu mogiłach, już po zasypyaniu ich ziemią, wbito proste skręcone sznurem krzyże. Każdy zmówił modlitwę.

– To robota Lichtensteina – odezwał się giermek. – Mężczyzn wzięli na powróż, na handel.

Jaroch zrzucił ubranie i nagi usiadł w płytkim strumyku płynącym obok wioski. Oparł się na łokciach, po czym powoli przechylił głowę do tyłu, jakby brał chrzest. W nocy zerwał się dziki wiatr; huk poniósł się po lesie, drzewa się gięły, trzeszczały, wstrząsały koronami, można by pomyśleć, że Boga do zemsty wzywają. Ale Bóg nie sprawił potopu, nawet nie zagrzmiął piorunami. Wstał nowy słoneczny dzień. Trzeba było ruszać dalej.



Po dotarciu do Wilna rozłożyliśmy się obozem w lesie, na skraju niewielkiej, porosłej wysoką trawą polany. Toczył się też w pobliżu strumyk. Giermek przedostał się do swojego obozu, a Jaroch z Samborem przeprowadzili rozpoznanie dróg, którymi Krzyżacy będą otrzymywać zaopatrzenie: żywność, broń, sprzęt potrzebny podczas oblężenia.

Zawisza, rozstawiwszy strażę, zapowiedział wycieczkę na jedno ze wzgórz okalających miasto. Woląłem być tam, gdzie ci najsprawniejsi we władaniu orężem, więc poszedłem z nimi.

Wilno składało się niejako z dwóch części: miasta małego, na bogato murowanego, warownego, i tego rozleglejszego, ale biednego, zbudowanego w drewnie i glinie.

Wilno zamożne, wsunięte w kolano rzek Wilii i Wilejki, tworzyło wielką warownię, złożoną z dwóch zamków: górnego, wznoszącego się na Turzej Górze, i dolnego, położonego u jej podnóża. Oba zamki otaczały wspomniane dwie rzeki i łączący je przekop. Tam, wedle słów Zawiszy, który w mieście bywał, znajdowały się mieszkania książęce i gmachy dworskie.

W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na szerokiej przestrzeni rozpościerało się podgrodzie: kilka małych osad, skupiska ubogich drewnianych domków pośród ogrodów i rozkwitłych łąk, bez śladu ulic czy

jakichkolwiek obwarowań.

Następnego ranka wpadł do obozu giermek. Z tego, co zrozumiałem, chorągiew jego pana znalazła się we wschodniej grupie wojsk oblegających miasto, a więc najbliżej nas. Tuż obok niej stanęły namioty chorągwi Karola von Lichtensteina. Chłopak, zanim na powrót zniknął w lesie, przekazał garść nowin.

Przejście przez lasy od Strawy do Poporcia przyniosło Krzyżakom wielkie straty; potracili mnóstwo koni i bydła potopionego w błotach; ludzie padali z wyczerpania i z rąk atakujących z zasadzek Litwinów.

Witold nie czuł się dość silny, by stanąć do otwartej walki; ale miał spore zapasy żywności, dobrą i odważną załogę, gotową wytrzymać długie oblężenie i co jakiś czas poszarpać wroga wycieczkami z zamku. Wzgórza wokół Wilna obsadzone były litewskim wojskiem, tak że Krzyżacy o każde wzniesienie musieli toczyć ząarte, krwawe boje. Oba zamki były nieustannie ostrzeliwane przez krzyżackie działa, ale żadnego wyłomu w grubych murach jeszcze nie uczyniono.

Przed zachodem słońca ponownie wybraliśmy się na wzgórze.

Oblężenie koncentrowało się na zamkach wileńskich, gdyż podgrodzie zostało przez mieszkańców opuszczone i wszyscy schronili się na niższym zamku, zwanym Krzywym Grodem. Pośród poburzonych lepianek Krzyżacy ustawili działa i bili w mury niższego zamku. Chmary strzał uwalnianych przez genueskich i burgundzkich łuczników raz po raz wznosiły się do lotu.

Już mieliśmy zejść ze wzgórza i zakończyć rekonesans, gdy zobaczyliśmy, że do boju przystąpiła chorągiew brodnicka Karola von Lichtensteina. Pierwsi ruszyli Francuzi na koniach okutych w żelazne zbroje. Obrońcy od razu zasypali ich strzałami; posłali ich tyle, że niebo pociemniało jak od burzowej chmury. Napastnicy bez strat sforsowali rzekę Wilię i razem z idącą za nimi piechotą rozłożyli się obozem bliżej zamku; natychmiast rozpoczęli stamtąd ostrzał. Litwini, widząc taką zawziętość, wypadli z zamku i oddziałem kilkudziesięciu jeźdźców uderzyli na rejsowników. Zawisza i Sambor podnieśli się z krzewów i z zapartym tchem śledzili przebieg potyczki. Naprzeciw wyszli w szeregu pancerni Francuzi: opuścili bojowe kopie, ostro ruszyli ławą i rozpędziwszy konie, uderzyli w lekką jazdę litewską, roznosząc ją w pył. Siły były nierówne, jakby kto gołymi rękami chciał lawinę głazów zatrzymać. Francuzi rozochoceni łatwym zwycięstwem i zagrzani do boju przekonaniem, że biją Saracenów Północy, ruszyli za niedobitkami aż pod mury. Tu jednak ponieśli pierwsze straty; spadł na nich grad bełtów z mocnych kusz i kilku śmiertelnie trafionych rycerzy zsunęło się z koni. Reszta ściągnęła cugle i zbiegła spod murów, unikając bezsensownej śmierci.

Mijały kolejne dni. Szturmy oblężnicze jeden za drugim rozbijały się o skutecznie bronione mury. Co jakiś czas hałasowała krzyżacka artyleria, ale murów skruszyć nie zdołała. Odzywała się coraz rzadziej, bo zaczęło brakować prochu. Do tego obrońcy rozwiesili na murach olbrzymie bydlęce skóry, które osłabiały siłę

kamiennych kul. Litwini zaś strzelali z kusz i łuków nawet do tych, którzy chcieli zbierać poległych. Zaniechano więc tego i trupy zalegały przed fosą stosami, stając się pożywką dla zgłodniałych litewskich psów i wilków, które nocą prowadziły między sobą głośnie boje o ludzkie ścierwo.

Najemnicy Zawiszy rzetelnie wykonywali w tym czasie swoją robotę: przechwytywali wozy z zaopatrzeniem, wybijając do nogi zbrojne eskorty, wylapywali kurierów, napadali z ukrycia na małe grupy rejdowników, które pobiły albo szły na zwiady.

W ósmy dzień pobytu pod Wilnem giermek przyszedł z wiadomością, która poderwała wszystkich na nogi: komtur von Lichtenstein na czele podległych mu Francuzów i kilku braci zakonnych szykuje się na podjazd do jednej z pobliskich osad. Pójdą przez las, który Jaroch, tkwiąc tu tyle dni, znał już jak własną kieszeń. Wyruszą najpewniej nazajutrz wcześniej rano, by zdążyć wybić ludzi, spalić wieś i przed zmrokiem wrócić do obozu.

Francuscy rycerze, donosił giermek, byli rozczarowani nieskutecznością oblężenia. Jedyni poganie, których udało się pozbawić życia, to ci nieszczęśnicy z wioski przed Poporciami, ale to były głównie kobiety i dzieci, bo mężów Krzyżacy zabronili podrzynać, tylko ich sznurami powiązali i gdzieś powiedli. Jeszcze było marne zwycięstwo nad litewską jazdą; marne, bo Litwini bardziej na boki pierzchali, niż ginęli.

Francuscy goście zażądali więc teraz wyprawy na jakąś wioskę. Zamyślali dać chłopom czas na sięgnięcie po oręż, żeby zasmakować choćby namiastki bitwy.

Giermek znał plan wypadu w najdrobniejszych szczegółach. Gdy nam go przedstawiał, wszyscyśmy pomyśleli to samo: oto nagroda za ten niehumaniczny trud nurzania się w litewskim piekle. Zawisza na głos ślubował, że jeśli Bóg wyda Lichtensteina w jego ręce, to cały swój łup z wyprawy ofiaruje krakowskim kościołom.

Komtur zamierzał wziąć nieduży oddział: kilkunastu francuskich rycerzy, tych, którzy ofiarowali największe datki, do tego pięciu braci krzyżackich i kilku knechtów. Dołączy też dwóch przewodników, ale ich nie ma co liczyć. Zbrojnych pójdzie więc dwudziestu paru ludzi. Tylu najmniej trzeba, żeby skutecznie opasać wioskę i zapobiec ucieczce kobiet z dziećmi.

Jaroch od razu zaczął nalegać, żeby mu pozwolić ruszyć do tej wsi jeszcze dziś. Kobiety z dziećmi w las każe wysłać, zanim rejdownicy okrążą wieś, a mężczyźni przygotowuje do obrony. Jaroch, który pół życia spędził na łapaniu sprytnego zwierza, miał w głowie cały arsenał pułapek i zasadzek.

Wtedy, mówił, wieś przywita Krzyżaków jak trzeba i uszczupli ich siły. Będą wracać zaskoczeni oporem, upokorzeni porażką i wściekli na dowódców za źle przygotowany wypad. Uderzymy na nich, gdy będą już blisko obozu, z myślami przy ciepłej strawie i pryczach.



Zawisza polecił przycząć się przy leśnej drodze ledwie cztery mile od krzyżackiego obozowiska – przed niewielką polaną, do której, na odcinku pół stajania, wiodła prosta ścieżka; najemnicy dostrzegą więc zawczasu nadjeżdżających rejdowników.

Oddział Lichtensteina wyruszył później, niż się Zawisza spodziewał, bitwa miała się więc rozegrać późnym popołudniem, może nawet wieczorem.

Przygotowania ruszyły od razu. Sambor, który podobnie jak Jaroch życie strawił na polowaniach, miał zwierzęcy zmysł, który podpowiadał mu, którędy będą uciekali Krzyżacy, żeby sprowadzić pomoc. Całą noc siedział w lesie, zakładając myśliwskie sieci, zwane objętkami, służące do polowań na sarny i jelenie.

Zawisza szykował zasadzkę. Czechom kazał przypaść do ziemi w gęstym podszyciu po obu stronach drożyny, za szerokimi sosnowymi pniami, tak by zabłąkany bełt nie zrobił im krzywdy. Kuszniaków ustawił w linii, na wzniesieniu wypiętrzonego wzdłuż drogi; mieli razić krzyżackich jeźdźców z prawej strony, bo ci, jeśli biorą na wyprawę tarcze, to mają je przytroczone do siodeł lub trzymają w ręku zawsze z lewej strony.

Po drugiej stronie przesieki czekali na koniach Polacy, wśród nich Zawisza i Sambor. W zbrojach, z krótkimi włóczniami, mieli stawić czoło tej części oddziału rejdowników, która ocaleje z zasadzki i wypadnie na polanę.

Każda para rąk była w tej potyczce na wagę złota. Zawisza zdecydował więc, że to ja stanę na końcu prostego odcinka ścieżki. Po dostrzeżeniu lub usłyszeniu nadciągającego oddziału miałem skrzyżować ramiona nad głową i uchodzić w gęsty bór, po czym jak najszybciej przedostać się ku polanie; tam wdrapać się na jedno z drzew rosnących na skraju i obserwować, czy któryś z rejdowników zdołał wynieść głowę z zasadzki.

Plan był prosty, ale mnie od rana trzęsły się ręce. Wysoki bór całkowicie zasłaniał niebo. Dróżka była zacieniona, ale mój na czerwono farbowany kubrak, użyzony mi na polecenie Zawiszy przez jednego z Czechów, wyraźnie odcinał się na tle świeżej zieleni.

Las rozbrzmiewał śpiewem ptaków, postukiwaniem dzięciołów, pomrukami jakiegoś grubego zwierza, którego miałem nadzieję nigdy na oczy nie zobaczyć. Bór, podszycie i brzegi wąskiej drożyny pokrywał zielony dywan mchu, doskonale tłumiący kroki, więc grupa kilkunastu żołnierzy przygotowujących zasadzkę poruszała się niemal bezszelestnie. Jedyne droga była wolna od mchu. Zbita ziemia, poprzecinana korzeniami, pokryta była miejscami wilgotnym igliwem.

Kucnąłem. Nogi miałem miękkie jak z wosku. Potwornie się bałem.

Za chwilę miało tu dojść do rzezi. Najemnicy chcieli wziąć do niewoli wszystkich rycerzy, ale Zawisza się na to nie godził. Polował na komtura i to jego zamierzał pojmać; pozostałych powinno się porzucić na kawałki, żeby ich dusze jak najszybciej trafiły do piekła. Ostatecznie, po długich targach, przystał na pięciu jeńców. Samych Francuzów. Tylko pięciu. Jeśli w oddziale idzie dwudziestu paru ludzi, to krzyżując ręce nad głową, wydam wyrok śmierci na wszystkich pozostałych.

Drżałem na myśl, że mnie zobaczą. Że nie zdążę uciec w bór albo, co najgorsze,

któryś z knechtów ruszy za mną, dysząc i charcząc jak niedźwiedź. Nie miałem przy sobie broni. Tylko by mi przeszkadzała.

Poszedłem za radą Sambora, odgarnąłem igliwie i przyłożyłem obie dłonie do chłodnej, wilgotnej ziemi. Dwudziestu zbrojnych jeźdźców wstrząsa ziemią tak, że drżenie czuć na miłę.

Trwałem tak w bezruchu kilka godzin. Nagle jakieś ptaszysko zerwało się tuż obok mojej głowy. Poczulem na twarzy powiew chłodnego powietrza poruszonego wielkim skrzydłem. I drżenie...

Przycisnąłem dłonie mocniej do ziemi. Nie było wątpliwości. To nie złudzenie. Wszystko drżało. Czarne drobinki ziemi pokrywające grzbiet dłoni poczęły podskakiwać, tańczyć, staczać się w dół.

Poderwałem się i od razu wywróciłem. Nie mogłem ustać na nogach! Na czworakach jak pijak ruszyłem w stronę polany. Spróbowałem wstać jeszcze raz. Ledwie udało mi się uklęknąć. Skrzyżowałem ramiona. Potem jeszcze raz i jeszcze raz! Po czym, jęcząc z przerażenia i niemocy, schołgałem się z drożyny. Całym ciałem czułem narastające drżenie, silne jak trzęsienie ziemi, i głuche dźwięki kopyt uderzających o korzenie.

Na szczęście ręce miałem sprawne. Jak jaszczurka, miotając biodrami na boki i jęcząc ze strachu, wślizgnąłem się w gęstwinę podszytu.

Odzyskałem czucie w nogach równie niespodziewanie, jak je straciłem. Puściłem się biegiem wśród drzew. Gdy dotarłem do najemników, wszyscy jak jeden mąż wkładali prawe stopy w strzemiona kusz, potem pochylili się, założyli haki, które mieli przymocowane do pasów, na cięciwy i wyprostowali się, by napiąć kusze. Poniżej, na dróżce, już się kotłowało. Konie rażone poprzednią serią bełtów wpadły w popłoch, knechci wrzeszczeli, jedni z wściekłości, inni z bólu. Kilku leżało już na ścieżce. Koń trafiony w szyję stanął dęba, zrzucił rycerza i runął do tyłu, przygniatając go swoim ciężarem. Usłyszałem świst koło ucha; nowa śmiertelna seria przeszła powietrze. Kilka bełtów odbiło się od rycerskich pancerzy, kilka utkwilo w końskich szyjach i zadach. Jeden z knechtów, trafiony w głowę, zsunął się z siodła.

Wtedy z podszytu wypadli Czesi. Każdy miał w ręku dwa topory: jeden z krótszym trzonkiem, drugi z dłuższym. Najemnicy nie zaatakowali jeźdźców, lecz z odległości kilku kroków ciskali mniejszymi toporami poziomo, tak że te, kręcąc się na płask, raziły końskie golenie. Las rozbrzmiał potwornym kwikiem ranionych zwierząt, które waliły się na boki albo zarywały pyskami w ziemię, gdy topór gruchotał im przednie nogi. Dopiero gdy część oddziału przeistoczyła się w górę skłębionych końskich i ludzkich ciał, Czesi doskoczyli bliżej: każdy trzymał oburącz ciężki topór, brał zamach za głowę i walił na oślep.

Ruszyłem pędem w kierunku polany. Teraz strach dodawał mi sił. Wspiąłem się na jedną z sosen, z góry widziałem wszystko jak na dłoni.

Kilkunastu jeźdźcom, tym z przodu, udało się wyjść cało z pogromu; wypadli na polanę, wprost na Polaków. Część rycerzy Lichtensteina zbiła się od razu w ciasny, trudny do sforsowania krąg. Reszta toczyła pojedynki. Zobaczyłem, jak Zawisza z łatwością zwała z konia jednego z Francuzów. Potem starł się na dłużej z Krzyżakiem w zamkniętej przyłbicy. Walczyli na miecze; kilka razy zawracali konie i uderzali na siebie, aż w końcu Krzyżak cięty w szyję zboczył płaszcz krwią i osunął się na ziemię.

Nagle z kręgu rycerzy otoczonych przez najemników wyskoczyło dwóch jeźdźców: pierwszy odziany jedynie w skórzany kaftan, kolczugę i kirys, drugi w pełnej zbroi i krzyżackim płaszczu. Jadący na przedzie wpadł między Ślązaków i szybkimi cięciami miecza zwałił kilku z koni. Krzyżak pochyłony w siodle nie dobył broni,

tylko pędził za swym przewodnikiem. Zawisza na ich widok gwałtownie ściągnął wodze i ruszył w pościg.

Tuż przed krańcem polany jadący na przedzie raptownie osadził konia w miejscu. Drugi z uciekających minął go galopem i umknął z polany w ciemny las. Ten, którego nazwałem w myślach przewodnikiem, zsunął się z siodła, uniósł miecz nad głowę; gdy Zawisza znalazł się na dwa skoki od niego, człowiek w kolczudze nagle pochylił się, rzucił do przodu i ciał w nogi nacierającego wierzchowca. Rozległ się przeraźliwy kwik, zwierzę zaryło ranionymi nogami w ziemię, a Zawisza wyrzucony z siodła runął na plecy w wysoką trawę. Rycerz z mieczem zręcznie dosiadł konia i nie oglądając się za siebie, pomknął ścieżyną w głąb lasu w ślad za dostojnikiem, którego ochraniał.

Dopiero teraz, przedarłszy się przez zwał końskich i ludzkich trupów, na polanę wpadli niemieccy najemnicy, a zaraz potem dołączyli do nich Czesi. Nie minął pacierz, a żaden z rejdowników nie siedział już w siodle.

Kiedy zszedłem z drzewa, Zawisza stał już na nogach o własnych siłach. Zdjął hełm i cisnął nim o ziemię.

– Gdzie komtur? – wrzasnął.

– Nie ma go, panie, między trupami ani wśród żywych – odparł Sambor, który razem ze mną podbiegł do dowódcy. – Uszedł. Suczy syn. Diabeł go chroni, widać wpływowo jakiś.

Zawisza spojrzał na mnie pytająco.

– Dwóch uciekło – odpowiedziałem, dysząc jeszcze z emocji i wysiłku. – Najpierw ten Krzyżak, znaczny musiał być, bo go ten drugi prowadził. No i ten właśnie, który cię z konia zrzucił. Uszedł za nim.

Zawisza podszedł do rannego wierzchowca, który kwicząc rozpaczliwie, targał łbem, rył odciętym kikutem w ziemi, usiłując się podnieść. Rycerz skinął przyzwalająco głową, a Sambor wyjął miecz z pochwy i podszedł do konia.

Wszyscy odwrócili głowy.

– To był Zygfryd von Dohn. – Zawisza wbił wzrok w konające zwierzę. – Lichtenstein już się bez niego nie rusza. Konia w nogi ciał jak chłop jakiś, a potem zamiast dać pola, w las uszedł. Pies nie rycerz.

– Nic się wam, panie, nie stało? – spytał Sambor.

– Idź do diabła! – warknął Zawisza. A potem dodał: – Trzeba się pospieszyć. Zygfryd już pewno w obozie. Krzyżacy się zbierają i za kilka pacierzy się tu zwałą. Podszedł jeden z Czechów.

– W sieci tylko jakiś knecht się złapał – zameldował. – Już mu łeb urznąłem.

Nie ubito jednak wszystkich. Krzyżakom wprawdzie nie darowano, dobito także rannych knechtów, lecz Francuzów starano się oszczędzić. Zawisza zgodził się przed walką na pięciu jeńców, ostatecznie z pogromu uszło z życiem sześciu. Jeden ciężko ranny; spodziewano się, że wkrótce skona.

Wzięci do niewoli Francuzi okazali się młodziakami, którzy przyjechali tu dopiero zdobywać wojenne doświadczenie; w starciu z zaprawionymi w boju najemnikami nie mieli żadnych szans.

Mimo zmęczenia na twarzach Ślązaków malowało się zadowolenie. Nawet ci zrzućeni z konia przez Zygryda się uśmiechali; odnieśli tylko lekkie rany. Jeśli uda się dowieźć łup w bezpieczne strony, a za jeńców uzyskać odpowiedni okup, to wszyscy, jak tu są, będą mogli porzucić na zawsze wojenne zajęcie, kupić kawał ziemi w bezpiecznych stronach i cieszyć się spokojnym życiem bogatego rolnika.

Najemnicy zajęli się trupami – ściągnęli z nich zbroje, pasy, sakiewki, ozdoby. Wiązali to wszystko na zdobycznych koniach, służących teraz za juczne. Zobaczyłem, jak jeden ze Ślązaków, klęcząc nad trupem Krzyżaka, odrzynał palce, na których nieboszczyk nosił klejnoty.

Sambor zobaczył, że przyglądam się temu z odrazą.

– Ręka trupa się zamyka, robi się sztywna – powiedział. – Łatwiej zdjąć pierścienie od strony dupy. Ale masz rację... powinna to robić czeladź.

Wyjaśnił mi później, że wszyscy wrzucali pierścienie, z palcami lub bez, do hełmu jednego z najemników, gdyż ten popełnił grzech, zabijając w bójkę jakiegoś włódykę, i miał w ramach pokuty opłacić sześćdziesiąt codziennych mszy zadusznych. Z zebranych pierścieni to i na sto takich mszy mu starczy.

Na koniec wszystkie trupy wywleczono za nogi w głąb lasu, by tam zajęły się nimi zwierzęta. Głodne watahy litewskich wilków nauczyły się przez te z górą sto lat ciągłych najazdów, że warto towarzyszyć rejdownikom. Szybko i sprawnie usuwały przed ludzkim wzrokiem dowody podobnych do tej zbrodni.

Ranny Francuz miał bełt wbity w brzuch. Jeden z najemników, Niemiec, który znał się na ranach, oświadczył, że bełt kuszy tkwi mocno w ciele. Nie wolno go wyjmować, bo krew wleje się do wnętrza ciała i zatruje organizm. Na takie przypadki najlepszy jest napój z żywokostu, który hamuje krwotoki. Ranę trzeba by było opatrzyć i posmarować maścią. Jaką, nie wyjaśnił, bo nie wiedział. Strzałę należało zostawić w ciele rannego. Jedyne przyciąć, żeby nadto nie sterczała i podczas drogi nie powodowała bólu i rozbijania rany wewnątrz. Trzeba było czekać, aż rana dookoła bełtu zacznie ropieć, wtedy będzie można próbować go wyjąć. Francuz był przytomny, nie mógł ruszać nogami, z czego najemnik wywnioskował, że bełt utkwiał w kręgosłupie. Jeśli tak, to nie uda się go wyjąć i ranny niechybnie skona. Chyba żeby rozciąć ciało i dotrzeć do grota, ale na tym się nie znał. Do tego trzeba by doświadczonego medyka.

Najemnicy chcieli młodego Francuza dobić, żeby zaoszczędzić sobie kłopotu, a jemu cierpień. Ale Zawisza nie wyraził zgody.

Polecono mi opiekę nad młodzieńcem. Nie znałem się na medycynie, ale postanowiłem, że ulżę mu na tyle, na ile będzie to możliwe. Umierał, wiedziałem to nawet ja.

Ruszyliśmy w drogę. Najemnicy zmieniali się co jakiś czas przy noszach. Nie opóźniało to jakoś znacząco marszu, bo i tak wlokło się z nami kilkanaście dodatkowych koni objuczonych zdobycznymi zbrojami i orężem.

Ranny Francuz był przytomny, wstąpiła weń gorączka. Ja szedłem koło noszy, pomagając je nieść, gdy trzeba było przez bór się przebijać.

Żal mi go było. Młodziutki, twarz anioła. Opowiadał, z jakimi marzeniami o rycerskiej sławie tu przybył. Ojciec zapłacił fortunę Krzyżakom. To miała być *belle guerre*, piękna wojna z Saracenami, zdobywanie wojennego doświadczenia, odkupianie grzechów, zbawienie duszy.

Francuz opowiedział też, że ponieśli klęskę w wiosce, stracili trzech ludzi, powpadali do dołów... Nawet nie zamoczył miecza w pogańskiej krwi. Prawie zrobiło mi się go żal.

Chłopak cały czas trzymał mnie za rękę.

– Trzeba było mu przynieść jedną z tych odrąbanych, z wioski – mruknął Zawisza.

– Toby sobie ją trzymał, a ty mógłbyś od niego odpocząć. Przetłumacz mu to!

Nic nie odpowiedziałem.

– A ty jak? – spytał. – Podobno ległeś na drodze. Ludzie bali się, że cię postrzelili...

– To ze strachu – powiedziałem.

– Tak jest... – Kiwnął głową ze zrozumieniem. – Za pierwszym razem każdemu się we łbie miesza. Ale się pozbierałeś. To twoja pierwsza bitwa... Teraz cię mieczem nauczę robić i może jaki pożytek z ciebie na tej ziemi będzie.

Młodziutki Francuz skonał w naszym obozie tuż przed świtem.

Ślężacy zamierzali sprzedać pozostałych jeńców któremuś ze śląskich możnych zaraz po powrocie. Negocjowanie okupu wymaga sporo zachodu. Jeńców należało też przetrzymywać w odpowiednich do ich urodzenia warunkach, a sprawy okupu ciągną się miesiącami, a nawet latami. We Wrocławiu odbywały się licytacje jeńców, spłacało się nimi długi, używało jako zastawu. Tych pięciu Francuzów to zbyt tłusty kąsek, by ich tak traktować, ale na pewno znajdzie się paru zamożniejszych szlachciców, którzy zechcą ich przejść. Pojmani to najpewniej pierwotni ważnych rodów, przysłani tu dla rycerskiego obycia. Ojcowie sporo zapłacili Krzyżakom za udział synów w rejzie. Teraz będą musieli jeszcze więcej zapłacić, by ich wydobyć z niewoli.



Następny dzień przyniósł ważną nowinę: Krzyżacy zmęczeni upałem i niewygodami, bez nadziei na zdobycie mocno bronionego miasta, postanowili odstąpić od oblężenia.

Zawisza zarządził powrót do Krakowa. W noc przed wyruszeniem w drogę, wciąż wściekły, że nie udało mu się dopaść Lichtensteina, uderzył na pogrążony we śnie

obóz krzyżacki, wyciął wartowników i podłożył ogień pod jeden z szałasów, w którym spali rejdownicy. Zbudowany z suchych gałęzi zarzuconych liśćmi szybko się zajął, a od niego kolejne zabudowania, w których spłonęło wielu Flandryczyków i Francuzów. Zapalił się też magazyn żywności i paszy, co doszczętnie złamało morale rejdowników.

W Mereczu czekały na nas listy. A w nich zupełnie nieoczekiwane wieści: diabeł zajęty chronieniem komtura na rejzie pozostawił samopas jego interesy w Lewancie. Okazało się, że statki ze zbożem zostały jednak przez Mahabuda porwane. Nareszcie dotarły do Krakowa potwierdzające to listy! Do oczu napłynęły mi łzy. Oto prawdziwy tryumf! Tryumf myśli i odwagi.

Kraków, jesień roku Pańskiego 1394

Zawisza, Sambor i Jaroch zatrzymali się w Tęczynie, by złożyć raport staroście. Zawisza musiał dodatkowo tłumaczyć się z wypadu pod Wilno. Samowolna zmiana rozkazów mogła go wiele kosztować.

Ja tymczasem udałem się do Krakowa, by w kamienicy pod godłem Jelitów odpocząć po trudach litewskiej wyprawy. Hanna – ku mojemu rozczarowaniu – nadal przebywała w Sadłowie, tak więc ponownie przyszło mi dzielić dom tylko z ciotką Barbarą. Podczas mojej nieobecności ktoś musiał jej opowiedzieć o Ayhe, bo od pierwszego dnia krążyła wokół mnie jak kot wokół myszy. W końcu nie wytrzymała i podczas jednego z posiłków przysiadła się do mnie.

– Taki młodzian jak ty... – oznajmiła bez żadnego wstępu – i tak nie liczyłbyś się już dla niej. Dla tej Ayhe. Byłbyś jej wspomnieniem. Miłym, z tego, co słyszałam. Biedna dziewczyna. Ale to była w duszy Saracenka, do tego miała męża. Bogatego. Po co jej jakiś Aaron... – pocieszała mnie. – Gdybyście się tu spotkali, nawet na kochanka by cię nie wzięła. Niczego byś nie wskórał. Dobry z ciebie i ładny chłopak. Dziewczyny tu za tobą wypatrują oczy. Tylko się ochrzczij i żyj, jak trzeba, przy Kościele, to szybko sobie jakąś znajdziesz.

Nachyliła się nad stołem i oznajmiła przyciszonym głosem, choć nikt nas nie podsłuchiwał:

– Pomogę ci! Z biskupem wszystko załatwię. Gmina żydowska nie piśnie nawet, boś obcy. – Po czym znów wyprostowała się na krześle. – Zastanów się.



Minął tydzień, nim w końcu usłyszałem donośny głos zakonnika, dobiegający z sieni domu Jelitów, a potem drżącymi rękoma mogłem rozłożyć listy, które mi wręczył: jeden od Arandy i jeden od Mahabuda. Nareszcie! List od Arandy, już wcześniej otwarty, adresowany do Jana Tęczyńskiego, zawierał w kilku krótkich, suchych i rzeczowych zdaniach informacje o przebiegu akcji i stratach, jakie poniosła spółka Karola von Lichtensteina.

Drugi list, od Mahabuda, był podłużnie złożony, a następnie powtórnie zagięty z obu stron do środka. Tam, gdzie stykały się boczne krawędzie papieru, widniała woskowa pieczęć. Złamałem ją i zacząłem czytać w obecności brata Mikołaja.

Drogi Aaronie!

Łaskawości Boga zawdzięczamy ten niezwykle pomyślny obrót sprawy, która tak bardzo Cię trapiła. Początek jej gorzki, ale koniec słodki. Wiedząc, jak wielkie zagrożenie ten człowiek i jego pieniądze sprowadzają na Ciebie i Twoich przyjaciół, nie wahałem się ani chwili, gdy nasze żagle stanęły naprzeciw ich żagli i nasze miecze naprzeciw ich mieczom. Donoszę Ci, że załogi obu statków spoczywają na dnie morza. Nie będzie to ani nam, ani Tobie za grzech poczytane, bo w Talmudzie powiedziane jest: „Gdy ktoś przychodzi, by cię zabić, ty bądź pierwszy i zabij go”.

Usprawiedliwiwszy w ten sposób zbrodnię dokonaną na niewinnych marynarzach, w dalszej części listu Mahabud omawiał szczegóły porwania. Ulitowały się nad nami niebiosy. Gdy już wydawało się, że cały plan spełźnie na niczym, bo statek komtura włączono do konwoju płynącego z Guardamaru do Alicante, stał się cud: podczas wychodzenia w morze koga ze zbożem uderzyła w jakiś słup w porcie i uległa uszkodzeniu. Musiała zawrócić. Zboże przeładowano na dwa mniejsze żaglowce. Konwój nie czekał, a zakontraktowanie ochrony na mniejsze statki nie wchodziło w grę. Zresztą nikt nie spodziewał się ataku. Tymczasem Mahabud, pogodzony z fiaskiem operacji, postanowił zacząć się na jakieś inne samotne jednostki, skoro zadał sobie tyle trudu, by pojawić się na tamtych wodach. Nieoczekiwanie oba statki komtura same wpłynęły w jego pułapkę. Cóż za łaskawość Opatrzności!

Dziwiłem się, że odważył się wysłać taki list. Pisany wprawdzie po aragońsku, ale gdyby wpadł w czyjeś ręce, wybuchłby nie lada skandal.

– Coś nowego? – spytał zakonnik.

Przeczytałem list jeszcze raz, na głos, tłumacząc jego treść.

– Wygląda na to, że komtur ma poważne kłopoty – powiedziałem po lekturze całości. – Alicante będzie żądało sporego odszkodowania. Na umowie podpis w imieniu komtura złożył ten hanzeatycki agent, Martin van der Beurse. Jemu wylupią oczy, ale po pieniądze pójdą do Lichtensteina. Zaczną od tego, że na poczet kar wstrzymają wypłatę za poprzednią dostawę!

To oznaczało, że Alicante nie musi szukać komtura, to komtur, pragnąc odzyskać pieniądze za wcześniejsze dostawy, będzie musiał zwrócić się do władz miasta. Wystarczy jeden list miejskich rajców do wielkiego mistrza, a Lichtenstein wylądaje w malborskich lochach. Jedno pismo z żądaniem zapłaty! Ludzie odpowiedzialni za zakupy żywności z ramienia rady miasta to nie głupcy. Podobne sprawy powierza się najlepszym.

– Dopadną go i zniszczą! – Mój głos wypełnił izbę radosnym tonem. – Jeśli im nie zapłaci, rajcy zrobią wszystko, żeby dopaść komtura, od tego zależą ich posady... Jeśli nie odzyskają pieniędzy, zacznie się śledztwo i wyjdą na jaw ich machlojki z agentem der Buerse'em... Rajcy do tego nie dopuszczą, rzucą się na Lichtensteina jak wściekłe psy!

– Takie roszczenia to skomplikowana droga...

– Nie! – zaprzeczyłem gwałtownie. – Miasto nigdy nie podpisze umowy z dostawcą, od którego nie da się łatwo egzekwować środków. Za duże ryzyko. Nie wiem, czy mieliście w Krakowie rozruchy głodowe. W Aragonii było ich kilka. To siła, która zmiecie każdą władzę. I każda władza, nawet najbardziej skorumpowana, dba o te sprawy ze szczególnym staraniem. Myślę, że oprócz łapówki Martin van der Beurse wysunął argument w postaci wiarygodności dostawcy. To krzyżacki komtur, członek bogatego i dbającego o reputację zakonu. Nawet jeśli działał na własną rękę, to roszczeń można dochodzić od Malborka. Rajcy Alicante na pewno to sprawdzili przed podpisaniem umowy.

– Co to oznacza?

– Że Lichtenstein jest doszczętnie zrujnowany. Jego kariera w zakonie legła w gruzach.

Jeszcze raz przeczytałem list, szukając informacji, co stało się dalej ze zbożem.

– A co ten twój żydowski pirat zrobił ze zbożem? – zapytał brat Mikołaj, jakby czytał w moich myślach.

– Nie wiem. Statki miały zostać ukryte w zatokach na wyspie Tabarca. To są dwie nieduże kogi, nawet lepiej. Ale to miało być wiele miesięcy temu. Spodziewam się, że Mahabud już sprzedał zboże. Nie zobaczymy z tego ani grosza...

Zamyśliłem się na chwilę. Nie, nie podaruję tak łatwo tych pieniędzy.

– Zapytajmy go o to – zaproponowałem. – Przygotuję list.

Nawet jeśli Mahabud mnie oszukał, to i tak zmazał wszystkie swoje winy. W polskich sądach, opowiadał mi kiedyś Rojek, skazuje się czasem na wejście pod ławę, udawanie psa i odszczekanie łgarstw. Czuję, że powinienem teraz zrobić to samo, odszczekać każde złe słowo wypowiedziane przeciwko Mahabudowi.



Nasza rozmowa, a w zasadzie perora ciotki Barbary na temat Ayhe, Stickera i mojej sercowej przyszłości miała jeden pozytywny skutek: doszło między nami do przełamania lodów. Przyjąłem to z ulgą. Ważną rolę odegrała w tym nadzieja ciotki na skłonienie mnie do przyjęcia chrztu. Nie zamierzałem zmieniać wiary, by uwodzić chrześcijańskie niewiasty. Kochałem Fatimę, co – jak widać – nie zostało jeszcze włączone w obieg krakowskich plotek. Nic też pani Barbarze o tym nie wspominałem, by nie zrywać ledwie co uprzedzonej nici porozumienia. Leciwa krakowianka mój brak sprzeciwu wzięła za dobrą monetę. A niech się stara, pomyślałem. Mogłem na tym tylko skorzystać.

Niedługo potem ciotka Barbara zarządziła, że będziemy razem zasiadać do posiłków. Jadałem wszystko poza wieprzowiną, więc kobiecina posunęła się nawet do tego, że poleciła kucharkom wykreślić to mięso z jadłospisu.

Przy posiłkach kazała sobie opowiadać o mojej rodzinie i o życiu w Saragossie. Poszukiwała mojego towarzystwa także po kolacji, gdy nadchodziła wieczornica,

czyli czas, kiedy krakowscy mieszczanie siadają do pogawędki o najróżniejszych sprawach minionego dnia.

Najstarsza siostra mojej matki, Żydówka z Saragossy, mawiała, że z dziesięciu miarek gadulstwa, które spadły na świat, dziewięć zabrały kobiety, a jedną reszta świata. Ciotka przyznała się, że jeśli sobie po kolacji nie pogada, nie ponarzeka, to źle trawi i nie może spać. Sadzała mnie przed sobą i skarżyła się na wysokie podatki, rozwichrzenie młodzieży, na dzieci, które kobiety rodzą bez opamiętania, a potem narzekają, że nie mają im co do gęby włożyć, na Żydów i obcokrajowców, którzy patrzą tylko, gdzie by tu z jej ojczyzny coś wyszarpać.

Ale przede wszystkim narzekała na los starych kobiet. Większość jej przyjaciółek (nigdy nie przyznała się, ile ma lat) to wdowy, tak jak ona. Staruchy, nikomu do niczego niepotrzebne, samotne, bo ledwie kilka znalazło kątek u swoich dzieci. Żyją pozbawione czułości, ciepła, pozostawione same sobie. Mogą tylko wieczorami pogrzebać w popiele kominka. Albo zagadać do kotów. Tyle im zostało. Ja przynajmniej mam ciebie, mówiła, bo Hanna większość czasu spędza teraz poza Krakowem. Zamiast pilnować dziewczki na wydaniu, pilnuję starych tynków, żeby nie odpadały, narzekała. Nie tak sobie wyobrażała starość. Pragnęła gromadki wnucząt i tętniącego życiem dużego domu, w którym czułaby się potrzebna i kochana.

Zdradziła, że uwielbia słodkie i słodkie nalewki, bez których nie ma teraz dla niej życia. Siadywaliśmy często w salonie i popijaliśmy jej ulubioną nalewkę z wiśni. W trakcie wieczornych posiedzeń ciotka często skarżyła się na Zawiszę, że taki powolny był w amorach.

– Gadają o nim, że lekkoduch i że dziewczki bałamuci, ale ja tego nie widziałam – powiedziała któregoś dnia. – Kiedy się tak z Hanną mieli ku sobie, chciałam im już pozwolić... Nawet miałam taki plan: żeby ich wyjazdem zmylić, a potem nagłym powrotem *in flagranti* przyłapać, skandalem zagrozić i do ślubu zmusić. Ale że nie byłby to chrześcijański postępek, to zaniechałam.

Po kilku dniach nabrałem śmiałości na tyle, by poprosić ją o więcej plotek na temat Hanny.

Ciotki Barbary nie trzeba było dwa razy prosić. Opowiadała cały wieczór. Dowiedziałem się, że Hanna trochę z woli ojca, ale też trochę z próżności skłaniała się ku Zygfrydowi. Pochlebiali jej, że ten młody, urodziwy pruski rycerz, do którego wzdychały wszystkie krakowskie mieszczyki, za nią tylko wodził oczami, gdy zjeżdżał do Krakowa na turnieje. A że ponoć tak jak w szrankach, tak i w sztuce dworskiej galanterii nie miał sobie równych, łatwo zawrócił dziewczynie w głowie.

Trochę też było w tym i zemsty: Hannę bolało, że Zawisza przez cały ten długi czas, jaki spędził w Aragonii, nawet słowa do niej nie napisał, mimo że rozstawali się czule jak kochankowie. A potem doszło do tego rozczarowanie, że o nią nie

walczył, gdy o umizgach Zygryda huczało już całe miasto.

Ciotka naląła jeszcze po dużej porcji wiśniówki. Kręciło mi się już w głowie.

– Hanna traktuje teraz Zawiszę jak znajomego kawalera. – Gospodyni poprawiła się na krześle. Musiała mieć mocną głowę, bo jej głos brzmiał czysto i sucho. – Za męża go już nie chce, choć chyba nadal kocha. Może jakby Zawisza się jakoś wykazał...

– A co powinien zrobić? – spytałem z nadzieją, że usłyszę jakąś cenną radę do przekazania.

Ale ciotka tylko wzruszyła ramionami. Potem wstała nagle od stołu.

– Widziałeś kiedyś jej pokój?

– Nie.

– No to chodź za mną, pokażę ci.

Patrząc mi w oczy, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Poczulem zapach świeżo mytej podłogi.

– Każę go codziennie wietrzyć i przemywać z kurzu. Hanna zawsze pojawia się niespodziewanie. To taka dla mnie radość. Nie przeżyłabym, gdyby musiała wejść do zatęchłej izby.

Wysokie łóżko zarzucone kolorową kapą, klęcznik, dwa święte obrazki na ścianie i pomiędzy nimi krucyfiks. Skrzynie, a na nich niezliczone mniejsze i większe szkatułki.

– Tu uciekała przede mną, jak już miała dość mojego gadania. – Śmiała się ciotka.

– To było zawsze jej schronienie przed światem. Płakała tu za matką. Tyle lat...

I pisała listy do ojca. Jak matka umarła, pisała codziennie list do ojca.

Stanęliśmy na środku pokoju. Kobięcie zaszklily się oczy.

– Wiesz, jak to powinno wyglądać? Ten jej romans z Zawiszą?

– Nie...

– To nic, że wyjechał, to nawet dobrze, to pobudza wyobraźnię. Taka misja dla Hanny to było coś wielkiego! No więc ona powinna tu siadać wieczorami, wyjmować ze szkatułki jego listy, całować je i czytać, czytać po wiele razy, i cieszyć się nim, jakby tu był w tym pokoju.

Ciężko westchnęła.

– Ale on nie napisał ani razu. Matko święta! Dwa lata!

– Mówią u nas, że gdzie to, co serce miłuje, tam ciągną nogi. Przecież wrócił do niej!

Ciotka skrzywiła twarz w grymasie niedowierzania.

– Bronisz go... A Tomasz chce jak najlepiej wydać córkę za mąż. Robi wielką karierę, to i nie dziwota, że wymagania ma coraz większe. Już mu Zawisza do nich nie pasuje. Ot, cała prawda.

Dowiedziałem się jeszcze, że Hanna miała szansę zostać dwórką. W początkowym okresie panowania Jadwidze towarzyszyły jej rówieśnice – Węgierki, z którymi

przebywała jeszcze na dworze Elżbiety Bośniaczki. Stopniowo miejsce Węgierek zajmowały Polki wywodzące się z najpierwszych domów. Ambicją panów polskich było, aby ich córki znalazły się na dworze. Zabiegał o to również Tomasz z Węgleszyna. Uważał, że jego ukochana córka byłaby idealną towarzyszką dla młodziutkiej Jadwigi. U boku królowej mogłaby zdobyć wykształcenie, rozwinąć zamiłowanie do nauki, poznać świat. Ponadto para królewska znana była z tego, że dbała, także finansowo, o odpowiednie mariaże dla swych dwórek. Jedną z nich, Elżbietę, wydano dopiero co za samego Spytka z Melsztyna.

Jadwigę otaczało ledwie kilka, najwyżej kilkanaście panien, konkurencja była więc duża. Tomasz przygotowywał córkę do tej roli od jej wczesnych lat młodzieńczych. Dziewczyna dużo czytała, ćwiczyła się w sztuce prowadzenia rozmowy.

Ciotka bardzo ubolewała, że królowa nie zaszczyliła jeszcze ich domu odwiedzinami. Jadwiga, zwłaszcza pod nieobecność Jagiełły, chętnie przyjmowała zaproszenia na niedzielne śniadania od krakowskich wielmożów. Bywała u Jana z Tęczyna, Mikołaja Kurowskiego, podskarbiego Hinczy z Rogowa. Tomasz, jej zdaniem, winien mocniej nalegać na włączenie takiej wizyty w plany królowej na którąś z niedziel.

Podobnie jak Zawisza byłem głęboko przekonany, że za donosami do Krzyżaków stoi Piotr Kmita. Dziwiło mnie niezmiernie, że polski wywiad kręci się w kółko za własnym ogonem i nie zdobywa żadnych nowych dowodów.

Sukces ze statkami sprawił, że poczułem krew i uwierzyłem, że mogę góry przenosić. Postanowiłem sam, na tyle, na ile mogę, zająć się Kmitą.

Najpierw zwróciłem się do Fatimy o pomoc w zdobyciu dodatkowych dokumentów ilustrujących wspólne operacje finansowe Osmana i Kmity. To, co otrzymałem od niej wcześniej, było zestawieniem pożyczonych sum. Teraz chciałem, by wynotowała daty, terminy i warunki spłaty, imiona żyrantów, i w ogóle wszystko, co uzna za ważne. Sam się sobie dziwiłem, że o to poprosiłem. Nieraz zastanawiałem się, jak to możliwe, że ten Szmul, doświadczony kancelista, zdradzał jej najskrytsze tajemnice swego patrona. Przekupiła go? No bo przecież nie robił tego za darmo. Czy nie pchałem przypadkiem Fatimy w jego ramiona?

W dzień spotykaliśmy się w różnych miejscach Krakowa, im dalej od dzielnicy żydowskiej, tym lepiej. W nocy skradałem się do niej dachami, jak dawniej. A od czasu do czasu, gdy ulice były już puste, wchodziłem głównym wejściem. Oczywiście też tylko nocą. Fatima dała mi klucz do bramy wejściowej, którą zawsze wieczorem starannie zamykała.

Z dnia na dzień nabierałem pewności, że będę szczęśliwy u boku tej kobiety. Jeśli wszystko się ułoży i będę mógł wrócić do Saragossy, wezmę ją ze sobą. Ziszcą się lęki krakowskich Żydów. Niech sobie myślą, że mieli rację, podejrzewając spisek.

Minęły już ponad trzy lata, odkąd po raz ostatni widziałem Ayhe. Przywoływanie w pamięci jej głosu, gestów, rysów twarzy przychodziło mi z coraz większym trudem.



Nie minął tydzień od mojej prośby, kiedy Fatima, wtulona we mnie jak szczenię, oznajmiła, że bez kłopotów, pod byle pretekstem dostała się jeszcze raz do domu Osmana i przejrzała umowy pożyczek.

– Byłaś ostrożna?

– Nie, nie byłam ostrożna, nie boję się, chciałam ci pomóc – powiedziała, sięgając nagim ramieniem na półkę nad łóżkiem. Wręczyła mi kilka papierowych

i pergaminowych zwojów.

– Co to jest?

– Umowy pożyczek.

– Zrobiłaś kopie? To niebezpieczne, mógł cię ktoś zobaczyć...

– Nie! Po prostu je wyniosłam. – W jej głosie pobrzmiwała osobliwa mieszanka dziecięcej dumy i beztroski. – To oryginały.

– Wyniosłaś?! Straciłaś rozum

– Przejrzyj. Potem odniosę. Nikt się nie zorientuje. Przecież nie przeglądają codziennie wszystkich dokumentów.

Kręciłem głową. To było nierozsądne. Teraz trzeba będzie wejść tam jeszcze raz. Zrobiła to specjalnie, żeby przyprawić mnie o szybsze bicie serca.

– Ktoś kręci się koło mojego domu – oznajmiła chwilę potem, żeby jeszcze bardziej mnie przygnębić. – Musisz przychodzić co noc... Chcę, żebyś się trochę o mnie martwił – dodała z uśmiechem.

Ale ja zacząłem naprawdę się o nią martwić. Na wyniesionych z kancelarii Osmana kartach papieru zapisano kilka kompletnych umów. Ze wszystkimi szczegółami. Przepisałem je, a oryginały zostawiłem u Fatimy. Kazałem je odnieść jak najszybciej i jak najostrożniej.



Warunkiem przynależności do możnowładczej elity zaangażowanej w życie polityczne kraju było posiadanie rezydencji w Krakowie. To sprawa prestiżu. Piotr Kmity, którego rozpięrały polityczne ambicje, nabył dom przy ulicy Grodzkiej, obok kamienicy należącej do jego żony, Przechny, córki piekarza królowej.

Rynek krakowski miał formę kwadratu o wymiarach dwustu długich kroków na dwieście. Zbiegało się w nim dziesięć ulic dochodzących prostopadłe; tylko Grodzka wychodziła pod kątem z południowego narożnika Rynku. Była to najważniejsza ulica w mieście, pierwszy odcinek drogi prowadzącej z Rynku w kierunku zamku na Wawelu. Kończyła się tuż za kościołem Wszystkich Świętych, w zasadzie biegła dalej aż do zamku, ale w jej obręb wliczano tylko te kamienice, które były położone przed resztkami murów sterczących z ziemi jako pozostałość po dawnym pasie obwarowań wokół podgrodzia, nazywanego Okołem. Dom Kmity był szósty, licząc od Rynku. Tak jak dwa sąsiednie, miał wąską dwupiętrową fasadę z trójkątnym, zębatym szczytem oraz dwuspadowy dach kryty dachówką.

Kilka piętér w kamienicach stojących po przeciwnej stronie ulicy było niezamieszkanymi. Zaobserwowałem to podczas codziennych spacerów. Podsunęło mi to pewną myśl, która szybko przeobraziła się w postanowienie. Otóż postanowiłem, że wynajmę mieszkanie w którejś z tych kamienic i będę codziennie, od świtu do zmierzchu, dyskretnie obserwować poczynania Petera

Holta, osobistego kancelisty Piotra Kmity. Nie miałem sprecyzowanych celów takiej obserwacji, ale byłem głęboko przekonany, że do czegoś mnie ona doprowadzi.

Dzięki pomocy Rojka dotarłem do właściciela jednej z kamienic. Szybko uzgodniłem warunki wynajmu pierwszego piętra, najbardziej reprezentacyjnego. Mieszkanie składało się z dużej izby, ciągnącej się wzdłuż całej fasady, z której miałem prowadzić obserwację, oraz trzech przylegających do niej sypialni, z oknami wychodzącymi na podwórze. Parter, gdzie kiedyś mieściły się zapewne pomieszczenia dla służby oraz jakieś magazyny, pozostawał na razie pusty. Na wyższe kondygnacje, w tym na moją, wchodziło się wąską klatką schodową z boku domu.

Mieszkanie było puste, bez żadnych sprzętów. W oknach tkwiły tafle grubego matowego szkła, oprawione w ołów. Zleciłem Rojkowi, by dyskretnie, najlepiej pod osłoną wieczornych ciemności, dostarczył do mieszkania jakiś siennik i przynajmniej dwa wygodne krzesła z oparciami. A potem by zakupił, nie bacząc na cenę, najlepsze szkło, jakie znajdzie w Krakowie, i wymienił jedną tafle, tak by można było bez otwierania okna obserwować, co dzieje się na ulicy i w domu naprzeciwno.

Przez kilka pierwszych dni tkwiłem w tak uzbrojonym oknie i obserwowałem bramę wejściową do posesji Kmity bez jednej przerwy. Spróbowałem nawet raz zostać w mieszkaniu po zapadnięciu zmroku. Ale okazało się to ponad moje siły. Podrygiwałem na każde skrzypnięcie podłogi. Wyobrażenia podsuwała mi przed oczy coraz koszarniejsze obrazy. Nie mogłem zapalić świeczki, by nie zdradzić swojej obecności, więc tylko co chwila odwracałem się za siebie i wbijałem wzrok w czerń zalewającą izbę. Nocnego czuwania więcej już nie powtórzyłem.

W ciągu dnia przez dom Piotra Kmity przewijało się kilka, może kilkanaście osób. Łatwo domyśliłem się, który z nich to Peter Holt. Różnił się od pozostałych bywalców strojem i postawą, związaną z podeszłym wiekiem. Wewnątrz przebywało na stałe co najmniej trzech zbrojnych. Peter Holt gościł też czasami niemieckich najemników, którzy eskortowali kupców odwiedzających Kmitę. Tu też zapewne przechodzili rekonwalescencję żołnierze pobici przez Sambora i Zawiszę.

Drugą grupę odwiedzających stanowili młodzi mężczyźni ubrani z cudzoziemska. Nie było dnia, by któryś z nich się nie pojawił. Czuli się pewnie. Tylko nieliczni pukali. Kilku z nich, zapewne stałych posłańców, nawet nie kołatało, lecz od razu pchało barkiem ciężkie drzwi i znikало w sieni.

Po tygodniu samotnych obserwacji zaproponowałem Rojkowi, że zapłacę mu za trwanie na czatach razem ze mną, przynajmniej kilka godzin dziennie. Zgodził się z ochotą. Musiałem go wtajemniczyć w całą sprawę, ale miałem do niego pełne zaufanie, zresztą nie było innego wyjścia. Jeśli miałem doprowadzić swój zamiar

do końca, jego pomoc prędzej czy później i tak stanie się niezbędna.

W dziwnie ubranych mieszczanach Rojek rozpoznał włoskich kupców i ich pomocników, wykorzystywanych zapewne w roli gońców. Kilka razy zjawili się też posłańcy krzyżacy. Tych umiałem już sam rozpoznać po błękitnych uniformach.

Rojek bardzo się dziwił, że Włosi tak intensywnie odwiedzają Kmitę. A w zasadzie kancelistę Kmity, Petera, bo sam Kmita, mieszkając na Wawelu, nie przekroczył progu swego domu ani razu. Nauczyciel kilka razy poszedł za owymi cudzoziemcami aż do bram Kazimierza, ale nic z tego nie wyniknęło poza ustaleniem, że byli posłańcami genueńskich kupców i finansistów ze spółki Datiniego.

Codziennie zasiadałem przed oknem i obserwowałem dom Kmity przy Grodzkiej. Wiedziałem już wszystko o zwyczajach Petera i jego żołdaków. Wystawanie godzinami przy oknie w zimnym i pustym mieszkaniu sprawiało, że coraz częściej nawiedzały mnie dziwne wyobrażenia i lęki. Bałem się zemsty komtura. Wzięci do niewoli Francuzi są już zapewne na wolności. Musiała rozejść się wśród rycerstwa wieść, że oddział komtura został wybity niemal do nogi tuż pod nosem samego wielkiego mistrza i jego armii. I zapewne wiadomo było też, kto dowodził napadem.

Zdarzało się, że siadałem na chwilę na krześle i zapadałem w dziwną, lękliwą drzemkę, z której budziłem się mokry od potu.

Kazałem Fatimie starannie zamykać drzwi i okiennice. Skoro ja chodziłem do niej po dachach, to każdy mógł się do niej w ten sposób dostać. „Nie mam już kochanka poza tobą, a tylko kochanek może ryzykować życie łażeniem po stromych dachach”, śmiała mi się w twarz. „Teraz musisz mnie strzec i wszystkie noce spędzać ze mną”, powtarzała.

Któregoś popołudnia zasnąłem z czołem opartym o szybę. Przyśniła mi się staruszka, drobna, mała, w turkusowej tunice z wielkimi srebrnymi guzikami. Szliśmy, trzymając się za ręce. Ona nie odwracała głowy. Widziałem tylko jej włosy, siwe, brudne, zawszone, mówiła chyba wcześniej, że przyłynęła statkiem. Byliśmy w Gdańsku. Padało. Rozpoznałem, że staruszka miała buciki i tunikę Zoe; szarpałem ją za rękę, by powiedziała, skąd je ma, ale nie chciała na mnie spojrzeć. W końcu obróciła do mnie twarz...

Obudził mnie trzask deski w podłodze. Pojedynczy, jakby ktoś zrobił nagły krok, a potem zastygł w bezruchu.

Zerwałem się na równe nogi, zeszywniały z zimna i strachu. Za oknami było już całkiem ciemno. Ciężkie krople uderzały o szybę. Musiałem spać kilka godzin! Nigdy nie wracałem przez miasto o takiej porze. Po omacku dotarłem do drzwi i z ulgą znalazłem się na schodach.

Po otrąbieniu gaszenia ognia w mieście zapadały ciemności. Jedyne punkty świetlne w Krakowie były ustawiane oszczędnie wysokie latarnie, nazywane latarniami umarłych, które rzucały z wysokości blade światło na cztery strony świata, wskazując drogę do przytułków i szpitali. W tej części miasta była tylko

jedna taka latarnia, przy szpitalu Świętego Ducha, i na nią się kierowałem.

Przejsście przez miasto podczas ulewy to prawdziwe wyzwanie. Teraz nocą woda grzmiała jak wodospad. Środkiem ulic biegly kanały, które miały zbierać wodę ściekającą z rynien wystających do połowy ulicy. Przy ulewnym deszczu, takim jak dziś, całą szerokością ulicy płynęła rzeka błota, odchodów i śmieci.

Musiałem kluczyć po mieście, aby nie napatoczyć się na nocnych strażników i nie narazić na pytania z ich strony. Idąc bocznymi uliczkami, modliłem się, by nie wpaść na jakąś zbójcką bandę czy grupę hazardzistów, którzy upodobali sobie zaułki nocną porą, gdzie kryjąc się przed żonami, strażnikami i samym Panem Bogiem, oddawali się nałogowi. Ale w taką pogodę nawet awanturnicy pochowali się w mysich dziurach.

Nie na wszystkich ulicach zainstalowano drewniane podesty i chwilami brodziłem w rzadkim błocie po kolana.

Na koniec musiałem jakoś przejść przez Rynek. Każda ulica odchodząca od placu była wyposażona w otwarte od góry drewniane rynsztoki – to nimi spływała deszczowa woda z ulic na Rynek, tworząc kałuże rozmiarów małych jezior.

Wreszcie dotarłem do bramy domu Fatimy. Przez całą drogę ścisnąłem w dłoni klucz, modląc się, by dotrzeć bezpiecznie do suchej przystani i ogrzać się w ramionach kochanki. Klucz nie był mi jednak potrzebny, brama była uchylona.

Zapaliłem kaganek od *mechero*. Zrzuciłem z siebie przemoczony płaszcz i cisnąłem go na stertę gratów, które zalegały w sieni nigdy niesprzątane. Ruszyłem schodami w górę. Kilka razy poślizgnąłem się na mokrych stopniach. Wszędzie leżało błoto, świeże. Za dużo go jak na brudne buty jednej osoby.

Zaniepokojony zdmuchnąłem płomień lampy.

Ślizgając się, piąłem się coraz wyżej. Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Panowała całkowita cisza.

Wszedłem do sypialni Fatimy. Uderzył mnie duszący smród odchodów i krwi.

Serce waliło mi jak oszalałe. Ręce mi się trzęsły, nie umiałem zapalić *mechero*. Podniosłem wzrok. Teraz coś widziałem. Coś na tle okna. Powoli oczy wydobywały z mroku pełny kształt. Kształt kobiecej postaci, nagiej, wysokiej, wyższej niż Fatima. Boże przenajświętszy!

Postać miała spuszczoną głowę, jakby wstydziała się swojej nagości.

Nie byłem w stanie się poruszyć.

W końcu wykrzesalem iskry. Koniec knota zaczerwienił się od żaru. Po chwili kaganek wypełnił izbę ciemnożółtym światłem.

To była Fatima. Wisiała na cienkim sznurze, palcami stóp dotykała podłogi. Z jej ust wylewał się ciemny język, nienaturalnie długi i ciężki, jak kawałek brudnej szmaty.

Kraków, jesień 1394 – wiosna 1395

Dni po śmierci Fatimy były dla mnie koszmarem. Prowadzenie wojny na Litwie to jak wyprawa do piekła, tyle tam okrucieństwa. Tyle że od tamtego piekła się uciekało, zostawiało je za sobą, za bagnami i lasami, można było sobie przysiąc, że nigdy się tam nie wróci. Od wydarzeń w domu Fatimy nie mogłem uciec. Czuję się za tę potworność odpowiedzialny, a tego nie da się porównać z najgorszymi obrazami śmierci, jeśli patrzy się na nie niewinnymi oczami.

Całymi dniami nie opuszczałem domu Hanny.

Na drugi dzień zbadano dokładnie miejsce zbrodni, ślady, sposób dokonania morderstwa. Nikt o mnie nie wspominał. Oficjalnie uznano, że powodem był zwykły rabunek. Fatima, mimo że znaleziona naga, nie została ani przed śmiercią, ani po śmierci zhańbiona, tak orzekł medyk. Wykluczono też samobójstwo. Haki wisiły zbyt wysoko, a żaden taboret nie leżał koło zwłok. Kręgi szyjne były złamane. Ktoś ją zamordował i nie starał się pozorować samobójstwa.

Zapraǳnęłem zdemaskowania Kmity jak nigdy przedtem. Owładnęła mną żądza zemsty podsycana przekonaniem, że zamordowanie Fatimy to dzieło albo Kmity, albo komtura von Lichtensteina, albo ich obu.

Ciotka Barbara jako jedyna starała się mi pomóc, jakoś zająć mi czas. Opowiadała o wszystkim, ani razu nie poruszając tematu Fatimy.

W kilka dni później zjawił się w naszym domu Zawisza. Od razu wyznał, że o wszystkim już wie. On również nie miał wątpliwości, kto stał za tą straszliwą zbrodnią.



Czekaliśmy na ruch ze strony komtura von Lichtensteina. Utrata statków oraz perspektywa braku zapłaty za poprzednie dostawy zboża do Alicante musiały go przyprawić o potężny ból głowy. Aby zatuszować sprawę, przynajmniej do czasu zażegnania kryzysu i zorganizowania nowych dostaw, komtur musiał jakoś zapewnić środki na sprawne funkcjonowanie komturstwa. Potrzebował bardzo dużo pieniędzy. I potrzebował ich szybko. Takiej pożyczki nie mógł negocjować w Prusach ani w Niemczech; padłyby pytania, a tu potrzebna była całkowita dyskrecja.

Polski wywiad od kilku miesięcy starannie się do tego przygotowywał. Główni

bankierzy żydowscy zostali wezwani do Tęczyna i tam przedstawiono im prośbę nie do odrzucenia: by każdy kontakt ze strony Krzyżaków w sprawie pożyczki natychmiast zgłaszali staroście. Wszystko w największej tajemnicy. Żydzi wiedzieli, że niepodporządkowanie się temu zaleceniu ściągnie na ich głowy niechęć króla i jego najbliższego otoczenia. Był to szantaż, ale – jak twierdził zakonnik obecny podczas tego spotkania – został przyjęty ze zrozumieniem. Z Żydami dobrze się robiło interesy, bo byli praktyczni, nie unosili się dumą, honorem. Jan z Tęczyna, przedstawiając im taką prośbę, zaciągał u nich dług wdzięczności, co Żydzi prędzej czy później skrzętnie wykorzystają. Pochylili więc w skupieniu głowy i obiecali przez najbliższe miesiące informować o każdej próbie kontaktu ze strony krzyżackich dostojników.

Osman, rzecz jasna, nie został na to spotkanie zaproszony. Istniało spore ryzyko, że doniesie o wszystkim Kmicie. Tęczyński, wiedząc dużo o jego relacjach biznesowych, między innymi dzięki informacjom przekazanym przez Fatimę, skontaktował się z trzema najważniejszymi dłużnikami Osmana i nakazał im wstrzymanie spłat, zobowiązując się pokryć odsetki. Wszyscy chętnie na to przystali. Czwartym dużym dłużnikiem bankiera był sam król, który i tak w najbliższym czasie nie miał zamiaru nic Żydowi zwracać. Osman pozbawiony płynnych aktywów prędzej będzie naciskał na Kmitę z żądaniem terminowego zwrotu, niż myślał o pożyczaniu mu kolejnej dużej sumy.

Na pożyczkodawcę dla komtura wytypowano Lewka. Król za tę przysługę zaoferował mu kilka atrakcyjnych arend.

Aby zasłonić dymem te konszachty, posunięto się nawet do sądowej mistyfikacji: ktoś z otoczenia króla wytoczył Lewkowi proces, a nawet aresztowano starego Żyda na pewien czas, co starannie nagłośniono. Tworzenie wrażenia konfliktu przez fikcyjne pozwy to sztuczka stara jak świat, ale zadziwiająco skuteczna.

Sidla zostały więc zastawione. Czekaliśmy na zwierzynę.

Wiele jeszcze wody upłynęło w Wiśle, nim wreszcie któregoś wiosennego dnia Lewko otrzymał informację, że do jego filii w Piotrkowie zapukał kurier w niebieskiej pelerynie z prośbą o pilne spotkanie w Gdańsku. Zapraszał sam komtur brodnicki Karol von Lichtenstein.

Kraków, Gdańsk, wiosna roku Pańskiego 1395

Lewko poinstruowany przez Tęczyńskiego odpisał komturowi, że dwaj jego wysłannicy zjawią się w Gdańsku we wskazanym terminie.

Zawisza uparł się, że to on pojedzie. Chciał stanąć z Lichtensteinem twarzą w twarz. Ja zgłosiłem się na jego pomocnika. Znałem się na tym, bo już kiedyś, w imieniu mojego wuja, występowałem w roli bankiera, który ma pieniądze i chętnie je pożyczy, jeśli otrzyma dobre warunki. To było dawno, ale jeszcze pamiętałem, jak stwarza się odpowiednie pozory.

Po tym, co stało się z Fatimą, nikt nie ośmielił się mi odmówić. Wszyscy uznali, że mój wyjazd z Krakowa jest jak najbardziej pożądany. Ja też nie pragnąłem niczego innego.

Teraz należało się odpowiednio przygotować do spotkania z Lichtensteinem. Lewko wprowadził mnie w detale bankowych pożyczek, we wszelkie zasady, których się trzymał. Umowę miał podpisać on, ale zostałem upoważniony do wynegocjowania warunków. Tęczyński natomiast instruował Zawiszę, w jaki sposób powinien zachować się wobec krzyżackiego komtura, gdy ten będzie się bronił, kąsał i groził.



Drogę z Krakowa do Torunia pokonaliśmy wygodnym traktem handlowym przez Miechów, Kurzelów, Piotrków, Łęczycę i Brześć Kujawski. Z Torunia do Gdańska podróżowaliśmy Wisłą. Zawisza dogadał się z szyprem jednego ze statków rzecznych. Dziwne, że krakowski handel nie korzystał z Wisły, a wszystkie towary szły drogami lądowymi. Jedynie drewno spławiane było rzeką do Torunia i do Gdańska.

Towarzyszył nam Sambor. Był potrzebny ktoś, kto wie, co robić, gdyby zatrzymano nas na zamku.

Monotonna droga szerokim wodnym szlakiem, przerywana jedynie krótkimi postojami w portowych komorach celnych, sprzyjała rozmyślaniom.

Jaki był komtur von Lichtenstein? Spójrzmy diabłu w oczy? Potężny, z szerokimi ramionami? Niski, drobny, rudy, ciemny?

Sięgałem pamięcią do najstraszniejszych opowieści, legend o piekielnych mocach panoszących się na ziemi, relacji żołnierzy z dokonywanych zbrodni, ale żadna

z tych historii nie mroziła tak umysłu i serca jak to, co zobaczyłem na Litwie. Ale może Lichtenstein tam nie zgrzeszył? Może przybył z krzyżackim oddziałem, gdy jego knechci dokonali już zbrodni, a on, zrozpaczony tym, co zastał, kazał uporządkować miejsce kaźni?

Czy komtur wietrzył podstęp? Czy nie był za sprytny, by w tak prosty sposób dać się wywieść w pole? Zawisza uważał, że Krzyżak nie podejrzewa polskiego wywiadu o działanie tak daleko od pruskich granic. Skąd Polacy mogliby wiedzieć o katastrofie, która wydarzyła się na drugim krańcu świata? Dlaczego zakonnik miałby podejrzewać, że za kłopotami Żyda Osmana stoi król?

Zawisza zdawał sobie sprawę, że negocjacje z Lichtensteinem to szansa na złapanie zdrajcy, ocalenie pozostałych przy życiu agentów.

Dlaczego sami Polacy nie przerwali tego łańcucha śmierci? Dlaczego nie ostrzegli swoich kupców, wiedząc, że czeka ich śmierć w męczarniach? Zawisza tłumaczył to tym, że gdyby ich wywieziono z Prus, zakon mściłby się na rodzinach, gdyby zaś uciekli z rodzinami, karę ponieśli by dalsi krewni. Tak ze zdrajcami postępowali Krzyżacy. Tyle że można było upozorować naturalną śmierć, wymyślić tysiąc innych forteli, by tych ludzi uwolnić od katowskich męczarni. Teraz ilu zostało? Dwóch? Czyż nie posługiwano się nimi jak przynętą? Póki zdrajca ich demaskuje, póty jest szansa na jego ujawnienie.



W Gdańsku barka dowiozła nas aż do przystani w pobliżu Bramy Kogi. Przy akompaniamencie krzyku mew weszliśmy na ten sam pomost, z którego ponad trzy lata temu rozglądaliśmy się po porcie, starając się zrozumieć przyczyny śmierci Krzysztofa Lobeschitza.

Ruszyliśmy wąską ścieżką biegnącą wzdłuż murów oddzielających miasto od piaszczystego wybrzeża Motławy. Przy Targu Rybnym, za którym znajdowała się już zamkowa fosa, rozstaliśmy się z Samborem. Zawisza przykazał mu nie ruszać się z miejsca, aż do naszego powrotu.

Przy bramie zamkowej Zawisza podał knechtom cel wizyty. Wedle oficjalnej wersji przybywaliśmy do komtura gdańskiego z listami od Jana z Tęczyna. Tak widniało na kredytywie, liście uwierzytelniającym, w który wyposażył nas starosta. Brama znajdowała się w przyziemiu potężnej, zwróconej frontem do miasta baszty, nazywanej Rybacką, która broniła dostępu do zamku od strony Głównego Miasta i kontrolowała port na Motławie.

Po kwadransie ciężkie podwoje się rozwarły. Ruszyliśmy w nogę za milczącym pachołkiem.

Zamek składał się z dwóch części. Zamek wysoki – czworoboczny, z wieżami w narożach – otoczony był fosą od północy i zachodu, a od wschodu i południa wodami Wisły i Motławy. Założony był na planie kwadratu o bokach około stu

łokci, z dziedzińcem wewnętrznym o krużgankach murowanych w partii przyziemia, wyżej drewnianych, oraz z szerokimi skrzydłami, z basztami w narożach.

Na północ i zachód od zamku wysokiego znajdowało się przedzamcze, gdzie mieściły się budynki gospodarcze: młyn, kuźnia, folwark, spichrze oraz duża stajnia na co najmniej pięćdziesiąt koni.

Zawisza twierdził, że konwent składa się z trzydziestu braci i dwóch księży. To głównie ludzie z Turyngii, z tych samych stron co Lichtenstein, dlatego tak lubił tu bywać. Biorąc pod uwagę służbę i innych zbrojnych, na zamku przebywało około stu osób.

Komturem gdańskim był znany łotr i gnębiciel miasta Jan von Rumpenheim. Słynął z tego, że niemal wszystkie rozmowy były spisywane przez jego tajnego sekretarza. Podobno przejął ten zwyczaj od swego współnika Karola von Lichtensteina. Gdy omawiano sprawy poufne, sekretarzowi towarzyszył duchowny, który również składał podpis pod raportem ze spotkania, świadcząc o jego rzetelności.

Po przejściu przez podzamcze zostaliśmy wprowadzeni do południowego skrzydła zamku. Tam nasz przewodnik oznajmił, że nie poprowadzi nas do gdańskiego komtura, gdyż ten przebywa w mieście, wizytując zakonny młyn. Ale wróci, mówił, jeśli pragniemy go zobaczyć, bo dziś i jutro gości u siebie grupę gdańskich kupców. W tym czasie przyjmie nas, jak oznajmił uroczystym tonem knecht, dostojny komtur brodnicki Karol von Lichtenstein.

Po kamiennych schodach wspięliśmy się na pierwszą kondygnację. Drewnianym krużgankiem okalającym spory wewnętrzny dziedziniec doszliśmy mniej więcej do połowy zamkowego skrzydła. Pacholek nie zakołatał do drzwi. Pchnął je mocno i wprowadził nas do niewielkiej pustej sali, a potem zniknął bez słowa. Znajdował się tu tylko stół, a obok niego regał albo szafa zasłonięta ciężką tkaniną. Wzdłuż ściany naprzeciwko stołu ciągnęły się drewniane ławy bez oparcia. W rogu znajdował się duży kominek, teraz wygaszony. Ławy były niewygodne, brak oparcia sprawiał, że plecy dotykały nierównej i zimnej kamiennej ściany. Po godzinie otworzyły się boczne drzwi i stanął w nich ten sam knecht.

– Komtur Karol von Lichtenstein – oznajmił donośnym głosem, po czym odsunął się, by zrobić miejsce dla idącego za nim mężczyzny.

Gdańsk, wiosna roku Pańskiego 1395

Karol von Lichtenstein był wysokim, barczystym mężem o urodziwej, ogorzałej twarzy. Nosił krótko obcięte włosy bez śladu siwizny i starannie przystrzyżoną brodę. Jego duże, silne dłonie wydawały się stworzone do miecza. Spoglądał na nas szeroko osadzonymi, ciemnymi jak węgiel oczami, w których czaiły się przebiegłość i okrucieństwo. Surowość spojrzenia potęgowały gęste brwi zbiegające się u nasady nosa. Swą postawą budził lęk i szacunek. Nie wyglądał na szaleńca.

Ubrany był bardzo skromnie: w obcisłe czarne spodnie, proste skórzane buty bez ozdób, czarny sznurowany dopasowany dublet i długi biały płaszcz z kapturem. Na płaszczu, z lewej strony, widniał duży czarny krzyż biegnący od początku ramienia do nadgarstka.

Karol von Lichtenstein spodziewał się, że za chwilę rozpocznie negocjacje w sprawie kredytu; szacowałem jego potrzeby na jakieś dwa tysiące złotych florenów. Wyglądał na opanowanego, pewnego siebie. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, była jak skórzana maska. Minęły miesiące, odkąd dowiedział się o utracie statków. Miał dość czasu, by powyklinać i upić się z wściekłości. Na pewno jakoś wytłumaczył sobie porażkę i osłodził ją nadzieją na szybki zarobek. Każdy kupiec tak robi, wiele razy w życiu. Dwa tysiące florenów to bolesna strata, lecz przy skali interesów, jakie prowadził, łatwa do odrobienia.

Czerpałem wielką satysfakcję ze świadomości, że za chwilę, za moją sprawą, runie na niego lawina trosk. Jego świat się zawali. Roztrzaskam tę jego maskę obojętności na kawałki jak glinianą skorupę. Gdy po naszym wyjściu Karol von Lichtenstein wyjrzy przez okno, zobaczy inny, gorszy świat.

Komtur gestem dłoni odprawił strażnika.

– Nie wyglądacie na Żydów... Stary Lewko zatrudnia teraz chrześcijan?

W odpowiedzi Zawisza podał komturowi kredytywę od Tęczyńskiego.

Lichtenstein złamał pieczęć i powiódł szybko oczami po liście. Potem jeszcze raz. Czytał uważnie. Odłożył pismo. Podniósł wzrok i przyglądał się nam bacznie przez dłuższą chwilę. Myśli jedna za drugą pchały mu się do głowy. Pierwszy cień niepokoju przemknął przez twarz komtura. To, że Lewko współdziałał ze starostą sieradzkim, jego śmiertelnym wrogiem po drugiej stronie granicy, oznaczało, że Tęczyński wie o jego długach. To złe, ale to jeszcze nie koniec świata.

Zawisza podniósł się z ławy, podszedł do stołu, za którym siedział komtur, i nachyliwszy się, powiedział, że zamierzamy rozmawiać o pieniądzach i że – tak nam się wydaje – lepiej byłoby to robić w pomieszczeniu bez świadków.

– Przejdźmy do skryptorium. Mam tam wszystkie dokumenty – odpowiedział komtur ze spokojem w głosie.

Wychodząc z komnaty, rzucił nam niechętnie spojrzenie. Podążaliśmy pół kroku za nim, jak jego świta. Komtur instynktownie rozpoznał w Zawiszy tego ważniejszego z nas dwóch, bo do niego odwrócił głowę.

– On musi z nami iść? – spytał, mając zapewne mnie na myśli.

– To mój sekretarz.

– Ja nie mam swojego.

– Wiem, właśnie zostawiliśmy go za kotarą, na twoje życzenie, panie.

Komtur przyspieszył kroku.

– Mam dobre wieści – powiedział Zawisza.

– Dla mnie czy dla twojego pana? – rzucił przez ramię Lichtenstein.

– Dla obu stron.

– To niemożliwe, nie ma takich wieści.

Zatrzymaliśmy się przed ciężkimi drzwiami wzmocnionymi pasami blachy. Lichtenstein wyjął z kieszeni klucz wielkości dłoni, włożył go do zamka, energicznie przekręcił i pchnął drzwi. Wyciągnął ramię w zapraszającym geście. Znaleźliśmy się w małej izbie z kominkiem, dużym dwudzielnym oknem z matowego szkła, którego prawe skrzydło było uchylone. Komtur zamknął je zaraz po wejściu i pomieszczenie pogrążyło się w białym świetle, jak z sennej mary. To skryptorium było, jak sądziłem, osobistą komnatą komtura Karola von Lichtensteina. Był częstym gościem w gdańskim zamku, nic dziwnego, że oddano mu do dyspozycji jedno z pomieszczeń zamykanych na klucz. Izba była bardzo surowo urządzona. Ławy pod ceglanyścianami, jeden duży stół, dwa krzesła. I skromny pulpit – ustawiony pod kątem lekki blat na prostym słupku.

Usiedliśmy przy stole. Komtur z jednej strony, my z drugiej. Obrzucił nas twardym spojrzeniem. Milczał. Czuł się panem sytuacji. Niczego się nie domyślał.

– W liście stoi, rycerzu, żeś zaufany starosty i mam z tobą rozmawiać, jakbym z nim samym rozmawiał – odezwał się w końcu, rozkładając pismo od Tęczyńskiego. Jeszcze raz przebiegł po nim wzrokiem. – Nie ma tu twego imienia. Kim jesteś?

– Zwą mnie Zawisza. Zawisza Czarny herbu Sulima.

Komtur zachował spokój. Ale twarz mu stężała. Tego nie umiał opanować, tych ledwie dostrzegalnych drgań mięśni twarzy, które zmieniają wyraz oblicza z obojętnego na nienawistny.

– Chcesz stąd wyjść żywy?

Zawisza nie odpowiedział. Nie dziwiłem się, bo pytanie było pozbawione sensu.

– No to ci daję małe szanse – ciągnął komtur. – Starosta żadnym listem nie zmaże twoich zbrodni. Pobiliś i uczyniliś kalekami moich żołnierzy, służąc poganom, napadłeś na mój oddział, zamordowałeś lub uprowadziłeś dla okupu zakonnych gości, naraziłeś mnie na śmieszność, a zakon na hańbę i koszty.

– Nie szukam śmierci. – Zawisza mówił cicho. – Gdybym jej szukał, powiesiłbym się na wysokim drzewie. Szybko i bez zbędnej zwłoki.

– Ha! To prawda. Tu cię trochę potrzymamy.

– Mylisz się, komturze. Nie potrzymasz mnie tu.

– No to znaczy, że masz mi coś bardzo ważnego do powiedzenia. Bo ja mam obowiązek cię zatrzymać. Tak stanowi prawo. Skrzywdziłeś zakon. Mordowałeś braci zakonnych, jego gości, jego sługi...

– Jestem tu, by porozmawiać o współpracy – przerwał mu Zawisza.

Myślę, że gdyby rozmowa miała choć jednego świadka ze strony Krzyżaków, takie bezceremonialne przerywanie komturowi musiałyby się spotkać z surową reakcją. Ale teraz komtur jej zaniechał.

– Nie! To nieprawda. Tęczyński nie wysyłałby cię w tej sprawie. Nie on. Jest... zbyt ograniczony. Nie ma takiego poczucia humoru.

– Nie znacie go, komturze, często śmiejemy się do łez. Ostatnim razem tuż przed wyruszeniem w drogę do Gdańska. Jesteś w wielkiej potrzebie, brakuje ci pieniędzy, a starosta w moje ręce złożył decyzję, czy ci je pożyczyć. Czy to nie jest wystarczająco zabawne?

O dziwo, wyraz niepokoju zniknął z twarzy Lichtensteina. Świadomość, że ma w rękach Zawiszę, oszołomiła go. Oczy zabłyśły radosną chciwością, jak biedakowi, który podniósł z ziemi złotego florena. Prezent od losu, od Stwórcy. To mu dodało otuchy, jeśli jej w ogóle potrzebował.

– Dość mam tej błazenady. Straże! – wrzasnął tak głośno, że poczułem ból w uszach.

Teraz moja kolej.

– Otrzymaliśmy informacje, dostojny panie, że twoje statki ze zbożem zostały zatrzymane u wybrzeży Alicante – zacząłem spokojnie.

Komtur usłyszał moje słowa, mimo to gwałtownie otworzył drzwi.

– Nie wpuszczać ani nie wypuszczać z tej izby nikogo – warknął do knechtów. – Ustawić strażę na głównej bramie. I czekać na dalsze rozkazy.

Zatrzasnął z hukiem drzwi. Stał za naszymi plecami. Nie wracał do stołu. Odwróciłem się na krześle, opierając przedramię nienaturalnie wysoko na oparciu. Nabrałem powietrza w płuca i powiedziałem:

– Wasza spółka, panie, zainwestowała dwa tysiące florenów z majątku komturstwa. Statki zostały przechwycone przez piratów u wybrzeży Alicante. Towar nie był ubezpieczony, a to wasza spółka za niego odpowiadała. Kontrakt podpisał działający w waszym imieniu agent Martin van der Beurse. Ma kantor w Walencji

przy ulicy Los Postigos. Wpłacił kaucję, którą miał pobrać z zapłaty za zboże. Ale ta zapłata nie nastąpi. Nie nastąpi też zapłata za poprzednią dostawę. Agentowi Martinowi van der Beurse'emu wymierzono już zapewne surową karę za nieterminowe dostarczenie towaru zgodnie ze statutem miasta Alicante i warunkami kontraktu.

Mówiłem szybko, beznamiętnym głosem, tak jak stary jurysta, wyga, kiedy odczytuje w sądzie wyrok śmierci, pokazując wszem wobec, że ma to gdzieś, bo ani to pierwszy, ani ostatni stryczek, który napnie się po jego decyzji.

– Aby uwiarygodnić swoją spółkę – ciągnąłem – występowałeś jako komtur krzyżacki, a to daje podstawy Martinowi van der Beurse'emu do roszczeń wobec zakonu. Te zaś będą obejmowały karę za niedostarczenie zboża oraz koszty interwencyjnych zakupów. A tu rajcy kupują z wolnej ręki, szybko i drogo. Przeważnie dwa albo nawet trzy razy drożej, jeśli dostawca jest dość sprytny, by się z nimi dogadać. Rozumiecie, panie – mówiłem jak do idioty – to i tak idzie z waszych pieniędzy. Łącznie Martin van der Beurse będzie się domagał od was, panie, a jeśli nie zapłacicie, to od zakonu, około dwóch tysięcy złotych florenów. Tych pieniędzy potrzebujecie natychmiast, o ile już nie jest za późno. Na taką kwotę jesteśmy wam gotowi udzielić kredytu. To dużo pieniędzy, ale tylko tak możecie się uratować.

Po czym dodałem w myślach: i tak jesteś zrujnowany. Brodnica jest zrujnowana. Twoja kariera w zakonie dobiegła końca. Prędzej czy później czekają cię więzienie i stryczek. Będziesz chodził na polskim pasku aż do śmierci. A ja jestem tym, który do tego doprowadził. Jestem szczęśliwy, że Bóg pozwolił mi powiedzieć ci to w twarz.

I wróciłem do normalnej pozycji przy stole, odwracając się tyłem do stojącego wciąż przy drzwiach komtura.

– Otworzę te drzwi i resztę życia spędzicie przykuci do ściany. – Dobiegł mnie zza pleców jego niespodziewanie spokojny głos. – W lochu. Tuż pod waszymi nogami. Kilka piętér niżej. Nie przywykłem do gróźb.

– Będziesz musiał, komturze. Ale na razie to nie jest groźba... – odezwał się Zawisza. – To tylko propozycja. Powiem ci, dostojny komturze, czego chcę w zamian za pożyczkę.

Cisza. Żadnego wrzasku, wzywania strażników.

– Po pierwsze, masz w otoczeniu Jagiełły swojego człowieka. Jan z Tęczyna chce poznać jego imię. Jeszcze dzisiaj. – Zawisza nie odwrócił się tak jak ja. Mówił do pustego krzesła. – Po drugie, starosta chce, byś wyjawiał nam listę wszystkich krzyżackich szpiegów. W miastach, starostwach, wszędzie i wszystkich. Na to możemy kilka dni poczekać. Tydzień. Ile będziesz potrzebował na jej sporządzenie. – Ty psie! – rozległ się syk, a potem usłyszałem skrzypienie ciężkich drzwi. I znów ten gardłowy półwrzask. Po niemiecku. Zapewne do strażników. Tym razem nie

zrozumiałem, co do nich powiedział. Po posadzce zadudniły ciężkie kroki. A potem szuranie krzesła. Zawisza wyszedł z nimi bez szarpaniny. Stało się to tak szybko, że nie zdążyłem wymienić z nim spojrzenia.

– Twój pan zgnije w lochu. Albo nie, nie zgnije, bo go prędzej zamęczą – powiedział Karol von Lichtenstein, gdy zostaliśmy sami. – Muszę przyznać jako żołnierz, że podziwiam jego odwagę. Ale jako człowiek roztropny gardzę głupcami. A to, co zrobił, było głupie. On. Bo jak rozumiem, ty jesteś jego sługą i robisz, co ci każe?

Przytaknąłem lekkim skinieniem głowy.

– Przepytam cię. Jeśli będziesz grzecznie odpowiadał, to może ocalisz głowę.

Komtur usiadł naprzeciw mnie. Nie było widać po nim wzburzenia. Zrobił sprytnie, stając za naszymi plecami. Nie widzieliśmy jego twarzy, a on miał czas ochłonać.

– Jak cię zwać?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Głos uwiązał mi w gardle.

– Jeżeli to za trudne pytanie, to nie wiem, co będzie dalej.

– Aaron – wydusiłem. – Aaron Abnarrabí.

– Jesteś Żydem?

– Tak.

– Skąd pochodzisz?

– Z Saragossy.

– Skąd się tu wzięłeś?

– Szukam kogoś.

– Kogo?

– Kobiety...

Wybuchnął śmiechem.

– To jakieś szaleństwo! Skąd taki żydowski pacholek wie tyle o moich statkach?

Wiesz dużo! Skąd?

– Wykonywałem rozkazy.

Lichtenstein uderzył dłonią w stół. Wściekłość wybiła mu na twarz.

– Jeszcze chwila i skończysz jak ten zbój! Ratuj swoją żydowską skórę, bo mam ograniczoną cierpliwość!

– Polski wywiad dowiedział się o waszych operacjach, dostojny panie. O sprzedaży niewolników włoskim kupcom, a potem o inwestycjach w handel zbożem. Wynajęto mnie, abym sprawił, żeby te statki nie dotarły do odbiorcy.

– Ciebie? – prychnął komtur. – No to wyjaśnij mi to!

Milczałem.

– Kto to zaplanował?

– Polacy.

– A konkretnie?

– Jan z Tęczyna.

– Skąd pomysł uprowadzenia statków?

– Mój, już mówiłem.

– Ty żydowski pomocie! Nie rób ze mnie durnia.

Opowiedziałem mu łamiącym się ze zdenerwowania głosem, ale za to w najdrobniejszych szczegółach, o operacji związanej z dostawą bydła do Walencji. Mówiłem bez przerwy, mieszając prawdę z kłamstwami, chyba ze dwa pacierze.

– Wtedy się udało, więc Polacy chcieli, żeby to powtórzyć przeciwko wam, panie.

– Byłeś w Aragonii?

– Tak. Doglądałem wszystkiego tam na miejscu.

– Znasz tych korsarzy?

– Znam ich herszta.

Komtur pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jak się nazywa?

– Nie mogę zdradzić...

– Dobrze nam idzie. Nie psuj tego.

Uzgodniłem z Tęczyńskim, że w razie konieczności wyjawię prawdziwe imię korsarza. Komtur będzie wszystko sprawdzał, im więcej podanych przeze mnie faktów potwierdzi, tym większe ogarnie go przerażenie. Na to liczyliśmy. Pomilczałem jednak dla zachowania pozorów.

– Mahabud Faquim. To kuzyn mojego wuja. Dlatego łatwo nawiązałem z nim kontakt.

– Co ze statkami?

Jeśli miałem ratować się kłamstwem, to teraz!

– Są bezpieczne w portach.

– Kto może je uwolnić? Ty możesz?

– Nie. Tylko starosta. Musi wydać polecenie Mahabudowi.

– Ten... Mahabud złamie rozkazy Tęczyńskiego, żeby cię ratować? To w końcu twój krewny.

Gdyby nie okoliczności, roześmiałybym się.

– Nie.

– Zobaczymy... – mruknął komtur. – Dlaczego piraci nie sprzedali zboża?

– Bo takie mieli polecenia. Polacy chcą wam, dostojny panie, zaproponować współpracę.

Komtur pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dlaczego to zrobiłeś? Jeśli chcesz pozostać wśród żywych, musisz dać jakieś wytłumaczenie. Dlaczego im pomagałeś? Masz coś do mnie? Do zakonu? Nikt nie porywa statków z nudów. To zbrodnia. Za to idzie się na szubienicę. Płacą ci?

– Zrobiłem to dla pieniędzy. Mam do odzyskania majątek, który jest w rękach wierzycieli...

Teraz mówiłem prawdę i chyba komtur to wyczuł. Milczał dłuższą chwilę, wbijając we mnie wzrok.

– Uważasz, że powinienem cię jeszcze zostawić przy życiu? Możesz mi się do czegoś przydać?

– Mogę mówić... wszystko, co wiem.

Komtur kogoś przywołał. Pomyślałem, że nadejdą siepacze, że od teraz pytania będą przerywane biciem. Komtur Zawiszę na razie ocali, ale mnie skatuje. Jestem Żydem. Nie jestem polskim rycerzem. Bałem się, nie chciałem umierać za polskiego króla...

Ale zamiast osiłków w okrwawionych fartuchach przyszedł jakiś zakonnik z rulonami papieru pod pachą. Wyglądał na kancelistę. Zaczął wypytywać mnie o najdrobniejsze szczegóły dotyczące kontraktu z Alicante. Poczułem ulgę, dotarło do mnie, że Krzyżacy o wielu rzeczach nie mieli pojęcia, że moje informacje są dla nich bezcenne. Mimo to musiałem siedzieć, nie byłem w stanie utrzymać się na nogach.

Kancelista po zebraniu wszelkich informacji wyszedł.

– Chcecie mnie przekupić moimi pieniędzmi? – zapytał komtur.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– To jeden z powodów, dla których nie tolerujemy Żydów w Prusach. I co? Myśleliście, że dam się nabrać na pożyczkę? Od Lewka? Przecież wiem, że król urządził teatr z tym procesem.

Pochylił się nade mną.

– Tego Polaczka, Zawiszę, za to, że mi ludzi obił, a potem na Litwie moich rycerzy i gości zakonu porznął... Nie miałem do niego szczęścia. Aż do wczoraj. Sam przylazł... Myślisz, że mu to wszystko daruję? Że go puszczę? Poniecham zemsty? Zaczął krążyć po komnacie.

– Mam w rękach jego dziewczkę. Muszę mu to powiedzieć. Zdążę, bo będzie zdychał powoli. – Przeczesał włosy nagłym ruchem dłoni. – Wiesz, że ona jest w Brodnicy? Pojechała tam z własnej woli! Podobno jest w tym Zygfrydzie zakochana. Pokochała go całym swoim słodkim serduszkim! Ja im tylko udostępniłem zamek. Nic więcej! Bawią się wybornie... Zygfryd używa na niej jak na wieśniaczce!

Zaśmiał się piskliwie.

– Tęczyński jest durniem. Znajdę dziesiątki sposobów, by zmusić go do uwolnienia moich statków. Dziesiątki, a może setki.

Usłyszałem odgłosy kroków za drzwiami. Zatrzymały się przed naszą komnatą.

– Jeszcze wrócimy do rozmowy.

Ci, którzy teraz weszli, na pewno nie byli skrybami. Jeśli nie mieli zakrzepłej krwi na fartuchach, to dlatego, że je przed chwilą zdjęli. Wzięli mnie pod ramiona i prawie nieśli przez korytarze, a potem schodami w dół do jakiejś ciemnej celi.

Nie wiem, ile czasu w niej spędziłem. Kilka godzin? Może dzień. W końcu drzwi się rozwarły. Dwóch knechtów stanęło nade mną i kazało mi się podnosić. Ruszyłem za nimi. Tym razem schodami w górę, do jakiejś przechodniej sali, a w zasadzie poszerzenia korytarza. Tu jeden z knechtów posadził mnie na ławie i stanął obok.

Żyłem. Co chwila mijali mnie zakonni dostojnicy, jacyś mnisi, mieszczanie. Zwykli ludzie. Rzucali w moją stronę zaciekawione spojrzenia. Niedługo potem pojawił się Zawisza w asyście dwóch żołnierzy. Gdy doprowadzili go do sali, odwrócili się na pięcie i odeszli bez słowa. Został przy nas tylko mój knecht.

– Jak się czujesz? – spytał Zawisza.

Wpatrywałem się w niego. Język miałem zeszywniały, nie umiałem wydusić słowa.

– Aaronie...

Zwymiotowałem mu pod nogi. Zręcznie uskoczył na bok. Czuję, że wyrzuciłem z siebie wszystko. Żołądek, serce, płuca. Że nie mam już nic w środku.

– Nieźle cię karmili. Mnie trzymali o głodzie.

Zawisza ujął mnie pod ramię.

Knecht, który czekał, by poprowadzić nas do wyjścia, odwrócił głowę z obrzydzeniem.

– Chodźmy stąd. Posprzątają. – Zawisza szarpnął mnie za ramię.

Wymiociny ciągnęły się do przeciwległej ściany. W poprzek korytarza. Jak linia między niebem a piekłem. Tak szeroka, że każdy powinien ją dostrzec.

– Idziemy – powtórzył.

Ruszyliśmy korytarzem. Gardło miałem opuchnięte z bólu. Drapało mnie od wymiocin. Zataczałem się, nogi miałem jak ze słomy.

Zawisza coś do mnie mówił, ale nie rozumiałem ani słowa.

– Jesteśmy wolni? – spytałem.

– Wątpię?

– Wątpiłem.

– Człowieku małej wiary.

– Trzymali cię w tych piwnicach?

Zawisza pokręcił głową. Nie drażyłem dalej. Knecht mógł nas słyszeć.

Z naprzeciwnika szła kilkunastoosobowa grupa, chyba kupców albo rajców, w każdym razie ludzi zamożnych, sądząc po ubiorach. Nasz przewodnik zatrzymał się kilkanaście kroków przed nimi, odczekał, aż wejdą do jednej z bocznych sal.

Ruszyliśmy, gdy korytarz opustoszał. Mijając salę, obróciłem głowę i zobaczyłem przez wciąż otwarte drzwi plecy mieszczan zajmujących miejsca za stołem, u którego szczytu siedział wysoki, szczupły zakonnik z długą siwą brodą. Jeden z kupców nagle obrócił się przez ramię i na mgnienie oka nasze spojrzenia się skrzyżowały.

Serce zadudniło mi w piersi. Czułem, jak krew odpływa mi z twarzy, zakręciło mi się w głowie.

Minęliśmy drzwi; usłyszałem, jak się zamykają.

– Ten stary zakonnik to Jan von Rumpenheim, gdański komtur – powiedział Zawisza, który również spojrzał w głąb sali. – Jeszcze nie wie, jaka niespodzianka go czeka... – Przerwał, gdy na mnie spojrzał. – Co się stało?

– Jeden z kupców... to był... Tideman Sticker – wydusiłem.

Byłem tak wstrząśnięty, że nawet nie zauważyłem, kiedy opuściliśmy zamek przez Basztę Rybacką i przeszliśmy pomostem łączącym podzamecze z Targiem Rybnym. Dopiero tam odzyskałem równy oddech. Przy jednym ze straganów czekał Sambor. Poderwał się na nasz widok i podszedł szybkim krokiem.

– Nareszcie, dwa dni sterczę w tym smrodzie.

Zawisza opowiedział mu, co zaszło na zamku. I kogo spotkaliśmy, wychodząc.

– On ciebie też rozpoznał... – rzekł Sambor, uważnie mi się przyglądając. – Wszystko już wie. – Potem przeniósł wzrok na Zawiszę. – Chyba trzeba mu powiedzieć...

I wtedy wszystko mi wyznali. Informacja o pojawieniu się Stickera i Ayhe w Gdańsku dotarła do Tęczyna kilka miesięcy temu. Przekazały ją Helga i Marta. Zawisza polecił jednemu z łowców, który szedł z listami od Koniecpola do komtura toruńskiego, aby nadłożył nieco drogi do Gdańska i zbadał sprawę. Po powrocie do Krakowa łowca zdał relację staroście. Ten zdecydował utrzymać na jakiś czas całą sprawę w tajemnicy; nie zamierzał spieszyć się z wysyłaniem łowców do Gdańska. Porwanie to delikatna sprawa, ryzykowna. Należało ją dobrze przygotować. I dopiero wtedy powiadomić mnie.

– Sticker wie już, że Aaron tu jest... – Zawisza mówił powoli, jednocześnie nad czymś rozmyślając. – Wie, że szliśmy od południowego skrzydła zamku. Tam są komnaty gościnne i izby najważniejszych urzędników. Skoro byłeś u kogoś ważnego na zamku, to znaczy, że sam jesteś kimś ważnym, to zaś oznacza, że walka z tobą nie będzie łatwa, bo możesz się posunąć daleko, by dziewczkę odzyskać. Zdaje sobie też sprawę, że skoro go widziałeś, to wiesz już, że Ayhe jest w Gdańsku. I albo już wiesz, gdzie jej szukać, albo zaraz będziesz wiedział.

– Co teraz robi Sticker?

– Siedzi na spotkaniu jak na rozżarzonych drewnach i zastanawia się, co począć – odparł Zawisza. – Na szczęście nie wie, że ty już znasz adres.

– Znamy go? – spytałem.

Zawisza skinął głową, potem spojrzał na Sambora.

– Jeśli chcemy, aby nasz przyjaciel odzyskał swoją zgubę, to musimy to zrobić teraz. Zanim Sticker wyjdzie z zamku. Przez tę bramę... – Wskazał ramieniem za siebie.

– Panie – rzekł Sambor niepewnym głosem. – Starosta kazał poczekać jeszcze z miesiąc. Najpierw on – kiwnął głową w moją stronę – miał z nią porozmawiać. Może powinien też wiedzieć, że...?

Zawisza potrząsnął głową, mocno zacisnął usta.

– Mamy godzinę przewagi nad Stickerem... – rzucił w końcu do Sambora. – Ruszajcie po dziewczkę!

– Wedle rozkazu. – Łowca skinął głową. – Gdzie się spotkamy?

– Łódź gotowa?

– Czeka!

– Kto?

– Polacy z Osieku.

– Dobrze! – pochwalił Zawisza. – Popłyną z nami aż pod Toruń. Gdzie czekają?

– Przy pomoście, przy Bramie Kogi. Dziś tam duży ruch, ładują kilka statków.

– Źle!

– Wiem, ale... skąd mogłem...

Zawisza machnął ręką.

– Teraz już nic nie zrobimy. Ruszajcie! Spotkamy się przy Bramie Kogi!

– Wedle rozkazu!

Prowadził Sambor. Musiał dobrze znać Gdańsk, bo szedł szybko, nie okazując wahania przy żadnym skrzyżowaniu ulic. Najkrótsza droga, ścieżka biegnąca wzdłuż murów odgradzających Główne Miasto od brzegów Motławy, była zapchana ludźmi spieszącymi na nadbrzeże. Sambor skręcił w ulicę Straganiarską, a potem puściliśmy się prawie biegiem w lewo szeroką ulicą Groble aż do dobrze mi znanego kościoła Najświętszej Maryi Panny.

Musieliśmy wywieźć Ayhe z miasta w ciągu najbliższej godziny. Założyłem, że Sticker nie opuści spotkania kupców z komturem przed czasem, a nie powinno ono trwać krócej. Potem zapewne ruszy prosto do domu, pójdzie tą samą, najkrótszą drogą, więc mamy nad nim przewagę. Mimowolnie cały czas spoglądałem za siebie. Krótką ulicą Kramarską dobiegliśmy do Długiego Targu. Wylot ulicy Ławniczej, gdzie według relacji jednego z łowców mieszkał Sticker, znajdował się dokładnie naprzeciw. Tu musieliśmy zwolnić, przebijając się przez tłum. Ławnicza szła nieco na ukos od Długiego Targu, mieściło się tu w zwartej zabudowie po kilkanaście domów z każdej strony.

Sambor ruszył szybkim krokiem lewą stroną ulicy. Przy szóstej, może siódmej fasadzie przystanął. Dom Stickera flankowały niezabudowane parcele. Jako jedyny w tej części miasta był wolnostojący. Sambor podniósł pytająco brwi. Nie wiem, o co pytał, chyba o to, czy wiem, co robię, i czy naprawdę tego chcę. Odpowiedziałem kiwnięciem głowy.

Sambor spojrział w prawo, potem w lewo. Na ulicy znajdowało się zaledwie kilka osób. Dwóch mieszczan szło w naszą stronę, ale byli zajęci rozmową. Portal był

szeroki, dwuskrzydłowy. W prawym skrzydle znajdowały się wąskie drzwi. Sambor mocno naparł na nie barkiem. Wszedłem za nim do chłodnej sieni. Nie wiedziałem, co mnie tu czeka i co mam powiedzieć Ayhe. Miałem tyle lat, by przygotować słowa powitania...

Zastaliśmy w sieni dwóch służących, którzy ładowali bele materiału na wąski wóz. Drzwi wychodzące na podwórze z drugiej strony były otwarte. Stały tam jakieś szopy, zapewne magazyny. Obaj mężczyźni jednocześnie podnieśli głowy. Sambor kilkoma susami dopadł tego stojącego bliżej i uderzeniem pięści powalił na ziemię. Drugi, młodszy, drobniejszy, rzucił się do ucieczki. Sambor dogonił go, gdy mijał drzwi wychodzące na podwórze. Kopnięciem podciął mu nogi. Chłopak runął jak długi, wyciągając ręce przed siebie. Chciał wstać, coś wykrzykiwał, ale Sambor skoczył mu na plecy i wbił twarz w ziemię. Kilka razy uderzył go pięścią w bok głowy, aż chłopak ucichł i przestał się ruszać. Dobiegł nas trzask zamykanych gdzieś drzwi. Łowca zerwał się na nogi i przeskakując po kilka stopni, wbiegł na górę. Liche schody zachwiały się pod ciężarem jego kroków.

Ruszyłem za Samborem. Na piętrze znajdowała się duża izba, z której wychodziły tylko jedne drzwi. Sambor wskazał na nie i przyłożył palec do ust.

Łowca wziął długi kij do zaciągania zasłon, stojący w rogu pokoju, ściągnął obrus ze stołu i luźno obwiązał nim drąg. Drzwi otwierały się do środka, do wnętrza izby. Sambor na migi pokazał mi, bym je otworzył. Podeszedłem najciszej, jak umiałem, nacisnąłem zimną żeliwną klamkę. Ustąpiła. Pchnąłem mocno skrzydło, przytrzymując je wyprostowaną prawą ręką, a Sambor wsunął do pokoju naprędce skleconą kukłę. Coś przecięło ze świstem powietrze i roztrzaskało drąg. Nim miecz powędrował z powrotem do góry, Sambor wparował do środka, kopnął w klingę podeszwą buta, chwycił za nadgarstek dłoni trzymającej broń i jednym szarpnięciem wyciągnął zza drzwi jakąś postać.

Kobieta upadła z krzykiem na plecy. Uderzyła mocno o deski, ale nie straciła przytomności. Wiergnięciem starała się kopnąć Sambora, ale ten trzymał się w bezpiecznej odległości. Po raz pierwszy, odkąd ruszyliśmy spod rybnego targu, dostrzegłem w nim wahanie.

Ayhe była boso, miała potargane włosy i sukienkę podciągniętą aż do połowy ud. Zmieniła się od ostatniego razu, gdy ją widziałem. Cera wydała mi się bledsza, rysy wyostrome. Wciąż była onieśmielająco piękna. Sambor oparł się o okno i z podziwem w oczach przyglądał się Ayhe, potem przeniósł wzrok na mnie. Głos ugrzązał mi w gardle. Dlaczego ona na mnie nie patrzyła. Pewnie mnie nie poznała! Ayhe sięgnęła za siebie i uchwyciwszy na komodzie jakiś garnek, cisnęła nim w Sambora, ten zręcznie się uchylił, naczynie rozbiło się tuż obok okna z matowego szkła.

Gdy Ayhe sięgnęła po kolejne naczynie, Sambor przyskoczył i chwycił ją za obie ręce. Kobieta wbiła zęby w jego policzek. Łowca szarpnął jej ręce w dół, tak że gliniane naczynie upadło na podłogę, a potem lewą dłonią wymierzył jej policzek. To było bardziej pchnięcie niż cios, na tyle jednak mocne, że Ayhe zrobiła kilka kroków w tył, by nie stracić równowagi, i uderzyła mocno głową w ścianę.

– Aaron! – Sambor odszedł kilka kroków, przyciskając dłoń do krwawiącego policzka. – Mów coś, kurwa, do tej baby, nie poznała cię... nie widzisz?! Łapże ją! Ayhe, lekko się zataczając, ruszyła do okna. Złapałem ją wpół, ale zdążyła uderzyć płasko dłonią w jedną z tafli i wypchnąć ją na zewnątrz. Po chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zasłoniłem jej usta, żeby krzykiem nie sprowadziła nam na głowę strażników albo sąsiadów. Zdołała przednimi zębami uchwycić opuszkę mojego środkowego palca i zacisnąć z całej siły. Jakoś powstrzymałem jęk bólu, ale odruchowo oderwałem rękę od jej ust. Wtedy izbę wypełnił rozpaczliwy pisk, głośny, przenikający do środka głowy krzyk przerażonej kobiety. Sambor odepchnął mnie od Ayhe, wziął krótki zamach i uderzył ją w skroń. Tym razem mocno, pięścią.

Kobieta runęła na ziemię jak martwa.

Sambor zamknął drzwi, jakby chciał ukryć przed światem to, co zrobił. Odslonił całe pomieszczenie.

I dziecko.

Stało cały czas za drzwiami. Bose, ubrane w lnianą białą jak śnieg koszulę sięgającą połowy małych łydek. Z wielkimi przerażonymi oczami. Miało krótkie, starannie przystrzyżone włosy. Chłopczyk. Podobny do Ayhe, do matki.

– Wiedziałeś...? – spytałem cicho, nie spuszczając wzroku z chłopca.

Sambor przetarł usta wierzchem dłoni.

– Wiedziałem, ale zabronili mówić.

– Zawisza wiedział?

– Nie wiem, chyba tak. Kurwa, Aaron, jakie to ma teraz znaczenie? Za chwilę będzie tu ten Niemiec.

Sambor przykucnął nad leżącą na podłodze kobietą. Ostrożnie odwrócił ją na plecy.

Była nieprzytomna. Z ust i nosa ciekła jej krew.

– Coś się jej stało?

– Nie – odparł wściekły. – Ma się świetnie.

Stałem jak skamieniały.

– Co chcesz z nią zrobić? – spytał Sambor.

– Musimy ją wywieźć z miasta!

– Jest nieprzytomna, nie chcę jej cucić, bo znów się na nas rzuci... Aaron... my jej nie uwalniamy, my ją porywamy! Zawisza mówił, że to była twoja ukochana, prawie żona... Nie wyglądało...

– Nie poznała mnie – wydusiłem.

W tym momencie chłopiec zaczął płakać.

– Zrób coś z tym bachorem! – syknął łowca.

Ponieważ się nie ruszałem, Sambor sam podszedł i zaczął przemawiać do chłopca, ale przyniosło to odwrotny skutek. Dziecko rozpląkało się na dobre. Płacz dziecka może nie zwrócił niczyjej uwagi, ale już po chwili stał się nie do zniesienia. Chłopiec zachłystywał się łzami, zaczął kaszleć.

– Na podwórzu stoją wózki na bele materiału. Wrzucimy ją na wóz, przykryjemy, a obok położymy sukno. Byle wyjechać poza bramę.

– Co z dzieckiem?

– Musi zostać...

– Nie – zaprotestowałem. – Zabierzemy je.

Sambor westchnął. Pokręcił głową.

– To wariactwo.

– Nie zostawię ani jej, ani dziecka.

– No to gadaj do szczeniaka, żeby przestał ryczeć.

Oderwałem z obrusa dwa długie paski materiału. Jeden zawiązałem chłopcu na ustach, pokazując mu, że ma oddychać nosem. Drugim skrępowalem mu rączki z tyłu. Były tak drobne i kruche. Cały czas przemawiałem do niego jak najczulej, mówiłem po aragońsku, zresztą, jakie to miało znaczenie. Dziecko chyba jeszcze nie mówiło. Na to liczyłem. Miałem nadzieję, że nie powie matce, co z nim

zrobiłem. Chłopiec był tak przerażony więzieniem, że przestał płakać. Sambor przerzucił sobie kobietę przez ramię i ruszył w kierunku schodów. Ja wziąłem chłopca na ręce i szedłem za nim. Krew z nosa i ust Ayhe spływała po długich włosach. Jeden z kosmyków sięgał podłogi i na jasnych świeżo umytych deskach znaczył delikatną czerwoną linię.

Niosłem chłopca tak, by widzieć, czy oddycha, i tak, by on nie widział, co zrobiliśmy z jego matką. Czułem, jak jego małe serce szybko bije pod koszulą.

Dwaj pomocnicy leżący wciąż pod ścianą w sieni wyglądali na martwych, choć Sambor zapewnił mnie, że tylko ich ogłuszył.

Zrzuciliśmy z wozu beły materiał. Jedną rozwinęliśmy do połowy i odcięliśmy nożem. Ostrożnie ułożyliśmy nieprzytomną Ayhe na skraju odciętego pasa i powoli zawijaliśmy ją w materiał, starając się ograniczać do minimum ucisk splotu. Welurową mumię ułożyliśmy na wozie. Obok położyliśmy chłopca, który cały czas wpatrywał się we mnie przerażonymi oczami. Zrzuciliśmy na ramiona chałaty służących.

Łowca zwolnił bolce trzymające bramę, pchnął oba skrzydła na zewnątrz, wprawnym ruchem chwycił dyszel i wypchnął wóz na ulicę. Ja zamknąłem wrota.

Ulica była już pełna ludzi, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Bóg czuwał i nie pozwolił, by któryś z sąsiadów nas zagadnął. Może ci pomocnicy nie byli zatrudnieni na stałe u Stickera? Może to byli pacholki kupca, który przyjechał po towar i czekał na pomoście, by załadować sukno na barkę?

Sambor ciągnął wóz, ja szedłem z tyłu i udawałem, że pomagam. W rzeczywistości zasłaniałem stopy Ayhe, które zaczęły wysuwać się z welurowego zwoju. Co jakiś czas podnosiłem plandekę. Za każdym razem wyzierały spod niej nienaturalnie szeroko otwarte oczy chłopca. W połowie ulicy napięcie nieco zelżało. Ludzie nie zwracali na nas uwagi.

Po kilkudziesięciu krokach znaleźliśmy się na Długim Targu. Skręciliśmy w prawo i wzdłuż południowej pierzei pchaliśmy wóz w stronę bramy. Panował tłok, co chwila przystawaliśmy. Z przerażeniem zauważyłem, że plandeka się zsuwa; wóz nie miał tylnej klapy, stopy Ayhe wystawały już do kostek. Przywarłem do nich brzuchem; były ciepłe jak kamienie wyjęte z żaru; wiedziałem przynajmniej, że Ayhe żyje. Przy następnym postoju zaciągnęliśmy starannie plandekę.

Zbliżaliśmy się do bramy.

Dopiero teraz dostrzegłem strażę. Sambor też się ich nie spodziewał, bo na jego twarzy pojawił się brzydki grymas. Przystanął.

– Jak tam u ciebie relacje z Bogiem? Dużo grzeszyłeś?

– Dużo, a co?

– Strażnicy ludzi nie sprawdzają, ale niektóre wozy tak. Przygotuj sakiewkę. Jak nas wezwą do kontroli, to wiesz, co masz robić. Nie wiem, jaka tu jest kara za porwanie kobiety i dziecka. Ale w Polsce za to wieszają.

W kolejce do bramy ustawiło się za nami kilka wozów. Nie było odwrotu, zresztą i tak nie mogliśmy zawrócić. Sticker pewnie był już w drodze, może właśnie podnosił z ziemi pobitych służących i za chwilę zostanie wszczęty alarm, w całym mieście rozlegną się dzwony, każą zamknąć bramy.

Teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo grzeszyłem w ostatnim czasie. Było za późno na skruchę. Strażnik stał kilkanaście kroków przed bramą i co drugiemu kupcowi nakazywał sprowadzić wóz na pobocze. Tam stało dwóch innych, którzy sprawdzali ładunek i dokumenty. Przed nami czekały cztery wozy. Wszystkie zaprzężone w konie albo osły. Tylko my ciągnęliśmy towar własnymi siłami. To nas wyróżniało. Niedobrze.

Pierwszy wóz przejechał. Woźnica rzucił coś do wartownika, a ten odpowiedział wesoło. Następny, mały, taki jak nasz, może tylko nieco szerszy, został odesłany na bok. Woźnica zląkł z siedziska z kwaśną miną, wziął osiołka za uzdę i odciągnął go na bok. Trzecia furmanka – to samo, znów przyjacielska rozmowa ze strażnikiem. Teraz kolej na czwartą, tuż przed nami. Została zatrzymana przez strażnika. Nagła nadzieja wstąpiła w serce. Może jakoś uda się z tego wyjść cało...

Okazało się, że strażnik zatrzymał wóz tylko po to, by przepuścić po zakończonej kontroli tego woźnicę z osiołkiem. Potem ponaglającym ruchem ręki dał znać obu wozakom, by szybciej przejeżdżali przez bramę. Rzucił okiem na kolejkę, ja też odruchowo spojrzałem za siebie. Była długa, ciągnęła się do połowy Długiego Targu. Kilka barek albo nawet statków musiało czekać przy pomoście na załadunek.

Byliśmy teraz pierwsi do przejazdu. Strażnik nie odesłał nas na bok, za mały wóz, szkoda zachodu. Ale zagadnął coś do Sambora. Zrozumiałem tylko tyle, że Sambor przedstawił mnie jako agenta krakowskiej spółki, która skupuje próbki materiałów. Było to całkowicie nieprawdopodobne, ale strażnik wyglądał na niezbyt bystrego albo zmęczonego i znudzonego. Gdy wydawało się, że machnie na nas ręką, odwrócił się do małej strażnicy z lewej strony bramy i krzyknął coś w tamtą stronę. Pojawił się inny żołnierz, starszy rangą, wyglądał na dowódcę. Ale nie podchodził, wrzasnął tylko coś w naszą stronę i zniknął w budce.

– Skoro nie jesteśmy gdańszczanami, chcą zobaczyć jakąś pieczęć, że kupiliśmy to cholerne sukno.

Strażnik stojący przy nas wyraźnie się niecierpliwił. Przesuwał językiem po wargach, kilka razy mlasnął zniecierpliwiony. Zerkał co jakiś czas na kolejkę, która sięgała już do końca targowego placu.

Nagle plandeka, która w międzyczasie osunęła się tak, że dotykała chłopca, zaczęła się poruszać. Wystarczyło teraz, że malec wykonał drobny ruch, a cały materiał marszczył się i przesunął. Strażnik jeszcze na to nie zwrócił uwagi, ale za chwilę się to stanie.

– Zawołaj dowódcę! – rzucił Sambor w kierunku żołnierza.

– Ja tu jestem dowódcą – warknął, patrząc Samborowi w oczy. Był zwykłym żołnierzem, ale znaczył więcej niż byle pacholek. Sambor chyba zapomniał, że ma na sobie strój tragarza.

Z tyłu zaczęły podnosić się okrzyki. Ktoś rzucił grudką ziemi, która trafiła mnie w ramię. Żołnierz zdecydowanym ruchem kazał nam się zatrzymać i czekać. Byliśmy już tak blisko bramy, że odwrót był niemożliwy. Poza tym pale wbite w środek drogi tuż przy bramie dla lepszej organizacji ruchu uniemożliwiały nawrócenie. Cały ruch przez bramę w stronę portu został wstrzymany. W tej samej chwili z budki strażniczej wyszedł ponownie żołnierz, którego wcześniej wzięliśmy za dowódcę warty. I chyba rzeczywiście nim był. Zaniepokoiły go wrzaski kolejkowiczów. Krzyknął coś do stojącego przy naszym wozie gamonia, a ten wskazał na nas jako winowajców całego zamieszania. Dowódca odchrząknął, splunął głośno i ruszył wolnym krokiem w naszą stronę.

– Przygotuj sakiewkę. – Usłyszałem syk Sambora.

Dowódca był starszym, ale potężnym mężczyzną o rumianej twarzy. Miał podniszczoną kolczugę i miecz niedbale przypasany do boku; hełm trzymał pod pachą.

– Panie... – odezwał się łowca i pochylił głowę z szacunkiem, jakby witał krzyżackiego dostojnika. – Kupiliśmy tę belę sukna, to na zamówienie naszego pana, jest najlepsze w okolicy...

– Łesz – przerwał mu spokojnie, bez wrogości w głosie. Służył już pewno od lat na warcie i słyszał wszystkie możliwe łgarstwa.

– Nie zapłaciliśmy podatku. Oto on. – Sambor wyciągnął rękę z sakiewką w kierunku dowódcy. Zrobił to tak, że dłoń z pieniędzmi była zasłonięta ze wszystkich stron. Nasz strażnik też tego nie widział, bo poszedł na tył kolejki, by uspokajać coraz bardziej rozwścieczonych kupców.

Plandeka lekko drgnęła, po chwili mocniej. Dowódca wbił w nią wzrok. Nie przyjął sakiewki. W każdym razie jeszcze nie. Po chwili przerwy znów coś się poruszyło. I potem jeszcze raz, już naprawdę mocno.

– Co tam wieziecie?

Oficer podszedł do wozu, ostrożnie poklepał wystającą spod plandeki belę materiału. Podniósł na nas wzrok.

Malec ruszał się coraz gwałtowniej. Oficer wyciągnął nóż zza pasa, żeby rozciąć materiał. Sambor powoli wsunął rękę pod poły chałatu; wiedziałem, że ma u pasa sztylet.

Zamierzał pchnąć strażnika? Do bramy dobiegniemy, ale co dalej? Nagle od strony wyjazdu rozległ się gromki okrzyk:

– *Laaassen!*

Strażnik odruchowo się wyprostował, cofnął rękę z nożem i odstąpił od wozu. Przez bramę na potężnym bojowym ogierze wjechał krzyżacki rycerz w kolczudze,

srebrnym napierśniku, stalowych naręczakach i rękawicach. Na głowie miał otwartą przyłbicę. Za nim dostrzegłem Zawiszę. Krzyżak podjechał do oficera i wrzeszcząc z góry, wydał mu jakieś rozkazy. Ten jeszcze raz spojrzął na plandekę, ale nóż schował. Krzyknął do nas, że mamy przejeżdżać. A do pozostałych żołnierzy, którzy przerwali swoje zajęcia, z ciekawością obserwując całe zajście, by wrócili do odprawiania ludzi.

Za murami byliśmy wolni. Ayhe była wolna. Powoli docierało do mnie, co się przed chwilą wydarzyło. Co zrobiłem. Ruszy za nami pościg. Sticker poruszy niebo i ziemię.

Ayhe wciąż była nieprzytomna, krwawiła. To ja ją pobiłem. Nie Sticker. A potem związałem jej dziecko, zakneblowałem chłopca, jak zwykły bandzior. Co dalej?

Część IV

Prusy, wiosna roku Pańskiego 1395

Niebiosa nam sprzyjały, obdarzając pierwsze dni maja słoneczną, bezwietrzną pogodą. Płynęliśmy w górę rzeki na prostokątnej łodzi poruszanej jedynie za pomocą wiosł, nazywanej przez rybaków z Osieku kożą. Obsługiwało ją sześciu wiosłarzy, których wcześniej zakontraktował Sambor. Podobnymi łodziami transportowano w dół i w górę rzeki towary, przede wszystkim sól i zboże. Mieszkańcy Osieku często zatrudniali się jako flisacy. Niektórzy wynajmowali się razem z łodziami. Budowali je sami, mniejsze albo większe, według potrzeb. Nasza przypominała barkę, miała nadbudówkę: płaski daszek i cztery ściany zbite z grubych sosnowych desek. Tam umieściliśmy Ayhe i jej synka. W pierwszej nadrzecznej wiosce za Gdańskiem kupiliśmy żywność, wygodne sienniki, kołdry i poduszki z pierza.

Ayhe odzyskała przytomność zaraz po wypłynięciu z Gdańska. Do końca dnia wymiotowała, nie była w stanie utrzymać się na nogach, ale nie pozwoliła sobie pomóc. Chłopiec siedział na sienniku wtulony w matkę, zasnął dopiero po kilku łykach piwa. Flisacy wiosłowali, nie zadając pytań. Zawisza i Sambor zwinęli się w skóry i rozmawiali na pokładzie.

Na pierwszy postój zatrzymaliśmy się tuż przed zapadnięciem zmroku przy niewielkim drewnianym pomoście, który służył zapewne rybakom z pobliskiej wioski, ale teraz ani na nim, ani na rozciągającej się za nim rozległej polanie nie było żywej duszy. Flisacy rozpalili ognisko. Zawisza ustalił porządek czuwania i po krótkiej wieszce wszyscy – flisacy na brzegu, reszta na barce – ułożyli się do snu. Ja przez całą noc nie zmrużyłem oka.

O świcie zajrzałem do nadbudówki. Widząc, że Ayhe otwiera oczy, uklęknąłem przy sienniku.

– Johan śpi? – szepnęła Ayhe.

Skinąłem głową. A więc tak ma na imię jej synek. Johan.

– Dostał jedzenie?

– Nie chciał jeść. Ale pił...

– Długo płyniemy?

– Od wczoraj. Minęła pierwsza noc.

Odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Gdy cię zobaczyłam koło tego zbója... myślałam, że mam przywidzenia, że to

ktoś podobny... Zmieniłeś się.

– Ty też, trochę.

– Coś podobnego przydarzyło mi się w Hamburgu, tam mieszkaliśmy przez rok. Włamali się, zabili służącego. Jak usłyszałam, wczoraj... Wiedziałam, że to coś złego.

– Może dobrego...

– Dobrego? – spytała z grymasem bólu. – Skąd się tu wzięłeś?

Chciałem opowiedzieć o wszystkim, od tej upiornej nocy, gdy Abram i Jacob pobili ją w Saragossie.

– To długa opowieść. Na wiele dni... Szukałem cię. Przez cztery lata.

– To nie jest możliwe, Aaronie. To mi się śni?

– Nie.

– Chyba jednak tak. Dostałam mocno w głowę. Strasznie mnie boli. Jesteśmy na statku?

– Na łodzi. Płyniemy do Torunia. Potem pojedziemy do Krakowa.

– Gdzie?

– Nie słyszałaś o Krakowie?

– Nie. Co to jest?

– Miasto. Tam ze mną zamieszkaasz.

Uniosła się na łokciach. Ostrożnie podciągnęła nogi, żeby nie zbudzić chłopca.

– Aaronie, ja już o tobie zapomniałam. Nie myślałam o tobie od tak dawna. Muszę wrócić do Gdańska, jak najszybciej. Tideman ma duże wpływy. Znajdzie cię, was, pozabija. Wypuść mnie. Johan to jego syn. Nie możesz mu go odebrać. Nic ci nie zrobił...

– Johan nie.

– Tideman Sticker! On też nic ci nie zrobił. To twój wuj go nękał, oszukał... Wiesz, jak było. Nie mam sił teraz o tym rozmawiać.

– Co ty wygadujesz? Jak było w Saragossie? Kupił cię, a potem tobą kupczył. Nie oddam cię! Nie w jego łapy. Będziesz musiała mnie zabić.

Opadła na poduszki. Zamknęła oczy. Wstałem po cichu i wyszedłem na pokład.

Flisacy gasili już ognisko. Zawisza i Sambor rozmawiali z jednym z nich, wskazywali na rzekę. Zszedłem z łodzi.

– Żle to wygląda, co? – spytał Zawisza.

– Opuchlizna jej zejdzie... A mały jest w dobrej formie.

– Nie to mam na myśli. Jest gotowa uciec, jak tylko wydobreje. To twarda baba. Następnej nocy trzeba trzymać wartę na łodzi.

– Nie ucieknie, już jest lepiej... Myślała, że to był napad.

– A nie był?

– Wiesz, że nie był.

– Podobno przeraził ją twój widok... Coś ukrywasz?

– To wy ukrywaliście, że ma dziecko.

– Ja nie wiedziałem! – zachnął się Zawisza. – Bóg mi świadkiem. Tęczyński powinien był mnie uprzedzić. Będę się teraz przed nim tłumaczył za to wszystko... Nie mam w zwyczaju porywać kobiet. Boże! I to dziecko. Związaliście dziecko.

– Nie poznała mnie.

– Na Boga, Aaronie! Sambor ma ranę na policzku, jakby go wściekły pies pokąsał! Walczyła z nim jak lwica. Musiał ją uderzyć. Omal jej nie zabił. A miała ci się rzucić w ramiona...

– Jeszcze się rzuci.

– Gadaj o tym ze Stwórcą, jego miłosierdzie nie zna granic.

Przerwaliśmy, bo jacyś ludzie schodzili się na polanę. Pruscy wieśniacy z pobliskiej osady. Na szczęście nie mieli złych zamiarów.

Poprosiłem Sambora, by zapytał ich o możliwość kupna odzienia. Okazało się, że jedna z kobiet miała mały warsztat w osadzie, trudniła się szyciem. Swoje wyroby sprzedawała okolicznym wieśniakom, a czasami handlowała nawet w Gdańsku. Sambor udał się z nią do wioski i wrócił z naręczem ubrań: lnianą koszulą, tuniką, parą nogawiczek z podwiązkami, ciepłym wełnianym płaszczem, trzewikami dla Ayhe i Johana.

Weszliśmy do łodzi jako ostatni. Flisacy siedzieli już przy wiosłach. Odbiliśmy od brzegu. Przejąłem od Sambora ubrania i wszedłem do nadbudówki. Ułożyłem wszystko w kącie. Ayhe miała otwarte oczy, ale na mnie nie spojrzała.

Zawisza i Sambor siedzieli na samym przodzie barki, plecami do mnie, głowa przy głowie. Przysiadłem się do nich. Przerwali rozmowę. Sambor wychylił się do przodu, by spojrzeć mi w twarz.

– Jak nasza wilczyca? Spodobały się jej szmatki? – spytał.

– Nie wiem.

– Powiniennem ją przeprosić – oznajmił Sambor z marsową miną. – Zrobię to. Nie chciałem uderzyć tak mocno.

Nic na to nie powiedziałem.

– Nie jesteś ciekaw, jak to się stało, że żyjesz? – zapytał Zawisza.

To prawda. Od pojawienia się Stickera wszystko potoczyło się tak nagle. Dlaczego komtur wypuścił nas z zamku? Jak udało się Zawiszy ściągnąć pod bramę tego Krzyżaka? Nie poświęciłem ani chwili, by się nad tym zastanowić.

– Zostawcie go, panie. Spójrzcie na niego. Chłopak cierpi, ledwie dycha – rzekł Sambor.

Odwróciłem głowę w stronę brzegu. Mijaliśmy zakole rzeki. Flisacy z prawej strony barki wstali od wiosł i wbijali w dno rzeki długie żerdzie. Sambor wyciągnął się na deskach pokładu z rękami założonymi pod głowę i zamknął oczy.

– No to... jak to się stało, że żyjemy? – spytałem.

Wtedy Zawisza opowiedział mi wydarzenia ostatniej doby.

Karol von Lichtenstein szybko ochłonął po rozmowie ze mną; chłodnym okiem spojrzął na swoją sytuację. Wybrał jedyne rozsądne wyjście, które zapewniało mu przetrwanie.

Był całkowicie zaskoczony i zdruzgotany atakiem. Wstrząsnęło nim wykrycie przez polski wywiad kontraktów handlowych z Genuńczykami. Ujawnienie szczegółów operacji uprowadzenia jego statków wywołało przerażenie, a potem skłoniło do uległości. Karol von Lichtenstein długo nie mógł się pogodzić z tą miażdżącą klęską. Zakon nigdy nie posiadał agentów zdolnych do przeprowadzenia tak skomplikowanych operacji tysiące mil od Malborka.

Ze słów Zawiszy wynikało, że Polacy zarzucili komturowi powróż na szyję. Kilka powrozów. A on zdał sobie sprawę, że jeśli wykona fałszywy ruch – zacisną pętlę.

Wstępne porozumienie zostało szybko osiągnięte. Karol von Lichtenstein wyjawiał wszystko, co wiedział o sprawie kupców. Zobowiązał się też wstrzymać operacje

wywiadowcze wspierające Opolczyka i współpracować na tym polu z Polakami. Bardzo nalegał na to Jan z Tęczyna. Pomysł rozbiorów Polski wysuwany przez księcia opolskiego był absurdalny, ale gdyby okazało się, że Jagiełło nie potrafi uporać się z buntem marionetkowego księcia, mogłoby to zachęcić Węgrów i Krzyżaków do działania.

W zamian Lewko miał udzielić Lichtensteinowi pierwszej pożyczki, która pozwoliłaby pokryć najpilniejsze potrzeby komturstwa. Bardzo trafnym posunięciem było spętanie rąk Osmanowi i w ogóle zamknięcie żydowskiego strumienia pieniędzy, który przez tyle czasu płynął do Brodnicy. Słuszne okazały się przewidywania Tęczyńskiego, że komtur nie odważy się wystąpić o kredyt do żadnego pruskiego czy niemieckiego bankiera, nawet przez podstawione osoby. Tak, nie ulegało wątpliwości, że Jan z Tęczyna ograł Lichtensteina w finansowe szachy.

Komtur zapewniał, że nie umieścił w najbliższym otoczeniu króla żadnego swojego szpiega. Jeden Wielki Zdrajca, którego Polacy tak zawzięcie tropią, nie istnieje. O sile krzyżackiego wywiadu stanowiła jego liczebność. Wielki Zdrajca to po prostu grupa urzędników średniego i niższego szczebla; po złożeniu ich raportów w jedną całość Krzyżacy otrzymywali pełny obraz kraju, znali wszystkie jego słabe i mocne strony lepiej niż którykolwiek z polskich dostojników na Wawelu, lepiej niż sam Jagiełło.

Lichtenstein zeznał, że sprawę kupców prowadził bezpośrednio Malbork. Do wielkiego mistrza zgłosił się ktoś bardzo wpływowy, kto nigdy wcześniej z Brodnicą nie współpracował. Bardzo możliwe, że był to szpieg prowadzony przez samego wielkiego mistrza. Na europejskich dworach było takich kilku. Ich tożsamość skrzętnie ukrywano, nawet przed najważniejszymi dostojnikami zakonu. Wykorzystywano ich do specjalnych zadań. Czy takim zadaniem była likwidacja polskiej siatki? Możliwe. Szpieg żądał olbrzymich pieniędzy za każde ujawnione nazwisko, a Malbork mu je wypłacał. Zajmowali się tą sprawą osobiście wielki komtur i wielki szafarz. Wielki szafarz dlatego, że dotyczyła kupców w randze *liegerów*, a więc odpowiedzialnych za zakupy, aprowizację dla całego zakonu. Lichtenstein wiedział tylko z przecieków, że płacono mu około tysiąca grzywien za kupca. Wyglądało na to, że przepływy pieniężne były tropem, za którym należało podążać.

Lichtenstein dostawał jedynie polecenia, kogo ma aresztować, przesłuchać i zlikwidować.

Komtura uderzyła jedna osobliwa zbieżność: podczas przesłuchań, a na torturach kupcy zeznawali wszystko, co wiedzieli, jeśli na początku mówili trochę prawdy, to pod koniec tylko prawdę, tak więc wszyscy zeznali, iż działali w przekonaniu, że raporty trafiają do... Duńczyków.

Niezwykle cenna dla Zawiszy była wiedza o tym, że w państwie zakonnym toczyły

się wewnętrzne walki. Że Malbork nie o wszystkim informował Brodnicę i odwrotnie. To nic nadzwyczajnego, taka rywalizacja toczyła się wszędzie, w każdym kraju, ale przynajmniej polski wywiad zyskał dowód, że i państwo zakonne nie stanowiło monolitu. To sugerowało też, że Lichtenstein ma w Malborku wrogów, a więc gdyby defraudacje komtura wyszły na jaw, natychmiast ukrecono by mu łeb.

Ów tajemniczy donosiciel zapowiedział podobno, że po śmierci ostatniego z kupców przekaze Krzyżakom informację, która pozwoli im uderzyć w króla, osłabić Polskę, rozbić jej sojusz z Litwą. Lichtenstein podejrzewał, że będzie chodziło o plan porwania monarchy. Już raz Krzyżacy podjęli taką próbę, ale zostali zdemaskowani. Dostojnikom w Malborku bardzo na tym zależało. Komtur był przekonany, że nie cofną się przed ponowną próbą, jeśli tylko nadarzy się sposobność.

Zawisza zamierzał przekonać Tęczyńskiego, by ten natychmiast uprzedził króla i zarządził wzmocnienie królewskich straży. Liczył się każdy dzień.

I jeszcze jedno. Wiadomo było, że imiona kupców przekazywane były wielkiemu mistrzowi przez umyślnego, który swobodnie poruszał się po polskiej i pruskiej ziemi. Po Prusach podróżował w przebraniu krzyżackiego kuriera. Za którymś razem Lichtenstein zdobył informację, kiedy spodziewano się posłańca w Malborku. Gdy ten wracał do Polski, Lichtenstein posłał za nim swoich agentów. Kurier, zorientowawszy się, że jest śledzony, urządził na nich zasadzkę i wytracił co do jednego. Dość niezwykła wojskowa sprawność, jak na posłańca. Szli za nim najlepsi brodnicy szpiegzy, zaprawieni w bójkach i zasadzkach. Byłe wojak, nie mówiąc o kurierze, nie miały z nimi szans. Tym bardziej że to oni śledzili jego, a nie odwrotnie.

Czy te wszystkie rewelacje były prawdziwe?

Rola Zawiszy na tym się zakończyła. Pozostałe kwestie odłożono do następnego spotkania, do którego miało dojść w jednej z pogranicznych wsi już pomiędzy komturem i Janem z Tęczyna. To wówczas miała zostać przekazana Polakom pierwsza lista szpiegów.

A co do naszego ocalenia przy Bramie Kogi... Otóż Zawisza, widząc duży ruch w miejskim porcie, przewidział wzmożone kontrole na wodnych bramach. I kłopoty. Wrócił na zamek i poprosił komtura o pomoc, a ten wysłał na przystań jednego z braci. Tylko dzięki temu udało się wywieźć Ayhe z Gdańska.

Dla bezpieczeństwa nie nocowaliśmy w gospodach, zaglądaliśmy do wsi tylko po to, by uzupełniać zapasy. Synek Ayhe szybko doszedł do siebie. Już następnego dnia bawił się w najlepsze. Jeszcze nie umiał mówić, więc nie mógł opowiedzieć matce, jak odbyło się ich wywiezienie z Gdańska. Ayhe sprawiała wrażenie chwilowo pogodzonej z losem; zachowywała się rozsądnie, nie planowała ucieczki. Któregoś wieczoru zatrzymaliśmy się przy ujściu niewielkiej rzeki wpadającej do Wisły. Było ciepło jak na tę wiosenną porę. Ayhe od naszej ostatniej rozmowy nie odezwała się słowem, nie odpowiadała na pytania. Teraz poprosiła, bym pomógł jej umyć się w rzece. Wciąż miała zawroty głowy. Źle widziała; opuchlizna wokół ust i oka nabrzmiała, przyjmując żółtosiną barwę. Zeszliśmy łagodnym brzegiem, trzymając się za ręce. Przed wejściem do wody kazała mi się odwrócić. Słyszałem, jak się rozbiera. Zaraz potem zawołała, bym pomógł jej zejść głębiej w nurt. Ale z zamkniętymi oczami. Wszedłem pierwszy, badając stopami dno, potem podałem jej rękę. Pozwoliła mi otworzyć oczy. Szybko kucnęła w rzece, objęła się ramionami, drżała.

– Za zimna?

– Zimna, ale dobrze tak...

Rzeka biegła rwącym nurtem. Stałem więc obok i na wszelki wypadek położyłem ręce na jej ramionach. Następnie pomogłem jej umyć włosy: trzymałem ją w pasie, gdy pochylała się i przeczesywała dłońmi falujące pod wodą pukle.

Potem niespodziewanie wstała. Czarna toń ledwie sięgała bioder. Ayhe nie była skrępowana nagością.

– Czym się osuszę? Nic nie wzięłeś?

– Nie... – bąknąłem. – Zaraz coś przyniosę.

Gdy wróciłem z kawałkiem sukna, tym, które służyło nam za przykrycie wozu podczas ucieczki z Gdańska, Ayhe stała już na brzegu. Jej mokra skóra połyskiwała w księżycowym świetle, jakby zdobiły ją płatki srebra.

– Przyjechałem tu po ciebie. Od czterech lat...

– Dawno nie słyszałam tego języka – przerwała mi, owijając się w grube sukno. – Miałam nadzieję, że już go nie usłyszę.

Stała tak blisko, że musiałem objąć ją ramionami. Trzęsła się z zimna. Czulem jej mokre włosy na policzku.

– Aaronie, wypuść mnie, bo cię znienawidzę. Czego ty ode mnie chcesz? Po co to wszystko?

– Ayhe, ja...

– Co się z tobą stało, co ty zrobiłeś? Co zrobiliście Johanowi?

– Nic! Chcę, żebyś ze mną została, na zawsze.

– Ale ja nie chcę!

– Nie wierzę, że chcesz do niego wrócić!

– Jesteś głupcem. Co ty wiesz? Skąd masz wiedzieć takie rzeczy? Mam z nim syna. Jest dobrym ojcem.

Gwałtownymi ruchami ramion wyrwała się z objęć.

– Już mi cieplej. Dziękuję.

Stawiając ostrożnie stopy na piasku, ruszyła w kierunku obozu. Dogoniłem ją i chwyciłem za rękę. Przyciągnęła mnie mocno do siebie.

– Jeśli będzie trzeba... poderżnę ci gardło i ucieknę. Wiesz, że to zrobię.

W drodze do Krakowa, wiosna roku Pańskiego 1395

Od Torunia poruszaliśmy się konno. Johan podróżował na wozie, solidnym, z metalowymi obręczami na kołach, z dyszlem rozwidlonym na końcu, do którego zaprzęgnięto dwa muły. Chłopiec siedział, leżał, turlał się po wyściełanej sianem skrzyni. Albo zwieszał się z wozu, co groziło wypadnięciem. Na postojach uciekał nam jak zając. Odsunął w niepamięć wydarzenia z gdańskiego domu i mając matkę obok siebie, czuł się coraz pewniej. Sypiał po południu, ale krótko. Trudno się dziwić. Podskakujący na nierównościach wóz był ostatnim miejscem na ziemi, gdzie można było zmusić małego chłopca do zaśnięcia. Ayhe przysiadła się do syna, by go nieco okiełznać, ale na niewiele się to zdawało.

W końcu pogoda się odmieniła. Zaczęły coraz częściej padać deszcze. Jakiś kowal w jednej z mijanych wsi przymierzył do wozu cztery metalowe pręty, które miał na zbyciu, wygiął je w łukowate pałaki i umocował tak, że można było zarzucić wóz sukniem i zadaszyć. Teraz, gdy tylko zaczynało padać, Ayhe przesiadała się do wozu i zabawiała chłopca, tak że malec się uspokajał. Droga wlokła się niemiłosiernie. Przed Kurzelowem, gdy do Krakowa zostało nam nie więcej niż cztery dni drogi, rozejrzałem się za pacholkiem chętnym do zawiezienia listu do Krakowa. Znalazł się taki; za pół grzywny zobowiązał się stanąć w Krakowie następnego dnia.

List zaadresowałem do Rojka. Prosiłem w nim, by oporządził mieszkanie, które służyło nam dotąd za punkt obserwacyjny domu Kmity. Oporządził, czyli umył starannie ciepłą wodą, sprawdził kuchnię, okna, piece i co tam jeszcze uzna za konieczne, żeby próg domu mogła przestąpić księżniczka. Napisałem *princessa*, aby miał nad czym główkować i żeby się postarał.

Ze sprzętów potrzebowałem trzech łóżek, ale na razie mogły być same sienniki, pościel, ręczniki, mydło, opał do pieca, jakieś garnki do kuchni, proste naczynia dla trzech osób. Postanowiłem, że resztę uzupełnię sam po przyjeździe. Rojek miał wszystko brać na kredyt, który zobowiązałem się spłacić komu trzeba, jak tylko zajedziemy do miasta.



Bakalarz spisał się wybornie. Piętro, na którym miała zamieszkać Ayhe z synkiem, lśniło czystością. Nauczyciel wyposażył je we wszystko, o co prosiłem, a nawet

więcej. W sypialni stało wielkie lustro, na ścianach zawisły wełniane kobierce, a do ścian przytwierdzono z tuzin kandelabrow. Widać było, że Rojek nie szczędził mojego grosza. I dobrze.

Niespodzianką była też stojąca na dziedzińcu niewielka cysterna, do której dochodziła drewniana rura połączona bezpośrednio z miejskimi wodociągami. Ledwie kilka domów w Krakowie posiadało takie udogodnienie. Była to droga inwestycja, na którą mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi patrycjusze albo ci, dla których wygodny dostęp do bieżącej wody był niezbędny, przede wszystkim piwowarzy i łaźiebny. Rojek wynajął robotnika, który przeczyścił rurę, bo kanału od dawna nie używano. Z dumą opowiedziałem o tym Ayhe. Korzystanie z takiej cysterny było znacznie wygodniejsze niż czerpanie wody ze studni albo chodzenie po nią na Rynek, gdzie stały wkopane głęboko w ziemię specjalne beczki, zwane tu rzapiami, do których dochodziła bieżąca woda. My, czyli ja i Ayhe, nie musieliśmy! Mieliśmy świeżą wodę doprowadzoną na nasz dziedziniec piękną rurą z wydrążonego pnia jodły.

Anna, żona Rojka, pokazała mi wszystkie poczynione w domu naprawy i udogodnienia; poinstruowała, jak uruchomić piec, a jej synowie nanieśli drewna. Pogratulowałem sobie decyzji, żeby w tym mieszkaniu umieścić Ayhe.

Zawisza, nim się rozstaliśmy, radził w sprawie Ayhe:

– Wytrzymaj do zimy, głaszcz ją po głowie. Zimą ci nie ucieknie. Mrozy chwyca, to się będzie bała nawet na ulicę wyjść. A jeśli na wiosnę zechce wrócić do Stickera, to ją odeślesz.



Po kilku dniach pobytu w Krakowie Ayhe poczuła się znacznie lepiej. Zawroty głowy minęły, nos na szczęście był cały i wracał powoli do właściwego kształtu. Opuchlizna zesza całkowicie. Pozostały jeszcze tylko przebarwienia na skórze wokół ust i oka. Powiedziałem któregoś ranka, wpatrując się w jej kolorową twarz, że to najpiękniejsza tęcza, jaką w życiu widziałem. Wtedy po raz pierwszy się roześmiała. Pięknie, szeroko. Ayhe w porównaniu z tutejszymi niewiastami miała zęby jak wilczyca.

Po tygodniu odwiedziła nasz dom żona Rojka; przyniosła naręcze ubrań dla Ayhe. Przyszła z córką, dziesięcioletnią Marysią. Domyśliłem się, że Rojek opowiedział im historię moją i Ayhe, bo obie nie umiały ukryć podniecenia. Od tej pory gościli u nas codziennie.

Anna była smukłą, ładną kobietą, o brązowych, migdałowych oczach, delikatnych rysach i – jak wszystkie krakowianki – drobnych zębach, które, gdy się uśmiechała, pobłyskiwały jak perły. Nosiła się ubogo, ale gustownie. Anna, jak pamiętałem, w swoim domu chodziła najczęściej bosą, w prostej lnianej koszuli ledwie zakrywającej kolana. Gdy szła w odwiedziny do nas, a w zasadzie do Ayhe,

przywdziewała najlepsze suknie i tuniki, jakie miała w swoich skrzyniach. Musiała chyba też coś pożyczać od przyjaciółek, bo za każdym razem, a widywałem ją teraz codziennie, paradowała w innym odzieniu. Ayhe szybko się z nią zaprzyjaźniła.

Także córka Anny, Marysia, często do nas zaglądała; pomagała w porządkach, przynosiła zakupy i wciąż jakieś nowe rzeczy – te potrzebne i całkiem zbędne. Podarowała Johanowi kilka zabawek i chętnie się z nim bawiła. Przychodziła sama albo przyprowadzała koleżanki, żeby pokazać im arabską księżniczkę, najpiękniejszą panią na ziemi, która uciekła do Krakowa przed okrutnym Saracenenem i teraz nie wolno nikomu powiedzieć, gdzie się ukrywa. Marysia chciała nawet sobie zafarbować włosy na czarno, by być taka piękna jak pani z Aragonii.

Dzięki tym wizytom Ayhe nabierała blasku i powoli przeobrażała się w krakowską mieszczanę.

Któregoś wieczoru pogasiłem wszystkie oliwne lampy i wszedłem do sypialni Ayhe. Usłyszałem szelest pościeli. Nie spała.

– Mogę? – zapytałem głośno, jakby to był środek dnia.

– Co?

– Paść przed tobą?

– Po co?

Stałem nad jej łóżkiem, a potem runąłem na kolana, aż zadudniło. Miałem ochotę wybuchnąć płaczem. Płakać jak dziecko, wypłakać te wszystkie lata, od tej strasznej nocy, gdy skatowali ją Jacob i Abram. Płakać nad nią, nad sobą i nad tym, co nas czeka. Utopić ją we łzach, żeby widziała, jak mi ciężko, że nie ma dla mnie świata bez niej.

Ayhe odwróciła się na bok, ujęła moją głowę w obie ręce i potrząsnęła. Było ciemno, nie wiedziałem więc, czy ze złości, z żalu, a może żartem.

– Znowu cierpisz przeze mnie... – powiedziałem.

Opadła na plecy.

– Szczęścia mi nie przynosisz, to prawda, ale nie tylko ty, cały świat taki. Może w niebie będzie mi lepiej.

Znów odwróciła się do mnie.

– Chcesz tu wejść?

– Chcę!

– Ale nie możesz mnie całować.

– Nigdy nie lubiłaś się całować.

– Kiedy mi kazałeś, to się z tobą całowałam.

– Kazałem? To ty mnie pierwsza zaciągnęłaś pod skóry.

Wsunąłem się pod kołdrę. Wziąłem ją w ramiona. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Gdybyś to chociaż ty mnie uderzył, a nie nasyłał na mnie jakiegoś osiłka.

– To nie żaden osiłek, to Sambor!

– Jesteś głupi... jaka różnica?

– To był żart!

Nic nie powiedziała.

– Żart! – powtórzyłem. – Ludzie mówią głupie rzeczy, żeby się pośmiać. Wiem, odwykłaś, w Gdańsku się tego nie robi...

Chciałem ją pocałować, ale mnie odepchnęła.

– Pamiętasz, że zgodziłaś się wyjść za mnie?

– Żartujemy czy już normalnie?

– Normalnie.

– Pamiętam. Byłam wtedy twoją niewolnicą. Jak mogłam odmówić?

– Wzięłaś ślub ze Stickerem?

– Nic się nie zmieniłeś... Znowu przesłuchanie.

– Wzięłaś?

– Nie.

– Nie chcę, żebyś więcej cierpiała.

– To mnie odeślij do Gdańska.

– Przebij mnie nożem!

Podniosła się gwałtownie, usiadła na mnie okrakiem, ścisnęła mocno udami.

– Zrobię to! – syknęła mi do ucha. – Wtedy nad rzeką nie żartowałam. Jak będę musiała, jak mi nie pozwolisz wrócić... to cię zabiję.

Tylko w tę jedną noc pozwoliła mi zostać do rana. Później spaliliśmy już osobno. A jednocześnie nie skrywała przede mną swej nagości. Gdy urządzała kąpiel, dwa razy w tygodniu, nie przeszkadzało jej, że widzę, jak wychodzi z balii. Kiedyś przeszła naga po całym mieszkaniu w poszukiwaniu ręcznika, pozostawiając wszędzie mokre odciski stóp.

Ludzie Tęczyńskiego po kryjomu, dyskretnie, likwidowali szpiegów z listy dostarczonej przez komtura Lichtensteina. Jednego po drugim, głowa po głowie. Nie było dnia, żeby nie znaleziono jakiegoś trupa w Wiśle. Spłynęły krwią karczmy, dwory, ratusze. Nawet z Wawelu nocą wynoszono zwłoki. Całe zastępy tajnych agentów badały, śledziły, sprawdzały, zbierały dowody. I likwidowały.

– Jak w ubojni świń – cieszył się zakonnik. – Wreszcie się doczekałem, wieprz za wieprzem. Świńskiej, zdradzieckiej juchy tyle, że do beczek trzeba zbierać.

Troski, jakich przysparzała mi Ayhe, oraz strach przed zemstą Stickerera zajęły całkowicie moją głowę. Sprawy kupców, Krzyżaków zeszyły na daleki plan. Przestałem myśleć o Kmicie. Ale mieszkając naprzeciwko, coraz częściej zerkałem na to, co się dzieje na ulicy pod jego domem. Żadnych zmian, ci sami odwiedzający, z mniejszym lub większym natężeniem.

Jeśli miałem zapewnić Ayhe godziwy byt i obronić ją przed Stickerem, musiałem znaleźć jakieś oparcie. W Aragonii moja sytuacja wyglądała źle, nie miałem tam powrotu przez najbliższe lata. Na gminę krakowską też nie mogłem liczyć. Po śmierci Fatimy nie miałem śmiałości, by wrócić do pomysłu handlu wełną. Nikt nie winił mnie za to, co się stało, ale wiedziałem, że nie mam wstępu ani do ich interesów, ani do ich domów.

Pozostawała mi służba polskiemu królowi. Sukces operacji uprowadzenia statków ze zbożem zrobił duże wrażenie. Przeżywałem swój krótki czas sławy. Tęczyński udzieliłby mi wsparcia, gdybym takiego potrzebował. Teraz, dzisiaj. Ale za rok? Jego przyszłość wydawała się zagrożona. Mimo tryumfu nad brodnickim komturem najcięższe wyzwanie rzucone polskiemu wywiadowi, sprawa kupców, pozostawało bez odpowiedzi.

Właśnie nadeszła wiadomość, że z rzeki pod Toruniem wyłowiono zwłoki kolejnego, szóstego kupca. Z siatki Tęczyńskiego został przy życiu już tylko jeden agent, ostatni.

Czas się kończył.

Nie dalej jak kilka dni temu brat Mikołaj wspólnie z Zawiszą rozważali włamanie się do domu Piotra Kmita, a precyzyjniej rzecz ujmując – do kancelarii prowadzonej w nim przez Petera Holta. Planowali wysłanie tam któregoś z łowców. Ryzyko było duże. Nikt nie znał rozkładu wnętrza, zwyczajów żołnierzy

tam przebywających ani nawet dokładnej ich liczby. No i przede wszystkim nikt nie miał pewności, czy w ogóle warto podejmować takie ryzyko.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z konieczności podjęcia jakiegoś działania, ale ostatecznie, po sprzeciwie Tęczyńskiego, z pomysłu włamania zrezygnowano.

Tyle że oni musieli słuchać rozkazów. Ja nie. Ja mogłem o takim zakazie w ogólnie nie wiedzieć.

Postanowiłem sam, na własną rękę dostać się do kancelarii Piotra Kmity.

Nie miałem nic do stracenia. Przy odpowiednim przygotowaniu nic złego nie mogło się wydarzyć. Jeśli nie znajdę tam wartościowych dokumentów, całą sprawę zachowam w tajemnicy. Jeśli jednak odkryję jakiś dowód obciążający Kmitę – będzie to sukces, który otworzy mi jeszcze szerzej drzwi do komnat, jeśli nie królewskich, to na pewno tęczyńskich. Co z tego, że starosta wydał zakaz. Zwycięzców się nie sądzi.

Na samą myśl o takim przedsięwzięciu serce zabiło mi mocniej. Znow nie spuszczałem oka z drzwi naprzeciwko. Po kilku dniach, na podstawie poprzednich obserwacji i tych obecnych, ustaliłem, co następuje: w domu przebywało dzień i noc dwóch żołnierzy; Peter Holt, kancelista Kmity, mieszkał tam na stałe; kamienicę często nawiedzali kurierzy: głównie Niemcy i Polacy, ale dość regularnie pojawiali się też Genueńczycy. To tyle. Mało, ale zawsze coś.

Ci cholerni włoscy kanciarze, pchali się wszędzie! O czym mogli tyle rozprawiać z Peterem Holtem?

Kancelista wychodził czasami przed dom, ale głównie po to, by zagadnąć sprzedawczynię ciastek i czasami coś od niej kupić. Ale zawsze przed domem, nigdy nie zapraszał do środka. Co kilka dni kancelista z naręczem papierów udawał się w kierunku zamku. Zapewne do swojego mocodawcy, Piotra Kmity. Sam Kmita, odkąd zacząłem uważnie obserwować jego dom, nie pojawił się w nim ani razu.

Żeby tam bezpiecznie wejść i wyjść, musiałem się dowiedzieć, kto i gdzie śpi, jaki jest układ pomieszczeń, gdzie Peter Holt trzyma dokumenty i czy zamyka kancelaryjny pokój na klucz.

Dość szybko ułożyłem w głowie plan działania.

Zacząć należało jak zwykle od Rojka.

Tyniec, lato roku Pańskiego 1395

- Oczekuję Zygryda w Krakowie! – oznajmił Zawisza.
- Ten pojedynek z nim to szaleństwo... – Brat Mikołaj pokręcił głową. – Tęczyński cię przeklnie. Hanna też. Zygryda trzeba się pozbyć, ale nie w taki sposób. Nie na oczach królowej, wbrew rozkazom... Zakładasz sobie pętlę na szyję.
- Nie dam mu jej, postanowiłem. Tęczyński tonie, jak dziurawa łódź, co mi po jego zakazach!
- Zygryd będzie u boku Hanny królową gościł...
- Co mówicie?
- Królowa przyjęła zaproszenie na kolację w domu Jelitów.
- Tyle wiedziałem – mruknął Zawisza. – Hanna chce tę Arabkę na wieczerzę z królową zapraszać... Pomieszało się jej w głowie! Ale że tego psa też do stołu bierze... Najpierw mówicie, żebym od pojedynku odstąpił, a potem mi takie drzazgi pod paznokcie wbijacie, bodajby was...
- A na drugi dzień turniej... – rzekł brat Mikołaj. – Jeśli do niego staniesz... dziewczkę stracisz na zawsze.
- Nie dbam!
- Dbasz! Wzrok masz zamglony, a Zygryd to biegły rycerz.
- Coś jeszcze?
- Boczki ci ogniem dalej podpiekać?
- Podpiekaj!
- Hanna dwórką ma zostać... kolacją chce się pokazać i na turnieju swojej przyszłej pani rycerza przedstawić. Mówią, że królowa zamówiła herolda, co w zachodnich krajach bywał, i ten obmyślił jakiś spektakl. Będą smoki, anioły, dziewice...
- Koza głupia jak one wszystkie – prychnął Zawisza.
- Zakonnik się przeżegnał, jednocześnie na boki patrząc.
- O świętej królowej mówisz!
- Nie o królowej, ale o Hannie!

Kraków, lato roku Pańskiego 1395

W Krakowie istniały trzy domy publiczne położone przy Bramie Rzeźniczej. Kobiety w nich zatrudnione nazywano kurwami lub łagodniej – dziewczkami albo *meretrices*.

W Saragossie mieszkałem wiele miesięcy wśród prostytutek i dobrze poznałem zasady rządzące ich światem. Burdele wszędzie opierają się na tych samych fundamentach: kobiety chcą zarobić, dzierżawcy chcą zarobić, miasto chce zarobić, mężczyźni chcą zapłacić, a Kościół to wszystko toleruje jako mniejsze zło. Czyli wszyscy są za przy jednym wstrzymującym się od głosu. Takie przedsięwzięcie sprawnie funkcjonuje, dopóki te fundamenty są stabilne.

Jednym z zagrożeń, które spędza sen z powiek właścicielom lub dzierżawcom burdeli, jest wszelka pozacechowa konkurencja. W Aragonii była to prawdziwa plaga. Pamiętam, jak walczył z tym Juan Sanchez. Było tak, że z okolicznych wsi i miasteczek, często nawet dość odległych, zjeżdżały do Saragossy młode kobiety na kilka miesięcy, aby dorobić na prostytutce i jakoś przeżyć zimę. Właściciele zamtułów, zmuszani do wpłacania olbrzymich sum do kasy miasta tytułem dzierżaw, płacili z własnej kieszeni strażnikom miejskim, by ci wykazywali ponadprzeciętną gorliwość w tropieniu tego procederu. Złapane dziewczyny zamykano do więzienia, karano chłostą, surową grzywną, wykorzystywano i wyrzucano z miasta. Mimo to nie brakowało wciąż nowych chętnych i ta walka, niczym przeganianie much z izby, toczyła się nieustannie.

W Krakowie nie mogło być inaczej. I nie było. Jakiś czas temu rozmawiałem z Rojkiem na ten temat. Strażnicy miejscy z takim samym oddaniem wyłapywali nowo przybyłe dziewczyny, gotowe ciałem zarobić kilka groszy. Nie było tygodnia, żeby któreś nie złapano.

W Saragossie zdarzało się, że kupcy opłacali strażników, by ci, przed zwałtretowaniem przyłapanej na nierządzie dziewczki, podsyłali im je do pracy. Takie dziewczyny znakomicie sprawdzały się jako domokrażne kramarki. Były odważne, samodzielne, dobrze znały się na pieniądzu i na ludziach. Kupcy ubierali je w skromne szaty i tak chodziły od domu do domu z najróżniejszym towarem. Nawet Żydzi z nich korzystali, by zachęcały po domach do brania drobnych pożyczek.

Rojek przez swoje kontakty w radzie miasta umożliwił mi rozmowę z kilkoma

nieszczęściami. Wyróżniała się wśród nich dziewczka o imieniu Dorota. Pochodziła z podmiechowskiej wsi. Twierdziła, że została kilka lat temu wdową. Ona i jej synek przymierali głodem. Żeby jakoś przeżyć, przyjeżdżała na wiosnę do Krakowa, na kilka miesięcy, dziecko zostawiając pod opieką siostry. Oczywiście płaciła jej za taką przysługę – utrzymanie dziecka kosztuje. Nic więcej o niej nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć. Miała ładną buzię, wesołe oczy, zdrową cerę, gęste błyszczące włosy i wdzięczny uśmiech. Podobno szybko znajdowała klientów. Tym razem, to znaczy za trzecią zarobkową wyprawą do Krakowa, dopadł ją pech: ledwie przekroczyła bramy miasta, została złapana przez strażników.

Zaproponowałem uczciwy układ: Rojek znajdzie jej zajęcie i będzie pobierał za nie wynagrodzenie, które podzieli na trzy równe części: jedną część otrzymają strażnicy, drugą Rojek, a trzecią ona, żeby mogła jakoś się utrzymać w Krakowie i zapłacić siostrze. Zawsze to lepsze niż więzienie. Przepracuje dwa, może trzy miesiące i wróci tam, skąd przybyła.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że jeśli w trakcie naszej umowy zostanie przyłapana na nierządzie, trafi do miejskiego aresztu, a tam zrobią z nią straszne rzeczy, po których nie będzie już nigdy tą Dorotą sprzed aresztowania.

Rojek szybko ustalił, kto zaopatruje ulicę Grodzką w pieczywo. Dzięki sporej sakiewce załatwił z piekarzem, by przez jakiś czas Dorota popracowała dla niego przy roznoszeniu słodkich bułeczek, ciastek i tego, czym tam jeszcze handlował.

Poprzednią handlarke, piętnastoletnią siostrzenicę piekarza, widziałem kilka razy, jak zatrzymywała się przed kamienicą Kmity. To były jedyne przypadki, gdy kancelista Peter Holt wychodził na ulicę. Tam chwilę rozmawiali, stary zawsze coś od niej kupił. Znudzony gapieniem się na fasadę domu Kmitów czekałem bezskutecznie, aż wreszcie w starym szelmie obudzi się myśliwy i zaciągnie ofiarę do środka. Mój plan miał sprawić, by w końcu się to zdarzyło.

Dorota, jak większość przyłapanych na dorywczym frymarczeniu ciałem młodych dziewcząt, nie wyglądała na prostytutkę; łatwo wtopi się w tłum setek młodych kobiet wykonujących w mieście domokrażną pracę. Ładna, skromnie ubrana, nie wzbudzi podejrzeń.

Wszystko zostało przemyślane i przygotowane. Teraz musiałem tylko jeszcze raz z nią porozmawiać.

W Saragossie mieszkalem z prostytutkami kilka miesięcy, wiele z nich to mądre dziewczyny; żywiłem dla nich dużo szacunku i sympatii; wszystkie wyróżniały się tymi samymi cechami: nie bały się ryzyka, potrafiły uwodzić zamożnych i unikać skąpców, były szybkie w działaniu, nie przesadzały ze skrupułami.

Dokuczały mi wyrzuty sumienia, że sprowadzam dziewczynę z powrotem na złą drogę, ale Rojek pomógł mi się ich pozbyć. Wypuścimy ją, mówił, to pójdzie do Kazimierza albo innego miasta. Powiniennem raczej poczytać sobie za dobry

uczynek, że oszczędzę Dorocie ciężkiego losu i kilku miesięcy upokorzeń. Za jednego starucha dostanie tyle, że będzie mogła przeżyć ze swoim synkiem – jeśli to wszystko prawda, co mówiła – do następnej wiosny. Przecież chciała jak najszybciej zarobić, by móc wrócić do siebie. Uciszyłem sumienie postanowieniem, że hojnie jej zapłacę.

Rojek jeszcze tego samego dnia oznajmił strażnikom, że chcę z nią porozmawiać. Zapłacił komu trzeba i dziewczyna została przyprowadzona przez strażników wieczorem do jego domu. Bakalarz zostawił nas samych. Dorota miała na sobie skromną sukienkę i schodzone, ale czyste trzewiki.

Tak jak liczyłem, rozmowa była krótka i rzeczowa. Do tych dziewcząt trzeba mówić prosto, jasno i nie udawać zawstydzenia, ale też nie traktować sprawy z lekceważeniem. Żadnych wulgaryzmów ani przesadnie uprzejmego języka.

Powiedziałem więc, o kogo chodzi, że to stary, surowy dziad. Wygląda na kutwę, ale zawsze coś od poprzedniej handlarki kupował, więc może nie jest tak źle.

– Tu nie chodzi o to, żeby z nim legnąć – oznajmiłem. – To umiałyby nawet moja klacz. Rzecz w tym, żeby...

– Żeby uwierzył, że nie chcę, ale potem chcę... i że nie za pieniądze...

– No właśnie. Masz udawać zwykłą dziewczkę.

– Taką bogobojną, zagubioną dziewczkę ze wsi?

– Może być bogobojna.

Kiwnęła głową na znak, że nie powinno być z tym kłopotów.

– A pan by nie chciał?

– Czego?

– Pójść ze mną.

– Nie.

– A za darmo? – Spojrzała na mnie wyzywająco. Ani cienia uśmiechu.

I tym razem chciałem zaprzeczyć, ale najwyraźniej za długo zwlekałem.

– Ach, żartowałam. – Roześmiała się. – Jak mamy razem pracować, to wołałam wiedzieć, czy się panu podobam.

– I dowiedziałaś się?

– O tak! Podobam się panu.

– Chyba wszystkim się podobasz?

– Tak, to prawda. Ale pan jesteś taki jakiś inny. Mówią o panu, że pan jesteś Żydem z krainy arabskiej i że sprowadziłeś tu jakąś księżniczkę.

Przeraziłem się, że nawet taka świeżo przybyła do miasta dziewczka plotkuje na mój temat. I już pewnie wie, gdzie mieszkam. Kraków to małe miasto.

Powtórzyłem, jakie ma przed sobą zadanie: ma uwieść Petera Holta i donosić na bieżąco, co robi, co mówi, z kim się spotyka. I musi to wszystko zrobić umiejętnie.

Dorota sama podała kwotę. Niższą, niż sobie założyłem, ale przystałem na jej żądanie, udając lekkie ociąganie, żeby nie rozbudzać jej apetytu. Obiecałem sobie,

że jeśli wszystko pójdzie, jak trzeba, dam jej tyle, że będzie mogła na drugi dzień wrócić do domu, poszukać uczciwego zajęcia i zająć się synkiem jak prawdziwa matka.

Ustaliliśmy, że zacznie od razu, nazajutrz.

Jako nowa handlarka słodkim pieczywem miała za zadanie obejść z koszem wszystkie domy przy ulicy Grodzkiej. Piekarz starannie ją poinstruował. Jemu też Dorota bardzo się podobała, bo nie przestawał się uśmiechać i wodzić po niej wzrokiem od stóp do głowy i z powrotem. Domyślał się, skąd ją wytrzasnąłem.

– Idziesz rano – tłumaczył – pukasz do wszystkich drzwi. Zaczepiasz przechodniów. Dochodzisz do bramy. Wracasz lewą stroną, pukasz do wszystkich drzwi. Jeśli sprzedasz wszystko, zanim dojdiesz do końca ulicy, przychodzisz do mnie i bierzesz kolejną partię. Potem chodzisz ulicą i zaczepiasz przechodniów, już nie pukasz. Jasne?

– Jasne, proszę pana. – Dorota posłała mu jeden z najpiękniejszych i niewinnych uśmiechów, jakie w życiu widziałem.

Jak to możliwe, żeby taka dziewczyna... Przez chwilę przeszła mi przez głowę myśl, by odwołać zadanie, zostawić ją w tej piekarni. Piekarz wyglądał na dobrego człowieka, dobrze by jej płacił. Mogłaby spędzać wiosnę i lato na uczciwej pracy.

– Na pieniądzach się znasz?

– Znam bardzo dobrze, proszę pana.

– Dziś na próbę dam ci mniej ciastek.

Dostała do dużego koszyka cały asortyment piekarni: słodkie suchary, precele, rogaliki i placki smażone na oleju z dodatkiem maku albo sera, do wyboru. Szerokie krążki ciasta zawijanego z serem oraz wypieki z dodatkiem miodu; było też żydowskie tłuste ciasto smażone na gęsim smalcu, zwane sadlnikiem.

Dorota ubrana w lniany biały fartuch z wyszywanymi starannie, ale byle gdzie rogalikami i bułeczkami, z koszem pełnym aromatycznych słodkości wyglądała tak kusząco, że z trudem przepędziłem z głowy nagły przypływ pożądania.

Nie dziwota, że ten ramol kancelista zawsze coś kupił z koszyka. Staruchy nie potrafią oprzeć się słodyczom, a co dopiero podsuwanym pod nos przez tak schludnie i urokliwie odziane dziewczęta...

Spróbowałem jedno z ciastek. Było pyszne. Zjadłem całe.

– Należy się jeden grosz – powiedziała Dorota z pełną powagą i wyciągnęła dłoń.

Położyłem monetę.

– Tak, bardzo dobrze – włączył się piekarz. – Te są po groszu. Te tutaj – wskazał na część kosza – po dwa, a te – zakreślił palcem koło nad rogalami z serem, większymi od pozostałych – po trzy grosze. Da sobie radę – powiedział do mnie i uśmiechnął się, jakbym był jej ojcem.

Pozostała do omówienia kwestia strategii. Dorota zapewniała, że da się poderwać staremu tak, by nie nabrał podejrzeń. Była pewna swego. Skoro jest kancelistą, to

wystarczy, że poprosi go o przeczytanie jakiegoś listu, czegokolwiek, i uda zachwyty nad jego wiedzą, ona głupia, niepiśmienna. Wtedy łatwo uwierzy, że taka młódka weszła z nim pod pierzynę bezinteresownie. Oczywiście nie za pierwszym razem. Za pierwszym razem będzie się tylko uśmiechała. Z doświadczenia wiedziała, że im starsi mężowie, tym łatwiej ich nabrać na takie sztuczki. Chciałem ją ostrzec, że to dość naiwny plan, że takie staruchy mogą być niebezpieczne albo chorobliwie podejrzliwe, ale nie dała sobie nic wytłumaczyć. Powiedziała tylko, coraz pewniejsza siebie, że jestem niewiele od niej starszy i gówno się znam na starych chłopach. Tak mi dokładnie powiedziała:

– Gównu się pan znasz!

Kilka razy odwiedziłem w tych dniach ciotkę Barbarę. Kazała sobie opowiadać, jak układa mi się z Ayhe. Zawyrokowała, że jeśli chcę ją zatrzymać, to oprócz codziennej troski muszę dostarczać jej jakichś mieszczańskich atrakcji. I że ona nad tym pomyśli.

Za którymś razem Barbara wyznała, że jest przerażona nadciągającym nieuchronnie kataklizmem. Była zdziwiona, że o niczym nie wiem. Będzie kotłowanina, powiedziała, poszarpią się dwa wściekłe psy, a tłuszczka będzie miała uciechę.

Otóż w najbliższych dniach do Krakowa miał zjechać Zygfryd von Dohn zachęcony przez Tomasza do wzięcia udziału w jednym z turniejów, jakie organizowano na Wawelu. Podczas nieobecności Jagiełły, powodowanych ciągłymi podróżami po kraju, dwór starał się dostarczać znudzonej Jadwidze jakichś rozrywek, by skrócić jej czas oczekiwania na powrót męża. Jedną z nich były turnieje, które młoda królowa bardzo lubiła. Cały Kraków żył tymi wydarzeniami. Teraz, specjalnie na turniej, miała z Sadłowa przyjechać Hanna, by jako przyszła dwórka zobaczyć, jak przed obliczem Jadwigi zaprezentuje się jej niemiecki rycerz.

Na turniej zapowiedział się też Zawisza, który publicznie oświadczył, iż posłał rękawicę pruskiemu rycerzowi. Ci bardziej zorientowani – a o zakazie Tęczyńskiego wiedział coraz szerszy krąg dworzan i plotka już dawno wyfrunęła z wawelskiej klatki – zdawali sobie sprawę, że to oznaczało niechybnie przerwanie rycerskiej kariery młodego Zawiszy. I to niezależnie od pojedynku, którego wyniku nikt w Krakowie nie ośmielał się przepowiadać.

Podobno Hanna błagała Zawiszę w listach, by odstąpił od tego szalonego zamiaru. Zagroziła, że go znienawidzi, jeśli nie posłucha. Ale Zawisza pozostawał nieugięty. Pragnął zemsty. I to właśnie na oczach królowej. Ciotka Barbara wieszczyła przerażonym głosem, że Zawisza zamierza zabić Zygfryda. Albo samemu zginąć. Że to wszystko z tego, że dalej kochał się skrycie w jej Hance i nie może znieść podejrzeń o tchórzostwo wysuwanych szeptem za jego plecami. Tęczyński tymczasem przebywał na Rusi i najpewniej o niczym jeszcze nie wiedział.

Krakowscy mieszczenie ostrzyli sobie zęby na wielkie widowisko.



Parę dni później Hanna rzeczywiście zjechała do Krakowa. I chyba pod naporem ciotki od razu postanowiła dołączyć do opieki nad Ayhe. Najpierw poprzez gońca ściągnęła mnie do domu Jelitów, by tam zasypać gradem pytań. Ciotka musiała Hannie wiele opowiedzieć, bo pytania były szczegółowe i świadczyły o znajomości rzeczy. Pytały więc o zdrowie Ayhe, tak by wiedzieć, czy i kiedy gotowa jest opuścić mieszkanie. A potem o stan jej garderoby, włosów, czy potrzebuje fryzjera, o zapas kosmetyków. Na część pytań nie umiałem odpowiedzieć. Uważałem ponadto, że żona Rojka i cała armia koleżanek jej córki spełniają swoje zadanie znakomicie i uraziłoby je, gdyby nagle do naszego domu wkroczyła ciotka Barbara z Hanną i wywróciły wszystko do góry nogami.

Od razu też, nie bacząc na moje protesty, obie niewiasty zaczęły planować uroczyste posiłki, kolacje bądź śniadania, do których Ayhe mogłaby zasiąść w jak najdostojniejszym krakowskim gronie. Wielkim wydarzeniem było przyjęcie zaproszenia do domu Jelitów przez młodzietką królową. To dopiero będzie coś! W jakże korzystnym świetle mnie to postawi! Nie ma na świecie kobiety, która pozostałaby obojętna wobec takiego wyróżnienia.

Dom Hanny był sławny, ale wieczerza z królową? Nie mieściło mi się to w głowie. Ayhe niewiele się do mnie odzywała, ja też unikałem rozmów, bo każdy, nawet najbardziej błahy temat kończył się pytaniem, kiedy będzie mogła wrócić do Gdańska. Najlepiej czuła się w towarzystwie żony Rojka. Często się odwiedzały. Gdy Ayhe wychodziła do domu Rojków, zawsze towarzyszył jej mały Johan, który uwielbiał zabawy z Marysią, jej rodzeństwem i przyjaciółkami. Poza tym obie na tyle dobrze znały niemiecki, że Ayhe mogła się wygadać do woli, co podobno jest dla niewiast równie oczyszczające jak kąpiel. Po jednej z takich wizyt Ayhe nieoczekiwanie zwróciła się do mnie:

– Podobno twój przyjaciel uważa się za niepokonanego, ale ten Niemiec to bardzo drapieżny kogut. Cały Kraków czeka na ten pojedynek. Pojawiają się głosy, tak twierdzi Rojek, że ten Niemiec utrże Zawiszy nosa.

Wyczułem w jej głosie nutę satysfakcji. Ayhe wiedziała już, jak to się stało, że wieść o obecności jej i Stickera w Gdańsku tak szybko dotarła do Krakowa, i kto wydał zgodę na jej porwanie.

Anna codziennie, od pierwszego dnia pobytu Ayhe w Krakowie, przynosiła nam jedzenie. Krakowską kuchnię poznałem już w domu Hanny. Kuchnia żony Rojka była jednak znacznie bardziej aromatyczna. Te same kasze, te same mięsa smakowały teraz zupełnie inaczej. Rojek uprzedził mnie, że jego żona na przyprawę wydaje więcej niż na ubrania i ozdoby. W bogatych kramach w sukiennicach, gdzie sprzedawano wszystkie te zamorskie cuda, zostawiała fortunę. To było prawdziwe szaleństwo rujnujące ich domowy budżet. Lecz dzięki temu dania przez nią przyrządzane odznaczały się wyjątkowo intensywnym,

ostrym smakiem i były aromatyczne. Anna nie żałowała octu, wina, musztardy. W ubogim domu, ubogiej kuchni, gromadziła iście królewskie zapasy przypraw i korzeni: szafranu, cukru, gałki i kwiatu muszkatołowego, pieprzu, imbiru, goździków, migdałów. Ryby przyrządzała z szafranem, gęsinę z migdałami, ryż z papryką, kurczęta nadziewała rodzynkami.

Mały Johan pochłaniał olbrzymie ilości jaj, białego sera, pierogów i stawał się coraz większy. Pił też z ochotą kwaśne mleko, do którego ja nigdy się nie przekonałem.

Poza czułościami tej jednej nocy Ayhe i ja sypialiśmy osobno. Powoli nasza relacja nabrała więziennego charakteru: ja byłem strażnikiem, ona więźniem.

Gdy zaproponowałem jej spotkanie z Hanną, którą przedstawiłem jako mieszczańkę z najwyższych krakowskich sfer, niegdyś damę serca Zawiszy, oraz jej ciotką Barbarą, ucieszyła się. Po opuchliznie i przebarwieniach na twarzy już dawno nie było śladu i była gotowa pokazać się każdemu.

Oczywiście o uroczystej kolacji, gdzie mogłaby poznać damy dworu i samą królową, Ayhe początkowo nie chciała słyszeć. Ale podczas odwiedzin ciotka i Hanna, tak długo ją przekonywały, że w końcu i na to się zgodziła.

Traktowano nas jak małżeństwo i ciotka zapowiedziała, że postara się, abyśmy mieli gości codziennie. Takie tu panują zwyczaje i koniec.

Wychodząc, zakomunikowała:

– Aaronie, chłopcze mój kochany, jeśli pozwolisz tej pięknicy uciec, nie masz wstępu w moje progi!

– Ucieknie – odpowiedziałem – jak będziesz nas, pani dobrodziejko, zbyt często nachodzić.

– Ty uciekniesz – zawołała ciotka Barbara. – Ona nie! Nic się na niewiastach nie znasz. Nie wiem, jak ta biedaczka przetrwa zimę.

– Ma mnie...

– Boże! – Chwyciła się za głowę. – Ależ to już przecież chrześcijanka! Żydówkom do pogawędki może jedna jarmułka na rok wystarczy, ale nie chrześcijankom.

Hanna aż kopnęła mnie w kostkę i zasyczała:

– Jak mogłeś ją z rąk wypuścić... na tyle lat! Nie damy jej nikomu! Przyślę suknie i krawca. Kiedy ją pokażemy rajcom i dworowi, to już w Krakowie będzie musiała zostać. Ciotunia mówiła, że ona nie wyszła za tego Stickera. To mu nic do niej! Jej wola! A widzę, ślepa nie jestem, że jej wola od ciebie zależy. Mów, co chcesz. Tylko się postaraj. Chłopca wychowasz jak swojego, a własnych dzieci prędko się dorobisz.

Ta wizyta, zapowiedź spotkania z królową, odmieniła Ayhe. Jakby ją ktoś mocno chwycił za ramiona i potrząsnął. Wreszcie zaczęła ze mną rozmawiać i się uśmiechać. Jednak okrutne słowa szybko pozbawiły mnie wszelkiej nadziei.

Wyjawiała mi, że na początku, przez długie miesiące nienawidziła Stickera. Ale

w końcu przestał ją wysyłać do klientów. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Całkowita zmiana nastąpiła z chwilą ucieczki z Aragonii; Sticker zaczął ją traktować jak żonę, stał się dla niej tak dobry, że aż urodziła mu dziecko. Teraz są chrześcijanami, ona i jej synek. Nie oddała Stickerowi serca, nawet skrawka, ale... mnie również nigdy nie kochała. Jeśli w ogóle w życiu kogoś kochała, to tego kata, olbrzymiego Araba, którego poznałem kiedyś w Saragossie. Ale to było tak dawno, że nie pamiętała, jak to jest. Wyznała, patrząc mi prosto w oczy, że nigdy nie wyjdzie za Żyda, bo nie chce żyć w wiecznym strachu, nie chce naznaczyć piętnem swoich dzieci. Już jej jedno odebrali, nie chce tego więcej przeżywać.

W czwartek rano do naszego domu, zgodnie z zapowiedzią Hanny, przyszedł krawiec. Żyd. Poznał mnie. Nie ukrywał zaskoczenia.

Suknia, którą przygotował wedle wskazań Hanny, była zachwycająca. Ayhe wyglądała w niej jak królowa. Nigdy nie widziałem, żeby od kobiety bił taki blask. Żyd cofnął się, stanął koło mnie i cmokał z podziwu.

– Mój Boże! – powiedział w jidysz.

Górna część sukni, dopasowana do ciała, zapięta była na całej długości na guziki. Spódnice rozszerzały kliny dochodzące do bioder ozdobionych posrebrzonym pasem. Odważnie wycięty dekolt odsłaniał ramiona. Smukłą sylwetkę wydłużały tren i wąskie rękawy sięgające połowy dłoni. Ayhe na próbę utrefiła sobie włosy: rozdzieliła je pośrodku głowy, splotła w dwa lśniące czarne warkocze i upięła po bokach.

Tego samego dnia dostałem informację od Doroty, że Peter Holt nazajutrz, czyli w piątek, wybiera się w podróż poza Kraków. Przez następnych kilka nocy na pewno nie będzie go w domu na Grodzkiej. No więc teraz albo nigdy.

Dorota łatwo go uwiodła. Jej zdaniem kancelista uwierzył, że tylko dzięki szczęściu i sprytowi zerwał z drzewa jabłuszko, którego nikt wcześniej nie dostrzegł.

– Powiedziałam – relacjonowała kilka godzin po tym, jak stary Peter Holt w końcu wciągnął ją z ulicy do domu – że podobają mi się jego mądre zmarszczki, siwe włosy. I że, ach, jestem zachwycona, jak pięknie pisze, że tyle może i umie. Bo sama jestem biedna, głupia i takie tam. Staremu powiesz cokolwiek.

Nie spodobało mi się to. Peter Holt nie wyglądał mi na kogoś, kto urodził się wczoraj, komu można wmówić byle bzdurę. Ale postanowiłem być dobrej myśli.

A zatem w piątek wieczorem mógłbym wejść do domu Kmity. W piątek wieczorem... Powinienem wtedy zasiadać do kolacji szabatowej. Tak dawno tego nie robiłem. Może dobry Bóg mnie nie pokarze.

Uroczysta wieczerza w towarzystwie królowej została zamieniona na sobotnie śniadanie. Zaraz po nim wszyscy zamierzali udać się na Wawel, gdzie w ostatniej gonitwie turnieju Zawisza miał się zmierzyć z Zygfydem von Dohnem. Hanna i ciotka Barbara upierały się, abym przez cały ten czas towarzyszył Ayhe i ją wspierał. Dla mnie również przygotowały jakiś odświętny strój.



Całą noc padało, nad ranem mgły zeszyły na miasto i ledwie widziałem fasadę domu Kmity. Ruch zaczął się tam dopiero koło południa. Nie odchodziłem od okna. Przyjechało dwóch jeźdźców z jednym wolnym wierzchowcem. Z bramy domu wyszedł strażnik. Chwilę rozmawiał z przybyszami, po czym zajął się mocowaniem sakw. Po godzinie w bramie pojawił się Peter Holt ubrany w podróżny strój: krótki kaftan i skórzane spodnie. Włożył nogę w strzemień, dziarsko wskoczył na konia i odjechał w stronę Rynku w towarzystwie dwóch żołnierzy.

Po wybiciu dzwonów i odtrąbieniu sygnałów do zamknięcia miejskich bram jeszcze raz stanąłem w oknie. W mdłym świetle latarni tuż przy wylocie Grodzkiej zobaczyłem, jak jakiś człowiek puka do bramy domu Kmity. Wyszedł do niego jeden z żołnierzy. Chwilę rozmawiali, żołnierz odebrał pakunek, może listy, i postać zniknęła w mroku ulicy.

To samo co zawsze. Dokumenty krążyły swoim trybem. Podczas nieobecności Petera Holta przesyłki odbierał jeden z żołnierzy. Pewno zanosił je na piętro i kładł na biurku, gdzie poczekają na powrót kancelisty.

Odstałem jeszcze dwie godziny. Ayhe i Johan zasnęli. Miałem nadzieję, że żołnierze w domu Kmity również. Włożyłem *mechero* i małą oliwną lampkę do prawej kieszeni kaftana, arabski nóż do lewej.

Przeszedłem przez ulicę. A potem drogą, którą wcześniej przygotowałem sobie w myślach podczas spacerów, dostałem się po dachach pod jedną z okiennic na drugim piętrze domu Kmity. Szybko, cicho, sprawnie, bez żadnego błędu. W chodzeniu po dachach nie miałem sobie równych wśród ludzi.

Dorota opowiedziała mi, że na tej ostatniej kondygnacji mieści się mała izba, zawsze zamknięta, ale nie na klucz. Widziała kilka razy, jak Peter wchodził tam i wychodził, ale nigdy nie miał klucza w ręku. Widocznie w pełni ufał żołnierzom. To tam musiała mieścić się kancelaria.

Zakładałem, że znajdę w niej oryginały dokumentów. Na pewno, bo tu, na Grodzkiej, Peter Holt rozliczał się z wierzycielami i dłużnikami. Potwierdzili to przecież swego czasu krakowscy Żydzi. I Fatima. Jeśli więc istnieje jakiś dokument w sprawie kontaktów z Krzyżakami, to Peter Holt trzymał go w tej izdebce na piętrze.

Wedle Doroty wchodziło się do niej z korytarza, w którym było co najmniej jedno okno z okiennicami zamykanymi na zwykłe haczyki; wystarczyło z zewnątrz włożyć nóż w szparę i podważyć. Peter Holt zawsze rano je otwierał, a na noc zamykał.

Dziewczyna mówiła prawdę. Okiennice miały szparę w sam raz. Wsunąłem ostrze od dołu między skrzydła i powoli przesunąłem do góry, aż natrafiłem na haczyk.

Uderzyłem lekko. Stuknęło. Metal o metal. Poczułem, jak haczyk gładko wychodzi z oczka i opada. Odczekałem chwilę. Spróbowałem odchylić lewe skrzydło. Ruszyło. Prawe też. Jak na razie szło aż za dobrze. Wsunąłem się do wnętrza i bezszelestnie zamknąłem za sobą okiennice.

Pierwsze rozczarowanie: żołnierze nie spali. Z parteru dobiegały odgłosy rozmowy. Byli już pijani. Nie bardzo, ale na tyle, by gadać od rzeczy. Nie rozumiałem ani słowa, ale wskazywały na to głośne, pijacko radosne tony. Postanowiłem nie ruszać się, aż usłyszę chrapanie. Dorota twierdziła, że zawsze chrapią. Już kilka razy nocowała u Petera. Narysowała mi nawet rozkład pomieszczeń i schodów.

W izbie na parterze przebywało zawsze dwóch żołnierzy. Zmieniali się co jakiś czas. Ochraniali kancelarię i czuwali nad bezpieczeństwem Petera. Kancelista pracował na pierwszym piętrze, ale wszystkie dokumenty przechowywał na ostatniej kondygnacji.

Zmęczony staniem kucnąłem. Z dołu przebijała się jedynie delikatna ciemnożółta poświata. Żołnierze przykręcili knot. Takie liche światło musi sprowadzić na nich sen.

Z upływem czasu oczy przyzwyczajały się do mroku. Dostrzegłem obrys drzwi, o których mówiła Dorota. Wciąż czekałem. Najgorsze, pomyślałem, że będę musiał przez to przejść jeszcze raz. I to w trudniejszych warunkach. Może z Peterem śpiącym piętro niżej. Dziewczyna będzie się musiała bardzo postarać.

Po nieskończeniu długich minutach, a może godzinach rozległo się wyczekiwane chrapanie.

Ostrożnie podszedłem do drzwi kancelarii. Nacisnąłem klamkę. Musiałem się schylić, by nie uderzyć głową w futrynę. Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi. Wyjąłem *mechero*, lampkę, zapaliłem ją i rozejrzałem się po niewielkim wnętrzu.

Wszystkie ściany od podłogi po sufit zastawione były regałami. Sterty papieru, kajety, zwoje pergaminu na wyższych półkach i mnóstwo skrzynek z płaskimi wiekami. Pomieszczenie nie miało okna. Nie było też biurka ani krzesła. Jedynie trzy niskie, szerokie taborety, służące raczej do dodawania sobie wzrostu przy sięganiu na najwyższe półki niż do siadania. I mały stolik zarzucony kartkami, otwartymi listami i dwoma stosami dokumentów. Pod stolikiem kilka równo złożonych parcianych worków, w których zapewne przewożono mniej ważne akta.

Liczyłem, że łatwo odnajdę tę jedną jedyną szafkę z najcenniejszymi pismami. Wszędzie kancelarie są tak samo urządzone; musi istnieć jakiś święty od księgowych, i to niezależnie od religii, bo wszyscy układają dokumenty w ten sam sposób. Na biurku sprawy aktualne, regał najbliższy biurka – to, co okresowe, do czego często się zagląda. Im wyżej, tym zapiski mniej istotne. W zamkniętej szafce na najbliższym regale na prawo od biurka trzyma się najważniejsze dokumenty.

Powoli przesuwalem wzrokiem po regałach. Lampa dawała dość światła, by stwierdzić, że nie było tu żadnej zamykanej szafki, od której mógłbym zacząć.

Trudno. Miałem przed sobą kilka godzin. Chociaż nie, nie zostanę tu tak długo. Wrócę tu jeszcze. Nie zostawię żadnych śladów. Już wcześniej obmyśliłem sposób, jak po wyjściu zamknąć za sobą haczyk, a swąd spalonej oliwy z lampki ulotni się do rana.

Postanowiłem zdać się na łut szczęścia.

Podszedłem najpierw do stolika. Otwarte listy zapisane były po włosku, podobnie jak karty papieru. Z układu akapitów, kroju pisma i staranności zapisu poznałem, że były to jakieś umowy handlowe. Teraz mnie to nie interesowało. Krzyżacy nie pisali po włosku. Powinienem skupić się na dokumentach po niemiecku lub w ostateczności po łacinie. Wziąłem głęboki wdech, zrobiłem krok przed siebie, sięgnąłem na półkę, którą miałem na wysokości oczu.

I zamarłem.

Za moimi plecami rozległo się skrzypnięcie drzwi. Ciche, bo zawiasy były naoliwione. Zauważyłem to, wchodząc. Zamknąłem starannie drzwi za sobą, więc nie mogły otworzyć się same. Usłyszałem głuchy łomot, miarowy. W mojej piersi, w uszach, pod powiekami. To serce dudniło jak oszalałe. Odwrócić się czy stać tak z ręką opartą na półce? A jakie to ma znaczenie!

– Zapalić drugą lampę czy ta twoja nam wystarczy? – Usłyszałem za sobą mocny męski głos.

Odwrociłem się. W drzwiach stał Zygryd von Dohn. Nie było wątpliwości. Widziałem go kiedyś, gdy paradował wystrojony po krakowskich ulicach po jednym z turniejów. To był on! Był ode mnie wyższy o głowę, więc musiał głęboko się pochylić, by bezpiecznie przekroczyć próg. Przebiegła mi przez głowę myśl, że zaprzepaciłem pierwszą i ostatnią szansę na zadanie ciosu. Ale zaskoczenie i strach tak mnie spętały, że zapomniałem nawet o mruganiu. Prawą rękę wciąż trzymałem na półce. Gdyby nie to, pewno bym się przewrócił.

Zygryd krzyknął na dół, chyba do żołnierzy:

– Tak, to on! Wlazł po dachu, tak jak myślałem.

Wszedł, zatrzasnął za sobą drzwi, włożył klucz do zamka i przekręcił.



Dopiero gdy Zygryd stanął wyprostowany, zdałem sobie sprawę, jak małe jest to pomieszczenie. Miał na sobie czarne wysokie buty, pobrudzone plamami zaschniętego błota, i lekki skórzany kaftan głęboko rozcięty z przodu i po bokach. W jednej ręce trzymał drąg jak na psa, a w drugiej jakąś szmatę.

Wbił we mnie skupiony wzrok jak myśliwy w zwierzynę. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a ja miałem wrażenie, że Zygryd zajrzał na samo dno mojej duszy i zobaczył paniczny lęk winowajcy. Krew przestała mi dudnić w skroniach.

Rycerz opadł ciężko na taboret. Niedbałym machnięciem ręki wskazał jeden z dwóch pozostałych. Usiadłem posłusznie. Z bliska wyglądał łagodniej: krótka broda kryła młodą i przystojną twarz; jasne gęste pukle kładły się ciężko na ramionach, a kilka krótkich kosmyków opadało niewinnie na wypukłe jak u panny czoło.

Dlaczego Dorota mi nie powiedziała, że i on się tu kręci?

Zygryd pochylił się, oparł łokcie na kolanach.

– Głupia dziwka, bardziej ją interesowało, kiedy ten stary wyjedzie, niż kiedy będzie. Dziwne jak na kochankę, co?

Przetarł twarz wilgotną szmatą.

– Młody jesteś, i Żyd, więc pewnie o dziwkach nic nie wiesz. I dobrze, bo to zaraza tego świata. Kurwy się sprzedają, jakbyś nie wiedział. Można je kupić. Jak do towaru jest więcej chętnych, to kupuje ten, kto więcej zapłaci. Prawda?

Milczałem.

– Prawda?

Nic nie powiedziałem.

– Posłuchaj, Żydzie, jak cię pytam, to odpowiadaj. Tak nam się będzie lepiej rozmawiało. Szybciej skończymy. Chyba chcesz szybko skończyć?

– Chcę. – Krtań miałem tak ściśniętą strachem, że głos ledwie się przez nią wydostał.

– To dobrze. A teraz wracam do pytania. To pytanie jest zupełnie nieistotne dla nas w tej chwili, ale ja lubię porządek. No więc jeszcze raz: kurwy się sprzedają, to ich zawód, a kupuje ten, kto więcej zapłaci. Prawda?

– Tak.

– Świetnie. Widzę, że jakoś nam pójdzie. Komtur uprzedzał, że wolno się rozkręcasz.

Dorota mnie sprzedała, pomyślałem, powinienem się być domyślić. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? Teraz ten szaleniec zatłucze mnie pałką. Nie ma tu okien. Ściany grube. Nikt nie usłyszy, gdy będę krzyczał.

– Ta mała dziwka cię w końcu wydała. Trochę się opierała, ale ostatecznie... Tak się ucieszyłem, gdy powiedziała nam, kto ją do nas wysłał, że... nic jej nie zrobiłem. Nawet jej zapłaciłem. A powinienem ukarać, przecież chciała oszukać mojego przyjaciela Petera Holta. Mówię ci to, żebyś się o nią nie martwił. To sprzedajna suka, i tyle.

Zygryd wstał i rozprostował ramiona. Otrzepał się jak pies.

– Pół nocy tkwiłem jak dureń na tym piętrze. Już myślałem, że odłożyłeś wizytę na później albo w ogóle zrezygnowałeś. Ale nie żałuj, że tu jesteś. W zasadzie to nawet lepiej, że się tak spotykamy. Musiałem z tobą porozmawiać. Nie miałem tylko pomysłu, jak się do tego zabrać. Pewno by się to jeszcze odwlekło, a jak za chwilę się przekonasz, czas nie gra na twoją korzyść.

Miał podobny sposób mówienia do Lichtensteina. Byli nawet do siebie podobni fizycznie: w postawie, spojrzeniu, gestykulacji, grymasach.

– Karol von Lichtenstein wszystko mi opowiedział. Chciał ci spuścić porządne lanie, tobie i temu rycerzykowi, ale to roztropny człowiek. Zlecił mi dokończenie rozmowy. I proszę! Sam mi się pchasz w łapy.

Zygryd poprawił się na taborecie.

– Czego tu szukałeś?

– Chciałem dowiedzieć się czegoś o waszych interesach.

– Po co?

– Mam organizować kilka dużych operacji pomiędzy gminą krakowską a Żydami w Aragonii. – Mówiłem cicho i powoli. Oparłem łokcie na kolanach i wbiłem wzrok w podłogę. – Tam są kontakty, ale nie ma kapitału po pogromach sprzed paru lat, tu jest kapitał, a nie ma kontaktów. Chciałem na tym zarobić.

– Sam?

– Nie, kilka osób z otoczenia Tęczyńskiego chce wziąć w tym udział.

Niemiec ciężko westchnął. Jak nauczyciel, który spodziewał się po uczniu złej odpowiedzi i właśnie taką usłyszał.

– Żydzi skarżą się – mówiłem dalej – że Piotr Kmita postępuje z nimi nieuczciwie...

– Postępuje z nimi... – powtórzył za mną.

– ...i mają przez niego kłopoty – dokończyłem. – Chciałem sprawdzić jakieś dokumenty, żeby się przekonać, na ile to prawda... Szykuje się pewna operacja...

Rycerz wstał. Podszedł do mnie. Zobaczyłem kątem oka, jak jego lewa ręka wykonuje krótki zamach, i odebrałem potężne uderzenie w szczękę, tuż pod uchem. Runąłem na podłogę. Chyba straciłem na chwilę przytomność. Poczułem mokrą szmatę na twarzy.

Podniosłem się z trudem i usiadłem z powrotem na taborecie.

– Masz gadane... Pytam jeszcze raz: po co tu przylazłeś?

– Jeden z Żydów mnie przysłał... miałem wykraść jego umowę, nie ma na spłatę.

– Jak się nazywa ten Żyd?

– Józef Szekel.

W tym momencie rozległo się pukanie i głos zza drzwi:

– Słyszeliśmy hałas, wszystko dobrze?

– Tak, tak, idźcie spać. Gdy skończę, zawołam was do posprzątania.

Odczekał chwilę, aż kroki żołnierza ucichły.

– Pozwoliłem ci się wygadać. Wyrzucić z siebie łągarstwa. Każdy ma ich spory zapas, ale my uznajmy, że swój już wyczerpałeś. Dobrze?

– Dobrze.

Zygfyrd von Dohn przysunął trzeci taboret przed siebie i gestem dłoni kazał mi się przybliżyć. Siedzieliśmy teraz rozdzieleni małym siedziskiem taboretu, jakbyśmy grali w kości.

– Za każde następne kłamstwo będę ci rozwaliał palec. Uwaga, idzie następne pytanie: czego Tęczyński szuka w tym domu?

– Nie przysłał mnie...

Rycerz złapał mnie za rękę. Opierałem się przez chwilę jak małe dziecko przed skarceniem. Byłem za słaby. Zygfryd wziął zamach i uderzył pałką w rozpostartą dłoń. Ból jak stalowa igła pomknął od zmiażdżonego palca przez ramię i wbił mi się gdzieś z tyłu głowy, zrobiło mi się słabo, czarno przed oczami.

– Zabij mnie, jak nie chcesz słuchać! – Ledwie łapałem oddech. – Nie przysłał mnie Tęczyński. Sam chciałem znaleźć dowody...

– Na co? – wrzasnął Zygfryd.

– Że Piotr Kmita jest zdrajcą, że zdradził króla, że wydał naszych szpiegów...

Niemiec pokiwał głową, zadowolony z mojej odpowiedzi.

– Powiedziałeś „naszych szpiegów”? Jesteś Polakiem? Może Tęczyński cię usynowił? Dobrze, nieważne. – Machnął lekceważąco ręką. – Przecież komtur już wam powiedział, że to Malbork zajmuje się tymi kupcami. Kmita nie ma z tym nic wspólnego.

Cała lewa ręka pulsowała, była ciężka, jakby ją zalano żelazem.

– Piotr Kmita – syknął Zygryd – nie zajmuje się dla nas szpiegowaniem. Jest na to za głupi.

Rycerz podniósł obie ręce do góry.

– No, ale ty zaczęłeś mówić prawdę, a ja ci przerwałem. Martwisz się, ile jeszcze palców stracisz?

– Nie...

– I słusznie! Bo to koniec przesłuchania. Chodziło tylko o sprawdzenie, czy ty w ogóle umiesz mówić prawdę. Umiesz.

Odrzucił pałkę w kąt. Mocno huknęła o deski, a potem z hałasem toczyła się chwilę.

– Na następne pytania odpowiesz już dobrowolnie. Nawet chętnie. Będziesz mówił sam. Nie będą nam potrzebne żadne pałki. Nie wierzysz?

Nie odpowiedziałem. W zamkniętym pomieszczeniu zaczęło brakować powietrza. Kręciło mi się w głowie.

– Komtur zapowiedział, że wasza rozmowa nie została zakończona, że jeszcze do niej wróci. Tak było? Pamiętasz?

– Tak...

– No to właśnie ja ją skończę. Teraz.

Zygryd wstał, oparł się plecami o zamknięte drzwi.

– Mielście już komtura na szafocie. Wystarczyło założyć pętlę i zwolnić zapadnię. Ale zabrakło wam odwagi. Przehandlowaliście wszystko za Opolczyka. Dostaliście mało, ochłapy, kilku podrzędnych kapusiów... Komtur jest ranny, zadłużony u Lewka, ale na Boga, to nic nie znaczy! Wyliże się z tego i znów zacznie kasać.

– Czego chcesz ode mnie? – spytałem cicho.

– Zastanawiasz się, prawda? Czegóż ja mogę chcieć od ciebie? Od Żydów już cię odsunąłem, w sprawie zboża też nie jesteś potrzebny... No... pomyśl...

Pokręciłem głową.

– No dobrze, oberwałeś, myślenie masz utrudnione... Mamy ludzi wszędzie, ale nie mamy nikogo w otoczeniu Tęczyńskiego. A Karol von Lichtenstein bardzo chce mieć kogoś w obozie starosty. Zrobiłeś na komturze bardzo dobre wrażenie.

To jakieś wariactwo. Cięży nade mną fatum. Nawet tutaj. Wszystkie jasne i ciemne siły tego świata chcą mnie mieć po swojej stronie...

– Misję przekonania cię do współpracy powierzył mnie – oznajmił Niemiec. – Miałem to zrobić bez pośpiechu, ale też bez zbędnej zwłoki. Tak więc, Aaronie, mój drogi chłopcze, komtur von Lichtenstein proponuje ci współpracę. W zasadzie

słowo „proponuje” jest niewłaściwe. Powinienem powiedzieć: „zdecydował”, tak zdecydował, że rozpoczniecie współpracę.

– Co miałbym robić?

– Będziesz dostawał ode mnie zadania do wykonania. Nie martw się, nie każę ci nikogo zabijać. Będziesz zbierał informacje i je nam dostarczał. Tylko tyle.

– Jak długo?

– O! Kolejne rozsądne pytanie. – Ucieszył się najemnik. – Aż cię odwołamy. Aż cię zdemaskują. Tak to jest w tej robocie. Zasady są proste: jesteś po naszej stronie, w zamian za to żyjesz, żyją twoi bliscy... – zawiesił głos. Sięgnął przez dzielący nas taboret z plamą krwi po roztrzaskanym palcu i uniósł mi podbródek. – Pozwolimy ci się cieszyć twoją arabską dziewczką.

Nagle zrobiło mi się zimno. Czuję, że za chwilę zemdleję. Paraliżujący ból objął już całe ramię.

– Posłuchaj, Żydku, będziesz żył szczęśliwie i dostatnio, aż pewnego dnia ci powiemy: dziękujemy, to koniec. Możesz wracać do swojej Aragonii albo zostać w Krakowie. Wtedy to będzie już pruskie miasto. Chyba wiesz, że to tak się skończy? Prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Ty kozi synu! – ryknął. – Odpowiadaj! Prawda?

– Prawda.

– Jesteś rozumny – mówił znów spokojnym głosem. – Cała Europa jest za nami. Prawdziwe zagrożenie to Saraceni. Zakon postawi tu mur od Węgier do Bałtyku. Polska z tym pogańskim królem jest niepewna. Jest za słaba, by zatrzymać niewiernych, tylko zakon ma dość sił. Widziałeś Prusy, nasze zamki, drogi, młyny! Papież chce tu potężnego zakonnego państwa. – Rzucił mi spojrzenie pełne odrazy. – Zresztą ciebie to gównem obchodzi. Żyd się z Arabem zawsze jakoś dogada. Prawda?

– Prawda...

– Rozgadałem się. To ważne tematy, ale nie w tej chwili.

Westchnął głęboko.

– Gdy dowiedziałem się od Petera Holta, kto wysłał nam tu tę dziewczkę, pomyślałem: Boże, to niemożliwe, a jednak jesteś po mojej stronie, wreszcie mi sprzyjasz.

On ma chorą głowę, pomyślałem, nie wyjdę stąd żywy...

– Jak widzisz, mówię ci to zupełnie spokojnie i z pełnym zaufaniem do twojego rozumu. Takie dostałem polecenie. Przekonać cię. Żyda najlepiej przekonać argumentami. Zapłacić mu to mało. Jeszcze trzeba go przekonać, że to dobry interes. Prawda?

Milczałem. Zygryd uderzył pałką w stół.

– Kurwa, prawda?

– Prawda – odpowiedziałem cicho.

– Wy lubicie, kiedy interes jest dobry. Oczywiście zysk się liczy, ale tak jak zwykli ludzie patrzą na obrazy, na katedry albo na góry, to wy gapiacie się w te wasze słupki i mówicie: „Boże, jakie to piękne!”. Jest tak? Dlatego chcę ci uzmysłowić, że nie tylko się wzbogacisz, ale też, że ten interes jest dobry! Zapiszę ci to na drogim pergaminie, żebyś mógł do końca swego zasranego życia na to patrzeć i mówić: zrobiłem piękny interes.

To ta duchota miesza mu w głowie. Rycerz wstał, podniósł szmatę i wytarł nią twarz. Znow przez moment miałem ochotę przyskoczyć do niego i pchnąć nożem.

– Komtur dał mi wolną rękę. Uważa, że wystarczą pieniądze. Ale ja – mówiąc to, Zygryd uderzył się dłonią kilka raz w pierś – jestem z natury ostrożny, dlatego tak długo żyję. Więc na wszelki wypadek dorzucam groźby. Przecież nie będziemy udawali, że łączy nas jakieś porozumienie, wspólny cel...

Roześmiał się.

– Groźba jest prosta, stosowana od tysięcy lat, zawsze ta sama, zawsze skuteczna: jeśli nas zawiedziesz, zemścimy się na twoich przyjaciółach, znajomych, kochankach... Mam już gotową listę. Prawda, że nic nowego? Nawet muszę ci powiedzieć, że jest mi wstyd, że się nie wysiliłem. Z drugiej strony, jeśli ta groźba zawsze się sprawdza, zawsze, to po co szukać i ryzykować. Prawda?

– Tak.

– No więc, jak widzisz, nie prowadzę z tobą jakiejś subtelnej gry. Ja jestem prosty żołnierz. Jak ktoś jest dla mnie dobry, to ja mu daję spokój. Musisz mi teraz, tutaj, uwierzyć, bo mam dużo dowodów, a ty nie jesteś głupi, więc musisz mi uwierzyć, że przemienię ci życie w piekło... jeśli mnie zawiedziesz.

Rycerz znow wstał, zatarł ręce.

– Zgadnij, kto jest pierwszy na tej liście? Domyślasz się, prawda?

Skinąłem głową.

– Nie zgadłeś! – Znowu ten śmiech. – Nie ona. Ona jest druga... Choćbyś ich pod ziemię schował, ty zasańcu. – Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: – Gdy dostałem rozkaz, żeby cię przeciągnąć na naszą stronę, Lichtenstein kazał mi ciebie przekupić – powtórzył. – W końcu jesteś Żydem. Sprzedajną kanalią, jak ta śliczna Dorotka, ta sama natura. Ale coś mi mówiło, że nie tędy droga. Miałem rację, prawda?

– Prawda.

– Ale i tak będziesz dostawał pieniądze. Całkiem sporo. Komtur włączył cię do tych dobrze opłacanych szpiegów. No, nie tych najlepiej, ale tych dobrze opłacanych. Zobaczysz, jaki to kłopot mieć tyle pieniędzy. Będziesz się musiał z nimi kryć, wiecznie w coś inwestować... Kwity będziesz podpisywał, sam rozumiesz, takie zasady. Zakon dba o porządek w papierach. Nie ufają mi. Boją się, że część wezmę dla siebie, chcą mieć zawsze podpis obdarowanego.

Potarł twarz dłońmi, potem kilka razy uderzył się lekko w policzek.

– *Christe!* Jak tu gorąco. I śmierdzi. Spociłeś się, śmierdzisz ze strachu. Pewno naszczałeś do spodni...

Wstał. Patrzył na mnie rozbawiony.

– To tyle na dziś. Dość wrażeń. Jestem niewyspany. Ty chyba też. Należy się nam odpoczynek. Przyjdiesz tu jutro. O normalnej porze i przez drzwi, jak człowiek.

– Co zrobiliście z Zoe? – spytałem nagle.

Zygryd zmarszczył brwi, jakby nie wiedział, o kogo chodzi.

– Z córką Jordana – dodałem – wnuczką Lewka.

Rycerz długo milczał, potem westchnął.

– Nie przewidywałem pytań z twojej strony.

– Rozmawiamy.

Roześmiał się.

– Odważny się zrobiłeś... No tak, rzeczywiście, skoro ucinamy sobie pogawędkę, to wypada, żeby obie strony były uprzejme. Dobrze, posłuchaj. – Z ciężkim samnieniem usiadł z powrotem na stołku. – Komtur powiadomił mnie, że mącisz Żydom w głowach. A potem jeszcze, że uwiodłeś tę Żydówkę, Fatimę. Nasi przyjaciele mieli wobec niej plany. A ty je popsuleś! Powiedziałem o wszystkim staremu Osmanowi, że się ta Fatima z tobą parzy jak opętana, co noc. Chciałem cię ukatrupić, przyznaję, ale Osman się nie zgodził. Bał się, że król podniósłby raban. Tchórz. No to posłałem kilku osiłków, żeby ci porządnie grzbiet wymłócili. To miało być ostrzeżenie. Ale ty nic sobie z tego nie robiłeś. Wróciłeś. Poparł cię Lewko. Zaczął namawiać Żydów, żeby zainwestowali w to durne przedsięwzięcie, jakiś handel wełną! Co za pomysł? Chciałeś wyssać wszystkie pieniądze z gminy i się z nimi zapaść pod ziemię? Taki miałeś plan?

– Nie...

– Ale pieniądze chciałeś wyciągnąć. A ja nie mogłem na to pozwolić. – Zygfryd rozłożył ręce. – Dawaliśmy dyskretnie znać Lewkowi, że to się nam nie podoba. A on nic.

Słuchałem z coraz większym przerażeniem. Po co pytałem?

– No to kazałem porwać tę smarkulę – ciągnął Niemiec. – Niech widzi, że nie żartujemy. Wnuczka to wnuczka. Dziadka zaboli i może pójdzie po rozum do głowy. Chciałem ją... Jak mówiłeś, że się nazywa? Zoe? No więc chciałem tę małą Zoe wypuścić po kilku tygodniach. Chciałem starego Lewka postraszyć, żeby stary cap miał o czym myśleć! To miało być tylko ostrzeżenie...

– I co się stało? – wydusiłem.

– Wtedy pobiliście moich ludzi w karczmie na Rynku. Wszyscy wpadli w szal. A ta mała płakała. Potrafiła ryczeć przez cały dzień. Od zasranego świtu do zasranego zmierzchu. Któryś z żołnierzy miał gorszy dzień i ją trzepnął. Trochę za mocno.

Poczułem, że zaraz zemdleję. Co on wygadywał?

– To był wypadek. Lewkowi już postanowiliśmy dać spokój. Twardy jak stara podeszwa. Nie złamała go śmierć tej małej, to co mogliśmy robić? Zabijać dalej? Wybić całą jego rodzinę? Ja nawet byłem za. Proszę bardzo. Ale komtur się sprzeciwił.

Zygfyrd przerwał. Znów potarł twarz dłońmi. Miałem wrażenie, że się zachwiał.

– Boże, ale się rozgadałem. No tak, tak to było... Z tą Zoe nie wyszło, to było głupie, to był mój pomysł. Widzisz? Potrafię się przyznać do błędu. Cholerny bachor. Nawet dawaliśmy jej pić i jeść, ale ta mała jakaś taka była od początku niemrawa. I to wasza wina, że tak wkurzyliście moich ludzi. Trudno się dziwić, że któryś nie wytrzymał i ją trzasnął. Po prostu ją trzepnął. Wypadek!

Nie wiem, co działo się na mojej twarzy, ale Zygfryd nagle zamilkł, w jego postawie i zmrużeniu oczu dostrzegłem przeblysłk niepokoju.

– Co się tak gapisz, głupi Żydzie? Wypadki się zdarzają, nie?

Wyjąłem nóż z kieszeni, wysunąłem ostrze, wzięłem zamach i uderzyłem. Zygfryd był tak zaskoczony, że nie zareagował. Ostrze prześlizgnęło się po czole rycerza, rozcinając skórę. Krew wytrysnęła z rany i zalała mu oczy. Zerwał się na nogi, zachwiał, machnął pięścią na oślep. Przecierał oczy przedramieniem, ale krew zlepiła mu powieki. Nóż trzymałem w lewej ręce, znów uderzyłem, od dołu, rozprułem mu usta i nos, potem jeszcze raz, rozciąłem policzek i chyba język. Zacharczał i zakrztusił się krwią. Chwiał się na nogach, a ja celowałem w gardło, żeby wrzaskiem nie przywołał żołnierzy. Ująłem mocniej nóż, wzięłem niezdamny zamach i z całej siły uderzyłem na wprost. Nie trafiłem w gardło. Nóż zagłębił się w oczodole i Zygfryd runął na ziemię jak rażony gromem.

Schowałem ostrze i wsunąłem nóż do kieszeni. Podniosłem jeden z worków, by zgarnąć do niego wszystko, co było na stole: spryskane krwią stopy kartek, kilka listów, jakieś kajety.

Lewą ręką przekręciłem klucz, nacisnąłem klamkę i pchnąłem ramieniem drzwi.

Słyszałem kroki żołnierzy biegnących po schodach, wysunąłem się przez okno, skoczyłem na dach sąsiedniego niższego budynku. Omal nie spadłem, gdy próbowałem przytrzymać się prawą ręką; była jak martwa. Wetknąłem wór pod jakieś poluzowane dachówki i zeskoczyłem na ulicę.

Po dachu szedł za mną tylko jeden żołnierz; drugi wypadł przez drzwi kamienicy. Obaj dopadli mnie w tym samym momencie na środku ulicy Grodzkiej. Któryś z nich podciął mi nogi od tyłu, a gdy upadłem, obaj zaczęli okładać mnie pięściami.

Ocknąłem się w prawie całkiem ciemnym pomieszczeniu. Wilgoć lepiała się do twarzy, było duszno, śmierdziało jak w latrynie. Leżałem na boku, częściowo na miękkim klepisku, częściowo na strzępach przegniłej słomy. Ktoś musiał mnie tu wrzucić albo sam wpadłem przez jakiś otwór w górze, no bo jak inaczej bym się tu znalazł.

Źródło skąpego światła, dzięki któremu cokolwiek widziałem, znajdowało się z tyłu.

Przewróciłem się na plecy. Odwróciłem głowę. Bolały mnie szyja, twarz, piekły uszy. Całą głowę miałem w ogniu. To nie mogło być od upadku, bo ani ręce, ani nogi, ani plecy mnie nie bolały. Ktoś musiał mi zdrowo przylać. Po głowie.

I przypomniałem sobie.

Znow dałem się pobić. To były te same pięści co wówczas, po powrocie od Fatimy. I ten sam skutek.

Światło pochodziło od niewielkiego kaganka wetkniętego w drewnianą podstawkę. Obok ktoś siedział. Nie siedział – kucał oparty o żeliwną kratę, bo ziemia usłana była nieczystościami, tak że ledwie można było znaleźć miejsce na stopy.

– Żyjesz? – Poznałem ten głos. Należał do Zawiszy.

Przemówił do mnie, widząc, że mam otwarte oczy. Myśli powoli, jedna po drugiej, wracały na swoje miejsce. Wszystko urwało się na ulicy. Dogonili mnie żołnierze tego starucha. Nie, nie starucha, to był Zygfryd, a on wcale nie był stary. I się już nie zestarzeje...

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem, z trudem poruszając szczęką.

– W więzieniu. W piwnicy ratusza. Ciebie wsadzili tu siłą. Ja musiałem opłacić strażników, żeby mnie wpuścili. Ja za chwilę stąd wyjdę, a ty zostaniesz.

– Zawsze się rozmijaliśmy.

– Aaronie, zostałeś bohaterem. Wszyscy mówią tylko o tobie... Stanąłeś do walki wręcz z samym Zygfrydem von Dohnem i porznąłeś go jak wieprza.

– Powiesz mi? – Mówienie przychodziło mi z trudem. Huczało mi w głowie. Dłoń strasznie bolała. Ktoś mi ją opatrzył, była cała w bandażach.

– Tak – odparł Zawisza. – Czeka cię proces o morderstwo, a potem kat. Może cię zetną, jak dobrze wypadniesz przed sędzią... – dodał.

– On chciał mnie zabić... Ten najemnik, Zygfryd.

– Trudno ci będzie tego dowieść. Tak go pociąłeś, że prawie nie miał skóry na twarzy. Jego żołnierze musieli go rozpoznawać po kolorze oczu. Oka, jednego, bo w drugie wbiłeś mu nóż. To ty włamałeś się do domu Piotra Kmity i zabiłeś jego gościa. Sędzia był już na oględzinach. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył, a oglądał już niejedne zwłoki... Co cię opętało?

– Chciałem sprawdzić, co Kmity tam tak chowa. Ma dwóch żołnierzy na dole, kancelista na górze...

Usiłowałem zebrać myśli.

– Porwali Zoe, wnuczkę Lewka, na polecenie Lichtensteina. Wiem to od Zygryda. Zamordowali ją. Zemścili się na dziecku, bo ich pobiliśmy...

Zawisza ciężko westchnął:

– Już go Wiekuisty odpowiednio osądzi.

Przypomniałem sobie groźby Zygryda. „Nie ona. Ona jest druga... Choćbyś ich pod ziemię schował, ty zasrańcu”.

– Niech chronią Ayhe... I małego Johana. Błagam. Ludzie von Dohna będą się mścić.

Zawisza skinął głową.

– Kmity już wie, co się wydarzyło. Przygotowuje atak na Tęczyńskiego. Jesteś Żydem, aleś zamordował chrześcijanina, rycerza, staniesz przed grodzkim sądem... Mnie też się oberwie. Kmity nikomu nie daruje, sąd też nie będzie miał litości. Włamałeś się do domu starosty ruskiego i dokonałeś tam morderstwa...

Kucał, dłonie miał splecione, wyciągnięte do przodu. Patrzył na mnie, ale nie widziałem, czy z wyrzutem, czy z litością w oczach.

– Aaronie... Tęczyński jest wściekły. Nie kiwnie palcem. Starosta musiałby położyć cały swój autorytet na szali, ale tego nie zrobi. Mimo twoich zasług. Tym, co zrobiłeś, przekreśliłeś je.

– Wszystko było dobrze przygotowane – tłumaczyłem się. – Podesłałem mu prostytutkę, informowała mnie o wszystkim, ale ją przekupił i się na mnie zaczął.

– O kim ty mówisz?

– Nazywa się Dorota. Wszystko wie Rojek...

– Na rany Chrystusa! Aaronie, oni wszyscy wiedzą?

Kiwnąłem głową.

– Od dawna. Ta dziewczka pewno zniknęła już z miasta. A Rojek przecież nie wygada!

– Oszalałeś? Nie wygada? Na procesie?

Opowiedziałem szczegółowo o zamiarach Zygryda zwerbowania mnie na stronę komtura. I o jego groźbach.

– Ściągnę więcej ludzi do Krakowa. Na jakiś czas mogę. Przynajmniej do wyroku – odparł Zawisza. – Ayhe i małemu nic się nie stanie. Daję słowo. Ten Zygryd to była kanalia. Nie wierzę w żadną listę, straszył cię... – Położył mi dłoń na

ramieniu, potem na czole. Jak uzdrowiciel. – Ludzie w mieście są ci wdzięczni, żeś im go z oczu zdjął – dodał.

– Mówił mi, zanim go pociąłem, że komtur już wstał z popiołów, że za nic ma układy z nami. On też może się mścić.

Przywołałem wszystko, co Zygryd opowiadał o komturze. Mówienie przywracało mi jasność myślenia.

– To wszystko... ważne słowa – potwierdził Zawisza. – Ale nie jesteś wiarygodnym świadkiem. Kmita wie, że działasz w obozie Tęczyńskiego. Ma wspaniałą okazję, żeby w niego uderzyć. Będzie dowodził, że włamanie i ta zbrodnia... że to wszystko na polecenie starosty.

– Powiem, że to nieprawda.

– Nie ma znaczenia, co powiesz. Twoje słowa wobec słów Piotra Kmity, królewskiego zausznika, nic nie będą znaczyły. On będzie teraz walił w Tęczyńskiego jak w bęben. Przejdzie po twoim trupie, nawet nie mrugnie.

– Jak to tu wygląda, taki proces? – spytałem ze ściśniętym gardłem.

Zawisza wzruszył ramionami.

– O morderstwo?... Nie wiem, jak to będzie. Rada wyznaczy sędziego. Jesteś Żydem, ale na pewno gmina odda cię radzie miasta bez apelowania.

– Będę sam?

– Możesz wyznaczyć swojego posła, który będzie występował za ciebie na całym procesie. Lepiej, żebyś sam nic nie gadał przed sądem. Znajdę ci jakiegoś jurystę...

– To coś zmieni?

– Nie. Ale może pomóc odwlec zasądzenie wyroku.

– Czyli zetną mnie, tyle że później?...

– Właśnie głównie o to chodzi... żeby ścięli. Kmita będzie się domagał wbijania na pal albo łamania kołem, albo ćwiartowania. Będzie chciał jak najsrozszej kary. Widowiska. Ucięcie głowy toporem nie porywa tłumów.

– Długo...?

– Potrwa proces? Nie wiem. Może kilka tygodni, może miesiąc. Nie dłużej.

– On groził, Zygryd von Dohn groził, że mnie zabije... broniłem się!

– Będzie twoje słowo przeciwko słowu Kmity. Kmita złoży przysięgę. Ciebie do przysięgania nawet nie dopuszczą. Kmita powoła dwóch świadków. Widzieli cię tam, złapali. Okrwawionego... Zabrałeś coś stamtąd?

– Zgarnąłem do worka jakieś papiery ze stołu.

– Chryste Panie! Po co?

– Nie wiem, wziąłem, po prostu... Nie wiem po co.

– Przyłapali cię z tym?

– Nie.

– Co tam było?

– Jakieś listy, ale po włosku.

- Po coś brał? – powtórzył. – Gdzie to teraz jest?
- Upchnąłem na dachu, w domu obok.
- Niech tam zostanie na wieki. Gdyby znaleźli worek, gdyby wyszło, że to była kradzież...

Zawisza machnął ręką.

- Nieważne. Nie miałeś tego przy sobie, o kradzież cię nie oskarżą. Więc będziesz mógł mówić, że to w obronie własnej.
- To coś pomoże?
- Nie wiem – wyznał Zawisza. – Ale na pewno nie zaszkodzi. Kmita złoży przysięgę oskarżającą. Wzmocni ją dwoma świadkami, ma tych dwóch żołnierzy, i pewno tuzinem współprzysięgników... Sędzia weźmie jego stronę, bo nie będzie miał innego wyjścia. Takie jest prawo.
- A jak się nie przyznam?
- Sędzia odeśle cię na przesłuchanie.
- Tortury?
- Tak. Aż do skutku.
- Ktoś mnie może z tego wyciągnąć?
- Tylko ugoda z Kmitą.
- Jest możliwa?
- Nie.

Opadłem na podłogę celi. Długo milczeliśmy.

- Ayhe zachwycała wszystkich – odezwał się w końcu Zawisza. – Królową też... Hanna mówi, że ona się tu czuje lepiej, dużo lepiej niż w Gdańsku, podobno jej tak powiedziała...
- Ayhe już wie?
- Najpierw chciałem się z tobą rozmówić. Nie ma co ukrywać. I tak ktoś jej zaraz plotkę przyniesie, bo gada o tym całe miasto. Co mamy jej powiedzieć?
- Nie wiem...

Budynek sądu przylegał do ratusza, a więzienie mieściło się w podziemiach ratuszowej wieży. Z więziennej celi przechodziło się do budynku sądu bez oglądania nieba. Dopiero w drodze na egzekucję można było zaczerpnąć świeżego powietrza.

Miasto oszczędzało, gdzie tylko było można. Utrzymywanie więźniów kosztowało, więc szybko się ich pozbywano. Jeśli sprawa była prosta. A ta była prosta.

Egzekucje odbywały się na Rynku, przed ratuszem. Sam byłem świadkiem, jak obcinano złoczyńcom ręce, języki, zdzierano włosy razem ze skórą. To za lżejsze przewinienia. Na egzekucje morderców, gwałcicieli i tym podobnych szumowin nie chodziłem. Nieraz słyszałem radosną wrzawę ciżby, gdy prowadzono skazańca na szubienicę. Cały czas miałem w oczach tego powieszzonego chłopca. To mi wystarczyło. Poszedłem kiedyś z Rojkiem na egzekucję jakiegoś szewca, który zabił swojego kuzyna. Zaszyli go w worku, razem z psem, dla hańby, i wrzucili do rzeki. Całe miasto poszło to oglądać. Na moją egzekucję też pewnie przyjdą tłumy...

Zawisza robił, co mógł, żeby mnie podtrzymać na duchu. To szlachetne z jego strony. Może dla rycerza to ma znaczenie, jak umiera. Dla mnie śmierć przez powieszenie czy od katowskiego miecza... wszystko jedno. Jedyne myśl o wbijaniu na pal przejmowała mnie grozą.

Tkwiąc w swojej nisko wysklepionej celi, szybko straciłem poczucie czasu. W rogu leżała wiązka przegniłej słomy, której nikt nie wymieniał. Z czasem doceniłem, że mam na czym przysiąc. Dusił mnie zaduch i smród. Nikły blask dwóch łójówek palących się w więziennym korytarzu nie sięgał w głąb celi. Ale tam, gdzie sięgał, widziałem pełno zaschniętych ludzkich odchodów. I mrowie robactwa. To robactwo oblażyło mnie nawet podczas chodzenia po celi. Tupanie niewiele dawało. Podłoże było miękkie, podejrzewałem, że powstało z łajna wydalanego i udeptywanego od setek lat przez tysiące zrozpaczonych więźniów. Takich jak ja.

Ale przynajmniej mogłem zrobić kilka kroków.

Po przeciwnej stronie korytarza znajdowały się trzy wnęki, tak małe, że ledwie mógł zmieścić się w nich człowiek, zamykane żelaznymi kratami. Trzymanych tam więźniów też oblażyło robactwo, ale nie byli w stanie unieść rąk, by je strząsnąć. Stopy podgryzały im wygłodniałe szczury, a ci biedacy nie mogli się ani obrócić,

ani nawet schylić, by się od nich opędzić. Ich wrzaski, przekleństwa, jęki mieszały się z piskami deptanych i odganianych kopniakami gryzoni. Jakim wybawieniem musiała jawić się im śmierć. Wystawiono mi ich na widok albo na pociechę, albo ku przestrodze.

Zapadałem w gorączkowy sen i budziłem się z przerażenia, że robaki toczą mnie już od środka. W majakach powracałem do szkoły w Saragossie i wsłuchiwałem się w głos *magida*. I jego rozważania, ulubione rozważania *magida* o życiu po śmierci. Przeklinał saduceuszy i błogosławił faryzeuszy. Byliśmy wówczas małymi chłopcami, miał na nas duży wpływ. A jeśli to saduceusze mieli rację? *Magid* pouczał nas, a my mu wierzyliśmy, że życie doczesne to tylko wstęp do innego, wspaniałego życia. Mówił: „Dobrze przygotuj się w przedsionku, a będziesz mógł wstąpić na salę”.



Na następny dzień przyszła Ayhe. Ktoś musiał dać jej pieniądze na opłacenie się strażnikom. Miała czerwone oczy od płaczu albo od dymu świec. Z przerażeniem rozglądała się wokół.

– Ayhe, wyjedź z Krakowa jak najszybciej, jeszcze ciebie w to wciągną...

– Już byli u nas jacyś ludzie...

Przerażenie złapało mnie za gardło.

– Nie wpuszczaj nikogo! – zawołałem zduszonym głosem. – Na Boga, nie wpuszczaj! To szaleńcy, szykują zemstę na mnie i mogą ci coś zrobić. Pilnuj Johana!

– Wiem – odparła. Była spokojna. – Zawisza mi mówił. Podobno jego żołnierze wzięli nas w opiekę. To wszystko jest okropne!

– Uciekaj stąd. Miałas rację. Nie powinienem był cię zatrzymywać. Nie wiedziałem...

Zarzuciła mi ręce na szyję.

– Chcę ci pomóc, nie wiem jak, nie wiem, co mam robić, nikt nie wie. – Rozpłakała się. – To nieprawda, co ci mówiłam. Kochałam cię, wtedy w Saragossie...

– To zrób to dla mnie i wyjedź. Będziesz miała swoje życie. Johan będzie miał dobre życie. Zawsze to coś. Ja już się z tego nie wywinę.

Minęło kilka dni. Cierpienie duszy, początkowo nie do zniesienia, przeszło w zobojętnienie. Ciało przestało mi dokuczać, dłoń, choć wyglądała strasznie, chyba się goiła. Nie mogłem się doczekać rozprawy. Pomyślałem nawet, że postawię im ultimatum: przyznam się, ale pod warunkiem, że zetną mi głowę od razu. Byle tylko torturami nie wymuszano na mnie zeznań. Na samą myśl o przesłuchaniu przejmował mnie lodowaty strach.

Mijały tygodnie. Chyba to były tygodnie. Tu czas nie płynął, tylko się wszystko nagrzewało, gniło, poruszało wolno, coraz wolniej.

Nikt mnie już nie odwiedził. Nie rozumiałem dlaczego. Tylko raz zszedł do mnie jurysta. Poseł, jak nazwał go Zawisza. Zastępował mnie podczas rozpraw. Wiedział wszystko od Zawiszy, nie musiał o nic pytać. Mówił to, co on uważał za właściwe. Przyszedł na koniec procesu. Długo opowiadał o jego przebiegu, o przewagach, jakimi w sądzie dysponował tej rangi dostojnik co Piotr Kmita. Gdy zrozumiałem, że jurysta się przede mną tłumaczy, że nie ma nadziei, przestałem go słuchać. W końcu sobie poszedł.

Zniknęli gdzieś moi towarzysze niedoli z płaskich cel. Nie pamiętałem, jak do tego doszło. Zostali wyprowadzeni? Umarli? Może stało się to w nocy, kiedy spałem. Albo w dzień, kiedy spałem. Skąd mogłem wiedzieć, kiedy jest dzień, a kiedy noc? Kilka dni albo tygodni po wizycie jurysty drzwi do mojej celi gwałtownie zaskrzypiały. Otworzyły się inaczej niż dotychczas, znacznie szerzej. Strażników było trzech, a może nawet więcej, bo nie wszystkich widziałem. Ręce zakuto mi w dyby na plecach i wypchnięto z celi mocnym kopniakiem. Wiedziałem, że już tutaj nie wrócę. Cały świat, wszelkie wspomnienia, skurczył się do wielkości pięści, które zaciskałem ze strachu przed śmiercią i przed bólem. Za chwilę zejść z tego padołu. Idąc korytarzem, widziałem wszystko tak wyraźnie, jakbym miał na oczach powiększające okulary: splot taniego materiału z rękawa strażnika, źle położony tynk, każdy zaciek i pęknięcie w kamiennych ścianach.

Strażnicy prowadzili mnie krótkim korytarzem wiodącym od mojej celi, potem w lewo, w prawo, aż do wąskich drzwi, przez które może przejść tylko jedna osoba. Zatrzymaliśmy się. Stałem pierwszy. Wrócił mi węch, poczułem zapach smoły, którą pociągnięte były drzwi, i ostry zapach potu, własnego i strażników. Ci stanęli za mną, zaczęli mocować się z dybami. Pewno stolarz nie dość dokładnie je wykonał, powinni zamówić kilka nowych, u innego rzemieślnika. To odbiera powagę chwili. Zawsze mi się wydawało, że przy odczytywaniu wyroku stoi się w dybach, choćby po to, aby nie rzucić się na sędziego. A może wyroku wysłuchał już mój jurysta? Pokornie skłonił głowę przed sędziami, uznał ich mądrość i wyższość. A potem poszedł sobie do domu. Do żony, do dzieci. A za zarobione na mojej sprawie pieniądze kupił kilka ciastek, żeby jakoś osłodzić gorycz przegranej. Wreszcie udało im się zdjąć dyby. Jeden ze strażników precyzyjnie się między mną i ścianą. Otworzył czarnym żeliwnym kluczem drzwi, odchylił skrzydło tak, że minęło moją twarz o włos.

Zamiast odoru dusznej sali sądowej uderzył mnie zapach miasta, ciepłe wieczorne powietrze. Stałem na trzęsących się nogach na wąskim stopniu. Były jeszcze trzy takie same, a potem brukowana nawierzchnia Rynku. Któryś ze strażników oparł podeszwę buta na moich plecach i mocno pchnął. Runąłem na bruk. Zdążyłem wyciągnąć ręce przed siebie. Rozmowa, którą prowadzili, urwała się nagle, gdy zamknęli za sobą drzwi. Nie miałem siły, by wstać.

Usłyszałem kroki, a potem znajomy kobiecy głos:

– To on!

Jakieś silne ręce wzięły mnie pod pachy z jednej i drugiej strony i uniosły do pionu.

Ciotka Barbara dowiedziała się o wypuszczeniu mnie z aresztu od znajomego strażnika, człowieka, który przed laty pobił Jordana. Nie byłem w Krakowie tak anonimową postacią, jak bym chciał, przekonałem się o tym już wcześniej. Teraz wyszło mi to na dobre. Zawisza zapłacił strażnikom, by dobrze mnie traktowali. To stąd medyk, znośne warunki, podłe, ale regularne posiłki. Decyzja o moim zwolnieniu zapadła niespodziewanie, w nocy; strażnik zdążył jedynie uprzedzić ciotkę, a ta zbudziła służących i razem przyszli pod ratusz.

Byłem wolny? Chyba tak. Służący zaprowadzili mnie do domu ciotki, trzymając pod ramiona. Tam zajęły się mną kucharki, też wyrwane ze snu i sprowadzone w środku nocy. Nie miałem sił, by zaprotestować, gdy ściągały ze mnie ubranie, a potem kapały jak niemowlę albo niedołęznego starca. Odziany w czystą koszulę trafiłem do łóżka w moim dawnym pokoju.

Przyszła ciotka. Coś do mnie mówiła, rozumiałem, ale te kilkadziesiąt kroków w stronę śmierci wyczerpało mnie tak bardzo, że nie umiałem wymówić słowa. Podobno dziś w nocy stawiał się u sędziego ktoś potężny. Tuż przed ogłoszeniem wyroku. A zaraz potem mnie uwolniono. Sędzia musiał osobiście przyjść w nocy do ratusza.

Wygląda na to, że pół Krakowa nie spało z mojego powodu.

Zapadłem w sen głęboki jak studnia.

Rano zbudziła mnie służąca, która przyniosła śniadanie. Kazała mi usiąść w łóżku i podała najpierw gorące mleko, potem jakąś papkę. Chwilę później zastąpił ją medyk, który długo oglądał okaleczoną dłoń, a gdy wyszedł, w pokoju zjawiała się ciotka Barbara. Odzyskałem siły na tyle, że mogłem zadać pierwsze pytanie:

– Bóg panią dobrodziejkę wynagrodzi! Kto to sprawił? Tęczyński?

Ciotka wzruszyła ramionami. Przysunęła sobie krzesło i usiadła koło łóżka.

– Zawisza może by coś wiedział, ale go nie ma. Już tydzień mija, jak go porwało do Tęczyna. Posłałam tam chłopaka, może się czegoś dowie.

– Gdzie Ayhe?

– Wyjechała z miasta kilka dni temu.

Westchnęła ciężko.

– Ludzie już się szykowali na egzekucję. Egzekucję bohatera, żydowskiego chłopca, który w bójce zadźgał nożem wielkiego Zygryda... A tu taki zawód. I ci

Żydzi. Judasze! Byłeś w potrzebie, a oni się od ciebie odwrócili. Tylko Jordan zaglądał. Razem z Zawiszą coś tam radzili, byli u rabina, ale ten stary kozioł nie chciał nawet rozmawiać. Mówiłam ci, że oni tutaj tacy są. Kiedyś opowiadałeś mi o swojej matce. Teraz ci powiem: to była mądra kobieta, ty też się przechrzczij. Dobry i miły z ciebie chłopiec. Już ci mówiłam, pomogę...



Obudziło mnie walenie do drzwi wejściowych, usłyszałem dudnienie kroków na schodach, a potem do izby wpadł brat Mikołaj.

– Masz anioła stróża jak Herkules! – zawołał od progu.

– Czasami mnie porzuca. – Skrzywiłem się.

– Bo pijaczyna, ale mocarz. Byłem w Tęczynie, kiedy zjawił się pacholek od ciotki z dobrą nowiną.

– Dlaczego mnie wypuścili? – spytałem, podnosząc się na łokciach. – Wiecie coś, bracie Mikołaju? Bo w tym domu wody w usta ponabierali.

– Wiem wszystko!

Usiadł na krześle, które jeszcze chwilę temu zajmowała ciotka. Chwilę temu? Kiedy wreszcie odzyskam poczucie czasu?

– Jaka jest pora dnia? – Spojrzałem na zasłonięte grubymi kotarami okna.

– Ranek. Już kolejny. Spałeś, jakby cię tam gorzałką poili...

Pociągnął mnie za ucho, potem chwycił za ramię.

– Obudzony? Posłuchaj. Znaleźliśmy ten worek... Ryzyko duże, ale trzeba było.

Wszystko zaczęło się od tego, że Zawisza wspólnie z tym nieszczęsnym jurystą wynaleźli jakieś dawne prawo stanowiące, że można podważyć zeznania świadków skarżącego, twierdząc, że zostali kupieni, i zażądać pojedynku. Przepis ten mówił dalej, że taki pojedynek winien się odbyć między naganiającym a pierwszym ze świadków, którym postawiono zarzut. Jeśli świadek został w pojedynku pokonany, to jego zeznania sąd odrzucał, a to z kolei pociągało za sobą upadek całej sprawy.

– Na Niemców Kmity padł strach. – Zakonnik przerwał na chwilę, chichocząc. – Bo nagle sędzia na to przystał. Zawisza się od razu do pojedynku zapalił, bo wiesz, że gorączka, gdy można po tych psach się przejechać. Ty chyba byś się zgodził, żeby cię Zawisza zastąpił?

– Nie wiem... – Jakie pytanie, taka odpowiedź.

– Ale oni wrzeszczeć zaczęli, że to była kradzież. Gdyby im się udało udowodnić, żeś coś wyniósł z kancelarii, wtedy upadłby argument, że to obrona własna i naganę na prawdomówność świadków trzeba by było odwołać. Ale dowodów żadnych nie mieli. Jeden z żołnierzy nagle sobie coś przypomniał. Powiedział przed sądem, że widział cię z jakimś workiem, gdy uciekałeś przez okno po zamordowaniu Zygryda, ale na ulicy go już nie miałeś, musiałeś go schować gdzieś na dachu, bo innego sposobu nie było. No to sędzia kazał mu tego worka

poszukać i przynieść. Żeby oszustwa nie było, miał iść z woźnym sądowym. Ale musieli dopiero posłać po woźnego, bo w tym czasie coś innego załatwiał. I to nas uratowało. Zawisza od razu posłał Jarocho, a ten po zapachu juchy wór odnalazł. Cały we krwi, jakbyś rzeźnika okradł.

– Chwała Panu! – wykrzyknąłem.

– Chwała Panu! – powtórzył za mną.

– Był pojedynek?

– Nie.

– Dopiero będzie?

– Nic nie będzie. Dali mi do przeczytania to, co tam było w worku. Już po pierwszych listach powiedziałem Zawiszy, żeby się wstrzymać z sędzią. Cały dzień i całą noc czytałem, po kilka razy wszystko, bo ciężko było się w tym wyrozumieć, ale w końcu poskładałem wszystko do kupy.

Uniosłem się na pościeli. Spojrzałem na zakonnika pytająco.

– Stary Peter – zaczął brat Mikołaj – właśnie pracował nad jakimś kontraktem i musiał sobie przyszykować całą korespondencję, żeby mieć pod ręką. Jakby Opatrzność pod nos nam podtykała głowę Kmity. Na srebrnej, nie, na złotej tacy!

– Z Włochami pisywał, nie z Niemcami?

– Tak, z Genuńczykami. Ale za to jakie rewelacje! Zawisza chciał od razu głowy Kmity. Za zdradę ojczyzny. Chciał go na pojedynek wyzywać. Ale Tęczyński zgody nie dał. Uznał, że więcej jemu i ojczyźnie pożytku z uległego i posłusznego Kmity niż z martwego.

– Na Boga, bracie Mikołaju, mówcie jaśniej!

– W skrócie ci powiem...

I brat Mikołaj wyłożył mi całą sprawę, która przedstawiała się następująco. Włosi są aktywni wszędzie tam, gdzie biegną szlaki handlowe nad Morze Czarne. Mieli swój dom kupiecki w Kazimierzu. W Krakowie kupowali domy obywatele Florencji i Mediolanu, ajenci wielkich domów handlowych i bankowych, ale także Wenecjanie, Bolończycy. Najwięcej jednak było Genuńczyków. Wielu przyjmowało obywatelstwo Krakowa i osiedlało się tu na wiele lat lub nawet na stałe. Byli żupnikami, dzierżawili cła, ale przede wszystkim trudnili się handlem. Często zakładali spółki z miejscowymi kupcami. Zajmowali się głównie importem drogich tkanin jedwabnych, barchanu mediolańskiego, sukna florenckiego i lombardzkiego, złotogłowiu, drogich kamieni z Dalekiego Wschodu. Handel artykułami luksusowymi otwierał im drzwi do dworu królewskiego, a także do pałaców dygnitarzy świeckich i kościelnych. Stąd częste kontakty z kancelistą Piotra Kmity.

Najczęściej próg domu Kmity przekraczali ludzie związani z kupieckim rodem Fattinantich, bardzo znanym w Kaffie i Genui i mającym wiele nieruchomości w Krakowie. Ci Włosi zajmowali się głównie dzierżawą żup solnych. Brat Mikołaj mówił o nich *Gallici*, bo tak nazywano ich w Kazimierzu, gdzie posiadali swoje domy kupieckie.

Od dawna trwała walka o terytorialny zasięg francuskiej i polskiej soli. Genuńczycy, długoletni dzierżawcy żup krakowskich, nie zrobili nic, żeby zdobywać nowe rynki w Prusach, na Mazowszu czy w Wielkopolsce. A można i trzeba było to zrobić.

Tyle że ci sami Genuńczycy, z rodziną Fattinantich na czele, byli udziałowcami spółek kupieckich, które handlowały na północnym bałtyckim szlaku. Szlak ten zaś nie istniałby bez bretońskiej soli, która przywożona statkami do Gdańska jako balast zapewniała ekonomiczną równowagę. Gdyby nie miała zbytu na Mazowszu i w Wielkopolsce, bo same Prusy to za mało, gdyby wyparła ją sól krakowska, cały szlak handlowy, wszyscy działający na nim kupcy mieliby nie lada kłopot. Włosi jako dzierżawcy żup krakowskich dbali o swoje interesy, zapewniając krakowskiej soli zbyt na południu, ale równocześnie hamując jej ekspansję na północ.

Tyle że nic nie można było im zarzucić. Genuńczycy płacili wysoką dzierżawę, osiemnaście tysięcy grzywien rocznie, co stanowiło czwartą, a bywało że i trzecią

część polskiego skarbcza.

Wszystko zmieniło się dwa lata temu, gdy zmarł Gotfryd Fattinanti. Generalnym żupnikiem krakowskich salin został mieszczanin krakowski Mikołaj Bochner, wielki finansista i przedsiębiorca górniczy.

Genueńczykom polskie saliny wymknęły się z rąk i postanowili działać.

Weszli w spółkę z pewnym Wenecjaninem, Piotrem Bicaranim, dyplomata działającym w Polsce jako pełnomocnik Serenissimy, która uważała go za swego ambasadora na dworze Jagiełły. Spółka Genueńczyków z Wenecjaninem! Czy z tego może coś dla Polski wyniknąć dobrego?

Plan Włochów był następujący: sprawić, by król uwolnił handel solą, czyli zezwolił na jej import do Małopolski. W zamian Krzyżacy zobowiązałyby się wpuścić sól krakowską do Prus. Na Mazowszu i w Wielkopolsce toczyłaby się normalna rywalizacja. Wygląda na pułapkę? Niekoniecznie. Zależy, jak się to królowi przedstawi. I tu swoje usługi zaoferował Kmita. Wszystko było wykradzonych przeze mnie dokumentach i listach. Kolejne wersje umowy, pism, królewskich dekretów przygotowywanych do ogłoszenia.

Piotr Kmita miał za zadanie przedstawić to Jagielle jako wielką okazję i wielki sukces polskiej dyplomacji. Teoretycznie sól bretońska nie mogła tu na południu nic wielkiego zdziałać. Koszt sprowadzenia jej w głąb kraju był znaczny. Jakość bretońskiej soli z morskich salin była dużo gorsza. Z kolei polską sól można by spławiać Wisłą, rozwinąć nareszcie transport barkami z Krakowa, bo dotąd tylko drewno spławiano. Transport w dół rzeki do Prus jest znacznie tańszy niż w górę rzeki z Prus do Krakowa, to oczywiste. Same korzyści!

Korzyści? Nie, bo jednak kryła się w tym pułapka. Po co Włosi ją zastawiali? Odpowiedź nasuwa się sama: zamierzali zrujnować krakowskie żupy, żeby tanio i bez kłopotów z powrotem je przejąć.

Gdyby solne porozumienie doszło do skutku, kupcy pruscy nie kupiliby polskiej soli w dużej ilości, kupiliby coś śladowo, kilka bałwanów, bo nie ma na północy naszych handlarzy, którzy by ją zassali na początek polskim pieniądzem. Włosi natomiast zamierzali rzucić do handlu duże pieniądze, zalać Małopolskę solą bretońską, nawet do tego dopłacając. W ciągu kilku lat doprowadziłoby to do dużego spadku zysków polskich żup. Bochner żadną miarą nie byłby w stanie płacić królowi dzierżawy w kwocie wynegocjowanych osiemnastu tysięcy grzywien. Bankructwo szybko zajrzałoby mu w oczy.

Po kilku latach, już po upadku Bochnera, Bicarani zamierzał ponownie stanąć do przetargu na dożywotnią dzierżawę krakowskich żup. Ale już nie za osiemnaście tysięcy grzywien, ale za dwanaście albo i mniej. Nikt nie dałby więcej, bo nikt nie chciałby brać na głowę upadłego przedsiębiorstwa. Po zdobyciu dzierżawy Bicarani zamierzał szybko postawić tamę bretońskiemu importowi i powrócić do zarabiania na soli dwadzieścia tysięcy i więcej. Z tą różnicą, że teraz królowi

z tytułu dzierżawy płaciłby najwyżej dwanaście tysięcy. I tak do końca swoich dni. To nie koniec. Żeby przyspieszyć bankructwo krakowianina, Włosi podsunęli mu plany nowego szybu. Zafalszowali próby górnicze. Tak stało w tych listach! Bochner topił majątek na kopaniu szybu, który nigdy nie trafi na złożę! I Kmita o tym wiedział co najmniej od roku!

– Włosi są gorsi niż Żydzi. Gorszi od zarazy! – zawołał zakonnik. – Zawsze to mówiłem!

– To samo mówił mój wuj... Nie inaczej działali w Aragonii.

Jaki interes miał w tym wszystkim Kmita? Chciał zarobić na imporcie bretońskiej soli. Zassać jej tyle, żeby się nią Kraków zadławił. Zarobiłby on, zarobiłby Karol von Lichtenstein, zarobiliby Genuńczycy. Tylko polski skarb by stracił.

– To zbrodnia! – Gorączkował się brat Mikołaj. – Teraz, kiedy nadchodzi wojna, dziurawienie polskiego skarbcza to jest zdrada! Żupy to jedna trzecia skarbu! Chwała Panu, że sprawa się wydała! I masz dowód, jak ryzykowne jest oddawanie takiej dzierżawy w obce ręce. Oddasz raz, zakosztują w łatwym pieniądzu, to się potem nie chcą odczepić.

Zawisza miotał się z wściekłości. Chciał od razu na wojnę z Kmitą ruszać, bo kupczenie polską racją to największa zbrodnia. Niewybaczalna.

Tęczyński twierdził wprawdzie, że ten szwindel by nie przeszedł, ale zakonnik był innego zdania.

– To mogło sprawiać dobre wrażenie – mówił. – Otwarcie na sól północnego rynku. Polska długo o to zabiegała. Jeśliby to pchnąć do kancelarii okraszone takim komentarzem, to król by nie podpisał? Może nie, a może tak.

Kmita w zamian za przepchnięcie umowy miał być dopuszczony do spółki z Włochami. Miał czuwać, żeby dzierżawa była na królewskim dworze bezpieczna. Teraz trzeba było decydować, co z tą wiedzą zrobić.

Kurierzy tak gonili między Wiśniczem, Krakowem a Tęczynem, że kilka koni na śmierć zajeździli. Ale Kmita z Tęczyńskim się dogadali, bo nie było innego wyjścia.

– Dobra wiadomość jest taka, że Kmita jest teraz w ręku Tęczyńskiego. A ten miał dwa wyjścia: donieść o wszystkim królowi i pokazać dokumenty, albo... dogadać się z Kmitą. Zawisza dwa dni namawiał starostę w Tęczynie, żeby jednak wybrał to drugie rozwiązanie, żeby w negocjacje włączyć odwołanie oskarżenia przeciwko tobie. Walczył jak lew. Tęczyński w końcu na to przystał. Łotrem by się okazał, gdyby inaczej postąpił i pozwolił, by cię kołem połamali. Przecież ty to wszystko odkryłeś. Kmita nie miał wyjścia i musiał na układ przystać. Osobiście stanął przed sędzią w środku nocy, by wycofać oskarżenie przeciwko tobie.

– Nie pierwszy raz mi Zawisza życie ratuje...

– No, sam je sobie uratowałeś... Poza tym Tęczyński i tak uznał, że więcej dobrego zrobi dla kraju, mając Kmitę pod butem niż Kmitę na banicji, wyglądającego okazji

do zemsty.

– Król... wybaczyłby Kmicie, gdyby się dowiedział?

– Nigdy, nie takiej kradzieży, takiej zdrady... Co za podła kreatura! – Twarz brata Mikołaja znów powlekleła się purpurą. – Wielmożny pan, starosta, chorągwie liczne wystawia, u boku króla na polu staje, a potem ojczyźnie nóż w plecy chce wbić. Za garść srebrników! A przecież wie, kanalia, że jak nie będzie z żup pieniędzy, to się przed żadną wojną nie obronimy.

Ale mnich ostygł szybko.

– Trzeba ci też wiedzieć i to – podjął nowy wątek – żeśmy wszyscy zrozumieli, iż sprawa soli jednoznacznie już rozstrzyga, że Kmita w demaskowaniu kupców palców nie maczał. W innej kadzi chciał ojczyznę przytopić, ale nie w tej. Teraz wszystko wskazuje na Tomasza.

– Co na to Zawisza?

– Przybity jak gwoździem. Ale to samo mówi. – Zakonnik rozłożył ręce w geście bezradności. – Tomasza trzeba w dyby, jak najprędzej.

– I co teraz?

– Tęczyński domaga się mocnych dowodów winy – odparł Mikołaj. – Bez nich nie może sobie pozwolić na aresztowanie tego królewskiego pieszczocha. Tęczyński pianę toczy, że Zawisza zamiast za Tomaszem uganiał się za Kmitą! I teraz są w lesie z dowodami!

Brat Mikołaj potrząsnął głową.

– Starosta powinien Zawiszę od tego zwolnić... Twój rycerz chodzi przygarbiony, jakby go ktoś wybatożył. Rozkazy Tęczyńskiego są nieludzkie. Ceni Zawiszę najwyżej z całego wojska. To jego ulubieniec. Dlatego tak surowo go traktuje. Jak syna. Zawisza z ubogiej szlachty, a starosta chce go wychować na pierwszego rycerza w Polsce.

– Hanna coś wie?

– Nie! Na Chrystusa! Hanna, jakby się dowiedziała, że Zawisza jej ojca śledził, jak zmija jakaś... Nigdy by mu nie wybaczyła. I tak już... – Zakonnik westchnął i dodał po chwili: – Źle, że to się dzieje akurat teraz. Hanna w rozpacz, z pokoju nie wychodzi, nawet swojej ciotki nie chce widzieć... Trudno się dziwić. Co na Wawelu o niej mówią? Zamiast narzeczonego na turnieju... trup porznięty...

Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał spojrzeć jej w oczy. Zakonnik ruszył w stronę wyjścia.

– Bracie Mikołaju! – zawołałem.

Odwrócił się już w drzwiach.

– Coś wicie o Ayhe? – spytałem.

– Jest w Garbowie, w rodzinnym majątku Zawiszy.

Podniosłem się gwałtownie na łóżku. Zakręciło mi się w głowie.

– Nie powiem ci teraz nic więcej – dodał. – Nie mogę.

- Powiedźcie, czy...
 - Z nią w porządku.
 - Wróci?
 - Podobno kazałeś jej wynosić się do Gdańska.
 - Miałem być święty... Wróci?
 - Do ciebie? – Zakonnik położył rękę na klamce. Odwrócił się. – Nie!
- I wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kraków–Tęczyn, jesień roku Pańskiego 1395

A zatem Ayhe nie wyjechała do Stickera! Dlaczego? Miała nadzieję, że wyjdę z tych lochów żywy? Chciała jednak być ze mną? Myśli jak ptaki krążyły nad moją głową; przez ich głośny trzepot długo nie mogłem zasnąć.

Na drugi dzień, gdy już całkiem doszedłem do sił, ciotka przyniosła mi listy. Z Saragossy! Pierwszy pochodził od samego Arandy. Zawarta w nim wiadomość, opisana w nieszczęrych żalobnych tonach, odebrała mi dech: król Aragonii Jan I, zwany Myśliwym, nie żyje. Uległ wypadkowi podczas polowania... Aranda w końcu dopiął swego! Zrobił to, co zapowiadał od dawna. A więc Aragonia ma już nowego władcę! Nastąpiły czasy Marcina, dzięki Arandzie króla bardzo Polsce życzliwego, a sam don Francisco dostał wreszcie do ręki realną władzę. Nie ukrywam, że wstąpiła mi w serce nadzieja, że i moje kłopoty znajdą wreszcie rozwiązanie.

Drugi list pochodził od Abencanyasa. Cały poświęcony był sprawie wełny. Saragoski tkacz donosił o postępach w przygotowaniu operacji i skarżył się na brak wieści z mojej strony. Powoli nadchodził moment, pisał, by uruchamiać środki. Cóż, na Boga, miałem mu odpowiedzieć?

Każdy dzień przynosił nową burzę. Czuję jeszcze słabość w ciele, przez każde takie wzruszenie serce kołatało mi w piersi, jakbym stu lat dożywał.

A końca wzruszeń nie było widać. Już następnego dnia, o poranku, ledwie nikłe, zamglone słońce wzeszło nad Rynek, w bramie domu Jelitów stanął Zawisza. Wpadł do mojej izby, omal nie przewracając ciotki Barbary, która stanęła w progu, by go przywitać, nachylił się nad łóżkiem i uściskał me ramiona.

Przynosił złe nowiny. Stało się to, co było nieuniknione, czego się spodziewałem od wyjazdu z Gdańska. Każdego poranka budziłem się ze strachem pod skórą, czy to nadejdzie tego dnia. Mijały tygodnie, miesiące, powoli oswajałem się z lękiem, stawał się coraz słabszy, aż przestałem go odczuwać. I teraz przyszedł cios. Naprawdę złe rzeczy zawsze uderzają z zaskoczenia.

Sticker zjawiał się w Krakowie.

Z relacji Zawiszy wynikało, że posłaniec od Stickera przybył do stolicy tuż po moim aresztowaniu. Szybko odnalazł Zawiszę. Ten w pierwszej chwili odmówił spotkania i na wszelki wypadek polecił wywieźć Ayhe i jej synka do Garbowa. Sticker jednak nie ustępował. W końcu Zawisza uległ, godząc się na rozmowę.

Podczas spotkania Sticker zażądał wypuszczenia Ayhe i Johana, zagroził, że jeśli to nie nastąpi, to ujawni w Polsce i Prusach ciągnące się za Zawiszą oskarżenia o morderstwo z Brugii. Rzec została już przez sąd rozstrzygnięta na korzyść polskiego rycerza, ale z pewnością źle wpłynęłoby to na jego wizerunek i całego obozu starosty sieradzkiego Jana z Tęczyna. Najcięższym jednak orężem szantażu była groźba ujawnienia powiązań doradcy króla Aragonii, don Francisca de Arandy, z polskim wywiadem. Powiązań opartych na przekazywaniu poufnych informacji handlowych, wręczaniu okazałych kwot, nadawaniu ziem *et cetera*.

Skąd Sticker o tym wszystkim wiedział? Nie chciał zdradzić. Oświadczył za to, że aby siebie chronić, złożył doniesienie w postaci listu u jednego z pruskich notariuszy z poleceniem wysłania go do Malborka w przypadku swojej śmierci czy aresztowania.

Obóz Tęczyńskiego nie mógł dopuścić do zdemaskowania Arandy. Nie w tej chwili. To podważyłoby rację bytu całej wywiadowczej struktury z takim mozolem budowanej przez starostę. Po klęsce z siatką kupców nie można było sobie pozwolić na kolejną porażkę. Aranda to jeden z najcenniejszych polskich kontaktów w starej Europie. Należało go chronić za wszelką cenę.

Sticker, dopuszczając się szantażu, wiele ryzykował. Odwaga i determinacja godna podziwu. Ale to wszystko zapewne dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż droga prawna do odzyskania Ayhe i Johana jest długa i może się okazać nieskuteczna, jeśli na przeszkodzie stanie ktoś tak wpływowy jak Jan z Tęczyna.

– Jest gotów nawet przejść na naszą służbę, byle ich odzyskać – rzekł Zawisza, bacznie mi się przyglądając.

– Tęczyński na to przystanie?

Zawisza nie odpowiedział, zamiast tego oznajmił:

– Ayhe i Johan muszą wrócić do Gdańska. Nie mamy wyjścia...

Odczekał chwilę, a potem z uprzejmością kata, który pozwala skazańcowi wyrazić ostatnie życzenie, zapytał:

– Co zamierzasz?

– Chciałbym ją odwiedzić – odpowiedziałem spokojnym głosem.

– To się da zrobić. – Zawisza skinął głową, patrząc mi w oczy. Czego w nich szukał? Rozgrzeszenia? – Ona jeszcze jest w Garbowie.

– A potem chciałbym jakoś dostać się do Gdańska, do portu. Wrócę do Aragonii.



Po kilku dniach zdołałem przekonać sam siebie, że naprawdę chcę wracać. Nic mnie tu nie trzymało. Cały swój majątek mogłem przytroczyć do końskiego siodła. Z Garbowa ruszę prosto do Gdańska. Znajdę jakiś statek do Flandrii, a stamtąd już prosta droga do Saragossy.

Rysowałem w wyobraźni swoją przyszłość. Ożenię się z Florą, już dawno

powiniennem był to zrobić. To był mój obowiązek. Ona zawsze mi sprzyjała. Odda mi się z radością. Z pomocą Arandy odzyskam majątek, pozbędę się dłużników w ten czy inny sposób. Odbuduję pozycję w saragoskiej gminie i znów będę bogatym Żydem. Te myśli, choć pozbawione smaku, zapachu i kolorów, przyniosły ukojenie. Porządek rzeczy niech zostanie przywrócony. Ayhe chciała wrócić do Stickera i tak się stanie. Johan odzyska ojca. To święta więź, nie będę jej zrywał. Po upadku pajęczego imperium Piotra Kmity na pewno łatwiej mi będzie się dogadać z tutejszą gminą. Dużo się tu, w Krakowie, zmieni. Może uda się doprowadzić do realizacji wielkie „wełniane” zamierzenie? Dlaczego nie?



W umówiony dzień, po czułym i łzawym pożegnaniu się z ciotką Barbarą, stanąłem u stóp zamku w Tęczynie. Posłałem jednego z parobków z podzamcza, aby powiadomił Zawiszę o moim przybyciu.

Rycerz pojawił się w osadzie od razu. Był poruszony.

– Mikołaj von Ruden nie żyje – oznajmił ponuro. – Wyłowili go trzy dni temu z Rodanu. Posłaniec przywiózł te wieści dziś rano. To już koniec.

Wiedziałem, co to oznacza. Od miesięcy Zawisza był owładnięty pragnieniem ocalenia ostatniego kupca. Nie przypuszczałem, że chodziło o gdańskiego piwowara. Mikołaj von Ruden wiele miesięcy temu wyruszył z synem na wielką wyprawę do Arles. Żyliśmy nadzieją, że trafią do właściwego medyka, że operacja się powiedzie, że Kurt ocali wzrok. Ale krzyżaccy agenci nawet tam go dopadli.

Zdawałem sobie sprawę, że nie chodziło tylko o życie jednego człowieka. Nad Wawel nadciągnie polityczna burza, która wywróci wszystko do góry nogami.

– Tęczyński w ciągu miesiąca złoży urząd starosty – oznajmił Zawisza jakby na potwierdzenie. – W wywiadzie, w radzie przy królu, wszędzie zatrząśnie się ziemia.

A potem rzucił:

– Jedź ze mną do Malborka! Stamtąd odprowadzę cię do Garbowa. Pożegnasz Ayhe i wrócisz do Aragonii.

– Czego szukasz w Malborku?

– Zdrajca pośle tam teraz kuriera. Pamiętasz, co mówił Lichtenstein? W tym nie kłamał. Kurier pojawiał się zawsze kilka tygodni po wyłowieniu zwłok. Żeby odebrać zapłatę. To nasza ostatnia szansa. Teraz albo nigdy.

Zawisza rozgłosił w osadzie i na zamku w Tęczynie, że będzie mi towarzyszył w drodze do Garbowa. Ale tylko kilka mil szliśmy na wschód, w kierunku jego ojcowizny. Potem, upewniwszy się, że nikt za nami nie podąża, skierowaliśmy się na północ.

Malbork, jesień roku Pańskiego 1395

Zawisza wyjawiał, że zamierza w Malborku uruchomić szpiega. Zamkowego palacza. To kontakt, który wypracował przed laty jeden z ludzi Tęczyńskiego, ale starosta nigdy nie zgodził się na jego wykorzystanie. Nie wierzył, że człowiek z nizin może coś wartościowego podsłuchać; a jeśli nawet mu się to uda, to nie będzie umiał odpowiednio przekazać pozyskanych informacji. Uważał nowe źródło za niepewne i zakazał jego wykorzystania. Niewielu ludzi w Tęczynie o nim wiedziało. Podobno żądania finansowe palacza były bardzo wygórowane. Uzasadniał to wysokim ryzykiem zdemaskowania podczas akcji, no i sezonowością podsłuchów. Nie wiem, ile było w tym wszystkim prawdy.

Tęczyński podobno zakazał korzystania z jego usług także dlatego, że miał w Malborku kilku innych szpiegów, pewniejszych. Obawiał się, że palacz zdradzi albo wpadnie i wystawi na ryzyko pozostałych. Dlaczego nie mogliśmy więc skorzystać z tych sprawdzonych? Bo podlegali bezpośrednio Tęczyńskiemu. Zawisza musiałby prosić o zgodę, a chciał zachować tę wyprawę w tajemnicy.

Od jakiegoś czasu rysował się konflikt pomiędzy Zawiszą i Janem z Tęczyna. Niesubordynacja Zawiszy irytowała starostę. Czarę goryczy przelała akcja w domu Piotra Kmity (starosta był pewien, że zgody na włamanie udzielił mi Zawisza), a potem jeszcze Sulima rzucił rękawicę Zygfydowi. Do pojedynku nie doszło, ale chęć stawienia się na nim była jawnym aktem buntu.



Sulima oznajmił mi po drodze, że twierdzenia Zygfyda von Dohna, jakoby komtur von Lichtenstein wymknął się z pułapki i dalej kęsa, to były tylko czcze przechwałki. Pobożne życzenia. Komturstwo brodnickie popadło w tarapaty. Malbork o niczym jeszcze nie wie, ale to tylko kwestia czasu.

Wściekłości nie krył Jan von Rumpenheim, komtur Gdańska. Lichtenstein nie mógł wyjawić współnikowi prawdziwych przyczyn utraty statku, spadły więc na niego gromy za źle przygotowaną operację, brak zabezpieczeń w umowach, narażanie się na ryzyko, o którym gdański komtur nie został wcześniej poinformowany. Obu komturów łączyło teraz jedynie wspólne staranie zatuszowania klęski. Lichtenstein stracił tym samym wpływowego protektora i raczej nie zrobi już w zakonie kariery. Odcieśliśmy go też od interesów z Kmitą. Zygfyd von Dohn nie żył, a Piotr Kmita

nie mógł wydać nawet grosza bez zgody Tęczyńskiego. Przynajmniej przez jakiś czas. Włosi także przestali handlować z brodnickim komturem. Czekają ich lata walki o pieniądze i wzajemnych oskarżeń. Genuieńczycy łatwo zdobędą w sądach przewagę, bo Lichtenstein jak ognia będzie unikał procesów, chcąc wszystko załatwiać polubownie. Włosi to na pewno wykorzystają.

Tak zatem los komtura wydawał się przesądzony. Głowę pewno ocali, ze sprytu piraci go nie ograbili, ale jest skończony. Im dłużej będzie odpowiadał za wywiad – tym lepiej. Słaby komtur Brodnicy to dla Polski wymarzona okoliczność. Krzyżacy przeznaczali olbrzymie kwoty na wywiad. Podobno trzecią część wojennego budżetu. Pieniądze z Malborka nie przestaną płynąć do Brodnicy, ale dopóki sprawa się nie wyda, dopóty Lichtenstein zamiast na szpiegów większość środków będzie przeznaczał na ratowanie finansów komturstwa.



Z końcem września stanęliśmy pod Malborkiem.

Już z daleka widzieliśmy krzyżacki zamek. Jego ogrom zapierał dech w piersiach i budził grozę.

W tym zamku, świętym grodzie, który służył jednocześnie za pałac, parlament, siedzibę władz państwa zakonnego, główny arsenał i skarbiec, zgromadzono takie zapasy, że tysięczna załoga mogła się bronić przez dziesięć lat.

Przekonanie o niepokonanej potędze zakonu narastało wraz ze zbliżaniem się do zamku. We wschodnim oknie zamkowego kościoła szaleni zakonnicy umieścili monstrualnych rozmiarów figurę Najświętszej Maryi Panny. Nigdy nie widziałem tak gigantycznej rzeźby. Widoczna z kilku mil kamienna postać niemal zasłaniała zamek od wschodu. Od strony, skąd zazwyczaj nadchodzili wrogowie, i skąd właśnie nadjeżdżaliśmy my. Zawisza wstrzymał konia.

– Krzyżackie psubraty! – rzucił. – Wiesz, co mówią? O Najświętszej Paniencie? Że to ich tarcza, że ona zapewnia im zwycięstwa na polu bitwy, a zbawienie po śmierci. Na sztandarach ją haftują.

– Szkaradna jakaś. Jak pogańska bogini wojny. Przygląda się nam – zauważyłem. – Strach mnie obleciał. A jak nas przejrzy? Zejdzie z cokołu i nas zdepcze sandałem?

– Nie bluźnij! Podobno nieraz już na polu bitwy Krzyżakom pomagała. Obyś w złą godzinę nie wołał.

– Nie wołam. Cicho mówię, bo uszy też ma wielkie i pewno słyszy na milę.

– Dość! Krzyżacy jak Machabeusze. W siedmiu rycerzy podbój Prus zaczęli. Takie rzeczy to bez pomocy z nieba ani rusz...

Samo miasto złożone u stóp potężnego zamku zdawało się liche i kruche, jakby wzniesiono je z resztek tej imponującej budowli.

Wjechaliśmy do miasta główną bramą na prostą brukowaną ulicę. Co drugi przechodzień zaczynał nas, proponując nocleg.

Była to wielka zaleta Malborka. Kto tylko miał wolny kątek w domu, chciał zarobić na wynajmie noclegów. Można było łatwo wtopić się w tłum kupców, dyplomatów, rycerzy i niezliczonej rzeszy podróżników spod jasnych i ciemnych gwiazd, którzy przybywali do stolicy krzyżackiego państwa z całego chrześcijańskiego świata. Tylko najdostojniejsi goście dostawali kwatery na zamku. Reszta szukała dachu nad głową u miejscowych.

Tuż przed wjazdem do miasta narzuciliśmy na siebie kupieckie płaszcze, by wtopić się w tłum handlarzy. Gdyby nas ktoś zagadnął, mielibyśmy twierdzić, że poszukujemy wytwórców miodów i piwa na handel. To podstawowe źródło dochodów tutejszego mieszczaństwa. Takich jak my, rozglądających się za podobnym towarem, były tu setki.

W połowie ulicy Zawisza uległ czarowi młodzieńczej gospodyni. Wysoka, jasnowłosa, o obfitych piersiach i pełnych biodrach, od razu zwróciła jego uwagę. Podał jej rękę, a dziewczyna bez chwili namysłu wskoczyła przed nim na siodło. Bosymi stopami uderzała boki konia. Ruszyliśmy dalej w stronę rynku. Minęliśmy budynek ratusza, skręciliśmy w prawo, potem drugą przecznicą w lewo. Wszystkie uliczki były brukowane, czyste i krótkie. Nie sposób było zabłądzić.

Dziewczyna sama chwyciła za wodze i zatrzymała konia. Zeskoczyła i załomotała w drzwi z głową cały czas odwróconą w naszą stronę, jakby bała się, że uciekniemy. To nie była najbardziej reprezentacyjna część miasta, a my w czystych i bogatych płaszczach wyglądaliśmy na zamożnych kupców.

Otworzyły się drzwi i wytoczył się z nich korpulentny gospodarz o pogodnym obliczu. Skłonił się nam nisko i rozwarł bramę na podwórko – niewielkie, w sam raz na dwa konie. Bramę można było łatwo przeskoczyć. Z kamienicy na podwórko wychodziło tylko okno. Idealne miejsce. Zawisza uzgodnił z gospodarzem należność za cztery noce.

– Idę po naszego palacza – oświadczył. – Ty zostaniesz. Dziewka nazywa się Gretel. Ładnie?

– Surowo... Ale buzię ma jak kwiatek.

– To niemiecka rodzina. Wszystko mi opowiedziała. Jej matka jest akuszerką, ojciec handlował miodami, niby tak jak my, ale zbankrutował, dlatego muszą wynajmować pokoje. Pech.

– A co nas to obchodzi? – spytałem.

– Pech, że akurat wymyśliłem te miody. Pewno zna większość kupców i przy pierwszej rozmowie się zdradzimy. Na wszelki wypadek powiedziałem tej dziewczynie, że jesteś moim wspólnikiem z Francji, z Prowansji. Dopiero się uczysz handlu. I nie mówisz ani słowa po niemiecku. Żebyś się nie wygadał.

I wyszedł, zostawiając mnie samego w pokoju.

Zawisza wiedział o palaczu tyle, ile powiedział mu ów Polak, który go zwerbował. Palacz miał na imię Klaus. Jego ojciec był ubogim niemieckim rycerzem, który

przybył do Prus skuszony dziesięcioma łanami żyznej ziemi, jaką otrzymał od Krzyżaków w zamian za wojenny obowiązek. Podczas jednej z wielu wypraw przeciwko Żmudzinom został ciężko ranny. Wyrwał się z objęć śmierci, ale podupadł na zdrowiu. Podupadło też gospodarstwo. Aż widmo bankructwa zajrzało mu w oczy. Rycerkę Krzyżacy traktowali zawodowo, nie liczyło się pochodzenie. Rycerzem było się tu tak długo, jak majątek pozwalał wypełniać konną służbę wojskową. Zubożały rycerz, ojciec Klausa, został zdegradowany do poziomu chłopca. Nic to, że krew przelewał za zakon. Cała rodzina popadła w nędzę. Rodzice zmarli w upokorzeniu, a gospodarstwo przejął protegowany zakonu.

Dwaj bracia palacza żyli jak zwykli chłopcy gdzieś w podmalborskich wsiach. Pożenili się z chłopkami, mają chłopskie dzieci, hodują świnie i nienawiść w sercu. Klaus nie nadawał się do pracy w polu, ale znalazł zajęcie na zamku. Pogodził się z losem, wiedział, że dopiero w niebie czeka go sprawiedliwość. Ale jeśli by można jej wymierzyć choć troszkę na ziemi – to on chętnie przyłożyłby do tego rękę. Na stu szpiegów dziewięćdziesięciu dziewięciu robi to dla pieniędzy. Klaus był tym setnym, bo kierowała nim zemsta. Choć i pieniądzem nie pogardzał.

Nieobecność Zawiszy się przedłużała. Wyjąłem z sakwy podróżne naczynie z inkaustem z grubego szkła, wielkości pięści, pióro i arkusz papieru, jeden z kilku, które wziąłem na drogę. I zabrałem się do spisywania wydarzeń z ostatnich dni.

Przechodząc przez izbę na dole, po powrocie z wychodka, zobaczyłem Gretel, a obok niej drugą dziewczkę, identyczną, jak odbicie w lustrze. To musiała być jej siostra, bliźniaczka. Odwróciły się na odgłos kroków.

– Czy życzysz sobie, panie, kolacji? – spytała ta druga z uśmiechem. – Rodzice pojechali do Gdańska. Zostałyśmy same. Ale dobrze gotujemy!

– On nie mówi po niemiecku, jest z Prowansji, ten drugi mi powiedział. – Gretel szturchnęła ją łokciem. Obie nie spuszczały ze mnie wzroku.

– Może pan, panie Prowansja, chciałby wziąć kąpiel? Całyś brudny. Poklepiemy po pupci.

– Za darmo – dodała ośmielona Gretel. Łzy śmiechu pchały im się do oczu. – Ach, poklepałabym pana po pupie, panie Prowansja – mówiła niewinnym głosem. – A może...

– Niech pan uważa, panie Prowansja – wpadła jej w słowo siostra. – Ona chce pana zaciągnąć do łóżka. Urodzi panu dziecko i będzie pan musiał wziąć ją ze sobą do Prowansji. Ja jestem bardziej rozsądna. I uważna w tych sprawach. A mnie też się pan, panie Prowansja, bardzo podoba. Jest pan najpiękniejszą Prowansją, jaką widziałam.

Obie wybuchnęły śmiechem.

Na to wszedł Zawisza, chwycił mnie za ramię i pociągnął na górę.

– Miałeś nie gadać po niemiecku!

– Nie powiedziałem ani słowa.

– To co się tak śmiały?

Wzruszyłem ramionami.

– Znalazłem go. Pójdziemy do jego domu. Gdy zrobi się ciemno.

– I jak?

– On jest... karłem.

– Karłem?

– To taki człowiek, normalny, tyle że o połowę mniejszy.

– Wiem, co to karzeł! Tylko wyobrażałem sobie, że palacz musi być postury

drwała. Sypanie węgla do pieca wymaga siły.

– Ano zobaczymy, co nam powie.

Czekaliśmy, aż zapadła noc, ciemna jak smoła. Po kwadransie kluczenia po uliczkach Malborka doszliśmy do domku wielkości składu na drewno.

Weszliśmy do środka. W izbie przy niewielkim kwadratowym stole obok czarnej paszczy wygasłego kominka siedział mężczyzna. Było tu chłodniej niż na zewnątrz. Na stole stał świecznik. Reszta izby tonęła w mroku. Ale dostrzegłem w kącie drugą postać. Mężczyzna przy stole zauważył, że spojrzałem w tamtą stronę.

– To mój syn, Bruno – odezwał się niskim, mocnym głosem. Nie brzmiał jak zwykły pacholek, co nie umie zliczyć do trzech.

Potem palacz wstał zza stołu, skłonił się lekko na powitanie. Z naszej perspektywy wyglądało to jak kuglarska sztuczka. Stał czy siedział, jego głowa znajdowała się na tej samej wysokości.

– To mój towarzysz, Aaron. – Zawisza odwzajemnił się prezentacją.

– Żyd? – spytał palacz.

– Francuz. Żyd – odparł rycerz.

– Mówiłem ci, panie, że dużo ryzykujecie, jadąc tu bez glejtu. Ale Żyd jeszcze bardziej. Ktoś was może wydać miejskim strażom.

– Nie widać po nim...

– Kto ma oczy, ten widzi – odparł palacz.

Przyjrzałem mu się. Miał inteligentną twarz, starannie przystrzyżoną kocią bródkę i krótkie włosy, sterczące jak igły jeża.

– To jest Klaus, człowiek, o którym ci mówiłem – zwrócił się do mnie Zawisza.

– Jestem osobistym palaczem wielkiego szafarza i wielkiego mistrza – powiedział Klaus.

Pochyliłem głowę, jakbym chciał wyrazić szacunek dla jego funkcji. Było to jednocześnie powitanie. Zgodnie z zaleceniem Zawiszy miałem mówić jak najmniej. Postanowiłem w ogóle się nie odzywać.

– No dobrze, przekonaj nas, że pożytecznie wydamy pieniądze polskiego króla. – Zawisza postąpił kilka kroków w stronę palacza. Patrzył teraz na niego z góry. – Podśłuchujesz przez komin?

Zapadło milczenie.

– Przez podłogę – odparł w końcu Klaus.

– Jak?

Pomiędzy stołem a ścianą było trochę miejsca. Klaus kilka razy, od lewa do prawa, zamasyście przetarł stopą klepisko. Sięgnął do kąta po cienki, ostro zaostroszony patyk. Rysując nim po ziemi, wyjaśniał:

– Pomieszczenia w malborskiej twierdzy ogrzewane są na trzy sposoby: za pomocą pieców kaflowych, różnej wielkości kominków oraz wielkich pieców ziemnych na

gorące powietrze.

Nas interesował ten ostatni system, zwany *hypocaustum*. To jakby dwa piece zamontowane jeden na drugim. Do tego niższego wkładano opał, głównie drewno, a ten wyższy wypełniano dużymi kamieniami, które po rozgrzaniu uwalniały ciepło. Od górnego pieca szedł przewód kominowy, którym uchodził dym, oraz – i to było dla nas najważniejsze – liczne kanały rozprowadzające gorące powietrze. Szły one przez cegły i miały ujścia pod posadzkami ogrzewanych pomieszczeń. To właśnie dzięki tym kanałom możliwy był podsłuch.

– Wsuwam w te otwory skórzane tuby. – Sięgnął do komody i wyjął z niej wąską rurę, złożoną z kilku fragmentów utwardzanej skóry, które gładko wchodziły jeden w drugi. – Mogę podsłuchać każdego dostojnika zakonu, każdego ważniejszego gościa. Także służbę.

Klaus miał pod opieką pięć pieców. Pierwszy z nich, usytuowany w piwnicy pod zimowym refektarzem, ogrzewał komnaty na dwóch kondygnacjach za pośrednictwem kanałów rozprowadzonych pod posadzkami oraz w ścianach. Drugi umieszczony był w piwnicy pod izbami należącymi do skarbnika. Trzeci piec ogrzewał położone nad nim prywatne apartamenty wielkiego mistrza, w tym także jego prywatną izbę kąpielową. Czwarty znajdował się w skrzydle wschodnim, gdzie urządzono komnaty dla gości zakonu. Piąty – we wschodniej części północnego skrzydła zamku średniego, pod apartamentami wielkiego komtura.

– Jak to się dzieje, że dym nie idzie do izb? – spytał Zawisza.

Znów na klepisku pojawiły się rysunki.

– Każdą komorę akumulacyjną wypełnioną kamieniami wieńczy koleba, w której znajdują się otwory kanałów cieplnych. One prowadzą pod posadzkę ogrzewanego pomieszczenia. To już mówiłem. Na przykład ta pod wielkim refektarzem ma trzydzieści sześć otworów. Te otwory zamykane są specjalnymi metalowymi pokrywami, którymi można regulować temperaturę w sali. W czasie palenia drewnem pod kamieniami otwory w posadzce pomieszczenia powyżej są zamykane. Otwiera się je dopiero po spaleniu odpowiedniej porcji drewna albo torfu i odprowadzeniu dymu na zewnątrz przez komin. Wtedy do pomieszczenia idzie czyste ciepło, bez dymu. Przez stopień otwarcia pokryw można uzyskać dowolną temperaturę, jakiej zażyczy sobie dostojnik lub zakonni goście.

– Zawsze możesz podsłuchiwać?

– Latem muszę uważać, bo nie ma powodu, by się kręcić wokół pieców. Ale da się to zrobić. Zimą oczywiście to jest niemożliwe, ale na zimę przeprowadzam się na zamek i mieszkam ze służbą. Wysłuchuję wielu cennych plotek.

Zawisza skinął głową. Widziałem, że był pod wrażeniem.

– Za to jesienią – powiedział karzeł – to codziennie, o każdej porze. Czyści się przewody kominowe, sprawdza mechanizm pokryw. Trzeba usunąć z pieca zużyte kamienie i uzupełnić je nowymi.

- Sam dźwigasz te kamienie?
- Nie! Sprawdzam je i typuję do wymiany, ale usuwają je specjalnie zatrudniani pachołkowie.
- Każdy może tam wejść?
- Do komór? Nie! Są zamykane kratą. Klucz mam tylko ja i główny strażnik.
- Dlaczego ci tak zaufali?
- Jestem karłem. Może dlatego. Człowiek tak nędznej postury nie może podnieść ręki na zakon. Poza tym wielki mistrz ma słabość do karłów. Stałem się też jego osobistym palaczem. Rozpalam kominki i piece w jego prywatnych komnatach. Dzięki temu wiem z wyprzedzeniem, w którym pomieszczeniu będą przyjmowani goście.

Klaus przerwał na chwilę. Spojrzał na Zawiszę. Czekał, czy ten coś powie. Potem mówił dalej:

- Zimą do moich obowiązków należy palenie w piecach kaflowych i kominkach podskarbiego, komtura zamkowego i wielkiego mistrza. Za pracę dają mi wtedy dodatkowo piętnaście skojców. Posadę dostałem od razu, bo wielki mistrz ma słabość do karłów – powtórzył. – Mówią, że to dlatego, iż patrząc na nasze cierpienie, sam czuje się lepiej.

Powiedział „nasze”, bo w otoczeniu wielkiego mistrza przebywało wielu karłów. Jeden z nich, Mikołaj, posłował nawet w imieniu zakonników, najczęściej z darami, żeby dodatkowo rozbawić, a może wzruszyć obdarowanego. Był też niejaki Jorgen, wołali na niego „pan Jorgen Kropelritter”. Ulubieniec wielkiego mistrza. Chodził z nim na wszystkie wyprawy wojenne. Miał nawet swoją zbroję.

- Wszyscy trzymamy się razem. – Klaus zacisnął usta. – I nie ma na tym świecie silniejszej więzi jak poczucie upokorzenia.

– Mówisz, że ten karzeł towarzyszy wielkiemu mistrzowi w wojnach?

- Tak. Jorgen zawsze. Inni czasami. W zbrojowni jest kilka kompletów uzbrojenia dla karłów: pancerze, ostrogi, miecze. Żeby było zabawniej, jadą na kucach.

– Więc możesz podsłuchać wielkiego mistrza?

- Tak samo jak szafarza. Mogę podsłuchiwać refektarz, często tam rozmawiają z gośćmi, jeśli jest szersze grono, ale te rozmowy trwają za długo, poza tym za dużo głosów, trudno zrozumieć. Najlepiej słyhać to, co dzieje się w komnatach prywatnych.

– Interesuje mnie jedna rozmowa. – Zawisza przysunął się na krzesło i oparł łokcie na stole. – Nie wiem dokładnie, kiedy ma się odbyć. W najbliższych dniach, może już jutro, może pojutrze, może za kilka dni.

Karzeł uśmiechnął się do niego.

- To się dobrze składa, bo zapowiadają ostrą zimą, szykuje się wielkie grzanie i nawet jak mnie przyłapią, to powiem, że robię próby. Albo przeglądam kamienie.

– Przyjedzie kurier. Z Polski. Przyjmie go wielki szafarz. A potem wielki komtur.

Tak myślę.

Palacz uczynił gest, który oznaczał, że poradzi sobie w każdych okolicznościach.

– Jak się sprawisz, wypełnię umowę.

– Mam ci zaufać? – spytał palacz.

– A masz inne wyjście?

– Mam.

– Ale wolisz mi zaufać.

– Wolę...

– No to postępuj tak, jak ci dusza podpowiada – rzekł Zawisza. – A jakie ja mam gwarancje?

– Nie potrzebujesz. Powiadomię was, jak coś się wydarzy. Wtedy mi zapłacicie.

Odwrócił się na krześle i zamachał ręką. Z cienia w kącie izby wyłonił się kilkunastoletni chłopiec, którego już wcześniej dostrzegłem.

– To mój syn. Przyjedzie po was.

Chłopak był wysoki, nawet bardzo wysoki, miał piękną smagłą twarz, nie zdradzał żadnych objawów choroby ojca.

– Gdzie się zatrzymaliście?

Zawisza opisał mu położenie naszej kwatery.

– Wiem, gdzie to jest – potwierdził palacz. – Ale w Malborku nie możecie zostać...

– Wyjedziemy jutro z samego rana. – Zawisza wstał od stołu. – Przed wyjazdem dam ci znać, gdzie po nas pošlesz.

Skinęliśmy głowami na pożegnanie i wyszliśmy.

– Po co zapłaciłeś za cztery noclegi? – spytałem. Miałem nadzieję na odpoczynek od siodła. Poza tym podobały mi się te dwie siostry, nasze gospodynie.

– Właśnie po to. Żeby padały pytania.

Rankiem następnego dnia nigdzie nie wyjechaliśmy. Dzień spędziliśmy, jak przystało na kupców poszukających najlepszego miodu w mieście. Chodziliśmy od karczmy do karczmy.

Wróciliśmy do naszej kwatery pod wieczór. Pijani. Zawisza zażądał kolacji i poszedł na górę się położyć. Ja zostałem. Obie dziewczki rozzuchwalone nieobecnością rodziców z kamiennymi minami proponowały mi coraz śmielsze bezecenstwa, zapewniając jednocześnie o miłości po sam grób. Śmiałem się razem z nimi, udając przy tym, że nie rozumiem ani słowa.

W końcu wypite tego dnia kubły miodu przejęły władzę nad moim ciałem. Udałem się w ślad za Zawiszą. Opadłem na siennik. Dzień zgasł jak żagiew ciśnięta do wody. Zasycało i uniósł się obłok snu. Zjawił się w nim Sticker. Długo ścisnął mi dłoń i patrzył prosto w oczy. Był w samej koszuli, jak wtedy w Saragossie, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Wcisnął mi do rąk kubek z ognistą ciecżą. Potem pośród uśmiechów i poklepywań po plecach przegadywał coś z Zawiszą. Nie chciałem tego słuchać. Wiedziałem, co ich tak bawi. Ayhe, Ayhe, powtarzało się. I te przechwałki Stickera. Zmusiłem się do wypicia gorzkiego płynu. Walczyłem ze sobą, by im nie chlusnąć z żołądka pod nogi. Ktoś rozpaczliwie wali w okiennice. Jacob i Abram. Budzą do porannej modlitwy. Ale tylko mnie, bo to ja ich zamordowałem i tylko ja ich słyszę...

Otworzyłem oczy. Serce chciało wyskoczyć mi z piersi. A potem naprawdę z hukiem rozwarły się okiennice. Pojawiła się w nich głowa młodzieńca, Brunona, syna palacza.

– Panowie! Ojciec wzywa, pospieszcie się!



Wedle relacji Klause spotkanie, na które czekaliśmy, odbyło się dziś późnym popołudniem. Palacz posłał po nas Brunona, gdy zdołał wyjść z zamku po podsłuchanej rozmowie.

Ta toczyła się w komnacie podskarbiego. Kurier odebrał sto kop groszy, co potwierdzałoby słowa Lichtensteina, że Malbork płaci za zdradę olbrzymie sumy.

– Co mówili? – dopytywał się Zawisza.

– Kurier nie był Niemcem, mówił niewyraźnie, to na pewno Polak. Najpierw

przeliczali tę zapłatę za jakieś wcześniejsze przysługi.

– To za von Rudena – szepnąłem.

– A potem? – zapytał Zawisza.

– A potem szafarz otworzył jakiś list. Czytał długo, po cichu, to znaczy w myślach. Gdy skończył, rzucił tylko do kuriera, że nie tego się spodziewał. Wyszedł, powiedział, że musi pokazać list wielkiemu mistrzowi. Długo go nie było.

– No i?

– To wszystko.

– To wszystko? Nie rozmawiali więcej?

– Podskarbi kazał mu przyjść rano, żeby wziąć list z odpowiedzią. I kurier wyszedł – powiedział palacz. – To był żołnierz, ktoś zdyscyplinowany. Mało mówił, a jak już, to szybko i krótko. I te kroki... To musiał być żołnierz.

– Gdzie się zatrzymał? Na zamku?

– Nie. Zamek tylko dla najważniejszych gości... – Karłowi zabłyśły oczy. – Ale byłem w stajniach...

– To źle, niepotrzebnie ryzykujesz! – przerwał mu Zawisza.

– Żadne ryzyko! – zachnął się palacz. – Mój chłopak tam pracuje. Ten kurier kazał sobie konia przyszykować i podprowadzić świtem pod karczmę „Pod Turem”, stąd wiem, że tam stanął na noc.

– Głupiś ! – prychnął Zawisza. – Ile jest w Malborku domów z noclegami dla gości?

– Będzie ze sto – odparł palacz.

– No to mamy jeden dom mniej do przeszukania. Jest w którymś z pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu. A najpewniej już go nie ma w Malborku.

– Jechał trzy dni – zaprotestował karzeł. – Na pewno musiał odpocząć. Konie zostawił. Sam je widziałem. O tej porze nowych nie kupi. Rano – tak. Świtem. Ale nie teraz.

– Mógł to wcześniej przygotować... – powiedział Zawisza.

– Tylko po co? – Postanowiłem się włączyć. – Przecież Krzyżaków się nie boi! Nie mogą mu nic zrobić. Najwyżej za nim jechać. Ale już raz próbowali... Zdrajca jest dla nich zbyt cenny, żeby porywać się na jego kuriera! Nie mają żadnych gwarancji, że kurier wie, czyje listy wozi. Jeśliby mu coś zrobili...

Zawisza machnął niecierpliwie ręką.

– Tak, tak, wiemy!

Zapadła cisza. Karzeł patrzył na nas, raz na jednego, raz na drugiego.

– Dom Josepha Osta znasz? – Zawisza zwrócił się nagle do niego.

– Piękny dom, ale Ost to stary osioł. Nie ma pokoi gościnnych – odparł palacz ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– Jak tam trafimy?

– Trafimy łatwo, ale niczego tam nie znajdziemy.

– Masz inny pomysł?

Karzeł wzruszył ramionami.

– Masz łuk? Albo kuszę? – zapytał go Zawisza.

– Kuszę – odparł palacz.

– Idź po nią. I przynieś małą lampę. Poczekamy tu. Pospiesz się! – polecił rycerz.

Gdy karzeł zniknął w ciemności, Sulima zwrócił się do mnie:

– Pamiętasz Wolfganga Schenkendorfa?

– Pożyczka pod zastaw jakiejś nieruchomości w Malborku...

– Tak! Ten dom jest własnością króla, choć król o tym nie wie. Przejął go polski wywiad. Mieszka w nim Joseph Ost, zgadza się, to stary dziwak. Ale pracuje dla nas. To jeden z tych niewykrywalnych szpiegów.

– Kurier zatrzymałby się w domu prowadzonym przez polski wywiad? – naciskałem. – Na Boga! Co to znaczy?

– Mamy kilka godzin do świtu. Nie przeszukamy stu domów. Musimy zaryzykować.

Wrócił karzeł, niosąc małą kuszę. Zawisza wziął ją do ręki i kiwnął głową na znak, że się nada.

– Prowadź! – rozkazał.

Szliśmy w całkowitych ciemnościach. Skręciliśmy parę razy w prawo, parę razy w lewo. Karzeł zatrzymał się na końcu jednej z krótkich bocznych uliczek.

– To tu – szepnął, wskazując na skąpaną w mroku kamienną bryłę. Dom stał na końcu ciągu kilku kamienic. Wyglądał na najszerszy, ale było za ciemno, by jednoznacznie to stwierdzić. Nie paliła się najmniejsza lampka oliwna, świeczka, nic. Na całej ulicy. Panowała też absolutna cisza. Nawet nikt nie chrapał. Jakby się umówili.

– Znasz tę ulicę?

– Malbork to małe miasteczko.

– Jak można uciec z tego domu?

– Na wiele sposobów... Przez podwórze, bramą, przez okna na sąsiednie dachy...

– No dobrze, ale gdyby cię coś wystraszyło?

– Wybiegłbym...

– Którędy?

– Przez bramę, najszybciej!

– A z tyłu?

– Jest parcela, zamknięta ogrodzeniem, trzeba wleźć na płot...

– Dobrze. – Zawisza skinął głową. – Staniesz tutaj, gdzie teraz. Będziesz pilnował jednego wyjścia, ale porządnie. Wystrzelisz w każdego, kto będzie wychodził z tego domu przez bramę.

– Jak was rozpoznam?

– To będzie nasze zmartwienie. Nie myśl, po prostu celuj i strzelaj. Mierz tak, żeby zabić. Dasz radę naciągnąć kuszę?

Karzeł wziął głęboki wdech i kiwnął głową.

Zawisza położył mi rękę na ramieniu, jakby chciał mi dodać otuchy. Wziąłem lampę z rąk karła. Ruszyliśmy w kierunku kamienicy.

– Wiesz, co robimy? – szepnąłem w połowie ulicy.

– Nie – odparł Zawisza. – Ale zrobimy tak: stary mieszka na dole. Wejdiesz tam z zapaloną lampą i z bronią. Masz nóż?

– Mam.

– Dobrze. I powiesz: „Nie ruszaj się, nic ci nie zrobię, jesteś bezpieczny”. Głośno, wyraźnie, stanowczo. Ludzi podczas napadu to uspokaja. I słusznie. Jeśli chcesz

ich pozabijać, nie tracisz czasu na takie gadki. Jak to będzie po niemiecku?

Powiedziałem mu.

– Może być – zaakceptował. – Ja pójdę na górę. Jeśli kurier nocuje w tym domu, to będzie na pierwszym piętrze. Usłyszysz hałas, wtedy wbiegniesz na górę. Z lampą! Staremu powiesz, żeby nie wychodził, bo go zabiją z kuszy. Umiesz to powiedzieć?

Jakoś to skleciłem po niemiecku.

– Dobrze. Tylko się nie pomył, bo będziesz miał dziadka na sumieniu.

– A jak nie będzie hałasu?

– To czekaj, aż zejdem.

– A jak...

– Wystarczy! Kieruj się rozumem.

Pierwsza przeszkoda – główna brama. Zamknięta! To było do przewidzenia.

Zawisza wysunął coś z paska. Jakieś cienkie pręty, krótkie na palec. Kucnął przy zamku, wstrzymał oddech. Ja też. A potem w magiczny sposób użył ich jak klucza. Pchnął drzwi, a te rozwarły się do wnętrza ciemnego korytarza.

– Musisz mnie tego nauczyć – szepnąłem.

Ująłem w dłoń *mechero*, wykrzesalem iskry i dmuchnąłem. Koniec knota natychmiast rozjarzył się do czerwoności. Zapaliłem lampę. Byliśmy w sieni. Na lewo zobaczyłem drzwi do dolnej izby. Z tyłu sieni szły drewniane schody na pierwsze piętro. Za schodami zapewne znajdowało się wyjście na podwórze. Wszędzie ten sam układ. Chyba tylko jeden architekt żył w tej części świata, szedł z południa na północ i projektował ludziom domy.

Dałem znak głową, że jestem gotów.

Mocniej ścisnąłem lampę w lewej ręce, w prawej trzymałem nóż. Oparłem stopę na klamce, nacisnąłem, a potem energicznie pchnąłem drzwi. Skrzydło było cienkie i lekkie, niepotrzebnie włożyłem w to tyle siły. Drzwi odbiły się z hukiem od ściany, wróciły i omal się nie zatrzasnęły przed moim nosem. Wszedłem do środka.

– Nie ruszaj się! Nic ci nie zrobię! Jesteś bezpieczny! – wykrzyknąłem po niemiecku.

Jakaś postać poderwała się na łóżku. Starzec. Miał twarz ściągniętą przerażeniem i niewidzące oczy. Zamrugał, trzęsła mu się broda, otwierał i zamykał bezzębne usta. Schowałem nóż. Raczej powinienem wziąć go za rękę i jakoś uspokoić.

Co do parteru, Zawisza miał rację. Tu spał tylko Joseph Ost. Niegroźny staruszek.

Nie mylił się też w sprawie pierwszego piętra.

Najpierw na górze rozległ się męski krzyk. Potem załomotały obcasy, coś ciężkiego potoczyło się po podłodze. Rozległy się odgłosy walki. Spojrzałem na strop. Miałem wrażenie, że aż ugiął się pod ciężarem kotłujących się ciał.

– Nie wychodź, bo cię zabiją! – krzyknąłem w stronę dziadka. – Usłyszał? Zrozumiał?

Boże, spraw, żeby zrozumiał.

Pobiegłem na górę, przeskakując po kilka stopni. Wpadłem do dużej izby na pierwszym piętrze. Uniosłem lampę nad głowę. Dawała wystarczająco dużo światła, by wyłonić z mroku większą część pomieszczenia. Zobaczyłem tylko łóżko i stół z dwoma krzesłami. Nie było tu niczego więcej. I dwie postaci. Dwóch mężczyzn. Jeden siedział pod ścianę ze zwieszoną głową. Był nieprzytomny albo nie żył. Drugi stał na środku, pochylony, z wyprostowanymi ramionami opartymi na kolanach. Z nosa kapąca mu krew, szybko, kropla za kroplą, prawie strumyk, jak z niedokładnie zamkniętego kranu.

To był Zawisza. Odwrócił głowę w moją stronę. Miał całą twarz we krwi. Opuchniętą z lewej strony. Tak wygląda się po otrzymaniu mocnego ciosu pięścią. Zmrużył oczy.

– Masz jakąś szmatę? – odezwał się chrapliwym głosem.

Nie miałem żadnej. Rozejrzałem się bezradnie wokół.

– Daj mi to! – Wyciągnął rękę w kierunku stołu i nie patrząc, czekał, aż podam mu obrus. Przycisnął go do twarzy.

I jęknął.

– Złamał mi nos. Ten skurwiel złamał mi nos.

Wyprostował się, odchylił głowę do tyłu. I cisnął zakrwawiony obrus na ziemię.

– Potnij go na pasy i zwiąż mu ręce.

Pociąłem obrus, a potem podszedłem ostrożnie do siedzącego nieruchomo mężczyzny. Ten wydał zduszony jęk i drgnął. Ten kubrak... w ogóle ubiór wydał mi się znajomy.

Zawisza chwycił siedzącego za włosy i zadarł mu głowę. Zobaczyłem twarz, poobijaną, skapaną we krwi, ale nie miałem żadnej wątpliwości, do kogo należała.

To był Sambor.

– On...? Jest tym kurierem? – wydusiłem.

– Na to wygląda.

Trzęsącymi się rękoma zawiązywałem pętle na złączonych nadgarstkach Sambora.

– Dość – zawołał Zawisza – bo mu się ręce zrosną.

Zawisza kazał mi zejść na dół, przywołać Klause; niech usiądzie w jednej izbie ze starym Josephem Ostem.

Gdy wróciłem na piętro, Sambor odzyskiwał przytomność. Wodził oczami po izbie, widać było, że powoli wraca mu pamięć. W końcu spojrzenie znieruchomiało. Twarz zastygła w przerażeniu. Dotarło do niego, gdzie i w czyich znajduje się rękach.

– Będzie przesłuchanie... – powiedział Zawisza. – Jesteś gotów?

Sambor milczał. Wciąż był zapatrzony w jakiś punkt w kącie izby.

– Będę cię katował, wrywał paznokcie, przypalał powieki, wybijał zęby... Jesteś gotów?

Łowca zacisnął szczęki.

– Kto cię wysyłał z listami?

Zawisza czekał, ale ani jedno słowo nie przerwało ciszy.

– Jeździłeś tylko ty, czy byli też inni kurierzy?

Nic. Milczenie.

– Co było teraz w listach? Chcecie porwać króla?

Zawisza kucnął naprzeciw Sambora. Oparł łokcie na udach i powiedział:

– Umrzesz. Ale wcześniej muszę się dowiedzieć. Będę ci zadawał ból i będę cierpiał, jakbym siebie kaleczył. Ale muszę to zrobić. Zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

Zawisza machnął ramieniem, nie odwracając się do tyłu, i zawołał na mnie:

– Chodź tu. Będziesz świadkiem.

Miałem sucho w ustach.

– Błagam, nie. Nie będę na to patrzył...

– Będziesz słuchał, nie patrzył, durniu. Siadaj tu! – wrzasnął. – Daj nóż!

Podąłem mu metalową rękojeść. Zawisza opadł na kolana, przechylił się za Sambora, odsunął nieco materiał z nadgarstków, wysunął ostrze i ciął głęboko tam, gdzie dłoń zrasta się z ręką. Krew trysnęła tak mocno, że Zawisza odruchowo odrzucił głowę do tyłu. Otarł twarz rękawem.

Potem znów kucnął naprzeciw Sambora.

– Możesz zmówić pacierz, bo tyle ci zostało życia. Ciąłem tak głęboko, że żaden medyk cię nie zszyje. Zresztą, nie będziemy wołać. Jucha już z ciebie wycieka. Poczulem mrowienie na twarzy. Zrobiło mi się duszno. Pragnąłem stąd uciec, jak najdalej.

– Posłuchaj, kanalio. – Zawisza mówił spokojnym głosem. – Jeśli umrzesz tak jak jest, ogłoszę cię zdrajcą. Wiesz, że to zrobię. Znasz mnie i wiesz, ile znaczy moje słowo. Oskarżę cię przed królem, przed radą, przed całą ojczyzną. Król pozbawi twoją rodzinę ziemi, przywilejów. Nigdy nie dźwigną się ze stanu chłopskiego. Okryjesz żonę i syna hańbą. Za zdradę. Za wydanie na śmierć tysięcy Polaków. Bo tak właśnie jest. I ty o tym wiesz... I wiesz, że tak właśnie muszę zrobić, bo to jest słuszne.

Panowała niczym niezmacona cisza. Słyszeć było tylko nasze oddechy.

– Chyba że mi powiesz... Życia nie uratujesz, ale honor ci ocalę. Masz niecały pacierz do namysłu.

Sambor zaczął się nerwowo ruszać. Chyba czuł, że nadchodzi koniec. Nogi, które wcześniej miał założone pod siebie, teraz wysunął do przodu. Drżały. Zaczął szybko i głośno oddychać.

I nagle coś w nim pękło. Wyrzucił z siebie:

– To Jan z Tęczyna.

– Łżesz...

– Sprawdzisz...

Oparł głowę o ścianę. Zacisnął powieki.

– Ile razy cię wysyłał? – pytał Zawisza.

– Sześć, teraz siódmy.

– Wozileś... nazwiska?

Skinął głową.

– Co było w ostatnim liście?

– Nie wiem. Klnę się na Boga, że nie wiem.

– Nie pytałeś Tęczyńskiego, czemu to robi?

– Pytałem.

– I co ci powiedział?

– Że to dla dobra Polski.

– Kończy ci się czas...

– Tęczyński posłał oddział...

– Łowców?

– Nie, swoich ludzi. Mieli być w lesie. Ja miałem do nich dołączyć i tam zdać mu relację.

– Gdzie? Do kurwy, gdzie?

– W Niepołomicach. Mieli otoczyć dom myśliwski.

– Skąd wiesz?

- Bo kilku znam, jeden po pijaku się wygadał...
- Kiedy mieli tam iść?
- Po świętym Marcynie. Ten, co mi to wygadał, narzekał, że jesień, ziab w lesie, a oni mieli dwa tygodnie tam siedzieć.
- Sambor zamilkł, jego oczy zaszyły mgłą, a chwilę potem głowa opadła mu na pierś. Zawisza długo wpatrywał się w skuloną postać łowcy.
- Opatrz mu rany – rzucił do mnie przez ramię. – Nie ciąłem głęboko. Stracił trochę krwi, ale nic mu nie będzie.
- Wyszliśmy przed dom. Tam dołączył do nas karzeł. Zawisza wbił mu palec w pierś.
- Pójdiesz do naszej kwatery. Zbudź córki gospodarza. Każ im tu przyjść i opatrzeć tego człowieka na piętrze. Stracił trochę krwi.
- Będą umiały?
- Ich matka jest akuszerką. Muszą się znać na bandażowaniu.
- Klaus skinął głową.
- Przy której bramie znajdziemy przekupnego strażnika?
- Przy wszystkich!
- Dobrze. Weź chłopaka i przyprowadźcie nam konie. Będziemy czekać przy południowej.
- Co to wszystko znaczy? – zapytałem, gdy zostaliśmy sami.
- Ruszamy do Niepołomic. Jagiełło objazdy kraju dopasowuje do kalendarza łowieckiego. To święte terminy, nic go nie skłoni do odwołania tego. Zapusty w Jedlni, wielki post w Sandomierzu, Wielka Noc w Kaliszu, Boże Narodzenie na Litwie, a jesienią, po świętym Marcynie, zawsze w Niepołomicach.
- Po świętym Marcynie? Kiedy to? – zapytałem.
- Niedługo...
- Co ma się tam stać?
- Wygląda na to, że ludzie Tęczyńskiego mają rozkaz porwać króla.

Niepołomice, jesień roku Pańskiego 1395

Do Niepołomic dotarliśmy po pięciu dniach morderczej podróży. Prawie bez snu, prawie bez jedzenia. Częściej zamienialiśmy wierzchowce niż słowa.

Nie wiem, dlaczego zdecydowałem się towarzyszyć Zawiszy. Chyba po to, by go ochraniać. I każdego, kto nieopatrznie wszedł mu w drogę między Malborkiem a Niepołomicami.

Zdrada Jana z Tęczyna spadła na mnie jak grom, przekreśliła trud ostatnich czterech lat, przyniosła rozczarowanie. Gorzkie rozczarowanie wyniesione z odkrycia, że służyłem może dobrej sprawie, ale niewłaściwemu człowiekowi. Ale to wszystko. Myślamy byłem już tysiące mil stąd.

Co czuł Zawisza? Nawet nie próbowałem sobie tego wyobrazić.

Gdy kilka mil przed Niepołomicami otoczyło nas wojsko, byliśmy tak wyczerpani, że nie mieliśmy sił nawet głów podnieść. Zawisza nie spodziewał się straży wysuniętej tak daleko od myśliwskiego dworu. Poddał się bez walki. Otoczyli nas ludzie Tęczyńskiego. Znali Zawiszę, wiedzieli, jaką pełni funkcję u boku starosty, a mimo to padły ostre słowa, zostaliśmy przeszukani, odebrano nam broń, skrępowano i pod eskortą kilkunastu zbrojnych powiedziano leśnym traktem w stronę dworku.

Rezydencja w Niepołomicach składała się z czterech budynków drewnianych, parterowych, zbudowanych z dębowych bali osadzonych na kamiennych podmurówkach, o dachach krytych gontem. Dwa budynki były przystosowane do dużej liczby gości. Dwa mniejsze stały nieco na uboczu. Pomiędzy nimi wznosiła się wieżyczka z gankiem i spiralnymi schodami. Musiał się z niej rozpościerać wspaniały widok na niepołomickie lasy. Stały tu jeszcze jakieś szopy i dwie duże stajnie na co najmniej sto koni każda. Całość otaczał solidny płot z dębowych dranic.

Dowódca straży zawiódł nas przed oblicze Zbramira, głównego łowczego królewskiego, który wydawał jakieś polecenia pachołkom przy stajni. On również poznał Zawiszę. Okazał nam więcej uprzejmości. Oznajmił, że aż do powrotu króla obowiązuje rozkaz, by aresztować każdego, kto przybędzie do Niepołomic niezapowiedziany. Bez względu na rangę czy towarzyskie koneksje. Nie odczułem groźby w jego głosie; odniosłem nawet wrażenie, iż usprawiedliwia przed Zawiszą zachowanie swoich ludzi.

Nakazał uwolnić nas od więzów, dać nam jeść i pić. Poinformował Zawiszę, że król i starosta Tęczyński weszli w puszcę dzisiaj rano. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Jagiełło często wykorzystywał kilkudniowe oddalenie od obozu, by omówić z gośćmi ważne sprawy państwowe.

Na nic zdały się błagania Zawiszy, żeby posłać wojsko i sprowadzić króla do obozu, bo grozi mu niebezpieczeństwo.

Kilku żołnierzy zaprowadziło nas do jednego z mniejszych budynków, składającego się z izby, kuchni i sionki. Jeden z eskortujących zamknął za nami drzwi, słyszeliśmy dźwięk przekręcanego klucza.

Tam dopadło nas zmęczenie. Usiedliśmy na pryczach owinięci w skóry.

– Nie ma psów, słyszysz? – Zbudziło mnie szarpanie za ramię.

Choć okiennice były zamknięte, to brak prześwitów w szparach między deskami wskazywał, że zapadł już zmrok. Na stole płonęła gruba świeca, którą Zawisza musiał zapalić, gdy spałem.

Rzeczywiście, na zewnątrz panowała cisza przerywana od czasu do czasu pojedynczymi żołnierskimi nawoływaniami, ale nic poza tym. Nie zabrzmiało ani jedno szczeknięcie.

– To coś znaczy? – spytałem cicho.

– Król zawsze bierze na polowania sforę psów. Tylko kiedy do myśliwskiego dworku ma zjechać królowa, to psy są usuwane. Myśliwskie psy robią wielki hałas, królową to męczy.

Chciałem powtórzyć pytanie, co to ma do rzeczy, ale mnie uprzedził.

– W Niepołomicach jest Jadwiga! Skoro jest ona, muszą być też jej dwórki! Może Wszchemogący jeszcze nas nie opuścił!

Zerwał się z pryczy. Na jego twarzy pojawiło się ożywienie.

– Przecież żołnierze mnie rozpoznali, czyż nie? Musiało rozejść się po obozie, że mnie tu zamknęto!

– Sądzisz, że królowa cię posłucha?

– Królowa nie, ale jedna z dwórek tak!

Nie zdążyłem odpowiedzieć, że przecież Hanna, nawet jeśli została dwórką, to po śmierci Zygryda prędzej pchnie nas nożem, niż wyratuje, gdy nagle rozwarły się drzwi.

Stanął w nich jakiś żołnierz. Przysiągłbym że to ten sam, który przyjechał wtedy tak niespodziewanie do naszego obozu, gdy szliśmy na Litwę.

– Wino dla rycerzy! Posuń się chłopie. – Przybysz odepchnął wartownika. – A ty włącz i obsłuż ich szybko!

Odsunął się, by wpuścić dziewczkę, która wtaszczyła do izby spory gliniany dzban. Żołnierz nie wszedł za nią, tylko zagadał coś do wartowników i kopniakiem zamknął drzwi.

Dziewczyna postawiła gliniane naczynie i zdjęła nakrycie głowy; ukazały się gęste

kruczoczarne włosy, uczesane na dworską modłę. Błysnęły oczy bystre jak u żbika.
– Co ty tu robisz? – zapytała, wbijając wzrok w Zawiszę. – Znów się dla ciebie narażam!

– Musisz mi pomóc ratować króla!

– Po to przyjechałeś?

– Żeby go ostrzec, ale się spóźniłem. Ślij ludzi za królem! – Zawisza podszedł do niej i potrząsnął za ramiona jak niesforne dziecko. – Pogadaj ze Zbramirem, niech ruszają od razu!

– Uspokój się. I ciszej! – Dziewka wyrwała się z uścisku. – To niemożliwe! Zbramir nie wyda takiego rozkazu.

– Głęboko mieli iść w las?

Dziewczyna rzuciła na mnie szybkie spojrzenie.

– Mów! Ufam mu – uspokoił ją Zawisza. – Zresztą, teraz to już nie ma znaczenia.

– Pojechali na spotkanie z księciem Witoldem. Nie wiem gdzie. To tajemnica.

– Tęczyński jest z nimi?

– Tak!

– On jest zdrajcą! – syknął Zawisza. – Jego ludzie szykują się do porwania króla! Zrób coś!

– Oszalałeś?! – Dziewczyna wyprostowała się. Panowała nad sobą, dopiero teraz jej policzki lekko zaróżowiły się z emocji. – To niemożliwe. Zbramir dowodzi wszystkimi zbrojnymi. Nawet ludźmi Tęczyńskiego. Zawsze tak jest na polowaniach!

– Zbramir mógł zdradzić?

– Nie. – Potrząsnęła głową. – To jedyna pewna rzecz na tym świecie.

– Co to wszystko znaczy?

– Czekają na kogoś. W lesie więcej zbrojnych niż drzew. Dlatego cię zatrzymali. Ale widzę, że to nie na ciebie ta armia. Chwała Najwyższemu!

– A na kogo?

– Nie wiem. Ale o swoją głowę się lękać nie musisz.

– Nie o moją mi chodzi!

– Król jest bezpieczny. Wy też! Źle, że tu przyszedłam, w końcu się wyda...

Zawisza szybko postąpił kilka kroków w stronę dziewczyny, objął ją w pasie. Odwróciłem głowę.

Chwilę potem tajemnicza służka zarzuciła obszerną chustę na głowę, tak że niemal zakryła twarz, i wyszła.

Długo czekaliśmy odcięci od świata i jakichkolwiek wieści. Dopiero na trzeci dzień król powrócił do myśliwskiego dworku. A wraz z nim ochraniający go żołnierze oraz Jan z Tęczyna. Nie ucichł jeszcze harmider uczyniony na podwórzu przez konie i ludzi, gdy do izby wpadł Jaroch.

– Panie kapitanie! Wy w areszcie? Przyszedłem po was...

Zawisza zerwał się z pryczy.

– Jaroch! Chwała Bogu! Król cały?

– A czemuż miałyby być w kawałkach? Cały!

– Byłeś z Tęczyńskim?

– Właśnie on mnie przysyła – rzekł Jaroch z wesołym błyskiem w oczach. – „Diabła prędeż bym się spodziewał niż Zawiszy” wołał starosta, gdy się dowiedział w drodze. Prosi was do siebie.

– Teraz?

– Od razu. Mam bez was nie przychodzić.



Żeby wyjaśnić Zawiszy to, co wydarzyło się w Malborku, Tęczyński musiał cofnąć się o kilka lat. Do dnia, w którym do Tęczyna przybył posłaniec z alarmującym listem od Racheli Fiszel. Donosiła w nim, że Wolfgang Schenkendorf postanowił wydać Krzyżakom kupiecką siatkę. Wysłał już w tej sprawie do Malborka list, w którym opisał sposób jej działania. Treść pisma – zrzędzeniem losu – Rachelę poznała jeszcze tego samego dnia. W liście nie padło żadne nazwisko. Był wstępem, zachętą dla Krzyżaków do podjęcia negocjacji, bo Rachelę Fiszel nie miała wątpliwości, co popchnęło jej męża do takiego kroku. Chciwość. Wolfgangowi znów nie poszło w interesach i potrzebował pieniędzy. Te, które dostawał od polskiego wywiadu, były niewystarczające.

Rachelę była pewna, że Krzyżacy podejmą z Wolfgangiem współpracę. Ją i wszystkich kupców czekało więzienie i śmierć. W liście oprócz zdawkowej informacji o tym, że grupa kupców zaopatrujących krzyżackie zamki przekazuje poufne informacje Polakom, znalazła się tylko jedna konkretna wskazówka. Wolfgang Schenkendorf zdradził, że siatka liczy siedmiu kupców.

Jan z Tęczyna natychmiast przystąpił do działania. Polscy agenci zlikwidowali Wolfganga, zanim Malbork zdążył cokolwiek uczynić, a Rachelę wywieźli z krzyżackich Prus w bezpieczne miejsce.

Wolfgang wysłał swój list anonimowo. Doręczycielem był pewien toruński rzemieślnik, znany Racheli. On również został uprowadzony. W jego miejsce polski wywiad podstawił swojego człowieka. Wybór padł na Sambora. Ten najsprawniejszy z łowców znał niemiecki, łacinę, miał oczy dookoła głowy.

Nawiązując do listu Wolfganga Schenkendorfa, Tęczyński podjął z Krzyżakami grę. Kilka miesięcy później wysłał następny list, podając nazwisko pierwszego kupca. Wyjaśnił, zresztą zgodnie z prawdą, iż kupcy działają w przekonaniu, że odbiorcami szpiegowskich raportów są Duńczycy. To wymysł polskiego wywiadu, który w razie wpadki miał zmylić zarówno samych kupców, jak i Krzyżaków. Prawdą było też, że zwerbowani dostawcy nie zgodziliby się szpiegować na rzecz Polski. Dlatego wymyślono Duńczyków.

Przekazywanie nazwisk kolejnych kupców Tęczyński celowo rozciągnął w czasie, aby jak najdłużej skupiać na tej sprawie uwagę krzyżackiego wywiadu. Zamierzał jednocześnie wbić klin pomiędzy Malbork i Brodnicę. I to mu się udało.

Znacznie ważniejsze były jednak dwa inne cele.

Pierwszym z nich było wykorzystanie zamieszania, jakie zapanowało w krzyżackich Prusach, dla zbudowania siatki znacznie dla zakonnego państwa groźniejszej, bo opartej na tamtejszym rycerstwie. Związek Jaszczurczy był jej legalnym przyczółkiem, niewinną organizacją, zasłoną, która jak barwna tunika przykrywała właściwy pancerz. Przez kilka lat cały krzyżacki wywiad zajmował się środowiskiem kupieckim, dzięki czemu poza jakąkolwiek kontrolą zakonników znalazła się szeroka rzesza niezadowolonego pruskiego rycerstwa. Tęczyński zyskał czas i spokój potrzebny do zbudowania silnej antykrzyżackiej organizacji.

Drugi cel to doprowadzenie do zdemaskowania krzyżackiego szpiega w otoczeniu króla. Nie można było zaczynać rozprawy z Teutonami, mając za plecami tak wysoko postawionego zdrajcę.

Podejrzenia, że ktoś taki istnieje, kielkowały w głowie starosty na długo przed wybuchem afery z kupcami. Tęczyński przypuszczał, a potem nabrał pewności, że człowiek ten należy do najbliższego otoczenia Jagiełły. Tak bliskiego, że zdrajca wiedział o królu wszystko, przebywał bez eskorty w jego towarzystwie, jadał z nim przy jednym stole. Tęczyński szybko wytypował grupę najbardziej podejrzanych. Ale potrzebował żelaznych dowodów. W kraju toczyła się wojna o wpływy. Król budował swoje zaplecze. Atak na któregoś z jego stronników zostałby odebrany jako element walki politycznej. To mogłoby się skończyć jeszcze większym chaosem i klęską Tęczyńskiego.

Zdemaskowanie zdrajcy musiało się odbyć na oczach króla. Tak, by dowody winy były jednoznaczne. I tak, by to Jagiełło mógł zdecydować o dalszych losach sprzedawczyka.

Aby nie wzbudzić w Krzyżakach podejrzeń, że za ujawnianiem nazwisk kupców kryje się polski wywiad, Tęczyński nakazał swoim ludziom prowadzenie śledztwa. Te działania zostały szybko dostrzeżone przez Krzyżaków. Także polski dwór huczał od plotek. I o to staroście chodziło. Zapał, z jakim Polacy tropili tego, który wydawał Krzyżakom nazwiska kupców, był niepodważalnym dowodem, że nie ma mowy o prowokacji. Polacy byli wstrząśnięci, Polacy byli wściekli, Polacy byli bezradni. Taki miał iść do Malborka sygnał. I taki poszedł.

Krzyżacy w pełni zaufali donosicielowi, osobie, która za pieniądze wysyłała im nazwiska. Demaskowani kupcy, jeden po drugim, okazywali się winni zdrady. Wysokie żądania finansowe kazały wierzyć Krzyżakom, że głównym motywem działania były pieniądze.

Tęczyński, zyskawszy pełne zaufanie samego wielkiego mistrza, w ostatnim liście do Malborka podał Krzyżakom fałszywą informację, jakoby grupa polskich

możnych planowała porwanie Witolda, żeby osadzić na Litwie przekupionego już i chętnego na wojnę z Krzyżakami Świdrygiełłę. Doszło właśnie do nowych konszachtów pomiędzy Malborkiem i Witoldem. Śmierć lub porwanie litewskiego księcia byłyby katastrofą dla Krzyżaków. Witold rzeczywiście udał się w tych dniach do Niepołomic na tajną naradę, co Krzyżacy szybko potwierdzili, a to tylko utwierdziło Malbork w przekonaniu, że do porwania dojdzie, jeśli temu nie zapobiegną.

Malbork miał kilka dni na reakcję. I o to Tęczyńskiemu chodziło.

Do działania musiał wkroczyć ktoś, kto bez zaproszenia i bez wzbudzenia podejrzeń mógł pojawić się w Niepołomicach z niewielkim oddziałem wojska. I pod byle pretekstem dać ochronę Witoldowi. Ktoś bardzo bliski królowi...

Tęczyński od samego początku informował króla o swoich poczynaniach. Można rzec, iż pułapkę w Niepołomicach zastawili razem i razem czekali na zwierzynę.

Zawisza w skupieniu wysłuchał wyjaśnień starosty. Nie obudziły się w nim żadne emocje. Przyjdzie na nie czas.

Obaj milczeli przez dłuższą chwilę. Zawisza rozejrzał się po przestronnej izbie, w której siedzieli. Jej środek zajmował wielki dębowy stół otoczony przez ciężkie ławy. W kącie stał duży piec z kolorowych kafli. Na ścianach wisiały dziesiątki skór mniejszej i większej zwierzyny ubitej w okolicznych lasach.

Byli sami. Za chwilę zjawią się tu król ze swą myśliwską świtą oraz Jadwiga i jej dwórki.

– Trzeba ich było ratować... – odezwał się w końcu Zawisza. – Nie powinniśmy ich wydawać na śmierć... Na taką śmierć...

– Nie myśl, że mnie to nie bolało! – Tęczyński gwałtownie wstał od stołu. – Przed Bogiem się będę tłumaczył.

Zawisza milczał.

– Krzyżacy i tak by ich dopadli... Malbork był tak rozwścieczony zdradą, że gotów był...

– To co innego, panie! – Zawisza przerwał staroście. – To by obciążyło sumienie tych czarnych psów, a tak obciąża nasze.

– Moje! Na pewno nie twoje!

Tęczyński stanął nad rycerzem.

– Mamy Lichtensteina na smyczy, jak psa. Do tego... – zawahał się na chwilę. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielkie znaczenie ma ta rycerska organizacja! Udało się nam przez kilka lat zbudować siatkę dziesięć razy potężniejszą od tej kupieckiej! I dopadniemy zdrajcę, który chciał Polskę pod krzyżacki but zaprowadzić. Złóż to wszystko na szalę, rycerzu!

– Bóg złoży...

– Bóg złoży! – Tęczyński skinął głową.

Na podwórzu rozległy się kobiece głosy, potem śmiech. Zawisza nie chciał

ponownie spotkać Konstancji.

– Kiedy spodziewasz się, panie, że zjedzie tu... zdrajca?

– Dziś, jutro, pojutrze...

– Kto nim jest?

– Przekonamy się.

– Co się z nim stanie?

– Król zadecyduje.

I zaraz potem Tęczyński oznajmił:

– Jagiełło przed opuszczeniem Niepołomic chce z tobą rozmawiać. Potrzebuje posła na węgierski dwór. Zgodziłem się. Po tym wszystkim nasze drogi muszą się rozejść.

Zawisza nie odpowiedział.

– Król podziwia cię już od dawna za wojenną sprawność, oddanie dla ojczyzny i szlachetność – ciągnął starosta. – Zygmunt Luksemburski to kanalia, chytry lis, groźny niedźwiedź i co tam jeszcze ci przyjdzie do głowy... Spodziewa się posła o kwalifikacjach dyplomaty: odpowiednim urodzeniu, wykształceniu i doświadczeniu. Ty nie masz żadnej z tych cech. Nadajesz się do penetrowania jego jaskini jak nikt inny. Będiesz kimś więcej niż posłem.

Zawisza zdobył się jedynie na głęboki ukłon, gest, który pomieścił wszystko: zgodę, podziękowanie, szacunek dla króla i samego Tęczyńskiego.

– Król obiecał też napisać list do Hanny, by w odpowiednim świetle przedstawić jej twoje zasługi. Myślę, nie masz nic przeciwko temu?

– Nie wiem...

– Rycerzu! Rozczarowujesz mnie! Konstancja jest już przeznaczona dla Jakuba Konięcpola...

– Skąd podejrzenia, panie, że...

– To ona poleciła cię królowi! – wpadł mu w słowo Tęczyński. – Jagiełło od samego początku wiedział o waszych spotkaniach.

Tęczyński ciężko przysiadł na skraju ławy. Westchnął, spojrzał na rycerza z udawanym wyrzutem.

– Powinieneś być bardziej czujny. Nie ma lepszych szpiegów nad niewiasty. Zawsze wywiodą cię w pole. W to, że zdradzają, nie mogą uwierzyć nawet one same! Dlatego patrzeć im w oczy nic nie daje.

Uderzył dłonią w dębowy blat.

– No więc? Ma pisać ten list czy nie?

– Będę zaszczycony...

– Król zrobi to z ochotą. Przy nim czekają cię wielka sława i majątek.

Zawisza wstał, ponownie nisko się skłonił. Spojrzał za okno.

– A! Byłbym zapomniał. Jeszcze nasz przyjaciel... – Starosta zatrzymał rycerza ruchem ręki. – Jest tu z tobą, jak słyshałem. Jakie ma plany?

- Aaron zamierza wrócić do Aragonii.
- Powiesz mu, że to teraz niemożliwe. Przez najbliższych kilka lat nigdzie go nie puścimy. Za dużo wie.
- Nie mogę mu rozkazywać...
- To go postrasż!
- On się nie boi. Wszystko mu jedno.
- Jak pamiętam, obiecaliśmy mu tę Arabkę...
- Chrześcijkę.
- Nieważne. Gdzie ona teraz jest?
- Jeszcze w Garbowie. Mieliśmy ją, panie, do Gdańska odesłać...
- Nigdzie jej nie odsyłaj... Tego Stickera... znaleziono martwego w jego domu, w Gdańsku. Ktoś się włamał, okradł go, pobił, zabił *et cetera*. Zawisza nabrał powietrza głęboko w płuca. Dopiero po chwili zapytał:
- Kiedy to się stało?
- Tej nocy. Tylko powiesz o tym Aaronowi... za parę dni. Żebyś nie wyszedł na jasnowidza... Ktoś się teraz musi zaopiekować tą... Jak ona ma na imię, bo zawsze zapominam?
- Ayhe, panie.



Zdrajca pojawił się nazajutrz o brzasku. Las do połowy pni nurzał się jeszcze w jesiennej porannej mgle, gdy na czele dwunastu konnych do Niepołomic przybył Tomasz z Węgleszyna.

Ważniejsze postaci występujące w pierwszym tomie cyklu „Zawisza Czarny. Aragonia” oraz krótka informacja o ich wcześniejszych losach

Abencanyas Abraham. Mieszkał i prowadził warsztat tkacki przy ulicy de Arco w nowej dzielnicy żydowskiej w Saragossie, w którym Aaron spędził kilka lat na nauce. Był przyjacielem Salomona Abnarrabiego; to on podsunął pomysł wujowi Aarona, by zatrudnił chłopca jako swego kancelistę i przerwał jego męczarnie w warsztacie.

Abnarrabí Aaron. Narrator powieści. Jako mały chłopiec został sierotą i trafił pod dach swego wuja, Salomona Abnarrabiego. Jego naukę w szkole przerwało tragiczne zdarzenie, w wyniku którego chłopiec został oskarżony o morderstwo. Dzięki wujowi uniknął kary. Trafił do warsztatu tkackiego Abrahama Abencanyasa. Za wstawiennictwem tkacza wuj Salomon dał mu posadę kancelisty. Aaron zakochał się w arabskiej niewolnicy Ayhe. Został wysłany z misją do zamku Loarre, gdzie poznał Zawiszę. Jego wuj w chwili śmierci był bankrutem; cała odpowiedzialność za długi rodziny spadła na Aarona. Chłopak udał się do Perpignan, gdzie Zawisza stoczył pojedynek z Juanem de Urríesem. Tam dotarła do Aarona najpierw wiadomość o śmierci Ayhe, a potem o jej ocaleniu.

Abnarrabí Salomon. Był jedną z najważniejszych osobistości żydowskiej Saragossy drugiej połowy XIV wieku. Wybitny kupiec, bankier, przedsiębiorca, działacz społeczny i polityczny. Wuj Aarona. Opracował i przeprowadził operację zablokowania dostaw bydła do Walencji, przedsięwzięcia wymierzonego przeciwko możnowładczemu rodowi Urríesów. Wysłał Aarona z misją do Loarre. Umarł, pozostawiając mu długi i kłopoty z wierzycielami.

Aranda Francisco de. Dworski urzędnik. W wieku piętnastu lat został paziem na służbie króla Piotra IV. Od roku 1380 przebywał w otoczeniu infanta Marcina. Od 1387 był doradcą króla Jana I. Pod koniec roku 1388 został oskarżony przez hrabiego de Pradesa o otrucie infanta Jaime'a. Aranda z braku dowodów został oczyszczony z zarzutów, wówczas hrabia de Prades zażądał rozstrzygnięcia tej kwestii w pojedynku sądowym. W jego imieniu do pojedynku stanął Zawisza. Po stronie oskarżyciela wystąpił Juan de Urríes. Aranda posiadał głęboką wiedzę o wszystkim, co działo się na ważniejszych europejskich dworach. Dążył do usunięcia panującego w Aragonii króla i włożenia korony na głowę młodszego brata monarchy, Marcina, na którego miał duży wpływ. Aranda został zwerbowany

przez Polaków i działał jako polski agent.

Ayhe. Arabska niewolnica Salomona Abnarrabiego, słynąca z niezwyklej urody. Wielka miłość Aarona. Na skutek tragicznych zdarzeń trafiła w ręce handlarza niewolnikami Tidemana Stickera. Gdy ten popadł w finansowe i prawne tarapaty, w Aaronie zrodziła się nadzieja na odzyskanie ukochanej. W Perpignan Aaron otrzymał wiadomość, że Ayhe żyje i wraz ze Stickerem znajduje się w drodze do Gdańska.

Faquim Mahabud. Kupiec z Majoroki. Kuzyn Salomona Abnarrabiego. Porzucił handel na rzecz korsarstwa.

Sticker Tideman. Niemiecki kapitan przewożący pielgrzymów z Gdańska do Composteli. W roku 1378 jego statek został napadnięty przez angielskich piratów u wybrzeży przylądka Finisterre. Po tym zdarzeniu zamieszkał najpierw w Walencji, potem w Saragossie. Dzięki kontaktom z Genuńczykami, którzy handlowali niewolnikami z Krymu, Tideman Sticker wyspecjalizował się w handlu młodymi kobietami. Stał się właścicielem Ayhe, arabskiej niewolnicy, ukochanej Aarona. Ścigany przez sąd uciekł z Aragonii do Gdańska, zabierając ze sobą Ayhe.

Urrea Violante Ximénez de. Przedstawicielka jednego z najzamożniejszych rodów Aragonii. Decyzją króla Piotra IV została wydana za Kastylijczyka Gonzala Gonzáleza de Lucia, kapitana zamku Loarre. Kochanka Juana de Urríesa, jego późniejsza żona. Aaron obawiał się, że baronowa pragnie śmierci Ayhe.

Urríes Juan de. Głowa rodu Urríesów. Walcząc o wpływy na północy Aragonii, usiłował doprowadzić zamek Loarre do upadku. Poniósł porażkę w pojedynku z Zawiszą w Perpignan.

Joshua Benet. Przyjaciel Aarona ze szkolnych czasów. To on wysłał do Perpignan list, w którym informował Aarona, że Ayhe żyje i u boku Tidemana Stickera zmierza do Gdańska.

Notka bibliograficzna

Opisując w swojej powieści wymienione osoby, wydarzenia i fakty, autor posiłkował się następującymi publikacjami:

1. Jelicz A., *Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie (wiek XIII–XV)*, Warszawa 1966.

Opis życia codziennego w Krakowie.

2. Jóźwiak S., *Na tropie średniowiecznych szpiegów*, Inowrocław 2005, s. 42–44.

Opis szyfrów wykorzystywanych przez krzyżacki wywiad.

3. Jóźwiak S., *Wywiad i kontrwywiad w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach*, Malbork 2004, s. 117.

Treść listu dotyczącego zdrady Tomasza z Węgleszyna.

4. Kurtyka J., *Tęczyńscy. Studium z dziejów polskiej elity możnowładczej w średniowieczu*, Kraków 1997, s. 171–269.

Polityczne aspekty działalności Jana z Tęczyna; sama postać starosty opisana w powieści jest wytworem wyobraźni autora.

5. Możejko B., Szybkowski S., Śliwiński B., *Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima*, Gdańsk 2003, s. 34–48 oraz 110–111.

Informacja o majątku Zawiszy (z wczesnego okresu) oraz jego rodzinnych koligacjach.

6. Nowakowski P.A., *Arsenały domowe rycerstwa polskiego w średniowieczu*, Toruń 2006, s. 53–167, 182.

Koszty rycerskiego uzbrojenia najemników.

7. Pospieszna B., *Ogrzewanie w Zamku Malborskim w dawnych wiekach*, Malbork 2002, s. 13–17.

Opis pieców grzewczych w Malborku.

8. Radoch M., *Walki Zakonu Krzyżackiego o Żmudź od połowy XIII wieku do 1411 roku*, Olsztyn 2011, s. 124–135.

Opis rejzy na Wilno z roku 1394.

9. Trawka R., *Kmitowie. Studium kariery politycznej i społecznej w późnośredniowiecznej Polsce*, Kraków 2005, s. 36–47 (sprawa fałszerstwa kancelaryjnego) oraz s. 49–108.

Opis politycznej historii Piotra Kmity i jego rodu. Postać możnowładcy występująca w powieści to również w dużej mierze *licentia poetica*.

10. Tyszka P., *Obraz przestrzeni miejskiej Krakowa XIV–XV wieku w świadomości jego mieszkańców*, Lublin 2001, s. 75–78, 83.

Dyskusja na temat słowa „rynek”.

11. Zaremska H., *Żydzi w średniowiecznej Polsce. Gmina krakowska*, Warszawa 2011.

Opis gminy żydowskiej (postać Lewka i jego rodziny, opis sytuacji kamienicy Maius, postać Rebeki Fiszel żyjącej w rzeczywistości w XV stuleciu, a więc po wydarzeniach opisywanych w powieści, zabudowa gminy i wiele aspektów, których nie sposób tu wszystkich wymienić).

Wybrana bibliografia

- Abrahams I., *Życie codzienne Żydów w średniowieczu*, Warszawa 1996.
- Biskup M., Czaja R. (red.), *Państwo zakonu krzyżackiego w Prusach. Władza i społeczeństwo*, Warszawa 2008.
- Bocheński A., *Przemysł polski w dawnych wiekach*, Warszawa 1984.
- Borowiejska-Birkenmajerowa M., *Kształt średniowiecznego Krakowa*, Kraków 1975.
- Botticini M., Eckstein Z., *Garstka wybranych. Jak edukacja ukształtowała dzieje Żydów 70–1492*, Kraków 2014.
- Christiansen E., *Krucjaty północne*, Poznań 2009.
- Cieślak E. (red.), *Historia Gdańska*. Tom 1 do roku 1454, Gdańsk 1985.
- Długokęcki W., *Elita władzy Malborka w średniowieczu*, Malbork 2004.
- Duby G. (red.), *Historia życia prywatnego*. Tom 2: *Od Europy feudalnej do renesansu*, Wrocław 2005.
- Gancewski J., *Rola zamków krzyżackich w ziemi chełmińskiej od połowy XIV wieku do 1454 roku*, Olsztyn 2001.
- Gilewska-Dubis J., *Życie codzienne mieszczan wrocławskich w dobie średniowiecza*, Wrocław 2000.
- Grabski A.F., *Polska w opiniach Europy Zachodniej XIV–XV w.*, Warszawa 1968.
- Jasienica P., *Polska Jagiellonów*, Warszawa 1988.
- Jelicz A., *Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie (wiek XIII–XV)*, Warszawa 1966.
- Jodłowski A., Wiewiórka J., Piotrowicz J., Keckowa A., Dziwik K., Wyrozumski J., *Dzieje żup krakowskich*, Wieliczka 1988.
- Józwiak S., *Na tropie średniowiecznych szpiegów*, Inowrocław 2005.
- Józwiak S., *Wywiad i kontrwywiad w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach*, Malbork 2004.
- Józwiak S., Trupinda J., *Organizacja życia na zamku krzyżackim w Malborku w czasach wielkich mistrzów (1309–1457)*, Malbork 2011.
- Koczarska M., *Rodzina szlachecka w Polsce późnego średniowiecza*, Warszawa 1975.
- Kręt H., *Życie codzienne Jadwigi i Jagielły*, Kraków 2005.
- Krzyżaniakowa J., Ochmański J., *Władysław II Jagiełło*, Wrocław 2006.

- Kurtyka J., *Tęczyńscy. Studium z dziejów polskiej elity możnowładczej w średniowieczu*, Kraków 1997.
- Kutrzeba S., *Finanse i handel średniowiecznego Krakowa*, Kraków 2009.
- Łowmiański H., *Polityka Jagiellonów*, Poznań 2006.
- Maćkowiak K., *U źródeł polskiej świadomości językowej (X–XV wiek)*, Poznań 2011.
- Małowist M., *Wschód a Zachód Europy w XIII–XVI wieku*, Warszawa 2006.
- Mastykarz K., *Czas wolny i rozrywka w Toruniu, Chełmnie, Grudziądzu i Brodnicy w XIV–XVI wieku*, Toruń 2010.
- Możejko B., Szybkowski S., Śliwiński B., *Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima*, Gdańsk 2003.
- Możejko B., *Zamek krzyżacki w Gdańsku w świetle inwentarzy z lat 1384–1446*, [w:] *Krzyżacy, szpitalnicy, kondotierzy*, pod red. B. Śliwińskiego, Malbork 2006.
- Nikodem J., *Jadwiga król Polski*, Wrocław 2009.
- Nowakowski P.A., *Arsenały domowe rycerstwa polskiego w średniowieczu*, Toruń 2006.
- Piwowarczyk D., *Obyczaj rycerski w Polsce późnośredniowiecznej (XIV–XV wiek)*, Warszawa 2006.
- Piwowarczyk D., *Poczet rycerzy polskich XIV i XV wieku*, Warszawa 2008.
- Pizuński P., *Sekretne sprawy Krzyżaków*, Gdańsk 2005.
- Pospieszna B., *Ogrzewanie w Zamku Malborskim w dawnych wiekach*, Malbork 2002.
- Radoch M., *Walki Zakonu Krzyżackiego o Żmudź od połowy XIII wieku do 1411 roku*, Olsztyn 2011.
- Samsonowicz A., *Łowiectwo w Polsce Piastów i Jagiellonów*, Warszawa 2011.
- Samsonowicz H., *Złota jesień polskiego średniowiecza*, Poznań 2001.
- Sperka J., *Wojny króla Władysława Jagiełły z księciem opolskim Władysławem (1391–1396)*, Wodzisław Śląski 2011.
- Szajnocha K., *Jadwiga i Jagiełło*, Warszawa 1969.
- Szweda A., *Organizacja i technika dyplomacji polskiej w stosunkach z zakonem krzyżackim w Prusach w latach 1386–1454*, Toruń 2009.
- Trawka R., *Kmitowie. Studium kariery politycznej i społecznej w późnośredniowiecznej Polsce*, Kraków 2005.
- Tyszka P., *Obraz przestrzeni miejskiej Krakowa XIV–XV wieku w świadomości jego mieszkańców*, Lublin 2001.
- Urban W., *Średniowieczni najemnicy*, Warszawa 2008.
- Wrzesiński Sz., *Tajemnice rycerzy. Życie codzienne śląskich feudalów*, Zakrzewo 2008.
- Wyrozumski J. (red.), *Dzieje Krakowa*, Kraków 1992.
- Wyrozumski J., *Kraków do schyłku wieków średnich*, [w:] *Dzieje Krakowa*, t. 1,

Kraków 1992.

Zaremska H., *Żydzi w średniowiecznej Polsce. Gmina krakowska*, Warszawa 2011.

Zawitkowska W., *W służbie pierwszych Jagiellonów. Życie i działalność kanclerza Jana Taszki Koniecpolskiego*, Kraków 2005.

Fot. Forever Young Books



SZYMON JĘDRUSIAK

Pochodzi ze Śląska, od ćwierćwiecza mieszka z rodziną w Krakowie. W młodości wiele podróżował; w Meksyku spędził dwa lata. Po powrocie studiował iberystykę. Jeszcze w trakcie studiów zajął się tłumaczeniami. Przełożył m.in. *Historię Hiszpanii*, dzieło hiszpańskich historyków, *Proste pytania* F. Savatera oraz *Kościół i naukę* J.M. Riazy Moralesa.

Od lat działa w branży wydawniczej, obecnie jest właścicielem wydawnictwa publikującego książki edukacyjne.

Jego drugą obok lingwistyki pasją jest historia. Jako pisarz postawił sobie wysoko poprzeczkę. Zaczął od powieści o losach polskiego bohatera czasów średniowiecza. Barwną i mało znaną historię Zawiszy Czarnego poznajemy na tle dziejów całego kontynentu.

Pisze teraz kolejną powieść o Zawiszy, zatytułowaną *Wielka wojna*.

ZAWISZA CZARNY

DROGA DO KRÓLA

Intryga polityczna i polsko-krzyżacka wojna wywiadów

Zawisza Czarny to nasz największy bohater z czasów średniowiecza. Zręczny dyplomata, biegły w wojennym rzemiośle rycerz, zapobiegliwy gospodarz, który służąc królom polskiemu i węgierskiemu, dorobił się sporego majątku. Nie był człowiekiem bez skazy: w młodości groziła mu ekskomunika za występki przeciwko biskupowi; pił piwo ponad miarę, nie sponieważał się, procesował się o pieniądze, nie respektował wyroków sądów, stawiał z orężem przeciwko wymiarowi sprawiedliwości. A jednak z jakichś powodów stał się już dla współczesnych symbolem wszelkich cnót, bohaterem narodowym.

Dobiega końca XIV wiek. Unia z Litwą otwiera przed Polakami nieograniczone możliwości ekspansji i rozwoju: militarnego, gospodarczego i kulturowego. Ten nagły awans Polski wywołuje dyplomatyczno-propagandową akcję zakonu krzyżackiego. Do Gdańska, prosto z Aragonii, udaje się Zawisza Czarny, by spotkać się z jednym z kupców pruskich. Przybywa za późno. Kupiec nie żyje. Tak rozpoczyna się kolejny etap polsko-krzyżackiej wojny wywiadów, w której stawką jest bezpieczeństwo króla Władysława Jagiełły i przetrwanie unii Polski z Litwą.

